



GREGG

HURWITZ

BĘDZIESZ NASTĘPNY

GREGG
HURWITZ

BĘDZIESZ NASTĘPNY

Z angielskiego przełożyła
EWA WOJTCZAK



Tytuł oryginału:
YOU'RE NEXT

Copyright © Gregg Hurwitz 2011

All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c. 2014

Polish translation copyright © Ewa Wojtczak 2014

Redakcja: Marta Bogacka

Zdjęcie na okładce: alexsvirid/Shutterstock

Projekt graficzny okładki i serii: Andrzej Kuryłowicz

Skład: Laguna

JSBN 978-83-7885-681-8

Książka dostępna także jako ebook

Dystrybutor

Firma Księgarska Olesiejuk sp, z o.o, sp, j.

Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

t./f. 22.535.0557, 22.721.3011/7007/7009

www.olesiejuk.pl

Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe

www.merlin.pl

www.fabryka.pl

www.empik.com

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS ANDRZEJ KURYŁOWICZ S.C.

Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com

2014. Wydanie I

Druk: WZDZ - Drukarnia Lega, Opole

*Rosie – za to,
że uświadomiła mi moją dorosłość.*

*I Natalie – za to,
że dzięki niej wszystko ma sens.*

Nie będę samotny.

Glasvegas, *Daddy's Gone*

Prolog

Czteroletni chłopiec wierci się na tylnym siedzeniu kombi. Leży pod kocem i boli go biodro – w miejscu, gdzie wbija się klamra pasa bezpieczeństwa.

Nagle siada prosto, przeciera oczy w porannym świetle i rozgląda się zdezorientowany.

Samochód zatrzymał się na krawężniku, obok płotu z drucianej siatki. Ojciec mocno ściska kierownicę, a jego ramiona drżą. Pot ścieka mu po zaczerwienionym karku.

Chłopiec przełyka ślinę, żeby zwilżyć suche gardło.

– Gdzie jest... Gdzie mama?

Ojciec ze świstem nabiera powietrza i częściowo odwraca się do syna. Na jego policzku ciemnieje dwudniowy zarost.

– Mama... nie może... Nie ma jej tutaj.

Pochyla głowę i zaczyna płakać. Szlocha i oddycha gwałtownie, jak ktoś, kto nie przywykł do płaczu.

Za płotem po popękanych asfalcie biegają dzieci, niektóre ustawiły się w kolejce przy zardzewiałych huśtawkach. Na płocie wisi tablica:

W AMERYCE ZNÓW ZAŚWIECIŁO SŁOŃCE:
RONALD REAGAN NA PREZYDENTA

Chłopcu jest gorąco. Spogląda w dół i ocenia swój strój. Ma na sobie dżinsy i podkoszulek z długimi rękawami, a nie pidżamę, w której kładł się do łóżka. Próbuje zrozumieć sens słów ojca, odgadnąć, co oznacza ta nieznamiona ulica i koc splątany na kolanach, jednak nie potrafi skupić się na niczym poza szumem w uszach i pustką w brzuchu.

– To nie twoja wina, mistrzu. – Ojciec mówi wysokim, łamiącym się głosem. – Rozumiesz mnie? Zapamiętaj jedną rzecz... Musisz pamiętać, że nic, co się stało, nie jest twoją winą.

Przesuwa dłonie na kierownicy, ścisną ją tak mocno, że jego kłykiecieleją. Na mankietcie jego koszuli jest czarna plama.

Dobiega ich śmiech. Dzieci zwisają z drążków i wspinają się po drabinkach.

– Co ja zrobiłem? – pyta chłopiec.

– Twoja matka i ja bardzo cię kochamy. Najbardziej na całym świecie.

Ręce ojca stale poruszają się na kierownicy. Przesuwają się i ścisną, przesuwają i ścisną. Światło pada na mankiet jego koszuli i chłopiec widzi, że plama wcale nie jest czarna.

Jest krwiście czerwona.

Ojciec garbi się nad kierownicą, barki jakby mu ciążyą, lecz nic nie mówi. Po chwili z widocznym wysiłkiem prostuje plecy.

– Idź się pobawić – mówi.

Chłopiec patrzy przez okno na obcy dziedziniec i obce dzieci, które biegają i krzyczą.

– Gdzie jestem? – pyta.

– Wrócę za kilka godzin.

– Obiecujesz?

Ojciec nadal nie odwraca się do niego. Podnosi jednak wzrok do wstecznego lusterka i po raz pierwszy patrzy synowi w oczy. Usta ojca wyglądają jak prosta kreska, a w jasnoniebieskich oczach są pewność i stanowczość.

– Obiecuję – odpowiada.

Chłopiec jednak wciąż siedzi bez ruchu.

Ojciec dziwnie oddycha.

– Idź – powtarza. – Pobaw się.

Mały ześlizguje się z siedzenia i wysiada z auta. Przechodzi przez bramę, a kiedy przystaje i spogląda za siebie, kombi ojca już nie ma.

Dzieci huśtają się albo zjeżdżają po rurze strażackiej. Najwidoczniej wiedzą co i jak.

Jedno z nich podbiega do chłopca i klepie go w ramię.

– Gonisz! – krzyczy.

Chłopiec bawi się z innymi w berka. Później wspina się na drabinki i pełza w tunelu z żółtego plastiku, potrącany przez większe dzieci. Sam też próbuje się przepychać. W pobliskim budynku rozlega się dzwonek, dzieci porzucają plac zabaw i znikają w środku.

Chłopiec wychodzi z tunelu. Został na dziedzińcu zupełnie sam. Wiatr podnosi się, przesuwając zeschnięte liście, które przypominają paznokcie drapiące asfalt. Mały nie wie, co ze sobą zrobić, więc siada na ławce i czeka na ojca. Słońce zasnuwa chmura, a on nie ma kurtki. Rozkopuje liście zgarnięte obok ławki. Nad jego głową gromadzi się coraz więcej chmur. Siedzi, aż zaczynają go boleć pośladki.

W końcu przez dwuskrzydłowe drzwi wychodzi kobieta o siwiejących brązowych włosach. Dołącza do niego na ławce i kładzie sobie ręce na kolanach.

– Hej tam – zagaja.

Chłopiec tylko patrzy na własne uda.

– Okay – mówi kobieta. – W porządku. – Patrzy na pusty plac zabaw, później dalej, za drucziany płot; obrzuca wzrokiem puste miejsca parkingowe przy krawężniku. – Powiesz mi, czyj jesteś?

TERAZ

1

Mike leżał w ciemnościach, wzrok skupił na elektronicznej niani na nocnym stoliku. Wiedział, że musi wstać za trzy godziny, ale sen nie przychodził ani trochę łatwiej niż zwykle. Pod sufitem sypialni krążyła mucha, sunąc zrywami, nierówno, jak gdyby chciała uniemożliwić Mike'owi sen. Jego matka mawiała, że mucha plujka w domu oznacza zło zagrażające rodzinie – była to jedna z niewielu rzeczy, jakie pamiętał w związku z matką.

Potrzebował dłuższej chwili, żeby przywołać mniej niepokojące wspomnienia z dzieciństwa. Te nieliczne, które zachował, były zaledwie przeblyskami doznań. Zapach szałwiowego kadzidła w kuchni wyłożonej żółtymi kafelkami. Jego matka kąpiąca go. Jej skóra, która zawsze wydawała się opalona. Jej zapach, jakby cynamonu...

Czerwone światełka na monitorze elektronicznej niani migały. Rozległ się trzask. A może to Kat zakaszła?

Ściszył urządzenie, bo nie chciał obudzić Annabel, ale ona przesuwała się pod kołdrą i odezwała ochryplym głosem:

- Kochanie, elektroniczna niania jest dla bobasów.
- Wiem. Przepraszam. Wydawało mi się, że coś słyszę.
- Ona ma osiem lat. Czasem bywa dojrzalsza od nas. Jak będzie czegoś potrzebowała, wmaszeruje tu i nam powie.

Toczyli ten spór od dawna, a Mike wiedział, że Annabel ma rację. W końcu zupełnie ściszył dźwięk i leżał bez ruchu, pośpennie gapiąc się na ten cholerny przedmiot, którego nie był w stanie wyłączyć. Małe plastikowe urządzenie skrywało najgorsze lęki rodziców. Zadzławienie.

Chorobę. Wtargnięcie włamywaczy.

Zwykle słyszał tylko zakłócenia, które przebijały się z innych częstotliwości – wyładowania elektryczne albo sapanie przeziębionego dziecka sąsiadów. Czasami w równomiernym płaskim szumie Mike słyszał głosy. Mógłby przysiąc, że to duchy. Pomruki z przeszłości. Ten szum był jak portal do na wpół świadomego umysłu; w urojonym szepcie można było dosłyszeć wszystko, co tylko się chciało.

A jeśli wyłączy nianię i właśnie tej nocy Kat naprawdę będzie ich potrzebowała? Co, jeśli obudzi się z jakiegoś koszmaru przerażona i zdezorientowana, jeśli ogarnie ją nagły paraliż, a mucha rzuci na nią zły urok? Godzinami będzie leżała sama, uwięziona z własnymi lękami. Jak wybrać tę pierwszą noc, w której podejmie ryzyko?

Wydawało się, że późną nocą logika i rozsądek zasypiały wcześniej niż on. Wszystko, co najgorsze, było wtedy możliwe.

Właśnie zapadał w sen, gdy mucha wykonała kolejne okrążenie wokół nocnej lampki, a chwilę później na ekranie niemego urządzenia znów zapłonęły czerwone światełka.

Kat mnie woła? – pomyślał.

Usiadł i potarł twarz.

– Nic jej nie jest – jęknęła Annabel.

– Wiem, wiem.

Wstał jednak i cicho poszedł korytarzem.

Dziewczynka mocno spała, jednym szczupłym ramieniem obejmowała pluszowego białego misia; usta miała uchylone. Kasztanowe włosy okalały poważną buzię. Tak jak matka miała szeroko rozstawione oczy, zadarty nos i wydatną dolną wargę; biorąc pod uwagę jej wygląd i wrodzoną bystrość, czasami trudno było stwierdzić, czy to Kat jest ośmioletnią wersją Annabel, czy raczej Annabel jest trzydziestosześcioletnią wersją Kat. Cecha, którą dziewczynka odziedziczyła po Mike'u, była oczywista – jedno oko miała brązowe, drugie w kolorze bursztynu. Nazywają to heterochromia. A co do loków, kto wie, po kim je odziedziczyła.

Pochylił się nad córką i przez chwilę wsłuchiwał w jej równy oddech. Potem zajął fotel na biegunach w kącie pokoju i obserwował ją stamtąd.

Był dumny z dzieciństwa, które jej zapewnili, z poczucia bezpieczeństwa, które pozwalało jej tak mocno spać.

– Kochanie.

Żona stała w wejściu i odgarniała z czoła proste włosy. Miała na sobie podkoszulek Gap i bokserki Mike'a. Wyglądała tak samo dobrze jak dziesięć lat temu, podczas ich miesiąca miodowego.

– Chodź do łóżka. Jutro twój wielki dzień.

– Wrócę za chwilę.

Podeszła do niego i pocałowali się cicho. Potem odwróciła się i powoli ruszyła z powrotem do łóżka.

Ruch fotela działał hipnotycznie, ale Mike wciąż wracał myślami do nierozwikłanej sprawy związanej z nadchodzącym dniem. Po jakimś czasie zrozumiał, że nie zdoła już zasnąć, więc poszedł do kuchni i zaparzył dzbanek kawy. Wrócił na fotel i sącząc z zadowoleniem kawę z kubka, patrzył na jasnożółte ściany, rząd lalek na wiszącej półce i na śpiącą jak anioł córkę. Tylko czasem ciszę przerywało brzęczenie muchy, która tu za nim przyleciała.

2

Kat gwałtownie wbiegła do kuchni. Jej kucyk był luźny i przekrzywiony. Annabel odwróciła się od patelni, na której smażyła omlety, i przyjrzała się niedbale związanym lokom.

– Ojciec ci zrobił kitę, prawda?

Kat wcisnęła do plecaka pluszowego misia polarnego i wspięła się na stół przy blacie tuż obok Mike'a. Annabel zsunęła omlet na talerz córki, a potem pochyliła się nad nią i kilkoma wprawnymi ruchami poprawiła jej kucyk. Włożyła patelnię do wody z płynem, papierowym ręcznikiem wytarła wyciek pod zlewem i dokończyła drugie śniadanie dla Kat – odcięła skórkę z kanapki z masłem orzechowym, ale bez dżemu.

Siorbiąc trzeci kubek kawy i obserwując żonę, Mike poczuł, jakby poruszał się w zwolnionym tempie.

– Uszczelnij ten zlew dziś wieczorem – obiecał, a Annabel podniosła kciuk na znak aprobaty. Mike zauważył puszystą białą łapkę sterzącą z plecaka córki. – Mogę zapytać, dlaczego spakowałaś do szkoły misia?

- Mam dziś prezentację.
- Kolejną? Nie jesteś przypadkiem w trzeciej klasie?
- To na dodatkowe zajęcia. Będę mówić o globalnym ociepleniu...
- Nie żartuj – wtrąciła sarkastycznie Annabel.
- ...a to nie jest zwyczajny miś polarny.

Mike uniósł brew.

– Nie?

Kat wyjęła misia z plecaka i pokazała go teatralnym gestem.

– To już nie jest Śnieżka, mój ulubiony pluszak. To... to jest Śnieżka, ostatni przedstawiciel ginącego gatunku niedźwiedzi polarnych. – Wyjęła z etui okulary i założyła je. Okrągłe czerwone oprawki dodały jej minie powagi. Nie żeby potrzebowała w tym względzie pomocy. – Wiedzieliście – spytała – że do czasu, kiedy dorosnę, misie polarne prawdopodobnie zupełnie wymrą?

– Tak – odparł Mike. – Z filmu Ala Gore'a. Bo pokrywy lodowe topnieją i niedźwiedzie polarne toną. Płakałaś po tym filmie przez dwa dni.

– Jedz omlet – upomniała Annabel.

Kat jadła, lecz bez apetytu. Mike położył dłoń na jej karku.

– Chcesz, żebym odprowadził cię na zajęcia?

– Tato, mam osiem lat.

– I ciągle mi o tym przypominasz. – Wyjął z kieszeni solidną komórkę i wcisnął przycisk ponownego wybierania. Po kilku dzwonek odebrał dyrektor oddziału bankowego. – Tu znowu Mike Wingate. Czy przelew już dotarł?

– Chwileczkę, panie Wingate.

Przez moment słycać było stukanie klawiatury.

Podczas gdy Annabel negocjowała z Kat, ile kęsów ta musi jeszcze zjeść, Mike czekał, bębniąc nerwowo palcami o blat.

Potrzebował trzynastu lat, by z najemnego robotnika, a potem stolarza, stać się brygadzystą, w końcu zaś przedsiębiorcą budowlanym. A teraz był o krok od realizacji pierwszego projektu jako deweloper. Musiał jednak podjąć przyprawiające o wrzody ryzyko, zastawić dom i zaciągnąć kilka kredytów, aż kupił część niezagospodarowanego kanyoniu na obrzeżach miasta. Osada Valley, położona w Lost Hills, około pięćdziesięciu kilometrów na północny zachód od centrum Los Angeles, miała wiele zalet. Główną była cena nieruchomości, zaledwie wysoka, a nie ekscentryczna. Mike podzielił teren na czterdzieści dużych działek i zbudował osiedle domów ekologicznych, które nazwał może niezbyt odkrywczo Green Valley, czyli Zieloną Doliną. Nie żeby miał fioła na punkcie ekologii. Zauważył jednak, że Kat interesuje się środowiskiem;

musiał też przyznać, że i jego cholernie przerażały futurystyczne obrazy Manhattanu zalanego przez morze.

Oferta ekologicznej dotacji od władz stanowych pomogła szybko sprzedać domy. Mike czekał na przelew od firmy weryfikującej tytuły własności, który miał nadejść właśnie dzisiejszego ranka. Dzięki tym pieniądzom wreszcie – po trzech i pół roku – wyjdzie z długów i razem z Annabel nie będą musieli sprawdzać konta za każdym razem, gdy postanowią zjeść na mieście.

Dyrektor wrócił na linię, a stukanie ustało.

– Ciągłe nic, panie Wingate.

Mike podziękował, zamknął komórkę i nasadą dłoni otarł pot z czoła. Cichy nieznośny głosik wrócił i prześladował go w myślach: „Co, jeśli mimo ogromnej pracy, którą w to wszystko włożył, okaże się, że coś poszło źle?”.

Poczuł spojrzenie żony.

– Nie trzeba było na razie kupować tego głupiego wielkiego pick-upa – bąknął.

– A co chciałeś zrobić? – odparła Annabel. – Skleić taśmą skrzynię biegów swojej zdezelowanej półciągarówki? Damy radę. Pieniądze przecież dotrą. Ciężko na to pracowałeś... Bardzo ciężko. Masz prawo teraz cieszyć się zyskami.

– Ale na pewno nie musiałem wyrzucać ośmiu stów na nowy garnitur – zrzędził.

– Kochanie, masz sesję zdjęciową z gubernatorem. Nie możesz się pokazać w podartych dżinsach. Poza tym możesz znowu włożyć garnitur na wręczenie nagród. A to mi o czymś przypomina. – Strzeliła palcami. – Po porannych zajęciach muszę odebrać twój garnitur od krawca. A Kat ma dzisiaj badania kontrolne. Zawieszysz ją po drodze do szkoły? I spotkamy się tutaj na lunch?

W ostatnim roku musieli w ten sposób ustalać coraz więcej spraw. Kiedy stało się jasne, że Kat świetnie daje sobie radę w trzeciej klasie, Annabel zdecydowała, że czas wrócić do Northridge University i zdobyć uprawnienia pedagogiczne. Mogła studiować, o ile tu i tam nagną budżet.

Mike spojrział na ekran komórki, na wypadek gdyby jakimś cudem przegapił telefon z banku z dobrymi nowinami. Pomasażował sobie spięty kark. Nieustannie towarzyszył mu stres.

– Nie wiem, co jest złego w mojej starej sportowej marynarce.

– Chyba już nikt nie nosi kraciastych marynarek, tato – wtrąciła córka.

– Nie jest w kratę, tylko w kwadraty – upierał się.

Annabel skinęła głową Kat i powiedziała bezgłośnie: „W kratę”.

Mike nie mógł powstrzymać uśmiechu. Wziął głęboki wdech i spróbował zrobić powolny, spokojny wydech. Pieniądze były już przecież na koncie firmy weryfikującej tytuły własności. Co mogło pójść nie tak?

Annabel skończyła zmywać naczynia, zdjęła pierścionki i wtarła balsam w dłonie. Pierścionek zaręczynowy z kropelką jasnożółtego brylantu – kiedyś Mike wydał na niego dwie pensje – zalśnił przyćmionym blaskiem. Uwielbiał ten pierścionek, podobnie jak ich miły mały domek. Amerykański sen w postaci dwóch sypialni i stu czterdziestu metrów kwadratowych. Świetnie byłoby mieć większe pieniądze, ale Mike wiedział, że powinien być wdzięczny za to, co już mieli, że powinien doceniać, jakie mieli szczęście.

Żona wyciągnęła do niego dłonie.

– Chodź tutaj, mam za dużo balsamu.

Słońce wpadające przez okno oświetliło jej ramiona i nadało ciemnym włosom odcień spizu; oczy Annabel przejęły zimny błękit jej bluzki i wydawały się półprzezroczyste.

Mike bezwiednie chwycił telefon i zrobił jej zdjęcie.

– Co znowu? – spytała.

– Twoje włosy. Twoje oczy.

Annabel ujęła jego dłonie.

– O Boże – mruknęła Kat. – Po prostu się pocałujcie i skończcie już z tymi głupotami.

■ ■ ■

Ford F-450 połyskiwał w garażu niczym wypolerowany czołg. Czterotonowy pick-up pożerał tak dużo ropy i tak bardzo szkodził sro-

dowisku, że osiedle Green Valley bez wątpienia nie rekompensowało tych strat. Ale toyotą prius Mike nie mógłby przewozić sprzętu na plac budowy. Wielki pick-up był dowodem rozrzutności – może nawet lekomyślności – ale Mike musiał przyznać, że kiedy wczoraj odjeżdżał nim spod salonu dealera, poczuł tak wielką radość, że rozsądek przestał go interesować.

Kat wskoczyła na tylne siedzenie i wsadziła nos w książkę, jak zwykle rano.

Wycofując samochód z podjazdu, Mike wskazał na zwisający z sufitu ekran z odtwarzaczem DVD.

– Daj sobie spokój z czytaniem i zobacz, co tu mamy. Są do niego słuchawki bezprzewodowe. Z redukcją szumów.

Mówił tonem osoby, która recytuje prospekt reklamowy, ale nie mógł się powstrzymać. Zapach nowego auta wręcz uderzał mu do głowy.

Dziewczynka założyła słuchawki i zaczęła przeskakiwać pilotem po kanałach.

– Super! – zakrzyknęła z powodu słuchawek i podniecenia. – *Hannah Montana*.

Mike mijał ciche podmiejskie ulice, poprawiał daszek przeciwsłoneczny i myślał, jaki jest zdenerwowany i przejęty sesją zdjęciową z gubernatorem. Gdy przejeżdżali obok jubilera, popatrzył na przedmioty migoczące w witrynie i pomyślał, że jak dostanie przelew, podjedzie tu i sprawi Annabel niespodziankę.

Kiedy zbliżali się do gabinetu doktor Obuchi, Kat sposepniała i zerwała z uszu słuchawki.

– Żadnych zastrzyków – ostrzegła.
– Żadnych zastrzyków. Tylko badanie. Nie wściekaj się.
– Nie będę się wściekać, jak nie będzie żadnych igieł. – Wyciągnęła rękę w patetyczny sposób zupełnie niepasujący do jej wieku. – Umowa stoi?

Mike na wpół się odwrócił i z całą powagą uścisnęli sobie dłonie.

– Stoi.

– Nie wierzę ci – mruknęła.

– Czy kiedykolwiek złamałem daną obietnicę?

- Nie – przyznała. – Ale zawsze może być ten pierwszy raz.
- Cieszę się, że masz do mnie takie zaufanie – odparował.

W drodze do gabinetu usta Kat pozostały mocno zaciśnięte. Na miejscu, kiedy doktor Obuchi badała jej odruchy, przesuwała się w tył i w przód na kozetce wyłożonej marszczącym się papierem.

Lekarka skończyła badanie i przejrzała kartę Kat.

– Och! Nie dostała drugiej szczepionki MMR, bo Annabel chciała, żebym rozłożyła zastrzyki w czasie. – Pociągnęła dziewczynkę za lok blyszczących ciemnych włosów. – Musimy to nadrobić.

Przetrzęsnęła szufladę, szukając fiołki i strzykawki.

Kat wybałuszyła oczy. Jej ciało zeszywniało na kozetce, posłała ojcu błagalne spojrzenie.

– Tato, obiecałeś.

– Woli wcześniej przygotować się do zastrzyku – bąknął Mike. – Psychicznie. Potrzebuje trochę więcej czasu. Może wrócimy za kilka dni, jeszcze w tym tygodniu?

– Jest wrzesień. Zaczęła się szkoła. Domyślasz się, jak wygląda mój dzień. – Doktor Obuchi zauważyła piorunujące spojrzenie Kat. – No cóż – mruknęła – może znajdę okienko w piątek rano.

Mike zacisnął zęby, sfrustrowany. Kat bacznie go obserwowała. Położył ręce na jej chudych kolanach.

– Kochanie, w piątek przez cały dzień mam spotkanie za spotkaniem, a mama wykłady. To mój najgorszy dzień. Zróbmy zastrzyk teraz i mijmy to za sobą.

Kat się zarumieniła.

– To tylko ukłucie – zapewniła ją doktor Obuchi. – Nawet nie zauważysz.

Dziewczynka oderwała wzrok od ojca i zagapiła się w ścianę. Jej oddech przyspieszył, a wyciągnięte ramię stało się prawie tak białe jak lateksowa rękawiczka, która je ścisnęła. Doktor Obuchi przetarła biceps Kat spirytusem i przygotowała igłę.

Mike obserwował córkę z rosnącym zakłopotaniem. Nadal nie odrywała wzroku od ściany.

Kiedy kobieta zaczęła opuszczać koniuszek igły, Mike wyciągnął

rękę i łagodnie jej przerwał.

– Umówmy się jednak na piątek – poprosił.

■ ■ ■

Jechał, żując juicy fruit i powstrzymując się przed kolejnym, czwartym tego ranka telefonem do banku. Kiedy podjeżdżali pod szkołę, opuścił okno i wypluł gumę pod wiatr.

– Tato!

– Co takiego?

– To nie było dobre dla środowiska.

– Bo bielik amerykański złapie ją w locie i się udławi?

Dziewczynka rzuciła mu gniewne spojrzenie.

– No dobrze, już dobrze – stwierdził. – Nie będę więcej wypluwał gum przez okno.

– Śnieżka, ostatni żyjący niedźwiedź polarny, bardzo ci za to dziękuje. – Zatrzymał się przed szkołą, ale Kat nadal tkwiła na tylnym siedzeniu, obracając w palcach bezprzewodowe słuchawki, które leżały na jej podolku. – Dostajesz jakąś nagrodę za te ekologiczne domy, prawda? – spytała w końcu. – Od gubernatora?

– Tak, docenili moją pracę.

– Wiem, że dbasz o przyrodę i takie tam, ale aż tak bardzo cię to nie interesuje, prawda? Więc dlaczego zbudowałeś te wszystkie zielone domy?

– Naprawdę nie wiesz?

Ustawił wsteczne lusterko, żeby dokładniej widzieć w nim twarz córki.

Pokręciła głową.

– Dla ciebie – odparł.

Lekko otworzyła usta, a później odwróciła wzrok, uśmiechając się pod noskiem. Pospiesznie przesunęła się do przeciwnych drzwi i wysiadła; nawet gdy była w połowie placu zabaw, Mike widział na jej twarzy rumieniec radości.

Mimo wiatru pozostawił opuszczone okno i przypatrywał się otoczeniu. Kilkoro nauczycieli nadzorowało podwórze. Rodzice gromadzili się pomiędzy zaparkowanymi samochodami, ustalali daty wspólnych

zabaw i kto kiedy podwiezie czyje dziecko, planowali wycieczki edukacyjne. Uczniowie wydawali okrzyki radości, biegali albo siłowali się na trawie.

To właśnie było życie, o jakim Mike zawsze marzył. Jeszcze niedawno nie wierzył, że mógłby je wieść. A jednak, wbrew wszystkiemu, nieoczekiwanie stało się jego udziałem.

Wybrał numer i podniósł do ucha telefon. Dyrektor wydał mu się nieco zniecierpliwiony.

– Tak, panie Wingate. Właśnie miałem do pana dzwonić – powiedział. – Cieszę się, że mogę pana o tym poinformować, przed chwilą dotarł przelew.

Na moment Mike oniemiał. Trzymając w dłoni mokrą od potu słuchawkę, spytał o kwotę i poprosił dyrektora, żeby powtórzył, ot tak, dla pewności.

– Więc pożyczka została spłacona, tak? – dodał, chociaż wiedział, że właśnie otrzymał sumę wystarczającą na pięciokrotne pokrycie kredytu. – W pełni spłacona?

Usłyszał w głosie mężczyzny nutę rozbawienia.

– Wobec nas jest pan całkowicie rozliczony, panie Wingate.

Poczuł ucisk w gardle, więc szybko podziękował i się rozłączył. Zakrył twarz dłonią i przez moment tylko oddychał. Bał się, że się rozklei, tutaj, na środku parkingu przed podstawówką w Lost Hills. To tylko pieniądze, tak, pewnie, że tak, ale chodziło o coś więcej, o dużo więcej – ulgę, dumę i świadomość, że podjął ryzyko i poświęcił projektowi niemal cztery lata, a jego wysiłek się opłaci. Żona i córka już nigdy nie będą musiały martwić się o dach nad głową, jedzenie w lodówce i zaległe rachunki za studia, które do tej pory leżały na biurku, wsunięte pod podkładkę.

Po drugiej stronie placu zabaw Kat – którą widział przez płot z drucianej siatki – wspięła się na szczyt rury strażackiej i uderzyła pięścią w górną belkę. Na ten widok poczuł ucisk w sercu. Ten jej bezpieczny mały świat, złożony z dziecięcych wyzwania, otwartych horyzontów i bezgranicznej miłości.

Choć był już spóźniony do pracy, jeszcze przez jakiś czas siedział i

obserwował bawiącą się córkę.

3

Pracownicy zebrali się wokół wielkiego pick-upa Mike'a, gdy tylko zatrzymał się na placu budowy.

- Fiu, fiu! No, no, no!
- Szef ma nowy wózek.
- Ile to maleństwo kosztowało?

Mike wysiadł, ignorując ich pytania, bo tylko w ten sposób potrafił ukryć skrepowanie. Nie przywykł jeszcze do funkcji szefa i tęsknił za swobodnym koleżeństwem, które łączyło go z tymi facetami kiedyś, w czasach gdy razem pracowali.

- Nie tak dużo, jak myślicie.

Jimmy oparł się o maskę obiema dłońmi, chociaż w jednej trzymał śrubokręt.

– Uważaj na lakier – wyrwało się Mike'owi i natychmiast pożałował, że w ogóle otworzył usta.

Jimmy uniósł ręce, jakby ktoś celował do niego z broni. Pozostali mężczyźni się roześmiali.

– Dobra już, dobra – mruknął Mike. – Zasłużyłem sobie. Gdzie Andrés?

Jego drażliwy brygadzysta podchodził powoli, noga za nogą, mieszając stalową rurką w naczyniu z tykwy. Wewnątrz była yerba mate, a rurka, zwana *bombilla*, miała dziurki i zatrzymywała fusy. Andrés bez plucia mógł sączyć cierpki napar przez cały dzień.

Teraz przegonił robotników.

- Hej, na co czekacie? – warknął. – Mogliście się objąć, póki nie

było szefa.

Mężczyźni rozproszyli się, a Andrés postawił tykwę z mate na zderzaku pick-upa.

– Ech – westchnął obojętnie.

– Co takiego?

– Dziś jest Narodowy Dzień Pirackiej Mowy. Co za kraj. Wszystkie te wasze święta. Dzień „zabierz dzieciaka do pracy”. Dzień Martina Juthera Kinga.

Przybyły z Urugwaju Andrés jakiś czas temu wystąpił o amerykańskie obywatelstwo i od tamtej chwili stał się chodzącą skarbnicą wiedzy na temat amerykańskich dziwactw.

– Podobno nazywali go Martin Luther King – wtrącił Mike.

– Tak powiedziałem, chłopie.

Skierowali się na wzniesienie w samym sercu nowego osiedla. Czterdzieści domów zbudowano wokół dużego parkowego trawnika w zagłębieniu kanionu; domy ciągnęły się na obu stokach, a wraz z wysokością rosła cena działki. Na pierwszy rzut oka budynki wyglądały zwyczajnie, dało się jednak zauważyć rowy wykopane w poprzek spadku terenu, które miały spowolnić spływ wody. Na dachach były ogniwa fotowoltaiczne; posadzone rośliny dostarczały tlen, a rury kanalizacyjne wykonano z witrafikowanej gliny – zamiast z niedegradowalnego polichlorku winylu, który przepuszcza toksyny. Mimo to osiedle z trudem otrzymało upragniony certyfikat LEED dla „Liderów ekologii, zużycia energii i ochrony środowiska”. Na szczęście się udało i teraz praca była niemal ukończona – pozostało jedynie kilka kwestii elektrycznych, wykończeniowych i parę kosmetycznych ozdobników.

Dotarli na wzniesienie i zeszli do parku. Tę część Green Valley Mike lubił najbardziej. Leżała pośrodku kanionu, w miejscu widocznym z kuchennych okien; rodzice będą mogli obserwować bawiące się dzieci. Można by tu postawić domy, a jednak Mike nie mógł się zmusić do zabudowania terenu.

Kierowali się do niezasypanego otworu na skraju parku, gdzie lada chwila powinny zostać wylane fundamenty.

– Na co czekamy? – spytał Mike.

– Ten głupi ekologiczny beton wiąże się dłużej – mruknął Andrés. – Ale wiesz, mój stuknięty szef nie pozwala mi wylewać normalnego.

Tak zazwyczaj rozmawiali – jak stare małżeństwo, rozgoryczone i stale rozdrażnione. A jednak bezwarunkowo sobie ufali i wspierali się w każdej sytuacji.

– Certyfikat LEED narzuca duże ograniczenia. – Mike się skrzywił. – Nie mamy pola manewru. – Przesunął ręką po twarzy. – Jezu, kto wiedział, że to będzie takie upierdliwe?

Andrés wciągnął kolejny łyk mate przez *bombillę*.

– Co budujemy po tych domach?

– Może dla odmiany kopalnię węgla.

Andrés zachichotał, po czym wcisnął stalową rurkę głębiej w tykwę.

– Mówię ci, gdybyśmy dali sobie spokój z tą ekologią, moglibyśmy zarobić o dwadzieścia procent więcej. A wtedy wszyscy byśmy jeździli nowymi pick-upami.

Kiedy dotarli do otworu, Jimmy pomachał im i zaczął się przymierzając do wylewania betonu. Andrés pospiesznie uniósł rękę a *bombilla* wyskoczyła z tykwy i wylądowała w dole. Popatrzył za nią z marsową miną, sugerującą, że to kolejne tego dnia rozczarowanie.

– Zapomnij o niej. Kupię ci nową.

Wpatrując się w cienką jak trzcina stalową rurkę wbity w ziemię, Mike usłyszał w głowie głos córki szczebioczącej o czasie potrzebnym na rozkład metali i innych śmieci. Poczuł irytujące wyrzuty sumienia.

Jimmy już miał wylewać beton, kiedy Mike krzyknął do niego i wskazał słówkę. Jimmy przewrócił oczami i odszedł na papierosa, a Mike wskoczył do dołu. Miał około półtora metra głębokości; jego ściany były pionowe. Pogłębiali go wcześniej dla rur gazowych. Kiedy Mike kucnął, żeby podnieść *bombillę* Andrésa, dostrzegł kolanko rury wystające ze ścianki rowu ziemnego. Główny przewód wodociągowy.

Aż go zmroziło i ścisnął mu się żołądek.

Metalowa rurka wypadła mu z ręki.

Uderzył go smród omszałej, wilgotnej ziemi i korzeni. Duszny, dławiący.

Najpierw pomyślał, że może się pomylił, ale potem obmacał kruszącą

się ziemię i zamiast szoku pojawił się zwykły strach.

Rura nie była zrobiona z przyjaznej dla środowiska, ekologicznej witrafikowanej gliny, za którą Mike zapłacił fortunę.

To było zwykłe PCW!

■ ■ ■

– Ile tego użyto?

Mike stał na krawędzi dołu z Andrésem, tłumiąc głos paniki. Pozostałych robotników odesłał.

– Nie wiem – odparł Andrés.

– Ściągnij tu furgonetkę – polecił Mike. – Chcę wprowadzić kamerę w instalację kanalizacyjną i magistralę spływową.

– Dzienna taryfa za furgonetkę...

– Nie obchodzi mnie to!

Mike złapał łopatę z pobliskiego kopca ozdobnych kamieni, wskoczył do dołu i zaczął uderzać w ścianę. Nadal miał ciało robotnika budowlanego – umięśnione przedramiona, mocne ręce, barczyste plecy, na których opinał się każdy podkoszulek – zrobił imponujący postęp, ale ubita ziemia nie ustępowała pod łopatą tak łatwo jak jeszcze kilka lat temu. Andrés zadzwonił po furgonetkę, a później stanął z ramionami założonymi na piersi i zagryzając policzek, przyglądał się pracy szefa. Spowodowane wysiłkiem chrząknięcia Mike'a niosły się po okolicy.

Po kilku chwilach Andrés podniósł drugą łopatę i dołączył do szefa w rowie.

■ ■ ■

Furgonetka hydrauliczna stała pośrodku ulicy na jałowym biegu, wijący się przewód z kamerą wychodził z otwartych tylnych drzwi wozu i sięgał dołu w ziemi. Wszyscy robotnicy poza Jimmym zostali odesłani do domów. Osiedle tonęło w ciszy i bezruchu, czasem tylko przeleciał ptak. Szeregi błyszczących nowych domów pod późnoporannym słońcem przypominały atrapę miasta oczekującego na próbny wybuch bomby atomowej.

Mike i Andrés siedzieli w furgonetce, wciśnięci obok bębna do nawijania przewodu; ubrania mieli ubłocone, na twarzach smugi ziemi. Na

małym czarno-białym ekranie obserwowali przekaz na żywo – ziarnisty, endoskopowy widok czarnej rury. Obok ich głów bęben obracał się z cichym szumem, a kamera kontynuowała podziemną wędrówkę i przekazywała obraz tak spójny, że wydawał się wielokrotnie powieloną jedną fotografią. A jednak nie, metr po metrze rury z polichloru winylu ciągnęły się pod zboczem wzgórza, pod uliczkami, pod betonowymi płytami domów.

Na twarzach mężczyzn odbijało się migoczące światło z ekranu. Obaj mieli tak samo ponure miny.

Jimmy, którego ciemna skóra lśniła od potu, wygramolił się z dziury w ziemi i zajrzał do furgonetki.

– Skończyliśmy? – spytał.

Mike kiwnął głową, patrząc gdzieś w dal. Pytanie dotarło do niego jakby zza ściany.

– Dzięki, Jimmy – zmusił się do odpowiedzi. – Możesz już iść.

Jimmy wzruszył ramionami i odszedł. Chwilę później rozległ się znajomy warkot silnika jego auta, starej półciężarówki szefa. Mike i Andrés przez moment słuchali odjeżdżającego z kłopotem pojazdu.

– PCW jest najgorsze ze wszystkiego. – Kiedy Mike w końcu przemówił, głos mu się łamał ze zmartwienia. – Chemikalia przenikają do gleby. Całe to gówno się przemieszcza. Później można je znaleźć w tłuszczu wielorybim. I w mleku eskimoskich kobiet, kurwa mać!

Andrés odchylił się do tyłu i oparł głowę o bok furgonetki.

– Ile to by kosztowało? – spytał Mike.

– Żartujesz, co?

– Ile by kosztowało zastąpienie PCW ceramiką?

– Przecież te rury są nie tylko pod ulicami. Są też pod fundamentami. Pod domami!

– Wiem, gdzie kładliśmy rury!

Andrés cmoknął z niezadowolenia i zagapił się gdzieś przed siebie.

Mike poczuł tępy ból w szczękę i zdał sobie sprawę, jak mocno zaciskał zęby. Kopanie pod budynkami byłoby koszmarem. Wiele rodzin sprzedawało już swoje stare domy, by zamieszkać tutaj. Byli to średniozamożni ludzie bez funduszy na wynajęcie lokalu albo długi pobyt w

hotelu. Do diabła, właśnie to było ważne w całym przedsięwzięciu – budowa osiedla miała pomóc takim rodzinom w zdobyciu ładnych i zdrowych domów. Wiele nieruchomości sprzedał nie tym, którzy chcieli zapłacić więcej, ale potrzebującym – samotnym matkom, robotnikom, rodzinom, które pragnęły przestrzeni.

– Jak to możliwe, że tego nie zauważyłeś? – jęknął.

– Ja? – obruszył się Andrés. – Ty wybrałeś podwykonawcę. Vica Manhana. Facet przywiózł tu ze trzydziestu pracowników, którzy położyli rury w przerwie świątecznej. Pamiętasz? Byłeś zachwycony.

Mike zagapił się na swojego forda ze złością i oburzeniem. Pick-up kosztował pięćdziesiąt pięć tysięcy dolarów...

Co ja sobie, do cholery, wyobrażałem? – pomyślał. Czy dealer przyjmie go z powrotem?

Jego gniew rósł i Mike czuł, że lada chwila wpadnie w szal.

– Masz numer Manhana? – spytał.

Andrés sprawdził kontakty w telefonie, kliknął „Połącz” i wręczył komórkę szefowi.

Mike przesunął brudną ręką po spoconych włosach. Próbował uspokoić oddech.

– Oby ten dupek miał porządną polisę ubezpieczeniową. Gównie obchodzi, jakie będą koszty. Wytoczę mu tyle procesów, ile zdołam...

– *Wybrany numer jest nieaktualny. Jeśli uważasz, że zaszła pomyłka...*

Serce szaleńczo załomotało Mike'owi w piersi.

Rozłączył się i wrócił do menu. Tym razem wybrał numer komórki Manhana.

– *Abonent sieci Nextel, z którym próbujesz się połączyć, nie jest już...*

Mike cisnął telefonem obok furgonetki. Andrés popatrzył na niego bez słowa, a potem pochylił się powoli, podniósł komórkę i przyglądał się ekranowi, niepewny, czy telefon wciąż działa.

Przez chwilę Mike ciężko oddychał.

– Sam sprawdziłem jego pieprzoną licencję.

– To lepiej sprawdź jeszcze raz – powiedział Andrés.

Czując, jak przepocona koszula klei mu się do ciała, Mike odbył szereg rozmów telefonicznych. Każdy nowo zdobyty numer zapisywał na tyle jakiejś koperty. Sprawa szybko się wyjaśniła. Vic Manhan rzeczywiście zdobył kiedyś licencję na usługi, które mu wyświadczył, ale straciła ona ważność pięć miesięcy temu, krótko po tym, jak Manhan zakończył pracę dla Mike'a. Ubezpieczenia od odpowiedzialności cywilnej też nie przedłużył, więc kiedy kładł rury z PCW, w ogóle nie miał żadnej polisy. Dokumenty od ubezpieczyciela, które okazał wtedy Mike'owi, były sfalszowane. Co oznaczało – wedle wszelkiego prawdopodobieństwa – że nie było żadnych pieniędzy na pokrycie szkód.

Po raz pierwszy od długiego czasu Mike miał ochotę dopuścić się przemocy, niemal poczuł, jak pięść trafia na nos, i pomyślał: Jak szybko wracamy do starych przyzwyczajzeń. Opuścił tylko głowę, chwycił się za włosy i zacisnął dłonie, aż zaboląło. Sapnął ciężko i własny gorący oddech uderzył go w policzki.

– Nie możesz być aż tak zaskoczony – mruknął Andrés. – Że znalazłeś te rury PCW.

– Co ty wygadujesz? Jasne, że jestem zaskoczony.

– Daj spokój. Rury ceramiczne są cięższe niż żelazne. Ich wykonanie jest droższe, transport jest droższy, trudniej je zainstalować. Czemu twoim zdaniem oferta Manhana była o trzydzieści procent tańsza niż każda inna? – Andrés zmarszczył śniade czoło. – Może nie chciałeś wiedzieć.

Mike nie odpowiedział, spuścił tylko wzrok i patrzył na swoje brudne ręce.

– Do tych domów ma się wprowadzić czterdzieści rodzin – kontynuował Andrés. – Wszystkie w tym tygodniu. Nawet gdybyś chciał wydać wszystkie pieniądze na wymianę tych rur, jak to sobie wyobrazasz? Wezmiesz wiertarkę udarową i zryjesz te budynki, jeden po drugim? Te ulice?

– Tak.

Andrés uniósł brew.

– Żeby zastąpić jeden komplet rur innym?

– Podpisałem zobowiązania, kontrakty – upierał się Mike. – Zapewniałem, że rury są ceramiczne, a nie z PCW. Gwarantowałem własnym nazwiskiem.

– Nie zrobiłeś nic złego. To ten facet nas wyrolował.

– Ale te domy zostały zbudowane na kłamstwie – odparł Mike ochryple.

Andrés ze znużeniem wzruszył ramionami, po czym z jękiem wysiadł z furgonetki. Chwilę później Mike podążył za nim, mięśnie miał napięte i obolałe.

Stanęli naprzeciwko siebie pośrodku ulicy, mrugając pod wpływem światła niczym noworodki. Kanion rozciągał się przed nimi, piękny, stromy, porośnięty bylicą. Powietrze, rześkie i ostre, pachniało eukaliptusem. Zieleń dachów współgrała z odcieniem górskich sumaków na zboczach, a kiedy Mike zmrużył oczy, cała roślinność zlała mu się w jedno.

– Nikt się nie dowie – kusił Andrés.

Skinął głową, raz, jak gdyby dla potwierdzenia, i ruszył do swojego samochodu.

– Ja będę wiedział – odburknął Mike.

4

Mike siedział w sypialni na płycie kominka. Plecami oparł się o ścianę i bił się z myślami, patrząc na bezprzewodowy telefon, który ułożył sobie na kolanach. W końcu wystukał znajomy numer.

– Hank Danville, prywatny detektyw – odezwał się mocny, chropawy głos starszego mężczyzny.

– Mówi Mike. Mike Wingate.

– Nie wiem, co jeszcze mogę ci powiedzieć. Obiecałem, że zadzwonię, jak tylko czegoś się dowiem, ale nie wiem, gdzie jeszcze miałbym szukać...

– Nie, chodzi o coś nowego. Jest jeden facet, którego muszę wytropić.

– Mam nadzieję, że tym razem to sprawa, w której zdołam zrobić jakieś postępy – burknął detektyw.

– To przedsiębiorca budowlany, podwykonawca, który mnie oszukał. – Mike szybko streścił całą historię. Słyszał w słuchawce oddech notującego Hanka. – Muszę wiedzieć, gdzie jest. Jeśli powiem, że to pilne, to będzie wielkie niedopowiedzenie.

– Ile zainwestowałeś? – spytał Hank.

Mike wymienił sumę.

Hank gwizdnął.

– Zobaczę, co da się zrobić – odparł i się rozłączył.

Mike przywykł do poszukiwania informacji, których raczej nie chciał znać, ale to wcale nie ułatwiało mu czekania. Wszedł pod prysznic i oparł się o kafelki. Puścił strumień gorącej wody i próbował zmyć z

siebie napięciem. Kiedy się wycierał, zadzwonił telefon. Owinął się ręcznikiem, odebrał, usiadł na łóżku i przygotował się na złe nowiny.

– Ostatnio Vica Manhana widziano na wyspie Saint Croix – oznajmił Hank. – Dwa miesiące temu próbował zapłacić czekiem bez pokrycia. Bóg jeden wie, gdzie jest teraz. Żona go zostawiła, facet ma za sobą kosztowny rozwód. To w sumie wszystko, co odkryłem. Pewnie tę robotę dla ciebie zaplanował sobie jako ostatnie zlecenie, a potem wziął forszę i zwiął. Nie wiem, jak spreparował dokumenty ubezpieczeniowe i sfalszował bazy danych, ale kiedy dla ciebie pracował, nie miał żadnej polisy!

Mike zamknął oczy. Odetchnął ciężko.

– Nie potrafisz ustalić, gdzie jest teraz?

– Ucieka przed policją i przed prawnikami żony. Pewnie prysnął na Haiti. Nie da się go znaleźć.

– Daj spokój. – W głosie Mike'a była gorycz. – Przecież to nie żaden Jason Bourne.

– Możesz zatrudnić kogoś innego, niech spróbuje. Sądziłem, że jak na piętnaście minut poszukiwań sprawiłem się całkiem niezłe.

– To kolejna ślepa uliczka, Hank. Najwyraźniej stale w nich kończymy.

– Och, znowu do tego wracamy? – W głosie detektywa zabrzmiało oburzenie. – Gdy po raz pierwszy do mnie przyszedłeś, powiedziałem ci, że prawdopodobnie prosisz o niemożliwe. Nigdy nie obiecywałem ci wyników.

– Nie, na pewno nie.

– Prawda może ci nie odpowiadać, ale nie podważaj moich kompetencji, bo jestem na to za stary. Przyjdź do biura i zabierz swoje papiery. Już dla ciebie nie pracuję.

Mike wciąż trzymał telefon przy uchu, aż z zadumy wyrwał go ciągły sygnał. Poczul żal i wyrzuty sumienia. Zachował się jak dupek, szukający kogoś, żeby go obwinąć, a Hankowi był raczej winien podziękowania i przeprosiny. Zanim zdążył ponownie wybrać numer, usłyszał, że drzwi do garażu się otwierają. Annabel przeszła przez kuchnię. Ledwie Mike rzucił telefon na łóżko, zjawiła się w sypialni z garniturem prze-

wieszonym przez ramię.

– Wybacz spóźnienie. Facet źle wyprasował spodnie, wyglądały jak dockersy. Chodź tutaj. Łap koszulę. Włóż ją. – Przesuwała zegarek na nadgarstku, aż tarcza stała się widoczna. – Nadal możemy zdążyć na czas.

Sesja zdjęciowa, przypomniał sobie Mike, no tak.

Wypełniał polecenia Annabel, jak gdyby działał na autopilocie. Nie mógł wymyślić, jak ją zatrzymać i opowiedzieć o wszystkim, co się zdarzyło.

Kręciła się wokół niego, obciągając klapy, prostując rękawy.

– Nie, nie ten krawat. Coś ciemniejszego.

– Kiedyś sam wybierałem krawaty – mruknął. – Od kiedy stałem się taki bezyteczny?

– Zawsze byłeś bezyteczny, kochany. Tyle że nie było mnie w pobliżu, więc nie mogłam ci tego wytknąć. – Stała na czubkach palców i pocałowała go lekko w policzek. – Wyglądasz wprost niewiarygodnie – dodała. – Gubernator będzie pod wrażeniem. Może cię nawet podrywać. Może wybuchnie skandal. – Odeszła o krok i oceniła jego wygląd. – Nie ma porównania z marynarką w kratę.

– W kwadraty – poprawił ją Mike słabym głosem. – Słuchaj...

– Boże! – Dostrzegła jego roboczy strój, który rzucił na podłogę w łazience. – Co robiłeś, czołgałeś się w kanale ściekowym?

Podeszła i podniosła brudne ubrania. Z kieszeni dżinsów wypadło małe brązowe pudełko, podskoczyło na linoleum, otworzyło się i ujawniło pierścionek z dwukaratowym brylantem – Mike wybrał go u jubilera po odwiezieniu Kat do szkoły. Całkiem o nim zapomniał.

Annabel podniosła rękę do ust. Kucnęła w nabożnym skupieniu i wyjęła pierścionek. W jej oczach zamigotały łzy.

– Więc dobiłeś targu! – Roześmiała się, podbiegła i objęła Mike'a. – Mówiłam ci, że wszystko się uda. A pierścionek? Nie do wiary!

Wsunęła go na palec prawej dłoni, po czym rozczapierzyła palce, żeby podziwiać kamień. Zachwyty na jej twarzy był tak absolutny, że na samą myśl o zepsuciu tej chwili Mike poczuł ucisk w gardle i odebrało mu dech.

Łagodnie położył ręce na jej ramionach. Miała takie delikatne kości, wydawały się bardzo kruche.

Annabel podniosła głowę i spojrzała na niego uważniej.

– Co się stało? – spytała.

Przez chwilę się nie ruszał – facet w małej garderobie, ubrany w marynarkę i koszulę, ale bez spodni.

– Rury kanalizacyjne... Pamiętasz rury?

– No tak, ceramiczne, z witrafikowanej gliny. Kosztowały kupę forsy. Pewnie, że pamiętam.

– Podwykonawca nas oszukał, a potem zwał. Dzisiaj się dowiedziałem. Wszystkie rury widoczne na powierzchni są ceramiczne. Dlatego ludzie z kontroli zaakceptowali projekt. – Obliznął wargi. – Ale wszystkie rury zakopane pod ziemią są z PCW, z polichloru winylu.

Na twarzy Annabel natychmiast pojawił się błysk zrozumienia.

– Ile...? Ile trzeba wydać, żeby to naprawić?

– Więcej niż możemy zdobyć.

Annabel zrobiła krok w tył i usiadła na łóżku. Splotła dłonie i przyglądała się okazałemu brylantowi, który lśnił nawet w słabym świetle sypialni. Przez chwilę oboje tylko oddychali w milczeniu.

– I tak kocham mój stary pierścionek – powiedziała w końcu. – Miałam go, kiedy mnie poślubiłeś.

Kolejne ułucie w piersi i Mike, chociaż miał tylko trzydzieści pięć lat, poczuł się nagle dużo, dużo starszy.

– Jesteśmy tylko ty i ja – ciągnęła. – I Kat. Nie potrzebujemy więcej pieniędzy. Mogę skończyć studia później, a teraz znajdę sobie pracę. Tylko na jakiś czas. Znajdziemy oszczędności w budżecie. Kat nie musi chodzić na te kosztowne zajęcia po szkole. Zamieszkamy w bloku. Nie dbam o takie sprawy.

Mike powoli założył spodnie, nogi miał dziwnie ciężkie i zdrętwiałe, jakby bez czucia. Jak gdyby nie należały do niego.

Nie potrafił spojrzeć Annabel w oczy, bo bał się emocji, jakie wywoła jej spojrzenie.

– Zawsze byłeś uczciwy – dodała. Zdjęła pierścionek z dwukarutowym kamieniem, położyła go na kołdrze i zmusiła się do uśmiechu. –

Napraw ten problem. Zrób wszystko, co trzeba.

■ ■ ■

Apartament w hotelu Beverly Hills był największym, jaki Mike w życiu widział. Bill Garner siedział przy antycznym sekretarzyku i rozmyślał w skórzanym fotelu, który wydawał się zaprojektowany właśnie na takie chwile zadumy. Mężczyzna studiował wydruk komputerowy, przedstawiający rurę PCW wystającą z rowu.

Przez otwarte drzwi do salonu dobiegały odgłosy śmiechu, fragmenty rozmów; od czasu do czasu migały tam błyski flesza. Laureaci nagrody „liderów społeczności” pstrykali sobie zdjęcia, żeby promować się w mediach przed oficjalną ceremonią. Mike przybył jako przedostatni – przed gubernatorem, który, sądząc po chórze hałaśliwych pozdrowień, właśnie nadszedł swoim typowym krokiem.

Garner wstał, przeszedł przez pokój i wsunął głowę do sąsiedniego pomieszczenia.

– Wszystko gotowe? Okay, dajcie nam jeszcze minutkę. – Zamknął drzwi i znów usiadł przy sekretarzyku. Wyraz jego twarzy, gładkiej jak u nastolatka, nie zmienił się, nadal był uprzejmie optymistyczny, tak jak wcześniej, kiedy Mike wyjaśniał problem. W końcu mężczyzna splótł palce i spytał: – Zamierzasz zapłacić za wymianę?

– Jestem na to przygotowany.
– Te rury z PCW. Dokąd twoim zdaniem trafią, jak je wykopiesz?
– Nie zastanawiałem się nad tym – wyznał Mike.
– Przypuszczam, że na wysypisko. Więc chcesz wygrzebać rury z ziemi, żeby rzucić je na ziemię w innym miejscu? I użyjesz do tego celu maszyny, która pożera mnóstwo benzyny? – Uśmiechnął się życzliwie. – Brzmi to trochę głupawo, nie sądzisz?

Mike nagle przypomniał sobie cenę swojego nowego garnituru.

– Owszem. Ale tak byłoby uczciwie.
– Domy, które zbudowałeś, są ekologiczne w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach. Masz powody do dumy.

Mike przez moment przypatrywał się rozmówcy, próbując zinterpretować wyraz jego twarzy.

– Nie mam takiego wrażenia. – Przesunął się w luksusowym fotelu.

Nie czuł się zbyt komfortowo w wyjściowym stroju. – Nie jestem pewny, czy nadążam za naszą rozmową.

– Gubernator uwierzył w ten projekt, Mike. Wiesz, jak wielką wagę zawsze przywiązywał do spraw środowiska. Twoje osiedle z naszym pilotażowym programem subwencji pokazuje, że „zielony model” może się sprawdzić nie tylko dla bogatych dupków, ale też zwykłych ludzi pracy. Green Valley jest dzieckiem naszego gubernatora. Od miesięcy gawędzi o tym projekcie z prasą.

– Rozumiem, że sytuacja jest kłopotliwa – jęknął Mike. – Przykro mi.

– Te subwencje to nowość, rzecz w najlepszym razie niepewna. Gubernator jest pod ostrzałem krytyki ze wszystkich stron. Jeśli nie pokażemy społeczeństwu korzyści z tego rodzaju energii, wkrótce cofną nam dotacje. Masz świadomość, że wybory są już za miesiąc? Gubernator przedstawił wiele inicjatyw społecznych, dla wielu naprawdę nadstawił karku. Właśnie dlatego zaplanowaliśmy na niedzielę spotkanie z prasą, sesję fotograficzną i ceremonię wręczenia nagród. – Wydał wargi. – Ile czasu zajęłaby ci wymiana tych rur?

Pod wpływem stresu Mike'a rozboleł żołądek, a później poczuł grude w gardle.

– Kilka miesięcy.

– A twoja nagroda dla wybitnego członka społeczności...

– Oczywiście musicie ją cofnąć.

– Widzisz – odparł Garner – w tym problem. Brak uroczystości oznacza brak prasy. Brak prasy to brak wsparcia obywatelskiego. A brak wsparcia to zero stanowych dotacji dla osób, które kupiły te domy.

Mike'owi zaschło w ustach.

– Jak duże są subwencje? – kontynuował Garner. – Trzysta tysięcy na rodzinę?

– Dwieście siedemdziesiąt pięć – jęknął Mike cicho.

– I chodzi o przedstawicieli klasy średniej. Takie rodziny miały tam zamieszkać. A teraz zamierzasz powiedzieć tym ludziom, że nie tylko przez kilka miesięcy nie mogą się wprowadzić do swoich nowych domów, ale w dodatku nie otrzymają bezzwrotnych pożyczek, na których

opierali swoje plany finansowe? – Uśmiechnął się ze smutkiem. – Że będą musieli zdobyć jeszcze trzysta tysięcy? A może i te straty chciałbyś pokryć osobiście?

Mike przełknął ślinę, żeby zwilżyć suche gardło.

– Nigdy nie zdobędę takiej kwoty.

– Więc jesteś pewny, że chcesz obciążyć tymi kosztami rodziny?

Po raz pierwszy Mike nie miał gotowej odpowiedzi.

Garner dotknął fotografii wypielęgnowanym palcem i przesunął ją powoli po blacie sekretarzyka.

Mike wpatrywał się w zdjęcie.

Rozległo się niecierpliwe stukanie do drzwi i do pokoju zajrzał młody asystent.

– Potrzebujemy go – powiedział. – Fotograf się niepokoi, a ja muszę odwieźć gubernatora na samolot do Sacramento.

Za nim Mike widział gubernatora, który opowiadał dowcip z austriacką intonacją: mówił twardo i akcentował samogłoski. Garner podniósł palec. Asystent westchnął, oznajmił: „Macie trzydzieści sekund”, i się wycofał.

Dwaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem, a ciszę przerywały jedynie tykanie antycznego zegara i stłumione rozmowy dochodzące z salonu.

– No i co powiesz? – Garner pochylił się do przodu i oparł o blat. Rozcięcie w rękawie koszuli ukazało skórę. – Dla dobra tych czterdzieści rodzin... Myślisz, że dasz radę uśmiechnąć się do kilku kamer?

Wskazał palcem ku drzwiom, a złota spinka od mankietu błysnęła.

■ ■ ■

Mike klęczał, wpatrując się w migoczący ogień. Bijąca z kominka pomarańczowa łuna oświetlała jego twarz, a także dywan i białą kołdrę na łóżku. Rękę zaciskał na zdjęciu kolanka z PCW. Uderzyła go absurdalna myśl, że bezwiednie przybrał postawę samuraja, który stracił twarz.

Annabel stanęła za nim i przyglądała mu się w milczeniu. Kat, na szczęście, była w swoim pokoju, za zamkniętymi drzwiami, pochłonięta pracą domową.

Annabel nie odezwała się ani razu, odkąd Mike przywłókł się do

domu, zdarł z siebie marynarkę i zajął miejsce na podłodze. Nie musiała pytać. Wiedziała, co się zdarzyło, więc spokojnie czekała, aż mąż przekaże jej szczegóły.

– Nie chcieli opóźnienia – jęknął. – Potrzebują prasy na ceremonii. Grozili, że zostaną cofnięte dotacje dla rodzin.

– W takim razie powinniśmy pokryć te koszty – oznajmiła Annabel.
– Ile tego będzie? Oprócz ceny za wymianę rur?

– Jedenaście milionów.

Usłyszał, że z zaskoczenia aż sapnęła.

– Więc... co zrobimy? – spytała.

Zamiast odpowiedzieć, wyciągnął rękę i wrzucił zdjęcie w płomień. Papier fotograficzny od razu zwinął się i poczerniał.

– W porządku – mruknęła. Jej głos był słaby, zawiedziony. – Wobec tego kupię sobie nową sukienkę.

Drzwi łazienki zamknęły się za nią z trzaskiem. Mike wpatrywał się w ogień, dumając, jakie jeszcze konsekwencje pociągnie za sobą to kłamstwo.

5

Bulgoczący płacz niemowlęcia rozdarł nocne powietrze. Wydobywał się z koszyka na frontowej werandzie. Pleciona słoma kryła fałdy puszystego niebieskiego kocyka. Wokół trwał bezruch, tylko komary krążyły w żółtej smudze światła z werandy. Pachniało kwitnącym jaśminem, który wspinał się po treliazu. Połyskiwały zderzaki zaparkowanych na ulicy terenówek. Co trzeci dom był w przebudowie, a kontenery na gruz mówiły o dostatku dzielnicy tyle samo, co dwuosobowe roadstery porsche drzemiące pod pokrowcami.

Przerywany płacz zmienił się w głośnie zawrodozenie. W końcu z budynku dobiegły odgłosy kroków, a później kliknięcie wyłączanego alarmu. Drzwi uchyliły się na szerokość łańcucha i w szczelinie pojawiła się zaspiana twarz. Kobieta spojrzała w dół i westchnęła gwałtownie. Zamknęła drzwi, odpięła łańcuch i wyszła na werandę. Była po pięćdziesiątce, lecz zadbana; otulona niebieskim płaszczem kąpielowym, którego poły ściągnęła przy szyi. Wyglądała na oszołomioną. Pospiesznie kucnęła i drżącymi rękami chwyciła koszyk.

Koc był niedbale narzucony. Kiedy szaleńczo, ale i łagodnie, szarpała za fałdy, płacz wcale nie cichł, wręcz przeciwnie – stał się głośniejszy; gdy wreszcie rozsunała ostatnią fałdę materiału, osłupiała.

To był dyktafon kasetowy.

Świeciło się czerwone światelko „Play”, a płacz dziecka dobywał się z maleńkich głośników.

Z ciemnego trawnika przed domem dobiegł szelest zwiędłych liści, a w świetle z werandy pojawił się masywny mężczyzna. Okryta ręką-

wiczką pięść rozmiaru hantli trafiła kobietę w twarz, gruchocząc jej oczodół i ciskając ją plecami w drzwi. Te otworzyły się tak mocno, że klamka wbiła się w gipsową ścianę wewnątrz domu.

Przez chwilę panował spokój. Nawet świerszcze zamilkły, strwożone.

Mężczyzna stanął na skraju werandy, wydychając powietrze, które z powodu zimna wydobywało się z jego ust w postaci obłoków pary; ramiona zwiesił. Sama jego postawa była niczym zniewaga dla cichej podmiejskiej ulicy. Jego prosta, zwyczajna twarz była dziwnie gładka, niemal pospolita, jak gdyby obciążnięto ją lateksem. W ręce trzymał czarny worek marynarski.

Rozległy się kolejne kroki stłumione na wilgotnym trawniku i światło ujawniło drugiego mężczyznę. Był chudy, przeciętnego wzrostu, lecz przy swoim kompanie wydawał się wręcz maleńki. Powłóczył nogami, bo jedną stopę miał nieznacznie skrzywioną do środka, przegub prawej dłoni był wykręcony pod osobliwym kątem. Kiedy zerwał czarne rękawiczki, jego ramiona lekko drżały, jakby z powodu jakiejś choroby.

Ellen Rogers chrząknęła na podłodze holu, tam, gdzie upadła. Jedno oko miała nieodwracalnie uszkodzone, kość policzka zmiażdżoną, widać było wgłębienie skryte pod obwisłą skórą. Jej nos pękł i wyglądał, jakby wzdłuż grzbietu biegł błyszczący czarny szew. Jedna noga leżała na kafłowej podłodze i poruszała się jak przy pływaniu. Oddychała płytko niczym zwierzę.

Mężczyźni weszli do domu, zamknęli za sobą drzwi i zapatrzili się na Ellen. Chudy, imieniem William, powiedział łagodnie:

– Wiem, kochanie, wiem. Dodge w każdy cios wkłada zbyt dużo siły. Przepraszam za buzię. Nie myśl, że takiego efektu chcieliśmy, na pewno nie bardziej niż ty.

Kobieta pisnęła, z jej ust na kafelki popłynęła krew.

Kiedy Dodge rzucił worek, rozległ się brzęk metalu. Mężczyzna wsunął sobie do ust dwa papierosy, przekrzywił głowę, zapalił oba tanią plastikową zapalniczką, którą wyjął z kieszeni koszuli, potem jednego papierosa podał towarzyszowi. William zaciągnął się, szczerząc żółte zęby, zamknął oczy i powoli wypuścił dym z rozchylnych ust.

– Panie Rogers! – zawołał w głąb domu. – Możemy zamienić słowo?

■ ■ ■

Tylko stłumione światło lampy od Tiffany'ego rozjaśniało ciemności. Butelkowo zielone ściany gabinetu skrywał mrok. Równie dobrze mogłoby ich w ogóle nie być. Ponad krawędzią biurka nagle rozjarzył się wygaszacz ekranu ze wskaźnikami giełdowymi.

Fotografia na stoliku pod ścianą pokazywała rodzinę sprzed kilku lat – byli na tarasie za domem, dumni rodzice pochyłali się nad rozpromienionymi nastolatkami, synem i córką, wszyscy się uśmiechali i mieli na sobie pastelowe koszulki polo. Gabinet urządzone w stylu żeglarskim – stał tu wypolerowany mosiężny kompas i teleskop w kolorze złota, antyczna lupa pełniła funkcję przycisku do papieru na pergaminowych kartkach oprawionego w skórę atlasu.

To musiał być gabinet mężczyzny, który uważa się za kapitana własnego losu.

Tyle że William i Dodge nie wybrali tego pokoju ze względu na wystrój.

Wybrali go, ponieważ był dźwiękoszczelny.

Ted Rogers usadził żonę na kanapie ze sztucznie postarzonej skóry. Wcześniej Dodge okrył mebel wielką plastikową plandeką. Teda cechowała delikatność stosowna u mężczyzny w jego wieku i odpowiednia do okoliczności. Miał nieduży brzuszek, okulary podkreślające okrągłą twarz i króciutko przyciętą siwobiałą brodę. Na jego twarzy widać było troskę i przerażenie. Kiedy William zaprosił go do gabinetu, Ted raz tylko zerknął na Dodge'a i natychmiast postanowił spełniać wszystkie polecenia.

Ellen drżała w ramionach męża, mamrocząc coś niezrozumiale. Głowa stale jej opadała, więc Ted starał się ją podtrzymywać pulchnymi ramionami.

– Boss Man jest niezadowolony. – William podrapał się powoli po niedogolonej szyi. – Twoje posunięcie okazuje się dla niego zbyt kosztowne.

Meble były przesiąknięte starym dymem z cygar, słodkim i błogim.

– Ja... proszę, przekażcie mu moje przeprosiny – bąknął Ted. – Rozumiem powagę...

William podniósł palec.

– Co powiedział ci Boss Man?

– Mogę zwrócić wszystko nawet jutro rano. Przysięgam.

– Co... powiedział ci... Boss... Man...?

Ted zrobił potężny wdech i jego pierś pod szlafrokiem wyraźnie się poruszyła.

– Że jeśli zawiodę jego zaufanie, zabije mnie.

William podniósł dłoń i zrobił nią okrężny ruch, który miał zachęcić Teda, aby mówił dalej. Dym z papierosa Williama utworzył spiralę.

– Jak by cię zabił?

Ted pochylił się do przodu, zakrztusił się, po czym wytarł usta.

– W sposób bolesny – odparł głosem nienaturalnie wysokim. Szybko uniósł rękę i rozczapierzył grube palce jak ktoś przyzwyczajony do rozstrzygania konfliktów, do kompromisów, wychodzenia innym naprzeciw, znajdowania sensownych rozwiązań. – Posłuchajcie... – przewrócił oczami i znów spojrzał na Williama – możecie zabrać stąd wszystko. Cokolwiek go kosztowałem, wszystko zwrócę. Chcę powiedzieć... To niemożliwe, żeby wolał... – Zacharczał i zgasił niczym silnik starego auta.

William i Dodge patrzyli na niego bez słowa.

Ted przycisnął język do wnętrza dolnej wargi, pod wpływem tego ruchu jego ładnie przystrzyżona bródka zafalowała.

– Miałem kłopoty i podjąłem jedną głupią decyzję. Ale mogę ją cofnąć. Pokryję wszystkie koszty, jakie się pojawiają. Wystąpię o trzeci kredyt hipoteczny, zastawię dom. Mam udziały w kapitale... – Siedząca obok niego żona osunęła się na bok i zatopiła posiniaczoną twarz w poduszce. Ted zaczął płakać. – Popatrzcie na nią. Trzeba ją zawieźć do szpitala. Pozwólcie, że zadzwonię po karetkę. Nie zdradzę, co jej się przytrafiło. Wciąż jest dość czasu. Można jeszcze wszystko załatwić.

William odwrócił papierosa żarem do siebie i przez chwilę go studiował, a potem rozgniół sobie o przedni ząb. Niedopałek starannie umieścił w torebce foliowej, którą wyjął z kieszeni, a potem znów ją

schował.

– Mój wujek zawsze mi powtarzał: „Wszystko, co mamy, to nasze słowo. Wszystko, co mamy, to obietnice, które składamy” – podjął wcześniejszą myśl, jak gdyby Ted nic nie powiedział. – Nasz pracodawca jest człowiekiem słownym i honorowym. Podobnie jak ja. Etyka, rozumiesz? Widzisz, znaleźliśmy się w kłopotliwym położeniu. Nie lubimy krzywdzić ludzi, naprawdę, ale musimy dotrzymać obietnicy. Musimy wykonywać rozkazy, jak w wojsku, w przeciwnym razie ta cholerna organizacja padnie. Smutna sprawa, ale tak właśnie musi się stać. – Jego blisko osadzone oczy ani na chwilę nie złagodniały. Szorstki, długi wąs w jasnorudym kolorze zwiślał nad podbródkiem, kontrastując z ziemistą cerą. Zapach bijący od Williama był kwaśny, chorobliwy. – W naszym biznesie należy pilnować, żeby ludzie dotrzymywali obietnic. Jeśli ich nie dotrzymują, trzeba stworzyć precedens. Ty, Ted, jesteś naszym precedensem.

Ted uniósł powiekę Ellen. Pojawiła się źrenica, ciemna, rozszerzona.

– Zabierzecie, proszę, proszę... – zacisnął dłoń w pięść – ...zabierzecie ją do szpitala? Nie miała z tym wszystkim nic wspólnego. O niczym nie wiedziała...

Na odgłos stłumionego wystrzału usiadł prosto na kanapie. Głowa jego żony osobliwie podskoczyła, a później przez świeże rozdarcie w poszewce wyleciało pojedyncze piórko, poplamione karmazynowymi kroplami. Ted doznał szoku – jego oczy stały się szkliste, wargi się rozchyliły, a mięśnie mimowolnie zadrgały, jak u konia, którego boki kęsały muchy. Z jego ust wyrwał się cichy nieokreślony odgłos z wydłużoną samogłoską.

Dodge pochylił się, sięgnął do worka marynarskiego i poszperał wewnątrz. Przedmioty zabrzęczały.

– Musimy robić zdjęcia – wyjaśnił Tedowi William. – Na różnych etapach. Żeby pokazać je następnemu facetowi, rozumiesz, takiemu, który sądzi, że może oszukać Boss Mana.

Kiedy Dodge wyjął z worka dłoń w rękawiczce, trzymał w niej młotek z kulistą główką.

Ted cicho jęczał.

– Chcę, żebyś tutaj usiadł – polecił William. – Tak, żebyśmy mieli dość miejsca. Chodzi o odpowiedni kąt. Nie, nie tutaj, tam. O tak, dziękuję ci. – Ted, wstrząśnięty, podporządkował się od razu. William zrobił krok do tyłu i podziwiał widok. – Dodge się niecierpliwi – dodał – więc nie będziemy zwlekać. Dodge, mój drogi, od czego chcesz zacząć?

Olbrzym zważył w dłoni młotek, po czym poklepał nim o drugą dłoń w skórzanej rękawicze.

– Od stawów – odrzekł.

■ ■ ■

Biała furgonetka grzechotała na drodze gruntowej. Kolebała się z boku na bok na szerokim, zaśmieconym odpadkami, wijącym się zakosami szlaku. Dalej na szczęście droga biegła równo i reflektory sunęły obok niekończącego się płotu z metalowej siatki, który strzegł starego złomowiska samochodów. Pojazdy sprasowane w zgrabne prostokątne warstwy blachy tworzyły stosy wysokie jak drzewa; nieoświetlone przejścia biegły wśród nich, długie i równe jak przedziałki pomiędzy warkoczykami na dziewczęcej głowie. Na drucie kolczastym powiewały opakowania, które tu utknęły, i plastikowe reklamówki. Rdza, która wsączyła się we wzgórze, zabarwiła ziemię na kasztanowo.

Przy złomowisku, za solidnym pasem uschniętego zielska, stał dwupiętrowy szalowany dom z wejściem od zachodu, wystawiony na wiatr. Obok z brązowej ziemi wyrastał dąb korkowy, wyglądał jak z obrazu.

Furgonetka zatrzymała się przed budynkiem, wzniesając tumany kurzu. Wiatr podniósł się do słabego zawodzenia. Z samochodu wyskoczył Dodge, zatrzasnął za sobą drzwi, przeciągnął się. Wokół panował wczesnoporanny mrok, wzgórze wydawało się niegościnnie jak opuszczona kopalnia.

Na piętrze domu zapłonęło światło.

William wysiadał trochę wolniej. Krzywiąc się, wygrzebał z kieszeni tabletkę i połknął ją bez popijania, po czym potarł sobie tył nóg. Wrzucił do ust garść ziaren słonecznika i jego szczęki przez moment poruszały się z precyzją maszyny, potem wypluł na ziemię kilka łupinek. Jako jedenastolatek zaczął żuć tytoń, ale kilka lat temu ktoś mu pokazał na-

granie przedstawiające ludzi z otworami w wargach i policzkach. Wtedy przerzucił się na ziarna słonecznika. Miał dość problemów zdrowotnych i nie potrzebował sita zamiast ust.

Obszedł furgonetkę, dotykając dłonią miejsca, w którym odpryskiwał biały lakier, i otworzył tylne drzwi. Ted zaczął osuwać się na ziemię, krzycząc straszliwie, choć niezrozumiale, bo słowa tłumiała poszewka poduszki, którą obwiązano mu głowę. William uchylił się, ciągnąc w bok niesprawną nogę, która niemal się pod nim ugięła, wtedy ciało Teda bez przeszkód osunęło się po tylnym zderzaku i upadło w błoto. Rogers krzyknął, jego ramiona klapnęły na boki, jakby były z gumy, bo kości połamano mu w łokciach i barkach.

Nieszczęśnik wsparł się na podbródku, usiłując się podnieść. Potem szurając nogami i chrząkając jak ranione zwierzę, rzucił się na oślep do ucieczki. Poszewkę na jego głowie znaczyły czerwone plamy w okolicy ust – tam, gdzie William wbił nóż, żeby Ted mógł oddychać. Cóż, William wiedział, jak trudno dokładnie wcelować, gdy ofiara się opiera.

Jakieś dwadzieścia metrów dalej Ted potknął się i upadł. Podniósł się jednak i znów ruszył przed siebie.

Przez frontowe drzwi wyszedł brat Williama, Hanley. Zatrzymał się na rozchybotanej werandzie i zapatrzył na daleką Sacramento Valley. Słońce wschodziło, na horyzoncie pojawił się cienki złoty pas. Hanley pokiwał głową, witając poranek, zszedł po schodach i zajrzał na tył furgonetki. Leżało tam ciało schludnie owinięte plastikową plandeką jedna skórzana poduszka z kanapy osmalona od pocisku i szmaty nasączone środkiem dezynfekującym, tak silnym, że od jego zapachu szczypały oczy. Kiedy Hanley trącił skórzaną poduszkę, żeby zbadać otwór po kuli, przypadkiem włączył dyktafon, z którego popłynął dziecięcy wrzask, aż po chwili znów ucichł.

Wielkie frontowe podwórze było nierówne, bo susły wciąż pracowały pod gęstwiną chwastów. Ted przebiegł parę metrów, potknął się, upadł, wstał i znów pobiegł. Poruszał się szaleńczo, wytyczając kręty, bezładny szlak, i mimo wysiłku niewiele się oddalał. Trzej mężczyźni w ogóle nie zwracali na niego uwagi.

Hanley potarł dłonią usta, jego kilkuniedniowy zarost zachrobotał. Ro-

dzinne podobieństwo było oczywiste, ale Hanley bez wątpienia stanowił znacznie zdrowszą wersję starszego brata. Miał wyraźnie zarysowane muskuły, skórę gładką i jasną, posturę i kończyny bez skrzywień.

– Dobra robota, bracie – oszacował. – Dodge wykonał swoje zadanie?

W jego głosie pojawiło się podniecenie. To było dla niego nowe przeżycie i całkiem ekscytujące.

– Owszem, wykonał – potwierdził William.

Dodge znów rył w worku marynarskim. Wcześniej założył gumowy fartuch rzeźnika i ochronne okulary używane przez pracowników rzeźni. Fartuch, ciasno związany na masywnej piersi, nosił już ślady poprzednich „zadań”. Nagle Dodge oderwał się od narzędzi i stanął prosto, górując co najmniej o głowę nad dachem furgonetki. Twarz miał pozbawioną wyrazu jak u manekina, pustą niczym ekran wyłączzonego telewizora.

Ted właśnie wpadł na pień dębu, osunął się ciężko, z chrząknięciem, znikając wśród falujących na wietrze kłosów traw. Zdołał się znów podnieść i potykając się, ruszył przed siebie.

William kiwnął głową, zaciskając usta.

– Przygotujemy piwnicę – oświadczył.

Bracia ruszyli ku domowi, Hanley pomógł Williamowi wejść po schodach.

Tedowi udało się pokonać całe podwórze. Jego urywany oddech niósł się na wietrze. Szlochał i wydawał niezrozumiałe odgłosy, jakby próbował wydobyć z siebie słowa.

Dodge zarzucił na ramię worek i spokojnie ruszył za Tedem.

Wspierając się ciężko na ramieniu brata, William wciągał po schodach chromą nogę, stopień po stopniu. Dotarli na werandę, a wtedy William spojrzał w dół, na owinięte w plastik wydanie gazety „Sacramento Bee”. Gwałtownie się zatrzymał.

– Co, bracie? – spytał Hanley. – Wszystko w porządku?

William szarpnął głową w bok, policzek mu zadrżał, a ostre zęby pojawiły się wśród gęstego zarostu. Wskazał fotografię na pierwszej stronie lokalnego dziennika.

– Ta twarz – powiedział.

Hanley zerknął w dół. Osłupiał.

– To niemożliwe – jęknął. – To nie może być.

William patrzył przed siebie zimnym wzrokiem. Po chwili wypluł ziarnka na czarno-białą stronę gazety.

– Cholera, wygląda na to, że jednak możliwe. Sprawdzimy. Upewnimy się...

– A co wtedy?

Za sobą w dole usłyszeli, jak Dodge szarpie Teda. Dotarł do nich chrzęst kości i ścięgien, a potem słaby drżący krzyk. Później chrząknięcie, gdy Dodge zarzucił sobie Teda na ramię, plaskanie połamanych rąk ofiary o plecy kata.

– Idę! – zawołał Dodge.

WTEDY

6

– Jak się nazywasz? Czy on w ogóle słyszy? Słucha nas? Halo! Hej tam! Jak masz na imię?

– Michael.

– Okay, dzieciaku, świetnie. A nazwisko? Powiesz, jak masz na nazwisko?

– Jest w szoku.

– Nie znasz swojego nazwiska? A jak ma na imię twój tata? Znasz imię swojego taty?

– John.

– Dobrze, bardzo dobrze. A mama? Pamiętasz imię swojej mamy? Hej! Jak ma na imię twoja mama?

– Mama.

– Okay, okay, świetnie. John i mama. To już jakiś początek, prawda?

– Nie pojmuję, jak sarkazm ma tu pomóc. Michael, kochanie, ile masz lat?

– Cztery. Cztery i jedną czwartą.

– Dobrze, mały, bardzo dobrze. Musimy teraz wymyślić, jak odwieźć cię do domu. Rozumiesz?

– Myślę, że powinniśmy dać mu trochę więcej czasu.

– W tej sprawie liczy się właśnie czas, proszę pani. Synu, mieszkasz w pobliżu? Znasz...? Hej, dzieciaku, skup się. Popatrz na mnie.

– Naprawdę sądzę, że powinnam dokończyć ocenę, zanim pan...

– Z jakiego jesteś miasta? Michael? Michael? Znasz nazwę miasta,

w którym mieszkasz?

- Tak, Stany Zjednoczone.
- Jezu.

7

Pierwszy rok mija szybko, choć Michael niewiele z niego pamięta; tylko pojedyncze zdarzenia. Słowa. Głosy. Rozmowy. Takie jak ta:

– A ulica? No, dalej, pomóż nam, dzieciaku! Musisz sobie przypomnieć nazwę ulicy. Charakterystyczny znak. Cokolwiek.

Rozłożyli przed nim układankę alfabetyczną, a on wskazał na literę „X”.

– Ta.

– Hej, Joe, znasz nazwy ulic, które zaczynają się na „X”?

– A co z pieprzonym Xanadu?

– Myślę, że Pieprzone Xanadu zaczyna się od „P”.

Albo jak ta:

– Mój tato wróci.

– Pewnie, głupku. Moja mama też wróci. Wszyscy nasi rodzice wrócą... Najemy się razem w Święto Dziękczynienia, a później zaśniemy przy kominku.

Wśród wspomnień Mike'a są też różne przebłyski – światło i ruch, fotografie, które można by połączyć w całość, tworząc dziwaczne, urywane fabuły. Jest opowieść pod tytułem „Droga do szpitala” – Mike trzęsie się w sterylnym białym korytarzu, przerażony, że uspią go tu jak dobermana sąsiada, który pogryzł mechanika z Searsa. (Którego sąsiada? – myśli. Dlaczego pamiętam mechanika z Searsa, a nie mogę sobie przypomnieć imienia własnej matki?). Przychodzi lekarz, pochyla się nad nim (władczy, pachnie mu z ust płynem Listerine) i prowadzi go do maleńkiego pokoju.

Mike idzie posłusznie jak na śmierć. Liczą mu zęby, wysoko oceniają jego zdolności motoryczne, prześwietlają mu lewą rękę i przegub, chcą sprawdzić, jak rozwijają się jego kości. Potem dostaje prezent urodzinowy.

A tydzień później otrzymuje nazwisko.

Doe.

Przypadkowy przydział od anonimowego urzędnika z biura, którego nawet nie odwiedził. Takie nazwisko jest jak pieprzone piętno, które – jeśli przyłgnie do niego na zawsze – stanie się kropką nad „i”, wyrokiem za zbrodnię, której nie popełnił. Michael Doe. Przeciętniak. Narodzony po raz drugi, przechrzczony i pozostawiony samemu sobie, żeby zbudował swój świat od zera.

Podczas następnych miesięcy dzieją się różne rzeczy – jedne zapamiętał, drugie zmienił w myślach, inne częściowo zapominał z powodu wstrząsu, który te zdarzenia poprzedzał albo po nich nastąpił. Do dziś kompilował opowieść, polerując ją niczym woda rzeki leżący na jej dnie kamień, tworząc zarysy, odkrywając nowe szczegóły w wielokrotnie już przekopanym kamieniołomie wspomnień, aż to, co pozostało, to, co ujrzał, może zatraciło już pierwotny kształt... aż wydobył inną rzeźbę z tej samej bryły marmuru. Tyle że nie miał niczego innego – niczego poza tą zniekształconą syntezą przeszłości i przyszłości. Jego niedoskonała historia. Jedyna, jaką ma.

A później nie ma już nic poza zamiecią w jego głowie.

Gdy ta ustaje, Mike jest już sześciolatkiem.

Zrzucony budynek na końcu ocienionej przez drzewa alejki.

Mike klęczy przed wykuszowym oknem z nosem przy szybie, łokcie trzyma na parapecie, pięści przyciśnięte do policzków. Czeka.

Żółta kraciasta poduszka, na której klęczy, śmierdzi kocimi sikami. Mike czeka. Jakiś samochód zatrzymuje się i radość sięga zenitu, ale auto rusza dalej, aż znika mu z oczu. Mike czeka.

Dziewczęcy głos za jego plecami:

– Głupek ciągle myśli, że jego tato wróci.

Mike nie powiedział nikomu o matce. Podejrzewa, że ona nie żyje. Skojarzenia pojawiają się i odchodzą, jak motyl wśród kwiatów trują-

cych roślin, podlatują i pospiesznie umykają. Ojciec zabił jego matkę? Użył noża? To jego krwawe dziedzictwo?

Mike nie odwraca się od okna, ale myśli o dzieciakach, które się za nim gromadzą. Tenisówki szurają na przetartym dywanie. Jeden głos wznosi się ponad inne, po chłopcemu okrutny, piskliwy jak u kastrata.

– Pobudka, głupi Doe. Twój tato cię nie chciał.

Mike gra na zwłokę. Podejmuje decyzję, że zaciśnie rękę w pięść. Dotyka palcami wnętrza dłoni, zaciska, kciuk kładzie na palcu wskazującym. Postanawia, że użyje ręki, użyje pięści. A potem gniew już tylko rośnie i Mike działa bezwiednie. Zmrożona mina, zaskoczenie na twarzy Charliego Dubronskiego. Tyle że inna pięść, większa niż jego, przysłała Mike'owi jasny poranek. Przez moment wiruje mu przed oczami dywan koloru rdzy, a potem pojawia się tępy ból w szczęce. Dubronski pochyla się nad nim, ręce kładzie sobie na pomarszczonych kolanach; rumiana twarz, chytre spojrzenie.

– Jak ci tam na dole, głupi Doe?

Mike myśli: następnym razem muszę działać spokojniej.

Kolejny przebłysk – Mike jest w łazience, kilka tygodni później, trzecia nad ranem, czas, gdy łazienka jest zwykle wolna. Potrzebuje taboretu, żeby pochylić się nad umywalką i zobaczyć swoją buzię w przyćmionym świetle. Patrzy w lustro, widzi osobę, której szuka. Analizuje rysy własnej twarzy. Nie ma wysokich kości policzkowych swojej matki. Nie ma jej pięknych czarnobrzązowych włosów. Jego skóra nie pachnie cynamonem, a jego ubrania nie mają nawet najsłabszej woni paczuli. Poza tym ostatnim wszystkie wspomnienia związane z ojcem są dobre. Są wyraziste, ale nieliczne. Mike pamięta ręce ojca zaciśnięte na kierownicy. I tę czerwoną plamę na mankiecie jego koszuli.

Nie może pozbyć się obawy, że będzie taki jak ojciec z tego ostatniego wspomnienia.

Mike nie zna swojego nazwiska. Nie wie, w którym stanie się urodził. Nie wie, jak wyglądał jego pokój, jakie miał zabawki ani czy mama kiedykolwiek pocałowała go w czoło, tak jak matki w książkach dla dzieci. Wie tylko jedno: że ma jakieś sześć lat i wychowuje się w zbyt licznej rodzinie zastępczej, w domu stojącym w spowitej smogiem

Valley. Jest rok 1982.

Jest dzień. Kanapowa Matka, niczym krab pustelnik w muszli, leży na tapicerowanej sztruksem sofie, wydając polecenia. Pachnie zasypką dla dzieci i czymś gorszym, co przywodzi na myśl zgniliznę. Popielniczka wznosi się i opada pomiędzy bezkształtnym biustem i udami, dryfując na morzu kraciastej bawełny. Rudawe włosy kobiety są ułożone w typowy dla lat sześćdziesiątych tapirowany flip. Jest też niewymuszony uśmiech i papierosowy głos – chrypliwy od palenia długich białych virginia slims – którym Kanapowa Matka woła, ledwie wejdą do holu: „Charlie, mój drogi, weź matę łazienkową. Tony, mój drogi, zmyj naczynia. Michaelu, mój drogi, opróżnij moją popielniczkę”.

Wspólna komoda. Mike jej nienawidzi. Szczególnie wtedy, gdy jako ostatni ubiera się do szkoły i zostaje mu tylko łososiowa koszula, okrutna obelga dla różu. Pewnego razu już wieczorem zabiera wybraną koszulę do pokoju i śpi z nią. Ale tej nocy, gdy wraca po umyciu zębów, widzi, że ktoś odrzucił na bok poduszkę, a koszula w niebieskie paski zniknęła. Dubronski, siedzący po turecku na swoim łóżku, uśmiecha się. A Tony Moreno, jego chudy pomagier, śmieje się energicznie, ale nieprzekonująco.

– Oddaj ją – mówi Mike.

Dubronski wyciąga duże dłonie łobuza, jakby chciał schwytać krople deszczu.

– Co mam oddać?

Dla Tony'ego M. to wyjątkowo zabawna komedia.

– Na ciebie nawet nie pasuje – jęczy Mike.

– Więc dlaczego sam sobie jej nie weźmiesz? – pyta Dubronski. – A tak... racja. Bo ci dołożę, co?

Wtedy w piersi Mike'a coś wybucha i zaczyna płonąć; uczucie jest twarde jak diament, a równocześnie gdzieś w jego ciele zapala się lampka sygnalizacyjna. Tym razem Mike panuje nad gniewem i pokusą ataku. Wpada na pewną myśl i pochyla się do przodu, ku tamtemu.

– Tak, ale w końcu będziesz musiał zasnąć. A moje łóżko stoi obok twojego.

Wyraz twarzy Dubronskiego się zmienia. Tony M. przestaje się

śmiać. Ale Dubronski szybko otrząsa się ze zdumienia. Jest zahartowany, wie, że nie może oddać koszuli, nie teraz, nie na oczach sześciu dzieciaków patrzących na niego z łóżek. Ale smrodek jego strachu dociera do towarzyszy i trwa. Czar pryska.

Następnego dnia Dubronski, utykając, człapie do szkoły. A Mike ma na sobie koszulę w niebieskie paski.

Jak zwykle siedzi w oknie wykuszowym. Czeką. „Michael, mój drogi, wyjdź na zewnątrz i pobaw się... Właściwie mieszkasz w tym oknie”. W domu zjawia się nowy dzieciak, skóra i kości, o stopach ogromnych jak łapy owczarka. Na początku miał długie kręcone włosy, a teraz jest obcięty na języka, jak wszyscy w domu. Wszy atakują dzieciaki tak często, że Kanapowa Matka nie zgadza się na dłuższe włosy – co rusz łapie maszynkę do strzyżenia z bezduszną biegłością biurokraty odrzucającego podanie. Funkcjonalność nad formą, zawsze.

Nowy dzieciak ma psie imię, które pasuje do łap owczarka – Shep. Teraz to jego gnębią Dubronski i Tony M. Ze swojego miejsca na poduszce Mike obserwuje, jak na ich pięści Shep odpowiada ciosami. Usta mu krwawią. Kolejne grzmotnięcie pięścią. Wargi Dubronskiego poruszają się: „Leż, ty mały pedziu”. Dzieci sąsiada tkwią w oknach; są przyzwyczajone do rzymskiego teatru, który rozgrywa się przy Shady Lane pod numerem 1788. Shep walczy i nabiera pewności. Dubronski robi zamach po raz piąty, a może piętnasty. Głos Kanapowej Matki dociera z pokoju dziennego: „Koooolaaacja”, zabawa się kończy.

Nowy dzieciak śmiesznie mówi, zbyt głośno („Hej, Debilny Głosiku, dlaczego gadasz takim debilnym głosikiem?”), więc nie odzywa się za często. Jada przy długim kuchennym stole, z głową spuszczoną, napychając się, a jego chude jak patyk ciało spala kalorie, jeszcze zanim skończy przeżuwać. Kanapowa Matka wstaje, aby dolać sobie do dzbanka crystal light, a wtedy Dubronski pochyla się nad stołem i uderza ręką w widelec, który Shep wsuwa sobie w usta. Shep wydaje z siebie nieśmiało szczenięcie. Kanapowa Matka się obraca.

– Co się stało, Shepherd, mój drogi?

Shep krzywi się, kręci głową. Kiedy Kanapowa Matka znika znowu za drzwiami lodówki, chłopiec dotyka ust serwetką, wycierając krew.

Sen. Pod drgającymi powiekami w umyśle Mike'a tańczą fantazje: o zaciszu domowym, o gofrownicach, o kremowej pościeli. Budzi się skulony na zbyt małym łóżku i gapi się w sufit poplamiony brązową wodą.

Z powrotem na żółtej poduszce w kratę. Czeka. Shep wychodzi na zewnątrz. Kanapową Matkę pochłania jakiś talk-show i melon, którego pożera w pokoju telewizyjnym. Na dworze Dubronski bije leżącego na ziemi Shepa. Shep wstaje, dzinsy ma podarte, kolana pokrwawione. Nawet Tony M. może przyłączyć się do akcji i tłuc chudzielca. Mike słyszy krzyk rozdrażnionego Dubronskiego: „Leż, idioto! Leż”. Ale Shep znowu się podnosi. Mike odwraca wzrok, patrzy na koniec drogi. Nadal nie ma tam żadnego kombi.

Teraz jest wieczór, na kolację są burgery sloppy joe, z mielonym mięsem. Cukinia była przeceniona, więc trafiła do mięsa zamiast cebuli. Większość kucharzy nie dodaje cukinii do burgerów sloppy joe i mają ku temu ważny powód. Ale dzieci z rodziny zastępczej są głodne; jedzą z wyraźną przyjemnością. Policyjne trajkotanie dobiega z trzeszczącego nadajnika, który leży obok toster. Dubronski właśnie przyjął dawkę insuliny („Pamiętaj, Charlie, kochanie: skóra zimna i lepka, trzeba zjeść coś słodkiego; sucha i gorąca, potrzebujesz zastrzyku”), więc musi odczekać piętnaście minut, zanim będzie mógł zjeść. Kiedy nadchodzi czas, rzuca się do kuchni. W drodze powrotnej zatrzymuje się za Shepem, podnosi nad jego głową przeładowaną tacę i z impetem stawia ją przed nim na stole. Odgłos przypomina wystrzał z broni palnej w skarbcu bankowym, ale Shep tylko mruga, bo krople mięsnego sosu przyskają mu w twarz. Niewzruszony, zgarnia z policzka sos palcami i wpycha je sobie do ust. Kanapowa Matka patrzy na niego z ukosa i trzęsie jej się podwójny podbródek. Następnego dnia Shep zjawia się w szkole późno, za to w uszach nosi aparat słuchowy, który dostał po badaniu w szpitalu Shriners. W przerwie na boisku szkolnym Dubronski dopada swoją ulubioną ofiarę. „Hej, patrzcie na tego starego dziada! Patrzcie, Shep potrzebuje aparatu słuchowego jak stary dziad!”. Tłum gromadzi się wokół nich. Shep zrywa z uszu wtyczki w cielistym kolorze, rzuca je na asfalt i miażdży tenisówką. Jego spojrzenie jest spokojne,

jak u wyznawcy zen, a głos – przynajmniej tym razem – opanowany.

– Niczego nie potrzebuję – obwieszcza.

Wśród dzieciaków zaczyna krążyć plotka – coś o pijaństwie ojca Shepa i o pistolecie ze ślepakami. Uparty jak muł, Shep nie zamierza się przed nikim otwierać ani opowiadać swojej historii. Mike jest silny, a Shep ma silną wolę, a ponieważ Mike jest również bystry, dobrze wie, która z tych cech jest rzadsza, a więc cenniejsza.

Mija kilka miesięcy. Mike wciąż przesiaduje na śmierdzącej sikami żółtej poduszce i przyciska nos do szyby wykuszowego okna. Niesamowite światło zalewa dom numer 1788 przy Shady Lane, nadając otoczeniu szaroniebieski odcień. Scena jest jak z czarno-białego filmu. Ulica pusta. Jakiś samochód kombi skręca i Mike'a ogarnia ogromna radość. Auto zbliża się – tak! – zatrzymuje na krawężniku – tak! – i wysiada z niego mężczyzna, sam jeden, i – tak! – idzie chodnikiem. Dziwny szaroniebieski blask przenika przez gałęzie drzew i oświetla twarz mężczyzny. Tak! – to jego ojciec. Mike biegnie do drzwi i wpada w silne męskie ramiona, ojciec obraca się wraz z nim wokół własnej osi. Wyglądają jak para z reklamy szamponu na łące żółtych kwiatów, Mike ściska ojca, czuje jego ciepły policzek przy swoim, widzi kropeczki zarostu pod gładko ogoloną skórą, fałdkę wykrochmalonego kołnierzyka. Ojciec sadza go i mówi: „Tak strasznie mi przykro. Zostawiłem cię na placu zabaw, ale gdzieś poszedłeś i jak wróciłem, już cię nie było. Cały czas cię szukałem, dzień i noc, robiłem przerwy tylko na jedzenie i sen. Zobacz – wyciąga rękę i pokazuje mankiet koszuli z krwiście czerwoną plamą – to tylko sok żurawinowy. Popatrz” – wskazuje na samochód, a w nim, na siedzeniu pasażera, matka Mike'a macha mu i promienieje uśmiechem tak jasnym, że rozświetla nim wszystko wokół...

Wtedy ktoś potrząsa Mikiem, budząc go. Chłopiec szarpie się, zanurza twarz w poduszce, szukając strzępów snu. Ale duża dłoń nie ustępuje, więc chłopiec przewraca się na plecy, patrzy w górę na pachnące kosmetykami oblicze o nieco obwisłej skórze. „Michael, mój drogi, chodź ze mną”. W panice chłopiec od razu oblewa się potem – kolejna przeprowadzka, kolejne porzucenie? Ale idzie, w bieliźnie, stawia zdrętwiałe z zimna gołe stopy, podążając za Kanapową Matką, na

śmierć, a może tylko do innego domu... Kobieta porusza się cicho, lecz podłoga skrzypi pod jej ciężarem. Docierają do kuchni, rozjaśnionej jedynie trójkątem żółtego światła rzucanego przez zewnętrzny reflektor, i Mike mruży oczy, na stole widzi... tort. Na lukrze wypisano jego imię. Patrzy na Kanapową Matkę, ale ona wpatruje się w tort płonącymi oczami. To ich mały sekret. Mike ma mętlik w głowie.

– To nie są moje urodziny.

– Nie – zgadza się Kanapowa Matka – to nasza rocznica. Mam cię rok, co do dnia.

Mike z wrażenia aż traci oddech. Rzuca się ku niej, skrywa twarz w miękkich fałdach jej nocnej koszuli. Mówi: „Kocham cię”, a Kanapowa Matka odpowiada: „Och, nie dajmy się ponieść emocjom”.

■ ■ ■

Następnego dnia Mike znów zasiada na poduszce. Czeki. Okno nosi tysiące śladów jego nosa i czoła. Mike czeka. Myśli o czasie, który spędził na tej cuchnącej od kocich sików poduszce, i zastanawia się, czy na tym polega życie – rok po roku, nic pamiętnego, udręka w palącym słońcu. Na dworze Shep dostaje codzienną porcję lania. Leży na plecach wśród pięknych jesiennych liści, a Dubronski wymachuje pięścią nad jego twarzą. „Leż, ty cholerne chuchro. Leż”. Shep usiłuje wstać. Mike wodzi spojrzeniem po arkadzie żółtopomarańczowych liści, tworzących geometryczne wzory aż na koniec ulicy, gdzie powinno być kombi, ale nadal się nie pojawiło. Mike czeka. Próbuje zatrzymać czas, zamrozić ten obraz jak fotografię, choć to zwyczajny moment, ale chce go mieć, żeby mieć cokolwiek, coś, czego może się złapać, co mógłby zatrzymać.

Czeka na ojca.

A potem, nagle, zaczyna go nienawidzić.

Shep znów stoi – nie, już nie. Tony M., który z niewiadomych powodów nosi kask pałkarza Angelsów, rechocze swoim kretyńskim śmiechem, klepie Dubronskiego po ramionach i skacze z radości. Shepowi udaje się stanąć na czworakach i chce się podnieść, ale zostaje powstrzymany. I chyba po raz pierwszy się załamuje. Dubronski szydzi: „Powiedziałem ci, pieprzony głuchy chuderlaku! Powiedziałem, że zmuszę cię do leżenia”. Shep z dołu patrzy na niego, na zbliżającą się

pięć i nie jest w stanie zrobić uniku. Mike wie, że jeśli Shep postanowi już nie wstawać, coś cudownego zgaśnie tam, na brązowiejącym trawniku przy Shady Lane 1788.

Wychodzi przed dom. Dubronski stoi nad Shepem, triumfuje. Tony M. i trzech innych chłopców stworzyli wokół Dubronskiego półokrąg. Na trzask siatkowych drzwi odwracają się. Mike podchodzi do nich i na szerokiej twarzy Dubronskiego pojawia się niepokój. Mike wychodzi przed półokrąg, staje przodem do Dubronskiego, pół metra od niego, na odległość boksinerskiego haka. Shep jest teraz za Mikiem, ciągle na czworakach; Mike czuje jego gorący oddech na swoich łydkach.

– Wstań – mówi głośno Mike.

Słyszy, jak Shep ciężko sapie i chrząka z wysiłku. Patrzy na jego cień, więc wie, co tamten robi.

Shep wstaje.

Na twarzy Dubronskiego pojawiają się rumieńce.

– Wy, cioty, jesteście siebie warci – oświadcza, ale wycofuje się i przepycha między zebranych. Wchodzą do domu. Przy Shady Lane 1788 panuje kompletna cisza. Zapada zmierzch i wkrótce będzie kolacja.

Shep otrzępuje się, opanowany jak biznesmen, który usuwa kłaczki z garnituru. Mike idzie chodnikiem.

Shep podąża za nim.

■ ■ ■

– Skąd je wzięliście? – Kanapowa Matka staje nad nimi, nogi drżą jej z wysiłku, małpki z alkoholem wydają się malutkie w jej czerwonej, wielkiej jak poduszka dłoni.

Mike i Shep mają po dziesięć lat. Są teraz tego samego wzrostu, ale Mike wciąż jest szerszy w ramionach, masywniejszy, a ciało patykowatego Shepa wygląda jak rozciągnięty cukierek toffi.

– Co? – pyta Shep.

Nauczył się mówić łagodniej, panować nad głosem, nadrabiać kiepski słuch, kontrolować nieartykułowane dźwięki i wyraźniej wymawiać spółgłoski. Ludzie pochylają się ku niemu, żeby go zrozumieć. Robią krok czy dwa w jego stronę. Jeśli Shep jest zainteresowany, przyciąga do siebie świat. Ale zazwyczaj nie jest. Więc nauczył się

czegoś innego. Wykorzystywać częściową głuchotę na swoją korzyść.

Nigdy nie było to wyraźniejsze niż właśnie teraz.

Kanapowa Matka patrzy na jednego i drugiego, aż skupia wzrok na Mike'u. Ten wpatruje się w jej upstrzony drobinkami popiołu sweter, krzywi się i wyznaje:

– Z Valley Liquor.

Kanapowa Matka marszczy brwi, a potem zaciska usta.

– Wrócimy tam i oddamy je, wy obaj przeprosicie i poddacie się karze, która zostanie wyznaczona. Rozumiecie mnie?

Mike obserwuje, jak pięćdziesięcimiligramowe buteleczki jacka daniel'sa znikają w jej ogromnej torebce.

– Tak, proszę pani – mówi.

– Co? – pyta Shep.

Kanapowa Matka nie żartowała. Wypycha obu chłopców na dwór i wsiada do mocno zdezelowanego pontiaca. Mike tylko kilka razy widział, jak prowadziła auto, zawsze do szpitala, gdy któremuś z dzieciaków trzeba było zszyć ranę albo choremu nie spadała gorączka. Siedzenia pasażera nie ma, a siedzenie kierowcy jest tak bardzo odsunięte w tył, że Shep musi usiąść Mike'owi na kolanach. Chłopcy patrzą ze strachem, jak po obu stronach miga krajobraz, gdy Kanapowa Matka przemierza ulice, chrząkając, bo w aucie nie ma wspomagania kierownicy, a w dodatku przeszkadza jej własny brzuch.

Po krótkim czasie trafiają przed kontuar sklepu monopolowego, stają na baczność przed panem Sandoalem, który ich nienawidzi, nigdy nie pozwala przeglądać komiksów i stroi miny, ilekroć odlicza im resztę za butelki z napojem Dr Pepper. Mike bełkocze przeprosiny, a pan Sandoal, który z powodu obecności Kanapowej Matki nie przeklina ani nie okazuje niechęci, traktuje go z protekcjonalną wielkodusznością.

Nadchodzi pora na przeprosiny Shepa, ale Mike wie, że przyjaciel nie przeprosi. Shep nie jest taki jak Mike czy inni; on jest ze stali i betonu; nie można go złamać.

– Shepherd, mój drogi, twoja kolej.

– Co?

– Nie pogrywaj ze mną. No już, przeproś pana Sandoala. W tej

chwili.

– Co?

Sytuacja robi się coraz trudniejsza, aż Mike czuje się nieswojo. Robi krok w tył, niemal dotyka ramieniem półlitrowych butelek z alkoholem, które stoją na półkach za nimi. Zauważa zdjęcie, które pan Sandoval przykleił do kasy fiskalnej – jest na nim córka. Fotografię zrobiono w szkole, dziewczynka promienieje z dumy, ale jej krótka spódniczka jest poplamiona i postrzępiona na brzegach. Przypomina Mike'owi koszulę ze wspólnej komody. Zalewa go poczucie winy, a jego przypuszczenia pękają jedno po drugim jak upuszczone na ziemię jajka. Jednak jego skrucha jest jedynie chwilowa, ponieważ Kanapowa Matka mówi tak podniesionym głosem, że nie sposób skupić się na niczym innym.

Akurat kiedy wszystkim wydaje się, że Shep zatriumfuje, a dorośli się poddadzą, chłopiec szepcze:

– Przepraszam.

Mike jest w szoku. Nigdy nie widział, żeby Shep się przed kimś ugiął, i teraz ma obawy, że to jedno słowo nieodwołalnie osłabi przyjaciela. W drodze do domu Mike wydyma wargi. Siedzący na jego kolanach Shep odwraca się nagle i studiuje jego twarz z nieprzeniknioną miną. Potem wykrzywia wargi, prezentując swój osobliwy uśmiech. Ukradkiem podnosi koszulkę i pokazuje półlitrową butelkę jacka daniel'sa, którą wepchnął sobie za pasek spodni.

Wspomnienia kolejnych kilku lat są zamglone. Obaj chłopcy są już czternastolatkami. Shep nosi na szyi wisiołek ze świętym Hieronimem Emilianim – patronem sierot. Ukradł go w lombardzie. Mike'owi zaczyna rosnąć zarost, a Shep wreszcie wystrzelił i jest teraz wysoki, krzepki, umięśniony. Mimo trądziku na twarzy bez trudu kupuje jacka daniel'sa i nikt nie prosi go o dokumenty. Charlie Dubronski żyje i odycha w ciągłym lęku, ale Shep nigdy nie tknął go nawet palcem; co jakiś czas spogląda tylko na dawnego prześladowcę z odpowiednią miną i to wystarcza.

Mike i Shep jadą autobusem do parku Van Nuys. Lodziarz zapomniał zamknąć tył półciężarówki, więc do woli kradną lody na patyku Bomb Pop, kiedy mężczyzna zajmuje się klientami. Potem idą na boisko ba-

seballowe, na którym grają ojciec, syn i dziadek. Opierają się o płot z metalowej siatki obok miejsca łapacza i przypatrują się zabawie z cynicznymi uśmieszkami. Dziadek rzuca piłkę, wnuk uderza w nią kijem, a ojciec jest kimś pomiędzy łapaczem i lewopolowym – łapie piłkę i rzucają z powrotem. Całkiem dobrze im idzie. Wnuk, który jest mniej więcej w ich wieku, niezle radzi sobie z piłkami odbitymi od ziemi i celnie uderza w stronę ojca.

- Umie uderzać tylko w jeden sposób – zauważa Mike.
- Bo nie jest dość dobry, żeby uderzać inaczej – dorzuca Shep.

Samochód, pewnie ojca, nowiutki ciemnozielony saab, stoi za płotem, a rower chłopca, kosztowny góral z dziesięcioma przerzutkami, opiera się o zderzak.

- Niezła fura – stwierdza Mike.
- Gówniana dziewięćsetka – prycha Shep.

Mike przytakuje, lecz potajemnie zakochuje się w saabie, w jego eleganckiej linii, a równocześnie dziwnej kanciastości; jak gdyby auto nie bało się być brzydkie i piękne jednocześnie. Samochód pachnie dostatkiem i władzą, spełnieniem i poczuciem kontroli. W jego nieskazitelnym lakierze Mike widzi własne, niewyraźne odbicie, także wyidealizowane, i przyszłość, której nie może jeszcze przewidzieć. Na tablicy rejestracyjnej dostrzega logo dealera: PRZEDSTAWICIELSTWO WINGATE: MAMY TO, CZEGO CHCESZ! – i myśli, że to nazwisko, tak samo jak samochód, chełpi się sukcesem. Win-gate. „Brama do zwycięstwa”. Te słowa do niego po prostu przemawiają.

Głos z boiska gwałtownie wrywa go z zadumy.

- Gotów na lody Fudgsicle? – woła ojciec.

Przez chwilę zdezorientowany Mike sądzi, że mężczyzna mówi do niego. Ale wtedy syn tamtego uśmiecha się, odrzuca kij i przedstawiciele trzech pokoleń ruszają przez park w stronę półciężarówki lodziarza, którego oni dopiero co okradli.

Mike ich obserwuje. Długie blond loki chłopca wymykają się spod czapki i Mike wstydzi się krótkich włosów, swoich i Shepa. Nienawidzi tego całego głupiego wyglądu, stanowiącego element walki z wszami.

Shep obchodzi płot i podnosi porzucony kij. Wraca. Kopie rower

dzieciaka.

– Chcesz na niego nasikać?

Wcześniej często tak robili.

Mike kręci głową.

– Najpierw samochód? – rzuca Shep.

Nigdy nie używa zbyt wielu słów.

Mike wpatruje się w pięknego saaba i chyba mu go szkoda, chociaż głęboko w jego piersi znów zapala się nieznama emocja, która jakby szuka ujścia, żeby ujawnić się w pełni. Mike nie jest pewny, co czuje, ale wie, że to musi mieć coś wspólnego z błyskiem białych zębów tamtego ojca, kiedy wołał syna na lody.

– Nie wiem – odpowiada przyjacielowi.

– Czemu? – pyta Shep.

Mike jest zakłopotany, ale przecież to tylko Shep, któremu może powiedzieć wszystko.

– Chodzi o to, że jeśli moja mama jednak żyje, jestem jej to winny... nie powinienem skończyć w ten...

– Nie ma przeszłości – przerywa mu Shep.

Mike wybucha śmiechem.

– Żadnej przeszłości?

Shep otwiera usta, pokazując zachodzące na siebie zęby.

– W życiu są tylko dwie rzeczy: lojalność i wytrzymałość. Wszystko inne jest mniej ważne.

– A co z odpowiedzialnością? – Mike mówi jak Kanapowa Matka i nienawidzi siebie za to.

Shep odpowiada cicho, jak zawsze.

– Nie jesteś synem. Nie jesteś bratem. Nikt cię nie chce. A więc... Rób swoje. Możesz być, kim zechcesz. A teraz? Jesteś facetem, który ma robotę do wykonania.

Mike bierze kij. Reflektor rozbija się z satysfakcjonującym trzaskiem. Kolejne „bam” nadaje błyszczącej masce kształt sierpa księżyca, który potem tylko się pogłębia. Mike zatracza się w czymś lepkiem, słodkim i niezaspokojonym.

Bołą go przedramiona. Zatrzymuje się, dyszy. Skądś po drugiej

stronie parku, z czyjego boomboxa, płynie Bon Jovi, *Blaze of Glory*. W blasku chwały.

Teraz Shep bierze kij. Uderza w rower, koła wyginają się, szprychy lecą, metal brzęczy.

– Hej, dupku! – krzyczy ktoś za nimi. – Hej, to mój rower.

Chłopak biegnie przed ojcem i dziadkiem.

– Co? – pyta Shep. Tamten podchodzi i powtarza. Shep znowu pyta:
– Co?

Chłopak wysuwa głowę, próbuje po raz trzeci. Shep trzaska go z byka i chłopak pada na ziemię, krzyczy. Ojciec podbiega do nich i Mike martwieje; sporo walczył, ale ma też jakiś staroświecki szacunek wobec dorosłych, który go paraliżuje. Ojciec chłopaka łapie Mike'a za szyję, mocno, obiema rękami. Mike jak przez mgłę widzi zbliżającego się błyskawicznie Shepa, który odciąga mężczyznę i równocześnie zaciska rękę na jego gardle.

– Puszcę cię – mówi Shep typowym dla siebie szeptem. – Ale więcej go nie dotkniesz. Rozumiesz? – Ojciec kiwa głową. Shep go uwalnia. Wyciąga rękę do chłopca, pomaga mu wstać. Mówi: – Nie nazywaj mnie dupkiem.

Rozlegają się syreny. Usta Shepa są czerwone od lodów Bomb Pop, Mike jest absolutnie pewny, że jego również.

Na posterunku dyżurny mówi:

– Chłopcy z Shady Lane, no, no, co za niespodzianka.

Wysyłają Mike'a i Shepa do różnych pokojów przesłuchań. Mike, gdy zostaje sam, wpatruje się w ścianę; powracają wspomnienia podobnych pomieszczeń: „Pamiętasz imię twojej mamy? Hej! Jak ma na imię twoja mama?”. Wchodzi śledczy, siada, czyta raport, wzdycha i rzuca kartki na drewniany stolik.

– Nie jesteś wart krzesła, na którym siedzisz, gówniarzu z rodziny zastępczej.

Mike myśli: daj mi spokój.

– Narobiłeś szkód na jakieś piętnaście tysięcy dolarów.

Czuje ucisk w żołądku, jakby ktoś chwycił go mocno i trzymał. Równie dobrze mógłby to być milion! Mike wie, że jego życie jest

skończone.

Patrzy w dół, na przeguby dłoni w plastikowych kajdankach dla dzieci – metalowe, które założono mu w parku, ciągle się zsuwały.

– Zanim zostaniesz skazany i posadzimy cię tam, gdzie twoje miejsce – kontynuuje śledczy – poszkodowani chcą stanąć z tobą twarzą w twarz i spojrzeć ci w oczy.

Mike'a ogarnia panika, równie potężna jak wcześniejszy strach.

– Nie chcę ich widzieć.

– Niespodzianka. Jak stajesz się degeneratem, tracisz wybór i robisz to, co każą ci inni.

Mike zamyka oczy. Kiedy je otwiera, stoi przed nim dzieciak od roweru. Patrzy na niego z pogardą, krzywiąc twarz o piegowatych policzkach. Po bokach ma śledczego i ojca. Dziadek stoi z tyłu, ramiona założył na piersi.

– Zamierzasz przeprosić? – pyta dzieciak.

Mike wie, że to w jego interesie, ale patrzy na wyprasowaną koszulę, plamkę po czekoladzie w kąciку ust tamtego i do głowy przychodzi mu tylko jedno słowo: „Nigdy”.

Dzieciak celuje w niego palcem.

– Jesteś nikim. Zniszczyłeś mój rower, bo niczego nie masz i nigdy nie będziesz miał. Ale wiesz co? To nie moja wina, że twoje życie jest do dupy.

Mike znów zamyka oczy, tym razem na bardzo długi czas. Słyszy kroki, potem skrzypienie otwieranych i zamykanych drzwi. Kiedy znów unosi powieki, naprzeciwko niego siedzi dziadek. Sam.

– To był mój samochód – mówi.

– Myślałem, że pana syna – odpowiada Mike.

Dziadek się śmieje. Ma biały wąs, który wydaje się bardzo zadbane.

– Wtedy to by było w porządku? – pyta.

Mike gapi się na blat drewnianego stolika. Ktoś wrył w nim napis:

PUNKT, Z KTÓREGO NIE MA ODWROTU, POPAPRAŃCU

– Dorastałem w czasach wielkiego kryzysu. Wiesz, co to znaczy? – Mężczyzna czeka na odpowiedź, ale żadnej nie otrzymuje, więc ciągnie opowieść: – Kiedy widzieliśmy na poboczu zwierzęta zabite przez sa-

mochód, mój tatko się zatrzymywał i mieliśmy obiad. Przez jakiś czas sypialiśmy w aucie. Przez dwa długie lata nie mieliśmy dachu nad głową.

– Nie można mieć wszystkiego – stwierdza Mike.

Dziadek rozkłada ręce.

– Dlaczego nie? – pyta.

– Nie wiem. Ludzie tacy jak my nie mogą mieć wszystkiego.

– Ludzie tacy jak my?

– Tacy jak ja i Shep.

– A ja?

– Pan ma saaba.

– Rozumiem. – Dziadek składa dłonie na wystającym brzuchu i kiwa głową. – A skąd twoim zdaniem mam ten samochód?

– A bo ja wiem? Pierwszy raz widziałem tak ładne auto.

– Wyjaśnijmy coś sobie. Nie jesteś tu ofiarą, ale napastnikiem.

Starszy mężczyzna patrzy teraz twardo, a Mike czuje respekt wobec jego pewności.

Spuszcza wzrok na swoje ręce. Na kciuku jest lepka niebieska smuga po lodzie Bomb Pop. Przypomina sobie tego pięknego, nieskazitelnie czystego saaba (PRZEDSTAWICIELSTWO WINGATE: MAMY TO, CZEGO CHCESZ!) i przez chwilę wydaje mu się, że samochód i siedzący przed nim człowiek to jedno, dwa wytworne elementy jednej całości. Wracają do niego słowa Shepa: „Możesz być, kim chcesz”. Jeszcze raz zastanawia się nad postawionym pytaniem: „A skąd twoim zdaniem mam ten samochód?”.

– Jak wyjdę z poprawczaka – mówi cicho, nim zdążył pomyśleć – pójdę do pracy i zapłacę panu za wóz.

Dziadek zamyka oczy, a na jego twarzy pojawia się błogość i delikatność. Mike nie rozumie jego reakcji. Ani jego następnych słów.

– Nie – mówi starszy pan. – Nie zapłacisz. Nie zamierzam wnosić oskarżenia. Nie poniesiecie odpowiedzialności za te szkody.

Mike jest przekonany, że mężczyzna z niego drwi.

– Sam zapłacę za naprawę samochodu – ciągnie mężczyzna. – Ale coś sobie za te pieniądze kupuję. Chciałbyś wiedzieć, co takiego?

Sparaliżowany ze zdumienia Mike tylko kiwa głową.

- Ja płacę, a ty przestajesz się nad sobą użalać.
- Co pan chce osiągnąć? – pyta z niedowierzaniem.
- Poczekamy, zobaczymy – odpowiada dziadek.

Mike i Shep wychodzą na wolność, lecz od tego dnia Mike widzi świat trochę inaczej. Z Shepem znają się jak łyse konie, są sobie bliżsi niż bracia, bo jeden jest dla drugiego całą rodziną. Oczywiście nie rozmawiają o takich uczuciach; te rzeczy pozostają niewypowiedziane. Shep w pokoju przesłuchań naturalnie nie okazał skruchy i nie przeprosił, więc musi odpracować rower, pakując zakupy w markecie. Zdobywa pieniądze dwa razy szybciej, bo przy okazji handluje papierosami, które kradnie zza lady.

W późniejszym okresie zdarza im się wpaść na zakupy do monopolowego z fałszywymi dowodami. Potem strasznie się upijają i robią piekło, ale Mike spędza coraz więcej czasu z nosem w podręcznikach – „Michaelu, mój drogi, będziesz moim pierwszym wychowankiem w college'u” – potem uczy się do testów SAT, podchodzi do egzaminu próbnego i uzyskuje wynik gdzieś pomiędzy debilem a tłumokiem. W liceum powoli stopnie Mike'a poprawiają się do średnich. Kiedy zostaje przyjęty na studia na Kalifornijskim Uniwersytecie Stanowym w Los Angeles, początkowo nie mówi o tym Shepowi. Wychodzi na podwórko za domem, kiedy wszyscy śpią, siada z listem pod złotą łuną reflektora, czyta raz, drugi i trzeci, tuląc kartkę do piersi jak najcenniejszy skarb.

Przez kilka błogich miesięcy Mike ma wrażenie, że widzi przed sobą prostą, jasną drogę. Kanapowa Matka jest z niego dumna; związane z college'em plany przynoszą im obojgu chlubę. Dubronski i Tony M., jak zawsze mało oryginalni, nadają Mike'owi przydomek „student”. „Hej, student – pytają – zapuścisz wąsa jak Alex Trebek?”, ale on ma ich drwiny za pochlebstwo.

Z każdym rokiem do domu Kanapowej Matki przybywa więcej dzieciaków, chudych i z urazami psychicznymi, a Mike odkrywa, że stał się wzorem do naśladowania. Shep zresztą także staje się wzorem, chociaż innego rodzaju. Jako prawie dorosły Mike zaczyna pojmować, jak funkcjonuje rodzina zastępcza. Kanapowa Matka dostaje od stanu pie-

niądze na każde dziecko, które przebywa pod jej dachem. Od czasu do czasu załatwia u wyrozumiałych urzędniczek fałszywą metrykę urodzenia dla któregoś z dzieciaków, żeby chronić go przed agresywną matką albo molestującym wujkiem. Mike'a uderza świadomość, jakie wielkie miał szczęście, że trafił właśnie do niej.

Chodzi teraz do ostatniej klasy, ma siedemnaście lat. Shep od czterech miesięcy jest już osiemnastolatkiem i zdążył w tym czasie dwa razy złamać kalifornijski kodeks karny. Jeszcze jedno przestępstwo i mogą go skazać na dwadzieścia pięć lat więzienia, co wydaje się przesadną karą za kradzież magnetowidu i pobicie jakiegoś zasmarowanego elegancika z prywatnej szkoły, który siłował się na rękę, a potem nie dotrzymał zakładu. Ale Shep, jak zawsze, w ogóle się tym nie martwi. „Dwa wyroki to nic – mówi. – I tak nigdy nie dostosuję się do ich zasad”.

Pewnego dnia Shep wchodzi do wspólnej sypialni, niosąc w rękach coś, co wygląda jak wyrwany ze ściany sejf; pod ciężarem metalowej skrzynki napinają się jego pokaźne bicepsy. Mike znowu czyta podniszczony poradnik SAT, bo jest przekonany, że kiedy jesienią wyląduje w college'u, nie będzie umiał rozmawiać z tamtejszymi, na pewno bystrzejszymi dzieciakami. Wbrew logice ma nadzieję, że w pokonaniu komunikacyjnej przepaści pomoże mu znajomość takich słów, jak „przystroić” albo „octan”.

Z niedowierzaniem podnosi głowę znad rozdziału poświęconego słownictwu i patrzy na Shepa.

- Skąd go wziąłeś?
- Ze ściany – odpowiada Shep.

Mike zjada kolejną porcję z puszki SpaghettiOs, podnosząc jedzenie na płaskiej krawędzi noża do masła, bo wszystkie widelce i łyżki są brudne.

– Shep – mamrocze z ustami pełnymi papki – nie możesz robić takiego syfu.

– Dostaniesz połowę tego, co jest w środku.

– Nie chcę połowy. – Mike bierze zeszyt do ćwiczeń, zwija go w rulon i klepie się nim w czoło. – Chcę wiedzieć, co znaczy słowo „nie-cny”.

– „Nie do cna” – odpowiada Shep.

Siada na podłodze jak Indianin i stuka w różne miejsca sejfu, a potem wyjmuje z tylnej kieszeni złożoną kartkę papieru milimetrowego i prawdziwy stetoskop. Mike obserwuje jego poczynania z jawną fascynacją. Shep wkłada słuchawki, pochyla się, przekręca tarczę i słucha ze skupieniem lekarza. Ze względu na słaby słuch ma kłopot z wychwyceniem kliknięć, więc falisty wykres, który tworzy na papierze milimetrowym, nie ma wiele sensu. W końcu odkłada stetoskop, wychodzi i po chwili wraca z młotkiem i dłutem.

Mike lekko rozdziawia usta.

– Serio?

Runda druga. Shep zaczyna walić w sejf. Hałas wcale mu nie przeszkadza. Wszyscy są ponoć na meczu Dodgersów, więc Shep i Mike cieszą się względną prywatnością.

Aż Kanapowa Matka, która do tej pory leżała w śmierdzącej sypialni, jęcząc z bólu spowodowanego zapaleniem okrężnicy, woła z korytarza:

– Michaelu, mój drogi, co to za hałas?

Nauczyła się, żeby nie krzyczeć do Shepa.

– Naprawiam gaźnik – mówi cicho Shep.

– Naprawia gaźnik! – wrzeszczy Mike.

Shep nie ma samochodu.

– Nie narób bałaganu! – ryczy Kanapowa Matka.

– Nie narobi! – Mike odkłada zeszyt. – Co zrobisz ze swoją działką?
– pyta drwiąco.

– Las Vegas – odpowiada Shep. – Dziwki. A ty?

– Dom. Hipoteka na trzydzieści lat, stałe oprocentowanie. Podwórze za domem. A tam chcę mieć warsztat pełen narzędzi.

– Ile ty masz lat? – burczy Shep, siadając na piętach i ocierając ramieniem pot z czoła. – Słuchaj – mamrocze, tak naprawdę bardziej do siebie niż do Mike'a. – Popatrz. Oderwałem zawiasy i na nic się to nie zdało. Muszę odkryć, gdzie są blokady bolców.

Pochyla się, wysuwa język w kąciku ust, po czym notuje coś po drugiej stronie kartki z nieudanym wykresem.

Kilka godzin później sejf jest strasznie pokiereszowany, a Shep

tworzy coś godnego nazwy „rysunek techniczny”. Przez jakiś czas uderza w spojenia, skrupulatnie oznaczając umiejscowienie wypustów blokujących i szukając następnych. Mike obserwuje kolejne etapy tej drogi od marzenia do spełnienia.

Jakiś czas później Shepowi udaje się zrobić otwór w tylnej ścianie sejfu i odgiąć fragment blachy. Pod nim jest warstwa betonu, który da się skruszyć młotkiem, a pod nią znowu blacha. To runda jedenasta, a może także dwunasta.

Dobiegający z korytarza głos Kanapowej Matki wydaje się strasznie rozdrażniony, słysząc w nim wyczerpanie i ból.

- Jeszcze nie skończyłeś z tym gaźnikiem?
- Prawie skończyłem – mówi cicho Shep.

Kolejne działania z użyciem siły mięśni i inteligencji dają w końcu efekt – tylna ściana nareszcie ustępuje. Shep wyrzuca na podłogę łup: garść starych monet. Właściwie go nie interesują, bardziej ciekawi go budowa sejfu. Bełkocze coś do siebie, sprawdza wypusty, których istnienia wcześniej się nie domyślił, spisuje markę i typ sejfu.

- Beton stanowi obciążenie – mruczy.
- Nie chcesz swoich beczennych monet? – rzuca Mike.

Shep przygryza wargę, zachwycając się konstrukcją wzmocnionych drzwiczek.

- Co? – pyta.

Gdy nazajutrz przechodzą obok lombardu, Shep wyciąga z kieszeni jedną z monet i wręcza ją Mike'owi.

- Dlaczego nie ty? – chce wiedzieć Mike.
- Mają moje zdjęcie za kasą.

Mike waha się przez moment. Myśli o przestrodze dziadka sprzed lat i przypomina sobie własne, zniekształcone odbicie na nieskazitelnym ciemnozielonym lakierze saaba z Przedstawicielstwa Wingate. Ale to tylko stara moneta, a Shep prosił. Bierze ją i wchodzi do środka. Denuruje go kamera wisząca za kuloodporną szybą, a jednak pisze fałszywe nazwisko i adres na rachunku, a później powtarza sobie po raz kolejny: „To tylko stara moneta, a chodzi o prośbę. Shepa”. Opuszcza lombard z wypłatą w postaci dwudziestu dolarów, które wpycha w

wielką dłoń Shepa.

– Było warto. – Uśmiecha się znacząco.

Shep wręcza mu z powrotem dziesięć dolców.

Tej nocy pod dom przy Shady Lane 1788 podjeżdża policja. Oficer pokazuje zdjęcie z kamery w lombardzie. Tym razem Mike ma na nadgarstkach zwyczajne kajdanki, duże, dla dorosłych.

TERAZ

8

Nie było tam recepcji ani recepcjonistki, tylko biuro. Żadnej tabliczki, żadnych żaluzji, żadnego czarnego napisu w rodzaju: „Hank Danville, prywatny detektyw”. Mike przeszedł obok gołego drewnianego biurka, zastukał do drzwi gabinetu i otworzył je.

Hank siedział za biurkiem z opuszczonymi spodniami i wstrzykiwał sobie coś w blade udo. Popatrzył przez ramię i skrzywił się na widok Mike'a.

– Niech to szlag! – warknął.

Mike wydukał przeprosiny, wycofał się i zamknął za sobą drzwi.

Chwilę później Hank otworzył je szarpnięciem, po czym ruszył z powrotem za biurko, po drodze wsuwając sobie koszulę w spodnie. Mike siedł za nim, trzymając się w pewnej odległości. Nie spojrzeli sobie w oczy. Detektyw opadł na fotel i wskazał na zniszczoną dwuosobową małą sofę, na której Mike siedział wiele razy w ciągu minionych pięciu lat.

Hank miał sylwetkę z dawnych czasów, rzadko spotykaną wśród dzisiejszych mężczyzn – był wysoki, tyczkowaty, o szerokich ramionach jak strach na wróble albo obrońca w futbolu amerykańskim. Łysiał ładnie i równomiernie, linia włosów cofnęła się już do połowy głowy osadzonej na chudej, żółtawatej szyi. Głowę miał jak intelektualista czy nauczyciel akademicki – powinien przeglądać zakurzone tomiszcza i napisane odręcznie listy. Nie pasowała ani do jego mocnych przedramion, ani do manier małomównego gliniarza, które opanował do perfekcji w trakcie trzydziestu kilku lat pracy z odznaką, zanim został

prywatnym detektywem osiąającym zresztą niewielkie sukcesy.

Jego suche wargi drżały, kiedy usiłował się wytłumaczyć. Nie miał łatwego zadania. Przeklął pod nosem, znów ciężko podniósł się zza biurka i stał, tarmosząc rękawy. Mike zauważył, że Hank wygląda na starszego niż ostatnio. Nigdy nie mówił o swoim wieku. Był dostatecznie stary, by niedomagać, ale i dość młody, by się wkurzyć, gdyby ktoś próbował podać mu pomocną dłoń.

Teraz podszedł do okna, otworzył je, oparł się o parapet i wychylił, aż szelki napięły mu się na plecach. Rzucił palenie, ale czasem jakby o tym zapominał, i miał zwyczaj wychylać się z okna, żeby wypuścić powietrze. Jego kot, przegowany tłuszczoch, popatrzył na niego obojętnie z grzejnika.

Mike odchrząknął z zakłopotaniem.

– Chciałem przeprosić za wczoraj...

– Umieram – przerwał mu Hank. Nadal stał nad parapetem, wpatrując się w daleki napis „Hollywood”. Materiał jego koszuli marszczył się między łopatkami. – Rak płuc – dodał. – A przecież rzuciłem fajki... cholera... już piętnaście lat temu. Myślałem, że jestem bezpieczny, że nic mi nie grozi. Zadziwiające, że coś takiego może się obrócić przeciwko nam. – Wrócił do biurka i dotknął leżącej na blacie strzykawki z igłą. – Na to jest ta trucizna. Neupo... coś tam. Paskudztwo ma pobudzić moje dwie ostatnie białe krwinki.

Osunął się na fotel i rozejrzał wokół, jakby niepewny, na czym zawiesić wzrok. Gdy Mike przyjrzał mu się uważniej, zauważył, że jest wychudzony. Chyba nigdy dotąd nie widział go skrępowanego, dziś detektyw był zawstydzony. Współczucie sprawiło, że Mike nie wiedział, co powiedzieć. Zawsze trudno znaleźć właściwe słowa, gdy ktoś mówi o intymnych aspektach swojego życia. Dlatego Mike zadał po prostu pierwsze pytanie, jakie przyszło mu do głowy:

– Mogę ci jakoś pomóc?

Hank uśmiechnął się z lekkim szyderstwem.

– Zamierzasz mnie odwiedzać co srode z własnoręcznie przyrządzoną zapiekanką?

– Gdybyś zjadł moją zapiekankę – odparował Mike – to już na

pewno długo byś nie pożył.

Detektyw odchylił głowę w tył i roześmiał się głośno. Przez chwilę przypominał dawnego Hanka – pełnego godności, z uśmiechem mędrca zawsze i w obliczu wszystkiego.

– Ach, do cholery – zarechotał Danville. – Po tym, jak zobaczyłem minę, jaką zrobiłeś na widok moich spuszczonej spodni, mogę już spokojnie umrzeć.

– Może...

– Przerwaliśmy chemioterapię. W ubiegłym tygodniu. Rak zaatakował kości.

Cierpki uśmiezek osłabł, a potem zniknął. Hank obrócił się nieznacznie w fotelu i Mike po raz kolejny zerknął na małe szkolne zdjęcie chłopca, może sześciolatka, przypięte pinezką do pustej ściany za detektywem. Mike spytał o nie grzecznie podczas jednego z pierwszych spotkań, lecz Hank dał mu jasno do zrozumienia, że nie zamierza na ten temat rozmawiać. Hank nie był żonaty i nigdy nie wspominał o dzieciach, co tylko podsycalo ciekawość Mike'a. Zdjęcie było zniszczone, poznaczone białymi zarysowaniami. Chłopiec miał pasiąstą, zapinaną na zatraski koszulę, nosiło się takie pod koniec lat sześćdziesiątych. Samotna fotografia na ścianie kazała podejrzewać, że chłopiec nie żyje. Kim był? Synem, który zerwał stosunki z ojcem? Ofiarą nierozwiązanej sprawy, o której Hank nie potrafił zapomnieć?

Mike odwrócił wzrok od fotografii, zanim detektyw zorientował się, na co patrzy. Hank przyjrzał mu się z uwagą, a potem przerwał smutny nastrój i zrobił gest w stylu Fonziego, bohatera popularnego serialu z przełomu lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, wicherząc palcami włosy, które pozostały mu na łśniącej czaszce.

– Dzięki chemii nowej generacji zachowałem przynajmniej kudły.

Mike odchylił się i sapnął, patrząc w sufit.

– Cholera, Hank – jęknął.

– No cóż, każdy w końcu dostaje bilet na tamten świat. Nie jestem głupi, wiem, że i mnie to dotyczy. – Wyszarpnął grubą teczkę z dolnej szuflady i rzucił ją na biurko tak głośno, że kot zeskoczył z grzejnika i przeszedł przez pokój. – Przyszedłeś to zabrać?

Mike przyjrzał się teczce niczym okazowi muzealnemu, odczekał moment, po czym zabrał ją z biurka i położył sobie na kolanach. Zawierała materiały dotyczące poszukiwań rodziców Mike'a, które prowadził Hank. Ich objętość była imponująca, szczególnie jeśli wziąć pod uwagę, że Mike pamiętał naprawdę niewiele, niemal nic, co mogłoby naprowadzić Hanka na trop. „John i mama”. Przybliżony wiek. Brak nazwiska, miasta pochodzenia, nawet stanu. W dodatku przed laty dochodzenia w sprawie porzuconych dzieci nie wyglądały tak jak teraz. Nie było też komputerowych baz danych. Połowa informacji, do których dotarł Hank, była na rozsypujących się ze starości mikrofiszkach, zresztą opisy zaginionych nie pasowały do wspomnień małego Michaela. Przez całe dziesięciolecie Mike żył z dręczącym przeświadczeniem, że rękaw ojca był poplamiony krwią matki. Może będzie musiał żyć z nim już zawsze.

Przekartkował zawartość teczki przepelnionej migawkami pamięci i potencjalnymi odpowiedziami. Geograficzna rozpiętość poszukiwań była ogromna, ponieważ Mike nie miał zielonego pojęcia, jak daleko był jego rodzinny dom od placu zabaw, na który trafił. Ojciec mógł przejechać ledwie kilka przecznic albo prowadzić przez całą noc. W teczce były sprawozdania z dochodzeń i skrypty rozmów telefonicznych, powiadomienia o przestępstwach oraz nekrologi wycięte z lokalnych gazet. Były też policyjne zdjęcia patrzących spode łba mężczyzn imieniem John, wszystkich w podobnym wieku, ale żaden nie był jego ojcem. Mike znał już na pamięć te obce twarze. Teraz aż wzdrygnął się na myśl o dzieciach, które porzucili, o kobietach, które stracili. Ale najbardziej przerażały go migawki z kostnicy – seria zdjęć w techniko lorze pokazujących kobiety zamordowane w latach osiemdziesiątych, po które nikt się nie zgłosił, a które znaleziono wiele lat później. Czytając raporty, Mike posiadał spory zasób lekceważących terminów określających zwłoki – umarłak, sztywniak, truchło, worek kości.

Zamknął teczkę i postukał w nią pięścią. Pamiętkowy album z nieudanego śledztwa. Lata ślepych uliczek. Lata wielkich nadziei i gorzkich rozczarowań, głęboko zakorzenione pragnienie, które jest jak nałóg.

Przyszło mu do głowy, że ta teczka zapisana bazgrołami gliniarzy,

pełna zdjęć sinych ciał i dowodów różnych nieszczęść, stała się wszystkim, co zostało mu po rodzicach.

Hank podniósł rękę i potarł nią po twarzy, z góry na dół, przez chwilę skórę miał obwisłą niczym basset.

– Przykro mi, Mike, że nie mogłem ci bardziej pomóc.

Przez te lata współpracował też z kilkoma innymi detektywami, lecz żaden nie był tak oddany sprawie jak Danville.

– Nie przyszedłem dziś po to – odparł, znów stukając pięścią w teczkę. – Przyszedłem cię przeprosić. Kiedy rozmawialiśmy przez telefon, byłem kompletnie roztrzęsiony. A przecież wiem, jak sobie radzić ze stresem. Tyle że przez długi czas tak dobrze się układało, że zapomniałem o wdzięczności wobec losu. Zapomniałem, jak to jest być pod wozem.

Hank wpatrywał się w niego uważnie. W końcu kiwnął głową.

Pręgowany kot wskoczył mu na kolana, a on zatopił palce w sierści na karku zwierzęcia, które zastygło i zmrużyło oczy.

– Dasz sobie radę z tymi rurami?

– To moja wina, cholera! Połasiłem się na niską cenę i nie dopilnowałem sprawy, a teraz jestem kłamcą i oszustem.

– Co masz na myśli?

Hank nadal przyglądał mu się z ciekawością, ale Mike tylko pokręcił głową. Nie było sensu zgłębiać tego tematu. Podjął decyzję i teraz po prostu musiał o wszystkim zapomnieć. Wstał z teczką w jednej ręce, a drugą wyciągnął nad biurkiem.

– Zawsze wykonywałeś dla mnie świetną robotę, Hank.

Uścisnęli sobie ręce, a później Mike wyszedł, pozostawiając detektywa wypatrującego przez okno, z kotem mruczącym na kolanach.

■ ■ ■

Jimmy czekał w pick-upie Mike'a, opuścił okno od strony pasażera, łokieć wysunął na zewnątrz, radio włączył na cały regulator. Mike zabrał go tego dnia ze sobą, bo musieli wybrać kamień na kominki, a biuro Hanka było po drodze do firmy kamieniarskiej, która mieściła się dobry kawałek drogi od placu budowy.

Mike wsiadł do pick-upa i rzucił pokazną teczkę na szeroką po-

wierzchnię nad tablicą rozdzielczą. Jimmy popatrzył na teczkę, lecz nic nie powiedział. Mike wcześniej wyjaśnił mu, że musi załatwić pewną sprawę, wyraźnie dając do zrozumienia, że nie ma ochoty nic tłumaczyć.

W aucie rozległo się rytmiczne ska, z ryczącym barytonem. Mike ściszył, ale wspaniałomyślnie nie zmienił stacji.

– Dzięki, że poczekałeś.

Jimmy wzruszył ramionami i dalej kołysał się do rytmu.

– Ty tu jesteś szefem, Wingate. – Ruszając, Mike obserwował, jak jego towarzysz uderza w przyciski na pulpicie, aż w końcu włącza ogrzewanie siedzeń. Ogrzewanie w pieprzonej Kalifornii. – Hej – powiedział Jimmy – mogę dostać tego pick-upa, jak już z nim skończysz?

– Nie, jeśli będziesz w nim puszczał taką muzykę.

Jimmy cmoknął lekceważąco, strzelając językiem o zęby.

– Shaggy tak zajebiście ryczy, że aż włosy stają na dupsku.

– I to ma być rekomendacja?

– Lepsza niż twój zasrany James Taylor.

– Mój zasrany James Taylor?

W ramach protestu Mike zaczął przekręcać gałkę radia. Trafił na Toby'ego Keitha, który nucił, że powinien zostać kowbojem.

Jimmy najwyraźniej nie podzielał jego tęsknoty, bo zrobił skwaszoną minę.

Mike kochał muzykę, a szczególnie country z gitarowym brzdąkaniem i dumnymi tekstami o ojcowskiej Ameryce i ludziach pracy, którzy przez całe życie podbijają kartę i o nic nie proszą. Rodzice są w tych piosenkach bohaterami, a jeśli mężczyzna nie będzie szczenił sił i potu dla tej ziemi, może liczyć na uczciwe życie i miłość dobrej kobiety. Uczciwe życie! Myśl o rurach z PCW wciąż dręczyła Mike'a niczym wrzucone do wody zwłoki, które nie chcą zatonać. Przez resztę drogi i potem, idąc w skwarze przez podwórze firmy kamieniarskiej, Mike był zdenerwowany i nie potrafił podjąć żadnej sensownej decyzji.

W drodze powrotnej mijali cmentarz, którego Mike nie znał, więc zjechał z głównej drogi i zatrzymał się przy bramie.

Jimmy popatrzył na niego, niezadowolony.

– Nie masz dość na dziś? Musisz znowu łązić między grobami?

– Dwie minutki – odparł Mike.

W budce siedział strażnik i czytał „Los Angeles Times”. Mike opuścił okno i zdumiał się na widok ziarnistego czarno-białego zdjęcia jego własnej twarzy tuż pod nagłówkiem: GUBERNATOR CELUJE W ZIELEŃ. Tak, to był on, szczerzący zęby w uśmiechu, w pełnej krasie kłamcy i hipokryty, otaczający ramieniem szerokie barki gubernatora. Gazeta zaszeleściła i poruszyła się, a za nią ukazała się rumiana twarz strażnika. Mężczyzna bez zbędnych pytań machnął ręką, wpuszczając Mike'a. Był czas, gdy zatrzymywano go i starannie sprawdzano na każdym posterunku i w każdej recepcji, teraz jednak żył zgodnie z prawem, a dziś siedział w markowej koszulce polo w zbyt drogim pieprzonym pick-upie.

Zaparkował pod zbyt rozrośniętą wierzbą i obaj wyskoczyli z auta. Jimmy wziął paczkę papierosów.

– Po cholere przeszukujesz te wszystkie cmentarze? – spytał.

– Szukam Johna.

– Po prostu Johna?

– Zgadza się.

I kobiety urodzonej pod koniec lat czterdziestych – dodał w myślach.

– Jest wielu Johnów, Wingate – mruknął Jimmy.

– Pięćset siedemdziesiąt dwa tysiące sześciuset dziewięćdziesięciu jeden.

Papieros zwisał Jimmy'emu z dolnej wargi. Jego brwi uniosły się niemal do gęstej czupryny. Zadumał się na chwilę, pewnie zastanawiał się nad zdrowiem psychicznym swojego szefa.

– W kraju?

– W stanie.

– Wiesz na pewno, że on nie żyje? Ten... John?

Mike pokręcił głową, pomyślał: pobożne życzenie. Zabrał teczkę z tablicy rozdzielczej, bo nie chciał, żeby Jimmy grzebał w papierach, i odszedł.

Murawa przyjemnie ugiwała się pod butami, a powietrze intensywnie pachniało mchem. Gdy Mike przechodził obok krzewu różanego, zaczął rękawem o kolczaste gałęzie. Pierwszego znalazł trzy rzędy dalej

– John Jameson. Daty niezbyt pasowały, ale przecież nigdy nic nie wiadomo. Dwa rzędy dalej teczka zaczęła mu ciążyć. Tamara Perkins. Może to mama? – pomyślał. Dostrzegł nagrobek pod tylnym płotem, ledwie widoczny, bo zasypyany opadłymi i uschniętymi liśćmi. Rozsunął je stopą i ujawnił wyryte nazwisko zmarłego. Może to ty? – przemknęło mu przez głowę. Porównał daty i zamyślił się. Zamknął oczy, wdychał znajome wonie i trochę marzył.

Wiedział oczywiście, że żadne z jego rodziców nie leży na tym cmentarzu ani na żadnej spośród tych niezliczonych nekropolii, przy których zatrzymywał się w ciągu minionych dwudziestu lat. Nie miał nawet pewności, czy naprawdę nie żyją. Plama krwi na mankiecie koszuli ojca kazała mu myśleć, że jego matki od dawna nie ma wśród żywych. A ojciec mógł równie dobrze zginąć z wielu różnych przyczyn. Ale nawet gdyby któreś nie żyło i gdyby cudownym zrzędzeniem losu Mike zjawił się na właściwym cmentarzu, i tak mógłby przejść obok właściwego grobu, nie mając o tym pojęcia. Więc czego, do diabła, szukał tutaj, na tych porośniętych bujną roślinnością wzniesieniach? Rytuałów, których mu odmówiono? Nigdy przecież nie dostał szansy, by odwiedzić umierającego rodzica, zobaczyć zakopywaną trumnę albo zachować wypełnioną prochami urnę.

Minął posępnych żałobników powoli rozchodzących się po pogrzebie parami albo czwórkami. Wydawali się tacy wyczerpani, powszechnie lęki i słabości były widoczne jak na dłoni. A Mike trzymał się z dala od nich, włóczył się wśród płyt nagrobkowych jak zombie. Próbował sam siebie przekonać, że przyszedł skądś, skądkolwiek, że gdy miał cztery lata, był kimś, kogo warto zachować przy życiu, uratować.

„Twoja matka i ja bardzo cię kochamy. Najbardziej na całym świecie”.

Czując się jak intruz, uprzejmie kiwnął głową wdowie i ominął grupę szerokim łukiem. „W Ameryce znów zaświeciło słońce”. Ruszył w górę nierówną, kamienistą ścieżką, przypominając sobie, jak koszula Hanka zwisała na jego łopatkach. „Nic, co się stało, nie jest twoją winą”. Znów poczuł ból poniżej biodra, gdzie uciskała go klamra pasa bezpieczeństwa, po raz kolejny zobaczył pot spływający po zaczerwienionym karku

ojca, znów poczuł pustkę w brzuchu czterolatka. „Gdzie jest mama?”. Pomyślał o jej wydatnych kościach policzkowych i oczy zaszyły mu łzami, a potem uprzytomnił sobie, że ramię poci mu się pod ciężarem teczki.

To absurd, ta teczka. Zbiór zdjęć i informacji o przypadkowych mężczyznach i kobietach, których łączył rok urodzenia, imię albo nieokreślony zbiór cech. Dotychczas Mike trzymał teczkę u Hanka. Co zamierzał zrobić z nią teraz? Zabrać do domu? Przejrzeć razem z Kat?

Głos pastora, uroczysty i pompatyczny, niósł się przez wzgórze. Widać odbywa się kolejny pochówek: stare jak świat formuły, z prochu powstałeś i w proch się obrócisz.

Myśl o chorobie Hanka otworzyła mu oczy na coś nowego, brutalną rzeczywistość, której musiał stawić czoło. Może chodziło o symboliczny fakt, że jego jedyny współnik w poszukiwaniach otrzymał wyrok śmierci. Mike uświadomił sobie z nagłą, okrutną wyrazistością, że w jego sprawie fiasko było nieuniknione, i to zawsze, od samego początku. Przez te wszystkie lata szukał igły w stogu siana.

Nigdy się nie dowie, nigdy!

Za rogiem zobaczył śmietnik, znak od miłościwego wszechświata, i natychmiast zerknął w dół, na grubą teczkę, drżącą w jego zaciśniętej ręce. Uniósł teczkę nad pojemnikiem. Z prochu powstałaś, wypowiedział w myślach, i w proch się obrócisz. Upuścił ją. Tępy grzechot odbijał się echem od skał.

Sprawa zamknięta.

9

Elektroniczna niania, w kojącym niebieskim kolorze, o łagodnych krawędziach, została stworzona po to, aby uspokajać. Czerwone światelka, dokładnie pięć, przypominały korektor na wyświetlaczu staroświeckiej wieży stereo i pełniły dokładnie odwrotną funkcję. Ich nagły błysk i ostra czerwień w naturze i wśród ludzi oznaczały pożar, niebezpieczeństwo, krew.

Pierwszy rządek zamigotał, później się ustabilizował, rzucając karmazynowa lunę na twarz Mike'a. Oznaczał zakłócenia. Zazwyczaj. Miał taki sam kolor jak cyfry budzika, który pokazywał trzecią piętnaście. Annabel spała mocno, oddychając z cichutkim świstem.

Teraz drugi rząd czerwonych świateł dołączył do pierwszego, zwiększając możliwe zagrożenie. Mike trącił kciukiem potencjometr, podkreślił dźwięk, aż rozpoznał odgłos białego szumu. Klimatyzacja w pokoju Kat? Kiedy Mike ostatnio sprawdzał, spała spokojnie pod kołdrą, przytulona do polarnej misia, dwie główki leżały na poduszce jedna obok drugiej.

Nagle Mike usłyszał stłumiony pęd powietrza, jakby smok robił wydech.

Wtedy dotarł do niego głos, słaby niczym szept, stłumiony przez zakłócenia.

– *Wygląda tak spokojnie, kiedy śpi.*

Mike zeszywniał, zmrożony strachem, myśli w jego głowie rozszalały się, szukając sensu. Przyśniło mu się?

Ale potem dotarło do niego kolejne niewyraźne zdanie:

– *Jak aniołek.*

Zerwał się pospiesznie, odrzucił na bok pościel i ruszył do biegu, nie zważając na jęki Annabel. Popędził korytarzem, twardo uderzając stopami o deski na podłodze, żona coś za nim wołała.

Ślizgając się, wpadł do sypialni Kat, spięty, gotów do walki, wyężdżając wzrok w ciemnościach, pragnąc objąć spojrzeniem cały pokój naraz.

Nic.

Klepnął włącznik światła.

Kat spała, tak samo błogo jak poprzednio. Annabel stała za Mikiem, oddychając ciężko.

– Co? Co się stało? – szeptała ochryplym głosem, chociaż oboje wiedzieli, że gdy córka śpi tak smacznie, w żaden sposób nie można jej obudzić.

– Zdawało mi się, że słyszałem głos.

– Co mówił? – Wyłączyła światło nasadą dłoni i zrobiło się ciemno.
– Co mówił?

Mike przetarł oczy, czekając, aż zniknie powidok lampy wiszącej teraz w ciemnościach. Słyszał świerszcze grające w korycie strumienia, który płynął poza ich ziemią. Annabel pogładziła go po plecach.

– Zdawało mi się, że powiedział...

Mike trząsł się, wściekłość już się wypaliła, adrenalina opadła, pozostał tylko nieokreślony strach. Poczul, że mięśnie ma napięte jak struna i silne jak u byka.

– Co takiego, kochanie?

– Powiedział... „Wygląda tak spokojnie, kiedy śpi”.

Powtarzając te słowa, na nowo poczul ich ciężar. Wierzył, że naprawdę je słyszał.

– Miałeś ostatnio tyle na głowie – zauważyła Annabel i przyłożyła dłoń do jego policzka.

Jej twarz wyrażała zrozumienie i – Mike obawiał się – także litość. Mimo zakłopotania poczul przymus, by odsunąć firankę i obejrzeć okno. Było zamknięte.

– Co ty...? – zaczęła Annabel.

Przyłożył ręce do skroni i wyrżał na ciemne podwórko za domem.

– Okno ma autoblokadę, ktoś mógłby wyślizgnąć się z powrotem na zewnątrz, a ono od razu by się zamknęło. – Czuł na sobie ciężar spojrzenia Annabel. – Mówię tylko, że to możliwe.

Mogli tu wejść i odezwać się do mnie przez nadajnik.

– Mike – spytała kobieta – kto chciałby coś takiego robić?

10

Kiedy następnego dnia Mike odbierał Kat ze szkoły, niosła słoik z małą gałązką i jeszcze mniejszą jaszczurką. Kat wsiadła na tylne siedzenie, założyła na uszy słuchawki i zaczęła przerzucać kanały w telewizorze. Mike obserwował ją we wstecznym lusterku, myśląc, że chyba jest dobrym rodzicem, skoro mała czuje się przy nim tak swobodnie.

– Zdejmij je i przywitaj się ze mną.

– Bezprzewodowe – odparowała Kat. – I mają redukcję szumów. Chcę tylko pokazać, że warto było wydać tyle pieniędzy. – Podniosła słoik wysoko, prezentując maleńką jaszczurkę. – Popatrz! Złapałam ją. A pani Cooper pomogła mi zrobić dla niej domek.

– Nie jestem pewny, czy to stworzenie ma tam w środku czymś oddychać, kochanie.

Kat zdjęła okulary w czerwonych oprawkach, złożyła je ostrożnie i schowała do etui.

– Zrobiłam dziury w wieczku. Nic jej nie będzie.

– Jaszczurka potrzebuje więcej tlenu. Umrze, jeśli ją zatrzymasz.

Dziewczynka wzruszyła ramionami.

– Ale ja ją lubię.

Uwięzione zwierzątko denerwowało Mike'a w nieracjonalny sposób. Jego irytacja rosła. Kat zachowywała się zazwyczaj tak dojrzałe, że łatwo zapominał, że czasem musiała postąpić stosownie do swojego wieku. Już jakiś czas temu odkrył, że jednym z najtrudniejszych zadań rodzica jest powstrzymanie się przed krytyką, kontrolowaniem i narzucaniem swojego zdania.

– Dokąd jedziemy? – spytała Kat.

– Muszę odebrać klamki do szafek z Restoration Hardware na Promenade. Pomyślałem, że pochodzimy tam trochę i coś przegryziemy.

Na buzi dziewczynki od razu pojawiły się radość i podniecenie. W oczach – bursztynowym i brązowym – odbiło się słońce, zmieniając ich odcień. Złość Mike'a w jednej chwili minęła.

Jechali przez jakiś czas, a później Kat znów zdjęła słuchawki.

– Przepraszam – powiedziała – że się nie przywitałam, jak wsiadłam do samochodu.

Dostrzegł jej przemądrzałą minkę – ewidentnie prowokowała go do odegrania złego rodzica – więc oznajmił:

– Nie twoje zachowanie jest złe, lecz ty.

– To jest – obwieściła radośnie – ingre... dialna część tego, kim jestem.

– Jako twój ojciec muszę oduczyć cię tej przesadnej pewności. Wyrzucić tę cechę z zakamarków...

– Mojego czarnego serduszka.

Zachichotała głośniej.

Zanim dotarli do Santa Monica, żartowali już tak długo, że Mike zdążył zapomnieć o nieszczęsnych rurach z PCW, elektronicznej niani i czekającym go w niedzielę koszmarze w postaci ceremonii wręczenia nagród z udziałem gubernatora. Wzięli się za ręce, chodzili po Promenade – tylko kiedy mijali witrynę sklepu Banana Republic z bezgłowymi manekinami, Mike musiał wziąć Kat na ręce. Podejrzewał, że nie obawiała się manekinów, odkąd skończyła cztery lata, lecz rytuał to rytuał.

Odebrał klamki, potem kupili bagietkę i czosnkowy cheddar od farmera na rynku. Usiedli na metalowej ławce obok fontanny ze stegozaurem i słuchali ulicznego artysty wykonującego *Heart of Gold*; grał szczerze i z sercem. Naprzeciwko jakiś bezdomny na wpół leżał na stercie czarnych ubrań. Wyglądał na nieżywego, ale Mike zauważył, że porusza ustami, bezgłośnie wypowiadając słowa piosenki, uśmiechając się przy tym do siebie, jak gdyby przypominał sobie dawną kochankę. Później wsunął dłoń pod obszarpaną marynarkę i zrobił ruch sugerujący, że serce mu kołacze, a Kat roześmiała się z ustami pełnymi jedzenia.

Grajek zawodził na ustnej harmonijce przytwierdzonej na specjalnym stoleżu, dzięki któremu miał wolne ręce. Bezdomny zaczął wykrzykiwać do Kat i Mike'a i swarliwym tonem przekazywać swoje obserwacje.

– Ten facet udaje Neila Younga lepiej niż sam Neil Young! Miałem sklepik z podkoszulkami w Nowym Jorku. Moja córka była asystentką dentysty w Tempe, potem go poślubiła i powiedziała, że mogę ich odwiedzać, jak tylko przyjdzie mi ochota.

Niedaleko stała kobieta w makijażu klauna i nadmuchiwała balony w kształcie zwierząt; balon kosztował tylko dwa dolary.

Mike wyjął kilka banknotów z pliku i wręczył je Kat.

– Chcesz balonik?

Wzięła pieniądze, zerwała się z ławki, ale przebiegła obok kobiety i dała pieniądze bezdomnemu, który wepchnął je do swojego żebraczego kubka i mrugnął do małej.

Kat wróciła i wdrapała się na ławkę obok ojca, który przez chwilę zachwycał się jej dobrocią. Grajek tym razem wybrał *Peaceful Easy Feeling*. Słuchali muzyki, a zachodzące słońce grzało ich twarze. Mike delektował się chwilą i na razie nie myślał o niczym innym.

Potem wziął córkę na barana i wrócili do pick-upa, nucąc usłyszane piosenki. W drodze do domu podjechali na frytki, kupili też mleczne koktajle, a Kat, wciąż przeżuując, siedziała przypięta pasem na tylnym siedzeniu, patrząc szklistym wzrokiem. Mike uśmiechnął się, widząc zadowolenie na jej buzi.

– Co? – spytała.

– Któregoś dnia się dowiesz.

Kiedy skręcił w San Vicente, zwierzyła się słabym głosem:

– Wiesz, zgubiłam Śnieżkę, ostatniego przedstawiciela ginących niedźwiedzi polarnych.

Mike rzucił okiem we wsteczne lustro i zobaczył, że jest zaniepokojona.

– Gdzie go miałaś po raz ostatni? – spytał.

– Nie wiem. W szkole odkryłam, że go nie mam. Pani Cooper każała całej klasie pomóc mi go szukać. Ale nie mogliśmy go nigdzie znaleźć. Wtedy przypomniałam sobie, że zostawiłam go w domu. Po

powrocie przeszukałam cały mój pokój, ale... – Wyjrzała przez okno, zasmucona, po czym wzruszyła ramionami. – I tak jestem już za duża na spanie z pluszakiem.

– Nie jesteś za duża na Śnieżkę – zaprotestował Mike.

– Może już czas – oznajmiła, a on poczuł, jakby kawałek jego serca odłamał się i odfrunął gdzieś w dal.

Formułował właśnie odpowiedź, kiedy dostrzegł czarnego sedana trzy samochody za swoim. Uświadomił sobie, że widział go już wcześniej, bo auto wyjeżdżało za jego fordem z parkingu. Teraz Mike skręcił w lewo, sedan również. W serce Mike'a natychmiast wkradła się panika.

Jechał ze wzrokiem niemal przyklejonym do wstecznego lusterka. Zasygnalizował skręt w prawo, ale minął zakręt i jechał nadal prosto. Sedan ani nie dał sygnału, ani nie skręcił. Kat ze słuchawkami na uszach pochłonięta była ekranem; kołysała się na siedzeniu wraz z ruchem pick-upa. Na zewnątrz było już ciemno, mrok rozpraszały tylko punkty reflektorów. Mike nie mógł dostrzec marki ani tablicy rejestracyjnej. Znowu poczuł, że mięśnie szyi ma spięte; jak gdyby nigdy ich nie rozluźnił.

Kiedy oderwał wzrok od lusterka, odkrył, że zbyt szybko zbliża się do samochodów stojących na światłach. Natychmiast wcisnął hamulec, a papierowy kubek z mlecznym koktajlem wyleciał Kat z ręki i spadł na siedzenie obok.

– K... cholera.

Na szczęście ford zatrzymał się o kilka centymetrów od zderzaka stojącego przed nim auta.

– Kolera? – Kat zachichotała.

Mike zdjął koszulkę i rzucił ją córce.

– Masz, wytrzymaj się nią.

– Przepraszam, tato.

– To nie twoja wina, kochanie.

Ustawił lusterko pod kątem. Sedan nadal ich śledził, stał za jakimś minivanem, Mike widział jeden reflektor. Krawędź maski wyglądała na wgniecioną, a czarny lakier był zmatowiały od kurzu.

– ...czy może Księżyc? – Kat chyba go o coś pytała.

– Przepraszam, co takiego?
– Co wolisz? Marsa czy może Księżyc? Ja lubię Marsa, bo jest cały czerwony i...

Światło zmieniło się na zielone, Mike odczekał moment, a potem ruszył. Minivan zmienił pas, a wtedy przelotnie mignęła ciemna przednia szyba i kratka wentylacyjna – samochód wyglądał jak mercury grand marquis. Chwilę później Mike stracił go z oczu, bo pomiędzy nich wjechał jeep.

Mike skręcił w pierwszą lepszą uliczkę osiedlową i przyspieszył.

– Tato, tato, tato.

Kat znalazła wyjątkowo długą frytkę, którą koniecznie chciała mu pokazać.

– Super, kochanie – bąknął. – Ale duża, co?

W lusterku za uniesioną frytką zobaczył, że mercury skręcił za nimi.

Kat poprawiła słuchawki, rozsiadła się wygodniej i wróciła do oglądania telewizji.

Mike skręcił za róg, przyspieszył, znowu skręcił, wycofał w alejkę. Zatrzymał samochód, wyłączył silnik i światła.

– Na co czekamy, tato?

– Na nic, kochanie. Muszę tylko nad czymś przez minutkę pomyśleć. Oglądaj swój program.

Wzruszyła ramionami i posłuchała.

Zapadła noc, psy szczekały, przed domami włączyły się reflektory, w oknach salonów zamigotały niebieskie ekrany telewizorów. Mike nie miał na sobie koszulki i czuł się dziwnie słaby i podatny na zranienie, a powietrze z otworów klimatyzacji owiewało mu tułów. Popatrzył na swoje ręce, które na tle kierownicy wydawały się białe, co znowu przypomniało mu... ojca.

Na końcu alejki dostrzegł światła jakiegoś samochodu, pewnie mercury'ego. Jechał powoli, być może kierowca się rozglądał, szukał. Był coraz bliżej.

Pomiędzy siedzeniami Mike znalazł klucz francuski. Palce drugiej ręki zacisnął na klamce, gotów w razie konieczności otworzyć drzwi. Reflektory były teraz tuż za fordem, świeciły Mike'owi w oczy. Już miał

wyskoczyć z auta, gdy sąsiednia brama do garażu zazgrzytała i zaczęła się otwierać. Światło przesunęło się i Mike zobaczył nadjeżdżający pojazd w całej okazałości – nie był to ciemny sedan, lecz biały mercedes. Wjechał na podjazd, a mężczyzna za kierownicą popatrzył podejrzliwie.

Mike przez chwilę ciężko oddychał. Twarz córki na tylnym siedzeniu jarzyła się w blasku ekranu, dziewczynka mrugała coraz wolniej. Odczekał jeszcze minutę, po czym wyjechał na pustą ulicę. Rozejrzał się ostrożnie i skręcił z powrotem na główny szlak. Pusto.

Kiedy jego oddech wreszcie się uspokoił, przeanalizował trasę, którą pokonał z Santa Monica – jechał jedną z większych dróg, potem autostradą; z wyjątkiem ostatniego objazdu. Ile razy właściwie skręcał? Trzy? Czy to było takie niezwykle, że kierowca mercury'ego wybierał tę samą drogę? Może Mike'a poniosła wyobraźnia?

Zachichotał, starł dłonią pot z karku. „Panie policjancie, jakiś mercury jechał za mną przez kilka przecznic. Parę razy skręcił dokładnie tam, gdzie ja. Nie, nie zauważyłem numerów, ale moglibyście go namierzyć dzięki zdjęciom satelitarnym”.

Po prostu czuł się winny z powodu ekologicznego oszustwa i zmęczony długim okresem pracy bez wytchnienia. Najwyraźniej miał manię prześladowczą, na wszystko patrzył nieufnie – od elektronicznej niani po samochody na drogach. Poza tym o rurach z PCW wiedzieli tylko ludzie zamieszani w sprawę, więc kto miałby go dręczyć? Nikogo takiego nie było. Nie było powodu. Nie miał czym się martwić. Koniec tematu.

A jednak przez resztę drogi do domu ciągle patrzył we wsteczne lustro.

■ ■ ■

– Stale drapie się w głowę. Przez cały czas. Nie zauważyłeś?

Mike obserwował, jak Annabel rozdziela włosy Kat i ogląda jej skórę głowy.

– Nie – przyznał.

– Ile razy coś załęgnie się w szkole, ona łapie to jako pierwsza. – Annabel obróciła głowę Kat, aby lepiej widzieć w świetle z łazienki. Było późno i wszyscy troje byli zmęczeni. – Nie ruszaj się, małpko.

– Nie złość się – mruknęła Kat. – Przecież to nie było tak, że sobie

powiedziałam: „Hm, czym bym mogła wkurzyć mamusię? O... już wiem. Złapię wszy”.

Mike odłożył klucze na kuchenny blat – właśnie wrócił z apteki, do której popędził, gdy tylko Annabel postawiła diagnozę – i wyjął z reklamówki butelkę z lekarstwem.

Kat przypatrzyła się złowieszczej czerwonej etykietce.

– Co w tym właściwie jest?

Mike podniósł butelkę, zmrużył oczy i odczytał składniki:

– Benzyna, sok ze skunksa, kwas akumulatorowy...

– Mamo...

– Tato żartuje.

– Ale na pewno jest w tym jakieś paskudztwo. Poparzy mi skórę. I grożą mi mutacje genowe...

– Na pewno nie – zapewniła ją Annabel znużonym głosem.

A jednak – jak zwykle – córka przekonała ich do swoich racji, więc w końcu zastosowali domowy środek, o którym Annabel przeczytała w internecie: we włosy Kat wtarła majonez, po czym owinęła jej głowę cienką, przezroczystą folią. Dziwaczny czepek podkreślił gładką buzię dziewczynki, która przypominała uśmiechniętego elfa. Mike poszedł do głównej łazienki i zabrał się do czyszczenia rąk, musiał usunąć majonez spod paznokci. Później przez elektroniczną nianię słuchał, jak Annabel śpiewa córce do snu; kołysanka była słodka, łagodna, a żona, jak zawsze, trochę fałszowała:

– *Śpij, dziecko, oczka zmruż, śpij do wschodu rannych zór.*

Uśmiechnął się do siebie, ale wtedy znowu przypomniał sobie brudnego czarnego mercury'ego z podejrzanym kierowcą, a potem kubek z mlecznym koktajlem, który wyleciał Kat z ręki i wylądował na siedzeniu, gdy Mike gwałtownie zahamował na światłach i...

Cholera!

Jaszczurka!

Wybiegł do pick-upa i odszukał słoik po maśle orzechowym wciśnięty pod siedzenie pasażera. Małeńka jaszczurka była martwa, jej szczupłe ciało leżało zgięte i wyglądało jak piórko.

Kiedy Mike wrócił do domu ze słoikiem, natknął się na Annabel,

która właśnie wynurzała się z sypialni Kat.

– Położyłam jej na poduszce ręcznik, żeby...

Dostrzegła słoik.

– Chciała ją zatrzymać – wyjaśnił Mike.

Żona wzruszyła ramionami.

– Jak inaczej dowie się o istnieniu śmierci? – Skrzyżowała ramiona i oparła się o ścianę. – Powiemy jej?

Przerabiali już tę kwestię z chomikami, złotą rybką i żabą, i jakoś wybrnęli, za każdym razem jednak było trudniej, bo Kat dorastała i rozumiała coraz więcej.

– Tak – odparł Mike. – Musimy.

– Wiem. Zrobisz to?

– Jasne.

Zostawił słoik w korytarzu, wszedł do sypialni Kat i usiadł na brzegu łóżka. Podniosła na niego wzrok – wyglądała szelmowsko i jakby cudziemsko w majonezowym turbanie.

Położył dłoń na łóżku i wbił palce w kołdrę.

– Nigdy cię nie okłamuję, prawda?

Skinęła głową, a wtedy Mike przypomniał sobie zagrzebane w ziemi rury z PCW, kłamstwo, które próbował zatuszować – kłamstwo związane z domami i nagrodą, którą miał otrzymać. Tyle że teraz nie była pora na roztrząsanie tamtej sprawy. To był czas ośmiolatki i niezwywej jaszczurki.

– Twoja jaszczurka umarła.

– Umarła? – Dziewczynka zamrugwała. – To znaczy co? Poszła do nieba dla jaszczurek? – Mimo żartobliwego pytania zauważył, że nieznacznie drży jej dolna warga. Po twarzy Kat przemknął żal, później zagryzła wargę i w ten sposób ją unieruchomiła. – No nic – dodała – możesz teraz powiedzieć: „A nie mówiłem”.

Nie podobało mu się, że Kat tak dobrze panuje nad emocjami. Spojrzał w dół, na swoje ręce, i myślał, co robić. Grać złego rodzica?

– Ludzie rzadko rozmawiają o uczuciach – rzekł. – Dusimy je w sobie i skrywamy, a wtedy, z czasem, zmieniają się we frustracje i lęki.

Dziewczynka uśmiechnęła się pod noskiem, jej oczy zaszkliły się, a

później przestała się powstrzymywać i łzy natychmiast spływały jej na policzki.

– Nie chcę, żeby moja malutka jaszczurka nie żyła.

Mike przez moment ścisnął córkę i uspokajająco gładził ją po plecach, a ona szlochając wtulona w jego ramię. W końcu się odsunęła.

– Mogę ją zobaczyć?

Mike przyniósł słoik, który Kat wzięła w małą rączkę i przechyliła tak, że jaszczurka ciężko opadła na gałązkę.

– Co się stanie z jej ciałem?

– No cóż, możemy zakopać je w ogródku za domem i...

– Nie – przerwała. – Zach Henson.

Minęła długa chwila, zanim Mike wydobył nazwisko z czeluści pamięci. Chłopiec z piątej klasy, białaczka, ubiegły rok. Mike i Annabel poszli na pogrzeb, gdzie mogli tylko uścisnąć ręce rodzicom zmarłego i bezradnie wypowiedzieć jedyne zdanie, które przyszło im do głowy: „Gdybyście czegoś potrzebowali...”. Potem siedzieli w pick-upie na parkingu przed kościołem, oniemiałi wobec ogromu tej strasznej tragedii. Annabel łkała cicho, Mike zaciskał dłonie na kierownicy, obserwując przechodzących obok krewnych chłopca – zgarbionych ze smutku, o zatroskanych twarzach. Jak zwykle Annabel potrafiła ubrać w słowa myśli męża: „Wszystko inne... tak myślę... wszystko inne bym zniosła, ale gdyby coś przytrafiło się Kat, chyba po prostu bym umarła”.

Teraz Mike odchrząknął, położył rękę na chudym kolanie córki.

– Ciało Zacha pewnie do tej pory obróciło się już w proch.

Dziewczynka podrapała się po głowie szczelnie owiniętej majonезowym turbanem. Minę miała posępną, zafrasowaną.

– A co będzie, jak ty i mama umrzecie? – spytała.

– Nic nam się nie stanie. Gdy dorośniesz, będziesz miała dość czasu, żeby martwić się o takie rzeczy. Teraz twoim zadaniem jest być dzieckiem i się bawić. Zawsze będziemy cię chronić. Do czasu, aż będziesz umiała chronić siebie sama.

Kat obróciła się, dotknęła miejsca, na którym zwykle spał jej miś polarny.

– Ale co będzie, jak po prostu pewnego dnia znikniecie, tak jak twoi

rodzice? Co wtedy się ze mną stanie?

To pytanie niemal pozbawiło go oddechu i słowa stanęły mu w gardle. Potrzebował dobrych kilku minut, żeby rozproszyć wątpliwości małej i w końcu pocałować ją na dobranoc. Później, gdy szedł korytarem do łóżka, mógłby przysiąc, że słyszy brzęczenie muchy, złą wróżbę, ale kiedy się odwrócił, w ciemności nie dostrzegł owada – ani na suficie, ani w kątach.

11

Gdy we troje weszli do Braemar Country Club, powitała ich ogromna rozpikselowana twarz Mike'a. Artykuł z wtorkowego „Los Angeles Times”, powiększony do rozmiaru drzwi, umieszczono przy wejściu do głównej jadalni. Obok wisiały podobne wycinki z innych gazet stanowych, tworząc tabloidową boazerię. Mike stanął, drażnił go niewygodny garnitur za osiemset dolarów. Czuł się nieswojo.

Chociaż na zdjęciu z gazety wyraźnie było widać jego heterochromię, dziennikarz wspomniał o „płonących brązowych oczach” Mike'a, ignorując fakt, że jedno z nich jest właściwie „płonącym okiem bursztynowym”. A jednak to przeoczenie było niczym wobec oszustwa, które tkwiło u źródła tego politycznego szumu – wobec nagrody za ekologiczne domy, które w ogóle nie powinny tak się nazywać. Gdy badawczo przyglądał się „laurce”, która wychwalała jego pracę pod niebiosa za zmniejszającą się warstwą ozonu, ogarnęły go straszliwe wyrzuty sumienia. A gdy poczuł drobną rączkę córki w swojej – również wstydy.

W końcu Annabel szarpnęła go za ramię i wyrwała z zadumy. Niechętnie wszedł, kiwając głową elegancko ubranym ludziom, z których wielu – rozpoznawszy go – uśmiechało się promiennie. Kat dotrzymywała mu kroku, trzymając kurczowo plecaczek pełen książek, które wzięła, na wypadek gdyby znudziła się przyjęciem. Kelnerzy krążyli po sali z kieliszkami szampana i przekąskami, których Mike nie potrafił rozpoznać. Wsunął do ust jakieś ciastko, ot tak, żeby się na czymś skupić, a jednocześnie penetrował wzrokiem tłum, szukając znajomych twarzy.

Kat zdążyła już wciągnąć dzieci Andrésa w zabawę w głuchy telefon. Annabel wyglądała olśniewająco w czerwonej sukience z wycięciem na plecach. Mike obserwował, jak żona bez trudu weszła w krąg mocno wymalowanych kobiet, poruszając się z wdziękiem zdobytym dzięki należytemu wychowaniu i naturalnej pewności siebie. Ta kobieta była cudem; w każdej nowej sytuacji odkrywał jej kolejną, nieznaną mu wcześniej cechę. Ale dzisiaj, gdy przypatrywał się jej z dumą, miał wrażenie, że ta swoboda tylko podkreśla jego skrępowanie i poczucie, że zupełnie tu nie pasuje. Czasami myślał, że naprawdę na miejscu czuje się tylko w domu, z rodziną.

Ruszył ku żonie, ale wcześniej do Annabel podeszła jakaś starsza kobieta z podkładką do pisania.

– Jest pani żoną Michaela Wingate'a, zgadza się? – spytała. – Muszę porwać panią do zdjęcia.

Chwyciła rękę Annabel i pociągnęła. Annabel wzruszyła ramionami, udając bezradność, a później odeszła z kobietą, nie przestając się uśmiechać.

Mike przeszedł przez pomieszczenie i zwrócił na siebie uwagę barmana.

– Dostanę budweisera?

Barman, przystojny młody mężczyzna w typie aktora czekającego na swoją szansę, wskazał butelki stojące za nim w pojemnikach z lodem.

– Jest tylko heineken. Trafił pan na niewłaściwe przyjęcie.

Mike przyjął chłodną butelkę. Gorzkie piwo smakowało wspaniale. Ostatnie dwa dni strasznie mu się ciągnęły, pewnie także dlatego, że tak bardzo obawiał się dzisiejszego wieczoru.

Wśród przechadzających się po sali gości Mike zauważył Andrésa, który stał obok jednego z wykwintnie zastawionych stołów przy podium. Trzymał torebkę żony i wyglądał na strasznie znudzonego, a na widok Mike'a wręcz przewrócił oczami, toteż ten musiał się odwrócić, żeby ukryć uśmiech.

Widok szefa sztabu gubernatora brylującego przy stole sprawił, że uśmiech zamarł na twarzy Mike'a. Bill Garner dostrzegł jego spojrzenie i lekko pochylił głowę. Mike nie mógł się powstrzymać – zinterpretował

ten gest jako jednoznacznie konspiracyjny. Czy inni ludzie też patrzą na niego w taki sposób? Nie potrafił pojąć własnego niepokoju. Od tygodnia spał się z byle powodu, wręcz bał się własnego cienia.

W przeciwległej ścianie były duże okna wychodzące na spadziste pole golfowe, teraz nieoświetlone. Mike przeciskał się przez tłum, pozdrawiając mijane osoby. Gdy znalazł się przy oknie i zapatrzył w horyzont, wreszcie trochę się uspokoił.

Kiedy tylko zaczął odsuwać od siebie troski, ktoś na niego wpadł. Mike zachwiał się i choć odzyskał równowagę, oblał sobie piwem nogawkę spodni.

– Och, przepraszam – stęknął ktoś ponad jego ramieniem.

Żyłasty mężczyzna o nierównym zaroście pochylił się ku Mike'owi, chwytając go za bark. – Mam PM. – Dziwnie pachniało mu z ust, jak z klatki dla ptaków, a na wargach miał czarne plamki. Pestki słonecznika? Mężczyzna sięgnął do kieszeni nędznej brązowej sportowej marynarki i wyjął chusteczkę. Mike przyjął ją i wytarł wilgotny ślad na udzie, jednak płyn zdążył już wsiąknąć. – Porażenie mózgowe – wyjaśnił tamten. – Problemy z równowagą, no wiesz. Tak czy owak, jeszcze raz naprawdę przepraszam.

– Nic się nie stało – zapewnił go Mike. – I tak nienawidzę tego garnituru.

Sportowa marynarka nieznajomego wyglądała jak z Armii Zbawienia – sztruks, poprzecierany materiał na łokciach, postrzępione rękawy. Mike oddał chusteczkę, a mężczyzna chwycił ją w dłoń skrzyconą jak u małpy. Oczami, osadzonymi w żółtawej twarzy, strzelał nerwowo to w lewo, to w prawo.

Jakiś zwalisty facet stał beczynn timer kilka metrów dalej, nie wyglądał na skrzępowanego, ale nie był też całkiem odprężony – trudno było odgadnąć jego uczucia. Wydawał się tak bardzo obojętny i osobny, że Mike dopiero po chwili zrozumiał, że ci dwaj są razem.

– Osiem razy przeszedłem operację wydłużenia ścięgna Achillesa, pięć razy ścięgna podkolanowego – kontynuował mężczyzna w sportowej marynarce. – Jedenaście razy podcinali mi ścięgna w prawej stopie, żeby zmniejszyć napięcie mięśni. W sumie miałem czterdzieści

cztery zabiegi. Nie liczę zastrzyków z botoksu w upośledzone mięśnie. Przyjmowałem leki przeciw atakom, potem leki przeciw skutkom ubocznym tamtych leków... no cóż, do diabła, wiesz już o mnie wszystko.

Mike poluźnił krawat, zastanawiając się, czego ten facet od niego chce. Ten drugi, wielkolud, nie ruszył się, patrzył tylko na ściany, niewiele pewnie widząc. Czy w ogóle słuchał?

– A mięśnie ciągle się kurczą. Z każdym rokiem chodzę trochę gorzej. Muszą znowu pokroić mnie tu i tam. A operacje są cholernie kosztowne. Z ich powodu nadal pracuję, to na pewno. – Podniósł kieliszek z winem do podbródka i wypluł do niego łupiny słonecznika. Rozmoknięte kawałeczki zebrały się na dnie kieliszka z resztką czerwonego wina. – Wszystko to dlatego, że nie miałem dość tlenu, kiedy się rodziłem. Nie moja wina. Ale muszę za to płacić, dzień po dniu. – Zachichotał. – Taka karma. Niezła z niej suka, co nie, Mike? Dopada nas wszystkich.

Mike uważnie wpatrywał się w twarz mężczyzny.

– Skąd pan zna moje imię?

Rozmówca kiwnął głową na powiększone zdjęcia z gazet.

– Człowiek na topie.

– A pan jest...?

– William.

– William...?

Tamten uśmiechnął się, prezentując żółtawe zęby.

– Mój kuzyn miał takie blizny. – Skinął głową na kłykcie Mike'a. –

Od dawnych bijatyk.

Mike wsunął dłoń do kieszeni.

– Miał?

– Ludzie z takimi rękami zazwyczaj nie dożywają szczęśliwego wieku średniego.

Przebiegła Kat, goniąc syna Andrésa i śmiejąc się hałaśliwie.

William wskazał na nich podbródkiem.

– Popatrz na te maluchy. Cały dzień mógłbym patrzeć, jak się bawią.

Sposób, w jaki patrzył na dzieci, zdenerwował Mike'a, który przestąpił z nogi na nogę.

– Bystra dziewczynka – podjął William. – Pewnie twoja... jest bardzo podobna, te kocie oczy. Od razu widać, że ona nie była adoptowana.

Ta uwaga przyprawiła Mike'a o gęsią skórę, tym bardziej że jego zdaniem on i córka wcale nie byli do siebie szczególnie podobni. I dlaczego w ogóle go obchodzi, czy Kat była adoptowana? Poza tym... Czy Mike źle usłyszał, czy też William rzeczywiście postawił akcent sugerujący, że Kat nie była adoptowana, w przeciwieństwie do... kogoś innego. Czy to miała być aluzja do jego przeszłości w rodzinie zastępczej? Co to oznaczało? I skąd ten facet mógł o tym wiedzieć? Mike poczuł przyspieszone pulsowanie z boku szyi.

– Więc kogo pan tutaj zna? – spytał.

– No cóż, Mike, teraz znam ciebie, prawda?

– Jasne – odparł spokojnie. – Ale pytam, kto pana tu zaprosił?

Wtedy ktoś powiedział coś głośno i wszyscy zaczęli siadać. Kobieta z podkładką do pisania pomachała Mike'owi i wskazała mu jego krzesło obok podium; jej gest był stanowczy i mówił: „Potrzebujemy pana!”.

– Lepiej idź – powiedział William. – Chyba chcą cię na scenie.

Mike nie miał wątpliwości – William po raz drugi uchylił się od odpowiedzi. Ten facet jeszcze bardziej utrudniał sytuację, która i bez niego była koszmarna.

Cierpliwość Mike'a naprawdę się wyczerpywała. Przełknął ślinę i spróbował zapanować nad irytacją.

– Nie odpowiedziałeś. Jak się załapałeś na przyjęcie?

– Och, po prostu lubię chodzić na imprezy. – William nie odrywał wzroku od Mike'a, a przy okazji wypluł kolejną łupinę, tym razem ponad brzegiem kieliszka na dywan. – Poza tym jest tu mnóstwo fajnych babeczek. – Znów wskazał porośniętym rzadkim zarostem podbródkiem. – Popatrz na tę pończotną laseczkę, o tam.

Wycelował w Annabel, która zajmowała miejsce przy brzegu stołu bankietowego na podium. Jej krzesło stało nieco bokiem, właśnie rozmawiała z kelnerem. Chociaż siedziała skromnie, założywszy nogę na

nogę, szeroki brzeg sukienki odsłaniał kolano. Ci, którzy stali niżej – tak jak William i Mike – bez trudu mogli dostrzec mały trójkąt białego jedwabiu pomiędzy jej nogami.

Mike poczuł, że twarz mu płonie. Mięśnie mu zeszywniały, a towarzysza Williama, wielki mężczyzna, który do tej pory ani na chwilę nie spuścił wzroku z przeciwległej ściany, postąpił pół kroku w stronę Mike'a.

Jak dawniej zalała go fala prymitywnego instynktu i był gotów do walki. Jego twarz była tak blisko Williama, że znów uderzył go smrodliwy oddech.

Kobieta z podkładką wywołała nazwisko Mike'a. Rozluźnił mięśnie i spokojnie odszedł. Wchodząc na podium, zdążył coś szepnąć w ucho Annabel, a ona od razu wygładziła sukienkę. Światła przyćmiono, w pełni oświetlony pozostał tylko stół bankietowy, przy którym siedzieli Mike i pozostali laureaci. Mike wyteżył wzrok, patrząc na salę, ale nie dostrzegł nic poza zacienionymi postaciami przy stolikach.

Gubernator zrobił wielkie wejście i jego barczyste ramiona przyćmiły podium. Na początek rzucił kilka zabawnych uwag i uśmiechnął się szeroko, prezentując słynną szparę między przednimi zębami. Do Mike'a dotarły chichoty z tłumu, ale nie wychwycił nic poza tym. Wciąż patrzył na grupy ledwie widocznych gości. Annabel, która źle zinterpretowała jego napięcie, uściśnęła jego dłoń, oferując wsparcie. Kat pomachała z dołu, ze stolika Andrésa.

Kolejni nagrodzeni wstawali i wygłaszali krótkie przemowy, jednak Mike nie potrafił skoncentrować się na tym, co mówili. Nagle wydało mu się, że wyszpiegował Williama kręcącego się na tyłach sali, ale wtedy zapadła straszna cisza i Mike uprzytomnił sobie, że dosłownie wszyscy się w niego wpatrują. Tamta kobieta, tym razem bez podkładki w dłoni, wypowiedziała do mikrofonu nazwisko Mike'a. Annabel ponagliła go, więc się podniósł, a później na drewnianych nogach przeszedł przez podium.

– Ja... hm... – Rozległ się pisk spowodowany sprzężeniem akustycznym. Mike znał powód: jego usta znalazły się za blisko mikrofonu. Na udzie, w miejscu, na które wylał sobie piwo, czuł chłód. Starał się ze

wszystkich sił wyrzucić z pamięci dziwaczne spotkanie. – Naprawdę nie zasługuję, żeby tutaj być – powiedział.

Bill Garner popatrzył na niego ze stolika dla ważnych osobistości; przekrzywił głowę i nerwowo się uśmiechnął.

– Chcę powiedzieć, że nie potrzebuję nagród, bo i bez nich wiem, jak wielkie spotkało mnie szczęście, że mam to, co mam, i robię to, co robię. Budzę się każdego dnia z myślą, że wygrałem na loterii. – Wreszcie trochę się odprężył i zerknął na żonę. Patrzyła na niego z uwielbieniem. – Bo właśnie tak jest. Mówię o mojej żonie, córce i pracy, którą kocham. – Spojrzał w dół, na deski podium. – Nie powiem, żeby budowa Green Valley była całkowicie bezinteresownym przedsięwzięciem. To rentowna robota, za którą mi zapłacono. – Kilka osób pragnących rozluźnienia atmosfery się zaśmiało. Może sądzili, że Mike żartuje. – Nie jestem żadnym działaczem na rzecz ochrony środowiska – ciągnął. – Po prostu nie chcę, żeby za kilka dziesięcioleci moja córka i wnuki źle mnie wspominały i gniewały się za to, że postąpiłem niewłaściwie.

Błysnął nowy pierścionek na palcu Annabel, a Mike pomyślał, że ten duży brylant doskonale symbolizuje jego dwulicowość. Jak gdyby czytając mu w myślach, Annabel wsunęła dłoń między kolana i popatrzyła gdzieś w bok, być może usiłując zachować spokój. Widząc jej zdenerwowanie, Mike zadrżał i na moment stracił wątek. Milczenie się przeciągało, było mu nieprzyjemnie, gdy rozpaczliwie szukał słów. Już miał wyznać prawdę, przyznać się do kłamstwa, odejść stąd i zacząć gramolić się z dołka, który sam wykopał pod sobą i czterdziestoma rodzinami, ale zamiast tego usłyszał własne słowa:

– Dziękuję wam za ten dowód uznania. Jestem zaszczycony.

Annabel zamknęła oczy i Mike zobaczył, jak pulsuje jej skroń. Zerwały się brawa i przy ich akompaniamencie opuścił miejsce oświetlone reflektorem, podszedł do żony i łagodnie dotknął jej ramienia.

– Chodźmy – wymamrotał.

W sali jadalnej włączono światła i na tym zakończyła się oficjalna część ceremonii. Mike badawczo rozglądał się po sali, nigdzie jednak nie dostrzegł Williama ani jego ogromnego towarzysza. Czuł się źle, w

głowie mu szumiało, żołądek podchodził do gardła na wspomnienie niedawnej rozmowy, niezasłużonej nagrody, chwili podczas przemówienia, kiedy Annabel odwróciła wzrok, jakby nie potrafiła spojrzeć mężowi w oczy. Chciał tylko wrócić do domu, zapomnieć o tym wieczorze pod parzącym prysznicem i zostawić to wszystko za sobą.

Podszedł fotograf.

- Potrzebujemy pana do jeszcze jednej sesji...
- Proszę wybaczyć – odburknął. – Naprawdę musimy już iść.

Kiwając głową swoim sympatykom, chwycił za rękę Kat, a potem poprowadził córkę i żonę do drzwi.

- Skąd ten wielki pośpiech? – zawołał za nim Andrés.

Kat promieniała.

- Tato powiedział, że zbudował Green Valley dla mnie – oznajmiła.

Annabel zmusiła się do uśmiechu. Mike szedł pospiesznie, starając się nie myśleć o komentarzu dziewczynki. Kilkoro gości stało na dworze, jednak poza tym na parkingu nie było żywej duszy. Mike rozglądał się wśród lśniących zagranicznych samochodów i hybryd. Popędził Kat i Annabel, prowadząc je między rzędami samochodów. Przy okazji szukał wzrokiem czarnego mercury'ego, który kilka dni temu za nim jechał.

– Mike – Annabel mocniej chwyciła pamiątkową tabliczkę, nagrodę Mike'a, o mało jej nie upuszczając – o co chodzi?

- Daj mi minutę.

Na drugim końcu parkingu, zaparkowana krzywo, więc zajmująca dwa miejsca, stała obskurna biała furgonetka wyróżniająca się wśród eleganckich aut. Nawet z tej odległości Mike widział wcisniętą między przednią szybę i tablicę rozdzielczą rozerwaną torebkę z ziarnami słonecznika firmy David. Przystanął kilka metrów od furgonetki. Siedzenia kierowcy i pasażera wydawały się puste, ale kabina za nimi była ciemna.

Pojazd nie miał z przodu tablic rejestracyjnych.

Mike odwrócił się do żony.

- Zabierz Kat, wsiądźcie do forda i zamknij wszystkie drzwi.

Annabel z troski zmarszczyła czoło, ale bez słowa zabrała córkę i pospieszyła ku pick-upowi. Chociaż parę osób szło po parkingu, kierując się do swoich samochodów, tutaj, w najdalszym rzędzie, nie było ni-

kogo.

Mike okrążył furgonetkę, oglądając ją z uwagą. To też był ford, stary, model z końca lat siedemdziesiątych. Kraciaste zasłony zakrywały wysokie tylne okno, ale na środku się nie stykały, więc zauważył za nimi brudną kratę. Poniżej, co dostrzegł z ulgą, znajdowała się tablica rejestracyjna, staroświecki typ kalifornijski – na niebieskim tle były żółte oznaczenia, tak starte, że Mike musiał kucnąć, żeby zobaczyć ich wypukłe kontury. W końcu wiedział –771 FJK.

– Pozwalasz, żeby twoja żona wychodziła tak ubrana? – spytał ktoś irytująco blisko.

Mike zerwał się do pionu. Twarz Williama, łypiącego z tylnego okna furgonetki, wyglądała spomiędzy lekko rozsuniętych kraciastych zasłon, które okalały ją niczym włosy. Tylne drzwi uchyliły się ze zgrzytem, toteż Mike odskoczył, a serce zabiło mu mocniej w piersi. William wysunął się ciężko z ciemnego wnętrza, a za nim pojawił się jego wielki towarzysz.

Mike zrobił głęboki wdech.

– Nie muszę jej na nic pozwalać.

Gdzieś w pobliżu rozległo się wycie alarmu samochodowego. Mike odnotował też z radością, że wokół kręci się więcej osób zmierzających do swoich pojazdów w różnych częściach parkingu. Czy oni ukrywali się w furgonetce, bo zamierzali pojechać za nim do jego domu?

William z lekkim uśmieszkiem ruszył ku Mike'owi dziwacznym, chwiejnym krokiem.

– Dlaczego nas nękaasz? – Dla podkreślenia swoich słów zakręcił kieliszkiem do wina w połowie wypełnionym na wpeł przezutymi łupinami słonecznika. – Przyszedłeś tu za nami, zaglądasz do naszej furgonetki, szpiegujesz nas. – Wypluł łupinę na asfalt blisko stóp Mike'a, a później wykonał ruch podbródkiem, gest, którego najwidoczniej używał zbyt często. – Lepiej wracaj do rodziny.

Mike nerwowo przenosił wzrok od Williama do wielkiego mężczyzny, który stał w milczeniu, z założonymi na piersi potężnymi ramionami, a ponieważ jego twarz częściowo kryła się w mroku, pozostawała nieprzenikniona.

- Co to wszystko, do diabła, znaczy?
- To znaczy, że człowiek rodzinny, dobry mąż i ojciec, ma lepsze rzeczy do roboty, niż sterczeć tu i gadać z parą szumowin.

Zerknął gdzieś obok Mike'a i ten się odwrócił.

Annabel na przednim siedzeniu spoglądała z niepokojem przez przednią szybę. Pick-up stał dwa rzędy dalej, ale i tak Mike dobrze widział Kat, która stała na tyle i przeszukiwała plecak. Obie były doskonale widoczne, wyeksponowane. Nocne powietrze, rześkie w płucach Mike'a, pachniało trawą skoszoną na dalekim polu golfowym. Wyczuł też subtelny aromat dymu z cygara. Widział, że Annabel wzrokiem błaga go o powrót.

Odrzucił się jednak znów do furgonetki.

- Chodzi wam o Green Valley?
- O Green Valley? – William wydawał się szczerze zdezorientowany.
- Śledziliście mnie – upierał się.

William strzelał oczami na boki, szybko, jakby to był tik, którego nie potrafił opanować.

– Jeśli dobrze rozumiem, jacyś ludzie pana prześladują, panie Wingate. Ale niech się pan nie wyładowuje na mnie i moim przyjacielu, Dodge'u.

Patrzyli sobie w oczy, żaden nie chciał pierwszy odwrócić wzroku. Mike zrobił kilka kroków w tył, potem obrócił się na pięcie i szybko skierował do pick-upa. Żona obserwowała go w napięciu. Kilka przechodzących osób pogratulowało mu, a on kiwał głową, choć twarz nadal płonęła mu z gniewu. Kiedy zbliżył się do samochodu, Annabel natychmiast szeroko otworzyła drzwi.

Kat patrzyła w inną stronę, wskazywała w boczne okno i się śmiała.

- Ale ta pani ma zwariowany kapelusz!

Mike usłyszał za sobą trzask.

Spojrzał przez ramię. William wyglądał żałośnie, ściskając drżący nadgarstek i przepaszając małą grupkę ludzi, którzy zgromadzili się wokół, zmartwieni.

- Tak mi przykro, po prostu mi się wyślizgnął. – Jakiś mężczyzna w

garniturze wykorzystał zrolowane czasopismo i za jego pomocą usuwał szkło z opon. Dodge kucnął, żeby pomóc, lecz jego wargi wciąż pozostawały mocno zaciśnięte. Czyżby był niemy?

Annabel wysiadła z pick-upa.

– Mike, co tu się, do diabła, dzieje?

Chwycił ją za ramię, zwracając ją opiekuńczym gestem na siedzenie.

– Jedziemy. Za chwilę ci wszystko wyjaśnię.

– To boli – jęknęła do niego cicho.

Puścił ją. Jego palce pozostawiły na skórze żony czerwony ślad. Annabel wsiadła do samochodu, a Mike obszedł go, kierując się ku siedzeniu kierowcy.

Jednak William i Dodge znaleźli się tam przed nim. Odwrócił się i przyciągnął uwagę żony. Zrozumiała i pobladła. Bez wahania podniosła rękę i Mike usłyszał kliknięcie automatycznych zamków. Kat na tylnym siedzeniu układała książki w plecaku i była na tym całkowicie skupiona.

William zaszedł Mike'owi drogę; poruszał się bardzo szybko. Biodra jakby mu ciążyły, a jednak w niczym nie przypominało to wcześniejszego przesadnego kuśtykania. Mike zastanowił się, na ile mężczyzna robił użytek z choroby, podobnie jak Shep wykorzystujący zły słuch.

Zatrzymał się, gotów stawić napastnikom czoło, a gdy William znalazł się w jego zasięgu, rzucił ironicznie:

– Widzę, że porażenie trochę ustąpiło.

Mężczyzna odsłonił żółte zęby.

– Dziękuję ci, panie Jezu.

Dodge stał nieruchomo, trzymając jedną ręką za plecami. Ukrywał nóż? A może pistolet?

Mike poczuł przypływ adrenaliny, tak potężny, że aż zakręciło mu się w głowie. Williama mógłby powalić w ułamku sekundy, ale Dodge pozostawał dla niego zupełną niewiadomą. Wyglądał, jakby potrafił złamać każdy kark jednym ruchem ręki. Ale Mike nie bał się o siebie, lecz o Annabel i Kat. Córka nadal skupiała się na plecaku, ale lada chwila może podnieść główkę i zobaczyć, co się dzieje. Mike starał się dać Annabel do zrozumienia, żeby przeskoczyła na siedzenie kierowcy i

odjechała, wiedział jednak, że Annabel nie zostawi go tu samego.

William wypluł garść łupinek na jego buty.

– Nie pluj na mnie – warknął Mike.

Tamten przesunął sobie językiem po zębach, a później go wysunął – na jego końcu była czarna łupina. Po chwili splunął Mike'owi prosto w pierś.

– Jeszcze raz i będziemy mieć problem – ostrzegł Mike.

William ułożył usta w ryjek, a szczecina na jego policzkach najeżyła się; zmrużył oczy i patrzył z zachwytem.

– Ach. Ślicznotka.

Kobieta w futrzanej kurtce przeprosiła Mike'a, prześlizgnęła się obok i wsiadła do jaguara. Jej widok przywrócił mu zdrowy rozsądek. Zrobił wydech i otrząsnął się z wściekłości. Później zrobił krok w tył, ustępując pola, choć nie spuszczał wzroku z potężnej ręki Dodge'a ukrytej za plecami.

Zerknął szybko przez ramię. Kat patrzyła prosto na niego z tak samo poważną miną jak jej matka. Spróbował rozsądku.

– Popatrzcie na tych ludzi. To elegancka impreza. Nie będziemy tu walczyć.

– Walczyć? – William wyszczerzył zęby w uśmiechu, nawet na twarzy Dodge'a pojawiło się rozbawienie, Mike dostrzegł szpary między jego zębami. – W takich sprawach istnieją zazwyczaj stopnie eskalacji. Krzyki, prowokacje, popychanie. Nie chcielibyśmy opuścić gry wstępnej, prawda?

– Owszem – odparł Mike. – Opuścimy ją. Nie wiem, w co gracie, ale to koniec zabawy.

– Wcale nie – odezwał się Dodge głosem cichym, niemal drżącym, który zaskoczył Mike'a.

Wielki mężczyzna wyjął rękę zza pleców i upuścił to, co w niej trzymał – pluszowego misia polarnego.

12

Pierwszą reakcją Mike'a nie był gniew ani strach, lecz kompletne niedowierzanie. Następne zdarzenia rozgrywały się powoli, ciężko, jakby wszyscy pełzali w syropie – dłoń Dodge'a, ciągle otwarta; usta Williama poruszające się, gdy żuł ziarna słonecznika; polarny miś Kat kołyszący się nieznacznie na asfalcie parkingu, jedna pluszowa łapka czysta, druga ciemniejsza w kałuży oleju. Widok zwierzątka w takim miejscu wydawał się surrealistyczny, niepokojący.

Szukając odpowiedzi, Mike myślał szybko, niemal czuł ciężką pracę trybików w swojej głowie. A jednak nie miał pojęcia, jak znalazł się tutaj biały miś córki.

– Skąd go macie? – spytał w końcu.

Odpowiedział mu William, który stał bliżej.

– Znaleźliśmy. – Uśmiechnął się przebiegle. – Należy do Katherine?

Dźwięk pełnego imienia córki wypowiedzianego przez Williama coś w nim wyzwolił. Trybiki w głowie Mike'a zazębiły się, machina ruszyła. Wszystko wokół niego – i jego myśli – wróciło do normalnego tempa. Głos w odbiorniku niani elektronicznej. Okna w sypialni Kat, które same blokują się od środka. Czy oni byli w pokoju jego córki?!

Krew płynęła mu w żyłach jak wystrzelona z armaty. Niezwykłe wyostrzył mu się wzrok, ale potem widok przed jego oczami się rozmasał. Rzucił się na Williama, uderzając go czołem w twarz. Kość uderzyła o kość. William sapał, Mike dyszał, ich oddechy się mieszały, oczy przez jedną zmrożoną chwilę dzieliły centymetry. Mike patrzył z

bliska na jedną brązową tęczę poruszając się szaleńczo z powodu szoku i bólu.

William zatoczył się w tył, zawył. Mike poczuł na czole krople potu tamtego. Było coś tak prymitywnego w uderzeniu z byka, w użyciu własnej twarzy jako broni. Zadanie tego ulicznego ciosu, ulubionej zagrywki Shepa, pozostawiło go bez tchu, ale w uniesieniu myślami był bliżej Shady Lane niż Braemar Country Club.

Dodge przyjrzał mu się ze szczerym zainteresowaniem niczym kot śledzący poczynania kanarka.

William przewracał się na ziemi, trzymając się kurczowo za policzek.

– Widzieliście? – krzyczał. – Uderzył mnie! Ten mężczyzna mnie uderzył!

Ludzie wychodzący z klubu zatrzymywali się i gapili. Głowy obracały się, szyje wyciągały ponad dachy pojazdów. Kilka osób stało bez ruchu, patrząc i dumając, co, do diabła, powinni robić. Chora noga Williama sztywno drgała, drapiąc asfalt.

Dodge lekko otworzył usta, pokazując zęby, choć jak na niego był to gest niezwykle wymowny.

Mike wyprostował się i popatrzył przeciwnikowi w oczy.

Jakaś część jego umysłu wychwyciła krzyk Kat z tylnego siedzenia pick-upa. Dźwięk przebił się przez stłumione brzęczenie białego szumu, który wcześniej zawładnął jego głową, i pozwolił Mike'owi wrócić do teraźniejszości. Zawahał się, próbując się uspokoić. Oddychał tak intensywnie, że jego ramiona z wysiłku to się unosiły, to opadały.

Annabel wołała, żeby wsiadał, a wtedy pomyślał o nich obu, obserwujących jego wyczyn, oddzielonych tylko przednią szybą. Wszystko, czego utratę ryzykował, reasumowały spojrzenia wycelowane w jego kierunku, spojrzenia tych elegancko ubranych ludzi, którzy widzieli, jak uderzył kalekę.

Mike wycofał się do pick-upa, a tymczasem kilka odważniejszych dobrych duszyczek podbiegło do Williama.

Dodge ani na chwilę nie oderwał od Mike'a wzroku.

– Już niedługo – powiedział, a Mike'a przebiegł gorący dreszcz.

Wsiadł do pick-upa, przekręcił klucz w stacyjce. Zwarta grupa oto-

czyła teraz dwóch mężczyzn, oświetlonych reflektorami samochodu. William trzymał się za twarz, gdy pomagano mu wstać, ale chwilę później noga się pod nim ugięła i znów runął na ziemię.

Kobiety posłały Mike'owi zażenowane spojrzenia.

– Co się dzieje? – spytała cicho Annabel.

– Nie wiem – odparł.

Położył ramię na oparciu siedzenia, odwrócił się i wyjechał z parkingu na wstecznym biegu. Kat leżała zwinięta na tylnym siedzeniu, jej policzki lśniły. Gapie rozproszyli się, gdy Mike wycofywał pick-upa, nie odwracając wzroku od wstecznego lusterka.

W czerwonym poblasku świateł postojowych zauważył Williama, który nadal leżał, krzywiąc się i próbując stanąć na bezwładnych nogach. U jego boku stał Dodge, nieludzko wysoki, i przechyliwszy głowę, nieruchomymi oczami obserwował, jak odjeżdżali.

13

– Więc mamy Williama. I... Dodge'a, czy tak?

Śledczy postawił kubek z kawą dokładnie na jednej z licznych okrągłych plam szpecących powierzchnię jego zbyt małego biurka. Był dużym facetem o zapadniętych policzkach, szerokich, krzywych ustach i słowiańskim nazwisku – Markovic – wydrukowanym na odrapanej tabliczce.

Jego partnerka, dla kontrastu, miała nieskazitelne rysy, skupioną minę i gładką, ciemną cerę. Simone Elzey nosiła tanią koszulę na guziki z podwiniętymi mankietami. Stwardniałe dłonie i masywny kark zdradzały zamiłowanie do siłowni. Anioł wytatuowany z lewej strony szyi robił onieśmielające wrażenie, a Mike pomyślał, że właśnie o to jej chodziło. Gdy omówili podstawowe kwestie, kobieta wyszła do pomieszczenia na tyłach, aby wprowadzić do komputera raport. Wydawało się, że poza tym nie zamierzają zrobić absolutnie nic.

Posterunek szeryfa w Lost Hills, który znajdował się kilka kilometrów od domu Wingate'ów, był pusty i cichy. O jedenastej w niedzielę wszyscy – łącznie z Markovicem i Elzey – mieli lepsze rzeczy do roboty. Mike i Annabel siedzieli na drewnianych krzesłach o prostych oparciach; wyczerpana Kat osuwała się na kolanach matki. Wiele razy opisali całą historię, śledczy stale zadawali te same pytania, zmieniając ich kolejność lub intonację, choć zawsze z dużą dozą sceptycyzmu.

Ponieważ do scysji doszło w dzielnicy Tarzana, Mike'a i Annabel poinformowano, że jeśli zostanie wszczęte oficjalne dochodzenie, trzeba będzie powiadomić Policję Los Angeles. W drodze powrotnej zadręczali

się, co robić, i ostatecznie trafili na swój miejscowy posterunek. Mike pomyślał, że to jedyny komisariat, jaki tu znał. Inaczej było w czasach Shady Lane, kiedy on i Shep dobrze znali wnętrza każdego komisariatu, do którego z rewiru Kanapowej Matki mogli dotrzeć kradzionym samochodem.

– Tak. Już mówiłem – potwierdził Mike, pocierając szyję.

Markovic studiował jego oblicze zmętniałymi szarymi oczami.

– Zna pan nazwisko?

Pytanie, zadane po raz trzeci, dobiło Mike'a. Ogarnął go niepokój i dziwne, coraz intensywniejsze poczucie winy, którego nie potrafił wyjaśnić. Wyczuwając dyskomfort męża, Annabel wyciągnęła rękę i położyła ją na jego ramieniu.

– Nazwisko? – powtórzył Markovic.

W końcu Mike odkrył źródło niepokoju – wspomnienie pierwszego przesłuchania po tym, jak porzucił go ojciec. Podobny posterunek policji, pytania, którymi go zarzucano z prędkością karabinu maszynowego, a które tylko pogłębiały jego otumanienie i swego rodzaju amnezję. „Nie znasz swojego nazwiska? A imię twojego ojca? Znasz jego imię?”. Spróbował się opanować, chłonął więc otoczenie – plakaty poszukiwanych dzieci, ogorzałych mężczyzn, rzucających gniewne spojrzenia z policyjnych fotek, przykry zapach nieświeżej kawy. Pod wieloma względami było jak przed laty. Ale – przypomniał sobie – było też inaczej. Mike był teraz dorosły. Płacił podatki, był członkiem społeczności.

W starych głośnikach grali Steve Miller Band i przebijali się nad trzaskami policyjnego radia.

– Nie – odparł, może trochę zbyt stanowczo. – Już mówiłem.

Myslałem, że numer tablicy rejestracyjnej będzie pasował.

– Już mówiłem – odparował śledczy – numer, który pan podał, należy do brązowego cadillaca eldorado rocznik tysiąc dziewięćset siedemdziesiąt osiem i ostatnio został zarejestrowany w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym pierwszym na Jirou Arihyoshiego, ogrodnika z Yuba City. Więc jeżeli pan się nie pomylił...

– Nie pomyliłem się.

– Hm...

W telewizji to zawsze wygląda tak łatwo. Katalog ze zdjęciami przestępców, odcisk palca, a po chwili przez drzwi wpada Jack Bauer. I już. Niestety, Mike nie znał nazwiska, pamiętał tylko białą furgonetkę i numer tablicy rejestracyjnej, którą wycofano z obiegu dwie dekady temu. Pomyślał, jak się czuł w biurze Hanka, kiedy zmierzył się z „teczką ślepych uliczek”. Igła w stogu siana.

Annabel nie uwierzyła, że William i Dodge włamali się do nich w nocy, ukradli misia i szeptali do odbiornika; ale martwiła ją ich wrogość. Skoro mieli misia, albo śledzili rodzinę, albo węszyli wokół Kat. Na pewno czegoś od nich chcieli.

Markovic przekartkował notatki.

– Ma pan tego... pluszowego misia?

– Nie, ja...

– Odjechaliśmy – dokończyła za niego Annabel – i zostawiliśmy zabawkę na parkingu. Nie wydawało nam się rozsądne wracać po nią.

– Hm... – Śledczy wpatrzył się w Mike'a. – I twierdzi pan, że ten drugi samochód jechał za panem?

Mike wspomniał wcześniej o zdarzeniu z mercurym, Annabel przyjrzała mu się wtedy dziwnie. Teraz żałował, że w ogóle o tym mówił.

– Tak mi się wydawało, ale nie mogę mieć pewności... To było w środę. Mercury grand marquis.

– Ale ci faceci w nocy, ten William i... – rzut oka w notes – ...i Dodge... mieli furgonetkę.

– Mogą mieć dwa samochody.

– Och, jasne. Oczywiście.

Mike przycisnął sobie opuszki palców do obolałego miejsca na czole i obmacał siniak. Markovic odpłynął myślami i kontemplował notatki. W przyległym biurze odwrócona do nich szerokimi plecami Elzey ciągle stuknęła w klawiaturę. Potem rozmawiała przez staroświecki telefon, którego skręcony przewód Mike widział ze swojego miejsca. Rozłączyła się, wykręciła inny numer. Mięśnie szyi miała napięte i Mike'owi nie podobał się język jej ciała. Po chwili weszła do sali, w której siedzieli, i kiwnęła palcem.

– Marko – rzuciła krótko.

Śledczy Markovic odepchnął się na krzesło, które cicho zaskrzypiało, jakby protestując, wstał i dołączył do współpracowniczkę. Coś w stylu ich rozmowy działało Mike'owi na nerwy. Twarze pozornie obojętne, zęby zaciśnięte, ledwo poruszali wargami. Elzey zauważyła, że Mike obserwuje ich przez szybę, i natychmiast jednym ruchem zamknęła żaluzje.

Mike, zakłopotany, znów skupił uwagę na rodzinie. Kat opadały powieki, w końcu zamknęła oczy.

– Musimy odwieźć ją do domu – wyszeptała Annabel.

– Jak tylko ten facet wróci.

– Sądzisz... – zaczęła Annabel i przerwała. Kiwnął jej głową, żeby mówiła dalej. – Sądzisz, że ta sprawa ma coś wspólnego z rurami? Albo programem gubernatora?

– O czym mówicie? – Kat znów otworzyła szeroko oczy. – Jakie rury?

– Nic, Kat – uspokoił Mike, a później odpowiedział żonie: – Wątpię. Trudno sobie wyobrazić, żeby ktoś coś takiego wymyślił.

– Co wymyślił?

– Nie teraz, Kat – jęknął Mike. – Śpij sobie.

Dziewczynka patrzyła na niego, marszcząc czoło, ale znów oparła policzek o pierś matki. Annabel w roztargnieniu gładziła jej włosy, wzrok jednak skupiła na mężu.

Mike naprawdę miał nadzieję, że ta sprawa miała coś wspólnego z rurami z PCW albo kampanią, jaką Bill Garner prowadził dla gubernatora. Takie rozwiązanie byłoby sensowne, znajome, więc logiczne, wskazywałoby na jasne pobudki i kumoterstwo. A poza tym taką sytuację można by jakoś rozwiązać. Nie powiedział głośno, czego bał się najbardziej: że to nie miało absolutnie nic wspólnego z Green Valley! Że chodziło o zupełnie inną paskudną sprawę, która jeszcze nie wyplłynęła na powierzchnię.

Wrócili Markovic i Elzey, ich pewny krok wskazywał, że w oboje wstąpiła świeża energia. Policjantka obróciła krzesło i dosiadła je niczym harleya.

– Napotkaliśmy trudności w ostatecznym ustaleniu pewnych szczegółów biograficznych – obwieściła, po czym dodała: – Dotyczących pana osoby.

Mike poczuł, jak jego puls wyraźnie przyspiesza.

– Dlaczego mnie prześwietlacie?

– „Prześwietlamy” pana?! – Markovic uniósł brwi, jak gdyby był pod wrażeniem. – Ho, ho, ho, ktoś tu ogląda *Prawo i bezprawie*.

– Słuchajcie – wtrąciła Elzey. – Ktoś nas prosi o zajęcie się jego sprawą, więc się nią zajmujemy. Ma pan czyściutki akta, bez jednej skazy, ale są w nich liczne luki. Jeśli jest pan naprawdę taki zaniepokojony, jak pan twierdzi, na pewno chętnie je pan uzupełni, żebyśmy wiedzieli, gdzie szukać.

Mike przypomniał sobie, jak stali w biurze na tyłach, i był ciekaw, o czym rozmawiali, że zrobili się tacy napastliwi.

– Nie wiem, co miałbym uzupełniać.

– Musi coś być. Jakaś nieudana transakcja, dziwaczna stłuczka, zagrożenie wypadkiem... Nigdy nie był pan w takiej sytuacji?

– Nie. – Mike nie potrafił zbyt dobrze udawać i był pewny, że na jego twarzy widać kłamstwo. Ale nie mógł po prostu opowiedzieć o rurach z PCW ani o cichej umowie, którą zawarł w biurze gubernatora. Poza tym poczuł pewność, że konfrontacja na parkingu nie miała nic wspólnego z Green Valley. Niewypowiedziane zagrożenie, zawołana przemoc, aluzje do jego rodziny... tu nie chodziło o marketingowe bzdury, kampanie, subsydia czy ekologiczne domy.

Elzey rozłożyła ręce.

– Nie możemy panu pomóc, jeśli nie będzie pan wobec nas otwarty.

– Chwilę. Teraz nagle chodzi o niego? – Annabel usiadła prosto, niemal spychając z kolan Kat.

Dziewczynka pożaliła się, a wtedy Markovic się nad nią pochylił.

– Może pójdziesz pobawić się na tamtych krzesłach? – zaproponował.

– Jest zmęczona – wyjaśniła Annabel. – Ale mogłaby się położyć.

Kat zawlokła plecaczek do rzędu krzesel i wdrapała się na jedno z nich. Jej tenisówki dyndały kilka centymetrów nad poplamioną kaflową

podłogą.

– Dwóch facetów zaatakowało mnie na parkingu – obruszył się Mike. – Co ma do tego moja przeszłość?

– Może pan nam to powie? – Elzey mówiła uprzejmym, pojednawczym tonem. Kiedy pochyliła głowę, aby posłuchać, czarny anioł na jej ciemnej skórze wyglądał jak niezwykle znamię. – Zresztą nie wiem, czy to oni pana zaatakowali, może raczej pan ich... Ale, jak rozumiem, zachowywali się dziwnie...

– Nie zachowywali się po prostu dziwnie. Nie szukali zwykłej zaczepki. – Mike nieszczególnie dobrze czuł się w zbyt drogim garniturze. Zerwał krawat i wsunął go do kieszeni. – To niebezpieczni ludzie. Potrafię wskazać różnicę.

– Skąd pan ją zna? – Markovic wytrzymał spojrzenie Mike'a. – No wie pan, taki prawy biznesmen jak pan... gdzie pan się nauczył oceniać ludzi w taki sposób?

– Każdy potrafiłby ocenić intencje tych facetów. – Nakręcał się coraz bardziej, szybko wyrzucał z siebie słowa. – W dodatku ukradli coś mojej córce.

– Z tego, co pan mówił, można by raczej wnosić, że próbowali zwrócić zaginiony przedmiot.

– A jak on państwa zdaniem zginął? – spytała Annabel.

– Córka miała ze sobą plecak – zauważyła Elzey. – Może zabawka wypadła jej podczas uroczystości?

– Chybabym wiedziała, gdyby w moim plecaku był pluszowy miś – wtrąciła się Kat, głośno, z drugiej strony pokoju.

– Może zgubiła go w trakcie ceremonii i nie chciała się przyznać – odpowiedział Markovic spokojnie. – Albo zmartwiła się, że będzie miała kłopoty. Dzieci jak to dzieci. Czasem kłamią.

– W naszej rodzinie nikt nie kłamie – wypalił Mike, zanim zdążył się powstrzymać.

– Misia ukradziono kilka dni wcześniej – dodała Annabel.

– Może Katherine położyła go w złym miejscu. Może gdzieś w pańskim samochodzie, na przykład przy drzwiach. Podjechał pan na imprezę, otworzył drzwi, miś wypadł... – Markovic miał minę, jakby

tylko sugerował możliwy scenariusz, ale jego oczy mówiły coś zupełnie innego.

Mike stracił rezon. Nie mógł mieć pewności, że śledczy się myli. Przecież Kat naprawdę nie wiedziała, gdzie po raz ostatni widziała pluszaka. Broniąc własnej sprawy, Mike coraz bardziej się wycofywał, chociaż wiedział, że nie powinien. Raz jeszcze zmusił się do wysiłku.

– Nie – odezwał się przez zaciśnięte zęby i cicho, tak żeby córka nie mogła usłyszeć. – Ci ludzie włamali się do naszego domu i go ukradli.

– Ach tak. – Rysy Markovica złagodniały. – Więc zgłosił pan włamanie i wypełnił odpowiedni formularz?

Annabel rzuciła Mike'owi ostre spojrzenie. Wcześniej upierała się, żeby nie wspominać o rzekomym włamaniu. Mike popatrzył ponuro w dal.

– Nie.

– A to dlaczego? – spytał Markovic.

Co miał powiedzieć? „Bo pomyślałem, że słyszę w głośniku duchy? Bo nie było ani jednego śladu włamania? Bo może to tylko moja wyobraźnia?”

Chociaż Annabel sama nie wierzyła, że ktoś wdarł się do ich domu, stanęła w jego obronie.

– Chyba coś słyszeliśmy...

Spojrzenie Elzey ją uciszyło. Słowo „chyba” zawisło w nagłej ciszy.

Annabel kontynuowała, chciała coś wyjaśnić, tak żeby nie zrobić z nich obojga wariatów. Mike zachował milczenie. Znał to uczucie, kiedy na przesłuchaniu lądujesz po niewłaściwej stronie. Chociaż upłynęły lata, odkąd bywał przesłuchiwany jako przestępca, nadal wiedział, kiedy ktoś jasno daje mu do zrozumienia, że podlega prawu, ale to nie znaczy, że prawo jest po jego stronie i może na nie liczyć.

Wstał i dotknął pleców żony.

– Chodźmy. – Skinął głową śledczym. – Dziękuję za fatygę.

– Proszę siadać – powiedziała Elzey.

Mike się nie ruszył. Odczekał moment. Kiedy znów się odezwał, głos miał całkowicie opanowany.

– Dziękuję, postoję.

Elzey wstała i przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Annabel też się podniosła, przy okazji odpychając nieco Elzey, która znalazła się zbyt blisko niej. Markovic obserwował ich z miną kogoś, kto już widział takie sytuacje; był jednocześnie zdruzgotany i rozbawiony.

– W całej tej gównianej sprawie – powiedziała Elzey – może się pan tylko modlić, żeby ten cały William nie wniósł oskarżenia przeciwko panu.

Przybrała gniewny wyraz twarzy, zaczęła mówić językiem ulicy. Ona i Mike mieli wiele wspólnego. Była teraz czysta i działała po właściwej stronie, a jednak dziecko ulicy wciąż w niej tkwiło, chętne do bójki, zmuszone wciąż coś udowodniać. Zamrugła i szybko odwróciła wzrok, jakby poczuła się nieswojo pod spojrzeniem Mike'a.

– Nagle strasznie się w nią zaangażowaliście – zauważył.

Elzey wzruszyła ramionami, a potem rozłożyła ręce.

– To wy przyszlście do nas.

Annabel zaśmiała się gorzko.

– Mojego męża napadnięto na ceremonii, gdzie uhonorowano jego pracę na rzecz lokalnej społeczności, a wy przesłuchujecie jego?

– „Napadnięto”? – Markovic w końcu się podniósł i teraz we czworo stali wokół krzeseł i posyłali sobie wrogie spojrzenia. – Z tego, co pan mówił, nawet panu nie grozili.

– To wszystko była jedna wielka groźba – uściślił Mike.

– Więc niech nam pan pomoże zrozumieć, dlaczego panu grożono – powtórzyła Elzey. – Pańskie akta są dziurawe jak szwajcarski ser. Po prostu zjawił się pan znikąd jako dziewiętnastolatek, zgadza się?

– Dorastałem w okolicy.

– „W okolicy”? W galerii handlowej za rogiem?

– Nie złamałem prawa. Pracuję legalnie. Płacę podatki, mam numer ubezpieczenia społecznego. Nie muszę nikogo informować o wszystkich faktach z mojego dzieciństwa.

– A może chociaż jeden fakt? – naciskała Elzey.

– Macie moją datę urodzenia. – Tę, którą mu przydzielono wraz z nazwiskiem „Doe”. Nawet kiedy zmienił nazwisko, zatrzymał tę datę, bo nie znał innej.

- Co z resztą? Rodzice? Adres z dzieciństwa? Szkoła podstawowa?
- Dlaczego tak bardzo interesuje was moja przeszłość?

Elzey uśmiechnęła się krzywo.

- Tutaj tylko ja i Marko zadajemy pytania.

Annabel wzięła Mike'a pod ramię.

- Jeszcze raz dziękujemy za pomoc – powiedziała.

Kat zeszła już z krzesła i obserwowała zajście nerwowo, z niepokoju podgryzając pasek od plecaka. W końcu do nich podbiegła. Idąc do drzwi, Mike stale czuł spojrzenia śledczych wierzące mu dziurę w plecach.

WTEDY

14

Trzy minuty po północy Mike widzi czerwone światła w oknie wspólnej sypialni przy Shady Lane 1788 i wie. Sąsiednie łóżko jest puste; Shep pracuje jako ochroniarz w jakimś gównianym barze i wróci do domu nie wcześniej niż za kilka godzin, o ile w ogóle. Mike słyszy dudniące kroki Kanapowej Matki, która idzie do frontowych drzwi, a później łomotanie własnego serca i pulsu przyspieszającego z niepokoju. Zakrywa głowę kołdrą. Na plastikowym taborecie, który służy mu za nocny stolik, leży książka z oślimi uszami, *Grona gniewu*, której tytuł jakiś as intelektu, pewnie Dubronski albo Tony M., przerobił na „Winogrona Ewy”. Chłopcy wokół Mike'a ruszają się, a on myśli: wszystko skończone.

Pół godziny później siedzi w zbyt dobrze znajomym pokoju przesłuchań, ale tym razem nie ma tu życzliwego starego właściciela saaba i nikt nie uratuje mu tyłka.

Tak, to on jest na zdjęciu z kamery nadzorującej. Tak, zastawił rzadką, skradzioną monetę. Tak, znalazł ją na ulicy.

Jak zawsze policjanci są bezimienni, nie mają dla niego ani twarzy, ani nazwisk. Jak dorośli w *Fistaszkach*. Są dźwiękami, uszczypliwymi wypowiedziami.

– Porządy z ciebie dzieciak – mówią. – Umiemy takiego poznać. Nie jest dla ciebie za późno. Oglądaliśmy twoją kartotekę. Jakieś przepychanki, jasne, ale kradzież sejfu? To nie trzyma się kupy. Wiemy, że kumpłujesz się z Shepherdem White'em, a do niego taka robota całkiem by pasowała. Ten dzieciak to utrapienie. Prędeż czy później pójdzie na

dno. Chcesz, żeby pociągnął cię za sobą?

Mike myśli: lojalność. Wytrzymałość.

– Wybierasz się przecież do college'u – mówią tamci – chcesz zostać dobrym obywatelem. Czeka cię świetlana przyszłość. A Shepherd White jest chuliganem i gnojem. Dodaj dwa do dwóch.

Ale Mike widzi inne równanie. Ma dopiero siedemnaście lat. Shep ma już osiemnaście i dwa dorosłe wyroki w kartotece. Jeśli doniesie, Shep dostanie trzeci wyrok i grozi mu dwadzieścia pięć lat więzienia.

Mike wie, jaki ma wybór, i obie możliwości przerażają go tak bardzo, że podkoszulek od Kanapowej Matki staje się zupełnie mokry.

Gotowość Mike'a do poświęcenia nie robi wrażenia na funkcjonariuszach.

– Jeśli nie chcesz współpracować – mówią – sprawa jest prosta. Otwieramy ci zasraną kartotekę, a mamy wkurzoną ofiarę przestępstwa, niejakiego Sandovala z Valley Liquors, który chętnie powie w sądzie, co trzeba. Sędziowie przysięgli uwielbiają kasiarzy; w dzisiejszych czasach to takie staroświeckie wykroczenie i taka łatwa sprawa. Tak czy inaczej, przygwoździmy twoją żalosną dupę. Nawet jeśli nie udowodnią ci kradzieży z włamaniem, bekniesz za próbę paserstwa, a to też ciężkie przestępstwo. Więc sobie posiedzisz. Lepiej się zastanów, długo i intensywnie, czy twój kumpel jest tego wart.

Gdyby Shep tu był, przyznałby się. Odsiedziałby wyrok i nie pozwoliłby Mike'owi wziąć winy na siebie. Bo Shep ma jednoznaczne poglądy, nie to co on, Doe, który walczy ze sobą – chce postąpić właściwie, a równocześnie pragnie, żeby przyjaciel nagle tutaj wszedł i podjął decyzję za niego.

Mike ma suche i zaciśnięte gardło, a jednak udaje mu się coś powiedzieć.

– Jest tego wart – mówi.

Policjanci są na to przygotowani. Pokazują wniosek o przyjęcie na Kalifornijski Uniwersytet Stanowy w Los Angeles.

– Czytaj – zachęcają.

Mike czyta punkt 11b, który jest podkreślony na żółto:

– *Czy kiedykolwiek zostałeś aresztowany, skazany lub ukarany za*

jakiegokolwiek ciężkie przestępstwo albo wykroczenie klasy A?

– Zgadza się – stwierdzają śledczy. – Nawet jak wyjdiesz z więzienia, nie przyjmą cię. Dostaniesz wilczy bilet. Odrzucasz dziś college. Odrzucasz swoją przyszłość. Przemyśl to sobie, mały.

Następnego dnia Mike'a stawiają w stan oskarżenia i wychodzi za kaucją.

Przed domem, gdy idzie chodnikiem, widzi Shepa, który czeka w oknie wykuszowym. Wychodzą we dwóch na podwórze, siadają na rdzewiejących huśtawkach.

– Nie ma mowy! – mówi Shep. – Pójdę i się przyznam.

– Długo nie wyjdiesz na wolność, mądralo z dwoma wyrokami, który nie chciał współpracować – odpowiada Mike.

– Nie dbam o to! – Shep po raz pierwszy od długiego czasu mówi zbyt głośno. – To twoje życie. Twój college. Pójdę.

– Jak pójdziesz, nigdy cię nie odwiedzę – upiera się Mike. – Przez resztę życia się do ciebie nie odezwę.

Mina Shepa zmienia się i przez jedną okropną chwilę Mike myśli, że przyjaciel zaraz się rozplacze.

Dzieje się tak, jak mu zapowiedziano. Sędzia jest zmęczony złodziejaskami, dzieciakami takimi jak Mike, i skazuje go na sześć miesięcy w areszcie dla młodocianych. Ostatniej nocy w domu Mike chce przez chwilę zostać sam w sypialni. Pozostali wychodzą, spełniając jego pożegnalną prośbę. Z twarzy Shepa nie sposób wyczytać emocji, ale Mike wie, że jest zdruzgotany tym, że musi wyjść razem z innymi. Mike sprząta swoją niewielką strefę, po raz ostatni ścieli wąskie łóżko, przystaje i ogarnia wzrokiem pokój. Na nieczynnym od dawna klimatyzatorze leży but Shepa, wielki jak kajak. Szuflady wspólnej komody są koślawe, po przewodnicach wiele lat temu zaginęł ślad. Na plastikowym taborecie leżą *Grona gniewu*. Mike przesuwając kciukiem po zniszczonej okładce. Jak saab, książka symbolizuje to, czym Mike nie jest i może nigdy nie będzie. Bierze tom i wyrzuca go do śmietnika.

Dubronski stoi w progu. Mike myśli, że dupek całe życie czekał na taką okazję. Dubronski obserwuje go, ale ten jeden raz jego tępej twarzy małego tyrana nie rozświetla rozkosz z powodu cudzego cierpie-

nia. Chrupie cukierki Jelly Belly, żeby uzupełnić poziom cukru, i macha pulchnymi rękami.

– Hej, mały Doe, chciałem ci tylko powiedzieć, że współczuję, bo sytuacja jest do dupy. Zawsze myślałem, że jak tobie się uda, to znaczy, że może my wszyscy, do cholery, jesteście jednak coś warci.

Wtedy coś w nim pęka.

W areszcie bywa ciężko, ale nie tak strasznie, jak zapowiadano. Mike umie się bić, więc nie traktują go źle. Z drugiej strony to piekło... piekło kompletnego zaniedbania. Inni, jego rówieśnicy, reprezentują jego własne brudy, których nie udało mu się zmyć. Mike przez cały czas ogląda się za siebie, stale pozostaje czujny – męczy go to, budzi się co pięć minut, przemyka po korytarzach, na spacerunku staje plecami do drucianego ogrodzenia.

W trzecim tygodniu wzywają go do głównego biura, gdzie czeka na niego dyrektorka zakładu poprawczego. Nie nazywają jej naczelnikiem. Tak jak on nie odsiaduje wyroku, lecz „dyspozycję”, a potężnych strażników określa się „opiekunami”. Ale miękkie słowa wcale nie ułatwiają twardego życia w areszcie.

- Jak określiłbyś swoje samopoczucie, synu? – pyta kobieta.
- Jestem przerażony – odpowiada Mike.
- Wiem, że wzięłaś winę na siebie. Jeśli nadal będziesz się sprawował tak dobrze, uprzyjemnię ci czas u nas.
- Tak, proszę pani.
- Zrobię, co w mojej mocy, żeby załatwić ci wcześniejsze zwolnienie. A ty nie zrób niczego głupiego, żebym nie wyszła na idiotkę.
- Tak, proszę pani.
- Również po wyjściu, wtedy też nie zrób ze mnie kretyнки.
- Tak, proszę pani.

Kilka dni później o drugiej nad ranem Mike'a budzi strażnik o okrągłej twarzy i przynosi wieści: Kanapowa Matka nie żyje.

Nie poznaje zbyt wielu szczegółów. Przez resztę nocy siedzi na rozbebeszonej pościeli z gołymi stopami na lodowatych kaflach podłogi, w głowie ma pustkę, myśli i czuje jak przez mgłę.

Rano, w trakcie szeptanej rozmowy telefonicznej z Shepem, Mike

dowiaduje się, że miała wylew podczas jednej z rzadkich wizyt w łazience i rozbiła sobie głowę o brzeg wanny. Kanapowa Matka miała wielkie serce, ale każde serce ma kiedyś dość.

Słuchając głosu Shepa, Mike czuje, jak mgła w jego piersi się rozprasza. Potem idzie korytarzem do łazienki i zamyka się w kabinie. Opuszcza klapę, siada na sedesie, zgina się wpół i szlocha bezgłośnie kilka razy, przyciskając dłonie do ust.

Kanapowa Matka nie była idealna, ale miał tylko ją.

Mike otrzymuje pozwolenie na udział w pogrzebie. Eskortuje go dwóch zawstydzonych policjantów w mundurach, którzy stają z tyłu w dusznej kaplicy. Kiedy nabożeństwo się zaczyna, karawan po poprzedniej mszy ciągle jeszcze stoi w przejściu, widoczny przez boczne drzwi, a następnymi w kolejce już schodzą się w poczekalni. Mike idzie nawą, przygląda się trumnie i myśli: zawiodłem cię.

Żadne z dzieci wychowywanych przez Kanapową Matkę nie przemawia. Wyobrażenie ceremonii, czegoś oficjalnego jest dla nich obce. W końcu podnosi się Shep. Wygląda smutno w źle dopasowanej frakowej koszuli. Podchodzi do ambony. Usta ma uparcie zaciśnięte. Milczenie się przeciąga.

– Ona po prostu była – mówi Shep i schodzi.

Chociaż pastor marszczy brwi, Mike wie, że w ustach Shepa to był największy komplement.

Dziewięć tygodni później Mike opuszcza areszt z torbą pełną ubrań i czterdziestoma dolarami, które otrzymał od stanu. Shep czeka na niego przed zakładem, na poboczu drogi, opierając się o wgniecioną tu i ówdzie maskę chevroleta camaro. Ramiona skrzyżował na piersi. Mike nie ma pojęcia, skąd Shep wiedział, że wypuszczą go wcześniej, i to właśnie dziś; sam dowiedział się o tym dopiero poprzedniego ranka.

Kiedy Mike podchodzi, Shep rzuca mu kluczyki.

– Nie powinienesz być tego robić – oznajmia Shep.

– Lojalność – odpowiada Mike. – I wytrzymałość.

Przez następne miesiące kilka razy składa podanie o porządną pracę, ale wyrok za ciężkie przestępstwo jest jak tkwiący na środku drogi ogromny głaz. Mike pracuje na czarno jako robotnik, ramię w ramię z

dwukrotnie starszymi facetami, którzy dopiero opuścili prawdziwe więzienie. Myją wozy z sadzy w remizach strażackich.

Za pierwszą wypłatę Mike zatrudnia prawnika, którego nazwisko znajduje w książce telefonicznej. Prawnik występuje o zapłombowanie akt Mike'a. Jednak szybko okazuje się, że chociaż pracodawcy nie widzą jego kartoteki, i tak wiedzą, że Mike ma akta, które zostały zapieczętowane. A przestępstwa, które sobie wyobrażają, są pewnie gorsze niż rzeczywistość.

W obskurnym urzędzie państwowym w centrum miasta wystaje w kolejce wraz z gromadą ofiar przemocy domowej. Chce złożyć podanie o nowe nazwisko i zmianę numeru ubezpieczenia. Otrzymuje nowy numer, a nazwisko może sobie wybrać sam. Wybiera Wingate. Nazywa się teraz Michael Wingate i nie ma przeszłości. Żadnej historii. Zaczyna z czystym kontem.

Dostaje przyzwoitą pracę jako stolarz, a nocami dorabia, prasując koszule w okropnej pralni chemicznej. Drogi jego i Shepa się rozchodzą. Odbywa się to naturalnie, stopniowo. Dzieje się samo, bez słów.

Pewnego dnia Mike przechodzi obok okna wypożyczalni Blockbuster i widzi ją tam – stoi pomiędzy dramatami i komediami. Przystaje i gapi się na nią. Widok tej kobiety jest niemal bolesny, wzbudza w nim dotkliwie pragnienie. Ale jest zbyt onieśmielony, żeby wejść i zagadać, więc idzie do domu i całą noc leży z otwartymi oczami, przeklinając swoją niespodziewaną wstydlivość.

Przez następne kilka tygodni wraca do Blockbustera przed pracą, podczas przerwy, pomiędzy jedną a drugą robotą. Wie, że kobieta musi kiedyś oddać filmy, żeby nie zapłacić kary. Nie wraca i Mike zaczyna się obawiać, że zrezygnowała z kaucji, że przyszła w nieodpowiednim czasie, że zobaczyła go w oknie łypiącego pożądliwie niczym prześladowca i z przerażeniem uciekła.

Ale dziewczyna pojawia się znowu. Nie zastanawiając się, co zamierza powiedzieć, Mike podbiega do niej na parking, aż zatrzymuje się i pyta sam siebie w myślach: co robisz? Ona szacuje go wzrokiem, dyszącego i oniemiałego, lecz zanim Mike zdoła wydusić z siebie choćby sylabę, dziewczyna wybucha śmiechem.

– No dobrze, lunch – mówi. – Ale gdzieś w miejscu publicznym, na wypadek gdybyś był seryjnym mordercą.

Lunch trwa aż do kolacji. Pochłonięci rozmową, zapominają o jedzeniu, które po pewnym czasie przestaje parować na nietkniętych talerzach. Ona pracuje w ośrodku opieki dziennej. Jej uśmiech go oszalał. Dotyka jego ramienia, raz, kiedy się z czegoś śmieje. Mike opowiada jej swoją historię, całą, bez cenzury, w długim potoku słów, wypowiedzianych bez tchu, mówi, jaki był głupi, gdy zamykali go w poprawczaku, i o tym, co robi teraz, kiedy jest trochę mądrzejszy. Opowiada o Kanapowej Matce, dziadku z saabem i dyrektorze zakładu, o ludziach, którzy dali mu szansę, zanim naprawdę na nią zasłużył, pewnie ratując mu tym życie, więc on chciałby to samo robić dla innych. Mówi, że pewnego dnia pragnie budować domy. Ona stwierdza: „Marzeń jest mnóstwo, ale ty chyba naprawdę masz dość hartu, żeby je spełniać”, a on płonie z dumy i wyjaśnia: „Wytrzymałość”.

Dziewczyna pozwala mu się odprowadzić do samochodu. Tam zatrzymują się i stoją zdenerwowani w zimną październikową noc. Drzwi jej auta są otwarte, światło pada z wnętrza, a jednak ona nie wsiada, czeka. Mike waha się, za nic nie chce zepsuć tego doskonałego wieczoru.

– Gdybyś miał jaja – mówi ona – tobyś mnie pocałował.

Umawiają się na kolację, potem na drugą i na piątą. Kiedy dziewczyna zaprasza go do siebie, Mike przed wyjściem przebiera się trzy razy, ale na jego oko ubrania są znoszone i typowe dla robotnika. Kiedy ona smaży grzyby, on ogląda jej mieszkanie, podnosi cukierniczkę, przypatruje się rzędom identycznych świec, maca materiał zasłon, które leciutko pachną lawendą. Przypomina sobie swój goły materac, szafkę kuchenną wypełnioną puszkami SpaghettiOs, plakat Michaela Jordana przypięty pinezką nad biurkiem z wyprzedaży garażowej, a później uświadamia sobie, że nikt nigdy nie nauczył go, jak powinno się żyć we właściwy sposób.

Tej nocy się kochają. Potem dziewczyna płacze, a Mike jest przekonany, że zrobił coś źle – aż ona mu tłumaczy.

Bardzo się różni od dziewcząt, które poznał, kiedy mieszkał przy

Shady Lane 1788.

Pewnego wieczoru w kinie dziewczyna chichocze z wyszeptanego przez Mike'a dowcipu, aż siedzący w rzędzie przed nimi muskularny facet odwraca się do nich.

– Zamknij się, suko – mówi.

Mike jednym szybkim prostym roztrzaskuje mu nos, a później oboje zrywają się z miejsc i uciekają, pozostawiając za sobą jęczącego mięśniaka, którego towarzysze rozglądają się bezradnie; wyglądają jak klony w identycznych kurtkach futbolistów z college'u. Na zewnątrz Annabel stwierdza:

– Skłamałabym, mówiąc, że to nie było urocze i ekscytujące w jakimś popieprzonym sensie, ale przyrzeknij, że nigdy więcej niczego takiego nie zrobisz, no chyba że naprawdę będziesz musiał.

To cała ona – pełna szacunku i lekceważąca jednocześnie.

Mike, zdeorientowany, przytakuje.

Później, jeszcze w tym samym tygodniu, wyczerpany przysypia nad prasowaną kamizelką od smokingu i przypala ją. Klient, kretyn na amfie w niebieskim audi, miał jechać w tym stroju na jakieś oficjalne przyjęcie.

– Masz pieprzone pojęcie, ile kosztował ten smoking? – Mike przeprasza, proponuje, że zapłaci za szkodę, ale facet jest wściekły. – A co mam, do diabła, dzisiaj założyć? – Coraz bardziej wzburzony, pochyla się nad kontuarem, dźga palcem Mike'a w pierś. – Głupi, pieprzony pajacu, nie jesteś w stanie mi zapłacić, nawet gdybyś pracował tu przez rok.

Pcha go, a Mike ma ochotę na kontrę, chce trzasnąć go pięścią i złamać mu szczękę. Jest w odpowiedniej pozycji, a jednak się powstrzymuje i robi krok w tył. Wściekłość faceta słabnie. Wychodzi, a później odjeżdża z piskiem opon. Mike nadal ma pracę, kłykcie jego dłoni nie są posiniaczone od ciosu i nie musi stawić czoła policji. Przez kilka dni upaja się własnym małym triumfem.

Powoli staje się członkiem społeczeństwa.

A jednak wciąż boi się Obiadu z Jej Rodziną. Ojciec dziewczyny jest syndykiem upadłościowym. Jej starsza siostra to kura domowa, która w

zatrważającym tempie piecze ciasteczka i rodzi potomków. Ich brat jeździ subaru i drogo się ubiera; sporo daje na cele dobroczynne i narzeka na podatki. To taki facet, który z ojcem i synem grał w baseball w parku tego dnia, kiedy Mike i Shep zwędzili lody Bomb Pops i sikali na rower.

Mike pamięta o sztućcach, łożkach, serwetce na udach. Myśli o tych kilku wspomnieniach, które zachował z domu – szałwiowe kadzidło w wyłożonej żółtymi kafłami kuchni, opalona skóra matki, oleisty zapach siedzeń kombi. U rodziców dziewczyny nie czuje się dobrze, nie czuje się godny siedzieć tam, przy ładnie nakrytym stole w ładnym domu. Ojciec i matka Annabel, niezbyt zachwyceni, w tej chwili wydają się z nim zgadzać. Kiedy jej ojciec podaje mu masło, pyta:

– Gdzie chodziłeś do college'u?

Mike uśmiecha się nerwowo.

– Nie chodziłem.

Reszta obiadu upływa przy opowieściach o znajomych i sąsiadach, którzy odnieśli sukces, chociaż nie byli w college'u. Rodzeństwo Annabel wymienia się anegdotami, podczas gdy rodzice przeżywają jeźdzenie, sączą płyny i posyłają sobie znaczące spojrzenia. Annabel powstrzymuje wybuch śmiechu z powodu absurdalności tej sytuacji, a kiedy wychodzą, oświadcza Mike'owi:

– Nigdy więcej nie każę ci tego powtórzyć.

W następnym tygodniu przy kolacji Annabel bawi się rukwią. Jej twarz jest skupiona, zarumieniona i dość ponura. Mike szykuje się na słowa, których się obawia. I rzeczywiście, Annabel nie owija w bawełnę.

– Co my tu robimy? – Rzuca widelec z łoskotem. – Nie mam już ochoty na niezobowiązujące randki...

– Ja też nie.

Ale ona prze dalej, niezrażona.

– ...na gadanie, żeby zacząć widywać innych ludzi...

– Nie chcę widywać nikogo poza tobą.

– ...na udawanie, że mi to pasuje.

– Mnie to nie pasuje.

– Jestem za stara na takie głupoty. Potrzebuję poczucia bezpie-

czeństwa, Mike.

– Więc wyjdź za mnie.

Tym razem Annabel słyszy, co powiedział.

Na ślubie nie piją ani kropli alkoholu, a jednak są pijani szczęściem. Ceremonia jest krótka, potem kilka zdjęć na schodach urzędu, ojciec i matka Annabel ze wszystkich sił zmuszają się do uśmiechu.

Kiedy po weselu Mike ostrożnie pomaga teściowej wsiąść do samochodu, ona zatrzymuje się z rąbkiem sukni w dłoni.

– Wiesz, co mi do ciebie nie pasuje? Że jesteś taki delikatny – mówię w chwili rzadkiej szczerości.

– Bo zbyt wiele lat wcale nie byłem.

Pracuje ciężko, otrzymuje awans na brygadzystę. W najwspanialszym dniu jego życia rodzi się ich córka. Miała nazywać się Natalie, ale kiedy ją widzą, wiedzą już, że to Katherine. Muszą zmienić imię w dokumentach.

Wprowadzają się do mieszkania w Studio City. Na ścianie reprodukcje z liliami wodnymi, pasująca do nich pościel, w łazience mydelniczki w kształcie muszli. Przez tylne okno widzą betonowy kanał The Wash, do którego wpływa rzeka Los Angeles.

Pewnego dnia zupełnie niespodziewanie z automatu dzwoni Shep. Minęły miesiące... nie, ponad rok. Oba wcześniejsze spotkania Annabel z Shepem były koszmarne. Słuch Shepa utrudniał sztywną rozmowę, Annabel starała się chronić Mike'a, bo za dobrze wiedziała, ile kosztował go wyrok, Shep jej nie rozumiał – Annabel jest po prostu z innego świata. Z tych spotkań Mike pamięta tylko długie chwile milczenia i ponure łyki piwa. I że pocił się bardziej niż przy pierwszym obiedzie z jej rodziną.

Z powodu słuchu Shepa ta rozmowa jest taka sama jak tamte, niezdarne, urywane, pełne momentów ciszy. Gdy Shep dowiaduje się, że Mike ma córkę, chce przyjść w odwiedziny. Kat ma pięć miesięcy i Mike jest spięty, wciąż przyzwyczajają się do nowej sytuacji, ale nie potrafi odmówić dawnemu przyjacielowi.

Shep zjawia się spóźniony o dwie godziny, a Kat od dawna leży już w łóżeczku.

– Mogę u was przekimać? – pyta w drzwiach, zanim się przywita. – Nie bardzo mogę wrócić dziś do siebie.

Mike i Annabel z oporem kiwają głowami.

Z kieszeni Shep wyjmuje upominek – niezapakowane śpioszki na trzylatkę. Mike nienawidzi siebie za to, że zastanawia się, czy Shep ukradł ubranko. Przesuwa palcami po wzorze w motyle. To najdelikatniejsza rzecz, jaką Mike kiedykolwiek widział w rękach przyjaciela.

Shep kładzie nogi na ławie i zapala papierosa.

– Mógłbyś nie palić w środku? – pyta Annabel przepraszającym tonem. – Wiesz, dziecko.

– Jasne – odpowiada Shep. – Wybacz.

Idzie do okna, wychyla się i dmucha na zewnątrz.

– Chyba pójde się trochę przespać, póki mogę – mówi Annabel do Mike'a.

Mike podchodzi do Shepa; chce, żeby życzył jej dobrej nocy; żeby był uprzejmy. Kładzie mu rękę na plecach, nadal umięśnionych. Kiedy Shep wyrzuca niedopałek i odwraca się, widzi, że Annabel zaczyna rozkładać kanapę.

– Nie rób sobie kłopotu – rzuca. – Prześpię się tak, jak jest.

– To naprawdę żaden kłopot.

Shep zatrzymuje się na moment, patrzy.

– Kanapy są wygodne – oznajmia. – W domu śpię na kanapie.

– Och – mówi ona. – W porządku.

Patrzą na siebie, Shep przygryza wisiorek ze świętym Hieronimem Emilianim.

– No cóż – odzywa się Annabel. – Dobranoc.

Shep kiwa głową.

Drzwi sypialni się zamykają.

– Idziesz na drinka? – pyta Shep.

– Wiesz, jestem skonany – odpowiada Mike. – Dziecko budzi nas co noc, a o piątej zaczynam pracę.

– Dasz mi klucz? – prosi Shep.

O trzeciej nad ranem drzwi wejściowe otwierają się głośno i równie głośno zamykają; Shep zawsze trzaska, bo nie słyszy dobrze i nie ma

pewności, czy zaniknął. Annabel natychmiast się budzi, a z głośnika niani elektronicznej dociera do nich płacz Kat.

Mike, zataczając się ze znużenia, wychodzi do salonu.

– Masz spirytus? – pyta Shep. – I bandaże?

Mike podchodzi bliżej i ogląda policzek Shepa straszliwie rozryty paznokciami. Przechyla jego głowę i widzi białe ciało jaśniejące wśród krwi. W łazience bierze ręcznik od kompletu i moczy go w ciepłej wodzie. Kiedy Shep oklepuje sobie ranę wacikiem ze spirytusem, ledwie się wzdraga. Spędzili tak kiedyś niejedną noc – czuwając do późna, szepcząc do siebie, opatrując sobie rany. Na moment Mike zatracą się w słodkiej familiarności rytuału. Niestety, poruszenie budzi Kat w pełni. Annabel wyłania się z sypialni, przystaje w salonie w drodze do pokoju dzieciennego.

– Co się stało? – pyta.

– Był tłok w barze – wyjaśnia Shep. – Miałem... kłopoty, no wiesz... – Wskazuje na ucho. Mike nigdy nie słyszał, żeby Shep mówił wprost o swoim słuchu, teraz też nie zamierza tego robić. – Jeden facet do mnie fikał. Więc go grzmotnąłem. Tylko że miał kumpli. Dorwał mnie znie-nacka, ale reszcie było mało. Jego panienka skoczyła mi na plecy i wbiła pazury. Wtedy przyszli gliniarze, więc przysnąłem. To wszystko nie moja wina.

Wtedy ktoś na zewnątrz ryczy:

– Pieprzony dupku, wyłaż! Zatluczemy cię na śmierć!

Kat płacze w pokoju dzieciennym.

– Słyszałeś? – pyta Mike.

– Co? – odzywa się Shep.

Mike wskazuje na okno. Shep podchodzi i wystawia głowę na zewnątrz. Chwilę później o mur, tuż przy oknie, roztrzaskuje się butelka. Krzyki, teraz chór, przybierają na sile.

Dzwoni telefon i Annabel odbiera.

– Tak, pani McDaniels – mówi, po czym celuje palcem w sufit, na wypadek gdyby Mike zapomniał, gdzie mieszkają McDanielsowie. – Wszystko w porządku – dodaje w słuchawkę. – To jacyś pijacy. Poradzimy sobie z tym. – Rozłącza się i informuje Mike'a: – Nie chcę, żeby

takie rzeczy się tutaj działy.

Następnie znika w pokoju dzieciennym.

Shep wycofuje głowę z okna, ociera kropelki piwa z twarzy.

– Paru jego kumpli chyba przyszło tu za mną – tłumaczy się. – Dam sobie radę.

Bez mrugnięcia okiem wychodzi na dwór. Mike siada na kanapie i zatapia twarz w dłoniach. Rozlega się trzask, potem kolejny.

A w końcu zapada cisza.

Chwilę później Shep wraca.

– Mój błąd – mówił.

– Słuchaj – proponuje Mike – może powinienes przysnąć, zanim przyjdzie tu jeszcze więcej tych facetów.

– Co?

– To chyba nie jest najlepszy czas...

Szuka słów, rozdarty pomiędzy lojalnością wobec przyjaciela, niemal więzami krwi, a tym, co jest winny dziadkowi z parku, który kupił jego duszę za piętnaście tysięcy. Myśli o Kanapowej Matce, o dyrektorce aresztu, o Annabel, Kat, o samym sobie. Tyle zobowiązań, które wszystko utrudniają.

– Ten facet mnie napadł – mówi Shep. – Ja się tylko broniłem.

Można mu wiele zarzucić, ale na pewno nie jest kłamcą.

Mike myśli o cynamonowym zapachu matki, o własnych chaotycznych spacerach po cmentarzach i o Kat śpiącej w sąsiednim pokoju. Za nic w świecie nie narazi – nie może narazić – życia tego dziecka, nie zaryzykuje jego przyszłości. A jednak Shep to Shep, ich przyjaźń przeszła tyle testów bojowych co żaden inny układ, jaki Mike znał. Życie nie jest sprawiedliwe; nieraz sam się o tym przekonał. Teraz nienawidzi myśli o tym, że znalazł się na wozie, skąd ma lepszy widok.

Poci się, pozbawiony pewności, przepelniony niechęcią do siebie samego, może nawet nienawiścią.

– Wiem o tym – mówi – ale to niebezpieczne. Chodzi o to, że... mam teraz dziecko. Sąsiadów. Ciągłe próbuję to wszystko sobie poukładać, wiesz?

Shep szorstko kiwa głową i wstaje, jego twarz nie zdradza emocji.

Ogarnięty wielkim poczuciem winy, Mike odprowadza go na zewnątrz. Później Shep kieruje się ku rzece, jego barczysta sylwetka jest dobrze widoczna w ukośnym żółtym świetle rzucanym przez uliczne latarnie. Mike podąża pół kroku za nim. Rzekę przecina wąska kładka dla pieszych. Czarna woda z szumem ociera się o betonowe brzegi. Mike przyspiesza, chcąc dotrzymać kroku przyjacielowi.

– Shep. Shep. Shep! – woła za nim.

Nie ma cienia wątpliwości, że tamten po raz pierwszy jest na niego naprawdę wściekły.

Ale w połowie drogi, gdy Shep nareszcie słyszy wołanie i odwraca się, na jego twarzy nie ma gniewu.

Owady brzęczą wokół latarni. Na wschodzie horyzont zmienia się z czarnego w grafitowy. Shep i Mike stoją na środku kładki, pod nimi płynie rzeka, której nie widzą w mroku.

Mike odchrząkuje.

– Powiedziałeś mi kiedyś... – zaczyna. – Powiedziałeś mi: „Możesz być, kim zechcesz”. – Ma ochotę się rozplakać... prawie płacze... i nie rozumie siebie. Tak jakby jego twarz reagowała w swój własny sposób, podczas gdy jego serce pozostaje stanowcze, wręcz nieugięte. – No cóż – dodaje i rozkłada szeroko ręce – tym właśnie chcę być.

Shep porusza lekko ustami, powstaje coś w rodzaju smutnego uśmiechu. Krew ciemniej przy zadrapaniach pod okiem.

– Więc – odpowiada – i ja chcę, żebyś tym był.

Obaj wyczuwają ostateczność tych słów i tej chwili. Wiatr wzmagą się, szarpiąc kurtkę Mike'a.

Shep wyciąga rękę i ściskają sobie dłonie, mocno, po męsku.

– Jesteś moją jedyną rodziną – mówi Shep.

Odchodzi, zanim Mike zdąży mu odpowiedzieć.

Mike patrzy, jak przyjaciel znika we wczesnoporannym mroku. Zagryza wargę, odwraca się i smagany wilgotnym wiatrem rusza do domu.

TERAZ

15

Mike stanął przed szafą. W końcu mógł zdjąć z grzbietu koszulę. Pół godziny po północy, a on dopiero co skończył montować drugi mocny zamek w oknie Kat. Wbrew jego namowom nie chciała spać w sypialni rodziców, a po zaciętej minie Annabel widział, że i jej ten pomysł wydawał się zbyt radykalny. Zresztą on sam także – choćby z powodu braku śladów – nie był już taki pewny, czy do włamania rzeczywiście doszło. A jednak, gdy instalował dodatkowy zamek i kontemlował widok na ciemne podwórze za domem, poczuł ciarki na skórze. Mógłby bardziej naciskać i skłonić Kat do przeprowadzki, ale nie chciał poddawać się lękowi. Nie chciał też, żeby żona i córka naprawdę zaczęły się bać.

Złożył spodnie od garnituru, podrapał paznokciem kciuka płamę po piwie, po czym dał za wygraną. Schludnie ułożone ubrania na szczelnie wypełnionych półkach górowały nad nim. Wszystkie te koszule! Jaką długą drogę przeszedł od czasów wspólnej komody z dzieciństwa. Przyjrzał się zawartości szafy z poczuciem winy kogoś, kto przetrwał kataklizm.

Annabel siedziała za nim, na łóżku. Z jękiem zdjęła buty na wysokich obcasach i potarła obolałe stopy.

– Tylko mówię – zauważyła, podejmując wątek, który porzucili pół godziny temu – że mieli jakiś ukryty cel, ci policjanci. Jak wyszła zatelefonować... ta Elzey, wiesz... nie podobała mi się jej mina. Nie podobało mi się jejżywienie. A później wrócili i zaatakowali cię pytaniami.

Rozebrany do bokserek, Mike odwrócił się do żony.

– Coś było z nimi nie tak – przyznał. – Bez dwóch zdań. Na pewno nie zamierzali nam pomóc. Sami musimy znaleźć sobie ochronę. – Przerwał, oblizał wargi, po czym dodał: – Może powinienem do niego zadzwonić.

– Do niego? – Annabel odchyliła się na łokciach i przez chwilę energicznie kręciła głową. – Nie – powiedziała. – On mnie przeraża.

– Ale on wiedziałby, jak postąpić.

– Albo wszystko by pogorszył. Poza tym... Nie rozmawiałeś z Shepherdem od lat.

Oprócz Kanapowej Matki Annabel była jedyną osobą, która używała pełnego imienia Shepa. Kiedyś Mike sądził, że to z powodu jej skrępowania wobec jego przeszłości – że po prostu nie chciała używać imienia z opowieści, które znała. Później jednak pomyślał, że chodzi raczej o matczyną aprobatę wobec danego imienia, wobec chłopca – o sympatię dla chudego dzieciaka, który nie drgnął, kiedy taca z lunchem upadła tuż pod jego nosem.

– Pamiętasz, jak się rozstaliście – kontynuowała. – Skąd pewność, że on tam w ogóle będzie?

– Będzie tam, Shep tam będzie – odpowiedział jej stanowczo.

– Mamy innych przyjaciół. Terrance'a, który mieszka obok. Barry'ego i Kay...

– I co Barry zrobi, nastraszy ich, zarządzając ich portfelem inwestycyjnym? Do takich problemów nie wzywa się ludzi w rodzaju naszych przyjaciół.

– Więc dlaczego nie porozmawiasz z tym detektywem, Hankiem? Czy detektyw nie powinien właśnie tym się zajmować? Tropić ludzi? Pomyśl o tym. Nie musimy jeszcze wpuszczać słonia do składu porcelany. Jeszcze nie.

– Hank jest chory, mówiłem ci.

– Hank nie wydaje mi się kimś, kto pragnie współczucia. Nie sądzisz, że chciałby mieć coś do roboty? Że to by mu pomogło? – Wyjęła z włosów szpilkę i potrząsnęła głową, aż jej włosy się rozsypały. – Wejść jutro do szkoły z Kat i sprawdzę, czy mają nasze dane i spis osób, które mogą ją odbierać. Poproszę, żeby dobrze jej pilnowali i tak dalej.

- I z nią pogadasz...
- Jasne. Co prawda milion razy mówiłam jej o rozmowach z nieznajomymi, ale obgadamy to wszystko jeszcze raz. A teraz chodź tutaj. Rozepnij mi zamek.

Uniosła włosy, odsłaniając jasną skórę karku. Mike rozpiął suwak z tyłu sukienki i przez chwilę podziwiał plecy żony, aż Annabel, poruszając ramionami, pozbyła się sukienki i przewiesiła ją przez fotel w rogu pokoju. Wspólnie rozłożyli kołdrę, tak jak to robili każdej nocy przez ostatnie lata – poruszając się w swego rodzaju małżeńskim tańcu. Później Annabel weszła do łazienki i wynurzyła się z niej ze szczoteczką do zębów sterczącą z ust, w ręce niosła drugą pokrytą odrobiną pasty. Mike pochylony zdejmował skarpetki, ale nadstawił usta, a Annabel wsunęła w nie szczoteczkę, po czym – z twarzą w pianie – wróciła do łazienki. Codzienna fizjologia.

Myjąc zęby, Mike poszedł korytarzem do pokoju Kat. Spała, zasłony były zaciągnięte, zamki zamknięte.

Po wizycie w łazience wślizgnął się do łóżka obok żony, uruchomił nianię elektroniczną i odetchnął. Annabel wcześniej oparła jego nagrodę o ścianę przy szafie, najwyraźniej nie wiedziała, co z nią zrobić. Nazwisko Mike'a wyryto na niebieskawej lustrzanej tabliczce pod pieczęcią stanu Kalifornia. Annabel obserwowała go.

- Ale byłem dupkiem, kiedy tam stałem i przyjmowałem nagrodę.
- Mnie też było głupio, jak siedziałam i udawałam oddaną żonę, i uprzejmie klaskałam. – Odwróciła się do niego, popatrzyła łagodnie, a potem położyła mu dłoń na policzku. – Dwoje dupków czuje się razem mniej samotnie.

Chwycił przegub jej dłoni, uniósł delikatnie rękę i obejrzał pęknięte naczynka, po tym jak złapał ją mocno na parkingu.

- Ja ci to zrobiłem?
- Ty brutalu. – Annabel przekręciła leniwie rękę w jego dłoni, tak że nadgarstek dotknął jego ust. – Taki jesteś opiekuńczy, a zostają mi po tobie ślady. To okropne.

Jej stopa pod kołdrą odszukała jego łydkę.

Dotyk wzbudził w nim wdzięczność – nawet po koszmarnych zda-

rzeniach ostatnich dni nadal mógł spędzić z nią noc.

Delikatnie pocałował wewnątrz jej ramienia, tam gdzie było zaczerwienione. Jej usta znalazły jego, unieśli się trochę, wsparli na łokciach i całowali. Mike wspiał się na nią, brzuch przy brzuchu, i poruszali się powoli, a zmęczenie dodawało każdemu dotykowi i każdemu ruchowi senności. Wszedł w nią, ale ona zatrzymała go, mocno ściskając udami i ramionami. Jej ręce opłoty jego kark, głowę uniosła kilka centymetrów nad materac, skupiła na nim wzrok. Powoli, powoli unosiła biodra, a on wsunął się głębiej, do końca. Znowu go zatrzymała, na chwilę znieruchomieli. Mike opierał się na rękach i kolanach, unosząc ciężar ich obojga. Ramiona trochę mu drżały.

– Chcę, żebyś na mnie patrzył – oznajmiła. – Przez cały czas. Więc patrzył.

Później Annabel jak zawsze leżała na plecach, jedną rękę położyła sobie na czole zasłoniętym wilgotną od potu grzywką. Jej brzuch w lunie rzucanej przez budzik wydawał się bardzo jasny. Mike kochał błądy pasek jej blizny po cesarskim cięciu, która znaczyła ją od biodra do biodra, oddzielając erotyzm od zwykłego seksu; znak wojownika, który zrobił dobry użytek ze swojego ciała.

Podniosła rękę i błysnął zmatowiały brylant w jej zaręczynowym pierścionku. Nowy pierścionek zniknął w kasetce na kosztowności, gdy tylko wrócili do domu.

– Jesteśmy małżeństwem już dekadę, Wingate. – Zagryzła lekko opuchniętą wargę. – Wcale nie czuję, że to aż dziesięć lat w takim złym sensie. Tylko w dobrym.

Wtuliła się w męża, nogę przełożyła przez jego brzuch, a Mike gładził jej wciąż rozpalone plecy. Przycisnął wargi do jej wilgotnego czoła i trzymał ją w ramionach, aż zasnęła.

Leżąc na plecach, chłodząc się pod wentylatorem, nie potrafił pozostać w błogostanie. Jego myśli wciąż wracały do konfrontacji w Braemar Country Club, do wstydu, że stracił kontrolę – ogarnął go gniew, powracając jak stary przyjaciel, atawizm. A potem Mike oblał się zimnym potem, bo przypominał sobie przerażenie, które poczuł, słysząc ostatnie słowa Dodge'a: „Już niedługo”.

Wstał, przeszedł korytarz, wziął w ramiona Kat, bezwładną i ciężką od snu, po czym przyniósł ją do ich łóżka. Położył ją na swoim miejscu, stanął prosto i przyglądał się obu śpiącym, matce i córce. Idylla. Nagle coś obok szafy zalśniło. Pamiątkowa tabliczka.

Jego nagroda.

Obrócił ją napisem do ściany.

Wyłączył nianię elektroniczną, wrócił do pokoju Kat i zasiadł w bujanym fotelu w rogu.

„Już niedługo” – obiecał mu Dodge.

„Już niedługo”.

16

Biuro Mike'a znajdowało się w baraku, który stał na piaszczystej ziemi. Miał niezbędne udogodnienia – telefon, faks, szybkie łącze internetowe. I przebojową sekretarkę, stale żującą gumę, z wysoko ułożonymi włosami i dużym biustem. Biurka z wyprzedzący po pożarze stały pod korkowymi ścianami, do których przypięto światłokopie, zezwolenia, ekspertyzy geologiczne i rodzinne zdjęcia. W biurze o rozmiarach siedem na jedenaście metrów praca wrzała; tu były ich kulisy, zaplecze za fasadami, które wznosili w terenie.

Mike siedział przy biurku, masując głowę, w której budziła się migrena, udawał, że przegląda stawki ubezpieczeniowe. Przez cały ranek był zatroskany, prześladowały go gorzkie myśli. Nie potrafił wyrzucić z pamięci pokrytych czarnymi łupinkami warg Williama, jego cuchnącego oddechu, momentu, gdy jego twarz ukazała się nagle w oknie furgonetki – głowa bez ciała pomiędzy zasłonami. Później zobaczył poplamionego olejem polarnego misia, który w zwolnionym tempie kołysał się na asfalcie parkingu między wielkimi stopami Dodge'a.

Wstał gwałtownie i wyszedł na świeże powietrze. Idąc wśród chwastów porastających podwórze, po raz trzeci spróbował skontaktować się z Hankiem. Tym razem, nareszcie, detektyw odebrał.

- Chcesz się trochę oderwać? – spytał Mike.
- Od umierania? – powiedział Hank. – Co masz?

Opowiedział mu o przepychance z Dodge'em i Williamem, a potem o dziwnym zachowaniu posterunkowych.

- Niewiele na początek – stwierdził Hank – ale powęszę i postaram

się coś ustalić.

Niezbyt usatysfakcjonowany Mike wrócił do biura. Andrés stał przy kopiarce i sfrustrowany naciskał różne klawisze na chybił trafił. W końcu zrezygnował, usiadł bokiem na brzegu biurka Mike'a i gapił się w dekolt Sheili, która pod przeciwległą ścianą przekonywała przez telefon jakiegoś rzeczoznawcę ubezpieczeniowego. Andrés kilka razy trzepnął dłonią zszywacz Mike'a, ot tak, dla zabawy.

– Jakiś facet był na placu budowy i o ciebie pytał.

– Jak to, pytał?

– No, kiedy przyjdiesz. Kiedy bywasz w biurze czy coś. Taka tam gadka. Może chce cię zatrudnić.

Mike poczuł na twarzy gorący rumieniec.

– Jak wyglądał?

– Nie wiem. Zwyczajnie. Miał niechlujną brodę. I dziwnie chodził.

Mike'owi krew napłynęła do twarzy, w uszach poczuł łomotanie. Ból głowy narastał, więc ostrym szarpnięciem otworzył górną szufladę i sięgnął po tylenol.

– O której był... – Zaniemówił, wpatrując się w głąb szuflady.

Kalendarz leżał po lewej stronie! Ponieważ łączenie szuflady pękło i z jednej strony wystawały drzazgi, Mike zawsze trzymał kalendarz w poręcznym miejscu po prawej; już od kilku miesięcy zawsze go tam kładł. – Sheila? – Odczekał, aż dziewczyna zakryła dłonią słuchawkę i popatrzyła na niego uważnie. – Brałaś dziś coś z mojego biurka?

Pokręciła głową. Podniósł butelkę z tylenolem, obejrzał ją i wrzucił do kosza na śmieci. Nagle wstał. Andrés obserwował go zdumiony.

Mike przeszedł do drzwi frontowych, otworzył je, pochylił się i obejrzał zamek. Osobiście wybrał medeco ze względu na sześć zapadek – wymagał wielopłaszczyznowego klucza, który cholernie trudno doroobić. O tym wszystkim dowiedział się oczywiście od Shepa. Ale, z drugiej strony, widział, jak Shep otwierał nie takie zamki, spryskawszy je smarem, by potem użyć elektrycznego śrubokrętu, który we wprawnych rękach ustawiał wszystkie zapadki, jak należy.

Mike zawahał się na chwilę, ze strachu niemal nie chciał znać prawdy, w końcu zdobył się na odwagę i przesunął kciukiem po dziurce

od klucza. I rzeczywiście, jego palec błyszczał od smaru.

Ktoś naoliwił zamek i otworzył go wytrychem. Dodge albo William.

Poczuł, że w ustach ma sucho. Grzebanie w zamku Medeco to nie zabawa, lecz fachowy włam godny Shepa. A jeśli ci ludzie byli fachowcami, pokonanie okna i wizyta w sypialni Kat wcale nie wydawały się tak naciągane, jak Mike próbował sobie wmawiać.

Dlaczego jednak mieliby włamywać się do jego biura?

– Sheila – powiedział głosem, który nawet w jego własnych uszach brzmiał szorstko. Uświadomił sobie, że wszyscy w biurze wpatrują się w niego, a on kuca w wejściu. – Sheila, potrafisz sprawdzić, czy ktoś oglądał pliki w komputerze?

– Jasne, panie Wingate. – Obojętnie, ile razy powtarzał jej, żeby mówiła mu po imieniu, ona obstawała przy swoim. – Większość dokumentów ma datę ostatniego dostępu, ale ludzie zwykle nie zwracają na nią uwagi.

Kiwnięciem zaprosił ją do swojego biurka i odsunął przed nią fotel. Pochylił się nad jej ramieniem, a Andrés przyglądał się im ze swojego miejsca.

– Czy ktoś otwierał jakiś plik w weekend? – spytał Mike.

– Ustalam to. Ale muszę sprawdzać je po kolei. Chodzi o jakieś konkretne?

– Chodzi o Green Valley.

Dziewczyzna stuknęła w klawiaturę, a Andrés przechylił głowę.

– Wszystkie nasze akta są czyste – odpowiedział szefowi.

– Dlaczego by nie miały być czyste? – spytała Sheila, ciągle skupiona na monitorze. Mike i Andrés wymienili spojrzenia. Zanim któryś z nich zdążył odpowiedzieć, stwierdziła: – Nie, tych plików nikt nie otwierał od dwunastej dwadzieścia jeden w ubiegły czwartek. – Mike sam przeglądał wtedy fakturę na ceramiczne rury, dręcząc się podczas przerwy na lunch. – Ale nie, czekajcie... – dodała szybko. – Jeden był otwierany w sobotnią noc, dokładnie o pierwszej trzydzieści dwie w nocy.

– Jaki? – spytał Mike.

– Z danymi osobowymi.

Lodowate ciarki przebiegły Mike'owi po karku.

– Ktoś przeglądał nasze akta osobowe?

Sprawdziła dokładniej.

– Nie – odparła. – Tylko pańskie, szefie.

Bezwiednie zrobił krok w tył. Andrés i Sheila odwrócili się do niego, usta obojga się poruszały, lecz do Mike'a nie dotarły żadne słowa. Dodge i William nie szukali informacji na temat jego zleceń, interesował ich on sam. Podobnie było na komisariacie.

Dodge i William najwyraźniej pragnęli się dowiedzieć, kim jest, tak samo jak on chciał poznać prawdę o nich.

Powoli zaczął sobie uświadamiać, że w kieszeni wibruje mu telefon. Wyjął go i zerknął na ekran, na którym pojawił się SMS od Annabel: „Hej, kochanie, gdzie jest klucz od skrytki bankowej, znowu zapomniałam, a muszę coś wyjąć”.

Gapił się na wiadomość, a łomotanie w jego czaszce stawało się coraz głośniejsze i coraz silniejsze, atak migreny był już oczywisty. Mike i Annabel nigdy nie pisali do siebie SMS-ów; byli w tej kwestii staromodni i woleli używać telefonów wyłącznie do rozmów.

Zadzwoił do niej i trafił na pocztę głosową.

– *Cześć, mówi Annabel. Prawdopodobnie usiłuję wyciągnąć telefon z tej maleńkiej przestrzeni pomiędzy fotelem i drzwiami, więc...*

Mike dał znak Andrésowi i Sheili, że potrzebuje minuty, wybrał numer telefonu stacjonarnego. Czekając, aż Annabel odbierze, chodził wokół własnego biurka. Niestety, znowu włączyła się automatyczna sekretarka.

Minęła chwila, zanim zdał sobie sprawę, że Sheila coś do niego mówi.

– Panie Wingate! Miał pan jechać obejrzeć ten niezagospodarowany teren w Chatsworth. Powinien pan tam być o drugiej, więc musi pan już wyjść.

– Nie dam rady, Sheila. – Ruszył pospiesznie ku drzwiom. – Muszę jechać do domu.

Uśmiechnęła się nerwowo, a Mike minął ją i pobiegł.

17

Pędził fordem, ignorując czerwone światła i znaki stopu, raz po raz wybierał domowy numer. W końcu Annabel odebrała.

– Cześć, kochanie. Właśnie weszłam i widzę, że zlew coraz bardziej przecieka. Wiem, że szewc bez butów chodzi i tak dalej, ale...

– Wysłałaś mi SMS? – przerwał jej.

– Czy ja kiedykolwiek pisałam do ciebie SMS-y? Nie mam czterestu lat...

– Gdzie twoja komórka?

– Szukałam jej przez cały ranek. Pewnie zostawiłam ją w szkole.

Przez moment uspokajał oddech.

– Ukradli ją – oświadczył wreszcie. – Dostałem przed chwilą SMS z twojej komórki z pytaniem, gdzie jest klucz do skrytki bankowej !

– Leży w pudełku z chusteczkami w twoim nocnym stoliku. Nie zapytałabym o niego.

Szybko przekazał jej nowiny – że William odwiedził plac budowy i że ktoś włamał się do jego biura. Gdy Annabel przetrawiała nowe informacje, zapanowała ponura cisza.

– Okay... – powiedziała ostatecznie. – Chcą się dostać do skrytki, bo w takich skrytkach ludzie trzymają osobiste rzeczy, których nie chcą mieć w domu. – Jej głos zdrzął lekko. – Więc wcześniej przeszukali dom.

– I moje biuro. – Skręcił w ich ulicę. – Już jestem.

Czuł gniew.

– Skąd w ogóle wiedzieli, że mamy skrytkę bankową? Nie każdy

czegoś takiego używa. Poza tym dane bankowe są pouf...

Umilkła. Słyszał, że oddycha głośniej, ponieważ rozumiała to samo co on.

– Policjanci – rzekł Mike. – Mogą zdobyć prawo wglądu w dane obywateli. Tamci mogli dowiedzieć się o skrytce na moje nazwisko.

Kiedy wjechał na podjazd, Annabel była już na zewnątrz i niosła mu klucz do skrytki. Mike widział, że jej usta się poruszają, a po chwili usłyszał też jej pytanie.

– Myślisz, że oni współpracują? Ci faceci i policja?

– Ktoś węszy, i to ktoś wysoko postawiony... Oficjalnie albo nie.

Uprzytomnił sobie, że nadal mówi do telefonu, chociaż Annabel stała kilka kroków od niego.

Opuścił okno w samochodzie, ona się pochyliła, rzuciła mu na kolana klucz do skrytki i pocałowała go mocno w usta.

Kiedy się odsunęła, zobaczył w jej oczach napięcie i lęk.

– Jak my się z tego wygrzebiemy?

– To zależy, czego oni chcą – odparł.

– Wygląda na to, że chcą się dowiedzieć, skąd pochodzisz.

Mike zacisnął pięść z kluczem i wrzucił wsteczny bieg.

– Tak jak my wszyscy – odpowiedział.

■ ■ ■

Mike przeszedł obok sztucznie uśmiechniętego kierownika banku, podpisał dokument i wraz ze swoją skrytką bankową znalazł się w prywatnej kabinie. Zrobił głęboki wdech i podniósł cienkie metalowe wieczko. Miał przed sobą stopy zdjęć i papierów. Raport w sprawie porzuconego dziecka. Wydany przez hrabstwo formularz sprzed trzydziestu lat, potwierdzający przydzielenie mu nazwiska Doe. Wyciągi ocen ze szkoły podstawowej. Starą książeczkę ubezpieczeniową. Nekrolog Kanapowej Matki. Kilka zniszczonych fotografii przedstawiających jego i chłopców z Shady Lane. Tak cenny niegdyś dla niego list z college'u. Raport kuratora o odsiadce Mike'a.

Kronika niedoskonałej historii Mike'a Doe.

Zalała go potężna fala nostalgii i przez chwilę nie mógł oddychać. Tutaj, przed nim, leżało wszystko, co pozostało z jego dawnego życia.

Przejrzał zawartość skrytki, aż natrafił palcami na coś twardego, za-
grzebanego głęboko. Ostrożnie podniósł przedmiot do światła. Smith &
wesson, kaliber .357. Broń łatwa w obsłudze i wygodna. Shep dał mu ją
do ochrony pierwszego mieszkania, do którego wprowadzili się z An-
nabel. Mike przez całe lata trzymał ją w szufladzie nocnego stolika, aż w
końcu przywiózł ją tutaj po narodzinach Kat na życzenie Annabel. Nigdy
nie strzelał z niej na strzelnicy i miał nadzieję, że nigdy nie wystrzeli.
Ciężar w dłoni był swojski i kojarzył się z niebezpieczeństwem.

Delikatnie położył broń na kontuarze.

Wyjął z pojemnika pustą plastikową koszulkę i wrzucił do niej
wszystkie papiery ze skrytki. Przewiesił sobie przez ramię torbę, którą
przyniósł, i przez chwilę wpatrywał się w rewolwer.

Schował go do kieszeni i ruszył do wyjścia.

■ ■ ■

Przykucnął w opuszczonej bocznej uliczce. Popołudnie przechodziło
w wieczór, cienie były coraz dłuższe. Mike słyszał odgłosy ruchu dro-
gowego odbijające się od ceglanych murów. Otworzył drzwi forda, a
trójkąt światła padł z auta na chodnik. Pochylił się do przodu, rozbite
szkło zachrzęściło mu pod butami. Przytknął zapaloną zapalną do rogu
plastikowej koszulki i szklistymi oczami obserwował, jak płomień
objemując ją i spalając, trawiąc fotografie i dokumenty.

Nie ma przeszłości, pomyślał.

A jednak... najwyraźniej była.

Gdy został już tylko smutny stosik popiołu, rozrzucił go na boki.
Zadeptał żar, wsiadł do pick-upa i odjechał.

■ ■ ■

Annabel przerwała przygotowania do kolacji i usiadła na kuchennym
blacie, a chwilę później gapiła się w dół, na smith & wessona, którego
kurczowo ścisnęła na kolanach.

– To rewolwer – stwierdził Mike. – Łatwy w obsłudze.

– Nie chcę mieć go w domu, w pobliżu Kat – powiedziała ściszo-
nym głosem, tak żeby nie usłyszała jej córka, zajęta w swoim pokoju
pracą domową.

– Daj, pokażę ci, jak go używać.

Woda na makaron wrzała, a on ułożył jej szczupłe ręce na uchwycie broni. Jednak Annabel się odsunęła, pozostawiając rewolwer w jego dłoniach.

– Nie czuję się z tym komfortowo.

– Na razie możemy zapomnieć o komforcie.

Do kuchni weszła Kat wpatrzona w swój zeszyt do ćwiczeń.

– Dzielenie liczb wielocyfrowych jest okropne. Podobno chcą z nas zrobić bystrych ludzi, tyle że bystry ludzie po prostu użyliby kalkulatora... – Podniosła wzrok, jej oczy zrobiły się wielkie za szklami okularów w czerwonych oprawkach. – Dlaczego macie broń? To broń, prawda? Po co wam broń w kuchni? Dzieje się coś złego? Strzelaliście z niej kiedyś? Mogę ją potrzymać?

– Wróć do swojego pokoju – powiedziała Annabel nerwowo. – Chcemy być przez chwilę sami.

Kat wycofała się, nie spuszczać wzroku ze smith & wessona.

Annabel odwróciła się do Mike'a.

– No i widzisz.

Zsunęła się z blatu, przykręciła gaz i przypatrzyła się planowi zajęć rozłożonemu na pulpicie do książek kucharskich. Na marginesach były jej kobiece bazgroły. Annabel była jedyną znaną Mike'owi osobą, która potrafiła jednocześnie czytać i przyrządzać *spaghetti alla puttanesca*.

Zadzwonił telefon. Mike złapał słuchawkę.

Hank wydawał się wyczerpany.

– Nie mogę nic znaleźć na temat żadnego Dodge'a ani Williama w związku z wręczeniem nagród, ale to było do przewidzenia. – Odchrząknął i dostał ataku kaszlu. – Hm, słuchaj, jest coś, o czym muszę ci powiedzieć.

Chwila milczenia, która nastąpiła, zaniepokoiła Mike'a tak samo jak napięcie w głosie Hanka.

– Co takiego?

Annabel odwróciła się, a Mike przywołał ją do siebie i odwrócił słuchawkę, żeby oboje słyszeli.

– Nie wiem dokładnie, o co chodzi – wyznał Hank. – Jeszcze nie

wiem. Zadzwoiłem do informatora, którego mam w biurze szeryfa, i wygląda na to, że trwa jakiś alarm w związku z twoją sprawą.

– Alarm? Co masz na myśli?

– Nie wiem. Ale twoje nazwisko przyciągnęło uwagę i nie można wejść do twoich akt.

– Z jakiego powodu? – Mike podniósł głos.

– Już ci mówiłem. Na razie nie wiem. – Westchnął chrypliwie. – Słuchaj, może to zainteresowanie jest lokalne, ogranicza się do biura szeryfa. Ale istnieje ewentualność, że przygląda ci się agencja rządowa, która chce wiedzieć, kiedy zadzieras z policją.

Mike pomyślał o konspiracyjnej rozmowie, którą Elzey i Markovic odbyli na tyłach biura. A później, po powrocie, od razu na niego naskoczyli.

– Jaka agencja? FBI? CIA? – Mike pohamował wybuch śmiechu. – Jaki jest zakres tego alarmu? – spytał poważniej. – Obejmuje wszystkie posterunki?

– Naprawdę nic więcej nie wiem – powtórzył Hank. – Wszyscy nabrali wody w usta. Sprawa jest najwyraźniej... hm... tajna. Muszę pogrzebać, poszperać, podpytać, urobić, kogo trzeba. Daj mi dzień lub dwa.

– Jest jakaś agencja, która na pewno nie ma mnie w indeksie? – spytał Mike.

– Och, bez wątpienia jest takich mnóstwo. I agencje, i indywidualne posterunki mają niedobór personelu i nadmiar pracy. Więc jeżeli nie wybierasz się na kemping gdzieś w pakistańskiej dziczy, na pewno nie jesteś na szczycie listy priorytetów. Nie znamy rozmiaru całej sprawy, ale nie ma powodu od razu przypuszczać, że stałeś się wrogiem publicznym *numero uno*.

– Co mamy zrobić, jeśli będziemy potrzebować pomocy?

– No cóż, to jest problem, prawda? Póki nie ustalimy, jak daleko sięga alarm i kto go uruchomił, skąd masz wiedzieć, komu zaufać?

Mike z trudem przełknął ślinę.

– A jeżeli do tego czasu Dodge i William wykonają kolejny ruch?

– Na twoim miejscu nie liczyłbym na to, że władza zyczliwie cię

wysłucha.

Hank się rozłączył, a Mike i Annabel przez chwilę tylko na siebie patrzyli.

W końcu Annabel wyciągnęła rękę i wzięła rewolwer. Podniosła go niezdarnie i czekała, aż dłoń przestanie jej drżeć. Mike zrobił potężny wydech, a później pochylił się i poprawił jej chwyt.

18

Tylne drzwi domowej pralni miały najslabszy zamek, przestarzały, marki Schlage, wymagał tylko zwykłego półtwardego wytrychu, klucza francuskiego o średnim skręcie i dziewięćdziesięciu sekund uwagi. Palcami w rękawiczkach Dodge cicho szarpnął stary zamek, a gdy ten ustąpił, po prostu wszedł do ciemnego domu. Staroświecki zegar ścienny nad suszarką pokazywał dziewięć dwadzieścia siedem. Chowając do kieszeni narzędzia, Dodge przeszedł do kuchni; jego stopy w rozmiarze czterdzieści sześć przesuwają się po linoleum zadziwiająco cicho.

Głowa Mike'a i góra tułowia tkwiły pod zlewem, na podłodze obok jego rozłożonych nóg na poplamionej od smaru macie leżały narzędzia. Mike uderzał młotkiem w rurę. Dodge prześlizgnął się tuż obok, zaledwie metr od jego gołych stóp. Nie zatrzymując się, zabrał z wierzchu lodówki jakiś płaski przedmiot z magneselem – cyfrowy dyktafon, który ukrył tam parę dni wcześniej. Ruszył korytarzem, mijając dziewczynkę siedzącą w pokoju dziecięcym plecami do otwartych drzwi. Mała garbiła się nad biurkiem i gryzła ołówek.

– Mamo – zawołała, nie podnosząc głowy znad pracy – dzielenie jest beznadziejne.

Dodge przemknął dalej, aż dał nura do głównej łazienki, w której zamknął się na klucz. Z tylnej kieszeni bojówek wyjął tablet Fujitsu, japoński model wielkości książeczki czekowej; Boss Man nie oszczędzał na takich sprawach jak ta. Starając się nie uderzyć głową w pochyły sufit, Dodge postawił urządzenie na krawędzi kwadratowej umywalki i

podłączył dyktafon przez port USB.

W ciągu kilku sekund materiał został przesłany.

Gałka za Dodge'em przekręciła się, a odgłos odbił się echem w małym pomieszczeniu.

– Och, jesteś tam. Przepraszam, kochanie – powiedziała żona Mike'a. – Umyj zęby i chodź do łóżka.

Dodge nawet się nie zaniepokoił. Jego szeroka twarz o osobliwie płaskich rysach pozostała obojętna. Nie przerwał też swojej pracy.

Kiedy kroki się oddaliły, założył na uszy duże słuchawki i włączył przycisk. Na ekranie pojawił się wykres dźwięku, każdy hałas miał postać zielonego płomyka, który rozciągał się jak włochata gąsienica. Dodge sprawdził, co się nagrało.

– *Nie ruszaj się, malpko* – rozległ się głos Annabel.

A dalej:

– *Nie złość się* – to Katherine. – *Przecież to nie było tak, że sobie powiedziałam: „Hm, czym bym mogła wkurzyć mamusię? O... już wiem. Złapię wszy”*.

Dodge otworzył okno wyszukiwania i wpisał „KLUCZ”. Najpierw w słuchawkach usłyszał przenikliwe wycie, później głos.

– *Dostałem przed chwilą SMS z twojej komórki z pytaniem, gdzie jest klucz do skrytki bankowej!* – powiedział mężczyzna.

– *Leży w pudełku z chusteczkami higienicznymi w twoim nocnym stoliku* – odparła ona. – *Nie zapytałabym o niego.*

Dodge wiedział, że tę rozmowę odbyli dziś, krótko po tym, jak on i William wysłali Mike'owi fałszywą wiadomość.

Złożył sprzęt, pochował przedmioty do różnych kieszeni i przycisnął ucho do drzwi. Z kuchni znów dotarły do niego odgłosy metalu uderzanego o metal, więc wyszedł na korytarz i skierował się do głównej sypialni.

Drzwi małżeńskiej łazienki były uchylone, ze środka dochodził szum prysznica. Kiedy Dodge je mijał, w szparze zobaczył kobietą sylwetkę Annabel, skrytą za szkłem zaparowanym od gorącej wody. Otworzył szufladę nocnego stolika. W środku rzeczywiście było pudełko z chusteczkami Kleenex przykryte ozdobną osłonką z plastiku. Dodge wsunął

palce w przecięcie na środku i gmerał wśród papierowych chusteczek. Nic. Uniósł plastikową osłonkę i zobaczył przyklejony do jej spodu kluczyk. Pokręcił nim, aż go wydobył, wyjął z kieszeni podobny klucz i wsunął go w miejsce poprzedniego, pod przezroczywą taśmę klejącą.

Kiedy odkładał osłonkę z powrotem, jego wzrok przyciągnął błysk z tyłu szuflady. Wysunął ją całkowicie. Smith & wesson, kaliber .357! Wyjął rewolwer, zwolnił przycisk, zajrzał do bębena i trzepnął w niego palcami, aż zawirował. Przekrzywiwszy głowę, Dodge obejrzał celownik, po czym wykrzywił wargi w szyderczym uśmiechu.

Woda przestała lecieć. Kabina prysznicowa w łazience otworzyła się. Dodge obrócił nadgarstek, zatrzymał bębenek i odłożył rewolwer z powrotem obok nowej, owiniętej jeszcze w celofan paczki naboju. Kiedy zamykał szufladę, rozległ się głuchy odgłos.

– Kochanie, skończyłeś ze zlewem?

Dodge chrząknął hałaśliwie na potwierdzenie.

– O rany, ile pary.

Ręka kobiety dotknęła drzwi łazienki, które otworzyły się szerzej.

Stojąc metr od drzwi, niewidoczny z łazienki, Dodge wyjął z głębokiej kieszeni na udzie młotek z kulistą główką. Poczekał, ale Annabel nie wyszła.

W twarz buchnęło mu gorące wilgotne powietrze. Odsunął się od otwartych drzwi. Annabel pochyliła się i wycierała mokre włosy, wpatrzona w podłogę. Dodge odwrócił się, jego obojętny wyraz twarzy ani trochę się nie zmienił. W końcu wyszedł z pokoju. Przechodząc korytarzem, znów wsunął młotek do kieszeni.

Katherine była w małej łazience, w piąstce zaciskała szczoteczkę do zębów i pochyliła się nad umywalką, aby wypluć pianę. Dodge przemknął obok niej cicho, jego głowa pojawiła się w lustrze, lecz pochyłona dziewczynka wcale go nie zobaczyła. Wrócił do kuchni.

Mike nadal tkwił pod zlewem, wydawało się, że szafka pożera jego głowę. Nogi miał ugięte, biodra uniesione, podpierał się dla równowagi. Słychać było stłumione przez drewno brzęczenie.

– Niech to szlag – mruknął Mike.

Wysunął dłoń i szukał czegoś po omacku w okolicy maty, później

zaczął oklepywać narzędzia.

Dodge przypadkiem uderzył butem w próg między kuchnią a pralnią.

– Hej, kochanie? – Dodge zatrzymał się, a Mike dodał: – Podasz mi klucz do rur?

Dodge zawahał się, patrząc na tylne drzwi. Zawrócił, przeszedł kuchnię i podniósł ciężkie narzędzie z maty. Pochylił się i wsunął klucz w wyciągniętą dłoń Mike'a.

Później spokojnie wyszedł przez pralnię i na dwór, w panującą już noc. Z rękami w kieszeniach ruszył chodnikiem. Silnik białej furgonetki stojącej pół przecznicy dalej zacharczał, samochód podjechał do Dodge'a, a drzwi rozsunęły się i wchłonęły go.

19

Dodge i William czekali przy śmietniku na ciemnym parkingu za bankiem Union L.A. Tylne drzwi już zamknięto na klucz, a jednak przez umieszczone wysoko okna padało światło. Mimo chłodu Dodge miał rozpinaną koszulę z krótkim rękawem, pod którą było widać śnieżnobiały podkoszulek. Skupiając wzrok na budynku, William przestąpił niecierpliwie z nogi na nogę.

Przegryzł ziarnko słonecznika przednimi zębami i wypluł łupinkę.

– Papierosa – zażądał.

Pojawił się ognek taniej plastikowej zapalniczki Dodge'a i rozżarzyły się dwa papierosy. Dodge wyjął jednego z ust i dał Williamowi. Ten zaciągnął się potężnie i zamknął oczy, delektując się przez chwilę, zanim kącikiem ust wypuścił smużkę białego dymu.

Dodge wrzucił zapalniczkę do kieszeni koszuli i też mocno się zaciągnął, żar zaskwierczał i jedna trzecia papierosa spłonęła.

Światło w budynku zgasło i po chwili przy tylnych drzwiach pojawił się brat Williama z nerwowym strażnikiem, który najpierw bacznie rozejrzał się wokół, a dopiero potem wyszedł na zewnątrz.

Hanley podbiegł do nich, strażnik deptał mu po piętach.

– Jest, kurwa, pusta! – Postukał kluczem od skrytki w kłykcie, tak mocno, jakby to metal stukał o drewno.

William zacisnął wargi, nie wyjmując papierosa z ust.

– Pusta?

– Domyślił się, że SMS nie był od niej, i wszystko zabrał. – Hanley kiwał się, przesuując ciężar ciała z palców na pięty i z powrotem, aż

Dodge chwycił go za ramię i zatrzymał.

– Słuchajcie... – Strażnik zamachał rękami, stojąc na skraju trójkąta, który utworzyli Dodge i bracia. – Wykonałem robotę, nie? Skasowałem nagranie z kamery, nic nie wpisałem do rejestru... wszystko załatwione. Moja siostra może odsapnąć? Ma czyste konto?

– Tak.

– Nie może znowu iść do więzienia. Ma trójkę dzieciaków, każde poniżej dziesięciu lat. A jej grozi nawet piętnaście. Jesteście pewni, że wasz facet...

– Boss Man mówi, że wszystko załatwi – uciał William. – Więcej załatwi.

– Jesteście aniołami. Pieprzonymi aniołami stróżami.

– Nie dostaliśmy tutaj, czego chcieliśmy – oznajmił William. – Więcej się stąd zabieraj.

Pstryknął papierosa ponad ramieniem strażnika, ale iskry posypały się na przód koszuli od munduru.

Mężczyźnie zrzędał mina. Popatrzył na Dodge'a, który wcześniej odszedł i bez zainteresowania wpatrywał się w czarny koniec parkingu.

– Okay. – Strażnik wyciągnął ręce. – Nigdy was nie widziałem. Wy nie widzieliście mnie.

Wyprostował się i wrócił do budynku, pobrzękując kluczami zawieszonymi na automatycznej smyczy, aż zamknęły się za nim drzwi z pleksiglasu. Kiedy przekręcał zamki, odwrócił jasną twarz i zagapił się na tamtych przez szybę, aż w końcu odszedł.

– Do diabła – powiedział Hanley. – Tyle zachodu i pieprzona skrytka jest pusta?

Cisnął klucz w ciemność. Klucz uderzył w bok furgonetki, a potem spadł na asfalt.

Dodge spojrział na niego ostro.

– Podnieś go.

– Daj spokój, ja...

– Już!

Hanley podszedł i przez jakiś czas na czworakach szukał kluczyka. Dodge zapalił kolejne dwa papierosy i zaciągali się razem z Williamem.

W końcu Hanley przyniósł klucz. Dodge znowu go rzucił i kopnął w kierunku kratki ściekowej.

– Przepraszam – bąknął Hanley.

– Odpręż się. – William położył dłoń na karku brata. – Spóźniliśmy się ledwie o krok.

– Wiem, że to duża robota...

– Nie. – Spojrzenie Dodge'a było zimne i twarde.

– No więc. – William wyszczerzył zęby. – Duża robota czy robótka? Tego musimy się dowiedzieć.

– W jaki sposób? – spytał Hanley.

– A w jaki sposób zawsze dostajemy odpowiedzi? – odrzekł William. – Powoli naciskamy, a później patrzymy, jak miękną. Musimy go szturchać i szturchać. Aż pokaże nam drogę. Traci już nerwy, co? Ten Wingate? Faceci w takim stanie popełniają błędy. W końcu ujawni, kim jest.

Dodge go nie powstrzymywał, więc Hanley znów zaczął się kiwać w przód i w tył.

– Dlaczego po prostu go nie załatwimy?

– Nie możemy odstrzelić faceta tylko dlatego, że jest do kogoś podobny. Mamy zasady. Przy każdej robocie jest bałagan. Trzeba dopilnować, żeby ten bałagan się opłacił.

Hanley odwrócił się i gwałtownie splunął. Zagryzł wargi.

– Gnojek nas pobił. Pokonał nas z tym depozytem. – Zastanowił się.

– Co? Czemu się, uśmiechasz?

William ruszył z powrotem do furgonetki.

– Noc jeszcze młoda.

20

– *Wiemy, kim jesteś.*

Mike poruszył się w łóżku, słysząc ochryply szept. Ciepłe ciało Kat grzało go w nerki.

Otworzył oczy. Tuż przed nim, na nocnym stoliku, stała niania elektroniczna.

Czerwone pręciki na monitorze płonęły, podnosząc się i opadając jak uszminkowane usta.

– *Pytanie brzmi, czy ty wiesz.*

I wtedy rozległ się przeraźliwy pisk, który do reszty go rozbudził. Taki dźwięk pojawiał się wtedy, gdy w nadajniku w pokoju Kat wyłączano zasilanie, ale teraz, w ciemności, brzmiał raczej jak wrzask.

Mike wyskoczył z łóżka, poszukał w szufladzie rewolweru i kul. Kat obróciła się z krzykiem i wpadła na Annabel, a potem obie podniosły się gwałtownie, rozgorączkowane. Z monitora wciąż dochodził straszliwy pisk, aż Annabel wyrwała wtyczkę z kontaktu. Mike popędził korytarzem, wpadając na ściany, pospiesznie ładując pociski, niektóre upuszczając, inne kopał, a one odbijały się od desek podłogowych i podskakiwały.

Z bronią wyciągniętą przed siebie wpadł do pokoju Kat. Panowała tu ponura cisza – zasłane łóżko, uporządkowane książki, odkurzony dywan w prążki. Poruszała się tylko firanka, smagana wiatrem. Na zdrętwiałych nogach Mike podszedł do okna i odsunął ją.

Oba zamki były otwarte. Okno było uchylone na kilka centymetrów. Za szkłem krył się czarny kwadrat nocy.

Mike pchnął okno, otwierając je na oścież i uderzając w luźno wiszącą siatkę, która oderwała się i spadła na mokre od rosy krzewy w dole. Wychylił się i spojrział w lewo, a potem jak najdalej na prawo, ale wszędzie panował bezruch, słychać było tylko cichy syk zraszaczy na obrzeżach działki.

– Mike! – Annabel drżącym głosem zawołała do niego z korytarza.

– Wychodzę na dwór. Weź Kat, zamknijcie się na klucz w łazience. Zabierzcie telefon bezprzewodowy. Jak usłyszysz strzały, dzwoń na policję.

Wyskoczył przez okno i pognał przy ścianie. Przebiegł kilka kroków betonową ścieżką i dotarł do drewnianej furtki – skobel nie był zasunięty i furtką targał wiatr. Wiatr był zimny, przeszywał do kości i Mike przypomniał sobie, że jest boso, tylko w bokserkach i podkoszulku.

Popędził do furtki, znieruchomiał, popchnął ją ramieniem, a gdy się całkiem otworzyła, wyskoczył na podjazd, trzymając w obu rękach rewolwer. Nikogo.

Pospiesznie pokonał trawnik, tym razem z opuszczoną przy boku bronią, aż się zatrzymał, czując pod stopami chłodną, wilgotną ziemię. Elektryczna pułapka na owady wisząca na werandzie Martinsów naprzeciwko brzęczała i rzucała smugę płonącego pomarańczowego światła. Cyprysy na granicy posiadłości sterczały niczym wysokie kapelusze czarownicy i kiwały się na wietrze. Mike wsłuchał się, ale wszędzie wokół słyszał tylko podmuchy wiatru i szelest gałęzi i listowia.

– Gdzie jesteś? – zawołał, czując się dziwnie, że krzyczy na pustej ulicy. – Ukrywasz się? – Był tak wściekły, że głos nawet mu nie drżał. – Nie boję się ciebie. Tu jestem. Tutaj! – Drzewa zaszeleściły głośniejsze, ale poza tym Mike nic nie usłyszał. – Myślisz, że wiesz, kim jestem? – Obrócił się i krzyczał w noc. – Więc kim jestem? No, kim?!

U sąsiadów, Epsteinów, w sypialni zapaliło się światło. Mike słyszał, że Kat w domu płacze. Świerszcze poruszały się wśród źdźbeł trawy przy jego kostkach, a po pewnym czasie wznowiły cykanie.

Nagle do Mike'a dotarł pisk opon. Natychmiast się odwrócił i powitało go pojedyncze beknięcie syreny policyjnej. Wóz zatrzymał się obok skrzynki pocztowej Wingate'ów i Mike natychmiast ukrył rewolwer za

plecami. Szyba od strony pasażera została opuszczona i w oknie pojawiła się ciemna twarz Elzey.

Funkcjonariuszka wyskoczyła z wozu i zatrzasnęła za sobą drzwi.

– Co pan tam ma?

Odwracając się nieznacznie, Mike wsunął sobie broń za bokserki. Modlił się, żeby ciężki rewolwer nie wypadł przez nogawkę.

Opuścił po bokach puste ręce.

– Wiem, co pan tam chowa. – Elzey ruszyła ku niemu, przeszła krawężnik, nasadą dłoni musnęła kolbę pistoletu, który tkwił w kaburze na biodrze. – Na pańskie nazwisko nie zarejestrowano żadnej broni, więc jeśli trzyma pan pukawkę, udupimy pana.

– Nie pozwoliłem pani tu wchodzić. To mój teren.

Funkcjonariuszka przystanąła, zawahała się. Podwórze było ciemnawe i jej twarz w mroku wyglądała na wychudzoną, o ostrych rysach. Markovic również wysiadł i gapił się na Mike'a ponad białym dachem radiowozu. Zapach jesieni – butwiejących liści, mierzwy, pokrytej rosą roślinności – był intensywny, Mike czuł go nawet w gardle. Wąski księżyc dawał niewiele srebrnego światła.

– Krok w tył – ostrzegł. – Albo pokażcie mi nakaz.

– Chcesz z nami pogrywać? – rzuciła Elzey.

– Skąd się tu wzięliście? – spytał Mike.

– Odkąd opuścił pan posterunek – odpowiedział Markovic – bardzo się o pana martwiliśmy.

– Tak bardzo, że sterczycie pod moim domem i macie na mnie oko – dokończył Mike.

– Zgadza się. Patrolujemy teren i czasami sprawdzamy, co dzieje się wokół pana domu.

– To nie wy sprawdzaliście podwórko za moim domem? I okno w sypialni mojej córki? A może nawet jej pokój?

Twarze funkcjonariuszy nieruchomo trwały w ciemnościach. W końcu Markovic wycelował palcem w obiektyw na wstecznym lusterku radiowozu.

– Mamy w samochodzie nagrania i dane z GPS z trasą naszego patrolu, więc niech pan lepiej uważa na słowa i nie rzuca bezpodstawnych

oskarżeń.

– Ktoś włamał się do pokoju mojej córki.

– Może ci się przesłyszało? – spytała Elzey. – Biegasz o pierwszej w nocy półnagi z bronią w gaciach. Mamy powody ci nie dowierzać.

– Może i jestem półnagi. Ale nie mam broni.

– No dobra – ciągnęła Elzey. – Skoro było włamanie, musimy wejść na teren, żeby spisać raport.

– Kolejny raport? Nie, dzięki. Poczekajmy na jakieś postępy w poprzedniej sprawie.

Elzey wzruszyła ramionami.

– Rób sobie, jak chcesz!

Mike wycofał się do furtki, nie spuszczał wzroku z funkcjonariuszki i nie wyjmował rewolweru. Kobieta obserwowała go z rozbawieniem. Kiedy przeszedł przez bramę, znów zajęła siedzenie obok kierowcy, a kiedy on zamknął furtkę, ona zatrzęsnęła drzwiami.

Markovic uruchomił silnik i odjechali.

Na frontowym dziedzińcu zapanowała kompletna cisza.

Kulący się z tyłu budynku, w cieniu pierzastych palm William oparł się teraz o pokryty rosą parapet kuchennego okna. Na jego twarz wypłynął uśmiech i jaśniał w ciemnościach jak sierp.

21

Mike klęczał na ozdobionym falbanką łóżku w sypialni Kat i kończył zabijać deskami zamknięte okno. Uniósł połą koszuli i startł sobie nią pot z czoła. Ziemia pod oknem była twardo ubita i, tak jak zawsze, nie dostrzegł na niej żadnych śladów. Zaciągnął szczelnie firanki i usiadł na materacu. W dużej sypialni Annabel próbowała uspokoić Kat, leżąc obok niej, głaszcząc i czekając, aż dziewczynka zaśnie.

Nagle wzrok Mike'a padł na regał z książkami pod przeciwległą ścianą pokoju. Na półce leżał kuferek na skarby. Właściwie było to pudełko po butach, ale Kat jeszcze w przedszkolu owinęła je w tkaninę i przyozdobiła naklejkami; trzymała tam najukochańsze przedmioty. Mike zdjął pudełko, postawił je sobie na kolanach i podniósł oklejone materiałem wieczko. Plastikowa bransoletka Annabel z oddziału położniczego. Maleńki srebrny kubeczek z wyrytym z boku barankiem. Śpioszki z motylem, które podarował jej Shep, gdy Mike widział go po raz ostatni. Rozłożył ubranko, przypominając sobie, jak przyjaciel wyjął je niezapakowane z kieszeni. Wtedy wydawały się ogromne, bo Kat miała pięć miesięcy, a one pasowały na trzylatkę, ale teraz były takie maleńkie. W pierwszych miesiącach używali ich jako ściereczki, a później Kat potraktowała je jak kocyk. Nigdy jednak nie założyła ubranka, nawet gdy była już dość duża.

Mike dalej przeglądał kuferek, przekopując się przez stosy jasno-żółtych i różowych przedmiotów. Było coś świętego w tym niezdarnie udekorowanym skarbczyku, w tym pokoju, w tym domu.

Odstawił pudełko, wyszedł na korytarz i wrócił do głównej sypialni.

Kat leżała w zmiętej pościeli, pogrążona we śnie, a Annabel, zwinęta obok, przyglądała jej się z góry. Oba profile okalały ciemne włosy.

Zona uniosła się i oparła o wezglowie.

– Chcieli nas przerazić, prawda? No cóż, ze mną im się udało. A skoro nie możemy teraz liczyć na pomoc policji, musimy sami coś wymyślić. Mogę zadzwonić do rodziców i poprosić, żeby tu przyjechali.

– Twoja mama z tą nową protezą biodrową po prostu wskoczy do airbusa?

– Codziennie z Tampa przylatuje mnóstwo samolotów. A tato zna się na prawie, mógłby...

– Twój ojciec jest emerytowanym syndykiem upadłościowym! Zresztą już sobie wyobrażam ich reakcję. Nigdy mi nie ufali...

– Nie musimy wtajemniczać ich w szczegóły. Mówię tylko, że są pewne legalne drogi...

– Nie ma, wierz mi. Tacy faceci nie słuchają rozsądku. Do nich przemawia tylko przemoc.

Twój punkt widzenia – dodał w myślach – dotrze do nich dopiero wtedy, kiedy obudzi ich twoja pięść po tym, jak ukradli ci koszulę spod poduszki. Słuchają cię tylko wtedy, gdy stoisz od nich na odległość bokserkiego haka i każesz im przestać kopać chudego dzieciaka.

– No, chyba że na siłę odpowiedzą jeszcze większą siłą – zauważyła.

– Więc co proponujesz? Mamy związane ręce. Nie możemy iść na policję, przynajmniej do czasu, aż się dowiemy, kto się na mnie uwziął.

– Mówię tylko, że cała sprawa może nam się wymknąć spod kontroli.

– Annabel! Nie widzisz, co się dzieje?

– Widzę. I ze wszystkich sił staram się domyślić, o co chodzi.

– I o co chodzi?

Przykryła kocem leżącą córkę i pokazała gestem, żeby mówili ciszej.

– „Wiemy, kim jesteś”. Tak powiedział, prawda? Przez nadajnik niani?

– No i?

– Wiem, że mieliście kiedyś coś na sumieniu. Ty i Shepherd. Czy

jakaś sprawa może nas prześladować teraz, po latach? Ukradliście komuś pieniądze, skrzywdziliście kogoś? Cokolwiek?

Pytanie poraziło go, trafiło we wrażliwe miejsce, o którym już prawie zapomniał. Teraz zacisnął powieki i przypomniał sobie ten moment, który zamroził w myślach kilka dziesięcioleci temu – widok z wykuszowego okna, poprzez arkadę żółtopomarańczowych liści, na koniec ulicy, gdzie miało się ukazać kombi, ale nigdy się nie ukazało. Ten obraz należał tylko do niego i Mike skupił się na nim przez chwilę. Kombi nigdy nie powróciło, ale Mike przez lata miał marzenie, coś, czego nikt nie mógł mu odebrać. Znajdował w nim siłę, a wtedy nie potrzebował niczego więcej.

Ale teraz nie miał już siedmiu lat. Miał za to żonę i córkę, których potrzebował tak bardzo jak one jego. Otworzył oczy i przez chwilę usiłował zapanować nad gniewem.

– Nie – zapewnił Annabel. – Byliśmy drobnymi złodziejaskami, nie napadaliśmy na banki z bronią w ręku.

– Jesteś pewny, że nikomu nie podpadliście?

– Nie wierzysz mi? Po tylu latach nadal jestem dla ciebie małym ulicznikiem, wilkiem w owczej skórze?

– Oczywiście, że nie!

– Jak możesz w ogóle mnie o to pytać? Nigdy cię nie okłamałem.

Odwrócił się i mimowolnie spojrzął na opartą o ścianę nagrodę.

Annabel ciężko westchnęła.

– Pytam, bo ci ludzie prześladowają naszą rodzinę, Mike. Więc myślę, że żadne pytanie nie jest zakazane, nie w rozmowie między tobą i mną. A gdyby coś takiego było...

– Myślisz, że ja nie zachodzę w głowę, czego chcą? Wierz mi, nic takiego się nie zdarzyło. Nic! Czasem coś ukradliśmy w sklepie albo na czyjejs ścianie namalowaliśmy jakieś gówniane graffiti. Nie zrobiliśmy nic, za co tacy ludzie mieliby przez tyle lat żywić urazę.

Kat poskarżyła się cicho przez sen i Annabel zerwała się z łóżka, chwyciła męża za ramię i pociągnęła go do łazienki. Córka była ledwie kilka kroków od niego, ale Mike zdenerwował się, że jej nie widzi, więc lekko uchylił drzwi.

Annabel mówiła cicho, ale z mocą, niemal wypluwając słowa przez zaciśnięte zęby.

– Kiedy zaleziesz komuś za skórę, nie wiesz, jak długo będzie chował urazę.

Ciało żony było napięte, gotowe do ataku. Mike uświadomił sobie, że jego postawa jest taka sama.

– Mamy kłopoty i od razu robisz ze mnie *Człowieka z blizną*? Nigdy nikogo nie skrzywdziłem. Zrobiłem parę głupich rzeczy, ale to wszystko. Nie dorastaliśmy w pieprzonej *Rodzinie Soprano*.

Annabel zrobiła gwałtowny ruch ręką i niechcący zrzuciła z półki butelkę perfum. Butelka spadła, roztrzaskując się o dno wanny, a chwilę później łazienkę wypełnił mdły zapach. Jej twarz nawet nie drgnęła.

Odgłos tłuczonego szkła zawisł w ciszy.

Annabel głęboko zaczerpnęła tchu i wstrzymała oddech. Kiedy wypuściła powietrze i przemówiła, jej głos zabrzmiał zupełnie spokojnie.

– No dobra, spróbujmy jeszcze raz – zaproponowała. – Włamanie do biura i plik, który oglądali, wskazują, że nie chodzi o Green Valley. Ich interesujesz ty i twoja przeszłość. Jeśli sprawa nie ma nic wspólnego z twoją przeszłością „drobnego złodziejaska”, pozostaje jedna odpowiedź.

Mike poczuł drapanie w gardle.

– Myślisz, że tego nie wiem?

– To, co się zdarzyło, kiedy miałeś cztery lata...

– Przynajmniej raz – przerwał jej – nazwijmy rzecz po imieniu. Kiedy mój ojciec zabił moją matkę.

Nigdy wcześniej nie wypowiedział tak otwarcie swoich obaw i teraz aż zadrgały mu mięśnie twarzy. Odnosił wrażenie, że skóra na policzkach mu obwisła, a jednocześnie pokryła się gorącym rumieńcem.

Czy wiedział o tym od samego początku? Że ten ciąg myśli doprowadzi go w końcu do karmazynowych kropek na mankiecie ojca? Przypomnił sobie jego ręce zaciskające się na kierownicy kombi. „Nic, co się stało, nie jest twoją winą”. Nic, co się stało... Co, u diabła, zrobił ojciec?

Annabel przelknęła ślinę, a potem oblizała wargi. Podniosła dłoń i rozczapierzyła palce.

– Nie znamy całej historii.

– Wiem o tym dość. Wiem, że skutki jego czynu jakoś do nas wracają.

– Może chodzi o coś innego. Może zdarzyło się coś, co go zmusiło do...

– Zmusiło? Nic nie może człowieka zmusić do czegoś takiego. Nie ma tu żadnego usprawiedliwienia...

Zapanował nad sobą. Tak wiele słów, tak wiele obrazów spadało na niego: „W Ameryce znów zaświeciło słońce: Ronald Reagan na prezydenta”. „Głupek ciągle myśli, że jego tato wróci”. „Zniszczyłeś mój rower, bo niczego nie masz i nigdy nie będziesz miał”. „Popatrz na tę ponętną laseczkę, o tam”. „Pańskie akta są dziurawe jak szwajcarski ser”. „Wiemy, kim jesteś”.

Leżąc na łóżku Kat wymamrotała coś i obróciła się na drugi bok.

Mike starał się mówić opanowanym głosem.

– Jaki mężczyzna porzuca swoje dziecko? Po prostu porzuca, zostawia gdzieś? Nie można wybaczyć rodzicowi, który robi coś takiego.

Annabel pocałowała go w usta. Długo i czule, nie rozchylając warg.

– Uspokój się – poprosiła. – Oddychaj. – Próbował się opanować. – Pomogę ci się z tym zmierzyć – dodała.

Pocałował ją w czoło, a ona mocno objęła go w pasie.

Mike przez chwilę chodził po kuchni oświetlonej surową luną świetlówek, do ucha przyciskał telefon bezprzewodowy. Wreszcie wystukał cyfry. Wprawdzie pod numerem, który miał w notesie, nikt już nie mieszkał, ale automatyczna sekretarka podała nowy numer w Reno.

Telefon dzwonił i dzwonił. Chociaż minęło siedem lat, jego głos był nadal taki sam, cichy i trochę ochrypły.

– Tak?

– Potrzebuję cię tutaj.

– Co?

– Potrzebuję cię tutaj – powtórzył Mike, trochę głośniej.

Jakiś szelest. Sekunda czy dwie milczenia.

– Okay – powiedział Shep.

Rozległo się kliknięcie, a później sygnał ciągły.

22

Pięć godzin i pięćdziesiąt siedem minut później rozbrzmiał dzwonek do drzwi.

Leżeli przytuleni w dużym łóżku, oświetleni wpadającymi przez okno promieniami porannego słońca. Mike i Annabel nie zasnęli aż do piątej nad ranem, kiedy poziom adrenaliny ostatecznie opadł, pozostawiając po sobie rosnący strach i potworne zmęczenie.

Mike przysnął całkiem ubrany, z rewolwerem w jednej ręce i garścią kul w drugiej. Na odgłos dzwonka zatrzepotał powiekami i uniosł głowę, która – jak mu się wydawało – zrobiła się w nocy znacznie cięższa. Budzik wyświetlał siódmą czterdzieści siedem – Mike był spóźniony do pracy, a Kat do szkoły; nie żeby tego dnia to miało jakiegokolwiek znaczenie.

Z bronią u boku ruszył korytarzem. Ponieważ nie mieli wizjera, szarpnął drzwi frontowe na długość łańcucha i odsunął się zaskoczony.

Reno było ponad osiemset kilometrów stąd, jazda powinna zająć Shepowi około ośmiu godzin. Ale Shep musiał po prostu odłożyć słuchawkę, pójść prosto do samochodu i pędzić ponad sto czterdzieści kilometrów na godzinę.

Po raz pierwszy od długiego czasu Mike poczuł prawdziwą ulgę. Położył rewolwer obok pustego wazonu, zdjął łańcuch i otworzył szeroko drzwi. Sylwetka Shepa przesłoniła wschodzące słońce. Za nim stał shelby mustang rocznik 1967, parujący na podjeździe jak spieniony koń, powietrze nad maską drżało od gorąca. Samochód był granatowy, ale dwa białe wyścigowe pasy biegly wzdłuż dachu i przez środek maski.

Shep się przesunął i słońce pojawiło się nad jego prawym ramieniem, oświetlając przy okazji bok jego twarzy. Miał świeżą bliznę, paseczek różowej tkanki poniżej ucha – może od rozbitej butelki, chociaż Mike wiedział, że nigdy się nie dowie. Włosy Shep nadal nosił krótko przycięte – o długości właściwej, żeby uniknąć wszy w domu zastępczym. Miał na sobie podkoszulek z wycięciem w serek, a na szyi cienki srebrny łańcuszek i medalik ze świętym Hieronimem, starty jak stara moneta. Muskulary na jego piersi były tak twarde jak muskulary Mike'a z dziesięć lat temu. Chociaż Mike był w całkiem dobrej formie, różnica między nimi od razu rzucała się w oczy – Mike zmiękł.

Znajomy widok zachodzących na siebie przednich zębów Shepa przyniósł mu ulgę. Poczul się jak w domu. Ale były też różnice, nie tylko świeża blizna. Kark Shepa był teraz grubszy, solidniejszy, rysy wydawały się wyrazistsze; w jego szczupłej twarzy była głodna intensywność, niemal wilcza drapieżność. Patrząc przez próg na Shepa, Mike był świadom lat, które upłynęły.

- No i? – zagaił Shep.
- Masz bagaż? – spytał Mike.
- Nie.

Na kaflowej podłodze za Mikiem rozległy się drobne krocзки. Podeszła Kat. Shep wyminął Mike'a i kucnął, głowa jego i małej były na tej samej wysokości.

- Te oczy – powiedział.
- Ale jesteś wielki – stwierdziła Kat i powtórzyła do Mike'a: – Jest wielki.
- Kat, to jest Shep.

Jej ręka wydawała się taka maleńka, gdy Shep ją ścisnął.

Annabel wyszła zza rogu, wygładzając koszulę. Na widok Shepa się zatrzymała.

- Dzięki, że przyjechałeś – powiedziała. – Mamy z Mikiem trudną sytuację, więc potrzebowałam kogoś nowego do kłótni.

Shep popatrzył na nią bez wyrazu.

- To był żart – wyjaśniła. – Z wyjątkiem podziękowania.

Weszli do kuchni. Ziewając, Annabel zdjęła z haka patelnię do

omletów. Popatrzyła na nią ze znużeniem, odstawiała na blat i nalała dorosłym kawy, a dla Kat przygotowała płatki.

- Zjedz szybko, małpko. Musimy cię odwieźć do szkoły.
- Nie wiem, czy chcę, żeby dzisiaj szła do szkoły – wtrącił Mike.
- Myślisz, że ci faceci mnie ścigają? – spytała Kat.

Policzki dziewczynki wyglądały na zapadnięte, pod jej oczami były ciemne sińce. Rodzice powiedzieli jej, co się wydarzyło, ale bez szczegółów, tak niejasno, jak to było możliwe. Kat musiała wiedzieć, że ich rodziną zainteresowali się niebezpieczni ludzie, ale nie było potrzeby mówić jej, że gdy spała, wtargnęli do jej sypialni.

- Nie, kochanie – odrzekł Mike. – To mnie ścigają.
- Ostrzegłam nauczycieli – wtrąciła Annabel. – Boiska i place zabaw są ogrodzone, przez cały czas dzieci pilnuje trójka wychowawców, poza tym, szczerze mówiąc, wygląda na to, że łatwiej przychodzi im włamać się do naszego... – Zamilkła i szybko spojrzała na córkę, ta jednak była zajęta gapieniem się na Shepa. Mike pomyślał z żalem, że Kat nigdy dotąd nie spotkała nikogo takiego jak Shep. – Poza tym – ciągnęła Annabel – nawet opiekunki i krewni z listy muszą pokazać dowód, jak chcą odebrać dziecko. Prawdopodobnie jest bezpieczniejsza w szkole niż tutaj.

- Więc tu nie jest bezpiecznie? – spytała Kat.

Shep sączył kawę i wpatrywał się prosto przed siebie, udając bardziej głuchego, niż był w rzeczywistości. Potrafił się tak wycofać, gdy uważał, że to dobre posunięcie – albo po prostu wygodne. We właściwym czasie Mike zwróci jego uwagę, a na razie nie musiał się niczym przejmować.

- Jesteś bezpieczna – zapewnił Mike. – Będziemy cię chronić. Ale twoja mama ma rację. W szkole też nic ci nie grozi.

Annabel dotknęła ramion Kat, a później wyprowadziła ją do korytarza. Po drodze do wyjścia dostrzegła swój podręcznik, *Doświadczenie i edukacja*, na stoliku przy telefonie i jęknęła.

- Miałam na dzisiaj napisać przykładowy plan lekcji. Doktor Skolnick się wkurzy.

- Zrobimy z tym wszystkim porządek – odrzekł Mike.

Annabel popatrzyła na Shepa, który nadal obojętnie gapił się przed

siebie i powoli popijał kawę, łyk za łykiem.

– Obiecujesz? – spytała.

Zadzwonił telefon i Mike podszedł do stolika, przecierając zmęczone oczy. Odebrał.

– Michael Wingate? – spytał kobiecy głos w słuchawce.

– Tak.

– Nazywam się Dana Riverton. Znałam pańskich rodziców.

■ ■ ■

Riverton nie powiedziała nic więcej ani nie zdradziła, dlaczego chce się spotkać. Tylko tyle, że woli porozmawiać osobiście. Mike wybrał restaurację w sąsiedztwie, umówili się w samo południe. Shep miał dyskretnie obserwować spotkanie, a potem iść za kobietą i zdobyć jej adres.

Gdy Mike poprosił Sheilę, żeby odwołała wszystkie spotkania, usłyszał ironiczny okrzyk radości. Zadzwonił też do Hanka, znów niecierpliwie chcąc się dowiedzieć, kto, do diabła, uruchomił w jego sprawie alarm i do której agencji może zwrócić się po pomoc. Hank nadal badał sprawę, kontaktował się ze wszystkimi ludźmi, których znał w organach ścigania, i twierdził, że z każdą godziną sytuacja wygląda bardziej złowieszczo. Cekał teraz, aż kilka osób oddzwoni, i obiecywał, że powiadomi Mike'a, gdy tylko otrzyma konkretną informację. Zanim Mike się rozłączył, poprosił detektywa, żeby sprawdził Dane Riverton.

Kilka następných godzin spędził, opowiadając o wszystkim Shepowi, który słuchał uważnie, czasem przerywając. Zadawał rzeczowe pytania, na które Mike nie zawsze potrafił odpowiedzieć: „Mają więzienne tatuaże?”, „Ten Dodge bardziej wyglądał jak zawodowy bokser czy uliczny zabijaka?”, „Kto jest starszym posterunkowym, Markovic czy Elzey?”. Później we dwóch obeszlí dom, najwięcej czasu spędzając przy oknie Kat.

– Potrzebujesz solidnej odbojnicy z zamkiem, możesz też wsunąć ruchomy hak, żeby uruchomił zatrask. Widzisz te zarysowania? Myślisz, że kurczak je wydrapał?

Teraz siedzieli w salonie i Shep wreszcie zbierał fakty w całość.

– Twoje zamki są do dupy – ocenił. – Ten schlage w pralni... można

go otworzyć mokrą kluską. Wymienimy, co trzeba, jak tylko namierzemy tę damulkę Riverton. Boczne furtki wymagają kłódek. Mam przyjaciela, który trenuje bojowe rottweilery. To jest w Fort Lauderdale, mogę takiego załatwić w dwa dni.

– Bojowy rottweiler? A co z Kat?

– Właśnie o niej myślę. Dlatego potrzebujemy takiego psa. Możesz trzymać go na tyłach.

– Jak będziemy...

– Poradzę sobie z nim. – Shep wyjął z kieszeni dwa lśniące czarne telefony, jeden położył na stoliku przed Mikiem. – Są tylko dla nas. Nie używaj swojego do niczego innego. Rozumiesz? Powtórzę ci. Nie używaj go do niczego innego. W każdym jest numer drugiego...

– Mogę dać twój numer Annabel? Na wypadek gdyby...?

– Jej i nikomu innemu. Trzymaj batphone przez cały czas przy sobie. Jak to możliwe, pisz. Nie lubię za dużo gadać.

Mike wiedział, że dla przyjaciela problemem nie jest mówienie, lecz słuchanie. Usiadł na sofie, oparł się i zadumał. Była za kwadrans jedenasta. Im mniej czasu pozostawało do spotkania z Daną Riverton, tym bardziej się go obawiał. Najpierw Dodge i William, a teraz ni z tego, ni z owego pojawia się ta kobieta? Niezły zbieg okoliczności. Twierdzenie, że znała jego rodziców, musiało być manipulacją; Mike pogardzał sobą za nadzieję, że jednak mogło być inaczej.

Skupił się na zadaniu. Wziął batphone ze stolika i wsunął go do kieszeni. Shep się pochylił, a wisiorek zadyndał. Przyjaciel splótł szorstkie dłonie.

Pierwsza chwila ciszy, odkąd wszedł.

Po minucie milczenie zaczęło Mike'owi ciążyć.

– Co porabiałeś? – spytał.

Shep wzruszył ramionami.

– Kasy, jak zawsze. W Reno jest pełno forsy, bo wiesz, hazard. Zrobiłem jeden napad na bank, ale bez broni. Przebiłem się przez tylną ścianę w nocy. Wykorzystałem hałas, którego narobiła podstawiona brygada z wiertarką. – Pokręcił głową. – Ale to była jednorazowa akcja.

– Pewnie teraz jest na co popatrzeć – kontynuował Mike. – Jak za-

łatwiasz sejf.

– Nie uwierzyłbyś własnym oczom. – Shep się odchylił, ramiona rozłożył na oparciu kanapy.

Mike pomyślał o innych. Charlie Dubronski dostał dożywocie za napad z bronią w rękę. Tony Moreno przedawkował meksykańską heroinę w toalecie na postoju dla kierowców ciężarówek. Wszystkie te niewłaściwe wybory, wszystkie ślepe uliczki. A on, Mike Wingate, miał fordą F-450, firmę deweloperską, dobrą, szczerą żonę i bystrą córeczkę. Cholerny był z niego szczęściarz. Aż do tej pory.

– Co teraz? – spytał.

– Przynieś mi swój telefon. Ten oficjalny.

Kiedy Mike podał mu telefon, Shep poklikał przez chwilę, a później pokazał Mike'owi ekran z podświetlonym opisem KOMÓRKA A.

– To ta, którą ukradli?

– Tak, to telefon Annabel.

Shep włączył głośnik, po czym wybrał numer. Od razu połączył się z pocztą głosową.

– *Cześć, mówi Annabel. Prawdopodobnie usiłują wyciągnąć telefon z tej małej przestrzeni pomiędzy fotelem i drzwiami, więc...*

Shep się rozłączył. Mike poczuł gorąco na twarzy. Myśl, że ci ludzie zawłaszczyli choćby nagranie głosu żony, szczerze go rozgniewała. Wyobraził sobie telefon Annabel w spoconej łapie Williama, w wielkiej kieszeni Dodge'a, leżący na tablicy rozdzielczej tej obskurnej białej furgonetki.

– Powiedz jej, żeby nie zgłaszała kradzieży – doradził Shep. – Lepiej, żeby pozostał czynny.

– Dlaczego? – spytał Mike.

Przyjaciel wciskał klawisze, więc Mike podszedł i popatrzył mu przez ramię. Shep pisał wiadomość: CZEGO CHCECIE?

Popatrzył na Mike'a. Mike skinął głową. Nacisnął „Wyślij”, wyjął notes i zapisał godzinę. Położył komórkę na szklanej powierzchni stołu.

– Włączają go tylko od czasu do czasu – stwierdził. – Tak trudniej ich wyśledzić.

– Więc to niemożliwe? – spytał Mike.

– Trudniejsze.

Siedzieli. Shep, który nigdy nie przepadał za rozmowami o robocie, wpatrywał się prosto przed siebie. Mike nie wiedział, co robić z rękami. Minęło dziesięć minut, potem dwadzieścia. Niedługo będą musieli wyjść do restauracji. Mike spojrzął na zegarek, odchrząknął i właśnie miał powiedzieć, że powinni się zbierać.

Na odgłos komórki brzęczącej na szklanym blacie aż wstrzymał oddech. Dźwięk był tak głośny, że Mike niemal zazgrzytał zębami, ale Shep ledwie zamrugał.

Mike pochylił się i podniósł komórkę. Ręce nieznacznie mu się trzęsły, gdy czytał nową wiadomość.

NAPRAWDĘ NIE MASZ POJĘCIA, CO?

Chłodne ciarki przeszły mu po plecach. Zaczął coś mówić, ale Shep pokazał palcem, żeby milczał, potem sprawdził godzinę, zanotował ją i wskazał na telefon.

Mike wystukał jedno słowo: **NIE**.

Wysłał wiadomość, odłożył telefon i rozparł się na sofie. We dwóch gapili się na komórkę przez chwilę, która wydawała się bardzo długa. Tym razem Mike przygotował się na dzwonek. A jednak, gdy znowu rozległ się dźwięk przychodzącego SMS-a, wcale nie poczuł się lepiej, wręcz przeciwnie.

Otworzył komórkę. Ręce drżały mu jeszcze bardziej, ale już się nie przejmował, co pomyśli Shep. Wiadomość go zmroziła – Mike'owi wydało się, że całe jego ciało i serce znieruchomiały.

NO TO POCZEKAJ.

23

Gdy Mike jechał przez swoją dzielnicę, uderzyła go jej podmiejska pospolitość. To nie było Hollywood z palmami i chodnikami z odciętymi dłońmi gwiazd; Venice Beach ze swoimi hippisowskimi konspiratorami i kadzielnicami ani Beverly Hills z niedzielnym bentleyem i ciasteczkami za dziewięć dolarów. Lost Hills, kwartał za kwartałem, zostało zabudowane rodzinnymi parterowymi domami w wiejskim stylu – to było osiedle lśniących skrzynek na listy i żółtych placów zabaw. Przeznaczono je dla tych, którzy łaknęli niekończącego się lata południowej Kalifornii i chociaż nie mogli kupić domu w Malibu, pragnęli żyć w odległości krótkiej jazdy od oceanu; dla tych, którzy nie potrzebowali fleszy paparazzich z Los Angeles, ale podziwiali ich blask z daleka. Na co trzecim skrzyżowaniu i na trawnikach przed domami stały znaki mówiące, że osiedle jest strzeżone – służyły jako amulety chroniące przed mężczyznami w złowieszczych kominiarkach z dziurami na oczy. Nic złego nie miało prawa się tu zdarzyć.

Mike nie dostrzegł Shepa na drodze, co było imponujące, jeśli wziąć pod uwagę, jak bardzo jego mustang rzucał się w oczy. Dotarł do restauracji pięć minut przed czasem i zajął stolik na zewnątrz, tak jak zaplanował. Sącząc sok pomarańczowy, czekał w napięciu. Weszły dwie kobiety po pięćdziesiątce kołyszące biodrami, ubrane jak dwudziestolatki, z ich torebek sterczały łebki miniaturowych piesków. Elegancki mężczyzna sprzeczał się z żoną przez słuchawkę Bluetooth. Rozglądając się po parkingu i pobliskich budynkach, Mike szukał wzrokiem Shepa; nadal nie miał pojęcia, gdzie on się ukrywa.

Odrzucił się na odgłos stukających obcasów. Zbliżyła się kobieta w średnim wieku, rękę zaciskała na sfatygowanej skórzanej aktówce. Ubrana była w jedwabną bluzkę z krótkimi rękawami i spódnicę w kolorze kory. Okulary bibliotekarki wiszące na łańcuszku podkreślały miękką twarz z drugim podbródkiem. Kręcone brązowe włosy sięgały szerokich ramion, kiedyś pewnie umięśnionych. Mike nie do końca wiedział, kogo się spodziewał, ale na pewno nie kogoś takiego.

– Michael?

– Po prostu Mike.

Usiadła.

– Przejdę od razu do rzeczy, bo wyobrażam sobie, że po tylu latach chciałbyś już wiedzieć, o co chodzi.

Jej służbowy styl wypowiedzi był jak z biura obsługi klientów.

– Myślę, że mogła mnie pani z kimś pomylić – powiedział.

– Twój ojciec zmarł kilka lat temu. John. John Trenley.

Na dźwięk imienia Mike poczuł lekkie podniecenie. Ale Trenley? Nie, to nazwisko nic dla niego nie znaczyło.

– Twoja matka zmarła około dziesięciu lat temu.

To nie pasowało do krwi na rękawie ojca. Ale wobec ostatnich zdarzeń Mike sam już nie miał pewności, co naprawdę o sobie wie.

Riverton otworzyła zatrzaski aktówki i położyła teczkę na stole.

– Danielle.

Patrzył na zatrzaski aktówki i jej otwartą klapę. W głowie miał mętlik, ale tylko zacisnął mocno usta. Danielle.

Moja mama miała na imię Danielle! – wykrzyknął w myślach.

– Wyznaczono mnie na wykonawcę ich testamentu. – Kobieta uśmiechnęła się skromnie. – Jestem tu na wpół legalnie. Mieszkałam w sąsiednim domu, dość dobrze znałam twoich rodziców. Pamiętam, jak twoja matka wróciła z tobą ze szpitala. Miałam wtedy jedenaście lat. Karmiłam cię kiedyś z butelki.

W gardle Mike miał sucho.

– Jakie nosiła pani wtedy nazwisko? – spytał.

– Gage.

Nazwisko przywołało wspomnienia sprzed trzech dekad. Mike po-

czuł ożywienie. Dom Gage'ów tuż obok naszego! – pomyślał. Mięto-wozielona listwa, biały budynek. To tam mieszkał doberman, który pogryzł mechanika z Searsa.

Zachował beznamietną minę, chociaż kobieta wciąż grzebała w dokumentach i w ogóle na niego nie patrzyła. Przypomnił sobie, że spotkanie na pewno jest tylko kolejnym punktem planu wymierzonego przeciw niemu. A jednak pokusa, aby zarzucić ją pytaniami, zareagować, płonęła w nim jak powstrzymywana wściekłość.

– Są pieniądze, duża kwota, która ci się należy. Istnieje również, ma się rozumieć, wyjaśnienie tej strasznej sprawy. Jednak zanim przejdę do szczegółów, muszę ustalić, że jesteś tym, za kogo cię uważam.

Tak, dokładnie o to im chodziło, przemknęło mu przez myśl.

Jej ręce wciąż się poruszały. Wyjęła z aktówki teczkę, na której czerwonymi literami napisano „Michael Trenley”. Wypadło z niej kilka fotografii – zwykłych zdjęć budynku.

– Wybacz mi. Musieliśmy wystawić dom na sprzedaż, to oczywiste. Został sprzedany w ubiegłym roku, ale nadal mogę cię tam zabrać, jeśli sobie życzysz.

Spróbował nad sobą zapanować, ale nie dał rady, więc poddał się, mimowolnie wyciągnął rękę i podniósł pierwsze zdjęcie. Schody były szersze, niż zapamiętał, a dach niższy, ale budynek przywoływał wspomnienia.

Dom jego dzieciństwa!

Pierwsze świadectwo jego poprzedniego życia. Mike poczuł, jak krew odpływa z jego twarzy, na szczęście kobieta nadal grzebała w papierach i była na tym całkowicie skupiona. Mike starał się okazywać minimalne zainteresowanie i dławił dziesiątki pytań, które cisnęły mu się na usta.

Ostatecznie upuścił zdjęcie niedbałym ruchem na stolik. Riverton nadal przeglądała teczkę. Podeszedł kelner.

– Dzień dobry, mogę przyjąć zamówienie?

– Proszę dać nam jeszcze minutę – odparł Mike. Poczekał, aż mężczyzna się oddali, a potem powiedział: – Przyznam, że czuję się dezorientowany. Dlaczego pani uważa, że jestem spokrewniony z tymi

ludźmi?

– No cóż, sam się przekonasz, że to dość oczywiste. – Riverton rozłożyła otwartą teczkę. Było w niej zdjęcie Mike'a z jakiejś gazety. Stał na nim z gubernatorem. Pamiętał je z „Los Angeles Times”, ale nagłówki wskazywał, że wycięto je z „Oregonian”. – A teraz...

Wyjęła pstrykniętą kodakiem ziarnistą fotkę z lat siedemdziesiątych. Przedstawiała ojca Mike'a jako młodego mężczyznę.

Byli niezwykle do siebie podobni, aż po delikatny łuk górnej wargi i zagłębienie pośrodku. Tak, rodzinne podobieństwo było naprawdę silne, o ile nie bezsprzeczne.

Nagle uderzyła go straszna, niemal przerażająca myśl – on sam przyciągnął do siebie tych ludzi. Jego zdjęcie w gazecie było jak wołanie o uwagę. Może po prostu po tych wszystkich latach podjęli trop. To nie ekologiczne domy, które nie były całkowicie ekologiczne, doprowadziły ich na jego próg, to raczej jego zgoda na zatuszowanie oszustwa, przełknięcie prawdy, uśmiechy do kamer i zdjęcia, na których otacza ramieniem gubernatora.

Miał coraz większe wyrzuty sumienia, coraz większe poczucie winy. Gdyby posłuchał Annabel i własnej intuicji, uniknąłby tego straszego zagrożenia.

Dana przez długą chwilę bacznie obserwowała jego twarz.

– Kiedy twój ojciec leżał w szpitalu w stanie terminalnym – podjęła wreszcie – wyznał, że porzucił cię, gdy miałeś cztery lata. Wytłumaczył, dlaczego musiał tak postąpić. To historia twojego życia, prawda? Porzuciono cię, gdy miałeś cztery lata? Bo jeżeli nie...

Zamknęła teczkę i włożyła ją do aktówki.

Mike patrzył na kobietę bez słowa, zaciskał szczęki i wciąż rozważał, jak powinien jej odpowiedzieć, czy warto się zdradzić. Teczka z czerwonym napisem leżała niedaleko, tuż poza zasięgiem, częściowo wysunięta ze sfatygowanej aktówki niczym wcielenie pokusy. Czy Riverton mogła naprawdę być wykonawcą testamentu?

Czy Mike mógł jej zaufać?

– Posłuchaj mnie. – Kobieta chwyciła jego przedramię nad stołem.
– Rozumiem ból, który znosiłeś przez te wszystkie lata. Stratę, czekanie

na ojca, szukanie rodziców... przez całe życie, zwykłe pragnienie, żeby ich poznać. Mogę sobie tylko wyobrazić... Mam odpowiedzi na twoje pytania. Czeka na ciebie spadek. Potrzebuję tylko potwierdzić twoje pochodzenie.

Oddech Mike'a przyspieszył. Jej słowa na niego podziałały. Shep gdzieś tam był i patrzył, a jednak teraz Mike miał wrażenie, że oni dwoje są na świecie sami. Mike Doe i Dana Riverton. Walczył ze sobą, aż się opanował. Nie, nie zada jej żadnych pytań. Nie okaże ciekawości. Pozwoli Shepowi pojechać za nią do domu i zdobyć adres. Tak, będą działali powoli i ostrożnie.

Spojrzał na rękę Dany, a ta natychmiast ją cofnęła, po czym ułożyła sobie obie dłonie na podołku. Jednak wcześniej Mike coś zobaczył – niezbyt skutecznie zamalowany grubą warstwą fluidu małeńki więzienny tatuaż na zgięciu kciuka. Szlaczek z numerem siedem, oznaczającym liczbę lat, które Riverton spędziła w celi.

Na jego przedramieniu pozostał ślad po jej fluidzie.

Serce zabiło mu szybciej i zakrył to miejsce, aby niczego nie zauważyła.

– Obawiam się, że rozmawia pani z niewłaściwą osobą – oświadczył.

Wstał, rzucił na stół dziesięć dolarów i odszedł.

24

- Nie potrzebujesz, hm, pościeli w kolorach maskujących?
- Nie.
- Tato, czy to nie wygląda śmiesznie, wiesz, z tą różową pościelą?
- Shepowi nic się nie stanie, kochanie.
- Znałeś tatę, jak był dzieckiem?
- Tak.
- Myślałam, że gdy był dzieckiem, nikt go nie znał. Myślałam nawet, że może nigdy nie był dzieckiem. Jaki był?
 - Pewny siebie.
 - A pił? Na przykład piwo i... inne takie?
 - Czasami.
 - A palił papierosy?
 - Próbował.
 - Tato palił!
 - Tak naprawdę nie paliłem, kochanie. Chociaż nie zawsze zachowywałem się...
 - Miał dziewczyny?
 - Na pęczki.
 - Naprawdę?
 - Nie.

Mike uśmiechnął się znacząco i ruszył korytarzem, by również przygotować się do snu, Kat i Shepa pozostawił razem. Dziewczynka przekrzywiła główkę i przypatrywała się gościowi, jakby zamierzała malować jego portret. Shep wyglądał śmiesznie w jej małym łóżku.

- Dlaczego tu jesteś?
- Byłem coś winny twojemu tacie.
- Tak? Za co?
- Uratowałem mi kiedyś życie.
- Na przykład wyciągnął cię z płonącego samochodu?
- Wiesz, są różne sposoby, żeby uratować komuś życie.
- Jakie na przykład?

Zamrugał kilka razy ze znużeniem.

- Pani C. mówi, że nie ma głupich pytań.
- Więc pani C. się myli – odciął się Shep.
- Pozwól mu spać! – zawołała Annabel przechodząca korytarzem.

Kat poczekała, aż kroki matki ucichną.

- To jakie na przykład? – powtórzyła.
- Spodziewał się po mnie więcej niż ja sam po sobie.
- Więc masz u niego dług na całe życie?

Shep nie odpowiedział, położył się na plecach i wpatrywał w sufit.

- Wiesz, potrafię już dzielić liczby wielocyfrowe – ciągnęła.
- Ach tak.

– I znam nazwy konstelacji. Planety też, po kolei. Chociaż Pluton na przykład nie jest już planetą. To smutne, prawda? Jednego dnia jesteś planetą, a następnego koniec.

– Tak, dość smutne. – Shep uniósł koszulę, wyciągnął kolta kaliber .45 zza paska dżinsów i położył go sobie na piersi.

- Wow! Mogę go dotknąć?
- Pewnie.

Dziewczynka podeszła, nieśmiało wyciągnęła palec i szturchnęła stalową lufę.

– Kat, czekamy w łóżku. Mam jutro praktyki, a jestem już na wyciole, więc jak nie zaliczę... – Annabel wyłoniła się zza rogu, córka popatrzyła na nią z wyciągniętym palcem, czerwona na buzi. Kobieta zacisnęła zęby. – Proszę, nie pozwalaj jej się nim bawić.

- Okay – zgodził się Shep.

Annabel wskazała na wyjście i dziewczynka posłusznie wymaszerowała ze swojego pokoju. Po chwili drzwi dużej sypialni zamknięto

stanowczym ruchem i do Shepa przez ścianę dotarły podniesione głosy. Kilka minut później Mike stanął w progu i oparł się o futrynę.

– Śliczne falbanki. Pasują do twojej osobowości.

Wszedł.

Shep oparł się o wezłowie, przełożył kolta na bok, na wysokość uda. Kiwnął głową na okno.

– Nie martw się. Możecie dziś spać spokojnie.

– Wiem. – Mike zrobił głęboki wdech, wskazał na ścianę, za którą była duża sypialnia, a następnie na pistolet. – Przepraszam za nią. Ostatnie parę dni było naprawdę ciężkie. Nigdy nie przytrafiło nam się nic takiego.

– Chcesz powiedzieć, że jej nigdy nic takiego się nie przytrafiło.

Mike oblizał wargi.

– Nie lubisz jej – zauważył. – Nie lubisz Annabel.

– Tego nie powiedziałem.

– Nie dosłownie.

– Kocha cię – odparł Shep. – To wszystko, co muszę wiedzieć.

Mike popatrzył na swoje stopy. Shep gapił się w miejsce, gdzie ściana łączyła się z sufitem.

– Słuchaj – odezwał się w końcu Mike. – Ostatnim razem... Ja nigdy...

Shep zamachał ręką.

– Przeszłość mnie nie obchodzi. Teraz mnie potrzebujesz. Więc jestem.

– Nie wiedziałem, jak to pogodzić – tłumaczył się Mike. – Jak połączyć...

Wyczuł u przyjaciela brak zainteresowania, więc zamilkł.

– Przeszedłeś długą drogę – ocenił Shep.

– Z drugiej strony wcale tak bardzo się nie oddaliłem. – Rozmowa była trudna, Mike'owi wydawało się, że chciałby powiedzieć coś więcej, ale sam nie wiedział co. – Wykonaliśmy dziś kawał dobrej roboty.

Tak było. Shep pojechał za Daną Riverton aż do jej mieszkania w Northridge. Z drugiej strony ulicy obserwował, jak weszła do dwupiętrowego domu. Później zaczął starszawą sąsiadkę spacerującą ze

sznaucerem i powiedziała mu, że żadna Dana Riverton tu nie mieszka. Mike zostawił adres i inne informacje – czy może raczej dezinformacje – na staroświeckiej automatycznej sekretarce w biurze Hanka. Po południu Shep wziął narzędzia Mike'a i skupił się na wymianie zamków. Zabezpieczył dom tak dobrze, jak mógł to zrobić jedynie specjalista od włamań.

Teraz chyba poczuł ulgę, że Mike zmienił temat. Wolał rozmawiać o zadaniach do wykonania. Na tym terenie czuł się bardziej swojsko.

- Jutro zajmę się śledzeniem tego telefonu komórkowego.
- W jaki sposób?
- Zadzwońłem do jednego faceta, który zna innego faceta.
- Taaa. – Shep wysunął komorę i obejrzał mosiężną osłonkę pociśku. Znów zabezpieczył broń i położył ją sobie na piersi. Mike pomyślał, że już wszystko omówili, a jednak tym razem milczenie przerwał Shep: – Żywe srebro z tej twojej Kat.

- To fakt.
- Jak to jest? Być rodzicem. – To pytanie, mało precyzyjne jak na Shepa, zaskoczyło Mike'a. – Nie licząc oczywistości.

- Wiesz, dziecko jest twoje – odparł. – Zupełnie twoje. A potem uczysz je, żeby samo umiało przejść przez resztę życia. Wyrzucasz je ze swojego łóżka, wymagasz samodzielności, przestajesz poświęcać się na każdym kroku. Szybko dorasta, idzie do szkoły. Zanim się obejrzę, przed domem zjawi się jakiś dureń w samochodzie, żeby zabrać moją małą na koncert.

- Kiedyś my byliśmy takimi durniami – zauważył Shep.
- Miejmy nadzieję, że Kat trafi lepiej.
- Serio? – Shep podrapał się w policzek łufą pistoletu. – Jeśli dobrze wykonałeś swoją robotę, to chyba możesz jej zaufać.

Tak wyglądały mądre rzeczy, które mówił Shep – spakowane w krótkie zdania, przesznużowane w prostej formie. Mike'a ogarnęła wdzięczność, uświadomił sobie, jak bardzo tęsknił za przyjacielem. Odkrył, że znowu szuka odpowiednich słów.

- Wszystko to – powiedział, obejmując gestem pokój, dom, rodzinę – mam dzięki temu, czego mnie nauczyłeś.

Rozejrzał się, własne słowa wciąż rozbrzmiewały w jego głowie. Z rozgoryczeniem zdał sobie sprawę, że Shep mógł pomyśleć, że się chełpi, robi z siebie jakąś szychę. W pewnych sprawach – gdy chodziło o planowanie, organizację i bezpieczeństwo – on i Shep zawsze znajdowali wspólny język, ale w innych Mike czuł się niezręcznie.

– Gównu cię nauczyłem – burknął Shep.

– Wytrzymałość. – Akurat teraz Mike nie potrafił wypowiedzieć również słowa „lojalność”.

Shep zerknął na zdjęcie stojące na półce z książkami, to z trzyletnią Kat – z włosami wchodzącymi jej w oczy puszcza bańki mydlane.

– Nie, zawsze byłeś bystry, wiedziałeś, że jest coś więcej.

– Ale tego potrzebowaliśmy. Wytrzymałości.

– Bo nie mieliśmy wtedy niczego innego – powiedział Shep.

Zamknął oczy, lecz Mike wiedział, że tamten nie śpi, tylko odpoczywa.

Po jakimś czasie wstał cicho i wrócił do rodziny.

■ ■ ■

Dwie bezsenne godziny później Annabel stanęła przy lodówce; nalewała sobie wody z automatu w drzwiczkach. Ponieważ było ciemno, jeden kciuk wsunęła do szklanki, żeby wyczuć, kiedy będzie dość. W końcu odwróciła się i zamarła na widok męskiej sylwetki w salonie. Ręka, którą trzymała szklankę, aż pobieliała.

– Shep? – spytała zdławionym głosem.

– Tak.

Zadygotała.

– Przestraszyłeś mnie.

– Nie chciałem. – Stali naprzeciwko siebie i każde widziało tylko zarys drugiego. – Nie chcesz mnie tutaj – dodał.

Zwilżyła językiem usta.

– Ostatnio ciągle nie mam racji, więc nie zwracaj na mnie uwagi. – Lekko przekrzywiła głowę, myślała o poświęceniu Shepa, który nie spał, tylko pełnił straż. – Wiesz co? Nie mam pojęcia, czego w tej chwili chcę. Te ostatnie zdarzenia naprawdę mną wstrząsnęły. Ale jesteś tutaj, prawda? Jesteś w tym razem z nami.

– Przepraszam – powiedział, przestępując z nogi na nogę, okazując rzadkie skrępowanie.

Jej rysy złagodniały. Jego uprzejmość i zakłopotanie poruszyły ją.

– Były między nami nieporozumienia, ale chcę, żebyś o czymś wiedział: naprawdę jestem ci wdzięczna, że przyjechałeś.

– Okay – odparł po prostu.

– To bardzo wiele znaczy dla Mike'a. Martwię się o niego. Jest naprawdę wściekły. Nigdy go takiego nie widziałam.

– Nie martw się o Mike'a, kiedy jest wściekły – doradził jej Shep. – Martw się, kiedy jest zbyt spokojny.

25

– Ktoś nowy jest w domu.
– To dobrze. Wykonali ruch. – Przez telefon Boss Man wyrażał się jeszcze bardziej lakonicznie niż na żywo.

– Przyjechał shelby mustangiem z sześćdziesiątego siódmego, cu-deńko. – William się rozmarzył. – Shelby ma wielką kratkę z przodu, wydaje się, że posyła ci groźne spojrzenia.

Opadł na łóżko, wznecając z wytartego koca tuman kurzu. Hanley siedział naprzeciwko niczym lustrzane odbicie Williama; ich kolana niemal się dotykały. W pokoju motelowym światła były wyłączone, lecz umieszczony za oknem napis PIĘĆ KANAŁÓW DLA DOROSŁYCH! rzucał neonowy poblask przez zasłony, co jakiś czas wyświetlając kolorowe plamy na twarzach mężczyzn, ich ciałach, ponurych meblach. Dodge siedział na podłodze obok łazienki, oparty plecami o ścianę, przeglądając jeden ze swoich komiksów, jakąś brutalną opowieść o facecie, który na obu ramionach ma wytatuowanego błazna. Drzwi łazienki za Dodge 'em były uchylone, a światło z pomieszczenia padało dokładnie na otwarte stronicie. W powietrzu wisiał smród pleśni.

– Kiedy przyjechał? – spytał Boss Man.
– Zauważyliśmy go dziś po południu, ale może przyjechał wcześniej.
– Kawał chłopca.
– Tak.
– Zajmiemy się nim – stwierdził Boss Man. – Co z Riverton?
– Wingate nie złapał, niestety, przynęty.

– Tak podejrzewałem. Potrzebujemy potwierdzenia, i to szybko, zanim wszystko wymknie się spod kontroli.

William słyszał, jak tamten głośno oddycha przez nos.

– Co on robi? – spytał Boss Man. – Ten nowy facet.

– Wymienia zamki. Sprawdza bramy. Wygląda, jakby na coś czekali.

– Na co?

– Na nas.

– Nazwisko – zażądał Boss Man.

– Jeszcze nie wiemy – odparł William. – Sprawdziliśmy po południu tablice rejestracyjne, ale są fałszywe.

– Jak to możliwe...

– Hanley wrócił i spisał z tablicy rozdzielczej numer VIN, więc ustalimy dane jutro. – Patrząc na brata, William skinął uspokajająco głową. – Odwalił dobrą robotę ten nasz Hanley. Pomógł nam zrobić krok naprzód...

– Jaki to VIN?

William podyktował szefowi numer.

– Nie będę czekał do jutra. Każę komuś sprawdzić go teraz.

Rozłączył się.

– Dobrze, powtórzę mu, proszę pana – powiedział William do głuchoj słuchawki, zamknął komórkę i zwrócił się do Hanleya: – Kazał przekazać, że dobrze sobie radzisz.

– Serio? Co powiedział?

– Że dobrze sobie radzisz.

Dodge wydał jakiś odgłos. William domyślił się, że tamten parsknął śmiechem, chociaż nie wiedział, co go rozbawiło – komiks czy ich rozmowa. On i Dodge tak dobrze się dogadywali właśnie dlatego, że nigdy nie próbowali nawzajem się zrozumieć. Talenty Williama uzupełniały zdolności Dodge'a – elokwencja i mięśnie, dwa połączone elementy, które tworzyły idealną całość. Kiedy Dodge odsiadywał pięcioletni wyrok w więzieniu Pelican Bay za napad i pobicie, znalazł się w jednej celi z wujkiem Williama. „Gdy Dodge cię grzotnie – powiedział wtedy wujek Len – to jakbyś ty był ośmiolatkiem, a on buickiem”.

Wujek Len był najwyraźniej pod wrażeniem Dodge'a, a to naprawdę coś znaczyło. Właśnie Len to wszystko zaczął, właśnie on przedstawił Williamowi swoją filozofię brutalności. Nawet na łożu śmierci w więziennym szpitalu wujek trzymał się własnego kodeksu. I przekazał swoje zobowiązania. „Burrellowie pilnują swoich zobowiązań – powiedział Williamowi w dzień odwiedzin. – Niestety, zostawiam niedokończoną sprawę. Jediną rzecz, której nie dane mi było załatwić. – Zakasłał wtedy kilka razy i wypluł zieloną plwocinę do szpitalnego basenu. – Jedną robotę. Robotę przez duże »R«”. Ponieważ William był starszym z braci, mimo porażenia mózgowego to on dostał po wujku Lenie rozpadający się zegarek kieszonkowy i to ostatnie zadanie do ukończenia.

Dodge wyszedł z więzienia jakiś rok później, mniej więcej w tym czasie, gdy William zaczął chorować na osteoporozę i z powodu postępującej kruchości kości o mało nie zszedł na boczny tor. Tyle że rachunki za leczenie rosły i William po prostu nie mógł pozwolić sobie na nieróbstwo. Musiał stworzyć z kimś zespół. Kiedy wprowadził Dodge'a do grupy opłacanej przez Boss Mana, Dodge był szczęśliwy, że ma pracę. Pojawił się w szalowanym domu, do którego William i Hanley wprowadzili się po śmierci babci, i zajął materac w piwnicy, gdzie czytał komiksy i medytował w ogłuszającej ciszy. Zostawił w jakimś domu pomocy chorą mamę czy może ciotkę, która go wychowała, i wydawał wszystkie zarobione pieniądze na opłaty. Zresztą Dodge nie dbał o pieniądze. Bardziej chodziło mu o to, żeby pracować. William podejrzewał, że gdyby tamten dostał nagle sto dolarów i miał całość wydać w jednej chwili, nie wiedziałby na co, no, chyba że na narzędzia. Dodge i jego młotek z kulistą główką. Lubił ten młotek, bo za jego pomocą mógł rozpracowywać ludzi przez długi czas i wciąż pozostawali przytomni. Najwyraźniej ten przedmiot pasował do jego cierpliwości i jego pomysłów. William zawsze uważał, że człowieka można poznać po rodzaju broni, jaką wybiera. Hanley na przykład – ostry raptus, który od razu przechodził do rzeczy – wolał nóż. A co do Williama, jedyną bronią, jakiej obecnie używał, były słowa.

Migotanie motelowego neonu zaczynało go wkurzać. Pochylił się i kłykiem rozmasował sobie lewe udo. Kiedy nogi za bardzo sztywniały,

trzeba było podcinać mięśnie. Ból był tak dotkliwy, że lekarze mieli dla niego specjalną nazwę – ból wysokotonowy, jakby chodziło o muzykę.

William już w młodym wieku nauczył się żyć z bólem. Może właśnie dlatego był ekspertem od jego zadawania. Początkowo chodził na kolanach, ale w jednym doszło do zakażenia gronkowcem i musiał przyjąć postawę pionową. Jako czterolatek zdążył już wymyślić sposób poruszania się, który nie wymagał szyn ortopedycznych. Jego pierwsze wspomnienie to powłóczenie nogami po korytarzu wyłożonym włochatym dywanem, u jego boku pełzał Hanley, wtedy jeszcze niemowlę, więc William mógł się o niego oprzeć, gdy się zachwiał. Chociaż wyniki testów miał dobre, wychowawczyni w zerówce uznała go za opóźnionego w rozwoju z powodu niedbałej wymowy. Podczas drugiego pobytu w szpitalu, kiedy miał zapalenie płuc, pielęgniarka załatwiła mu terapię logopedyczną, aby przykuty do łóżka przetrwał nieskończoną nudę. Już jako siedmiolatek William wiedział, że będzie tej kobiecie wdzięczny do końca życia. Poza tym zabijał czas, czytając powieści brukowe o żołnierzach i bohaterach wojennych, otaczając kultem wojsko, które nigdy go nie zechce. William kochał bowiem muskularnych bohaterów i ich czyny, brawurę, komandosów rzucających się w wir walki, silne grzbiety i kwadratowe szczęki, nieugiętą, wyprężoną postawę nawet w obliczu ataku jasnowłosych szkopów, podstępnych Japońców czy żółtków w dżungli. Kiedy wyszedł ze szpitala, odkrył, że jego rodzice wprowadzili się do mieszkania na czwartym piętrze w bloku bez windy. Nie minęło dużo czasu i trafił do domu dziecka, gdzie wkrótce solidarnie dołączył do niego Hanley.

William zacisnął palce na pościeli, gdy atak skurczu targnął jego ciałem niczym przedłużające się kichnięcie. Najtrudniejsza w porażeniu mózgowym jest nieprzewidywalność. W niektóre noce William kładł się do łóżka spięty, a budził silny jak wyczynowy sportsmen. Nieraz tygodniami żył bez objawów, a potem jego stan pogarszał się szybko, gwałtownie, bez ostrzeżenia.

Jak teraz.

– Dodge – wydukał ciężko, gdyż czuł ucisk w krtani – zostawisz mnie na minutę samego?

Dodge wstał i wyszedł. Odgłosy jego oddalających się kroków sły-
chać było w zewnętrznym korytarzu, potem jakieś drzwi otworzyły się i
zamknęły.

William klapnął z powrotem na materac i leżał, gapiąc się w sufit i
cicho postękując.

– Co ci podać? – spytał Hanley.

– Baclofen. Jest w mojej torbie.

William uniósł głowę i połknął środek rozluźniający mięśnie. Lek był
w smaku okropnie gorzki, ale nie powodował skutków ubocznych jak
dilantin przeciw atakom, po którym William miał oczopląs, jakby był na
karuzeli w wesołym miasteczku. Odczekał, aż kolejna fala spazmu
przetoczy się przez jego łądźwie i nogi, po czym wbił kciuk w lewą
łydkę i rozmasował skurcz.

– W porządku – powiedział do siebie. – W porządku.

Hanley zmarszczył czoło i między jego brwiami pojawiły się takie
same bruzdy jak u brata. Wyjął z torby ortezę i rzucił Williamowi na
łóżko. Cielisty plastikowy aparat ortopedyczny, z podstawą na stopę i
paskiem na goleń, wyglądał anachronicznie, jak te, które w latach
pięćdziesiątych zakładano dzieciom z chorobą Heinego-Medina. W
okresie ataków William nosił ją w nocy, bo pomagała rozciągnąć lewe
ścięgno Achillesa.

Teraz jednak wpatrywał się w nią wrogo.

– Potrzebujesz pomocy ze spodniami? – spytał Hanley.

– Nie – odparł z goryczą brat. Hanley pokiwał głową i skierował się
do drzwi. Kiedy tam dotarł, William powiedział cicho: – Tak. – Hanley
wrócił, pomógł mu zdjąć spodnie i przypiął ortezę. – Postaw mi blisko
telefon – dodał tamten. – Boss Man ma oddzwonić.

Hanley postawił telefon na materacu obok brata, przykrył go kołdrą i
zgasił światło.

William słuchał, jak Hanley wchodzi do sąsiedniego pomieszczenia.
Tam odkręcił prysznic, woda popłynęła, rury w ścianie zaszumiały.
William poczuł kurcz w podbiciu lewej stopy, lecz plecy miał zbyt
napięte, by mógł się schylić i poluznić ortezę. Ucisk narastał, aż ciało
Williama wykręciło się w pościeli niczym korkociąg, jego grzbiet wy-

giął się w łuk, tylko łopatkami i prawym biodrem dotykał materaca. Krople potu upstrzyły mu twarz. Czekał, modlił się, czekał. W końcu odgłos prysznicza ucichł.

Zebrał całą swoją siłę, przesunął pięścią po prześcieradle i uderzył nią w ścianę ponad wezgłowie. Z zaciśniętymi powiekami słuchał, jak Hanley hałasuje w swoim pokoju, zakłada ubranie, później biegnie i – nareszcie – otwiera drzwi.

Hanley podbiegł, zerwał z ciała brata koldrę, a potem rozciągał jego kończyny, łagodził zesztywnienie, rozmasowywał skurczone miejsca. William krzywił się i chrząkał; z krótkimi wydechami uwalniał ból.

Później Hanley przygotował kąpiel, do wody dodał siarczanu magnezu. Zaniósł Williama, nagiego jak dziecko, i włożył go do parującej wody, wyzwalając u niego łzy ulgi. William tkwił w wodzie, lekki, w naturalnej pozycji. W kąpeli był taki sam jak inni. Hanley siedział na sedesie i wydłubywał sobie brud spod paznokci myśliwskim scyzorykiem ich ojca – tylko to po nim mieli.

– Zastanawiam się czasami – powiedział William – czy to nie jest przypadkiem niebo. A potem przypominam sobie, że inni czują się tak przez cały czas.

Z drugiego pokoju dotarł odgłos dzwoniącego telefonu stłumiony przez pościel.

– Przynieś mi go – poprosił William.

Hanley poszedł po komórkę, a brat otworzył ją, siedząc w ciepłej wodzie, która chlupotała wokół jego szyi i ramion.

– Tak, proszę pana?

– Mustang został zarejestrowany na Shepherda White'a. Wychowywał się w rodzinie zastępczej w San Fernando Valley od końca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego do tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego. Inny chłopiec, który mieszkał tam w tym samym czasie, nazywał się Mike Doe. Pojawił się w systemie jako porzucony przez ojca czterolatek, który niewiele pamiętał i nie miał żadnych dokumentów. Zgadnij, kiedy to było?

– Październik tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego – wyrecytował William.

– To jego szukamy.

Słyszając entuzjazm w głosie Boss Mana, William wiedział, co to odkrycie oznacza dla szefa po wszystkich tych latach. To była robota przez duże „R”.

Szybko jednak rozmówca przeszedł do spraw najważniejszych.

– Niech Hanley się nim zajmie. Znają już ciebie i Dodge'a. Wy dwaj możecie później go pilnować. – Rozłączył się.

William zamknął telefon, położył go na krawędzi wanny i rozsiadł się wygodnie w ciepłej wodzie, wdychając słonawą parę. Własne mięśnie wydawały mu się odprężone, giętkie, gotowe.

Hanley pochylał się do przodu, z radosnego podniecenia aż wybałuszając oczy.

– No i?

– Mamy zielone światło – odrzekł brat.

26

– Riverton to fałszywe nazwisko – poinformował Mike'a Hank. Przez telefon jego głos brzmiał bardziej szorstko. – Umowę najmu podpisała Kiki Dupleshney.

– To jej prawdziwe nazwisko? – spytał Mike tak ostrym tonem, że Sheila podniosła wzrok znad biurka.

– Trudno uwierzyć, ale tak. Ma typową kartotekę oszustki: zajmuje się *scamem*, naciąga ludzi przez internet, żeby wpłacili zaliczkę na poczet rzekomej wygranej, rozsyła setki e-maili z pornografią, zbiera adresy dla włamywaczy, wyłudza sumki na czarną godzinę, trzymane w domach przez ciułaczy, i tak dalej. Nie działa w żadnej grupie, jest chyba wolnym strzelcem, człowiekiem do wynajęcia.

– Pomówmy z nią o jej ostatnim zleceniodawcy.

– Opuściła mieszkanie wczoraj wieczorem. Administrator powiedział, że płaciła z tygodnia na tydzień. Czekala na spotkanie z tobą, jak sądzę.

Dziesięć minut wcześniej Shep przysłał Mike'owi z centrum miasta SMS o tym, że jego człowiek nie zdołał wytropić telefonu Annabel. William i Dodge albo go wyrzucili, albo przez cały czas był wyłączony. Mike czuł tak wielką frustrację, że ledwie nad sobą panował.

– Więc ona zniknęła? – upewnił się.

– Dosłownie rozplynęła się w powietrzu. Będziemy musieli poczekać, aż się ujawni. Dobra nowina jest taka, że podobno znowu używa prawdziwego nazwiska.

Mike zajrzał do grubej książki telefonicznej, która leżała na jego

biurku. Wcześniej przekartkował strony z prywatnymi telefonami i zakreślił kilka nazwisk. W książce było trzydziestu siedmiu Gage'ów i czterech Trenleyów, lecz imię żadnego z nich nie zaczynało się na „J” czy „D”.

– A co z nazwiskiem Gage? – spytał. – Rodzina Gage'ów mieszkała w sąsiednim domu, kiedy byłem dzieckiem. Wiem, że tego nie wymyśliła.

– Może i tak, ale potrzebujemy imienia, a tę Dane pewnie wzięła z powietrza. Nie znalazłem żadnej Dany Gage, która by pasowała. Jak zacznę sprawdzać wszystkich Gage'ów, bez imienia i bez miejscowości, możesz sobie wyobrazić, jakie liczby się pojawiają.

Tak jak w przypadku Johna i mamy.

– A znalazłeś coś na temat Johna i Danielle Trenleyów? – spytał Mike.

– Nic, co mogłoby pomóc – odrzekł Hank. – Jest paru Johnów Trenleyów, ale wyklucza ich albo rasa, albo wiek. Jedyna Danielle Trenley, którą wyszukałem w bazie danych, jest nastolatką z Karoliny Południowej.

Mike uderzył pięścią w książkę telefoniczną, a dźwięk odbił się echem od ścian biura. Pracownicy obrócili głowy i patrzyli na niego. Postanowił ściszyć głos.

– A co z alarmem w policji?

– Zrobiłem pewien postępek – odparł detektyw, akcentując słowo „pewien”. – Dotarłem do dyżurnego w biurze szeryfa. Ponieważ centrala nadzoruje Lost Hills, tamtejsze posterunki postawiono w stan gotowości. Stąd ciepłe powitanie ze strony Elzey i Markovica. Wisi u nich w systemie stałe zlecenie dla wszystkich posterunkowych, żeby ustalili szczegóły biograficzne z twojego dzieciństwa.

Mike zdał sobie sprawę, że wstrzymuje oddech. Więc William i Dodge specjalnie go sprowokowali, licząc na jego wizytę na posterunku, a wtedy Elzey i Markovic zostali poinstruowani, żeby wypytać o jego przeszłość. Jak to możliwe, że współpracowali? Mike nie potrafił sobie wyobrazić, aby agencja rządowa korzystała z usług zabijaków w rodzaju Williama i Dodge'a, żeby zastraszyć zwyczajną rodzinę.

– A komu mieliby przekazać informacje o mnie? – spytał. – Kto się tak mną interesuje, że wszczął alarm? Która agencja?

– Nadal nie mam odpowiedzi na to pytanie. Wygląda na to, że w systemie wisi jakieś tajemnicze żądanie przekierowania danych...

– Co to znaczy „żądanie przekierowania danych”?

– To, co słyszysz, synu. Weź głęboki oddech i wstrzymaj się z działaniami na własną rękę. Musimy dowiedzieć się wszystkiego dokładnie, bo jedna pomyłka może przyciągnąć uwagę niewłaściwych osób, które postanowią zamknąć nam usta. Lepiej łapać muchy na miód. Próbuję się dowiedzieć, czy Policja Los Angeles albo inni funkcjonariusze też są związani z tą sprawą. Niestety, takie poszukiwania zajmują sporo czasu.

Mike rozłączył się, przycisnął wnętrza dłoni do oczu i tarł je.

Nerwy miał zszargane – kolejną noc spędzili niespokojnie, a dziś znowu wstał o piątej rano i przez cały dzień pił kawę za kawą. Od dawna na nogach trzymała go głównie kofeina i adrenalina, więc jego nastrój nie był najlepszy.

Wyczuwając na sobie wzrok współpracowników, wstał i wyszedł na dwór, na porośnięty tu i ówdzie chwastami frontowy parking. Wsiadł do pick-upa, włączył radio, przeskoczył kilka kanałów, na których nadawano reklamy albo jakieś gówniane piosenki, po czym ze złością wyłączył odbiornik. Chwyił mocno kierownicę i zrobił kilka głębokich wdechów.

Telefon zawibrował w jego kieszeni. Mike miał nadzieję, że dzwoni Shep z nowymi informacjami.

Jednak na widok słów, które pojawiły się na ekranie, oblał się zimnym potem.

KOMÓRKA A.

Przyjął połączenie.

Ekran zadrżał, a później pojawiło się na nim nagranie wideo. Zszokowany Mike potrzebował chwili, zanim rozpoznał to, co zobaczył: popękany asfalt, śmiejące się dzieci, drewniane ławki.

Boisko szkolne przy podstawówce Lost Hills!

Miał wrażenie, że serce stanęło mu w gardle i tam tłukło szaleńczo

jak dzwon.

Obraz drgał, ale Mike nie mógł nie zauważyć Kat. Skakała przez skakankę.

Jego wargi poruszały się, z ust wydobywały się bezładne dźwięki.

Nagle zza drabinek na ekranie wyszła potężna postać. Jej rysy nie były zbyt dobrze widoczne w blasku południowego słońca.

Wielkolud podszedł bliżej.

Dodge!

Mike przekręcił stacyjkę, a jego stopa bezwiednie opadła na pedał gazu niczym worek kamieni. Opony buksowały przez chwilę w błocie, aż samochód ruszył naprzód.

Dodge dziarskim krokiem kierował się w stronę Kat. Ona wciąż się bawiła, nieświadoma niebezpieczeństwa.

Mike krzyczał do telefonu, ścisnął go w ręce, obracał przy kierownicy, bo chciał patrzeć na ekran, prowadząc forda.

Dodge był półtora metra od jego córki i nadal się zbliżał. Kat chichotała, licząc, ilekroć się pomyliła, skakanka co chwilę tworzyła nad jej głową tęczowy łuk.

Mike wyjechał z parkingu z piskiem opon, otarł auto o bramę, spod kół wystrzeliły pióropusze błota i kamieni.

Dodge zaszedł Kat od tyłu, niemal muskając ją biodrem, a potem... przewrócił ją na ziemię.

Mike darł się wniebogłosy.

Ekran pociemniał, transmisja się skończyła.

27

Mike pamiętał, że zadzwonił na policję i krzyczał na funkcjonariuszy; chciał ich wysłać do podstawówki w Lost Hills, chociaż jego biuro było ledwie siedem przecznic dalej i wiedział, że dotrze tam przed nimi. Pamiętał, że wybierał numer szkoły, ale dwa czy trzy razy połączył się z automatyczną sekretarką i wydierał się do słuchawki, gdy elektroniczny głos wyliczał niekończące się opcje. Przypomniawszy sobie, że odruchowo zatelefonował na komórkę żony. Kiedy włączyła się poczta głosowa (*Cześć, mówi Annabel. Prawdopodobnie usiłuję wyciągnąć telefon z tej...*), uświadomił sobie, że przecież tamci dzwonili z tej komórki. Przeklinając własną głupotę, z włączonym klaksonem przejeżdżając na czerwonym świetle, wystukał numer domu. Tam także usłyszał wiadomość nagraną na pocztę głosową. Może Annabel nie wróciła jeszcze z praktyk? Słyszając sygnał, mimowolnie wykrzyczał:

– Dopadli ją w szkole, dzwoniłem już na policję, jestem trzy przecznice od boiska, teraz już dwie, cholera, wiedziałem, że powinniśmy trzymać ją z dala od szkoły...

Wściekał się na siebie, bo pozwolił na to, żeby Kat zniknęła mu z oczu, bo posłuchał żony; jego ślepy strach i gniew wreszcie znalazły ujście.

Gwałtownie wjechał na szkolny parking, o mało nie potrąciwszy matki wyjmującej urodzinowy tort z bagażnika i nauczycielki Kat, która patrzyła za nim z uwagą, kiedy wyskoczył z pick-upa, pozostawiając samochód ustawiony dwiema oponami na krawężniku. Gdy otworzył drzwi do szkoły, rozległ się brzęczyk. Mike wpadł pędem do biura

szkolnego inspektora, krzycząc: „Gdzie jest Katherine Wingate, moja córka? Gdzie jest moja...”, a później wybiegł przez boczne drzwi na boisko, pozostawiając za sobą wystraszonych ludzi. Ale na boisku nie było żadnych dzieci, przerwa już się skończyła.

Wielobarwna skakanka leżała na asfalcie, wiotka i wężowata.

Z koszulą przyklejoną do ciała gnał przed siebie, kręcił się w kółko, krzyczał imię córki. Nad skakanka osunął się na kolana, drąc sobie dzinsy o twarde asfalt; pochylił głowę.

Z kakofonii, którą słyszał we własnym mózgu, wyłowił nagle głos, wysoki i czysty.

– Tato? – A potem znowu: – Tato!?

Odrzucił się. Kat siedziała na ławce przy krawędzi czworokątnego dziedzińca, przed nią kuciała pielęgniarka i opatrywała jej zakrwawione kolano.

To nie może być prawda.

Biegł do niej, lecz nie wierzył w to, co widzi, póki jej nie dotknął.

Pielęgniarka wstała, zaskoczona pospiesznym nadejściem Mike'a.

– Hej, tato... masz podarte spodnie na kolanie. Tak samo jak ja.

Chwycił ją w ramiona, przytulił i trzymał kurczowo przy piersi.

– Auuu, tato. Tato! Moje kolano. Boli.

– Jak to się stało? – spytał.

– Dzieci stale zdzierają sobie kolana na placu zabaw – odrzekła oschle pielęgniarka.

– Nie, był tu dorosły mężczyzna, który ją przewrócił.

– Skąd wiesz? – zdziwiła się Kat. – Był ogromny. Po prostu na mnie szedł. Nie przeprosił mnie ani nic.

– Mieliśmy mały remont w sali gimnastycznej – ciągnęła pielęgniarka. – Na pewno któryś pracownik niechcący...

Mike pospiesznie zabrał córkę z boiska, przeniósł ją przez milczące biuro, aż dotarł do źle zaparkowanego pick-upa.

Jakiś pojazd pędził prosto na nich, hamując z piskiem opon. Mike przesunął córkę za siebie, a sam stał i patrzył na maskę zatrzymującego się auta, dłoń podniósł jak Superman powstrzymujący pociąg. Ostry zapach palonej gumy. Metalowa kratka wentylacyjna, gorąca tuż przy

ręce Mike'a. Jeszcze pół metra i znalazłby się pod podwoziem.

Uświadomił sobie kolor furgonetki – biały. Ze zgrozą unióśł głowę i zapatrzył się w przednią szybę. Za kierownicą siedział William – jego źrenice drgały, błysk uśmiechu przecinał ziemistą, owalną twarz. Obok był Dodge, wpatrujący się w Mike'a. Przynął dwa rozstawione palce do własnego gardła i dźgnął się w jasną skórę ponad tchawicą.

Silnik zwiększył obroty, a Mike wepchnął Kat na krawężnik. Kiedy furgonetka ruszyła, Mike odskoczył, widząc przez chwilę twarz Dodge'a wpatrującego się w niego z kamienną miną.

– Cholera, tatusiu, ten facet o mało nas nie zabił.

Kat ukryta za jego plecami nie zauważyła, kto prowadził furgonetkę.

– Zapnij pasy – polecił. – Musimy jechać.

– To tylko kolano, tato. Nie muszę jechać do domu.

– Zrobimy sobie dziś wolne, kochanie.

– Czy chodzi o coś więcej...

– Musisz mi zaufać, Kat. Wyjaśnię ci wszystko później.

Wyjechał pospiesznie z parkingu, wystukując numer domowy.

Włączyła się sekretarka.

W lusterku Mike obserwował minę córki, która zajęła się swoimi zwykłymi sprawami.

– Wiesz, dziś w klasie Kyle Safranski nie był grzeczny, jak czytaliśmy, ciągle gadał, aż w końcu Bahar powiedział do niego: „Zamknij się, *Safartski*...!”

Mike znowu wybrał numer. Sekretarka. Słyszając spokojny głos Annabel recytującej powitanie, poczuł straszliwe wyrzuty sumienia z powodu wcześniejszej wiadomości, w której dał upust furii: „Cholera, wiedziałem, że powinniśmy trzymać ją z dala od szkoły”.

– Mam ją – nagrał się tym razem. – Nic jej nie jest. Jedziemy do domu.

– ...jak Safranski, ale zmienił „fran” na „fart*”.

* *Fart* (ang.) – pierdnięcie.

Mike uważnie obserwował drogę i sprawdzał lusterka, na szczęście nigdzie nie dostrzegł białej furgonetki.

– Tak, zrozumiałem, kochanie.

Obraz ciągle powracał: Dodge przyciskający dwa palce do szyi, niemal wbijający je w ciało. I te oczy rekina, czarne, nieprzeniknione. Gest był więzienny, a jego sens oczywisty. Dodge ostrzegał: zostałeś naznaczony.

Mike regulował wsteczne lusterko, popatrywał na pojazdy nadjeżdżające z przeciwka. Nie mógł się doczekać, kiedy dotrze do domu, zamknie na klucz drzwi wejściowe, zadzwoni do Shepa, poprawią zabezpieczenia.

– ...wylała swój sok winogronowy, cały, na nogę Sage'a. Nie powinna tego robić?

Sięgnął do konsoli i wyjął słuchawki.

– Kochanie, chcesz obejrzeć jakiś program?

– Wyjść wcześniej ze szkoły i oglądać *Hannah Montanę*? Bezcenne.

Założyła słuchawki i rozsiadła się zadowolona.

Mike bębnił palcami o kierownicę, czekając, aż światło zmieni się na zielone. Wreszcie mógł skrócić w ich ulicę, a potem wjechać na podjazd. Samochód Annabel stał w garażu. Pewnie przed chwilą dotarła do domu i właśnie odsłuchiwała jego wiadomości.

Patrzył, aż drzwi garażu bezpiecznie zamkną się za fordem, a potem odwrócił się do Kat na tylnym siedzeniu.

– Chcesz zostać i obejrzeć program do końca?

Wiedział, że musi wytłumaczyć wszystko Annabel, i nie chciał wystraszyć Kat.

– Co?

Pochylił się w stronę córki, uniósł jedną słuchawkę i powtórzył pytanie prosto w jej ucho. Kat kiwnęła głową i zapadła w telewizyjny trans.

Wysiadł, w garażu wytarł dłonie o dzinsy na udach i zastanawiał się, jak opowie o wszystkim Annabel. Drzwi do kuchni otworzyły się bezgłośnie dzięki dobrze naoliwionym zawiasom.

Wszedł i jednym spojrzeniem ogarnął całą scenę.

Portfel i torebka żony leżały niedbale rzucone na kuchenny blat obok patelni do smażenia omletów. W salonie, w połowie drogi pomiędzy kuchnią a kominkiem, kucał jakiś mężczyzna. Był odwrócony do Mike'a

plecami i nie zdawał sobie sprawy z jego obecności. U boku w drżącej pięści trzymał poplamiony krwią nóż. Za nim ktoś bardzo ciężko od-
dychał. Jasna kobieca noga poruszała się obok lewego pośladka męż-
czyzny, na jej stopie Mike dostrzegł znajomy jasnobrązowy sandał.

To była Annabel, wykrwawiała się na podłodze salonu.

28

Mimo wstrząsu do Mike'a dotarły odgłosy.

Świszczący oddech Annabel. Urywane dźwięki, które wydawały się nie pochodzić z jej ust, lecz wprost z jej ciała.

Mamrotanie poruszonego męskiego głosu.

– Cholera. Zobacz, co narobiłaś.

Rozległo się cichutkie skrzywienie gałki, którą przekręcał Mike, zaciskając ją w zmartwiałej pięści.

Nadeszły zapachy.

Płynu do naczyń.

Męskiego dezodorantu.

Kordytu.

Broń Mike'a leżała w zasięgu wzroku, na dywanie obok kominka. Mężczyzna, odwrócony tyłem, kołysał się lekko na nogach i przejęty, wciąż przeklinał. Mike nadal nie widział głowy Annabel ani górnej części jej tułowia. Ale zobaczył teraz fragment profilu mężczyzny. Miał rozdrapany policzek, ślady po paznokciach wydawały się głębokie jak od szponów. Był jak nie William i jednocześnie jak William... Jego rysy były zbyt regularne, postura zbyt muskularna. Na ramieniu miał ranę, rowek grubości ołówka w jego bicepsie znaczył przypuszczalnie muśnięcie kuli wystrzelonej przez Annabel.

Na podłodze obok nich leżała płachta. Wyglądała zupełnie surrealistycznie. W głowie Mike'a szalały myśli, nie potrafił skojarzyć, co ten plastik tu robi i jakie łączą się z nim konsekwencje. Trwał w bezruchu tuż za progiem domu, z dłonią wciąż na gałce u drzwi, biodrem niemal

dotykał kuchennej lady, a uchwyt patelni do omletów wbijał mu się w przedramię.

Mężczyzna opadł teraz na kolana, ramiona mu się trzęsły, a Mike ponad jego barkiem zdołał w przelocie zobaczyć pobladłą twarz żony. Mężczyzna znów się przesunął i Mike tym razem widział tylko rękę i biodro Annabel; jej bluzka była zadarta, ramiączko od biustonosza opadło, w przecięciu w lewym boku, tuż pod żebrami, bulgotała ciemna krew.

– Nie mogłaś mnie posłuchać, usiąść na kanapie i poczekać, aż przyjedzie? – Najpierw Mike'owi wydawało się, że szepcze niczym kochanek, ale potem wychwycił w jego głosie napięcie. Nie, to był strach. Mężczyzna wyciągnął rękę i zaczął przesuwać palcami po ramiączku od biustonosza Annabel, jakby miał w dłoni różaniec; jego wilgotna od potu skóra błyszczała, a pot wręcz śmierdział lękiem. – Co za bałagan. Mieliśmy poczekać. Nie miałem... Co teraz zrobię...? Co powiem...?

Zacisnął powieki i kręcił głową jak zawzięcie zaprzeczające dziecko. Minęły może ze trzy sekundy.

Ciszę, co było jeszcze bardziej surrealistyczne, przerwała melodyjka z *Nad pięknym modrym Dunajem*. Mężczyzna wygrzebał z kieszeni kieszki telefon, nacisnął klawisz i dzwonek umilkł.

– Halo?

Jego głos wyrwał Mike'a z odrętwienia. Mike złapał patelnię za uchwyt wbijający mu się w ramię, przeskoczył dzielące ich cztery czy pięć kroków i dzielił męczyzną patelnią w głowę. Tamten za późno go zauważył, zdążył tylko spojrzeć przez ramię i szeroko otworzyć oczy ledwie sekundę przed uderzeniem. Z ust wyrwał mu się dźwięk przerażenia przypominający ciche rżenie.

Mike trafił go w policzek i szczękę. Użył całej swojej siły, impet sprawił, że głowa tamtego wygięła się w tył pod strasznym kątem i rozległ się potworny dźwięk, który skojarzył mu się z łamanym patykiem owiniętym w mokrą bawełnę, lecz był dziesięciokrotnie głośniejszy. Mężczyzna przewrócił się na dywan, jego ciało uderzyło ciężko jak kłoda, tak głośno, że podłoga lekko zadrgała.

Annabel łkała, usta wygięła w podkówkę, jej twarz przeszył ból. Rozchyliła wargi, ale nie wydobyła głosu. W jej boku ziała wielka dziura. Mike ucisnął ranę obiema rękami. Annabel złapała go za ramię, a później za szyję. Pochylił się i dotknął czołem jej czoła.

Potem wziął jej rękę i położył na ranie.

– Trzymaj tu. Mocno.

Obok Annabel leżał napastnik – jego oczy znieruchomiały, jeden but perwersyjnie dotykał jej łydki. Jego tandetny telefon, niemożliwa do namierzenia jednorazówka, leżał na dywanie. Mike puścił palce żony, która próbowała zatrzymać go przy sobie. Podniósł komórkę z podłogi, uświadamiając sobie, że połączenie może nadal trwać. Rozmówca jednak zdążył się rozłączyć i Mike zastanawiał się przez moment, kto dzwonił...

...potem zadzwonił na policję, nie dbając o alarmy, agencje rządowe podejrzewające go o całe zło tego świata, nie przejmując się niczym poza...

– ...włamywacz pchnął ją nożem... strasznie krwawi... przyślijcie kogoś... podaję adres...

Słabe palce Annabel nie uciskały rany, ale krew już z niej nie płynęła. Mimo to Mike przyłożył do niej dłoń, pokryte karmazynowymi plamami aż po przeguby.

Przyłożyła rękę do jego policzka, a wtedy uświadomił sobie, że powstrzymuje łkanie, że zaparło mu dech. Z jękiem przechyliła głowę i patrzyła na krwawą plamę na dywanie.

– Och, Jezu – powiedziała. – To się nie... uda. – Wypowiadała słowa z trudem, chropawym głosem. Jej nogi ślizgały się na podłodze; jeden sandał wisiał luźno na pięcie, drugi spadł. – Gdzie jest Kat? Czy ona...

– Nic jej nie jest, wszystko w porządku, siedzi w pick-upie.

– Dostałam twoją wiadomość. Wybacz, że... nie posłuchałam i nie zatrzymałam jej... w domu.

– To nie twoja wina, wcale tak nie myślałam. To nie twoja wina.

Boże, odsłuchiwała wiadomość, w której ją obwiniał, to były ostatnie słowa, jakie usłyszała, zanim...

– ...powiedział, że jest gliniarzem – wymamrotała. – Myślałam, że

ma informacje o Kat. Otworzyłam, żeby obejrzeć jego odznakę...

– To już nieważne, nie zrobiłaś nic złego.

Gdyby nie zostawił wiadomości, Annabel nie martwiłaby się tak bardzo, żeby otworzyć drzwi obcemu, który powiedział, że jest...

– Gdzie moja maleńka?

– W garażu, jest w garażu.

– Nie chcę, żeby widziała... żeby zapamiętała mnie taką...

– Będzie dobrze, wszystko będzie dobrze, nie mów takich rzeczy...

– Zabierz ją stąd... Wyjedź... z nią... teraz. Przyrzeknij mi.

– Nie martw się, zabierzemy cię do szpitala i...

Pospieszenie objęła dłońmi jego twarz, jakby nagle poczuła przypływ sił.

– Przyrzeknij mi.

– Przyrzekam.

Ręce Annabel opadły z jego twarzy i osunęły się na jej brzuch.

– Boję się – wyznała.

Mike oddychał ciężko.

– Będzie dobrze, będzie dobrze, będzie dobrze.

– Ale ja się boję.

Znieruchomiał. Popatrzył na nią.

Zatrzymać to spojrzenie, widok tych oczu!

– Wiem – odparł.

Na moment jej ciało zadygotało, a potem zamarło.

Jej wargi już siniały czy tylko mu się wydawało? Przed oczami Mike'owi migały czarne kropki i dokładnie nie widział. Musiał sobie przypominać, że trzeba oddychać.

Nadgarstek. Brak tętna.

Szyja. Brak tętna.

Pierś. Brak tętna.

Miał wrażenie, że jego serce również solidarnie się zatrzymało.

Usłyszał niski krzyk – czy pochodził od niego? – a potem pochylił się i wymiotował na dywan.

Brak tętna.

Ścisnął policzki Annabel, aż jej wargi się rozchyliły. Jak to było? –

myślał gorączkowo. Wdech, wdech, a potem ucisk? Gdzie, do diabła, są ci...

Rozległa się wesoła melodyjka dzwonnka do drzwi.

Mike wstał ciężko i ślizgając się na pokrwawionym dywanie, skręcił w korytarz prowadzący do drzwi frontowych. Kawalki szkła błyszczały na kafłach; minęła dobra chwila, zanim skojarzył je z pustym wazonem, który wcześniej stał na stoliku niedaleko wejścia. Łańcuch wisiał luźno, zasuwkę oderwano, oba zamki były otwarte. Annabel zapewne uchyliła drzwi na długość łańcucha – nie mieli przecież wizjera – a wtedy napastnik kopnął je tak mocno, że zatrzymały się dopiero na stoliku. Annabel zapewne dłużej nie czekała, uciekła w głąb domu, wzięła broń i wystrzeliła. A jednak ją dopadł i ugodził nożem.

Przechodząc po szkle, Mike mimowolnie rekonstruował zdarzenie, choć ledwie mógł myśleć, panika pochłaniała go całkowicie.

Brak tętna.

Gwałtownym szarpnięciem otworzył drzwi. W progu stał mężczyzna o gęstych czarnych włosach i zaroście tak gęstym, że skóra wokół jego ust i na policzkach wydawała się ciemna. Był przeciętnego wzrostu, a jego masywne ciało opinał zmięty garnitur. Głębokie zmarszczki żłobiły jego czoło. W samym środku koszmaru te zmarszczki były czymś, na czym Mike mógł się skupić; mówiły, że to wszystko jest rzeczywiste.

Mężczyzna zamachał odznaką.

– Rick Graham.

– Nie jest pan lekarzem, gdzie karetka?

– Dostałem zgłoszenie. Byłem najbliżej.

Mike złapał policjanta i wciągnął go do środka.

– Niech pan jej pomoże. Umie pan reanimować?

Graham poszedł za Mikiem, klucze brzęczały mu w kieszeni spodni. Gdy skręcił za róg, zatrzymał się i skrzywił na widok martwego mężczyzny z wykręconą głową.

– Jezus Maria...

Mike pociągnął go na kolana.

– Tutaj... ona potrzebuje... potrzebuje...

Kiedy Graham sprawdzał oznaki życia u Annabel, Mike zerknął na

uchylone drzwi prowadzące do garażu. Kat wciąż siedziała w samochodzie i oglądała telewizję. Na przedniej szybie widział migające światło ekranu. Musiał coś wymyślić, zanim...

– Przykro mi. – Graham wstał, pocierając ręce w zupełnie nieodpowiednim w tej chwili geście pokory. Nowe zmarszczki pojawiły się na jego zasepionym czole. Był starszy, niż się wydawało na pierwszy rzut oka, może tuż po pięćdziesiątce, siwizna pstrzyła jego czarne włosy, w kącikach jego ust widać było bruzdy. – Ona nie żyje.

– To nieprawda – jęknął Mike. – Żyje, tylko nie ma tętna.

Łzy spływały mu po policzkach, lecz oddech pozostał równy – był jak posąg, któremu z oczu płynie woda. Jeśli się nie poruszy, jeśli nie będzie oddychać, to wszystko nie będzie prawda.

– Przykro mi. Jest pan w szoku. Lada chwila zajmą się panem sanitariusze. Ale teraz muszę się dowiedzieć...

Głos blakł w głowie Mike'a, jak gdyby ktoś ściszał dźwięk. Spojrzał w dół, na ciało Annabel, i poczuł ucisk w żołądku. Jej skóra chyba pociemniała, opuszki palców wydawały się szarawe z odcieniem lila, jak obwódka siniaka. Krew przestała już płynąć z rany pod żebrami, która zmieniła się w czarny otwór, jakby wypalony przez cygaro.

Graham dotknął dłonią łokcia Mike'a i potrząsnął nim lekko.

– Jest tu ktoś jeszcze? – spytał, a Mike usłyszał jego głos w postaci metalicznego echa. – Muszę wiedzieć, czy w domu jest ktoś jeszcze...

– Moja córka. Ona...

– Lepiej sprawdzę budynek.

Mike'owi nie przyszło do głowy, że gdzieś mogą kryć się inni.

Myślenie w ogóle przychodziło mu z trudem.

Graham wyjął glocka z kabury przy biodrze i ruszył ostrożnie korytarzem, znikając z pola widzenia. Mike nerwowo zastanawiał się, co robić. Annabel leżała u jego stóp. Kat była w garażu, w błogiej niewiedzy. Opuścił głowę, spojrzął na krwawe smugi znaczące jego koszulę, na własne ręce, nawet na wybrzuszenia w kieszeni, tam, gdzie mimowolnie wsunął komórkę zabitego. Kat nie może tego wszystkiego zobaczyć, nie może się niczego domyślić, zobaczyć na jego ubraniu krwi matki. Odsunął się od boku żony. Zdejmując koszulę, chwiejnie ruszył do ku-

chennego zlewu. Parząc sobie dłonie gorącą wodą, pospiesznie mył przedramiona, tarł dżinsy, chlapiąc na wszystkie strony. Spływająca woda miała łososiowy kolor. Na stoliku z telefonem dostrzegł zwinięty w kłębek podkoszulek. Włożył go i rozsunął firanki nad zlewem, karetką wciąż nie nadjeżdżała.

Przez chwilę patrzył przez okno. Coś mu nie pasowało, ale jego wyczerpany mózg nie wiedział co. Miał przed sobą ten sam widok co zawsze – krawężnik, rząd cyprysów, fragment werandy Martinów. Popatrzył na zegar na kuchence i zdał sobie sprawę, że choć dla niego minęła wieczność, odkąd wszedł do domu, tak naprawdę nie upłynęło jeszcze sześć minut.

Rick Graham przybył niezwykle szybko!

Mike zrozumiał, czego brakuje mu za oknem.

Przed domem nie stał żaden pojazd.

Dlaczego Graham miałby zaparkować gdzieś dalej?

Z korytarza dobiegł go hałas otwieranych drzwi szafy. Mógłby przysiąc, że Graham jest gliniarzem; dwanaście lat w domu przy Shady Lane nauczyło go rozpoznawać ten typ. A jednak odznaka, którą tamten błysnął... Mike nie mógł sobie przypomnieć, jaką instytucję reprezentował. Już miał wykrzyknąć pytanie, ale słowa nie przeszły mu przez gardło.

Sięgnął do kieszeni, wyjął jednorazową komórkę, tę, którą zabrał nieżyjącemu. W spisie kontaktów nie było ani jednego numeru. Rozmowy wychodzące zostały wymazane. Zauważył tylko jedno przychodzące połączenie, siedem minut temu, czyli to, które tamten odebrał w jego obecności.

Nacisnął kciukiem klawisz „zadzwoń”, dostrzegając karmazynowa obwódkę pod swoim paznokciem. Rozległ się sygnał wybierania, potem jeden dzwonek i drugi.

W następnej chwili z głębi domu dotarła melodyjka z *Nad pięknym modrym Dunajem*.

Głos Ricka Grahama zabrzmiał równocześnie za ścianą i w uchu Mike'a.

– Halo?

Zjawił się tu po to, żeby sprawdzić dom, ale nie w sensie, jaki rozumiał Mike – miał zlikwidować świadków!

Mike popatrzył tęsknie na rewolwer leżący obok szarawego ramienia Annabel, lecz uznał, że nie ma na to czasu – odgłosy kroków Grahama zbliżały się, policjant wracał korytarzem. Mike przebiegł pospiesznie do tylnych drzwi, otworzył je i pchnął tak mocno, że z hukiem trzasnęły o ścianę. Wtedy usłyszał też odległy, niesiony na wietrze dźwięk syren. Wycofał się do kuchni i ukrył za kontuarem, obserwując, jak Graham wpada do salonu i opuszcza telefon komórkowy – jednorazówkę identyczną z tą, z której dzwonił Mike.

Widok białych palców funkcjonariusza w pierwszej chwili zaszokował go, szybko jednak zrozumiał, że to lateksowe rękawiczki. W prawej dłoni Graham miał nie służbowy pistolet, który wyjmował wcześniej z kabury, ale jakąś tanią broń, pewnie kaliber .22. Prawy mankiet jego spodni zaczął się o czarną skarpetkę i przy kostce widać było przypiętą kaburę. Pewnie w niej ukrył nierejestrowany tani pistolet.

Przeszedł nad ciałami, zatrzymał się przy wejściu do kuchni, a wtedy jego wzrok przyciągnęły otwarte tylne drzwi. Przeklął pod nosem.

– Mike? Nic ci nie jest? – zawołał.

Troska w jego głosie nie pasowała do determinacji, z jaką szedł do otwartych drzwi.

Poza tym Mike nie podał mu swojego imienia.

Wycie syren było coraz głośniejsze. W garażu drzwi do pick-upa otworzyły się i zamknęły, ciche odgłosy niemal utonęły w rosnącym zawodzeniu syren. Mike prawie do krwi zagryzł wargę, na szczęście wyglądało na to, że Graham nic nie usłyszał. Kucający Mike był bliżej garażu i znał wszystkie dźwięki rozlegające się w jego domu.

Teraz rozpoznał po krokach, że Kat nadchodzi, i przygotował się do ryzykownego skoku ku garażowi, ale w tym samym czasie policjant znów zaklął i wypadł na podwórze za domem.

Mike nacisnął klawisz ponownego wybierania i zostawił otwarty telefon na kuchennym blacie. Popędził ku drzwiom prowadzącym do garażu, a kiedy się otworzyły, chwycił Kat i zawrócił ją łagodnie do samochodu.

- Chodź, kochanie, wrócimy do pick-upa. Musimy jechać.
- Zdecydowanym ruchem poprowadził ją przez oświetlony przy-
ćmioną lampą garaż.
- Co...?
- Posłuchaj mnie, Kat. Wróćmy do auta. Musimy jechać.
- Dziewczynka posłusznie wsiadła.
- Tatusiu... – Nazywała go tak tylko wtedy, gdy coś ją przestraszyło
- Tatusiu, zmieniłeś koszulkę.
- Tak, tamtą sobie poplamilem.
- Czym?

Kiedy włączył przycisk otwierający drzwi garażu i brama z drzeniem zaczęła się podnosić, zauważył na ręce kręty ślad krwi, ciągnący się od małego palca do łokcia. Do garażu zaczęło wpadać dzienne światło, przedostawało się spod unoszącej się bramy jak spod okiennej rolety. Mike złapał szmatę z półki i odwróciwszy się tyłem do córki, zaczął pocierać ramię.

Czy naprawdę zostawiał za sobą ciało żony? Przypomnił sobie nieruchome, zimne i blade jak alabaster ciało i o mało nie pobiegł z powrotem do domu. Musiał zobaczyć ją jeszcze raz, musiał!

Usłyszał echo słów Annabel, prośbę umierającej: „Wyjedź... z nią... Przyrzeknij mi”.

Kat wypatrywała z wozu.

- Tatusiu! – zawołała głosem cienkim i trwożliwym.
- Poczekaj chwilę, kochanie. – Chwiejnym krokiem podszedł do drzwi, nadal pocierając rękę. Nie rozpoznawał brzmienia własnego głosu. – Nie ruszaj się stamtąd.

Odrzucił szmatę i opadł na siedzenie kierowcy. Klucz czekał w zapłonie, bo dzięki niemu działała telewizja. Mike przekręcił go wściekłym ruchem, a potem wycofał samochód, niemal szorując dachem o na wpół otwartą bramę. Zahamował z piskiem opon, a później dodał gazu i popędził przed siebie.

Syreny wyły teraz głośno. Wozy policyjne były nie dalej niż kilka przecznic od domu.

Auto Grahama stało ukryte za rzędem cyprysów, na obrzeżu posia-

dłości Wingate'ów.

Był to poobijany czarny mercury grand marquis. Identyczny z pojazdem, który jechał za nimi tamtego dnia od Promenade.

Mike zatrzymał się pospiesznie obok samochodu policjanta, wyjął scyzoryk Leatherman ze schowka i wyskoczył, otwierając najdłuższe ostrze. Kuląc się, żeby Kat nie widziała, co robi, wbił ostrze w przednią oponę i szarpnął do przodu, rozcinając ją. Gorące powietrze uderzyło go z sykiem w kostki palców.

Z podwórza za domem dobiegł go dzwonek *Nad pięknym modrym Dunajem*. Coraz głośniejszy.

Wpychając scyzoryk do kieszeni, popędził jeszcze sprawdzić tylną tablicę rejestracyjną. Rzeczywiście, numery były krótsze, złożone z cyfr i uzupełnione literą „E” obwiedzioną ośmiobokiem; tak oznaczano samochody zwolnione od podatku, znak był zarezerwowany dla wozów funkcjonariuszy policji i agentów federalnych. Za cyprysami trzasnęła boczna furtka i Mike umknął, zanim zdążył zapamiętać numery.

Wskoczył znów do forda i jeszcze zanim zamknął drzwi, docisnął pedał gazu. Przed oczami stale miał to „E” skwierczące w jego głowie niczym piętno. Rick Graham był gliniarzem albo agentem w jakiejś agencji rządowej. I był zamieszany w zamordowanie Annabel. Chciał zabić Mike'a, ale najwyraźniej był skłonny pozbyć się także ośmiolatki – tylko po to, by zlikwidować świadków. Ilu jeszcze funkcjonariuszy zaangażowało się w sprawę? Jak głęboko to wszystko sięga? I dokąd Mike może zabrać córkę? Gdzie będzie bezpieczna?

Widział, jak twarzyczka Kat podskakuje we wstecznym lusterku.

– Co zrobiłeś?

Przez tylną szybę Mike zobaczył, że Graham wyskakuje na ulicę, a później pochyla się i ogląda przednią oponę. Zdjął rękawiczki, odszedł kilka kroków od krawężnika, oparł dłonie na biodrach i patrzył na odjeżdżający samochód. Był zbyt daleko, więc Mike nie widział dokładnie jego miny, ale w jego postawie dostrzegł zarówno rozbawienie, jak i irytację.

Brak tętna!

– Musiałem... coś zrobić z tamtym autem.

Skręcił za róg. Minął ich ambulans i korowód wozów policyjnych; światła błyskały, hałas rozdzierał powietrze tak potężnie, że Mike skulił się za kierownicą. Kiedy przemykali obok, przyglądał się, żeby mieć je wszystkie w polu widzenia – przez szyby albo w bocznym lusterku.

Kat siedziała sztywno na tylnym siedzeniu, pozbawiona zwykłej swobody.

- Gdzie jest mama? – spytała głosem ochrypłym ze strachu.
- Nie ma jej... tutaj.

Koszmarna powtórka z jego wspomnień, tyle że tym razem te słowa nie wydobyły się z ust ojca, lecz z jego własnych.

Próbował obserwować drogę i pewnie trzymać kierownicę. Starał się ze wszystkich sił, a jednak nieszczególnie mu się udawało.

- Tato – pytała Kat. – Czemu masz taki głos?

A później:

- Tato, światło jest zielone.

I jeszcze:

- Tato, dlaczego tak śmiesznie oddychasz?

29

Kat zamknęła się w sobie, była jak kłębek strachu i urazy. Mike musiał zabrać ją w odpowiednie miejsce, żeby wyjaśnić, co stało się z jej matką. Przynajmniej tak sobie mówił. Może po prostu nie miał pojęcia, jak przekazać jej nowinę. Podczas jazdy starał się mówić do Kat i pocieszać ją, ale była na to zbyt bystra, więc jego ogólnikowe zapewnienia, że wszystko jest w porządku, rozumiała przeciwnie – jako złą wiadomość. W końcu przestał się odzywać. Skupił całą energię na powstrzymaniu wybuchu żalu.

Podjechał na stację benzynową, z bezsensowną myślą w głowie: Gdy ostatnim razem tankowałem, miałem żonę. Oszedł kilka kroków od pick-upa i otworzył telefon, żeby zadzwonić do Shepa. W aparacie było zdjęcie Annabel, które zrobił jej rano tamtego dnia, gdy dowiedział się prawdy o Green Valley. Przypomniawszy sobie teraz ciepło promieni słońca na jego ramionach, kiedy Annabel wsunęła posmarowane balsamem dłonie w jego.

„Co?”

„Twoje włosy. Twoje oczy”.

To była ostatnia spokojna chwila, którą mieli, zanim pojawił się problem z rurami PCW, zanim Mike podjął decyzję, że przyjmie propozycję przedstawiciela gubernatora. Od tego kłamstwa wszystko się zaczęło, a później rozpętało się piekło.

„Dla dobra tych czterdziestu rodzin... Dasz radę uśmiechnąć się do kilku kamer?”

Ten uśmiech kosztował go utratę Annabel.

Jego kciuk zadrgał i Mike ledwie się powstrzymał, by nie zadzwonić pod numer żony. Zapanował nad sobą i uderzyła go realność tej sytuacji – nowego piekła. To nie może być prawda! Nie da rady bez Annabel, nie poradzi sobie z zagrożeniem, z byciem rodzicem, z życiem...

Wrócił myślami do ośmiolatki, która go potrzebowała, którą musiał się zająć. Shep! Trzeba stworzyć plan działania, strategię.

Przypomniał sobie, że miał dzwonić do przyjaciela z lśniącego czarnego batphone'a, więc zmienił telefon i wybrał numer.

Shep odebrał po pierwszym dzwonku.

– Moja żona nie żyje.

Wypowiedzenie tych słów sprawiło, że miał ochotę się rozplakać. Pospiesznie odwrócił się tyłem do forda, ze wszystkich sił starał się stać prosto, chociaż miał ochotę zgiąć się wpół i zwijać z bólu.

– Co? – spytał Shep.

Mike zerknął przez ramię. Na szczęście Kat siedziała na miejscu, przypięta pasem, wpatrzona obojętnie przed siebie.

– Nie żyje – zmusił się do powtórzenia. – William i Dodge grozili, że skrzywdzą Kat, a ja połknąłem przynętę. Pojechałem odebrać ją ze szkoły, a Annabel zostawiłem samą. Zostawiłem ją...

– Kto?

– Jakiś facet, brat Williama, a może kuzyn. Zabiłem go.

Na to wspomnienie cały się zatrzęsł. Pamiętał, jak uderzył w czaszkę patelnią na omletry, tak mocno, że aż ramię zabołało go od wibracji uderzenia, a potem straszliwy ból sięgnął kości, taki, jaki czuje zawodnik odbijający mocną, szybką piłkę. Tamten odgłos był nieludzki. Jak najgorszy hałas na budowie, jęk ustępującego materiału. Mike odebrał komuś życie. Nie miał wyrzutów sumienia i bez wahania zrobiłby to znowu, ale ta twarda prawda sprawiła, że coś w jego piersi zgasło.

– Skąd wiesz, że był spokrewniony z tym Williamem? – spytał Shep.

Mike potrzebował chwili, zanim zrozumiał pytanie.

Pomyślał o ziarnistym zdjęciu ojca, który był w takim wieku jak on teraz. Przypomniał sobie, jak Dana Riverton położyła przed nim zdjęcie z gazety prezentujące Mike'a całemu światu, wszystkim, którzy go

szukali.

– Podobieństwo – odparł krótko.
– Zamierzał zabić Annabel?
– Walczyła. – Przez głowę znów przemknęło mu pytanie napastnika: „Nie mogłaś mnie posłuchać, usiąść na kanapie i poczekać, aż przyjedzie?”. – Chciał zabić mnie, nie ją.

– Więc dlaczego wysłali cię do Kat?
– Żeby tamten facet mógł... No nie wiem... Żeby miał czas zorganizować pułapkę w domu. Chcieli załatwić wszystko po cichu, żeby nikt się o niczym nie dowiedział. Może potrzebował ich jako zakładniczek. Żeby zaczął gadać.

– O czym?
– Nie mam pojęcia.
– Co się zdarzyło potem, jak już go zabiłeś?
– Zjawił się jakiś gliniarz, Puck Graham. Był z nimi w zмовie. Graham zadzwonił i ostrzegł go, że nadjeżdżam. – Mike opowiedział o telefonie i o tym, jak oddzwonił pod numer policjanta. – Graham przyszedł mnie zabić, tak myślę. Albo posprzątać po tamtym. Złapałem Kat i odjechałem. Teraz pewnie poszukuje mnie policja albo szeryf, bo nie poczekałem przy ciele. Nie wiem, komu mogę zaufać.

– Pieniądze – podsunął Shep.
– Nie mogę teraz o tym myśleć. Nic jeszcze nie powiedziałem Kat. Później możemy...

– Nie będzie żadnego „później” – powiedział Shep.
– Okay, okay...
– Masz przy sobie rewolwer?
– Nie. Właśnie z niego Annabel...
– Musisz wyłączyć swój telefon – przerwał mu Shep. – Nie batphone, tylko swój. Jest na twoje nazwisko i mogą cię po nim wysłedzić, jak będzie za długo włączony.

Mike posłuchał, a później rozejrzał się wokół siebie. Pojazdy przejeżdżały obok na ruchliwym skrzyżowaniu. Para dzieciaków paliła obok samoobsługowej myjni. Jakaś kobieta wysiadła z garbusa przy dystrybutorze paliwa za fordem Mike'a i podreptała powoli do całodobowego

spożywczaka na stacji.

– ...i swój pick-up – mówił Shep.

– Mój pick-up?

– Masz w nim nawigację satelitarną, tak? Więc mogą cię wytropić przez GPS. Pozbądź się go.

Porzucenie pick-upa brzmiało jak utrata ostatniej części samego siebie. Fotel obok kierowcy nadal był w pozycji, w jakiej ustawiła go Anabel – przesunięty do przodu, ku tablicy rozdzielczej, lekko ukośnie, z nisko opuszczonym zagłówkiem. Okruszki po batoniku PowerBar, który zjadła w drodze na ceremonię wręczenia nagród, wciąż tkwiły w załamaniu fotela.

– Teraz?

Mike zatankował i wyszarpnął ze zbiornika końcówkę pistoletu.

– Policja ma układ z jakąś prywatną firmą, mogą wyśledzić każdego. Chociaż zdobycie nakazu zajmuje zwykle trochę czasu. Tak czy owak, najpierw kasa. Jedź.

I Shep się rozłączył.

■ ■ ■

Mike garbił się nad stołem w gabinecie w banku, wkładając stosy studolarówek do czarnej winylowej torby, którą przyniósł mu dyrektor z pozornie obojętną miną. Kat na siedzeniu kierowcy czekała na frontowym parkingu w zamkniętym samochodzie; w razie niebezpieczeństwa miała natychmiast nacisnąć klakson.

– Czy możemy zaproponować panu inne usługi, panie Wingate? Dzięki którym przemyśli pan swoją decyzję?

– Nie chodzi o państwa usługi – odparł.

– Przykro mi, ze względu na pańskie ostatnie wpływy...

– Dlaczego nie mogę wypłacić więcej?

– Zważywszy na okoliczności, przygotowane przez nas naprędce trzysta tysięcy dolarów to imponujący wynik. Od czasu skomputeryzowania bankowości nie trzymamy w skarbcu tyle gotówki co kiedyś. Jak wspomniałem, chętnie zarządę przelew na jakieś...

Rozległo się ciche stukanie, a później drzwi uchyliła atrakcyjna kobieta w gładko wyprasowanym damskim garniturze.

- Przepraszam. Telefon do pana.
- Wiesz dobrze, Jolene, że kiedy drzwi do biura są zamknięte...
- Powiedziano mi, że to bardzo ważne.

Na aparacie stojącym w narożniku biurka mrugało czerwone światełko.

Dyrektor wyprostował się, jakby połknął kij. Skinął głową Mike'owi i odwrócił się do biurka.

Mike pospiesznie wrzucił pozostałe pliki banknotów i energicznie opuścił gabinet.

■ ■ ■

- Tato, co my tu robimy? Boję się tych ludzi.
- Za chwilę złapiemy okazję i stąd odjedziemy, Kat.
- Powiesz mi, co się dzieje?
- Tak, powiem ci. Już niedługo.

Byli w Chatsworth, w południowej części Devonshire. To najbliższe obskurne przedmieście. Zielsko poprzerałoby popękane płyty chodnikowe i powalony płot z drucianej siatki. Wiszące na zawiasach drzwi pokrywało graffiti w odcieniach krwawej czerwieni i metalicznej zieleni: duch z *Pogromców duchów*, obok symbole gangów oraz małpka zasłaniająca sobie oczy i jej dwaj kumple. W progu siedziały ćpuny, chude ramiona sterczały z za dużych kurtek, brudne palce przesuwają się po bezzębnych dziąsłach. W zapadającym zmroku nędzne domy wyglądały jak nawiedzone.

Był przerażony, że przywiózł tutaj Kat. Ale bardziej przerażała go myśl, co się z nią stanie, jak dopadną ją ludzie, którzy na niego polowali.

Jechał powoli lśniącem fordem, który przyciągał liczne spojrzenia, kilka osób krzychało do Mike'a, choć słowa do niego nie docierały, zagłuszone rykiem silnika. Ktoś zastukał w tylne okno i Kat przestraszyła się tak bardzo, że aż krzyknęła. Obok drzwi pojawiła się koścista twarz o zapadniętych policzkach i zaropiałych ustach; obcy z uśmiechem szarpał klamkę, a zamek głośno klikał.

Mike przyspieszył i koścista twarz zniknęła im z oczu. Skręcił za róg. Starszy mężczyzna wycofywał właśnie z podjazdu stare volvo. Mike zatrzymał forda za nim, blokując mu wyjazd. Oburzony mężczyzna

wyskoczył z auta i ruszył do nich, kosmyki siwych włosów poruszały się, muskając linię szczęki.

– Nie nastraszysz mnie, chłopcze. Mieszkałem tu, zanim twój ojciec...

Mike pokazał mu trzy studolarowe banknoty.

– To dla pana, jeśli pan na nas poczeka. Dwie minuty. Wrócimy. Zapłacę podwójnie, jeśli nas pan podwiezie.

– Urodziłem się w nocy, ale nie jestem idiotą. Na pewno za te pieniądze chcesz kupić coś więcej.

Mike wcisnął banknoty w pomarszczoną rękę mężczyzny.

– Chcę tylko, żebyś nas kawałek podwiózł – zapewnił go.

Mike odjechał, kierując się z powrotem do slumsów, zatrzymał samochód na środku ulicy i wyskoczył z niego, pozostawiając drzwi kierowcy otwarte, a silnik włączony. Przez ramię przewiesił sobie torbę z pieniędzmi i z tylnego siedzenia zagarnął Kat, tak jak to robił, gdy była małeńka. Przerażona dziewczynka ukryła twarz w szyi ojca. Mike biegł wraz z nią, a jej gorący oddech parzył mu gardło.

Gdy dotarł na ciche skrzyżowanie, spojrzął za siebie. Chude postaci otoczyły forda, przekrzywiając głowy, mrugając w jaskrawym świetle reflektorów. Tak, to tylko kwestia czasu... A Dodge, William albo Graham mogą spędzić całą noc, ganiając za narkomanami odbywającymi przejażdżkę pick-upem Mike'a. Tymczasem on znajdzie bezpieczną kryjówkę dla córki.

Skręcił, lecz nie zwolnił kroku, biegł aż do miejsca, gdzie czekał na nich starszy mężczyzna.

■ ■ ■

Wraz z Kat przeszli nierówny trawnik przed domem Jimmy'ego, omijając części samochodowe i rdzewiejącą kosiarkę, która stała wśród pobrązowiałej trawy. Mike poprosił mężczyznę, aby wysadził ich kilka przecznic stąd, i przybiegł wraz z Kat tutaj.

Dziewczynka ukryła się za plecami Mike'a, który dzwonił do drzwi współpracownika.

Jimmy szarpnął drzwi, nie patrząc, odwrócony do korytarza.

– ...zabierz ten cholerny fotel z trawnika.

- A co ci do tego? – odpowiedział mu kobiecy głos.
- To, że mi nie pasuje, żeby jakiś fotel stał na moim trawniku.

W korytarzu pojawiła się Shelly. W białych, szczupłych palcach trzymała papierosa, którego powinna już strzepnąć do popielniczki.

- Wiesz, jesteś chlubą swojej rasy!

Kobieta spojrzała obok męża i dostrzegła Mike'a. Od razu owinęła się ciałniej szlafrokiem i zniknęła mu z pola widzenia.

Jimmy obrócił ku niemu głowę.

- Wingate? Co tu, do diabła, robisz?

- Potrzebuję pomocy.

– Kłótnia z żoną? Cholera, nie dziwię się. Odkąd Shelly i ja wróciliśmy do siebie... – Jimmy jęknął sfrustrowany. – Wiesz, kiedy ona chce uprawiać seks? Jutro, zawsze jutro. Właśnie wtedy. – Kat wyszła zza Mike'a i Jimmy mruknął: – Kurczę! Cześć, kochanie. Nie widziałem cię.

- Potrzebuję wozu – przerwał mu Mike.

- Chcesz z powrotem swoją starą toyotę?

- Mam kłopoty, Jimmy.

Mężczyzna popatrzył na Mike'a i Kat i chyba zrozumiał, że sytuacja jest poważna.

Minutę później znaleźli się w cichym garażu Jimmy'ego. Mike usadził Kat na fotelu pasażera w toyocie i swojski zapach jego starego wozu na chwilę przyniósł mu pocieszenie. Wskazał na przybornik zamocowany nad obręczą koła.

- Trzeba go zdemontować?

- Nie – odparł Jimmy. – Tam i tak są twoje klamoty.

– Możemy zamienić tablice rejestracyjne? – spytał Mike. – Z mazdą?

- To auto Shel, ale co mi tam, i tak za nie płacę.

Pomógł Mike'owi zamienić tablice, a potem uścisnęli sobie ręce.

- Dzięki, Jimmy. Wynagrodzę ci to.

– Dość już dla mnie zrobiłeś. – Stał i przyglądał się, jak Mike wycofuje pick-upa. – Jedziesz na poszukiwanie Po Prostu Johna? – zawołał za nim.

Mike odjeżdżając, myślał: najwyraźniej tak, tak sędzę.

■ ■ ■

W Days Inn wymagano płatności kartą kredytową, więc ostatecznie Mike i Kat wynajęli pokój bliżej centrum, w jednym z walących się moteli naprzeciwko Universal Studios. Wydawało się, że motel przyjmował głównie oszczędnych turystów i ludzi potrzebujących łóżka na parę godzin. Jednopiętrowy budynek, długi, z rzędem pokoi ciągnących się wzdłuż wąskiego parkingu, przypominał filmowy Bates Motel, tyle że nie było tutaj wypchanych zwierząt. Zmysły mieszkańców atakowały spaliny samochodów, krzyki i ryk klaksonów z odległego o dwie przecznice Ventura Boulevard. Recepcjonista, którego należałoby nazwać żywą księgą tatuaży, chętnie przyjął zapłatę gotówką.

Na nocnym parkingu spisano numer rejestracyjny wozu, więc Mike się ucieszył, że w garażu Jimmy'ego zamienił tablice. Gdy wraz z Kat znaleźli się w pokoju, cisnął torbę z pieniędzmi w ką, a na przykryte kapą łóżko wyrzucił zawartość kieszeni. Dwa telefony komórkowe, męski portfel, poza tym drobniaki, na wpół zużyta pomadka ochronna ChapStick, którą nosił dla córki. Zamknął żaluzje. Wewnętrzne drzwi prowadziły do sąsiedniego pokoju, który Mike również wynajął, żeby Kat mogła spać spokojnie, kiedy on zajmie się wszystkim tym, co musi zrobić tej ponurej nocy.

Dziewczynka zwinęła się na łóżku, przyjmując pozycję embrionalną. Mike usiadł i pogładził ją po głowie. Stęknęła cicho, a później przesunęła się, przylgnęła do niego i objęła go w pasie. Pochylił się i niezdarnie wziął ją w ramiona, zatapiając nos w jej włosach, delektując się jej bliskością. Jej dziecięcym ciepłem. Dotykami małych paluszków. Ta krucha szyja. Ta gładka skóra – bez żadnej zmarszczki. Uniósł głowę i szybko zamrugnął, powstrzymując szloch, który rodził się w jego piersi. Nie chciał, żeby Kat domyśliła się jego rozpaczy.

Ale był jej winien wyjaśnienie. I to jak najszybciej.

Wszedł do łazienki, gdzie zamierzał zebrać siły przed rozmową.

Pochylił się nad wyszczerbioną umywalką i przyjrzał się sobie dokładnie w wiszącym nad nią poplamionym lustrze. Prawie siebie nie poznawał. Oczy z czerwonymi obwódkami, ziemista cera, ciemne od potu włosy sterczące na wszystkie strony. Nic dziwnego, że Kat była przerażona.

Ze wstrętem zauważył, że krew pod paznokciami lewej ręki już zaschła. Usiłował je doczyścić, wsuwając pod czarne półksiężycy a to jeden, a to drugi paznokieć prawej dłoni, a potem wkładając palce pod strumień parzącej wody, ale nie mógł się pozbyć zaskorupiałego karmazynu. Przerwał nagle. Od pary unoszącej się znad umywalki miał mokre krople na policzkach. Przecież zaschnięta krew pod paznokciami to ostatnia pamiątka po Annabel...

Nagle coś sobie przypomniał – obraz był tak rzeczywisty, że Mike miał ochotę poddać się mu i marzyć: kiedy po raz ostatni się kochali, kiedy splotła ręce na jego karku.

„Chcę, żebyś na mnie patrzył – powiedziała. – Przez cały czas”.

Zapłakał, najciszej jak potrafił, a później lekko uderzał pięścią w krawędź umywalki. W końcu wziął potężny wdech i przybrał obojętną minę. Wpatrując się w swoje odbicie, szepnął:

– No dobra, załatwmy to, pogadajmy z nią.

Dla orzeźwienia ochlapał sobie twarz chłodną wodą. Nadal nie podołało mu się jego odbicie w lustrze, ale nic więcej nie mógł zrobić.

Kiedy wyszedł, dziewczynka siedziała wsparta o wezgielowie z kolanami podciągniętymi aż do brody. Gapiła się na ekran telefonu Mike'a, twarz miała wymizerowaną i przerażoną.

Mike podbiegł do niej.

– Nie możemy włączać tego telefonu.

– Dzwoniłam do mamy i... i ona...

Zaczęła płakać.

Wyrwał jej z ręki komórkę. Na ekranie była wiadomość:

BĘDZIESZ NASTĘPNY.

Odniośl wrażenie, że zamiast żołądka ma ciężki kawał lodu.

Rzucił telefon na podłogę i zmiażdżył go obcasem.

Kat odsunęła się jak najdalej, jak gdyby chciała ukryć się przed toksycznym przedmiotem.

– Co to znaczy? Chcę rozmawiać z mamą!

Mike usiadł na brzegu łóżka i chwycił córkę za ręce.

– Nie możesz teraz z nią porozmawiać, kochanie.

– Dlaczego? Dlaczego nie?

– Ona nie może... mama nie może rozmawiać.
– To nie jest odpowiedź. Tato... to nie jest odpowiedź!
– Kochanie, posłuchaj, mamusia... – Głęboko zaczerpnął powietrza, a potem wypuścił je najspokojniej, jak potrafił. Ostatnie zdjęcie, jakie pstryknął żonie, było w telefonie, który właśnie roztrzaskał na cienkiej wykładzinie. – Mama jest... – Wtedy zadzwoniła druga komórka, lśniący batphone. Mike natychmiast odebrał. – Shep?

– Tak. To ja.

Zapadła cisza, przyjaciel się wahał, co zdarzało mu się naprawdę rzadko.

– Co takiego? – naciskał Mike. – Co się dzieje?

– Ona żyje – stwierdził Shep.

30

– Nawet nie próbuj – ostrzegł go. – Nie kpij sobie, kurwa, ze mnie!
– Jestem w szpitalu – zapewnił go Shep. – Zabrali ją do Los Robles Med Center.

– Ale ja ją widziałem. Widziałem ciało.

Znowu nie chciał dopuścić do siebie prawdy. Ale tym razem walczył z nadzieją, która wydawała mu się równie niebezpieczna jak chodzenie po linie.

– Ciało? – wtrąciła się Kat dziwnie bezbarwnym ze strachu głosem.
– Co się stało mamusi?

Mike zasłonił słuchawkę dłonią.

– Została... ranna.

– Jak bardzo?

– Nie wiem. – Wrócił do rozmowy telefonicznej. – Muszę ją zobaczyć.

– Nie możesz tu przyjechać – odpowiedział Shep. – Gliniarze łążą po całym szpitalu.

– Ona mnie potrzebuje...

– Ona niczego teraz nie potrzebuje. Za to twoja córka potrzebuje cię żywego. Czekać, lekarka jest sama w sali. Dam ci ją.

– Shep, ja...

– Pan Wingate? – Chłodny damski głos. – Mówi doktor Cha. Jestem chirurgiem urazowym. Udało nam się ustabilizować stan Annabel. To dobra wiadomość.

– Ustabilizować? Byłem tam, gdy umarła. Nie miała tętna... ni-

gdzie! Siniąła.

Kat płakała, Mike podniósł rękę i dał dziewczynce znak, żeby poczekała. Poznawała nowiny zbyt szybko i w sposób kompletnie niewłaściwy, zupełnie inaczej, niż planował.

– Ostrze weszło pomiędzy szóstym a siódmym żebrem – tłumaczyła doktor Cha. – Przecięło śledzionę i przebiło płuco, co spowodowało jego zapadnięcie. Nazywamy to odmą zastawkową opłucnej, czyli odmą przęzną. Właśnie dlatego pańska żona straciła oddech i puls. Wydawała się sina z powodu hipoksji, czyli niedotlenienia. Sanitariusze intubowali ją na miejscu, musieli też dostarczyć tlen do płuca. W jej klatce piersiowej znalazło się trochę krwi z naciętej tętnicy. Zabraliśmy Annabel na salę operacyjną i wycięliśmy uszkodzoną śledzionę, ale tętnicy nie ruszaliśmy. Mam nadzieję, że zasklepi się sama, żebyśmy nie musieli rozcinać klatki piersiowej. Pańska żona w ciągu minionych kilku godzin straciła tylko kilkaset centymetrów sześciennych krwi i krwawienie wyraźnie zwalnia. Oczywiście nadal podajemy krew.

Kat klęczała teraz na łóżku, twarz miała skupioną, minę czujną. Mike krążył po pokoju niczym zwierzę w klatce, pocierając tył głowy, walcząc z bolesnymi emocjami. Jego żona żyła! Ale była sama i ciężko ranna. Jego przy niej nie ma. Ruszył do drzwi, stopy poniosły go same, zanim zdążył pomyśleć. Wtedy się zatrzymał.

– A złe wiadomości? – spytał słabym głosem.

– Nie oddycha jeszcze samodzielnie. Wciąż jest intubowana, oczekujemy też reakcji na ból, ruchu palców u nóg albo rąk, czegokolwiek. Na razie nie reaguje. Ale minęło niewiele czasu i mamy nadzieję, że sytuacja jest tymczasowa. Tak czy owak, będziemy wiedzieć więcej w ciągu następnych paru dni.

– Jak... co to znaczy?

– Im dłużej utrzyma się ten stan, tym gorsze rokowania. Cóż, pan jako jej mąż jest zapewne jej pełnomocnikiem w sprawach medycznych?

– Tak.

– Więc może zechciałby pan tutaj przyjechać...

Mike walczył ze sobą, rozpaczliwie świadom, że obok jest Kat. Jej zasmucona buzia uparcie mu przypominała, że jest za nią odpowie-

działny, że musi ją chronić. Znowu przez głowę przemknęła mu prośba Annabel, upiorne piętno: „Przrzeknij mi”.

– Nie mogę. Grozi mi niebezpieczeństwo... Mnie, mojej córce. Ludzie, którzy skrzywdzili moją żonę...

– Tutaj jest mnóstwo policji. – Milczenie było wymowne. – Rozumiem. Wie pan, to nie moja sprawa. Dla mnie najważniejsze jest życie pacjentki. Nie obchodzi mnie policja. Ale muszę mieć pewność, że zdołam się z panem skontaktować, jeśli trzeba będzie podjąć trudną decyzję medyczną.

– Mogę przenieść...

– Pyta pan o cechę pełnomocnictwa? Nie. Bywa pan osiągalny?

– Nie wiem.

– To proszę się szybko zastanowić.

– Dobrze, mogę być... osiągalny. Proszę kontaktować się ze mną przez Shepa.

– Jest członkiem rodziny?

– W pewnym sensie – odparł Mike.

– Widzi pan, w przypadku trudnej decyzji będę musiała spotkać się z panem osobiście, chociaż może wystarczy pismo, z pana podpisem, przesłane faksem. Jeśli nie, decyzję za pana podejmie ktoś inny z rodziny.

Ojciec Annabel. Jezu! – pomyślał Mike.

– Oddaję teraz słuchawkę pana przyjacielowi. – Odeszła.

Mike podszedł do łóżka i usiadł. Głowę powinien mieć teraz lżejszą, ale przybyły mu nowe troski.

– Lekarka mi powiedziała – odezwał się znowu Shep – że przed pokojem Annabel postawi strażnika, w nocy będą się nią opiekowały pielęgniarki, więc do rana nic jej nie grozi. Skoro będzie tu tyle osób, nikt nie wyciągnie żadnej rurki ani nic.

– Musisz... – Mike na moment stracił wątek, a potem kontynuował. – Chciałbym, żebyś zadzwonił do Hanka Danville'a, mojego prywatnego detektywa. To były gliniarz, kiedyś służył w policji, tu, w Los Angeles. – Kat kiwała się i pojękiwała. Mike obniżył głos, żeby nie słyszała. – Niech spróbuje się dowiedzieć, dlaczego ganiają za nami umoczeni

gliniarze. Czego ode mnie chcą.

– Gdzie jesteś? – spytał Shep.

Mike podał mu nazwę motelu i numer pokoju.

– Nie kontaktuj się z nikim – ostrzegł Shep. – Wpadnę za trzy, cztery godziny.

Zakończyli rozmowę. Kat wpatrywała się teraz w niego, twarz miała poszarzałą. Mike usiłował się skupić.

– Twoja mama została ranna. Leży w szpitalu.

– Wyzdrowieje?

– Jeszcze tego nie wiemy.

Dziewczynka zeszywniała i później dosłownie wzdrygnęła się pod ciężarem tych słów.

– Co jej się stało?

– Została ukłuta nożem.

– Jak w filmach? – Kat zerwała się nagle, stanęła prosto, objęła rękami brzuch i przestępowała z nogi na nogę szybko, jakby tupała. – Chcę pojechać ją odwiedzić.

– Nie możemy, kochanie. Tatuś ma kłopoty. Nie jestem pewny, czy to dla nas bezpieczne.

– Dlaczego nie zadzwonimy na policję?

– Nie wiem... Nie wiem, którym policjantom możemy zaufać.

– Chcesz powiedzieć, że to policjanci zranili mamę?

– Nie wiem, kochanie. Nie mam odpowiedzi na wiele pytań. Wiem, że dla ciebie to naprawdę straszne. Ale wszystkiego się dowiem i będę cię chronić. Będzie dobrze, nic nam się nie stanie.

– Mamusi też?

Z trudem przełknął ślinę.

Kat posmutniała. Usiadł w rogu łóżka, przytulił córkę i przez chwilę kołysał ją i uspokajał, aż zaczęła oddychać normalnie.

– Musimy trzymać się razem – powiedział. – Nikomu nie pozwolę cię skrzywdzić, ale teraz trzeba, żebyś była silna, do czasu, aż wymyślimy, co robić. Jeśli potrafisz być silna, przetrwamy to i wszystko będzie dobrze. Umowa stoi?

Wyczuł, że wtulona w jego pierś Kat pokiwała głową. Widział, że jest

zarumieniona, na buzi miała ślady łez. Podniosła rączkę, a Mike ją uściśnił.

– Stoi – potwierdziła.

Piętnaście minut później byli w markecie Target i wlekli się alejkami noga za nogą. Paczkowany pszenny chleb, masło orzechowe, niania elektroniczna i baterie, jasnoniebieski śpiwór w dziecięcym rozmiarze. Mike nie pozwolił córce ani na chwilę się oddalić, dosłownie nie spuszczał z niej wzroku, nie pozwalał samej nawet skręcać za róg. Dziewczynka człapała mozolnie obok wózka, ziewając, drapiąc się po głowie i pocierając oczy. Z jego ramienia zwisała wypełniona gotówką torba z czarnego winylu. Przyszło mu do głowy, że Kat zostawiła w jego pick-upie okulary, ale nic już nie mógł na to poradzić, zresztą tak naprawdę potrzebowała ich tylko do czytania. Z pojemnika przy kasie pluszowe zwierzątka Beanie Babies błyskały smętnymi szklanymi oczami. Mike wyjął ze stosu polarnego misia i zamachał nim przed córką.

– Śnieżka Dwa: Narzeczona Śnieżki?

Dziewczynka odczytała etykietkę.

– Ma na imię Aurora – mruknęła beznamiętnie.

Dla niej pewnie wszystkie misie były bez płci.

Mike i tak kupił pluszaka.

– Ale ładną ma pan córeczkę – zauważyła kasjerka.

Mike mimowolnie przesunął kciukiem po chłodnym złocie ślubnej obrączki. Musiał się skoncentrować i coś powiedzieć.

– Dziękuję pani.

Kobieta popatrzyła na niego z niepokojem i w milczeniu podliczyła zakupy.

Gdy wrócili do motelu, Mike włożył baterie do elektronicznej niani, poprosił Kat, żeby przeszła do drugiego pokoju, zamknął drzwi i wypróbował urządzenie.

– Test, raz, dwa, trzy – recytowała dziewczynka monotonnym głosem. – Test, raz, dwa, trzy.

Rozległy się zakłócenia, ale niania się sprawdziła. Odbiornik dla rodzica miał klips, który Mike zaczepił sobie na pasku. Zasięg był aż do

krawędzi parkingu i w drugą stronę, do recepcji.

Kiedy Mike wrócił, zobaczył na poszarzałej twarzy córki ogromne wyczerpanie. Na małym blacie przygotował dla niej kanapkę z masłem orzechowym (bez dżemu), wdzięczny, że ma zajęcie i może coś zrobić dla swojej małej dziewczynki. Pieczołowicie rozsmarował masło orzechowe, a później odciął skórkę. Ręce mu się zatrzęsły i pomyślał o ramionach swojego ojca, drżących na kierownicy kombi. Po raz pierwszy poczuł coś jakby zrozumienie dla ślepej paniki człowieka, który widzi, jak jego życie się rozpada. Wiedział, że to uczucie jest zakazane, groźne, że on, Mike, nie może dopuścić go do głosu, więc natychmiast zagłuszył je gniewem. Przecież... ojciec był panem własnego losu, nie jego.

Skupił się na kanapce, położył ją pośrodku talerza i przekroił ukośnie na dwa kształtne trójkąty. Co sobie myślał? Że jedna przygotowana z miłością kanapka umili piekło, przez które przechodzi jego córka? Tak, rzeczywiście, właśnie na coś takiego miał nadzieję.

Dał dziewczynce połowę, a Kat raz ugryzła i odłożyła kanapkę na talerz.

Mike był zawiedziony.

– Nie zjesz więcej?

– Nie, bo wymiotuję.

Skrzyżowała nogi jak Indianka i podrapała się po głowie.

– No dobrze, kochanie, dobrze.

Mocno drapała się za uchem i nagle Mike zrozumiał: wszy!

Oparł się ciężko na kontuarze. Z jakiegoś powodu akurat wszy wy-dawały mu się przeszkodą nie do pokonania. Przypomniały mu się te pierwsze noce, które spędzili z Annabel i Kat dopiero przyniesioną ze szpitala, płacz niemowlęcia, przewijanie, karmienie, czekanie, aż odbije mu się po jedzeniu. Pamiętał straszliwe zmęczenie, które wtedy odczuwali z Annabel, gdy leżeli w ciemnościach i próbowali wstać, jak tylko mała zapłakała. Zbierali siły, których już w nich nie było, ale jako rodzice musieli je mieć. Bo jeśli nie oni, nikt inny nie pomógłby ich dziecku.

Siorbiąc sok z przeciekającego kartonu, Kat ledwo utrzymywała

otwarte oczy, powieki jej się kleiły. Mike podszedł, odwrócił głowę córki i rozdzielił delikatne włosy na jej karku.

– Kochanie, wróciły twoje wszy. – Zauważył, że przytulona do niego zdążyła już zasnąć. – Kochanie, musimy wrócić do Targetu. Trzeba kupić majonez i folię, a później zrobić ci turban.

– Nie mogę po prostu tu zostać? – wymamrotała. – Nie mogę po prostu tu spać? Proszę, tato.

– Przepraszam – bąknął i zobaczył, że jej ramiona drgają w bezgłośnym szlochu.

Czterdzieści minut później leżała skulona w nowym śpiworze ułożonym na sztywno wykrochmalonej pościeli, głowę miała owiniętą w majonezowy zawój. Mike włożył nadajnik elektronicznej niani do śpiwora. Później wyjął ze sklepowej reklamówki polarnego misia Beanie Baby.

– To nie jest zwykły miś polarny. – Otworzyła oczy, poszukała wzrokiem ojca. – Ten miś ma magiczne właściwości, jest magicznym ochroniarzem – dodał.

– Magiczny miś polarny.

– Tak, właśnie tak. Będzie nas strzegł.

– Taaa, jeśli zaatakują nas ciasteczkowe potwory.

– Musimy go nazwać. Podoba ci się imię Aurora?

– Jest okropne. – Podniosła pluszaka za maleńki kark i przyglądała się jego pyszczkowi. – Niech będzie Śnieżka Drugi. Tak jak mówiłeś.

– Śnieżka Dwa: Zemsta Śnieżki.

Niechętnie wsunęła misia do śpiwora. Podrapała foliowy turban na głowie, ze wszystkich sił starając się nie wyglądać na nieszczęśliwą.

– Poczytasz mi jakąś historię?

Nie mieli żadnej książki, ale Mike wiedział, że nie może znów rozczarować córki. Zdesperowany otworzył szufladę nocnego stolika, a tam, zamiast oczekiwanej Biblii, była pozostawiona przez kogoś książka z oślimi uszami – *Kto zje zielone jajka sadzone?* doktora Seussa. Cud? Równie dobrze woda mogłaby zamienić się w wino. Przesunął dłonią po uwielbianej okładce w pomarańczowym i zieleni, po czym podniósł książeczkę triumfalnym gestem.

– Tato, mam osiem lat – burknęła Kat.
– Och – jęknął Mike. – Jesteś na to za stara.
Ostentacyjnym gestem zaczął odkładać książkę.
– To znaczy – poprawiła się dziewczynka. – Jeśli naprawdę chcesz ją czytać...

- Chcę – zapewnił ją.
- No to w porządku.

Ziewnęła, znów przysypiając.

– Słyszałem, że doktor Seuss napisał ją, ponieważ ktoś się z nim założył, że nie napisze całej książki, używając tylko jednosylabowych słów*.

* W oryginale tytuł brzmi *Green Eggs and Ham*.

- A Jajek” i „mowy”?
- Co takiego?
- „Nie zjem tych jajek, nie ma mowy”. Po dwie sylaby.
- Och. Musiałem źle usłyszeć.
- Mama umie świetnie udawać głosy.

Mike wziął się w garść i przeczytał pierwszą stronę. Więcej nie musiał, Kat już spała.

Strącił rzęsę z jej policzka. Przez jakiś czas siedział i obserwował, jak córka śpi, a równocześnie czekał, aż rozpuści się gruda w jego gardle.

Ostatecznie wziął torbę pełną gotówki i przemknął się cicho do sąsiedniego pokoju, a potem zamknął za sobą drzwi. Wyregulował dźwięk w odbiorniku niani, który przypiął sobie do paska, aż wychwycił nieśmiały oddech dziewczynki. Uchylił żaluzje na centymetr, obrócił krzesło i przez dobre pół godziny siedział na nim niemal bez ruchu, trzymając stopy na chybotliwym kaloryferze pod oknem.

Wreszcie dostrzegł reflektory mustanga błyskające w szybie; penetrujące promienie musnęły żaluzje i oświetliły jego twarz. Wstał i otworzył drzwi, zanim Shep zdążył zastukać. Przyjaciel miał na ramieniu plecak w maskującym kolorze khaki.

Mike wyrzwał w noc.

- Nikt za tobą nie jechał? – upewnił się.
- Nie.

– Skąd wiesz?

– Po prostu wiem. – Obejrzał pokój; najpierw popatrzył na ciemny pasek pod drzwiami łazienki, potem powiódł wzrokiem po wewnętrznych drzwiach, aż zatrzymał spojrzenie na niani przypiętej do paska Mike'a. Pokiwał krótko głową, szybko pomyślał i podjął: – Hank chce cię widzieć osobiście. Musi się upewnić, że nie wlecze za sobą ogona, ale powinien tu być w ciągu kilku godzin.

Shep wyrzucił zawartość plecaka na łóżko. Mydło, maszynka do golenia, szczoteczka, kobiecy dezodorant – Mike zakładał, że przyjaciel kupił go dla Kat, chociaż dziewczynka była za mała i jeszcze przez kilka lat nie będzie go potrzebowała – oraz zestaw kart telefonicznych Safeway.

– Karty prepaid przechodzą przez centralne biuro obsługi, więc nie można ich wyśledzić.

Sięgnął pod koszulę i wyjął zza paska rewolwer Smith & Wesson .357, niemal identyczny z tym, który Mike zostawił w domu – różnił się tylko czarną gumą na uchwycie. Mike przez moment wpatrywał się w broń, potem wziął ją od przyjaciela.

Shep wyciągnął się na łóżku i zamknął oczy.

Mike przełożył gotówkę z czarnej winylowej torby do plecaka. Wrócił do pokoju numer dziewięć, przysunął krzesło do łóżka i usiadł przy córce, która leżała szczelnie owinięta śpiworem. Jej plecy unosiły się i opadały, a każdemu oddechowi towarzyszył cichutki świst. Mężczyzna poczuł, że stres, który odczuwał, nieco opada. Przełknął ślinę, dość głośno ze względu na suchość gardła.

Spojrzał w dół i uprzytomnił sobie, że dłoń zaciska na uchwycie rewolweru.

31

W kostnicy pachniało nienaturalną czystością. William szedł korytarzem, wyraźnie powłócząc nogami; podeszwy jego butów skrzypiały na kaflowej podłodze. Nie mógł znaleźć windy i zmęczył się, schodząc schodami do suterenu.

Czekało na niego dwoje policjantów i koronerka – stali przed szybą panoramiczną zasłoniętą od środka ciemną kotarą. Wielki gliniarz teatralnym gestem pokazał mu odznakę.

– Jestem śledczy Markovic. To moja partnerka. I pani koroner. – Wszyscy skinęli z zakłopotaniem głowami. – Przykro mi – ciągnął Markovic. – W takiej sytuacji zawsze trudno powiedzieć coś pomocnego.

– Tak – zgodził się William. – Zawsze.

– Kiedy po raz ostatni widział pan brata? – spytała ciemnoskóra funkcjonariuszka.

– Kilka miesięcy temu.

– Co tu robił?

– Hanley nigdzie nie zagrzał długo miejsca.

– Jakie to szczęście, że był pan akurat w okolicy.

– Byłem w San Diego w interesach. Przyjechałem od razu po naszym telefonie.

Znaleźli numer jego telefonu komórkowego w portfelu Hanleya. Bracia nosili swoje numery na wypadek niebezpieczeństwa od dnia, w którym stali się nieuchwytni; dom i ziemia były wciąż zapisane na panińskie nazwisko babci, do którego radośnie wróciła po śmierci męża,

zmarłego z powodu marskości wątroby.

Telefon od policji, chociaż straszny, nie zaskoczył go. Od razu wiedział, że coś jest nie w porządku, ale ponieważ na miejsce przestępstwa jechały wozy policyjne, a on nie miał wiadomości od Hanleya, razem z Dodge'em musieli czekać w furgonetce kilka przecznic dalej i nie mieli wielkiego wyboru.

– Znaleźliśmy ciało pańskiego brata w tamtym domu. Razem z poważnie raną kobietą, Annabel Wingate. Wie pan coś o jego związku z nią?

– Z Hanleya zawsze był pies na baby – odpowiedział William.

Policjantka głośno odchrząknęła, co chyba wskazywało, że nie była zaskoczona.

– Czy ona umarła? – spytał William. – Ta ranna kobieta?

– Jest w stanie krytycznym.

William podrapał się po kilkudniowym zarostcie na szyi, a chrobotanie głośno rozbrzmiało w małym pomieszczeniu o betonowych ścianach.

– Hm – mruknął.

Markovic kiwnął głową koronerce, która też odchrząknęła, ale raczej nerwowo. Była atrakcyjną kobietą, blondynką.

– Nacisnę ten guzik i zasłona się uniesie. Ciało leży wewnątrz na stole. Chcę pana zawczasu ostrzec, że był duży uraz głowy, więc...

– Niech pani już naciska – uciął William.

Kobieta posłuchała i zasłona się podniosła. Na stole leżał Hanley, na plecach, niczym jakieś uroczyste danie. Od szarej skóry odbijał się blask nierdzewnej stali. Ciało przykryto zielonym brezentem, który sięgał od stóp aż do piersi. Chociaż jego głowę ułożono we właściwej pozycji, wyglądała paskudnie, jak gdyby została oderwana, a później niezbyt precyzyjnie przytwierdzona. Lewa strona twarzy była wklęsnięta, ciało zwisało z kości niczym zbyt duży pergamin.

William wyciągnął rękę i dotknął koniuszkami palców chłodnej szyby. Chociaż Boss Man potwierdził wcześniej śmierć Hanleya, William zdał sobie sprawę, że wcale w nią nie uwierzył, roił sobie, że zaszło nieporozumienie. Minęła chwila, zanim odzyskał głos.

– Tak, to Hanley.

– Przykro mi z powodu śmierci pańskiego brata – powiedział Markovic.

– Chcę go dotknąć.

– Proszę wybaczyć – wtrąciła Elzey – ale trwa dochodzenie...

William chwiejnym krokiem podszedł do drzwi.

– Chcę go dotknąć – powtórzył. Głos mu drżał.

Czekał przy drzwiach przygarbiony, wzruszający, ze spuszczonym wzrokiem.

Milczenie było ogłuszające.

– Może... – zaproponowała w końcu koronerka – ...mógłby założyć lateksowe rękawiczki...?

Podsunała mu pudełko, William wyjął parę i wszedł do środka. Temperatura była tu co najmniej o siedem stopni niższa, pachniało środkiem dezynfekującym, a przy tym metalicznie i piżmowo. William miał wrażenie, że zapachy od razu wtargnęły mu do płuc. Dwoje funkcjonariuszy i koronerka trzymali się w pełnej szacunku odległości, jeśli patrzeć przez szybę, jak ktoś żegna zmarłego, można w ogóle nazwać pełnym szacunku. William odwrócił się do nich plecami, przesłaniając im widok, i zdjął jedną rękawiczkę. Wyciągnął dłoń i pewnym ruchem przyłożył ją do policzka kochanego młodszego brata. Nigdy nie przedstawiało go zdumiewać, jak pozbawione życia jest ciało martwego człowieka.

– Hanley – wyszeptał.

Opuścił bratu powieki, potem znów wsunął dłoń w rękawiczkę.

Wyszedł, bez słowa minął troje ludzi i ruszył z mozołem korytarzem. Wchodząc na schody, oblał się potem. Ręka na poręczy drżała artretycznie. Szarpnął nogawkę spodni, jakby dzięki temu miał wspinać się szybciej.

Gdy znalazł się na zewnątrz, przez chwilę stał i pozwalał, by nocny wiatr owiewał mu twarz i wpadał przez usta i nos, aż do płuc, wypędzając wszystkie wstrętne zapachy. Dodge czekał w furgonetcie, ręce trzymał na kierownicy i gapił się przed siebie równie intensywnie jak podczas jazdy.

William wyteżył siły i wdrapał się na siedzenie pasażera, po czym

opuścił okno. Sięgnął po leżącą na tablicy rozdzielczej torebkę z ziarnami słonecznika, lecz po chwili zrezygnował. Dodge wsunął sobie w usta dwa papierosy, wyjął tanią plastikową zapalniczkę z kieszeni na piersi rozpiętej koszuli i zapalił oba. Jednego podał Williamowi, który wziął go roztrzęsioną dłonią. Zaciągnęli się i wypuścili dym. William stukał jednym żółtawym paznokciem o drugi. Przetarł oczy i w końcu z uwagą spojrzął na Dodge'a.

Kiwnął mu głową.

– Jak go dopadniemy – odezwał się – poświęcimy mu trochę czasu. Dodge wrzucił wsteczny bieg i zaczął cofać furgonetkę.

– Jasne, że tak.

Jeszcze dziesięć minut później William nie mógł się całkiem pozbyć odoru z płuc, chociaż pędzili autostradą z otwartym oknem i wiatr wiał mu prosto w twarz.

32

Mike otworzył drzwi, drugą ręką wycierał mokre po prysznicu włosy. Kat nie spała, leżąc w ciemnościach, ścisnęła poduszkę. W majonezowej folii wyglądała na białowłosą.

– Nie wiedziałam, dokąd poszedłeś.

Wskazał na przypięty do biodra odbiornik niani, który uspokajająco szumiał.

– Pilnuję cię, kochanie. – Gestem wskazał drzwi do przyległego pokoju. – I Shep jest tutaj.

Jej twarz odrobinę się rozchmurzyła.

Shep czekał na zaproszenie Mike'a, a gdy ten dał mu znak, stanął w wejściu.

– Co z twoją głową?

– Wszy. – Skrzywiła się. – Wiem.

Shep zniknął na moment i wrócił z kosmetyczką, tą samą, którą miał od dzieciństwa. Pogrzebał w środku, wyjął maszynkę do strzyżenia i rzucił ją Mike'owi.

– Nie. – Mike odsunął maszynkę takim ruchem, jakby bez jego pomocy potrafił ściąć Kat włosy.

Przyjaciel uniósł ręce, jakby się poddawał, a później wszedł do pokoju i zajął fotel w narożniku.

Mike poruszył kilkakrotnie ustami, usiłując wyrazić wdzięczność, ale Shep tylko zamachał ręką.

– Rób, co masz robić – uciął.

Mike wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi.

■ ■ ■

Kat obudziła się w ciemnościach z krzykiem.

Shep nie poruszył się w fotelu.

– Hej, nic ci nie jest? – spytał tylko.

– Gdzie tatuś?

– Rozmawia z jednym facetem w pokoju obok. Spałaś tylko kilka minut.

– Ten facet nam pomoże?

– Pewnie, że tak.

– Widziałeś ją? – spytała Kat.

– Tak.

– Jak wyglądała?

– Jest kredowo biała. Spokojna.

– Czy ona umrze?

– Nie wiem.

Dolna warga dziewczynki zaczęła drgać, lecz zacisnęła na niej zęby zdecydowanym ruchem.

– Możesz... możesz mnie przytulić?

– Nie robię takich rzeczy – powiedział Shep.

Kat opadła z powrotem na łóżko i zwinęła się w kłębek. W ciągu paru sekund znowu spała. Jej małe ciało gwałtownie się poruszało, powieki trzepotały. Shep wstał z fotela i przeszedł powoli przez pokój. Stał nad małą, która trzęsła się jeszcze bardziej, więc wyciągnął dużą rękę i położył na jej plecach.

W jednej chwili się uspokoiła.

■ ■ ■

Na oknie, obok twarzy Mike'a, wylądowała ćma i rozłożyła skórzaste skrzydełka. Deszcz zaczął kropić, a po chwili brzdąkanie o dach motelu zmieniło się w ciągłe bębnienie. Gdy Mike zasypiał, ze snu wyrwał go warkot silnika podjeżdżającego oldsmobile'a Hanka.

Kiedy otworzył drzwi, detektyw natychmiast zanurkował do pokoju, jednocześnie zdejmując rękawiczki do jazdy; cały ociekał deszczówką.

– Pada, jakby ktoś szczyzny wiadrami wylewał.

Deszcz zacinał na wietrze, rozmazując widok ulicznych latarni. Znad

masek pracujących na jałowym biegu samochodów unosiła się para. Na wschodnim horyzoncie płonął ciąg słomkowych świateł, przerwany tylko przez masywną bryłę budynku Universal City. Mike długo patrzył przed siebie, aż w końcu zamknął drzwi.

Hank otrzepał płaszcz i spodnie; wielkie krople spadły na dywan z cichym kapnięciem.

– Przykro mi z powodu Annabel. Wiesz, że nie mogłeś zrobić nic więcej ani postąpić inaczej.

– Czy to kiedykolwiek jest prawda?

Detektyw w zadumie przesunął dłoń po żuchwie, a później podrapał się po łydce.

– Zidentyfikowali już napastnika? – spytał Mike.

– Hanley Burrell.

Mike przypomniał sobie, jak patrzył na drania z drugiego końca kuchni. Nieogolony policzek, plecy garbiące się nad Annabel, palce oblesnie obmacujące ramięczko jej stanika. Do kogoś takiego nie pasowało żadne nazwisko. Ktoś, kto nosi nazwisko, jest człowiekiem, kimś prawdziwym, a tamten wydawał się tylko istotą, która wypełzła z koszmaru. Więc co za różnica, jak się nazywał.

– Skąd był?

– Nie mam adresu. Przypuszczam, że był przejazdem.

– Ma brata Williama?

– Rzeczywiście, ma.

– Niech zgadnę, jego adresu też nikt nie zna.

– Nie. Ostatnie znane miejsce zamieszkania to Redding, dwa lata temu.

Mike wypuścił powoli powietrze, próbując zebrać myśli.

– Na północ od Sacramento, na pustkowiu? Redding?

Kiwając głową, Hank zaczął kaszleć; kaszel był suchy, a atak trwał długo i pozbawił go tchu. Na moment głowa mu opadła, lecz przesunął tylko dłoń, przyklepując do czaszki kilka rozsypanych kosmyków, po czym znów się wyprostował i przybrał swoją typową dumną postawę. Ale nadal wyglądał wątłe i krucho jak szyja noworodka.

– Słuchaj – zaczął Mike – wiem, że to pewnie ostatnia rzecz, jakiej

w tej chwili potrzebujesz...

Ale Hank nie zamierzał odbiegać od głównego tematu.

– Jest więcej nowin – przerwał Mike'owi. – Ten William ma grubą kartotekę policyjną, jak pewnie się domyślasz, i często współpracuje z podobnymi sobie draniami. Jego najlepszym kumplem jest niejaki Roger Drake, prawie dwumetrowy facet, silny, szybki i szalony.

– Nasz Dodge.

– Zgadza się. Kiedy gliniarze przeszukali kwartał wokół twojego domu, nie znaleźli żadnego pojazdu zarejestrowanego na Hanleya. Więc ktoś podrzucił go pod twój dom.

– Albo przyjechał z Rickiem Grahamem. Tym gliniarzem, którego...

– Tak, Shep mi o nim wspomniał. – Hank zrobił wdech, a potem się skrzywił. – Kiedy przyjechała karetka i policja, podobno w budynku nie było nikogo żywego poza Annabel. No i żaden Rick Graham nie pracuje dla żadnej agencji w naszym hrabstwie.

– Sprawdzisz inne hrabstwa?

– Wiesz, od wybrzeża do wybrzeża jest ich strasznie dużo. Czy odznaka mogła być fałszywa?

– Nie, zresztą miał rządowy wóz, z oznaczeniem. Poza tym wiem, co mówię, znam się na tym. Ten facet na sto procent był gliniarzem. Chodził jak gliniarz, gadał jak gliniarz... nie mógłby tak udawać.

Hank spojrział w sufit i prawie przewrócił oczami. Na stojąco trochę się chwiał. Mike wiedział, że detektyw powinien usiąść, ale był zbyt dumny, żeby spytać, a on sam za bardzo skupił się na sobie i swoich sprawach, żeby to zaproponować.

Usiadł teraz na łóżku i dał Hankowi znak, a ten z grymasem opadł na fotel. Wysiłek znów na chwilę pozbawił go oddechu. Gdy mrugał, jego powieki poruszały się niemrawo. Jakie leki musiał wziąć, żeby tu przyjechać? Żeby po prostu utrzymać się na nogach? Fala wdzięczności zalała Mike'a. Chciał to jakoś wyrazić, ale Hank, jakby czytając mu w myślach, zamachał dłonią na znak, żeby kontynuował. Był to gest jednoznaczny, krótki, pełen irytacji.

Więc Mike mówił dalej.

– Myślę, że ten Graham ich zabezpiecza, zwracają się do niego, gdy sytuacja robi się kłopotliwa i muszą wkroczyć władze. Właśnie dlatego wtedy wszedł on, a nie Dodge czy William. W dodatku mógł przechwycić moje zgłoszenie, gdy zadzwoniłem na policję.

– Skoro jest prawdziwym gliniarzem, dlaczego odjechał, zanim przyjechała reszta? – spytał Hank. – Albo... Dlaczego cię po prostu nie zastrzelił i nie napisał fałszywego raportu?

– Może zamierzał to zrobić po przeszukaniu domu. Pewnie oceniał, czy uda mu się to załatwić szybko, łatwo i czysto. Gdyby ktoś go tam zastał, jakoś by się wyplątał. Ale gdyby zdołał wymknąć się niezauważony, jeszcze lepiej.

Hank zmarszczył brwi i popatrzył na Mike'a sceptycznie.

– Gliniarz egzekutor? Na dodatek w parze z takim śmieciem jak Hanley Burrell?

– Myślę, że właśnie Graham mógł uruchomić alarm w mojej sprawie.

– Więc pierwotny plan był taki, że Hanley wchodzi sam i wykonuje całą brudną robotę?

– Zakładam, że tak. Hanley rozwala drzwi, obezwładnia Annabel, zyskuje czas na przygotowanie pułapki, a później po prostu na mnie czeka. Kiedy wracam do domu z... – Mike nerwowo postukał palcami w odbiornik niani przy pasku. – Kiedy wracam do domu z Kat, wykorzystuje moją żonę i córkę, żeby wydobyć ze mnie to, czego... czegokolwiek, do diabła, ode mnie chcą. Potem mnie sprząta. – Przypomniał sobie płachtę zwiniętą na podłodze salonu. – Wtedy Annabel i Kat byłyby świadkami... – Odsunął od siebie tę myśl. – Ale Hanley nie poradził sobie z moją żoną i nie miał wszystkiego pod kontrolą, gdy wróciłem do domu.

Za cienką ścianą rozległ się płacz. Kat! Mike napiął wszystkie mięśnie.

– Idź – powiedział Hank.

Mike pospiesznie przeszedł do pokoju obok, pogłaskał córkę, aż się uspokoiła, a potem wrócił. Shep podążył za nim. Założył ramiona na piersi i oparł się o komodę.

– Shep, jak sądzę? – spytał Hank.

Tamten kiwnął głową.

Hank odwrócił się do Mike'a.

– Słuchaj – zaczął. – Jestem drugorzędny detektywem, jedną nogą w grobie. Ale co nieco wiem. – Podniósł dłoń, rozsunął kciuk i palec wskazujący na mniej więcej centymetr, pokazując, jak niewielkie są jego kompetencje. – W przypadku takich głównianych spraw mogę powiedzieć ci jedno: im dłużej zwlekasz, pozostawiając sprawy własnemu tokowi, tym trudniej będzie ci wrócić.

– Wrócić? Dokąd? – spytał Mike.

– Zdaje mi się, że zostawiłeś za sobą zwłoki i ciężko ranną żonę, uciekasz przed policją z dzieckiem i wyciągnąłeś z banku pół miliona.

– Trzysta tysięcy.

– Och, no tak. Drobiazg.

– Nie jest tak, jak myślisz – jęknął Mike.

– Nie mówiłem ci, co myślę.

Tym razem Mike nie odpowiedział.

– Każda mijająca godzina sprawia, że wyglądasz bardziej podejzanie – naciskał detektyw. – Zachowujesz się jak wytrawny przestępca. – Obrzucił spojrzeniem Shepa. – Nie gniewaj się.

Tamten wzruszył ramionami.

– Nie gniewam.

– Jeśli nadal będziesz się ukrywał, oczernią cię, oszkalują – ciągnął Hank. – Stracisz kontrolę nad faktami i kierunkiem, w którym potoczy się śledztwo.

– Mówisz jak gliniarz – wytknął mu Shep.

– Synu – odpowiedział Hank – nie mogę już przejść z własnego łóżka do toalety bez utraty tchu. Jestem zbyt zmęczony, żeby brać czyjąś stronę. – Przeniósł uwagę z powrotem na Mike'a. – Chcę ci pomóc. Być może potrzebuję czegoś, żeby nie myśleć o sobie. Może chodzi o coś więcej niż o oderwanie uwagi. Do diabła, jeśli mogę zrobić tę jedną rzecz, zanim... – Wydał odgłos świadczący o tym, że śmieży go własne szaleństwo, a Mike nie potrafił powstrzymać myśli, czy niezłomność Hanka wiąże się ze starą szkolną fotografią chłopca przypiętą pinezką do

ściany w biurze detektywa. – Spędzam swoje dni – podjął Hank – gapiąc się w otwór lufy. Widzę teraz wszystko z pewną klarownością. Myślę, że nazywa się to perspektywą. – Mike próbował mu przerwać, ale stary detektyw podniósł rękę, nie dopuszczając go do głosu. – W tej chwili jesteś tylko uczestnikiem zdarzenia, jeszcze nie podejrzanym. Nie zostałeś o nic oficjalnie oskarżony. Masz jeszcze małą furtkę, żeby się wycofać. Sytuacja jest trudna, a ty nigdy nie wydawałeś mi się kimś, kto chce słyszeć tylko to, co wypada. Więc powiem ci, jak to wygląda. Opuśćmy też urazę i emocje, ponieważ nie ma na to czasu. Mówi się o niewierności, że może wszedłeś i zastałeś żonę... – Wykonał ręką odpowiedni ruch. – Domyślasz się, jak rozwinie się ten scenariusz. Od razu będziesz wyglądał na winnego. Nawet twoje nazwisko: Michael Wingate. Stworzyłeś fałszywą tożsamość...

– Nie – odparł ostro. – Nigdy nie byłem Mikiem Doe'em. Fałszywą tożsamość pozostawiłem za sobą.

– Jeśli cię oskarżą o napaść na żonę...

– Oskarżą mnie?!

– Jeśli cię o to oskarżą, mogą odebrać ci prawo do decydowania o jej leczeniu. Kto wtedy będzie decydował za Annabel? I co zrobisz z Katherine? Wychowasz ją, uciekając po kraju? Jak Bonnie i Clyde jadający fasolkę z puszki i parówki pod otwartym niebem? Taka zabawa ci się nie uda, nie w dzisiejszych czasach. Na pewno nie uda się to człowiekowi, który ma ze sobą dziecko. Musimy znaleźć kogoś, komu zaufamy, i oddasz się do dyspozycji władz.

– To kiepski pomysł – oświadczył Shep.

Hank odwrócił się gwałtownie i wpatrzył w tamtego.

– Nie wariuj, synu. Nie jesteście wy dwaj przeciwko światu.

– Może tak być – odpowiedział Shep. – Mike zabił brata tego faceta, a już wcześniej nie byli dla niego szczególnie mili.

– Masz rację. To jest najgorsze. Zaczął się sezon na polowanie, a tamci nie mają ze sobą małej dziewczynki, która ich spowalnia.

– Sezon na polowanie – powtórzył Shep. – Podoba mi się to.

Detektyw zapatrzył się na Mike'a, jak gdyby on to powiedział.

– Więc jak? Zamierzasz ich tropić? Z ośmiolatką u boku?

Mike odwrócił wzrok, lecz niespokojnie poruszył się na łóżku.

– Ona jest nad wiek dojrzała – wtrącił Shep.

– Ale William Burrell i Roger Drake wcale nie są dziećmi. I wiecie co? Mają w takich sprawach więcej doświadczenia. – Hank westchnął ciężko. – Policja chroniłaby ciebie i twoją córkę lepiej niż ty sam, tutaj.

– O ile nie trafię na policjantów współpracujących z Grahamem. Bo wtedy ja i Kat pójdziemy prosto w paszczę lwa. Nie mogę chronić córki, siedząc w areszcie.

– Nie wszyscy gliniarze są skorumpowani – powiedział detektyw ze znużeniem w głosie. Uniósł brew i pokryta przebarwieniami skóra nad jego skronią się zmarszczyła. Wyglądał krucho, jak gdyby jego ciało miało się roztrzaskać, kiedy tylko ktoś obrzucił je niewłaściwymi słowami. – O ósmej muszę spotkać się z lekarzem. Jeśli później dasz mi kilka godzin, znajdę ci posterunek z uczciwymi gliniarzami, którzy będą cię chronić niezależnie od alarmów.

– Widziałem, jak pewien gliniarz wrócił po przeszukaniu sypialni Kat w lateksowych rękawiczkach, trzymał broń nie do namierzenia – obruszył się Mike. – W dodatku moja córka jest świadkiem. Widziała tamtych dwóch.

– Podobnie jak wszyscy, którzy w noc rozdania nagród byli w tamtym klubie – odrzekł Hank. – Słuchaj, cała sprawa nie rozegrała się po ich myśli. Kat, jak do tej pory, nie widziała jeszcze niczego, co by ich obciążało. Nadal możesz ją z tego wszystkiego wyciągnąć.

– Nie z tymi facetami. Już raz użyli jej jako przynęty.

– A może odwieź ją do teściów. Do dziadków?

Na tę myśl Mike oniemiał, przełknął ślinę, żeby zwilżyć gardło.

– Nie umieliby jej chronić.

– A co z Annabel? – Hank wstał i wyszarpnął z kieszeni rękawiczki.

– Myślisz, że wykorzystają ją, żeby do ciebie dotrzeć?

– Tak – odpowiedział mu Shep. Spojrzał na zegarek. – Za godzinę zmienia się personel. Muszę wracać do szpitala.

Przeszedł przez pokój i otworzył frontowe drzwi, wpuszczając nieco jasnoszarego światła. Był najbardziej ponury moment poranka.

Hank dołączył do niego przy drzwiach. Żaden nie przepuścił dru-

giego, więc na chwilę powstał zator. Hank przepchnął się w końcu pierwszy, wyszedł na chodnik i się odwrócił. Spoglądał wciąż na Shepa, chociaż zwracał się do Mike'a.

– Zadzwoń do ciebie za sześć godzin, podam ci nazwisko i posterunek – powiedział.

Shep udał, że go nie usłyszał.

– Nie ufaj gliniarzom – ostrzegł Mike'a.

Kiwnął uprzejmie głową i Hank odsunął się na bok, żeby Shep mógł przejść.

Samochody czekały na nich na przeciwległych końcach parkingu. Rozeszli się więc i rozjechali w deszcz i nadciągającą burzę. Jeszcze długo potem Mike stał w drzwiach.

33

– Proszę popatrzeć. Proszę tu podejść. – Czarne włosy doktor Cha przesłoniły jej twarz, kiwnęła na Shepa, pochyliła się nad Annabel i dwoma kłykciami mocno potarła jej klatkę piersiową.

Nadal nieprzytomna, Annabel poruszyła się na łóżku i skrzywiła. – Sprawdzam reakcję na ból poprzez ucisk mostka – ciągnęła lekarka. – Skóra jest tu cienka, kość tuż pod nią, chorzy mimowolnie cofają się przed naciskiem. Jeśli reagują.

Oddział intensywnej terapii zajmował wschodnie skrzydło parteru, toteż poranne słońce zalewało teraz małą dwuosobową salkę. Drugie łóżko było wolne, więc zasłonę rozsunięto i obok Annabel było więcej miejsca.

– Niech pan popatrzy na to – dodała doktor Cha.

Shep spojrział na nią, ich twarze były blisko siebie. Kobieta, intensywnie przyglądając się Annabel, szczypała teraz opuszkę jej palca. Ręka Annabel zadrgała. Lekarka z podziwem przyglądała się jej dłoni.

– Cholera, czy to nie jest najpiękniejsza rzecz na świecie?

– Piękna – przyznał Shep.

Doktor Cha wyprostowała się, a on zrobił krok w tył. Odchrząknęła i poprawiła okulary w drucianych oprawkach. Znów zachowywała służbowy dystans.

– Annabel oddycha już częściowo sama, co również jest ważne. Aparatura jest ustawiona na czternaście oddechów na minutę, ale ona bierze szesnaście. Jak tak dalej pójdzie, do południa będziemy mogli ją ekstubować. – Przekrzywiła głowę. – Skąd taka mina? To dobra wia-

domość.

- Pewni ludzie przyjdą tu ją zabić – wyjaśnił Shep.
- Zabić ją? Jacy ludzie?
- Ci, przez których tutaj trafiła. Będą chcieli dokończyć robotę.
- Mamy w szpitalu bardzo dobre zabezpieczenia. Nie każdy może wejść do sali pacjenta. – Wzdrygnęła się, gdy Shep nic nie odpowiedział.
- Nie ufa pan naszym strażnikom.
 - Nie.
 - Więc nie jest tak, jak twierdzi policja? Nie mąż jej to zrobił?
 - Nie.
 - Skąd pan to wie?
 - Wiem – uciął Shep.
 - I dlatego pan tutaj jest? Żeby powstrzymać tych, którzy pana zdaniem na pewno tu przyjdą?
 - Tak.
 - Naprawdę pan wierzy...
 - Możemy ją przewieźć do innego szpitala? Do jakiegoś nieznanego miejsca?
 - Nie. Jej stan jest za mało stabilny. Ciśnienie krwi się waha. Poza tym na razie przecięcie w tętnicy ładnie się zasklepia, a pod wpływem ruchu mogłoby znów się otworzyć.
 - Czy mąż może zażądać, żeby została przewieziona? Ma coś do powiedzenia w sensie prawnym?
 - Jest pan naprawdę oddanym przyjacielem – zauważyła. – Ale nie, nie pozwolę jej przenieść. Dopóki jej stan się nie ustabilizuje.
 - Czyli po południu, kiedy zdejmiecie ten... respirator?
 - Raczej za tydzień.
- Zanim doktor Cha zdążyła coś jeszcze powiedzieć, otworzyły się drzwi i do sali energicznie weszli Elzey i Markovic. Towarzyszyła im siostra Annabel, grubokoścista atrakcyjna kobieta imieniem June. Gdy szła, obszerna torebka obijała jej się o biodro. Zatrzymała się kilka kroków od łóżka, niecierpliwie, żeby zobaczyć siostrę. Szybko jednak odzyskała zimną krew i dokonano prezentacji.
- June skupiła uwagę na Shepie.

- Kim on jest? Kim jesteś?
- Nazywam się Shep – odparł.

Popatrzyła na doktor Cha.

- Nie jest członkiem rodziny.

Doktor Cha postukała w kartę pacjenta, którą miała pod pachą.

- Powiedziano mi, że jest krewnym ze strony męża...
- Mąż Annabel nie ma żadnych krewnych!
- Jesteśmy przybranymi braćmi – wytłumaczył Shep.

June lekko rozdziawiła usta.

– Sądziłam, że przywileje rodzinne należą się tylko prawdziwej rodzinie.

– Prawdziwa rodzina – powtórzyła spokojnie doktor Cha – obejmuje też przybrane rodzeństwo. Taką mamy politykę...

– Biorąc pod uwagę, co tutaj się dzieje, dlaczego w ogóle dopuszcza pani do mojej siostry osoby związane z Mikiem?!

– A co się tutaj dzieje? – spytała doktor Cha. Czekala, milczenie się przeciągało. – Nie wiedziałam, że postawiono komuś zarzuty.

June obrzuciła Shepa piorunującym spojrzeniem.

- Pozwolisz, że pobędę z siostrą sama?
- Co? – spytał Shep.
- Czy pozwolisz, żebym... pobyła... z siostrą sama?

Shep wyszedł na korytarz, za nim funkcjonariusze.

– Więc jak – zagaił Markovic – byłeś blisko z panią Andrews?
– Z kim? – spytał Shep.
– Z Annabel – odparła Elzey. – To jej panięskie nazwisko. Które zapewne znasz, skoro jesteście sobie tacy bliscy.

– Tak – mruknął Shep. – Jasne.

Stojąca kilka metrów dalej doktor Cha zanotowała coś w karcie pacjentki, a później wsunęła ją w akrylową ramkę zamocowaną na drzwiach. Śledczy nawet nie starali się ściszać głosów.

– Shepherd White. Kasiarz. Kradzieże z włamaniem. Niezły z ciebie celebryta. – Markovic wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Jesteś we wszystkich bazach danych.

– Ale nie jestem poszukiwany – odpowiedział Shep.

- Obecnie – dorzuciła Elzey.
- Pozwolisz, że cię zrewidujemy? – spytał Markovic.

Shep wyciągnął przed siebie rękę. Markovic obrócił go, pchnął lekko brzuchem do ściany, a potem przesunął dłońmi po jego kostkach, łydkach i udach.

– Nie wiesz przypadkiem, gdzie twój drogi przybrany brat obecnie przebywa?

Shep odwrócił się, doprowadził do porządku ubranie i ponad ramieniem Markovica serdecznie pokiwał doktor Cha.

– Nie.

– Jak będziesz z nim rozmawiał, powiedz mu, że jeśli wkrótce się nie zjawi, zostanie oskarżony o zamordowanie Hanleya Burrella i o próbę zabójstwa Annabel Wingate. Ojciec Annabel już wszczął procedurę pozbawienia twojego koleśa pełnomocnictwa medycznego. Żaden sędzia nie utrzyma w mocy pełnomocnictwa faceta ściganego przez prawo. Nie może sprawować kontroli nad życiem kobiety, którą wpędził w śpiączkę.

– Mike jej w nic nie wpędził. I nie jest ścigany.

– Sprawdź jutro rano – odrzekł Markovic. – Jutro będzie człowiekiem ściganym przez policję.

34

Kat w zmiętej pościeli szklстым wzrokiem oglądała kreskówki. Nieprzytomnie pocierała kciukiem grzbiet Śnieżki Drugiego, jakby był talizmanem w rodzaju króliczej łapki. Mike starał się zrobić jej ładną fryzurkę, ale kosmyki zwisały, a kitka była przekrzywiona. To była jedna z tych rzeczy, których nigdy nie potrafił się nauczyć.

- Tęsknię za szkołą.
- Wiem.

Mike przysunął sobie fotel i usiadł, łokcie wsparł na kolanach i patrzył na telefon.

- Tęsknię za słońcem.
- Ja również.
- Tęsknię za moim łóżkiem.
- Wiem.
- Tęsknię za mamą.

Mike otworzył usta, ale z jego gardła nie wydobył się żaden dźwięk.

Kat miała tę samą obojętną minę co ostatnim razem, gdy na nią spojrzał. Nagle zadzwonił telefon, więc oderwał spojrzenie od córki i złapał za słuchawkę.

– Będziemy się trzymać z dala od biura szeryfa – oznajmił Hank – bo wiemy, że dla tamtejszych śledczych jesteś podejrzany. Ale znalazłem ci kogoś w Policji Los Angeles. Sprawa staje się głośna i liczę na to, że jeśli się do nich zgłosisz, policja zechce zatrzymać ją w swojej jurysdykcji. Mają więcej ludzi niż biuro szeryfa.

- Kogo tam masz?

– Jasona Cayanne'a, jest szefem posterunku w Północnym Hollywood.

– Mogę mu zaufać?

– Mike, ten facet cię wysłucha. To najlepsze, co możesz w tej chwili dostać. A jeśli nie skontaktujesz się z władzami w ciągu doby, możesz liczyć najwyżej na czystą celę.

– Muszę wiedzieć, że ochronią Kat.

– Policja Los Angeles ochroni ją lepiej niż ty.

Pożegnali się i Mike przez moment przyciskał pięść do krawędzi biurka, aż zabolowały go kłykie. Potem odszukał batphone i zadzwonił do Shepa.

– Jak ona się czuje?

– Jest trochę lepiej. Porusza się i reaguje na ból. Lekarka wygląda na podnieconą postęпами.

– Porusza się? Tak, to dobrze. I reaguje na ból.

Zdał sobie sprawę, że bełkocze, a jednocześnie zagryza kciuk.

– Ale jeszcze nie wyszliśmy na prostą. Sytuacja równie dobrze może się szybko pogorszyć.

Mike z trudem przełknął ślinę.

– Jest bezpieczna?

– Na razie jestem w pobliżu – ciągnął Shep – niestety, o ósmej kończy się czas odwiedzin.

– I co zamierzasz zrobić?

– Coś wymyślę.

– Okay. – Mike zrobił wdech. Wydawało mu się wprost niepojęte, że nie jest teraz u boku żony. – Możemy ją gdzieś przewieźć?

– Lekarka nie chce się zgodzić. Mówi, że stan Annabel jest niestabilny. Byli tu Markovic i Elzey. Powiedzieli, że jak nie ujawnisz się do jutra, oskarżą cię o morderstwo.

– Morde... – Zreflektował się w ostatniej chwili i ściszył głos. – Morderstwo? Bo zabiłem tego gnoja, który dźgnął moją żonę?

– O próbę zabicia Annabel też – dodał Shep. Mike poczuł falę wściekłości, ale zanim zdążył coś powiedzieć, przyjaciel dodał: – Mówią, że ojciec Annabel stara się przejąć twoje pełnomocnictwo me-

dyczne. Podobno ma je zaskarżyć czy coś... Tak czy owak, niedługo przylatuje.

– Więc będzie mógł wyrazić zgodę na każdy zabieg? – spytał Mike.
– Albo każe ją odłączyć, jak uzna, że nie ma nadziei? Nie może tego zrobić! Nie może.

– Ale próbuje.

Mike popatrzył na Kat, która wpatrywała się w ekran, a może kompletnie się wyłączyła. Na jej twarzy migotała łuna z telewizora, a na jej podbródku była czerwona smuga od soku owocowego. Ssała kciuk, chociaż pozbyła się tego nawyku cztery lata temu. Mike prawie się nią teraz nie zajmował. Jak mógł się nią zajmować, skoro uciekali, byli ścigani?

– Nie rób tego – powiedział Shep, jak gdyby czytając mu w myślach.

– W przeciwnym razie sytuacja tylko się pogorszy.

– Trafisz do więzienia – naciskał przyjaciel. – Bezbronny. A Rick Graham, William Burrell i Roger Drake pozostaną na wolności.

– Przykro mi.

Rozłączył się. Shep natychmiast zadzwonił, ale Mike nie odebrał, a później wyciszył dzwonek. Po chwili wstał i zaczął się pakować.

– Jedziemy gdzieś? – spytała Kat.

– Jeszcze nie wiem.

Załadowali toyotę i siedzieli na parkingu z włączonym silnikiem. Mike patrzył beznamiętnie przed siebie, przez brudną szybę, za którą trwało wczesne popołudnie. Przypięta pasami do fotela obok Kat pilnie mu się przyglądała; wyczuwał jej przenikliwe spojrzenie. Plecak z gotówką leżał u jej stóp jak burooliwkowa bryła. Śnieżka Drugi wystawał z jej piąstki, szklane oczy jakby czekały na ich następny ruch. Panika stanęła Mike'owi w gardle jak żółć, a jednak nie poruszył się, pozostał kompletnie nieruchomy, tylko grdyka przesuwiała się, ilekroć usiłował przelknąć nieprzyjemną grudę.

W końcu nad samochodem zawisła ciężka szarość popołudnia; zagłuszyła wszystkie emocje, aż Mike nie czuł już nawet strachu, tylko obojętność i ponury balast powietrza, którym oddychał.

– Co robimy, gdy jesteśmy przerażeni? – spytała po pewnym czasie córka.

Zajął mu długą chwilę, zanim zrozumiał, że stara się zainicjować grę w złego rodzica. Ale Mike nie miał siły się bawić.

– Nie wiem, Kat – odparł.

Ale ona nie ustępowała.

– Co robimy, kiedy jesteśmy przerażeni? – spytała z większym naciskiem.

Pomyślał o Annabel leżącej w szpitalnym łóżku, o długim ciemnym otworze pomiędzy jej zębami. I o córce, która teraz siedziała obok niego, chociaż powinna wrócić do normalnego życia, a on był bezsilny.

– Zwijamy się w kłębek i poddajemy – odparł.

Wrzucił bieg i ruszył w stronę posterunku policji.

■ ■ ■

Nie potrafił zapanować nad nerwami. Odkąd wszedł na posterunek Północnego Hollywood, był przekonany, że popełnia tragiczny błąd. Ale teraz było już za późno na wątpliwości.

Drgająca nad głową świetlówka wyglądała złowieszczo, nadawała korytarzowi brzydki jasnożółtawy odcień. Dyżurny nie przestawał przyglądać się Mike'owi i Kat, póki nie otworzyły się tylne drzwi i nie wyszedł z nich umundurowany policjant, który miał zrewidować Mike'a. Ten wiedział, że policjant niczego nie znajdzie, bo zostawił rewolwer i gotówkę w toyocie po drugiej stronie ulicy. Shep będzie mógł odebrać plecak, jeśli będzie potrzebował pieniędzy dla Annabel.

Z rękami na kontuarze i rozstawionymi szeroko nogami, Mike nie przestawał szeptać do Kat.

– Nie martw się, kochanie – mówił jej. – Wszystko będzie dobrze, wszystko będzie dobrze.

Dziewczynka trzymała misia tak kurczowo, jak gdyby to było koło ratunkowe.

Zanim funkcjonariusz skończył rewizję, pojawił się szef posterunku Jason Cayanne, prężny, energiczny mężczyzna, muskularny i z gęstym wąsem. Przepraszył za procedury. Nawet ukucnął przed Kat i powiedział, że cieszy się z jej wizyty.

Zaprowadził ich na piętro, a później wiódł korytarzami wśród licznych pomieszczeń. Poruszał się lekko niczym tancerz, a może bokser. Sposób, w jaki pokonywał zakręty – elegancko, na palcach – sugerował byłego wojskowego. Im bardziej oddalali się od schodów, tym większe Mike miał obawy. Stale musiał sobie przypominać, że nie powinien zbyt mocno ścisnąć rączki Kat, bo zrobi jej krzywdę. Córka szła u jego boku, milcząca i ufna. Czy Mike, będąc tutaj, łamał obietnicę złożoną Annabel, że zabierze małą jak najdalej?

Cayanne szedł nieprzerwanie, nie dając Mike'owi odczuć, że zauważył pot kapiący z jego czoła. Wreszcie dotarli do gabinetu. Duże drewniane biurko, naprzeciwko niego dwa fotele, tablice Rotary Club, pasiasty sum przytwierdzony do kawałka drewna.

Dołączyli do nich dwaj funkcjonariusze. Mike patrzył z rezerwą od jednego do drugiego, szukając oznak zdrady. Usiadł w fotelu, posadził sobie Kat na kolanach i ochronnym gestem splótł dłonie na jej brzuchu.

– Podać panu kawę? – spytał Cayanne.

Mike pokręcił głową.

– Może byłoby lepiej, gdyby Katherine poszła z funkcjonariuszem Maxwelllem.

– Nie ma mowy.

Cayanne w zadumie przesunął koniuszkami palców przez gęsty jasny wąs.

– Musimy porozmawiać o miejscu zbrodni i według mnie lepiej dla niej, żeby nie słyszała szczegółów. A jeśli posadzimy ją tam... – wskazał przez szklane drzwi na przyległą kanciapę, z której korzystali policjanci – ...przez cały czas będzie ją pan widział.

Kat zaczęła ześlizgiwać się z jego kolan, ale Mike nie zwolnił uścisku.

– W porządku, tato – zapewniła go i uwolniła się.

Poszła do sąsiedniego pomieszczenia i ulokowała się w fotelu, skąd pomachała ojcu dla pokrzepienia. Cayanne czekał za biurkiem niczym uosobienie cierpliwości.

– Nieźle pan sobie poradził – zagaił. – Zupełnie pan zniknął.

– Ścigają nas pewni ludzie – wyjaśnił Mike. – Dwóch byłych kry-

minalistów, Roger Drake i William Burrell, brat mężczyzny, który pchnął nożem moją żonę.

Cayanne zapisał nazwiska w czarnym notesie.

- Brat mężczyzny, którego pan zabił.
- Tak – przyznał Mike.
- Nie rozumiem. Dlaczego pana ścigają?
- Nie wiem.

Kapitan podniósł głowę znad notesu i zapatrzył się na rozmówcę jasnoniebieskimi oczami. Przyglądał mu się przez jakiś czas, potem znów spuścił wzrok.

– Szuka mnie też przynajmniej jeden przedstawiciel prawa – dodał Mike. – Niejaki Rick Graham.

– Wydaje mi się, że wielu przedstawicieli prawa obecnie pana szuka.

– Rick Graham to co innego. Współpracuje z przestępcami. Poszukuje mnie dla nich.

Cayanne przestał pisać.

– Rick Graham, przedstawiciel prawa, współdziała z byłymi więźniami?

– Tak.

– Przestępcy i umoczeni gliniarze zawiązali przeciwko panu spisek, a pan nie ma pojęcia, dlaczego tak się uwzięli?

– Proszę posłuchać, wiem, jak to brzmi. Ale taka jest prawda, niech mi pan uwierzy. Nie mam pojęcia, dlaczego nagle stałem się ich celem, ale będę z wami współpracować i zrobię wszystko, co trzeba, aby dowiedzieć się, o co tu chodzi.

Cayanne odłożył długopis i oparł łokcie na skórzanej podkładce.

– A co w zamian?

– Potrzebuję ochrony dla mojej córki. I chcę zachować prawo do podejmowania decyzji w sprawie mojej żony, decyzji dotyczących jej leczenia. To wszystko, co mnie obchodzi, żona i córka, nic więcej. Rozumie mnie pan?

– Tak.

Ucisk w jego gardle zelżał trochę, jak gdyby ktoś poluznił mu krawat.

– Więc powierzę moją rodzinę pana pieczy. Będzie pan chronić moją żonę i córkę bez względu na to, co stanie się ze mną?

– Oczywiście, zapewnimy im bezpieczeństwo.

Mike poczuł, że jej kark prawie całkiem się rozluźnił. Opuścił ramiona, rozciągnął szyję aż do granic. Powoli zaczynał czuć ulgę.

Do biura wszedł Maxwell.

– Panie Wingate, telefon do pana.

– Telefon? Do mnie? Kto miałby wiedzieć, że tu jestem?

– Powiadomiliśmy szpital, że pan przyjedzie. Obawiam się, że właśnie stamtąd dzwonią. Chodzi o pańską żonę. Twierdzą... że sprawa jest pilna.

Wrócił strach, czysty i prosty.

Siedząca w przyległym pomieszczeniu Kat uspokajająco poklepywała Śnieżkę Drugiego, jej stopy dyndały kilka centymetrów nad podłogą. Usta poruszały się, ale minęła dobra chwila, zanim Mike pojął, że jego córka szepcze do misia:

– Wszystko będzie dobrze. Nic nam się nie stanie.

Kiedy Mike się odezwał, jego głos brzmiał jak krakanie wrony.

– Dobrze.

– Może pan odebrać przy moim biurku. – Maxwell wyciągnął rękę i wskazał swoje stanowisko pod przeciwległą ścianą.

Mike przeszedł przez pomieszczenie na sztywnych nogach. Do telefonu podłączono pięć czy sześć linii, ale mrugało tylko jedno światełko. Mike położył dłoń na słuchawce, wziął głęboki wdech i podniósł ją. Zbierając siły, odwrócił się do okna, żeby Kat nie widziała jego miny, gdy usłyszy wiadomość.

– Mówi Mike Wingate.

Za oknem, w dole, widział ogrodzony boczny parking zastawiony czarno-białymi wozami policyjnymi. Na widok czarnego mercury'ego niemal sparaliżowało go ze strachu, szyba zaparowała od jego wydechu. Drzwi mercury'ego były otwarte. Mike rozejrzał się po parkingu i wytropił wzrokiem barczystego czarnego funkcjonariusza, który zasłaniał swoim ciałem osobę, z którą rozmawiał.

Dopiero po chwili dotarł do niego głos w telefonie.

– Mike. Mike. Mike! – powtarzał stary detektyw.

– Hank! Co się dzieje z Annabel?

Policjant na parkingu odwrócił się na pięcie, rozłożył ręce, jak gdyby godził się z reprimendą.

Mike poczuł na szyi gorące igielki lęku.

– Nie wiem nic na jej temat – odparł Hank. – Musiałem powiedzieć, że jestem lekarzem, bo chciałem cię zwabić do telefonu. Słuchaj, ten alarm... Ogłoszono go na poziomie stanu. Jakaś agencja antyterrorystyczna. Faceci mają dużą władzę, nad biurem szeryfa, Policją Los Angeles, wszystkimi. Mogą w każdej chwili wpakować cię do aresztu albo wywieźć, gdzie im się żywnie podoba. I zgadnij, kto jest tam jednym z dyrektorów?

W dole funkcjonariusz odchodził pełnym szacunku krokiem, a Rick Graham, z którym wcześniej rozmawiał, ruszył żwawo ku wejściu.

Opuszczając drżącą ręką słuchawkę na widelki, Mike usłyszał jeszcze słaby metaliczny skrzek Hanka:

– Musisz stamtąd wyjść.

35

Mike z trudem nad sobą panował, starał się nie biec z powrotem do biura Cayanne'a. Miał może ze cztery, pięć minut, aż Graham pokona korytarz, wejdzie na piętro i tu ich odszuka. Szedł więc równym krokiem, a mijając Kat, pokiwał do niej, uspokajając ją gestem.

– Wszystko w porządku? Z pańską żoną? – spytał Cayanne.

– Niestety, nie. Jest pogorszenie. Rokowania są marne. – Przypuszczał, że wygląda na wystarczająco wstrząśniętego, aby jego słowa brzmiały wiarygodnie. Intensywnie zastanawiał się, jaki plan zdoła wymyślić w ciągu następnych trzydziestu sekund, dzięki któremu znajdzie się sam z Kat. – Macie łazienkę? Potrzebuję minuty, zanim powiem córce.

– Oczywiście. Za rogiem, drugie drzwi po lewej.

Mike pobiegł, rozpaczliwie rozglądając się za drogą wyjścia. Niestety, jedno pomieszczenie prowadziło do innych, jedno korytarze wychodziły na kolejne, a przeszklenia sprawiały, że całe piętro było niemal przezroczyste. W łazience szukał pod umywalką, za drzwiami – nic. Wyrzucił zapasowy papier toaletowy z butwiejącej drewnianej szafki i nareszcie znalazł apteczkę. Opróżnił ją, a potem odsuwał nieprzydatne przedmioty – rolki z gazą i opakowania leków – aż znalazł strzykawkę do irygacji ran, od której oderwał kateter. Jego buty ślizgały się na wyrzuconych przedmiotach, dotarł jednak do umywalki i napełnił strzykawkę wodą. Efekt nie był zbyt przekonujący, uznał jednak, że jeśli będzie musiał, użyje strzykawki.

Wracając pędem, wcisnął tłok w strzykawkę i wsunął ją sobie za

pasek. Przed zakrętem zwolnił i usiłował złapać oddech. Cayanne stał przy drzwiach; wyglądał na zmartwionego.

Mike podszedł, pochylił głowę.

- Mogę przez chwilę zostać sam z Kat? Żeby jej powiedzieć?
- Jasne, zostawimy was w moim biurze.

Tego się właśnie obawiał. Musiał zabrać Kat z kanciapy i z biura, a później razem z nią skierować się do wyjścia. Graham był już na trzecim piętrze i kierował się do nich.

Plan B: użycie rekwizytu.

Mike podszedł do Kat i przycupnął przed nią, a później wsunął strzykawkę w jej przednią kieszeń – zrewidowali przecież jego, ale nie ją. Spojrzała w dół, na strzykawkę, i zakłopotana zmarszczyła czoło.

- Mój Boże, kochanie. Twoja skóra – powiedział głośno. – Nie podałem ci dziś rano insuliny?
- Co takiego...?
- Wiem, że nienawidzisz igieł, ale teraz nie czas na protesty. – Chwył ją za ramiona. – Chodź ze mną.

Znajomy błysk rozjaśnił jej smutne do tej pory oczy. Kat kiwnęła głową.

Mike przesadnym ruchem dotknął jej czoła, a później odwrócił się, przerażony, że może Graham jest już za rogiem, na szczęście nie – byli tam tylko Cayanne i kilku funkcjonariuszy, którzy szli do niego z zaniepokojonymi minami.

Mike przypomniał sobie słowa Kanapowej Matki.

- Skóra zimna i lepka, musisz zjeść coś słodkiego; sucha i gorąca, potrzebujesz zastrzyku. – Poklepał kieszenie córki. – Gdzie twoja insulina? Masz ją?

Kat wyjęła strzykawkę, a on szybko ją przejął, zakrywając ją ręką i usiłując ukryć szeroki plastikowy czubek. Dziewczynka lekko ugięła się na nogach, przesadnie udając, że robi jej się słabo, ale Mike złapał ją za ramię i wyprostował. Ponieważ nasłuchiwał, czy nie zbliża się Graham, z pewnością wyglądał na przestraszonego.

- Muszę zrobić jej zastrzyk w udo. Mogę zabrać ją do łazienki, żeby miała trochę prywatności?

– Jasne – odparł Maxwell. – Moja teściowa ma cukrzycę. Wiem, jak to jest.

Kiwając z wdzięcznością głową, przeprowadził córkę obok policjantów, a później skręcił z nią za róg. Nadal ścisłała w dłoni misia.

– Tato, co to miało być...?

Biegli teraz korytarzem, mijając łazienkę.

– Musisz mnie słuchać i robić to, co ja, żebyśmy mógł nas stąd wyprowadzić. – Wyrzucił cieknącą strzykawkę do pierwszego kosza na śmieci, jaki zobaczył. – Odpowiem na wszystkie twoje pytania później. Umowa stoi?

Przez otwarte drzwi i przeszklenie błysnął mu Graham, który nadchodził równoległym korytarzem po drugiej stronie piętra.

– Stoi...

Mike położył szybko dłoń na ustach Kat i szarpnął ją w tył, przyciskając do ściany. W okolicznych pomieszczeniach pracowali policjanci; w końcu ktoś wyjdzie i zobaczy, że oni dwoje ukrywają się tutaj.

– ...znany terrorysta pozostaje pod waszą opieką – usłyszał podniesiony głos Grahama. – Może potraficie mi wyjaśnić, dlaczego rejestratorka w szpitalu podała mi jego miejsce pobytu, zanim wam przyszło do głowy...

– Jest tam, proszę pana – spokojny głos skrywał wrogość.

Kiedy Graham oddalił się ku gabinetowi Cayanne'a, Mike pchnął córkę do korytarza prowadzącego w przeciwnym kierunku. Można by rzec, że ich ruch był połączony z ruchem Grahama, jak na wyciągu krzesłkowym, tyle że zmiierzali w przeciwnie strony.

Dotarli do końca korytarza, przeszli przez biuro z okienkiem, przemykając za dwoma dyżurnymi, którzy pochylali się nad burrito. Żaden nie podniósł głowy. Kat dotrzymywała mu kroku, więc szybko pokonywali przejścia i korytarze. Mike stale spodziewał się, że za chwilę rozblysną czerwone światła i rozlegnie się wycie alarmów, barierki opadną, drzwi się zamkną.

Wreszcie dopadli schodów, zbiegli po nich i znaleźli się w otwartym garażu, zastawionym wozami policyjnymi, które podstawiono tutaj na przegląd albo mycie. Po prawej stronie znajdowała się szeroka pochyła

rampa, która prowadziła na boczny parking, ten sam, na którym Mike widział wcześniej Grahama.

Stamtąd dochodziło nieśmiało brzęczenie, jakieś ding-ding-ding, zbyt przytłumione jak na alarm.

Policjant z nadwagą, ten sam, którego pouczał Graham, biegł prosto na nich, taszcząc kamizelkę kuloodporną i strzelbę.

Mike znieruchomiał, trzymając rękę na karku córki.

– Zgubiliście się? – spytał funkcjonariusz.

Mike wypuścił powietrze przez zbyt mocno zaciśnięte zęby.

– Nie. Wykonuję tu pracę.

– Tak? – Jego uśmiech wydawał się przyjazny. – Jaką pracę?

Brzęczenie nie ustawało i drażniło Mike'a, który zaczął odnosić wrażenie, że jakiś ptak dziobie go w kręgosłup. Wydało mu się też, że cisza, która zapadła, trwa wiele minut.

– To migoczące światło w korytarzu – wtrąciła Kat.

Mike podrapał się kciukiem w czoło, łapiąc się rzucanego przez córkę koła ratunkowego.

– Właśnie. Pewnie tylko poluźnił się przewód, ale wy zawsze martwicie się o elektrykę, co nie? Wyszliśmy sprawdzić wyłączniki instalacyjne.

Wskazał gdzieś w górę rampy.

Mężczyzna kiwnął podbródkiem na Kat.

– To pańska pomocnica?

Mike spojrzał pospiesznie przez ramię na drzwi prowadzące na klatkę schodową.

– Dziś jest dzień pod hasłem „Przyprowadź dzieciaka do pracy”.

– Myślałem, że to było w kwietniu.

Słyszał o tym?!

– Zmienili datę – odparł Mike. – Kolidował z dniem „Mów jak pirat”.

Mężczyzna przyglądał mu się, przekrzywiwszy głowę, a potem zrezygnował z poważnej miny i głośno się roześmiał. Chwilę później odsunął się i machnął ręką w stronę rampy.

Mike odprężył się i ruszył na dwór. Kiedy popędzał Kat, żeby szyb-

kiej wchodziła po rampie, słyszał, że dzwonienie staje się coraz głośniejsze. Wyszli na zewnątrz, gdzie oślepiło ich słońce odbijające się od rzędów przednich szyb. Identyczne wozy patrolowe ustawiono równiutko, jak gdyby były na sprzedaż. Między nimi, pośrodku przejścia puszył się mercury grand marquis Grahama. Drzwi samochodu nadal były otwarte i z wewnątrz dobywało się irytujące ding-ding-ding. Teren otaczał płot zwieńczony drutem kolczastym. Na końcu parkingu, przed wyjazdem, leżał na ziemi gruby czarny przewód, co oznaczało, że brama jest kontrolowana elektronicznie.

Do Mike'a dotarł nagle gniewny loskot gdzieś z góry.

Odwrócił się i uniósł głowę. Trzy piętra wyżej w oknie sterczał Rick Graham, łomotał w ramę i coś do nich wrzeszczał. Twarz miał spiętą, wykrzywioną z wściekłości. Stał dokładnie tam, gdzie Mike kilka minut wcześniej odebrał telefon od Hanka; jakby zamienili się miejscami. Usta mężczyzny drżały, krople śliny znaczyły szybę, ale z dołu jego oburzenie pozostawało bezgłośnie.

Obok niego stał kapitan Cayanne i wcale nie wyglądał na niezadowolonego.

Mike popatrzył od Grahama, przez bramę elektroniczną, na czarnego mercury'ego. Skoro włączył się alarm, przypominający o zamknięciu drzwi, kluczyk musiał być w stacyjce!

– Chodź.

Zanim Kat zdążyła zamknąć drzwi, Mike już przyspieszał, kierując się w stronę wyjazdu. Czekając, aż powolna brama otworzy się ze stukotem, wyjął z kieszeni kluczyki do toyoty. Zaciskając pięść na kierownicy, przejechał przez szczelinę, gdy tylko było to możliwe. Krawędź bramy zazgrzytała o bok mercury'ego, aż poszły iskry. Z piskiem opon samochód przeciął ulicę i wjechał na główny parking, ale Mike źle obliczył odległość i nadział oponę na zabezpieczające kolce. Chociaż natychmiast zahamował, kolce przecięły gumę, pojazd Grahama wpadł w poślizg, rzuciło nim na bok i po drzwiach znów poszły iskry. Oboje wyskoczyli, pobiegli do toyoty, wsiedli i natychmiast odjechali, a Mike stale popatrywał od wstecznego do bocznego lusterka. Plecak pełen gotówki i kilka plastikowych toreb z bagażem przesuwano się po pod-

łodze u stóp dziewczynki. Z wolna zapadał zmierzch i widoczność słabła, Mike czuł się znacznie bezpieczniej. Przyspieszył, przejeżdżając na czerwonym świetle, nie patrząc, przeciął boczną uliczkę, na pełnym gazie wpadł na autostradę i jechał asfaltowym poboczem aż do drugiego zjazdu. Córce błyszczały oczy i Mike zrozumiał, że ich ucieczka jest dla niej na swój sposób ekscytująca.

Gdy znalazł się z powrotem na ciemniejących ulicach osiedlowych, grasował po nich jak nastolatek, którym kiedyś był. Niemieckie samochody z zasady omijał. Słyszał kiedyś, że Niemcy stosują wyjątkowo wymyślne alarmy antywłamaniowe i układy blokujące koła i kierownicę, więc nie sposób nawet zjechać z krawężnika. Zresztą nawet gdyby znalazł w schowku kluczyk i odblokował zabezpieczenia, w aucie i tak będzie działał system lokalizacji skradzionych pojazdów i GPS. Mike potrzebował czegoś ze swojej epoki, czegoś, co rozpracowałby niczym kostkę Rubika.

Brązowa honda civic z lat osiemdziesiątych stała na krawężniku obok wysokiego żywopłotu, najbliższy dom był dość daleko i był mocno przesłonięty. Mike zaparkował toyotę i wyskoczył. Przyszło mu głowy, że każdy kolejny pojazd, który wybierał, był dużym krokiem... w przeszłość.

– Łap swoje rzeczy.

Ale Kat była zbyt zafascynowana, by słuchać poleceń. Kiedy jej ojciec przetrząsał przybornik zamocowany nad obręczą koła, obserwowała go z krawężnika, kręcąc nogą i zagryzając policzek. Mike nie znalazł łomu, ale w skrzynce był sztywny przewód elektryczny, który złożył w pół, a jeden koniec wygiął jak hak. Miał wrażenie, że jego ręce same kształtują drut, jakby mięśnie pamiętały i działały na autopilocie. Zaciśniętym przewodem w zębach, Mike wepchnął do tylnej kieszeni młotek i z dwoma płaskimi śrubokrętami przeszedł do hondy. Stał przy oknie od strony kierowcy, wcisnął oba śrubokręty pomiędzy szczyt okna i gumową uszczelkę, około pięciu centymetrów jeden od drugiego, i zrobił mały wyłom.

– Tato?

Przewód prześlizgnął się, hak chwycił zamek i Mike był prawie w

środku.

– Tato?

Trzema uderzeniami młotkiem rozbił plastikową stacyjkę, a szerszy śrubokręt idealnie wpasował się w dziurkę od klucza. Mike raz tylko go obrócił i silnik cicho zamruczał.

– Tato?

Wreszcie usłyszał głosik Kat i popatrzył na nią. Stała kilka metrów od okna kierowcy, ramiona założyła na piersi, usta nieznacznie uchylila ze zdumienia.

– Gdzie się tego nauczyłeś?

36

Shep siedział przy łóżku Annabel, plecy sztywno wyprostował, wzroku nie odrywał od drzwi. Oddychała długo i dźwięcznie, jej pierś to się unosiła, to opadała. Miała opuchliznę wokół oczu i twarz obrzmiała od płynów z kroplówki. Monitor pokazywał sinusoidy.

Przekręciła się gałka u drzwi i do sali weszła doktor Cha. Shep poruszył jedynie oczami.

Było późno i w korytarzach panował spokój.

– Przykro mi, Shep – powiedziała lekarka – ale godziny odwiedzin skończyły się czterdzieści pięć minut temu. Musisz wyjść.

– Nie mogę.

– Musisz, nic na to nie poradzę. Tu mogą przebywać tylko pacjenci.

Shep wyciągnął rękę, wziął z lady szklany pojemnik i zmiażdżył go w dłoni. Gaziki i kawałki szkła zaległy u jego stóp. Wybrał wyszczerbioną skorupę i zrobił sobie kilkucentymetrowe nacięcie wzdłuż zewnętrznej części przedramienia. Strumyczki krwi pociekły po jego ręce i zaczęły kapać z opuszków palców na kafle.

Shep rozsunął zasłonkę i usiadł na pustym łóżku.

– Trzeba mi to zszyć.

– Idioto, powinnam zadzwonić po ochronę!

– Widziałem ich, proszę bardzo.

Lekarka weszła do sali, drzwi się za nią zamknęły. Popatrzyła na ranę.

– Niezłe z ciebie ziółko, co?

– Co takiego?

- Och, słyszałeś, co powiedziałam.
- Zapłacę za pobyt w tej sali – upierał się Shep. – Gotówką... żadnego ubezpieczenia ani innych bzdur. Ale muszę dostać to łóżko.
- To jest szpital, a nie kabina plażowa w Skybar. – Chwyciła słuchawkę telefonu wiszącego na ścianie i wcisnęła klawisz. – Z ochroną poproszę.

Shep wskazał na Annabel mokrym od krwi palcem.

- Twojej pacjentce grozi niebezpieczeństwo.

Na twarzy lekarki pojawiła się niepewność, którą szybko zastąpił gniew.

- Nie wiesz tego. Policja zapewniła mnie, że nic jej się nie stanie. A ty jesteś przestępcą.

– Jestem, zgadza się. Ale nie chcesz jutro rano odkryć, że została zabita.

Doktor Cha trzymała słuchawkę przyciśniętą do ucha.

– Nawet gdybym mogła kłaść mężczyzn i kobiety w tych samych salach, te kilka szwów nie kupi ci miejsca na intensywnej terapii, ale najwyżej dziesięć minut na pogotowiu w towarzystwie stażysty pierwszego roku.

Cichy głos w słuchawce rozbrzmiewał całkiem wyraźnie.

- Tu ochrona. Ma pani kłopoty?

Shep podniósł błyszczący kawałek szkła do twarzy.

- Więc co muszę sobie przeciąć?

■ ■ ■

Mike jechał w głąb łądu. Honda civic, w środku on, ośmioletnia córka, rewolwer bez oznaczeń i plecak wypełniony banknotami. Pąsowiejące wokół niebo, na wpół oświetlone przez zachodzące słońce, miało złowroźny odcień. Elektroniczny billboard błyskał, prezentując numer, pod który zgłasza się porwanie dziecka. Dawno go minęli, zanim Mike skojarzył go z Kat. Wciąż jechał na tablicach rejestracyjnych, które odkręcił z mazdy przyjaciółki Jimmy'ego, więc skradziona honda nie powinna przyciągać uwagi. Nad głową przelatowały znaki drogowe, przystanki w drodze donikąd. Pędził obok pól karczochów, na których żerowały biblijne roje szarańczy; niektóre owady spadały im na przednią

szybę, a każdy taki przypadek Kat odnotowywała z niezdrową rozkoszą.

Mike wyjaśnił jej, najlepiej jak potrafił, o co chodzi w tej podróży, ale ona chciała rozmawiać tylko o tym, jak „tata podprowadził auto”.

– I wtedy ty, ojej, buch! Trzasnąłeś młotkiem i samochód po prostu ruszył. A potem zmieniłeś tablice jak prawdziwy rabuś. To było super.

Jej maniakalne zainteresowanie tylko wybranymi elementami ich przeprawy Mike wziął za objaw samoobronny, więc nie protestował. Uznał, że wkrótce jej przejdzie i wiele szczegółów pójdzie w zapomnienie. W końcu zajęła się staromodnym radiem. Stroiła je, głosy czkały z głośników, a później milkły. Amy Winehouse nie zamierzała iść na odwyk, mówiła: „Nie, nie, nie”, a Kat postanowiła przejrzeć zawartość schowka – urzekła ją szminka do ust, miętówki, na wpół opróżniona paczka mentolowych papierosów.

Wsunęła papierosa do ust i przybrała wyzywającą pozę, czekając na komentarz Mike'a, który ledwie ją zauważał – do czasu, aż zaczęła udawać, że wydychuje dym. Prowokowała, go prawdopodobnie czekając, aż da jej powód do płaczu, on jednak nie miał ochoty na kłótnie, więc pozwolił jej „palić”, póki się nie znudziła.

Na następnym postoju wyskoczył, złapał plecak i skierował się do automatu telefonicznego.

– Trzymaj się blisko.

Kat zabrała ze sobą Śnieżkę Drugiego i usiadła przy rozklekotanej ławie piknikowej. Mike wsunął kartę telefoniczną do aparatu i wybrał numer komórki Hanka.

– Hank...

Detektyw jednak przerwał, zanim Mike zdołał wypowiedzieć kolejne słowo.

– Jestem w pobliżu automatu. Podam ci numer, zadzwoń do mnie.

Dwukrotnie powtórzył ciąg cyfr.

Mike wystukał nowy numer, a kiedy Hank odebrał, głos mu drżał.

– Nic ci nie jest. Więc uciekłeś.

– Ledwo, ledwo, w ostatniej chwili. Pod słuchują cię?

– Nie mam pewności, ale w głębi duszy jestem paranoicznym gli-niarzem. Skoro interesują się tobą takie ważniaki...

– Kim, do diabła, jest Rick Graham? – spytał Mike.
– Dyrektorem w Stanowym Centrum Oceny Zagrożeń Terrorystycznych.

– Więc teraz jestem terrorystą? Coraz lepiej!

Kat siedząca przy ławie wśród drzew podniosła głowę i popatrzyła na niego.

– Właśnie dlatego nie mogłem znaleźć źródła alarmu ani ustalić, kto się tobą interesuje – dodał Hank. – Każda próba kończyła się w ślepych zaułku: wszystkie dane okazywały się utajnione, wszystkie drogi kręte, każdy funkcjonariusz odsyłał mnie do zwierzchnika, coraz wyżej. W końcu trafiłem na dzieciaka mojego byłego partnera, obecnie prokuratora okręgowego, który złamał dla mnie zasady.

– Co to za centrum? Dlaczego nigdy o nim nie słyszałem?

– Wiesz, chodzi o jedną z tych umów między agencjami rządowymi. Graham działa w siedzibie, że tak powiem, sił połączonych w Sacramento. Nazywają je „centrum fuzyjnym”, żeby brzmiało bardziej imponująco.

– Naprawdę brzmi imponująco.

– Ściągnęli do siebie najinteligentniejszych ludzi z kalifornijskiej drogówki, ze stanowego Departamentu Sprawiedliwości, z biura gubernatora... Mają pod kontrolą cały pieprzony stan, wszyscy łążą u nich na pasku. Szeryfa również mianuje stan, więc teraz wiemy, dlaczego tamta parka nie najlepiej cię potraktowała.

Po każdym wdechu Hanka rozlegał się jakiś niezdrowy świszczący odgłos. Ale Mike również tracił oddech na myśl o skali problemu, przed którym stanął. W dodatku Graham osobiście przyjechał do Los Angeles, żeby go aresztować!

Bezwiednie wydał z siebie gorzki śmiech.

– Zielone domy. – Uderzył w ścianę obok siebie powoli, jak gdyby w zwolnionym tempie, a później przyciskał kostki palców do popękanego drewna. – Kiedy wszystko się zaczęło, myślałem, że chodzi o te cholerne ekologiczne domy.

Po drugiej stronie parkingu jakaś rodzina sprzątała kombi – przeciągali się, rozprostowywali nogi, a przy okazji odnosili do śmietnika

puste kubki i opakowania znalezione w zakamarkach auta. Golden retriever wyskoczył z klatki i z ulgą siusiał na trawniku. Nastoletnia córka otrząsnęła się z iPodowego transu, klepnęła małego brata i odskoczyła. Chociaż była to zupełnie prozaiczna scena, Mike czuł się, jakby przez szybko podglądał krainę marzeń.

– Więc Graham jest z Sacramento – mówił dalej Hank – a ostatnim miejscem zameldowania Burrella było Redding. Te miasta są od siebie oddalone, ile...? Dwie godziny jazdy? Rewir północnej Kalifornii wygląda intrygująco, ale szczerze mówiąc, nie wiem, co z tym zrobić.

Mike wrócił do rzeczywistości.

– Skoro mówimy o agencji stanowej, może poproszę o pomoc federalnych?

– Nie ma mowy. Ci faceci na pewno ściśle współpracują i z federalnymi, i z Departamentem Bezpieczeństwa Krajowego. To prawdopodobnie jedyna agencja stanowa z tego typu powiązaniem.

– Ale to wszystko jest absurdalne! – Mike starał się mówić ciszej. – Graham nie może mnie uważać za pieprzonego terrorystę.

Trzaśnięcie drzwiami zasygnalizowało, że Kat wróciła do samochodu. Siedziała na miejscu kierowcy, zaniepokojona; ręce trzymała na kierownicy, jak gdyby zamierzała odjechać.

– Nie może – zgodził się Hank. – Ale jeśli napiętnuje cię jako terrorystę, będzie mógł cię ścigać jako wroga Ameryki. Wykorzysta twoją, hm, podwójną tożsamość i dopasuje do reszty. A jeśli do tygła wrzucimy kilka ciał... nietrudno zrobić z ciebie przestępcę, nadać sprawie numer i wszcząć śledztwo. Albo dojdzie do wypadku...

– Więc drań szuka kozła ofiarnego?

– Być może. Ale jeśli weźmiemy pod uwagę twoją rodzinną historię, bardziej prawdopodobne, że Graham sprząta jakiś bałagan.

– Jaki bałagan? Mój ojciec na pewno nie był wrogiem państwa. W tamtych czasach nawet nie mówiło się o terrorystach! A nawet gdyby zrobił coś złego, miałem cztery lata, kiedy się rozdzieliliśmy! Co ja mogłem wiedzieć o jego sprawach?

– Graham wyznaczył brudną robotę Rogerowi Drake'owi i obu Burrellom, więc to na pewno nie są oficjalne działania rządowe. Łatka

terrorysty to po prostu najskuteczniejszy sposób, żeby cię oczernić.

– Więc Graham siedzi w czyjejś kieszeni – podsumował Mike.

– Biorąc pod uwagę jego rangę i pensję w organach ścigania, musi to być naprawdę wielka kieszeń.

– Ale facet nie ma przeciwko mnie żadnych dowodów. Jak to możliwe, że przekonał wszystkich wokół, że zmusił ich do posłuszeństwa? Na przykład Elzey i Markovica? Od razu na mnie naskoczyli, a teraz siedzą w szpitalu, przy Annabel. Są skorumpowani? Przekupił ich?

– Nie rozumiesz tych spraw, Mike. Zostałeś wskazany palcem, i już. Jurysdykcja biura szeryfa w Lost Hills obejmuje może czterysta kilometrów kwadratowych. Mieszkają tam bogate dupki z Calabasas, Hidden Hills, Malibu, Westlake, biała biedota, narkomani i kowboje z Chatsworth. Dostają nagle informację od agencji stanowej, że twoje nazwisko jest na liście obserwowanych. Myślisz, że co zrobią? Będą chcieli udowodnić, że sympatyczny z ciebie gość? Nie. Będą chcieli cię złapać, oddać, komu trzeba, a później spokojnie wrócić do stosu skarg od wyborców, których głosów szeryf będzie potrzebował podczas zbliżających się wyborów. Nikt nie weźmie udziału w jakiejś brudnej sprawie. Będą podejrzewać tych, których mają podejrzewać, i walczyć z tymi, którzy są na czarnej liście. To nie jest spisek, Mike, raczej delegowanie uprawnień i zarządzanie zasobami ludzkimi.

– Musi być ktoś, komu mogę opowiedzieć moją historię.

– Ale jaką historię, Mike? Co chcesz opowiedzieć? Że jesteś niewinny? – Hank wydawał się raczej wyczerpany niż zły. – Każdy gliiniarz co jakiś czas wysłuchuje takiej opowieści.

Mike zapatrzył się na Kat siedzącą w skradzionej hondzie civic. Blask reflektorów przejeżdżających pojazdów sprawiał, że szyba od jej strony wyglądała na nieprzezroczystą. To widział córkę, to znikiała mu z oczu. Poczuł jeszcze większy ucisk w żołądku – wszystkie najgłębsze, najmroczniejsze lęki, które odsuwał od siebie przez lata, stały się teraz intensywniejsze, niemal rzeczywiste jak coś fizycznego, namacalnego. Pomyślał o tym poranku, kiedy siedział w nowiutkim pick-upie przed szkołą i patrzył, jak Kat wspina się na szczyt strażackiej rury, a później uderza małą piąstką w górną belkę.

– Więc – spytał głosem, którego sam nie poznawał – co mam robić? Wydawało mu się, że połączenie nagle nabrało niezwyklej klarowości, że wszelkie zakłócenia zniknęły. Szum samochodów przejeżdżających autostradą działał hipnotycznie, usypiająco... Mike zastanowił się, kiedy po raz ostami spał.

Oblizwał wargi, odczekał chwilę.

– Hank, co mam robić? – spytał powtórnie.

– Nie wiem, co ci powiedzieć, Mike.

Tamta rodzina, sprzecząc się, wsiadła znów do kombi i odjechała. Mike, wdychając opary benzyny i gorącej smoły, przypatrywał się, jak włączają się do ruchu na autostradzie, patrzył za nimi, aż światła hamowania wmieszały się w rzekę innych.

– Mike? Mike? Jesteś tam?

Jakiś głos rozbrzmiewał echem w jego głowie, słowa Shepa, kiedy Mike wspomniał, że kiedyś liczyła się dla nich wytrzymałość. „Bo nie mieliśmy wtedy niczego innego”.

– Tak, jestem. – Mówił tonem bez wyrazu, jak automat. – Rozmawiałem już o tym z Shepem. – Podczas ostatniej rozmowy Shep też nie miał pomysłu, co Mike powinien zrobić. Przekazał mu tylko nowiny związane ze stanem Annabel i radził, żeby przeczekać. I Mike przeczekiwał. – Uważa, że trzeba zacząć od Kiki Dupleshney, to najlepszy trop.

– Mike, nie możesz...

– Ta kobieta jest z jego świata, jak Shep rozpowie, że poszukuje oszustki do jakiegoś skoku, kto wie, może ją znęci.

– Mike! Ci ludzie chcą cię zabić. Nie możesz tak działać i ciągnąć za sobą ośmioletniej córki.

– Jaki mam wybór?

Nie usłyszał nic poza cichymi odgłosami uderzających kropel deszczu. Nawet nie zauważył, że zaczęło padać.

– Do zobaczenia, Hank.

Łagodnie odłożył słuchawkę na widelki.

Pobiegł do samochodu. Kat zamknęła się od środka. Mike zastukał, ale ona nawet na niego nie spojrzała; siedziała sztywno i ponurym wzrokiem patrzyła przed siebie, na spadające na maskę krople deszczu.

Obszedł samochód, wskoczył na siedzenie pasażera, postawił sobie plecak na kolanach i czekał, ociekając wodą. Nigdzie nie jechali, siedzieli, gapiąc się w pustkę, w kradzionym samochodzie zaparkowanym na poboczu autostrady, którego numeru Mike nawet nie znał.

Kiedy dziewczynka się odezwała, zaskoczyła go siłą swojego głosu.

– O co chodzi z Green Valley?

Nie odpowiedział, spuścił głowę. Woda ściekała mu z czoła i kapiała na uda.

– Cholerne domy ekologiczne. – Kat starła ze złością zabłąkaną łzę, lecz jej ton ani trochę się nie zmienił. – Powiedziałeś „cholerne domy ekologiczne”? – naciskała twardo. – O czym szeptaliście z mamą wtedy, przed posterunkiem?

– W porównaniu z tym, co się ostatnio dzieje, ta sprawa w ogóle nie jest w tej chwili ważna.

– Dla mnie jest! Właśnie w tej chwili.

Zdał sobie sprawę, że dotarł do końca drogi i nie pozostało mu nic innego, jak powiedzieć prawdę, szybko, brutalnie, bez owijania w bawełnę. Ale i tak spróbował dwa razy, zanim słowa popłynęły z jego ust.

– Domy nie są w pełni ekologiczne. Jakiś facet zamiast ekologicznych rur położył złe. A ja to zatuszowałem.

Kat drżała, blada.

– A twoja nagroda?

– Nie zasłużyłem na nią.

– Okłamałeś mnie? – Jej głosik był teraz słaby, żalorny.

Mike'owi trzęsły się ręce, a mięśnie twarzy jakby zdrętwiały.

– Tak.

Kat raz chlipnęła, potem zapanowała nad płaczem, a sekundę później otworzyła drzwi, wysiadła z auta i zniknęła w deszczu. Mike wyskoczył za nią i biegł przez kałuże. Była przed nim niczym zjawą w ukośnie zacinających kropkach, biegła prędzej, niż Mike mógł podejrzewać. Przecięła trawiaste wzniesienie za toaletami i zbiegała na drugą stronę, ale on złapał ją i przytulił, żeby nie spadli na sam dół pochyłości.

Kopała go, chcąc się wyrwać, i krzyczała na niego.

– W czym jeszcze mnie okłamałeś? – pytała. – No w czym? –

Miotła się jak szalona w jego ramionach, aż stracił równowagę, poślizgnął się i upadł na pośladki, a deszczówka natychmiast przesiąkła przez jego dzinsy. – Nienawidzę cię! – wrzeszczała Kat. – Nie możesz przez resztę życia trzymać mnie w motelach i samochodach. Chcę znowu chodzić do szkoły, chcę mieć z powrotem swój pokój i chcę do mamy.

Trzymał jej małe, kruche ciało tak długo, aż załamała się, osłabła i już tylko szlochała.

Przemówił, ustami dotykając gęstwiny jej włosów.

– Już nigdy nie złamię danego ci słowa. Już nigdy.

Lecz ona tylko mruzczała w jego pierś, powtarzając w kółko trzy słowa, na wpół lament, na wpół mantrę.

– Chcę moją mamę – mówiła Kat. – Chcę moją mamę, chcę moją mamę.

Mike trzymał ją w deszczu.

a ■ ■

W szpitalnym korytarzu rozlegał się odgłos kroków, powolnych i ciężkich. Ustał i pod drzwiami pojawiły się dwie stopy, przesłaniając światło. Ktoś bezgłośnie przekręcił gałkę niezamkniętych na klucz drzwi. Zawiasy nie zaskrzypiały.

Trójkąt światła wpadł do ciemnej sali z jasnego korytarza, a później rozszerzał się jak wachlarz, kiedy drzwi otwierały się do środka.

Do sali wszedł masywny mężczyzna, jego postać zniekształcały światłocienie. Czarna sylwetka rysowała się w żółtym prostokącie. W środku na łóżku leżała Annabel, bezwładne ramiona spoczywały na zmechaconym szpitalnym kocu, usta były nieznacznie zaciśnięte.

Dłonie drgały nerwowo. Rozległo się szuranie i drzwi zaniknęły się za wchodzącym, zniknęło też światło. Brudne buty posuwały się po sterylnych białych kafłach.

Od monitora, na którym migał wykres EKG, padała luna. W słabej poświacie Dodge wpatrywał się przez chwilę w spokojną twarz kobiety.

37

Dodge'owi znowu drżały ręce. Jedną wsunął w płataninę rurek na wózku obok łóżka Annabel, drugą grzebał w kieszeni bojówek.

Wtedy ze zgrzytem rozsunęła się zasłonka oddzielająca drugie łóżko; dźwięk był przenikliwy jak krzyk. Dodge'owi ledwie starczyło czasu, aby się obrócić, gdy Shep zaskoczył go uderzeniem w bok szyi i pchnął. Dodge opadł na jedno kolano i zamachał dłońmi, usiłując uchwycić się czegoś wielkimi palcami; usta bezgłośnie otworzył. Jedną rękę opuścił w końcu na łóżko Annabel i zacisnął pięść na kocu w duże czarne kropki przypominające dziury. Chociaż wielkolud był pochylony, przyćmiewał gabarytami Shepa, który wyglądał przy nim, jakby był ledwie średniego wzrostu.

Zanim Dodge zdołał pozbierać myśli, Shep złapał go za kołnierz koszuli i ramię; użył go jako tarana, razem z nim wpadając na zamknięte drzwi. Dodge w ostatniej chwili zdołał się odwrócić, a w jego dłoni niczym za sprawą magii pojawił się młotek z kulistą stalową główką, która ledwie o milimetry chybiła ze świstem skroń Shepa. Młotek trafił w drzwi tak mocno, że obaj mężczyźni odskoczyli z powrotem w tył, do sali. Drzwi pękły, a potem otworzyły się chwiejnie.

Oddech Dodge'a brzmiał jak nieprzerwane skrzeczenie, cienkie jak trzcina wdechy zatrzymywały się w jego gardle. Poruszył szyją i jego grdyka podskoczyła gwałtownie. Odzyskał równowagę i tak trwał, luźno trzymając młotek u boku niczym bóg z nordyckiej mitologii. Stał plecami do wejścia i był o głowę wyższy od Shepa.

Shep zdarł z szyi łańcuszek z medalikiem ze świętym Hieronimem.

Starta srebrna krawędź wystawała mu teraz spomiędzy palców zaciśniętej pięści niczym azjatycki sztylet. Przejechał nim po klatce piersiowej Dodge'a ruchem, który przypominał piekielny wariant ucisku mostka doktor Cha. Dodge wypadł przez drzwi na korytarz, machając bezwładnie ramionami i nogami.

Shep zatrzasnął drzwi, a ponieważ nie miały zamka, wsparł się na nich całym ciężarem. Łomotanie z drugiej strony brzmiało, jakby zwierzę bodło w drzwi. Trampki Shepa z piskiem ślizgały się po podłodze. Drzwi rozsunęły się na dwadzieścia centymetrów, lecz znowu zdołał je zamknąć.

I nagle zapadła cisza. Shep sapał i czekał, przyciskając ramię do drewnianej sklejki. Rana na jego przedramieniu otworzyła się, szwy pękły.

Gdzieś niedaleko rozległ się huk. Dalej w korytarzu ktoś krzyknął. Później słyhać było kolejny huk, nieco inny, odleglejszy, a następnie – tupanie kroków i paniczne głosy.

Wtedy gałka, którą trzymał Shep, znów się przekręciła, a ktoś z drugiej strony popchnął drzwi. Tym razem pchnięcie było słabiutkie, jakby dłoń Shepa trącał nosem szczeniak.

Shep cofnął się o krok i do sali wpadli strażnicy oraz pielęgniarki, które natychmiast ruszyły ku Annabel. Dwóch strażników chciało schwycić Shepa, na co doktor Cha krzyknęła:

– Nie, nie, on jest w porządku!

Shep przepchnął się między nimi i przekroczył próg. Drogę Dodge'a znaczyły ślady – przewrócił pacjenta, który leżał w szpitalnej koszuli zaplątany w przewód kroplówki, dalej zakrwawiona pielęgniarka podnosiła się z obróconego szpitalnego łóżka, na które ją pchnął, potem prawdopodobnie trafił w kolano strażnika, który jęczał i trzymał się kurczowo za bok nogi, jak gdyby chciał zapobiec eksplozji. Na końcu korytarza drzwi prowadzące na schody jeszcze się nie zamknęły, w szczelinie widać było rozciągającą się za nimi ciemność.

■ ■ ■

Doktor Cha siedziała w cichej sali Annabel, znów zszywając ranę na przedramieniu Shepa. Spływała z niej krew i ściekała po łokciu. Palce

lekarki poruszały się zwinnie, przeciągając przez skórę igłę i nić Prolene. Dwóch strażników stało przed salą w korytarzu. Milczenie było przyjemne.

– Żeby chirurg urazowy dwa razy marnował czas na taką ranę – powiedziała doktor Cha.

– Przykro mi, że nie zraniłem się poważniej – bąknął Shep.

– Mnie też.

Uśmiechnęła się, a później obróciła jego ramię jak mięso na grillu.

Wiele razy omówili oficjalną wersję zdarzeń. Później, tak jak ustalili, doktor Cha wyjaśniła policji, że pozwoliła wrócić Shepowi do sali Annabel po jego szczęśliwy medalik, którego zapomniał. Akurat wtedy, gdy Shep był w sali, wtargnął intruz.

Na łóżku Annabel poruszała się niespokojnie, jej twarz była wykrzywiona w grymasie. Zdecydowanie należało uznać to za postęp.

Doktor Cha przerwała szycie, oceniła stan pacjentki, po czym powoli wróciła do pracy. Gdy skończyła, wilgotną gazą starła krew z ramienia Shepa.

Znów zawiesił medalik na cienkim łańcuszku, pochylił głowę i zapiął łańcuszek na szyi. Gdy patrzył w dół, dostrzegł przewód elektryczny częściowo ukryty za kółkiem wózka medycznego. Wziął przewód i podniósł go do światła. Zdał sobie sprawę, że lekarka bacznie mu się przygląda.

– Przewód sygnałowy – wyjaśnił. – Od cyfrowego nadajnika... pluskwy.

– Po co?

– Żeby wiedzieli, kiedy zjawi się Mike. To jedyne miejsce, gdzie mogą go namierzyć. Gdyby tu przyszedł, wpadłby w pułapkę.

Doktor Cha przez chwilę w zadumie wyłamywała sobie palce, później potrząsnęła głową, żeby rozluźnić kark. Jej łabędzią szyję okalały zmierzwione czarne włosy. Przez moment milczała.

– Póki ona tu jest, szpital nie jest bezpieczny – powiedziała wreszcie.

– Nie, nie jest – zgodził się Shep.

– Wczoraj wieczorem rozmawiałam z ojcem Annabel. Przyjechał

do nas prosto z lotniska. Z tego, co zrozumiałam, rozprawa dotycząca pełnomocnictwa odbędzie się dziś wcześnie rano. – Zerknęła na zegarek marki Breitling, chociaż nad jej głową wisiał zegar ścienny pokazujący kwadrans po czwartej. – Pełnomocnictwa rzadko się odwołuje, a jeśli już, to prawnicze batalie długo się ciągną, ale byłam już świadkiem, jak je zawiesili.

Shep wpatrywał się w nią cierpliwie, nie przerywając.

Po chwili kobieta podjęła:

– Jeśli Michael Wingate chce się ubiegać o przeniesienie żony, musi przekazać mi prośbę na piśmie w ciągu następnych sześciu godzin.

– Myślałam, że nie można jej ruszać – wtrącił Shep.

Tym razem w uśmiešku doktor Cha dostrzegł przebiegłość.

– No, nie można.

38

Batphone, ładujący się na nocnym stoliku, zabrzączał, budząc Mike'a z drzemki; hałas dziwnie pasował do tętnienia, które czuł w głowie. Powieki miał lepkie, usta jakby wypełnione piaskiem. Zmusił się do otwarcia oczu i odsunął nieco od siebie Kat. Powoli przypomniał sobie, gdzie są. W jakimś motelu. Gdzieś w Glendale.

Odebrał, głos mu drżał, jakby miał kaca.

– Dodge próbował dostać się do Annabel – powiedział Shep.

Mike odniósł wrażenie, że nagle spadła temperatura i przez brzydką pokój motelowy przetoczyła się fala arktycznego wiatru.

– No i?!

– Nie udało mu się.

– Zamierzał...

– Być może. Upuścił kawałek przewodu elektrycznego. Pewnie przede wszystkim chciał podłożyć pluskwę, żeby wiedzieli, kiedy przyjdiesz, i mogli cię złapać. Tak czy owak, obserwują ją.

Usiadł gwałtownie, Kat ześlizgnęła się z jego ramienia, nagle stanowią dla niego ciężar ponad siły. Śnieżka Drugi wystawał spod jej pachy, wybałuszone oczka wydawały się strwożone.

– Nic jej nie jest?

– Nie, nie, ma się dobrze. To znaczy, jak na nieprzytomną.

– Więc chcą ją wykorzystać, żeby mnie złapać? – upewnił się Mike.

– Myślisz, że to oznacza... że jej nie zabiją?

– Mogą zawsze mieć nadzieję, że przyjdiesz na jej pogrzeb – odburknął Shep.

Na linii cicho zaszumiało.

– Dziś rano odbędzie się przesłuchanie w sprawie odwołania twojego pełnomocnictwa – podjął Shep. – Trzeba ją stąd przenieść, póki możesz decydować. Wyślij faks do doktor Cha. Napisz, że żądasz przeniesienia żony.

Mike wstał, zrobił krok, potknął się o własne buty, znalazł długopis i urwał kawałek papierowej torby na zakupy.

– Poszukaj poczty albo innego miejsca, z którego można nadać faks...

– Dam sobie radę. Tylko podaj mi numer faksu.

Mike starał się obudzić Kat, ale spała jak zabita. Potrząsał nią delikatnie, ciągnął za ręce, nawet kciukami unióśł jej powieki. W końcu zonglując torbami, plecakiem i kartką wydartą z książki telefonicznej, zaniósł ją do hondy i położył na tylnym siedzeniu.

Kat obudziła się kilka przecnic od FedEx Kinko.

– Jaki dziś dzień? – spytała marudnie.

Panowały wczesnoporanne szarości. Drogą jechały nieliczne samochody. Na przystankach autobusowych ludzie palili papierosy. Kierowcy siorbali kawę z kubków ze Starbucksa.

– Piątek – odparł. – Myślę, że mamy piątek.

– A gdzie jesteśmy?

– Muszę wysłać wiadomość faksem.

– A potem dokąd pojedziemy?

Mike zamrugał mocno, starając się wyrzucić z głowy obraz ojca za kierownicą innego samochodu, udzielającego podobnie niejasnych odpowiedzi i rzucającego nerwowe spojrzenia we wsteczne lustro. W jego piersi zapłonęła świeża wrogość. Najwyraźniej w trzy dekady zdołał jedynie pokonać odległość z tylnego siedzenia na przednie.

Kat pytała o coś jeszcze.

– Kiedy wrócimy do domu?

– Nie wiem. – Jego głos był w pół zdławiony, ton przygnębiony.

Dziewczynka przesunęła się bliżej okna i wydała z siebie rozpaczliwe westchnienie. Uświadomił sobie na nowo, że nie mogą zbyt długo prowadzić koczowniczego trybu życia. Że kończy im się czas. I cier-

pliwość. I szczęście.

W Kinko Mike napisał wiadomość na komputerze. Kat kręciła się w fotelu obok niego, głowę odchyliła i gapiła się w wirujący sufit. Zanim wydrukował tekst, zatrzymał się nad ikonką Explorera. Wahając się, popatrzył na córkę, kręcącą się i mamroczącą coś pod nosem.

Poczuł ucisk w piersi i odwrócił szybko wzrok, żeby nie zauważyła, że oczy mu łzawią.

Na stronie American Airlines zarezerwował bilet w jedną stronę dla Kat do Saint Louis; samolot odlatywał o wpół do szóstej wieczorem. Brat Annabel, którego Mike lubił najbardziej z całej jej rodziny, właśnie się ożenił i kupił dom na przedmieściach. Gdy wyskoczyła opcja biletu dla opiekuna, opanował się i kliknął „Nie”. Użył konta PayPal należącego do Annabel i potwierdził zakup. Potem kupił dla córki kolejny bilet na tej samej linii, lecz na nocny lot, kwadrans przed północą. W końcu wydrukował obie karty pokładowe.

Nadał u urzędniczki faks o następującej treści:

Ja, Michael Wingate, niniejszym występuję z prośbą o zgodę na przeniesienie mojej żony, Annabel Wingate, do specjalistycznej placówki medycznej, którą wybrałem ze względu na oferowany przez nią wyższy poziom opieki.

Ostrożnie skierował hondę na najbliższy wjazd na autostradę, a później przyspieszył, mocno dociskając pedał gazu. Pragnął jak najbardziej oddalić się od Kinko, bo numer telefonu pojawi się na wniosku, który, ciepły, pewnie właśnie wysunął się z faksu w Los Robles Medical Center.

– Co piątek po szkole mama zabiera mnie na lody – oświadczyła nagle Kat.

Mike wcisnął się między dwie ciężarówki z naczepą, a później wybrał pas ruchu do wyprzedzania. Za zakrętem powitała ich ściana świateł hamowania. Kończyły się poranne godziny szczytu. Mike ostro zjechał na pobocze, oceniając odległość do następnego zjazdu.

– Jest piątek – zauważyła mała. – Wiem, że mama nie... że mama nie może... ale może ty i ja moglibyśmy...

– Nie w tej chwili!

Starał się ukrywać lęk. A jednak mówił z większą irytacją, niżby chciał.

– Dlaczego nie teraz?

– Bo nie. – Zerknął na nią. – Och, daj spokój. Co znowu?

– Krzyknąłeś na mnie.

– Nie krzyknąłem.

Wozy blokowały wyjazd. Dwie, trzy zmiany światła powinny wystarczyć, wtedy wróci do dzielnicy mieszkaniowej. Może tam pojeździć przez jakiś czas, znaleźć następny motel, zaszyć się w nim do... do kiedy?

Zaryzykował jeszcze jedno spojrzenie przez ramię. Buzia Kat była zarumieniona, oczy podpuchnięte, noszek zmarszczony; wyglądała jak zawsze, gdy miała się rozpląkać. Co mógł poradzić? Przez połowę czasu zachowywała się, jakby była dojrzalsza niż on, ale teraz miała swoje osiem lat, tęskniła za matką i miała ochotę na lody.

Piętnaście minut później, gdy minęli dwadzieścia zatłoczonych przecznic, Mike znalazł Rite Aid. Kat siedziała na lilipucim krzeselku przy kontuarze, jadła lody Rocky Road i popatrywała w dół, w głąb różka.

Ale wcale nie wybaczyła ojcu.

Obserwując, jak mała ogryza wafelek wokół lodu i delectuje się każdym kęsem z dziwnie żalonym skupieniem, zdał sobie sprawę, że patrzy jak na ostatnią wieczerzę skazańca.

Gdy wrócili do samochodu, gniew Kat osłabł, być może dzięki dawce cukru. Przypięta pasem bezpieczeństwa wierciła się na siedzeniu i śpiewała:

– *Paaanna Suzy była dzieckieem, dzieckieem, dzieckieem. Panna Suzy była dzieckieem i powiedziała, że...*

Mike jechał, gmerając przy kierownicy, telefon przycisnął do policzka.

– Lekarka dostała faks?

– Przed chwilą – odparł Shep.

– *La-la-la, ssij mój kciuk, daj mi gumę żuć...*

– Co teraz?
– Nie wiem. Ale tam, dokąd pojedzie Annabel, nie będziemy mogli mieć jej na oku. Musimy zerwać kontakt. To jedyny sposób, żeby zapewnić jej bezpieczeństwo.

– Co, jeśli ona...
– Musisz na to pozwolić, Mike!
– *...była nastolaaatką, nastolaaatką, nastolaaatką, panna Suzy była nastolatką i dlatego tak...*

– Nie mogę. Jest moją żoną. Muszę wiedzieć, co się z nią dzieje.
– Nawet jeśli to ją zabije?

Mike starał się zachować spokój. Wziął kilka wdechów.

– Masz coś na temat Kiki Dupleshney? – spytał.
– Rozesłałem wici dopiero dwanaście godzin temu.
– *...kawalek gumy do żucia, idź do swojego pokoju, oopo, aaaa, zgubiłam staniczek...*

– Wiem, Shep, ale... – Mike zerknął na Kat i dokończył w myślach: ale nie wiem, jak długo jeszcze moja córka to wszystko wytrzyma.

Śnieżka Drugi skakał teraz w jej rączkach, tańcząc do rytmu i kołysząc się. Poruszała pluszowymi nogami misia, jakby we dwoje brali udział w rewii z Las Vegas. Kat wydawała się oszołomiona.

Może gdyby zaczęła teraz biegać w kółko, krążyłaby aż do utraty przytomności.

– Gra w kotka i myszkę zajmuje czas, Mike – odpowiedział Shep. – Wiesz o tym.

Ruch uliczny zelżał. Mike miał pełen zbiornik paliwa, lecz nie miał dokąd jechać.

Panna Suzy właśnie przeżyła swój żywot do końca.

– *...do nieeeba, do nieeeba, panna Suzy poszła do nieeeba i powiedziała tak.*

Odłożył telefon na kolana i patrzył na światła uliczne. Wszyscy ci ludzie na chodnikach, kupujący coś, pchający wózki, wszyscy oni prowadzili normalne życie.

Do pierwszego lotu do Saint Louis pozostało aż siedem godzin.

– *...oooo, aaaa, zgubiłam staniczek, pomóż mi, dławię się,*

tra-laaa-laaa!

Nanosekunda milczenia.

Mike z ulgą wypuścił powietrze z płuc.

– *Paaanna Suzy była dzieckieem, dzieckieem, dzieckieem...*

Minęli park miejski z trawiastymi wzgórzami, piknikowymi ławami i drabinkami. W trakcie trzeciej zwrotki Mike zjechał na bok, w stronę toalet. Nerwowo czekał na dworze, aż Kat wyjdzie. Potem usiedli przy piknikowej ławie, Mike przyniósł plecak i sprawdził, co mają do jedzenia. Zauważył, że co chwilę lustruje parking i drzewa rosnące wzdłuż granicy parku. Dostrzegł mężczyznę w ciemnych okularach, który prowadził psa. Kat ledwie skubała kanapkę. Nie mógł jej za to winić. Pięć ich ostatnich posiłków składało się z czerstwego chleba z masłem orzechowym.

– Ta kanapka nie zje się sama – zachęcił ją.

– Ale gdyby się zjadła – odpowiedziała Kat – to byłoby naprawdę fajnie.

– Chcesz, żebym ci kupił ciepły lunch?

– Nie. Naprawdę. Jest okay.

Ugryzła kęs i zaczęła ostentacyjnie przeżuwać, podkreślając trud, z jakim przychodziło jej jedzenie. Mike przyglądał się bystrej córeczce.

Chmury przepłynęły im nad głowami i w parku zrobiło się mroczniej. Pomyślał o bilecie w jedną stronę dla dziecka bez opiekuna, do Saint Louis. Wpół do szóstej wieczorem. Jej karta pokładowa gięła się w tylnej kieszeni jego spodni. Przesunął po niej palcami. Odchrząknął.

– Twoja matka i ja, kiedy się pobraliśmy... o rany, tak bardzo chcieliśmy mieć dziecko. Chcieliśmy cię bardziej niż czegokolwiek na świecie. Wiesz o tym?

Kat skinęła głową niecierpliwym gestem, wpatrzona w ogrodzone drabinki poniżej.

– Mogę iść się pobawić?

Walczył ze sobą, żeby zachować równy i spokojny głos.

– Oczywiście, kochanie – wydusił w końcu.

Natychmiast zbiegła w dół, nie dbając o pozostawioną kanapkę. Mike sprzątnął, a później poszedł za nią i obserwował ją zza płotu.

Na moment pozwolił sobie na fantazję – Kat huśtająca się na oponie na podwórku kosztownego domu w Saint Louis; brat Annabel czekający na werandzie ze swoją młodą żoną i lemoniadą.

Pomyślał o placu zabaw, przy którym w dzieciństwie porzucił go ojciec, o zawodzeniu odległego dzwonu. Przypomnił sobie, jak wynurzył się z żółtego tunelu dla dzieci i popatrzył na puste miejsce parkingowe przy krawężniku. „Powiesz mi, czyj jesteś?”

Serce biło mu szybko. Poczował, że musi być bliżej swojego dziecka. Obszedł płot, wszedł na plac i popychał Kat, gdy wybrała huśtawkę. Przez jakiś czas nie istniało dla niego nic poza piaskiem pod stopami, przyjemnym wiatrem i córką, która to się oddała, to nadlatuje. Jej długie loki powiewały, czasem ocierając się o jego twarz, potargane i pachnące ponczem owocowym. Ta scena nigdy się nie zmieniała. Kat mogłaby mieć znów dwa lata, mogłaby mieć pięć. Mike mógłby mieć znów dwadzieścia dziewięć albo trzydzieści trzy.

Pchnął ją ponownie, lekko muskając dłońmi jej plecy, puszczał ją, łapał, znowu puszczał.

39

Doktor Cha pojawiła się w sali Annabel, gdzie wcześniej zostawiła zdumionego Shepa. Trzymała w ręce wniosek o przeniesienie.

– Muszę omówić tę kwestię z lekarzem przyjmującym. Potem potrzebny mi podpis kogoś z zespołu transportowego zajmującego się pacjentami w nagłych wypadkach.

– Co? – spytał Shep.

– Możesz mi go załatwić?

– Co?

– No to wspaniale – stwierdziła i zniknęła.

Shep odwrócił się do Annabel, jakby chciał sprawdzić, czy zrozumiała więcej niż on. Jednak ona nadal leżała nieruchomo na materacu, włosy miała splątane, oczy zamknięte.

Zadzwonił telefon na stoliku obok łóżka. I znowu. I jeszcze raz.

Shep podszedł i odebrał.

– Tak?

– Mówi doktor Cha. Z kim rozmawiam?

Bardzo długa pauza.

– Z doktorem Dubronskim – odparł Shep.

– Doktorze Dubronski, czy ryzyko grożące pacjentce podczas transportu zostało wyjaśnione jej pełnomocnikowi medycznemu?

Shep dłubał paznokciem w zębach.

– Tak.

– Jest pan zaznajomiony z przypadkiem Annabel Wingate?

– Tak.

– Chciałby pan przedyskutować plan opieki teraz czy po przyjęciu pacjentki?

– Po przyjęciu pacjentki.

– Wyśmienicie. Przyśle pan własny zespół do transportu i opieki nad pacjentami w ciężkim stanie?

– Nie? – Milczenie. – Tak.

Kliknięcie. Ciągły sygnał w słuchawce.

Rozległ się odgłos lekkich kroków, potem krótkie pukanie do drzwi i doktor Cha zjawiała się znowu z jakimś formularzem na podkładce do pisania z klipsem. Wesóło postukała w formularz długopisem.

– Potrzebuję podpisu, o tutaj.

Shep coś nabazgrał.

Lekarka zerknęła na kartkę.

– Żarciki z pisma lekarzy, co?

Kopnęła zielony pedał i wytoczyła łóżko Annabel spod ściany, skierowała je ku Shepowi, a sama zajęła się przyłączonym wózkiem i stojakiem z kroplówką. Po chwili szli korytarzem, a gdy dotarli do windy, pochyliła się i wybrała przycisk trzeciego piętra.

Ku nim korytarzem biegła sekretarka.

– Doktor Cha! Jakiś prawnik na trzeciej linii. Chodzi o Annabel Wingate. Mówi, że sprawa jest pilna.

Lekarka mrugnęła do Shepa, potem drzwi windy się zasunęły i stracił ją z oczu.

Zanim Shep zdążył zaprotestować, jechał w górę. Popatrzył na Annabel. Płyny przemieszczały się w rurkach. Sprzęt wydawał piknięcia. Annabel oddychała, skóra na jej szyi wydawała się cienka i przezroczysta, widać było pod nią słabe niebieskie żyłki. Shep zastanawiał się, co, do diabła, zdarzy się później.

Wreszcie winda się zatrzymała, drzwi otworzyły; na zewnątrz w półokręgu czekała grupka osób w kitlach; z przodu stała poważna młoda kobieta.

– Jestem doktor Bhatnagar. Czy to pacjentka, którą doktor Dubronski chciał tutaj przenieść?

Shep wytoczył łóżko z Annabel, oddając ją w ich ręce, a drzwi windy

zasunęły się za nim.

Potarł sobie ramię.

– Tak, jasne.

Kobieta podniosła podkładkę do pisania z łydek Annabel, gdzie położyła ją doktor Cha. Na wykresie dane Annabel zostały zamalowane czarnym pisakiem jak w dokumentach CIA.

– Znasz nazwisko pacjentki?

Jakiś starszawy mężczyzna na wózku niecierpliwie odsunął Shepa i nacisnął guzik windy.

– Nie – odparł Shep.

Lekarka zapisała na wykresie „NKRB 2”. Widząc zaskoczone spojrzenie Shepa, wyjaśniła.

– Niezidentyfikowana kobieta rasy białej. Tak, już jedną mamy. Spadają nam dziś z nieba. – Szybko kiwnęła głową w stronę Annabel. – Rozumiem, że jest ofiarą przemocy domowej.

– Możliwe – odparł Shep.

– Ukryjemy ją więc na pediatrycznym oddziale intensywnej terapii. Bardzo dziękuję. Teraz my się nią zajmujemy.

Kiwnęła mu głową, odprowadzając go. Shep wrócił do windy, prawie potykając się o wózek starszego mężczyzny. Drzwi się zamknęły i winda ruszyła w dół, do holu. Cała akcja zajęła dosłownie minutę albo dwie.

Shep odchrząknął i odezwał się, może do starszego mężczyzny, a może po prostu do nieruchomych ścian windy.

– Nigdy nie zrozumielem inteligentnych kobiet.

■ ■ ■

Kat pluskała się w wannie, którą przed napełnieniem Mike starannie wypłukał. Motel, podobny do poprzednich, znajdował się w obskurnej części Van Nuys, o rzut kamieniem od parku, gdzie uderzał kiedyś kijem baseballowym w maskę ciemnozielonego saaba.

Siedział na łóżku, na kolanach miał ciężki staroświecki aparat telefoniczny, żołądek wypełniały mu kwas i tępy ból. Kurz, który się podniósł, kiedy Mike siadał na rdzawopomarańczowej narzucie, unosił się w powietrzu, obojętny na grawitację. Drobiny tańczyły w snopie światła padającego ukośnie przez jedyne okno. Wychodziło na boczną uliczkę

za płotem z drucianej siatki, w której utknęły niesione przez wiatr plastikowe opakowania. Mrok zapadał szybko, wręcz na oczach Mike'a – wokół ciemniało, jakby w oświetlającej świat latarce wyczerpywały się baterie.

Wiele razy omawiał z Shepem przeniesienie żony. Gdy Shep ostatnio widział Annabel, była w dobrym stanie, chociaż jej powrót do zdrowia chyba się przeciągał. Przyjaciel dał Mike'owi jasno do zrozumienia, że kontakt z lekarzami w nowym miejscu mógłby narazić na niebezpieczeństwo ją, Mike'a, a nawet Kat. Mike z ciężkim sercem zgodził się, że to niepotrzebne ryzyko.

Shep miał teraz czas dla Kiki Dupleshney. A jednak nie to nurtowało Mike'a.

Rozmyślał raczej nad dwiema kartami pokładowymi na nazwisko Kat, złożonymi i zmiętymi w kieszeni; teraz leżały obok niego na łóżku. Jeden bilet był na popołudniowy lot, jeden na nocny – za kwadrans dwunasta.

Stojący obok zegar wskazał minutę po piątej.

Spoconymi rękami Mike wykręcił numer, połączył się dzięki karcie, którą dostał od Shepa.

– American Airlines, port lotniczy Los Angeles, LAX.

– Czy może mnie pani połączyć z bramką lotu numer siedem sześć osiem? – spytał. – Mam niezwykle pilną wiadomość dla pewnej pasażerki.

Zamiast odpowiedzi usłyszał muzykę. Daniel Powter radził sobie jakby lepiej niż zwykle, lecz Mike nie potrzebował od niego przypomnienia, że miał zły dzień. Piosenkę o błękitnym niebie przerwał melodyjny męski głos.

– Mam ważną wiadomość dla pasażerki, która leci tym samolotem, Katherine Wingate – powiedział Mike.

Pauza.

– W porządku – odrzekł mężczyzna. Rozległ się szelest, prawdopodobnie zakrył głośnik dłonią, a potem dodał: – Jest tutaj osoba, która panu w tej sprawie pomoże. Oddaję słuchawkę.

– Halo? – odezwał się zimny damski głos.

Policjanci okazali się bystrzy – podstawili funkcjonariuszkę.

– Halo – odparł Mike ostrożnie.

– Jestem w towarzystwie Katherine Wingate – oznajmiła kobieta. – Powiedziano mi, że ma pan dla niej wiadomość?

Mike się rozłączył i spuścił głowę. Skoro sprawdzali konto PayPal Annabel i szukali lotów na nazwisko Kat, cóż, równie dobrze mogą monitorować pociągi, granice, dalszych i bliższych członków rodziny. Mike nie miał już pojęcia, w jakim bezpiecznym miejscu – poza czterema ścianami tego głównianego pokoju motelowego – mogłby umieścić córkę.

Kat pluskała się w wannie, odbicie wody migotało w otwartych drzwiach. Śpiewała cicho, fałszując, głosem pełnym czułości, tak samo jak Annabel, kiedy Mike słuchał jej przez elektroniczną nianię.

– *Uśnij, oczka zmrzuż, przystrojona pośród róż. Tato? Co to znaczy „przystrojona”?* Tato?

– Ozdobiona. – Jego głos brzmiał chropawo.

– *Aha. Przystrojona pośród róż. Uśnij, oczka zmrzuż, przystrojona wśród róż...*

Mike przedarł na pół kartę pokładową na lot o wpół do szóstej, a potem znów na pół i jeszcze raz, aż sto maleńkich kawałeczków sfrunęło na dywan jak śnieg. Gula w gardle utrudniała mu oddychanie.

– *Uśnij, oczka zmrzuż, pociechą mamusi któż?* Pociecha mamusi?

– Ty, kochanie – odpowiedział. – Ty jesteś pociechą mamusi.

Podarł również drugą kartę, tę na lot przed północą, którym naprawdę zamierzał wysłać Kat, gdyby usłyszał przez telefon inną odpowiedź. Popatrzył na skrawki papieru.

Co teraz? – zastanawiał się.

– *Uśnij, oczka zmrzuż, a twój Anioł Stróż strzec cię będzie aż do porannych zórz.*

Zadarł głowę, odchrząknął, wytarł nos. Kat wyszła już z wanny i wycierała się ręcznikiem. Jej różowe ciało było szczupłe, łokcie i kolana sterczały spod ręcznika. Na blacie z taniej płyty wiórowej zauważył bąble od wilgoci; rdza otaczała krany. Pomyślał: to nie jest miejsce dla niej.

Przypomniat sobie prośbę wypowiedzianą przez Annabel, gdy ciemna krew płynęła jej z rany między żebrami. Miał zabrać Kat, wywieźć ją, daleko od tego wszystkiego. Miał ją chronić.

Skonfrontował twardą rzeczywistość – zadanie, które musiał wykonać, aby spełnić obietnicę daną żonie.

Podniósł konfetti z dywanu, wrzucił do kosza na śmieci i podszedł do Kat. Ręcznik, który zawiesiła sobie na ramionach niczym bokser, sięgał tylko do połowy lekko wydętego brzuszka. Wytarła sobie włosy zbyt energicznie i jej loki wyglądały jak natapirowane. Mike nie pomyślał, żeby kupić spray ułatwiający rozczesywanie, który stosowała Annabel. Cesał cierpliwie, najpierw końcówki, a później coraz wyżej, niestety, sprawiał jej ból, aż stała się rozdrażniona.

– Stój spokojnie, kochanie, muszę...

– Auuu, auuu. – Odsunęła się. Chwycił ją za ręce, opuścił je i zaczął od nowa. Był już w połowie drogi i usiłował związać jej włosy gumką. Dziewczynce z bólu w oczach stanęły łzy, a Mike był coraz bardziej poirytowany, gdy próbował wyprostować kitkę. – Auuu. Nie tak, tato.

W końcu Kat się wyrwała i stanęła oparta plecami o kontuar, jak bojowniczką. Natychmiast wsunęła sobie palce we włosy i zaczęła drapać się tak mocno, że na linii włosów pojawiły się ślady po paznokciach.

Mike'a ogarnął strach.

– Daj, zobaczę.

– Nie mam wszy!

– Chciałbym zobaczyć.

– Nie.

– Kat!

Wziął córkę za chudą rączkę, odwrócił ją i pochylił jej głowę.

Na karku miała małe białe kropeczki.

Gnidy.

Kat odczytała jego minę w lustrze i wyrwała się z jego uścisku.

– Nie. Nie znowu! Nigdy więcej majonezu na głowie. Nie zrobię tego nigdy więcej. Nie zrobię. Nie zrobię!

– Nie mamy wyboru! – krzyknął.

Cofnęła się, znów przylgnęła plecami do kontuaru, przodem do ojca.

– Nie mamy wyboru – powtórzył. – Zresztą ten majonez wcale nie działa. – Zęby miał zaciśnięte. – Łagodne sposoby nie są skuteczne, Kat. Żeby się z tym uporać, musimy użyć czegoś mocniejszego. Środek chemiczny może swędzieć i może nie wydawać się dobry, ale czasami właśnie tego trzeba, jeśli mamy uchronić cię przed...

Uświadomił sobie z przerażeniem, że za chwilę się rozplacze.

Córka pobladła, jakby dopasowując się do białego ręcznika, który wcześniej spadł i leżał u jej stóp. Usta rozchyliła, wargi jej drżały. Ramiona trzymała przed sobą, piąstki zacisnęła.

Mike mocno oparł rękę o ścianę, pochylił się lekko i usiłował złapać oddech. Kat czekała, spięta. W końcu wyciągnął do niej dłoń, ale ona gwałtownie się odsunęła.

– Przepraszam – jęknął. – Ja też tęsknię za twoją mamą. Annabel lepiej sobie radzi... gdy chodzi o... – Głos mu się załamał, strasznie, nieodwołalnie. – Ja też za nią tęsknię – powtórzył.

W dziewczynce coś się jakby odblokowało, najpierw rozluźniła ramiona, a potem opuściła ręce i rozluźniła piąstki. Przycupnęła, podniosła ręcznik i owinęła się nim szczelnie. Głowę miała spuszczoną, a jej łzy kapały na cienkie, wytarte linoleum. Mike niepewnie próbował ją przytulić. Nie odepchnęła go, więc przyciągnął ją do siebie i trzymał mocno, a ona z całych sił uchwyciła się jego ramienia.

Przez chwilę oglądali program w kiepskim odbiorniku telewizyjnym, po czym zjedli późną kolację.

– Och, tato, świetnie! Masło orzechowe i sok owocowy! Mniam, mniam.

Robił, co mógł, żeby się uśmiechnąć, udawać, że sytuacja jest pod kontrolą, ale jego twarz była jak z drewna. Wiedział, że z każdą mijającą minutą zbliżają się do zdarzenia ostatecznego, do realizacji decyzji, którą już podjął. Wziął długi prysznic i ogolił się jednorazową maszynką.

Gdy goliłem się ostatnim razem, pomyślał, byłem we własnej łazience i dumalem o tym, że muszę kupić nowe ostrza. Annabel leżała w łóżku, przeglądając czasopismo i fałszywie nucąc piosenkę Niny Si-

mone.

Ochlapał twarz zimną wodą, żeby splukać osad po pianie, a potem wrócił na końcówkę *Simpsonów*. W końcu zapiął Kat w jasnoniebieskim śpiworze, sprawdził baterie elektronicznej niani i wsunął nadajnik pomiędzy małą i Śnieżkę Drugiego. Udawał, że nie widzi, jak dziewczynka drapie się po głowie.

Zasłonki ledwo się stykały, więc przycisnął je krzesłem. Kiedy się odwrócił, dostrzegł na sobie spojrzenie Kat – skupione, intensywne – i zrozumiał, że kiedy jego koszula na moment się uniosła, córka zobaczyła broń wciśniętą za pasek jego spodni.

– Strasznie się boję – powiedziała. – Śmierci.

Podszedł, usiadł obok niej i łagodnie przesunął kłykiem po jej nosku.

– Wszyscy boją się śmierci.

– Ty też?

Biorąc pod uwagę to, o czym myślał, pytanie było doprawdy prorocze.

– Trochę tak – odparł. – Jasne.

– Czego boisz się najbardziej? Tego, że będziesz martwy, czy tego, że nie zobaczysz już nigdy mnie i mamusi?

– A co za różnica? – spytał spokojnie.

Po chwili mina małej się zmieniła i Kat skinęła głową. Mike pocałował ją w policzek, wdychając jej zapach. Wtuliła się w poduszkę.

Gładził jej włosy, aż zasnęła.

Schował do kieszeni batphone, przypiął odbiornik niani do paska i zamknął córkę w jej pokoju. Przeszedł kilka kroków zewnętrznym korytarzem i kucnął przy ścianie. Po drugiej stronie pasa przeznaczonego na parking z szumem pędziły samochody. Powietrze było ciężkie od wyziewów ropy i tłuste jak fast food. Na ziemi mrówki pełzały po ogryzku jabłka. Odbiornik wył trochę, więc Mike starał się nie oddalać dalej niż o metr czy dwa od drzwi pokoju, żeby urządzenie nie straciło zasięgu.

Pokojówka pchała szczotkę do zamiatania na długim kiju. Szła korytarzem, w stronę Mike'a, ze spuszczoną głową. Była mocno zgarbiona

i stara, ubrana w czarny, staroświecki strój – stereotyp, który przełamywały słuchawki od iPod'a widoczne wśród jej siwych prostych włosów. Minęła go i przeszła dalej korytarzem, hałaśliwie przesuwając przed sobą stos śmieci. Nie zauważyła Mike'a nawet wtedy, gdy pochyliła się artretycznym ruchem, by podnieść ogryzek i zamieść odpady. Ruszyła dalej, kierując się na zewnątrz, ku parkingowi, włosie miotły sennie skrobało beton – szu, szu, szu.

Shep odebrał po pierwszym dzwonku.

– Jestem już blisko – oznajmił. – Kiki Dupleshney. Wszyscy wiedzą, że szukam oszustki do pewnej roboty. Jej nazwisko pojawia się w rozmowach. Prędeż czy później ktoś mnie z nią skontaktuje.

– Stan Annabel się polepsza, prawda? – spytał Mike. Shep nie odpowiedział. – Zajmiesz się Kat, aż Annabel wróci do formy? – dorzucił.

Stara kobieta szła teraz przez parking – szu, szu, szu.

– Co zamierzasz, Mike?

– Tamci chcą mnie, nie Kat. Mnie.

– A jeżeli Annabel nie wyzdrowieje? I ciebie nie będzie w pobliżu? Chcesz, żebym mówił twojej córce, że jej ojciec się poddał i dlatego tak beznadziejnie wychowuje ją jakiś kasiarz?

– Nie poddam się. Stawiam im czoło. Może uda mi się zdobyć nad nimi przewagę... Ale jeśli wygrają oni...

– Widziałem tego Dodge'a – wtrącił przyjaciel. – Wygra on.

Odbiornik przy biodrze zapiszczał, więc Mike zrobił głośniej.

– Wtedy dostaną to, czego chcą. A Kat nie przyda im się do niczego. Będzie bezpieczna.

– Namierzę Kiki Dupleshney – zapewnił go Shep. – Niedługo. Ona ich nam wskaże. Wtedy ich znajdziemy, zanim oni znajdą ciebie.

– A co będzie robić moja córka? Stać na czujce?

Przeszedł korytarzem, szuranie miotły brzmiało nienaturalnie głośno, atakowało go, drażniło nerwy: SZU! SZU! SZU! Mike odwrócił się i o mało nie potknął o kobietę, która znowu zamiatała tuż obok niego. Jej głowa nadal pozostawała pochylona, a ona znów dotykała szufelką podłogi, jej głęboko osadzone oczy wciąż nie były widoczne. Z maleńkich słuchawek, wcisniętych w jej uszy o miękkich, nieco obwisłych i

pomarszczonych płatkach, dolatywała cicho muzyka – meksykańscy mariachi grający z werwą na skrzypcach i trąbkach. Mike popatrzył obok jej pochylonego ramienia i wśród stosu śmieci i niedopałków, które przyniosła z parkingu, zobaczył łupiny od pestek słonecznika wciąż połyskujące od śliny.

Telefon wypadł mu z ręki, wirując w zwolnionym tempie, aż roztrzaskał się na betonie.

Równocześnie z odbiornika przy biodrze Mike'a popłynęły niewyraźne krzyki Kat, zlewające się w jeden długi odgłos podobny do brzęczenia osy.

Mike ruszył do biegu i pokonał w panice dziesięć metrów odliczanych przez zakłócenia płynące z odbiornika, w którym wcześniej podkręcił dźwięk – łomot, trzask metalu o metal, ochryple, stłumione wrzaski.

Szarpnął drzwi, prawie wrywając je z tanich zawiasów.

Łóżko było puste.

Nie było Kat ani śpiwora, w którym spała.

40

Narzuta była zabrudzona z prawej strony – musieli wejść przez okno. Firanki zwijały się na wietrze. Ziemisty ślad szpecił też fotel, na którym stanął ktoś o bardzo dużej stopie, zapewne mężczyzna.

Mike poczuł, jak ogarnia go jakieś pierwotne uczucie, promieniujące z jego kości, ze spiral DNA; rozpała jego nerwy i czerwieni skórę.

Odbiornik przy biodrze przekazywał wrzaski Kat, a później dudnienie silnika i jakiś głośny szelest. Echo dźwięków wpadało również przez otwarte okno, tworząc dudniący efekt stereo. Mike podskoczył do parapetu, położył na nim dłonie i wychylił się akurat w chwili, gdy biały kwadrat zniknął na końcu bocznej uliczki; skręcając, kwadrat wydłużył się w prostokąt i Mike rozpoznał furgonetkę.

Jak? Jak Dodge i William ich wyśledzili?

Krzyki córki atakowały go jak w koszmarze. Podnieśli ją, tak jak leżała, w śpiworze, i wynieśli jak kota w worku, nie zauważwszy elektronicznej niani.

Ryknął za niewidoczną już furgonetką i wyskoczył przez okno. W sześciu szaleńczych krokach pokonał uliczkę, zanim się opamiętał i wycofał. Postanowił zawrócić i popędził do hondy. Zostawił za sobą metr zdartej z opon gumy, a na zakręcie otarł auto o mur.

Z odbiornika dobiegał jedynie stały szum zakłóceń. Furgonetka odjechała zbyt daleko i połączenie zostało przerwane. Autem aż zarzuciło, gdy Mike wyjechał z małej uliczki w większą, spokojną, zabudowaną domami mieszkalnymi. Furgonetka zniknęła. Przez moment Mike znów coś słyszał – połączenie wróciło i Kat przywoływała go to głośniej, to

słabiej – potem jednak dźwięki zwały się w morze trzasków. Przyspieszył, dotarł do skrzyżowania i nie hamując, skręcił w prawo.

Nic, tylko zakłócenia.

Zawrócił, uderzając przy okazji w zaparkowane bmw, i na pełnym gazie wybrał inną drogę. Trzaski, zgrzyty i w końcu wyraźniejsze dźwięki, wybijające się ponad jazgot.

– ...lepiej bądź cicho, bo inaczej... – To był rozmywający się głos Williama.

Znów cisza.

Zakłócenia, nic więcej.

Mike docisnął hamulec i znów zawrócił, a jadąca za nim półciężarówka gwałtownie skręciła i wjechała na trawnik przed czyjś domem. Ryk klaksonu osłabł, kiedy Mike zjechał w inną wąską uliczkę. Światelka na monitorze odbiornika zaczęły migać, nabierać koloru, płonąć.

Krzyk Kat stał się wyraźniejszy, ponieważ Mike przyspieszył i zrównał się z furgonetką pędzącą równoległą ulicą. Od czasu do czasu widział pojazd przez ogrodzenia i boczne podwórza. Spoglądał to w bok, to przed siebie – droga, furgonetka, droga, furgonetka – starając się mieć oko na samochód porywaczy, widoczny w blasku ulicznych latarni. Nagle furgonetka odskoczyła w prawo, a światelka na monitorze zgasły. Mike wjechał na krawężnik, przeciął czyjś trawnik, staranował boczne ogrodzenie i przemknął przez podwórko za domem. Jakiś mężczyzna popatrzył na niego wrogo znad grilla, wyzwał od sukinsynów, a sekundę później na pomoc skoczył mu obronny doberman. Mike przeciął kolejny płot, potem zjechał po nasypie i przejechał przez dwa pasy ruchu, kierując się na północ; inne samochody wpadały w poślizg, a z odbiornika docierał wyłącznie ryk zakłóceń. Nagle zdało mu się, że słyszy krzyk, odgłos zniknął najpierw w białym szumie, ale po chwili, drżący, powrócił. Mike przyspieszył, torując sobie drogę między pojazdami, pędząc wśród wystawionych pojemników na śmieci, desperacko starając się nie stracić cieniutkiej nici łączącej go z córką.

Odbiór stał się teraz klarowniejszy. Mike wybrał zakręt w lewo i wtedy dźwięki wydały mu się jeszcze wyraźniejsze. Pozostawiając po sobie dym z rury wydechowej, przemknął przez stację benzynową, jadąc

na dwóch bocznych kołach; przeciążony silnik skarżył się z lamentem. Samochodem zarzuciło na drogę – żadnej białej furgonetki, żadnej białej furgonetki, żadnej białej furgonetki – wreszcie honda odzyskała równowagę, a obracające się koła przyczepność. Mike intuicyjnie skierował się na parking niedużego centrum handlowo-usługowego.

Krzyki Kat były teraz boleśnie wyraźne, doprowadzały go na skraj szaleństwa. Wiedział, że córka – chociaż jest niedaleko – może być w każdym nieodległym miejscu w dowolnym kierunku. Zaczął się obawiać, że tłumiona wściekłość za chwilę rozsądzi mu głowę, kiedy wreszcie za sztachetami płotu dostrzegł białą furgonetkę.

Docisnął pedał gazu do samej podłogi i uderzył w płot. Nie wahał się, więc równocześnie uderzył w drewno i w blachę. Furgonetka odbiła się od hondy, zakołysała i znieruchomiła, a chmura drzazg i odłamków wzniosła się i sennie opadła nad parującym pojazdem. Mike wyskoczył z hondy z uniesionym rewolwerem i ruszył do wgniecionej furgonetki, tymczasem William na siedzeniu kierowcy kaszlał i mrugał, usiłując pozbyć się z oczu pyłu.

Otworzyły się wklęsnięte boczne drzwi. W środku był Dodge, który w jednej ręce trzymał śpiwór niczym ciężki worek ziemniaków, w drugiej unosił młotek z kulistą główką. Mike, potykając się przy ziejącej dziurze w płocie, wiedział, że ze swojej pozycji nie zdoła celnie trafić Dodge'a. Podskoczył więc do drzwi kierowcy, wsunął przez opuszczone okno smith & wessona i przytknął wylot lufy do policzka Williama.

Zerknął na tył furgonetki i zobaczył, że Dodge zastygł, nadal trzymając uniesiony młotek. Jasnoniebieski śpiwór wybrzuszał się i skręcał. William podniósł ręce w geście poddania, sztywne palce rozczapierzył.

– Zwolnij, chłopie! – mówił.

Dodge przesunął się nieco ze śpiworem, obracając go bardziej pionowo i Mike widział teraz głowę córki, zwisającą, choć zabezpieczoną paskiem śpiwora. Broń zadrzała mu w dłoni. Rozległy się stłumione krzyki i pisk. Młotek Dodge'a się poruszył.

Chociaż Mike widział wielkoluda pod kątem, ich spojrzenia spotkały się teraz ponad tylnym siedzeniem. Najwyraźniej Dodge poczuł respekt z powodu tego, co zobaczył w oczach Mike'a, bo powiedział:

– No to na trzy.

Kat kaszłała i się dławiła. Rozległo się wycie syren, po chwili zwielokrotnione przez kilka innych. Gliniarze osaczali go jak drapieżniki ofiarę.

Mike lekko kiwnął głową.

– Raz... dwa... trzy... – powiedział nadspodziewanie pewnym głosem, chyba bardziej opanowanym niż kiedykolwiek przedtem.

William, wciąż trzymając ręce w górze, nerwowo przesunął się na siedzenie pasażera. Mike celował w jego szyję. Dodge w tyle opuszczał młotek, powoli, centymetr za centymetrem. Ryk syren rósł, a jednocześnie Mike uświadomił sobie niewyraźnie, że wokół niego zapanował ruch – to gapie, przypadkowi świadkowie, którzy kryli się za pojazdami lub umykali do znajdującego się tuż przed Mikiem sklepu 7-Eleven. William pchnął drzwi i niezdarnie zeskoczył na ziemię. Mike pochylił się, bo nie chciał stracić go z celownika.

– Telefon komórkowy Annabel – powiedział do Williama. – Za dwie godziny.

Dodge pchnął śpiwór ku Mike'owi i wyskoczył. Mike musiał zrobić gwałtowny wypad, żeby schwycić córkę, i zanim zdążył się wyprostować razem z Kat, Dodge i William znikali już za rogiem.

Biegiem kierowali się za sklep.

Mike wydobył uwięzioną Kat, objął jej zarumienioną buzię obiema rękami i przez moment napawał się jej widokiem. Nogi się pod nią ugięły, więc trzymał ją tak długo, aż mogła ustać sama. Na szczęście była cała.

– Chodź – polecił. – Prędko.

Szarpnęła ojca, pochyliła się i podniosła z chodnika Śnieżkę Drugiego, po czym przytuliła go do piersi. Mike bezwiednie zajrzał do furgonetki przez okno kierowcy i jego wzrok przyciągnęła gruba szara teczka wsunięta między siedzenie a wiszący pas bezpieczeństwa. Na etykietce teczki nabazgrano niestarym, rozlazłym pismem: „Mike Wingate”. Sięgnął przez okno i zabrał ją.

Przed sobą znowu zobaczył Dodge'a, który, skręcając za budynek, potknął się, zatrzymał, przyłożył dłoń do ceglanej ściany. Był blisko.

Mike zerknął na teczkę, którą trzymał w dłoni. Tak, bez wątplenia to po nią wracał Dodge. Złapał Kat, odskoczył w tył, potem w bok. Dodge zamierzał się na nich rzucić.

Syreny wyły, zbliżały się. Coraz bardziej.

Dodge zastanowił się i zrezygnował. Odwrócił się i po raz drugi zniknął za rogiem. Mike i Kat ruszyli biegiem w przeciwnym kierunku. Kiedy gramolili się przez kępę krzewów na krawędzi parkingu, Mike dostrzegł niebieskie i czerwone światła policyjne – wozy były na skrzyżowaniu, jakieś czterysta metrów dalej.

Pokonywali podwórka za domami, boczne uliczki, alejki, ulice – pędzili bez końca a czasem szybko szli, żeby nie przyciągać spojrzeń przechodniów. W motelu zastali kierownika i pokojówkę zdumionych zniszczonymi drzwiami, oceniających szkody. Mike przepchnął się między nimi, wszedł do pokoju, szarpnął pozostawiony w kącie plecak i pospiesznie wybiegł.

Kat pędziła u jego boku, oniemiała i blada jak śmierć. Cztery ulice dalej Mike dostrzegł starą toyotę camry zaparkowaną na małym podjeździe, za którym stał nieoświetlony budynek. Tym razem w ogóle się nie cackał, bez wahania roztrzaskał okno obluzowaną kostką brukową, którą podniósł z ziemi. Sięgnął przez rozbitą szybę i otworzył garaż przyciskiem przymocowanym do osłony przeciwsłonecznej nad kierownicą. Powiedział Kat, żeby poczekała, i zanurkował pod podnoszącą się bramę garażu. Wewnętrzne drzwi do kuchni nie były zamknięte, a kluczyki od samochodu wisiały na haku obok włącznika światła.

Jadąc toyotą, mijał spustoszenia, do jakich doszło, gdy ścigał porywaczy – poobijane samochody o powgniatanych maskach, zwichrzona, powyrywana trawa, wozy policyjne sunące we wszystkich kierunkach. Mike minął jeszcze cztery zjazdy na autostradę, zanim przypomniał sobie, że powinien oddychać. Zdał sobie sprawę, że odbiornik niani elektronicznej wciąż tkwi przypięty do jego biodra. Jednym ostrym ruchem oderwał go i rzucił pod nogi, jak gdyby parzył jego palce.

Zostawił toyotę na podwórzu za czymś domem cztery przecznice dalej, wziął Kat do motelu, który dostrzegł pod kolejnym zjazdem na

autostradę, w Panorama City. Próbował z nią rozmawiać, ale nie była w stanie wydobyć z siebie głosu, tylko gwałtownie oddychała. Przez czterdzieści pięć minut siedział na łóżku i kołysał ją, aż jej oddech się uspokoił, a jęki osłabły. Pozostała w na wpół embrionalnej pozycji, wtulona w niego, a on patrzył na cieniutkie żyłki widoczne na jej zamkniętych powiekach. Nawet gdy zasnęła, trzymał ją przy sobie i kołysał, zachwycając się jej ciepłem i rozmyślając nad cudem, dzięki któremu wykrał ją i miał z powrotem.

W końcu położył ją łagodnie, przykrył kołdrą i sprawdził godzinę. Do jego telefonicznej „randki” z Williamem i Dodge'em pozostało trzydzieści minut.

Wyjął z plecaka następną, nieużywaną jeszcze kartę telefoniczną oraz wypchaną teczkę, którą zabrał z rozbitej furgonetki. Położył je obok siebie na chwiejnym biurku w rogu i włączył lampę na wysięgniku.

Kiedy otworzył teczkę, zaszokowała go ilość i dokładność informacji. Patrzył na nie w milczeniu przez kilka chwil, nie dowierzając. Miał przed sobą dokładny raport na temat rodziców Annabel, podsłuchanych rozmów telefonicznych, adresy, pojazdy, numery ubezpieczenia społecznego, dane na temat przyjaciół, dawnych partnerów biznesowych i miejsc, do których podróżowali.

To była ledwie pierwsza strona. A podobnych były setki!

Przekartkował resztę z rosnącym przerażeniem. Rodzeństwo Annabel, jej kuzyni, pracownicy Mike'a, podwykonawcy, z których usług kiedyś korzystał, lekarze, sąsiedzi, rodzice przyjaciół Kat, eksmałżonkowie kolegów szkolnych Annabel ze studiów pedagogicznych. Na stronie dziewięćdziesiątej piątej znalazł odpowiedź na pytanie, w jaki sposób William i Dodge tym razem go odnaleźli.

Pod zdjęciem dziewczyny Jimmy'ego, Shelly, był numer rejestracyjny, ten sam, który Mike pożyczył sobie, odkręcając blachę od jej mazdy 626. Ten sam, który Mike sumiennie wpisywał w każdym motelu podczas meldunku, bo wpis gwarantował, że jego samochód nie zostanie odholowany z parkingu. Wystarczyło, żeby policja zagięła parol na niego i ten numer rejestracyjny. A później jeden telefon do kierownika motelu i już mogli dopaść śpiącą Kat.

Teczka zawierała również wyciągi z kart kredytowych z ubiegłych lat, na czerwono zakreślono hotele, w których Mike i Annabel się zatrzymywali, miasta, które odwiedzali, sklepy, w których regularnie robili zakupy, lokale, w których zamawiali jedzenie na wynos. Dalej były rachunki telefoniczne ich przyjaciół i nawet kilka transkrypcji, pewnie podsłuchiwanym rozmów; jego nazwisko albo imię podkreślano, ilekroć się pojawiło. „Wingate jest jakiś nieswój. W drodze z firmy kamieniarskiej kazał mi się zatrzymać przy cmentarzu, a potem latał wśród grobów jak duch”. Następne informacje dotyczyły współpracowników Mike'a, sugerowały, że zainteresowanie jego prześladowców zatacza coraz szersze kręgi, ukazywały sieć, w której żyli Wingate'owie, tworzyły mapę drogową ich egzystencji. Pewnych faktów nie znał do tej pory nawet Mike: że rodzice nauczycielki, która uczyła Kat w pierwszej klasie, mieli domek letniskowy w Mammoth; że kuzyn szwagra Annabel miał dom w ośrodku narciarskim Jackson Hole w systemie *time share*; że mieszkający po drugiej stronie ulicy Martinowie mieli drugi dom w Karolinie Północnej.

Dokądkolwiek ucieknie... Do kogokolwiek się zwróci...

Zrozumiał, że w ten sposób Rick Graham i jego Stanowe Centrum Oceny Zagrożeń Terrorystycznych osaczali prawdziwych terrorystów.

Zamknął teczkę i gapił się na nią beznamiętnie. Odkrył, że łokciami i dłońmi starł cały kurz z biurka. Dotarła do niego brutalna prawda o tym, jak bardzo tamci przewyższają go „siłą ognia”. Na tę myśl zadrgały mu nerwy. Miał tylko plecak pełen gotówki i umiał kraść samochody, a jego przeciwnicy potrafili zdobyć każdą informację, ponieważ dysponowali wszelkimi możliwościami wyszukiwania i badania danych, jakie są dostępne przedstawicielom rządu Stanów Zjednoczonych.

Popatrzył na zegar. Nadeszła pora.

Przez numer z karty połączył się z komórką Annabel. Czekał, aż ktoś odbierze, a pot spływał mu po żebrach.

- Mike Doe – zagał William.
- William Burrell – odparł Mike. – I Roger Drake.
- Widzę, że nieźle się przygotowałeś.

Mike spojrzał w dół, na teczkę.

– Tak jak i wy. – Milczenie. – Poszliście do mojej żony... bo chce-
liście dopaść mnie.

– Zgadza się.

– Ja też mogę się czegoś dowiedzieć o waszych rodzinach. Mogę się
dowiedzieć, gdzie mieszkają.

– Rodzina? – William wybuchnął śmiechem. – Moje podejście do
rodziny chyba znacząco różni się od twojego. Rodzina nic dla mnie nie
znaczy. Z wyjątkiem Hanleya... no ale jego już nie ma. Prawda?

– Gracie ze mną w gierki, ale nigdy nie powiedzieliście mi, czego
chcecie.

– Zabić cię.

Mike poczuł na skórze ciarki – tysiące lodowatych ukłuć, jakby
przebiegało po niej wiele maleńkich owadów o odnóżach z lodu.

– Tak po prostu? – upewnił się. Nie potrafił w to uwierzyć. – Nie
chcecie informacji? Pieniędzy? Macie mnie tylko zabić? I już?

– Tak. – William westchnął. – Jesteśmy żołnierzami, wiesz? Przy-
dzielono nam misję do wykonania. Jesteś celem. To przykry stan rzeczy.
Doskonale rozumiem, że ci się to nie podoba. Żał mi ciebie, wolałbym,
żeby chodziło o coś innego. Ale wiesz, są dwa rodzaje przestępców: tacy
z kodeksem i tacy, co go nie mają. My mamy kodeks, Dodge i ja. Zawsze
dotrzymujemy danego słowa. Nigdy cię nie okłamałem i nie zamierzam
teraz zaczynać.

– Kim był dla was mój ojciec? – spytał Mike.

– Nikim. Był nikim.

– Ścigacie mnie z powodu tego, co zrobił.

– Hm – zadumał się William. – Może zanim cię zabiję, podam ci
prawdziwe powody.

Mike zerknął na Kat, której pierś regularnie podnosiła się i opadała.

– Więc musimy to załatwić sami, wy i ja. Przyjadę do was sam. Ale
musicie zostawić w spokoju moją córkę. Ona nic nie wie. Nie była
świadkiem niczego.

Po drugiej stronie linii rozległ się cichy chichot, chociaż nie było w
nim rozbawienia.

– Ciągłe nie kumasz, co, stary?

Owady na lodowatych łapkach znów ożyły i biegały po skórze Mike'a.

– Czego nie... kumam?

– Katherine nie jest tu jakimś biernym obserwatorem – wyjaśnił William. – Jest naszym drugim celem.

I w słuchawce zapadła kompletna cisza.

41

Mike i Kat czekali przed frontowymi drzwiami centrum gier i minigolfa, kiedy kierownik o krostowatej twarzy przyszedł otworzyć. Mike zaparkował toyotę camry na brzegu parkingu, wcześniej wyjął roztrzaskaną szybę. Samochód miał tablice rejestracyjne, które Mike po drodze odkręcił z jakiegoś volkswagena jetta.

W salonie gier Mike rozmienił czterdzieści dolarów na ćwierćdolarówki, usadowił się przy automacie telefonicznym na tyłach, a Kat pozwolił grać w najbliższym rzędzie, żeby mieć ją na oku. Ciemności i błyskające światła działały dezorientująco, jakby Mike i Kat wciąż tkwili w niekończącej się nocy. Czy naprawdę na dworze był już ranek?

Nie spuszczać z oka córki, Mike odbywał kolejne rozmowy. Zaczynał od automatycznych numerów informacyjnych, gdzie zbierał dane, potem wybierał otrzymane numery, a następnie numery otrzymane pod tamtymi numerami. Ponieważ chodziło o służby ratownicze, większość miejsc była otwarta mimo soboty. Kat wlokła się od gry do gry, drapiąc się po głowie i patrząc nieobecnym wzrokiem na żarzące się ekrany. Salon gier był pełen dzieciaków, więc rzędy między automatami do gry wypełniały kolory i śmiech, otaczały Kat, były jak drwiąca wizja weekendowej rozrywki. Mike z trudem koncentrował się na zadaniu, które sobie wyznaczył. Wrzucając niezliczone ćwierćdolarówki, wykluczył pięćdziesiąt możliwości i zastanowił się nad kolejną pięćdziesiątką, usiłując wybrać najkorzystniejszą.

Kiedy skończył, książka telefoniczna była poznaczona potem ściekającym na jego dłoń. Co będzie, jeśli go śledzili i później sprawdzą

wszystko po odciskach palców? Czy Graham, Dodge albo William potrafią odczytać z tej książki, jakie miejsce Mike wybierze dla Kat? Pod wpływem paranoi wyniósł książkę telefoniczną z salonu i spalił nad śmietnikiem. Kat siedziała w samochodzie i przyglądała mu się tak bacznie, jak gdyby oglądała film w kinie dla zmotoryzowanych. Mike przykucnął nad miniaturowym stosem i grzał nad nim ręce w zimnym porannym powietrzu, aż sobie uprzytomnił, że za moment rozsłocha się przerażony tym, co ma zrobić.

Wyruszył na wschód. Jechali aż do późnego popołudnia. Kat, odwrócona do okna, patrzyła na ciągnącą się przy drodze pustynię. Jałowiec poruszał się na wietrze, unosił się fioletowy pył z lawendy, drzewa juki przypominały nagrobki nieoznakowanych mogił.

Dlaczego ośmiolatka stała się celem najemnych zabójców? W ubiegłym tygodniu William i Dodge przerazili Mike'a tak bardzo, że zabrał ją ze szkoły i przywiózł do domu. Przypomniawszy sobie palce Hanleya oblesnie obmacujące ramię Annabel. „Co za bałagan. Mieliśmy poczekać...”. Poczekać nie tylko na niego, lecz także na Kat!

Tamtego ranka wiele lat temu w kombi przerażenie w głosie ojca było wręcz namacalne. Może ojciec bał się wtedy o jego życie, dokładnie tak samo jak on bał się teraz o życie Kat. Ale dlaczego? Jego ojciec był odpowiedzialny za cały ten bałagan, w jaki zmieniło się ich życie... na to przynajmniej wskazywała plama krwi na jego mankiecie. Teraz jednak Mike przypomniawszy sobie inny obraz – on sam w przyćmionym garażu, ścierający z rąk krew Annabel. A może ojciec wcale go nie porzucił, lecz... uratował? Może wysłanie syna w obcy świat, w nowe życie było jedynym wyjściem, jakie miał ojciec, który chciał go ocalić?

Nie do końca ufał temu wyjaśnieniu. Pachniało życzeniowym myśleniem. Kojarzyło mu się z historią Supermana, którego tuż po narodzinach ojciec umieścił na statku odlatującym z planety Krypton. Wydawało się podsycane przez nadzieję i tęsknotę, a gdy chodziło o własne dzieciństwo, Mike zawsze uznawał, że nadzieja i tęsknota to ślepe uliczki.

Z drugiej strony... jak mógł się trzymać tej trwającej przez całe Życie urazy do ojca, skoro teraz zamierzał postąpić niemal dokładnie tak samo

jak on?

– Arizona – odezwała się Kat z rozmarzeniem w głosie, kiedy minęli znak stojący przy autostradzie. – Zawsze chciałam tutaj przyjechać.

Kiedy dotarli do miasta Parker, zabrał córkę do restauracji. Zamówiła stos grzanek z grillowanym serem, frytki i koktajl czekoladowy.

– Ty nie jesz? – spytała z pełną buzią, a on tylko pokręcił głową.

Kiedy płacił rachunek, wybiegła. Ogarnięty lekką paniką popędził za nią i znalazł ją przed witryną butiku. Ręką dotykała szyby i patrzyła jak urzeczona. A na wystawie, na wakacyjnym tle, wisiała bawełniana żółta sukienka w kratkę. Weszli do środka i Mike kupił ją córce wraz z nowymi butami i kilkoma koszulkami.

Później poszli do kina. Podczas napisów Kat, jak zawsze przy filmach Pixara, machała ręką z góry na dół wraz ze skaczącą lampką. A Mike przez następne dwie godziny rozparty w fotelu obserwował córkę zamiast ekranu. Z otwartymi ze zdziwienia ustami, uśmiechnięta, wybuchająca chichotem, z czerwonymi rurkami Red Vines w nosie... Przez jakiś czas było tak, jak gdyby cofnęli się w czasie i znowu wiedli normalne życie.

Później znalazł drogi hotel, który przyjmował płatność gotówką. Wystrój był trochę kiczowaty, lecz bez wątplenia pokój prezentował się o niebo lepiej niż w motelach. Mike wykąpał Kat, odchylając jej głowę w tył pod kranem, żeby umyć włosy. Widział wszy, ale nie miał serca wieńczyć wieczoru środkiem chemicznym.

W końcu Kat leżała w łóżku, zarumieniona i czysta.

– Opowiedz mi jakąś historię – poprosiła.

Mike zdał sobie sprawę, że przysunął do łóżka kwiecisty fotel niczym pielęgniarka czuwająca nad umierającym.

– O czym?

– O następnym miesiącu. Gdy już pojedziemy do domu. – Mrugała coraz wolniej. – Mama gotuje przez cały dzień. Wiesz, jak ona szaleje przed Świętem Dziękczynienia. I jest indyk. I placek nadziewany dynią. I te pomarańcze z wetkniętymi goździkami. Potem siadamy wszyscy razem i...

Zasnęła.

Mike przypomniał sobie, jak podano mu ją po raz pierwszy w szpitalu – puszyste zawiniątko z różowymi policzkami. Spojrzał wtedy na nią i pomyślał: niczego więcej nie będę potrzebował do końca życia. Przyłożył głowę do piersi córki i słuchał cichego bicia jej serca, wdychał jej oddech.

Wyszedł na balkon. Smog przesłaniał gwiazdy. Zadał głowę i spytał w myślach Annabel, czy otrzyma przebaczenie za czyn, który zamierza popełnić. Niestety, nie otrzymał z nieba żadnej odpowiedzi.

Rano Kat pochłonęła wielki stos naleśników, przerywając jedzenie tylko czasami, gdy musiała podrapać się po głowie. Później wrócili na górę, Mike spakował nieliczne rzeczy dziewczynki do plecaka, wyjął za to rewolwer i część gotówki. Stojąc przed lustrem łazienki, uczesał włosy córki powoli, starannie, potem zebrał je z tyłu i związał w idealny – nareszcie – koński ogon.

Kat uśmiechnęła się i lekko trąciła kucyk.

– Ładnie ci wyszło, tato!

Trochę czasu spędziła w łazience i wyszła stamtąd w nowej żółtej sukience. Chwyciła się pod boki i wykonała kilka nieśmiałych, teatralnych ukłonów.

– Ładnie?

Z trudem przełknął ślinę.

– Jakby była na ciebie uszyta.

Przejechał trasę zgodnie ze wskazówkami, które poprzedniego dnia otrzymał podczas rozmowy w salonie gier. Łańcuszek przekierowań prowadzący do tego miejsca był zbyt zawily, żeby Mike go zapamiętał – opiekunka społeczna odesłała go do innego pracownika opieki społecznej, który odesłał go do kogoś z referencjami – ale w pewnym sensie o to właśnie mu chodziło. Kręcąc, lawirując, przypochlebiając się i błagając, ostatecznie zdołał wydobyć od kogoś nazwisko osoby, której w swoim mniemaniu mógł zaufać.

Ręce jak robot zacisnął na kierownicy i popatrzył prosto przez przednią szybę, na przerywaną linię na drodze – na żółte paski przecinające czarny smołowany beton. Tak, był bez serca, był bezduszny, jak istota ze stali skupiona na jednym tylko celu. Chwilę później wyczuł na

sobie spojrzenie Kat, a potem kolejne, aż w końcu – gdy już patrzyła na niego nieprzerwanie – zaczął się obawiać, że jego wola słabnie. Tyle że byli już na miejscu, więc zaparkował po przeciwnej stronie ulicy, a Kat wyjrzała przez okno i zobaczyła długi parterowy wiejski dom, podwórko z placem zabaw i dziewczynkami.

Zrobiła ostry, głośny wdech.

– Dlaczego tu jesteśmy. – Nie zabrzmiało to jak pytanie.

Mike nie miał siły odpowiedzieć. Ledwie mógł oddychać. Nie, nie sposób wybaczyć rodzicowi, który potrafi zrobić dziecku coś takiego.

– Dlaczego – powtórzyła – tutaj... jesteśmy.

Zmusił zaciśnięte gardło do ruchu i słowa popłynęły.

– Potrzebuję twojej pomocy, kochanie.

– Tato!

– Widzisz, mamusi grozi niebezpieczeństwo i ja... muszę... muszę pojechać gdzieś z Shepem... żeby jej pomóc. – Nie umiał spojrzeć na córkę. – Ale nie mogę równocześnie chronić ciebie.

– Nie, tato. Nie, nie, nie! Nie możesz.

– Muszę mieć pewność, że jesteś bezpieczna... zanim zajmę się innymi rzeczami.

Plakała tak, jak płakałaby w takiej sytuacji każda mała dziewczynka.

– Co ja zrobiłam? – jęknęła. – To nie moja wina, że mam wszy.

– Nie, nie, kochanie, nic z tego nie jest twoją winą. Zawsze o tym pamiętaj. Nic...

– Przepraszam, że mam wszy. – Wykręcała sobie rękę, jakby wyciskała mokrą szmatę. – Proszę, tato, proszę. Możesz mi ogolić głowę, tak jak chciał Shep. Nic mnie to nie obchodzi. – Podniosła kolana, stopy postawiła na siedzeniu, szeroko otwarte oczy patrzyły błagalnie. – Potrafisz mnie ochronić.

– Tak, właśnie to robię.

– Zawsze mnie chronisz. Jestem z tobą bezpieczna. Zajmiesz się mną...

Mike uderzył pięścią w kierownicę.

– Nie mogę! – Słowa głośno rozbrzmiały w samochodzie.

Powstrzymując panikę, szukał w głowie dostatecznie łagodnych

słów. Jezu... Co powiedzieć, żeby zrozumiała go ośmiolatka? – Wieszisz... w ten sposób pomożesz mamusi.

Kat osunęła się na siedzenie zrezygnowana.

– Jak długo mam tu być?

Podniósł ręce znad kierownicy, rozłożył palce, znowu je opuścił.

– Cokolwiek się zdarzy, będziesz bezpieczna. Może tego nie poczujesz. Ale będziesz bezpieczna.

– Co to znaczy: „cokolwiek się zdarzy”? Więc jeśli mama... jeśli mama umrze, a tamci dopadną ciebie, wtedy ja...? – Z drzeniem wciągnęła powietrze, znieruchomiała na moment, potem zwiesiła ramiona, rękami objęła się w pasie. – Mam osiem lat – jęknęła. – Mam tylko osiem lat.

Próbował mówić dalej, jednak gardło miał boleśnie zaciśnięte. Starał się uspokoić oddech. Własne szczęki wydawały mu się zwarte, w kącikach ust czuł tętnienie mięśni. Ciągle nie potrafił spojrzeć na córkę.

Milczenie trwało dziesięć sekund, a może dziesięć minut.

– Jeśli to się zdarzy – odparł wreszcie, widząc, że zaciśnięte na kierownicy palce aż mu pobiełały – pomyślisz, że nie dowiem się, jak świetnie sobie radziłaś, jaką rodzinę stworzyłaś i na jaką wspaniałą kobietę wyrosłaś. Ale to nieprawda, będę wiedział. Już to wiem.

– Nie. Nie, nie, nie, nie, nie.

Czuł, że musi powiedzieć jej wszystko, do końca, zanim straci resztki silnej woli.

– Niezależnie od tego, jak długo tu będziesz, nie wolno ci nikomu podać swojego nazwiska. – Echo podobnych słów z własnego dzieciństwa ukuło go mocno, wbijając się w mózg niczym wiertło. – Jesteś Katherine Smith. Słuchasz mnie, Kat? Nazywasz się teraz Katherine Smith, rozumiesz? Nie podawaj mojego imienia. Ani imienia mamy. Nie mów, skąd naprawdę przyjechałaś. Musisz sobie to wszystko poukładać, zapamiętać i nigdy nie zapomnieć.

Każde słowo zgrzytało jak popękane szkło. Kat ukryła główkę w dłoniach i wściekle nią potrzasała.

Mike pomyślał: zostanę potępiony za to, że powiedziałem coś takiego córce. Pójdę do piekła. Serce wypadnie mi z piersi i rozsypie się w tuman

pyłu.

– Musisz być twarda. Twoje życie jest w niebezpieczeństwie. Nikt nigdy nie może się niczego o tobie dowiedzieć.

To była lekcja, której nie chciał jej udzielać, karykatura zabawy w złego rodzica. A jednak wyprostował plecy i stawiał czoło trudności.

- Przysięgnij mi, Kat.
- Nie.
- Musisz. Inaczej cię odnajdą.
- Nie pójdę.
- Nie mamy wyboru, Kat.

Zadarła głowę i popatrzyła na niego ostro. Jej twarz pokrywały łzy. Jej słowa były zniekształcone przez szloch.

– Więc ty też mi coś przysięgnij. Jeśli zostanę tutaj i nic nikomu o sobie nie powiem, musisz przeżyć i po mnie wrócić. Musisz. Obiecuj mi to. Albo nie pójdę. Nie pójdę! – Wyciągnęła rączkę. – Umowa stoi?

Wpatrywał się przez chwilę w jej drżące palce, krew płynęła w jego żyłach ku twarzy tak gwałtownie, że aż mąciło mu się przed oczami. Czy mógł składać obietnice? Czy mógł o czymkolwiek decydować?

Dziewczynka wciąż trzymała wyciągniętą rękę, a po jej twarzy widział, że czuje się zraniona. Wypuścił powietrze, zamknął oczy, a potem podał jej dłoń.

– Stoi.

Jej rączka była ciepła i drżąca.

- Wrócisz po mnie?
- Tak, wrócę po ciebie.
- Przysięgłeś mi to – powiedziała. – Przysięgłeś.

Zabrał plecak z tylnego siedzenia i skierowali się do budynku.

Drzwi otworzyła im pulchna kobieta, ręce wycierała w fartuch. Za nią cztery dziewczynki starsze od Kat nie odrywały wzroku od kreskówek w telewizorze, mniejsze dziecko bawiło się jednonogą Barbie. Przez otwarte okno wpadały odgłosy zabawy – śmiechy, łomot, płacz. Mike'a natychmiast ogarnęły wspomnienia; poczuł ucisk w dołku i żołądek podjechał mu do gardła. Rozejrzał się, żeby ocenić wnętrze, lecz przeszłość i teraźniejszość dziwnie mu się mieszały. Przed oczami miał

Kanapową Matkę siedzącą na sofie, wachlującą się programem telewizyjnym. Widział żółtą poduszkę śmierdzącą kocimi sikami. „Pewnie, głupku. Moja mama też wróci. Wszyscy nasi rodzice zawsze wracają”.

Zakłuło go pod powiekami i zamrugał, żeby wrócić do terażniejszości. Nie było tutaj Kanapowej Matki ani smrodu kocich sików, dostrzegł za to okno wykuszowe, istniejące jakby po to, by kusić dzieciaki do wyglądania na zewnątrz i wyczekiwania. Poręcze kanapy były wytarte, ściany porysowane, lecz tutejsze dziewczynki wyglądały zdrowo, a budynek wypełniał bogaty zapach zupy pomidorowej.

– Czym mogę służyć? – spytała kobieta.

Nie wiedział, jak długo stoi w progu.

– Jocelyn Wilder?

Kobieta upięła kręcone siwe włosy w kok.

– Tak.

– Możemy porozmawiać na osobności?

Kat wytarła nos rękawem. Gapiła się na własne buty. Jocelyn spojrzała na nią krótko, potem przeniosła wzrok z powrotem na Mike'a.

– Chcesz się pobawić na dworze, kochanie?

Dziewczynka, nie podnosząc głowy, wyszła przez otwarte tylne drzwi i usiadła sama na ławce. Jocelyn zrobiła ostrożny gest w stronę kuchni i Mike przeszedł za nią przez drzwi wahadłowe.

Stanęli na łuszczącym się żółtym linoleum. Po minie na ładnej twarzy Jocelyn Mike odgadł, że bywała już w podobnych sytuacjach i odbywała podobne rozmowy.

– Mamy poważne kłopoty – zaczął. – Muszę się zająć pewną sprawą.

– Proszę pana, ja nie prowadzę...

– Wiem – uciął. – Wiem. Ale jeśli nazwisko mojej córki znajdzie się w systemie, grozi jej niebezpieczeństwo.

– Wielu dzieciakom grozi niebezpieczeństwo.

– Nie takie.

Kobieta zamrugała.

– Co to znaczy? Że ją zabiją? – Chociaż wypowiedziała to słowo sama, zrobiło na niej duże wrażenie. – Dlaczego ktoś miałby chcieć ją

zabić? To tylko mała dziewczynka.

– Tego nie wiem – przyznał Mike. – I muszę się dowiedzieć. Muszę jechać. Muszę zniknąć. Mój samochód nie może stać przed tymi drzwiami. Jeśli zobaczą samochód, będą wiedzieli, że mała tu jest.

Jocelyn przyjrzała mu się z lekkim sceptycyzmem, ale Mike dostrzegł także niepokój i troskę.

– Przepraszam, że panią w to wciągamy.

Wydała jakiś dźwięk, jakby parsknięcie.

– Nie będzie mnie pan w nic wciągał, panie...?

Założyła tęgie ramiona na piersi, nogi rozstawiła, uosobienie niewzruszonej siły. Należała do tych zastępczych matek, które pociągną dzieciaka za ucho, zawloką go do Valley Liquors i każą przyznać się do kradzieży buteleczek z Jackiem daniel'sem. Mike znał ją tak dobrze, jak wcześniej znał Kanapową Matkę, potrafił niemal czytać jej w myślach. Skóre do łzawienia niebieskie oczy. Cienka skóra na skroniach. Dobroć wryta w każdej zmarszczce szlachetnej twarzy.

Podniósł rękę wnętrzem dłoni w dół, próbując uspokoić kobietę albo siebie – sam nie był do końca pewny, komu bardziej potrzeba psychicznej równowagi.

– Proszę nie wierzyć w nic, co pani usłyszy w wiadomościach. I niech pani nie ufa nikomu. Niezależnie od tego, za kogo się poda, jak się przedstawi. Jeśli ją pani komuś odda, jeśli zadzwoni pani na policję, do opieki społecznej, na pogotowie opiekuńcze czy do innej instytucji zajmującej się ochroną dzieci przed przemocą, tamci ją wyśledzą.

– To duża sprawa, co?

Jocelyn ze złością przełknęła ślinę, poruszyła szyją raz i drugi, a potem zapatrzyła się gdzieś w dal.

– Pani zna dzieciaki. Proszę porozmawiać z moją córką, a zobaczy pani, że mówię prawdę.

– Jak mnie pan znalazł?

Mike nie odpowiedział, za to zdjął z ramienia plecak i upuścił go na podłogę.

– Tutaj jest dwieście tysięcy dolarów w gotówce. To nie są żadne nielegalne pieniądze, lecz całe nasze oszczędności sprzed tego... zda-

rzenia. Może je pani zgłosić jako darowiznę od osoby anonimowej i zapłacić od nich podatek... co tylko pani sobie życzy. Te pieniądze są dla pani. Proszę je wydać na potrzeby wszystkich dzieci, żeby żadne nie było zazdrosne.

– System darowizn nie działa w ten sposób. Zresztą i tak nie chcę pańskich pieniędzy.

– Więc proszę je zatrzymać na wszelki wypadek.

– Nie słucha mnie pan.

– To może je pani chociaż przechowa?

– Jako zabezpieczenie? – Właściwie niemal wypluła te słowa.

– Wróć.

– Kiedy?

– Szybko.

– Nie zrobię tego – odparła stanowczo i ostatecznie.

– Zrobi to pani – powiedział spokojnie. – Wiem, że tak.

– Dwieście tysięcy. – Wzięła się pod boki, jej pulchne ramiona się zatrzęsły. – Po co tak dużo pieniędzy, skoro zamierza pan wrócić?

Mike nie panował już nad mięśniami twarzy, która zaczęła drgać, jakby żyła własnym życiem. A potem nagle wydało mu się, że zamiast twarzy ma kamienną maskę. Jeśli ta maska pęknie, rozpadnie się na kawałki i skruszy, Mike'owi nie zostanie nic. Bezwiednie wydał z siebie jakiś odgłos i nieoczekiwanie Jocelyn ustąpiła. Opuściła ręce i chyba zlitowała się nad nim, widząc, że z całych sił usiłuje nad sobą zapanować.

– Żeby do tego czasu miała wszystko, czego będzie potrzebowała – podjął. Wskazał na plecak. – Są tu też jej ubrania. Tylko jej. Jeśli chce pani kupić coś dla innych...

– Wszystkie moje dziewczynki mają własne ubrania – wytknęła mu z oburzeniem.

– I jeszcze – dodał słabo – ma wszy.

– Wspaniale.

– Próbowałem majonezu...

– Majonez nie działa. Potrzeba mocniejszych środków.

Mike przesunął stopą po linoleum. Nie miał już prawa się sprzeci-

wiać.

– Dobrze.

– Jakież inne problemy? Może gruźlica lekoodporna?

– Nie.

– Nie mogę tego robić... nie przez długi czas – oświadczyła. – To niezgodne z prawem i zagraża całej naszej rodzinie. Nie mam jej metryki urodzin. Co zrobię, gdy...

– Nie prowadziłyby pani przez siedemnaście lat przytułku dla maltretowanych kobiet i ich dzieci, gdyby pani nie wiedziała, jak zapewnić komuś nową tożsamość i nowe życie.

Posłała mu groźne spojrzenie.

– Widzę, że dobrze się pan przygotował do rozmowy. – Zrobiła głęboki wdech. – Ale to było dawno temu.

– Nie tak dawno, żeby nie potrafiła pani dotrzeć do właściwych ludzi we właściwych biurach. O ile do tego dojdzie.

– O ile do tego dojdzie – powtórzyła ostro.

Roześmiała się gniewnie i Mike znów zobaczył w jej oczach stalową twardość – należała do osób, które potrafią dowiedzieć się dosłownie wszystkiego, jeśli uznają, że to konieczne.

– A dlaczego mam uwierzyć, że pan wróci? – spytała.

– Ponieważ obiecałem to małej.

– Więc lepiej, do diabła, żeby pan wrócił.

– Tak, proszę pani.

Odwracając się w stronę kuchenki, odprawiła go machnięciem ręki.

Mike przeszedł przez wahadłowe drzwi do korytarza. Starsze dziewczynki nadal nabożnie skupiały się na ekranie, młodszy berbecę poruszał trzema kończynami jednonogiej Barbie tam i z powrotem. A Kat siedziała na ławce tuż za otwartymi drzwiami na tylne podwórze; rozwiązane sznurowadła szurały po betonie, gdy przesuwała stopy. Palcami dłoni bezmyślnie, autystycznie przesuwała sobie po udach. Wargi zmarszczyła i starała się nie rozplakać. Mike stanął w wejściu. Nie chciał nawet mrugać – tak mało zostało mu czasu z nią, tak bardzo chciał tylko na nią patrzeć, zatrzymać jej obraz, wyrycić go sobie w pamięci na potem. Przez moment sądził, że może za chwilę rozpadnie się

na kawałki jak w horrorze, tak jak stał, tutaj, w tych drzwiach.

Kat nareszcie podniosła głowę, popatrzyła na niego i przez chwilę spoglądali sobie w bursztynowo-brązowe oczy.

– Proszę, tato.

Oderwał od niej wzrok i zapatrzył się przed siebie, w pustkę.

W odrętwieniu wyszedł przez frontowe drzwi, jakby nogi niosły go same. Wsiadł z powrotem do kradzionej toyoty camry. Śnieżka Drugi tkwił na tablicy rozdzielczej, tam, gdzie Kat wcześniej go posadziła. Podniósł pluszaka i trzymając go w dłoniach, przez chwilę wpatrywał się w budynek, który właśnie opuścił. Nie mógł się jednak zmusić do powrotu z misiem. Położył zabawkę na siedzeniu obok siebie i odjechał. Kilka kilometrów dalej zauważył elektroniczną nianię na podłodze u swoich stóp, tam, gdzie ją cisnął po zakończonej sukcesem gonitwie za porywaczami.

Podniósł odbiornik i wyrzucił go przez okno.

42

Obudził się w motelowym pokoju i przez chwilę mrugał, usiłując wrócić do rzeczywistości. Miał niewyraźne wspomnienie wielogodzinnej jazdy. Chciał jak najszybciej oddalić się od domu Jocelyn Wilder. Uważał też, że wraz z większą odległością zmaleje jego pokusa na powrót. W ręce ścisnął Śnieżkę Drugiego, a pomiędzy jego nogami leżała butelka jacka daniel'sa w brązowej torebce, chociaż nie pamiętał, żeby chciał się upić. Usiadł przed migającym ekranem telewizora i pociągnął z butelki, tęskniąc za całkowitym zobojętnieniem i ośpieniem, ale zdołał wypić nie więcej niż dwa łyki i zwymiotował w kącie. Zobaczył siebie jakby z zewnątrz – w jednym bucie, z rozpiętym paskiem, skulonego na szorstkiej wykładzinie. I wtedy, nieoczekiwanie, ukazała mu się Annabel, która klękła nad nim, położyła mu dłoń na ramieniu i powiedziała: „Już dobrze, jestem z tobą, razem damy sobie radę”. Ale kiedy się odwrócił, postać żony rozmyła się w świetle padającym z wysokiego okna.

Czuł zimno w kościach, do którego nie mogły dotrzeć promienie słońca. Przemknęło mu przez głowę, że powinien wziąć prysznic, ale odkrył, że właśnie pod nim stoi. Parząca woda spływała mu po piersi i ramionach, ale nadal miał dreszcze. Zamykając oczy, odpłynął w stronę wyblakłych wspomnień matki. Kuchnia wyłożona żółtymi kafelkami. Matka kąpała go, czarnobrzowe włosy muskały opalone ramię. Pachniało paczulą i szałwią, a od ciała kobiety bił ciepły zapach cynamonu. A później ta plama krwi – jej krwi? – na mankiecie ojca.

Ten martwy, nieistniejący fragment czasu. Przeszłość.

Potem, nagle, w pokoju za otwartymi drzwiami łazienki panowały ciemności, a on tkwił wciąż pod prysznicem, ale teraz drżał pod lodowatą wodą, bo gorąca dawno się skończyła.

W kolejnym przeblasku świadomości leżał mokry na wykładzinie, owinięty w narzutę z łóżka, ściskając w dłoniach reklamówkę z bronią i pozostałymi pieniędzmi. W pokoju panował straszliwy bałagan – kałuża wymiocin, przewrócone krzesło, pościel zwleczona na podłogę.

W kolejnej chwili drzwi się otworzyły i pas światła z korytarza padł na twarz Mike'a, oślepiając go. Drzwi się zamknęły i rozległy się głośne, ciężkie kroki, które zbliżyły się do niego. W mroku dostrzegł cień mężczyzny.

Więc przyszli, wreszcie są i teraz go zabijają.

– Wstawaj – rozkazał Shep.

Mike dostrzegł opadającą ku niemu rękę. Gapił się na nią zszokowany, nic nie rozumiejąc.

– Jak mnie znalazłeś? – spytał głosem ochryplym po wielu godzinach milczenia.

– Sam do mnie zadzwoniłeś. Opowiedziałeś... co musiałeś zrobić. Teraz wstawaj.

Mike chwycił wyciągniętą ku niemu dłoń i Shep podniósł go z podłogi.

Przyjaciel przeszedł do aneksu kuchennego i postawił na ohydny m blacie zmiętą brązową torbę. Wyjął z niej nowy lśniący batphone i rzucił go Mike'owi. Potem wydobył kolta .45 i skaner do nasłuchiwania fal policyjnych, który podłączył do gniazdka obok kuchenki mikrofalowej.

– ...dziesięć osiemdziesiąt – rozległo się z odbiornika – masz lokalizację? Sprawa potwierdzona. Jestem na miejscu, przy Elwood szesnaście zero jeden, tylne okno chyba jest wybite. Ile jednostek mamy w tym rewirze?

Shep ściszył dźwięk i teraz słyhać było tylko przytłumione głosy, po czym wypakowywał jedną po drugiej puszkę SpaghettiOs i postawił je w rzędzie obok zlewu.

– Jaki... jaki jest dzień?

– Poniedziałek. Ósma siedemnaście wieczorem. Jesteś z powrotem

w Kalifornii... w Redlands. Naprawdę porzucił Kat zaledwie wczoraj?

– Okulary – wymamrotał. Przycisnął pięść do czoła i lekko się zatrząsł. – Cholera, zapomniałem. Kat potrzebuje nowych okularów do czytania...

Shep otworzył puszkę SpaghettiOs scyzorykiem, wbił w zawartość plastikowy widelec i wręczył Mike'owi.

– Zjedz – polecił. – Rano mamy sprawę do załatwienia, nie chcę mieć cię bladego, słabego i roztrzęsionego.

– Do tego czasu Annabel może być martwa – zauważył Mike.

– Jedz.

– Powiedz mi, w którym jest szpitalu. Muszę zadzwonić...

– Nie możesz...

– ...tylko się dowiem...

– Więc chcesz ją zabić. I nas. I Kat.

Shep gwałtownie złapał telefon z nocnego stolika i ciągnąc przewód, podał go Mike'owi, rzucając wyzwanie.

Mike wpatrywał się w aparat z nienawiścią, ale nie sięgnął po słuchawkę.

Shep znów podał mu puszkę SpaghettiOs.

Mike próbował jeść. Żuć. Połykać. Powtarzać od nowa.

Rozejrzał się wokół, oceniając bałagan tak, jak widział go Shep. W pomieszczeniu wisiała ciężka posępność, jak gdyby ktoś zanurzył pokój w szarości. SpaghettiOs zmieniło się w ustach Mike'a w cierpką papkę. Przelknął ją i gniewnym ruchem wytarł wargi.

– Dlaczego tu jesteś?

– Co takiego? – spytał Shep.

– Mogłeś kazać mi spadać, gdy do ciebie zadzwoniłem. Nie rozstał się w najlepszych okolicznościach. Ale wiedziałem, że mi nie odmówisz. Wiedziałem, że jeśli będę cię potrzebował, od razu przyjedziesz. – Puszczaly mu nerwy, emocje płynęły falami, dziwacznie, gniew, jakaś długo tłumiona uraza, o której nawet nie wiedział. – Może chcesz, żebym znowu był przestępcą. A może czułeś się samotny.

Shep przeżuwał jedzenie. Włożył widelec w puszkę i wziął kolejną porcję. Zatrzymał się.

– Może – zgodził się.
– Nie jesteś mi nic winien za te trzy miesiące, które za ciebie od-
siedziałem.

– Myślisz, że dlatego ci pomagam? – Shep był spokojny, co Mike'a irytowało. Nawet zadumany. – Bo czuję, że jestem ci coś winien?

– A dlaczego? – Z trzaskiem postawił puszkę na telewizorze, krople koloru krwi wystrzeliły z niej i rozprysnęły się po jego przedramieniu. Poczul ulgę, że dał upust wściekłości, że użył mięśni w dawny sposób. Musiał wyteńczyć siły, zmęczyć się, a może i zranić, ryknąć w twarz zagrożeniu. – Jaki masz inny powód?

Shep wziął kolejny kęs ze swojej puszki. Przez chwilę skrobał jej dno.

– Nigdy za dużo się nad tym nie zastanawiałem – wyznał z pełnymi ustami.

– Jasne, że nie. – Mike poczul, że pogardliwie wydyma górną wargę. – Jesteś na to zbyt dumny. Tobą przecież kieruje nieomylny instynkt...

– To jedno z twoich słów z podręcznika SAT?

– Jesteś zbyt nieskalany, żeby myśleć. Zawsze po prostu wiedziałeś, kim jesteś. Nie tak jak ja.

– Nie ma przeszłości – powiedział Shep.

– Ale ja mam jakąś przeszłość. Nigdy nie zostawiłem jej za sobą. Myślałem, że wiem, dokąd iść, ale to było kłamstwo. Zatuszowałem sprawę z tymi cholernymi rurami, przyjąłem pieprzoną nagrodę... Wiedziałem, że jest w tym coś niewłaściwego, jakiś fałsz, a jednak brnąłem dalej. I teraz jest tak samo. – Przez zaciśnięte zęby wymknęło mu się warknięcie. – Nie mam, kurwa, pojęcia, jak możesz w ogóle znieść mój widok.

– Właśnie tego nigdy się nie nauczyłeś – odparł Shep.

– Czego?

– Akceptacji. – Wzruszył ramionami. – Zgody na to, co jest.

– A co jest?

– Wszystko.

– Co to niby znaczy?

– Weź swojego ojca. Miałeś do niego żal, przez ile lat chowałeś urazę? Twój świat jest czarno-biały. On grał czarny charakter. Więc jaka rola została dla ciebie? – Otworzył kolejną puszkę i zaczął jeść. Najwyraźniej trudno mu było zaspokoić apetyt. – Zdrada twojego ojca... to była twoja Gwiazda Polarna, biegun, który wyznaczał ci kierunek. A teraz? Sam zostawiłeś dzieciaka. – Wyciągnął ręce, to był ten jeden z rzadkich u niego zbyt mocnych gestów; widelec sterczał z puszką niczym mała biała flaga. – Czarne dziś już nie jest czarne. Białe nie jest białe. I może nigdy nie było. Może to wszystko jest nic niewarte, a my tylko staramy się, jak możemy.

– To właśnie robisz? Starasz się, jak możesz?

– Był czas, że w ogóle się nie starałem. Jeden raz. Zostałem pokonany i nie mogłem się podnieść. Ale wtedy ty się postarałeś, żebym się podniósł. Wtedy sobie przysiągłem, że już nigdy nie będę na deskach, nigdy. – Otarł usta grzbietem dłoni i przeszył Mike'a wzrokiem pełnym furii, jakby nie umiał się domyślić, czy pytanie było prowokacją, czy też nie.

Gniew opuścił Mike'a. Zrobił niepewny krok w tył i opadł na łóżko. Przycisnął ręce do policzków i siedział z twarzą ukrytą w dłoniach.

– Pamiętam, jak pojechaliśmy do Ventura Harbor pojeździć na karuzeli – powiedział. – Kat miała trzy lata i chciała siedzieć na kogucie. Ale wciąż dopadały go inne dzieciaki. To znaczy... to musiał być pieprzony kogut, i już. Po co w ogóle jest ten kogut na karuzeli? Więc czekaliśmy i czekaliśmy, ale nie udało mi się go dla niej zdobyć.

– Co chcesz mi powiedzieć? – spytał Shep.

– Wyobrażam ją sobie w tym domu i myślę, co będzie, jak ją zawiadę – wyjaśnił Mike. – Myślę o tym, że mogę umrzeć.

Nie potrafił podnieść wzroku, usłyszał jednak, że Shep odstawia puszkę i przesuwając krzesło. Gdy siadał, zrobił wydech.

– Nigdy nie byłem za nikogo odpowiedzialny – wyznał. – To dla mnie akt odwagi, jak ktoś bierze na siebie odpowiedzialność. Ale teraz nie możesz tego ciągnąć. Nie w obliczu tego, w co wchodzimy. – Pochylił się tak nisko, że aż dotknął czołem głowy Mike'a. Przyjął tę samą pozycję. Przez chwilę obaj wpatrywali się w wytartą wykładzinę. Potem

Shep, nie odsuwając się, popatrzył na Mike'a z troską. – Chcesz mieć ją z powrotem.

– Tak – przyznał Mike.

– Bezpieczną.

– Tak.

– Więc przez jakiś czas musisz być nikim. Nie pragnąć niczego. Nie dostaniesz ich, Kat i Annabel, jeśli będziesz ich potrzebował. Nie jesteś teraz mężem. Nie jesteś ojcem. Jesteś facetem, który ma zadanie do wykonania. Rozumiesz?

– Tak.

– Prześpij się parę godzin. Ruszamy wcześniej rano.

Mike posprzątał trochę w pokoju i położył się na łóżku. Obok siebie widział Shepa, który miał zamknięte oczy i oddychał regularnie, a jednak Mike nie umiał powiedzieć, czy przyjaciel śpi, czy czuwa.

Sufit był popękany w wielu miejscach. Rysy tworzyły wzór przywodzący na myśl płataninę korzeni.

– Nigdy więcej się od ciebie nie odwrócę – mruknął Mike.

Odpowiedziało mu milczenie, więc uznał, że Shep śpi, ale po chwili usłyszał odpowiedź:

– Dogadałeś się już ze swoim sumieniem? Bo tam, dokąd jedziemy, nie będzie czasu na takie głupoty.

Leżeli w ciemnościach. Mike nie był pewny, kiedy zapadł w sen, lecz gdy obudził go szum prysznic, zegar pokazywał czwartą czternaście. Kilka minut później Shep wynurzył się z łazienki z ręcznikiem wokół pasa. Prysznic zostawił włączony, tak jak w dawnych czasach, kiedy sześć czy siedem osób musiało się umyć, zanim skończy się gorąca woda.

– Chyba powinienem się pozbyć auta, które zwinąłem – zauważył Mike.

Shep rzucił mu kluczyki, podszedł do okna i rozsunał zasłony. Przed motelem stał błyszcząca jasnozielony saab.

Mike niechętnie odwzajemnił uśmiezek Shepa. Wziął prysznic, a później stał parę z lustra. Na metalowej półce przyjaciel zostawił kosmetyczkę, a z niej wystawała elektryczna maszynka do strzyżenia.

Mike wziął urządzenie, odwrócił je ku sobie i oglądał niczym starą fotografię, relikwiarz przeszłości. Zapasowe ostrza też znalazł w kosmetyczce i założył.

Shep zawołał do niego z pokoju:

– Gotowy?

Maszynka ciążyła mu w dłoni niczym broń. Lustro znów zaparowało, więc wytarł je jeszcze raz gąbką, a później studiował swoje odbicie.

Włączył maszynkę i przyciął włosy tak krótko jak w czasach domu zastępczego. Wytarł sobie głowę ręcznikiem i wyszedł do pokoju.

– Gotowy – odrzekł.

We dwóch, ramię w ramię, skierowali się na parking.

43

Mike stosował się do wskazówek i nie zadawał pytań. Wykorzystał czas jazdy na poukładanie myśli i utwierdzenie się we własnej decyzji, aż był pewny swego i pozbawiony wątpliwości. Saab pędził po Grapevine, przecinając Bakersfield i długi płaski teren pośrodku Kalifornii. Mijał pola cebulowe i postoje dla kierowców ciężarówek, ziemie uprawne, nad którymi samoloty rozpylające środki chemiczne latały tak nisko, że wyglądały jak ptaki Hitchcocka. Ominęli San Jose, przemknęli na północ przez Sacramento i skierowali się dalej, ku Redding. Ten region północnej Kalifornii wyglądał zdaniem Hanka „intrygująco”, a teraz Mike miał przeczucie, że to, ku czemu kieruje ich Shep, będzie jeszcze ciekawsze. Pojawiły się Góry Kaskadowe, na wschodzie wyrósł wulkan Lassen Peak, a Mount Shasta tuż przed nimi; wierzchołki obu szczytów pokrywał śnieg.

Shep odezwał się około dziewiątej.

– Zjedź tutaj. – Mike skręcił do Red Bluff i dalej słuchał instrukcji Shepa, pokonując staromodne centrum miasteczka. – W lewo. W prawo. Znowu w prawo. W lewo. Tutaj zaparkuj.

Przed nimi znajdował się urząd miasta zajmujący jednopiętrowy budynek z suszonej na słońcu cegły. Parking w kształcie litery L był długi i wąski, otoczony murem z betonowych bloków, za którym – po obu stronach – były strzeżone osiedla z apartamentami. Miał wylot na każdym końcu, co mogło okazać się użyteczne.

Mike popatrzył, unosząc brew.

– Urząd miasta – powiedział Shep. – Świetne miejsce pracy dla

oszustki. Trefne zgody na budowę, dokumenty notarialne czy akty własności, stały dostęp do najróżniejszych pieczętek.

Na jałowym biegu saab pracował tak cicho, że niemal nie było słychać szumu silnika. Shep z siedzenia pasażera miał lepszy widok na szklane drzwi. Chłodny metal wsuniętej z tyłu, za pasek, broni uciskał lędźwie Mike'a. Siedzieli i czekali – trzy po piątej, siedem po piątej...

W końcu Shep wskazał. Z budynku wyłoniła się kobieta, w której Mike rozpoznał Dane Riverton. Wyglądała tak samo nijako jak wtedy, gdy spotkali się w restauracji – okulary bibliotekarki, konserwatywna bluzka, brązowe, niezbyt efektownie ścięte włosy. Zastanawiał się, czy każdego ranka przed pójściem do pracy kobieta tuszuje więzienny tatuaż na kciuku.

Kiedy Mike wyskoczył z samochodu, Shep został w środku, jakby za sprawą jakiegoś niewypowiedzianego porozumienia. Mike'owi zrobiło się chłodno w ogoloną głowę.

Dopał kobietę o kilka kroków od drzwi.

– Kiki Dupleshney?

Odwróciła się szybko. Myślała ledwie pół sekundy i rozpoznała go. Jej koleżanki z pracy przeszły pospiesznie obok. Kiki posyłała im nerwowe uśmiechy, chociaż w jej oczach płonął gniew.

– Pan mnie chyba z kimś pomylił. – Gdy współpracownicy znalazły się dostatecznie daleko, kobieta wygrzebała z torebki papierosa i zapaliła. – Czego, kurwa, chcesz?

– Kto cię wynajął?

Wyszczerzyła zęby w słodkim uśmieszku i wydmuchnęła Mike'owi dym w twarz. Na filtrze został różowy ślad szminki. Kiki dawała mu jasno do zrozumienia, że przywykła do rozmów z idiotami.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Dlaczego chcą zabić mnie i moją córkę?

– Jezu, nie wiem.

– Moja żona leży na oddziale intensywnej terapii. Moja córka i ja wciąż uciekamy. Miałas w tym swój udział.

Kiki potarła kciukiem o palec wskazujący.

– Przeżywają najlepiej dostosowani, takie jest życie.

– Zamierzam odszukać ludzi, którzy nam grożą – ciągnął Mike. – Zamierzam ich powstrzymać. I ty mi w tym pomożesz. – Kiki zaczęła odchodzić, ale on złapał ją za grube ramię i trzymał mocno. – Nie obchodzi mnie, co będę musiał zrobić, zamierzam odzyskać rodzinę. Rozumiesz mnie?

Wyrwała ramię. Jej torebka upadła, zawartość się wysypała.

– Nie dbam, kurwa, o twoją żonę. I mam gdzieś, czy zabijają twoją córkę. Ale jedno mogę ci obiecać: jak zaraz nie zejdziesz mi z oczu, zawołam gliniarzy.

Kucnęła i zaczęła zbierać z asfaltu swoje rzeczy.

Mike wrócił do saaba. Usiadł, położył ręce na kierownicy. Oddychał ciężko i czuł na policzku palące spojrzenie Shepa.

Kiki skończyła wpychać rzeczy do torebki i ruszyła przed siebie. Wycelowała kluczyki w daleki koniec parkingu i chwilę później błysnęły reflektory rdzawoczerwonego kabrioletu Chrysler Sebring.

Obserwowali, jak rzuca torebkę na tylne siedzenie i pstryka niedopałek w stronę rzędu śmietników za budynkiem. Wsiadła, lekki wiatr rozwiewał jej włosy. Patrząc we wsteczne lusterko, musnęła wargi pomadką.

Mike sięgnął w górę, nacisnął guzik i szyberdach otworzył się z warkotem.

– Wysiadaj – mruknął.

– Co? – spytał Shep.

– Słyszałeś, co powiedziałem.

Przyjaciół wrzucił ramionami i wysiadł.

Mike docisnął gaz do podłogi i ruszył, pozostawiając za sobą dwa pasy gumy wypalone w asfalcie. Saabem zarzuciło, ale Mike utrzymał kurs. Kiki wyjeżdżała tyłem ze swojego miejsca, gdy dostrzegła go i krzyknęła. Saab trafił chryslera idealnie pod kątem prostym i pchnął go na mur. Przed Mikiem rozwinęła się poduszka powietrzna z odgłosem przypominającym odwrócone naczynie uderzające w wodę. Wokół kabrioletu beton skruszył się i osypał przez otwarty dach na tylne siedzenie. Ze zgniecionej w harmonijkę maski saaba z sykiem wzniosła się para.

Mike odepchnął poduszkę powietrzną. Drzwi saaba były pogiete, więc wyszedł przez szyberdach. Dwa pojazdy wyglądały jak sklezione. Fontanna plynu do wycieraczek tworzyła poetycki łuk. Kiki leżała nieprzytomna z głową na kierownicy, klakson był, pas bezpieczeństwa wciąż nie był zapięty. Strużka krwi barwiła jej górną wargę.

Przeciskając się pomiędzy samochodami, Mike dotarł do Kiki. Chwycił ją pod brodą, wyciągnął z auta i pchnął na chodnik. Podskoczył do niej, złapał za włosy i siłą obrócił ku sobie jej twarz. Kiki była ogłuszona, pomadka do ust rozmazała jej się na podbródku, pończochy miała podarte, kolana poranione. Zakryła ręką zakrwawiony nos. Mike poczuł do siebie odrazę za to, co robił, ale wcale go to nie powstrzymało. Wyszarpnął broń zza paska i przyłożył lufę do jej ramienia, tam, gdzie łączy się z tułowiem.

– Popatrz na mnie – warknął. – Patrz na mnie.

Jej źrenice przesunęły się i Kiki spojrzała Mike'owi w oczy.

– Teraz też masz mnie gdzieś?

– Eee? – jęknęła słabo.

– Teraz też masz mnie gdzieś?

Skinęła głową, usiłując się odsunąć.

– O Boże, nie, proszę, przestań.

Kilka osób wybiegło z biur, a mieszkańcy osiedla za uszkodzonym murem stanęli w oknach. Mike'a zaskoczyło, że wcale mu nie przeszkadza uwaga ludzi, nie czuł też strachu.

– Mów – rozkazał jej.

– Nie wiem, kim oni są, przysięgam! Wielki facet i kaleka... nigdy nie dali mi numeru telefonu ani nic. Pojawili się znikąd jak jakieś pieprzone duchy. Znaleźli mnie dzięki mojej reputacji... jestem najlepszą kombinatorką w okolicy. Mam nieuregulowane należności, a oni obiecali, że wykasują je z systemu... Jezu, mój nos...

– No i?

– No i dali mi teczkę z informacjami, powiedzieli, o co im chodzi. Kazali skontaktować się z tobą i przedstawić się jako wykonawczyni testamentu... Chcieli, żebym potwierdziła twoją tożsamość, bo nie byli pewni, czy mają właściwego faceta. – Dyszała, krew pryskała z jej ust. –

Mam wszystko w bagażniku... idź i weź... Możesz ją zachować. Przyśięgam na Boga, że nic więcej nie wiem. – Odwróciła rękę, a krew pocięła jej między palcami na asfalt. – Potrzebuję lekarza.

Bagażnik otworzył się podczas zderzenia, a znajdujący się segregator z teczkami przewrócił się dnem do góry, więc dokumenty pozostały w środku. Mike szybko odnalazł właściwą teczkę z czerwonym napisem. Na okładce, przez całą długość, zanotowano numer: „4YCH429”.

Mike wrócił z teczką do Kiki. Kobieta podniosła się na czworaki, kaszlała. Wskazał na teczkę.

– Co to za numery? – spytał.

– Chciałam coś mieć, na wypadek gdyby mnie wyrolowali, więc zapisałam numer rejestracyjny pick-upa, ale to było jeszcze przed tym, zanim się dowiedziałam, jacy są.

– To był pick-up, nie furgonetka?

– Pick-up, ale nic im o mnie nie mów, bo mnie zabiją.

Shep gdzieś zniknął. Przy drzwiach urzędu utworzył się mały tłumek, a kilkoro młodszych pracowników szeptało między sobą nerwowo; wyglądało na to, że zbierają się na odwagę. Kobieta w oknie luksusowego apartamentu po przeciwnej stronie ulicy przyciskała do ucha słuchawkę; pod wpływem spojrzenia Mike'a wzdrygnęła się i upuściła telefon na podłogę. Tak czy inaczej, przybycie policji było jedynie kwestią czasu.

– No to masz dość zmartwień. – Mike na chwilę przerwał. – Jeśli ich ostrzeżesz, znowu mnie zobaczysz.

– Okay. – Wytarła zakrwawiony nos. – W porządku.

Z teczką w ręce Mike przeszedł przez rumowisko, pokonał otwór w murze, a później popędził przy bocznej ścianie budynku mieszkalnego. Kiedy wybiegł na ulicę przecznicę dalej, jak na zawołanie pojawił się przy nim jakiś stary, poobijany ford pinto z pordzewiałą maską. Shep siedział zgarbiony nad kierownicą na podartym przednim siedzeniu i wyglądał jak słoń na trójkołowym rowerku; reklamówka z rzeczami Mike'a leżała na podłodze przed siedzeniem pasażera. Mike wskoczył do auta, Shep zjechał z krawężnika i ruszył przed siebie.

– Nie pomyślałbym, że można jeszcze spotkać takiego forda.

– Po tym, co zrobiłeś z saabem – odburknął przyjaciel – na więcej nie licz.

Tył przedramienia Mike miał pokryty smugami krwi. Wycierając rękę, uświadomił sobie, że to nie jego krew. Czuł, jak zasycha i ściąga mu skórę.

Shep zerknął w dół.

– Nie martw się – pocieszył go. – Przywykniesz.

44

– Na czym stoimy?

Głos Boss Mana brzmiał przez telefon tak klarownie, że równie dobrze szef mógłby siedzieć na werandzie szalowanego domu, tuż obok Williama. Zapach gorącego oleju wiał od złomowiska samochodów; kiedy dziadek Williama i Hanleya budował ten dom, nie brał pod uwagę kierunku wiatru, więc w niektóre dni wszystkie ściany wydawały się przepojone swędem spalonych opon i kwasu akumulatorowego. Tego popołudnia nadzwyczaj czyste powietrze uwidoczniło fragment wulkanicznego szczytu Mount Shasta, wznoszącego się w oddali i pokrytego wczesnym śniegiem.

– Wingate na własne życzenie stał się człowiekiem poszukiwanym – wyjaśnił William. – Agencje rządowe zostały postawione w stan najwyższego pogotowia. Gdziekolwiek się pojawi, złapią go i oddadzą prosto w łapy Grahama.

Za nim trzasnęły rozchwiane siatkowe drzwi i na deskach werandy zakrzypiały ciężkie kroki. Dodge przyniósł ze sobą piźmową woń piwnicy. Masywne ramiona pochylił, wyglądały niemal jak arkada. Zszedł po stopniach i położył coś na szeleszczącym suchym zielsku. Powłócząc nogami, ruszył ku bocznej ścianie budynku, a William zobaczył, co Dodge rozłożył wśród chwastów. Narzędzia. Młotek z kulistą główką. Płaskie wydłużone szczypce. Metalowe kajdanki.

– Mimo swojej pozycji Graham najwyraźniej nie może zrobić nic więcej – powiedział Boss Man. – Im głośniejsza staje się ta sprawa, im wyższego szczebla sięga, tym bardziej Graham musi kombinować i tym

większą zasłonę dymną tworzyć... A koszty rosną.

– Właśnie dlatego Graham ma Dodge'a i mnie, czyż nie, szefie? Kiedy namierzy Wingate'a i dziewczynkę, dzięki nam oboje znikną i szef nie będzie musiał się nimi przejmować.

Dodge wrócił na trawnik, ciągnąc czarny wąż ogrodowy. Położył go i poszedł odkręcić wodę.

– Zostawiliście roztrzaskaną furgonetkę – wytknął mu Boss Man. – Ktoś może was wyśledzić?

– Nie – odparł William. – Miała stare numery, w dodatku nierejestrowane, a VIN z tablicy rozdzielczej usunęliśmy. Jeśli coś w ogóle umiemy, to rozbierać pojazdy na części pierwsze.

– Taaa, ale nie do tego was wynająłem.

Przyciskając kciukiem końcówkę węża, Dodge opryskał wodą narzędzia.

– Nie, proszę pana – zgodził się William. Zwilżył wargi koniuszkiem języka. – Wingate wkrótce się pojawi – zapewnił. – Nie można się ukryć z dzieciakiem u boku. Już przecież próbował odesłać ją samolotem...

– Trzeba ją było zabić, kiedy mieliście ją w swoich łapach – wtrącił Boss Man.

– Zamierzaliśmy najpierw wykorzystać ją jako przynętę. W Iraku nasi chłopcy mieli różne bolesne sposoby na wyciąganie informacji. Można na przykład przestrzelić rdzeń kręgowy pociskiem snajperskim. Ból jest taki, że facet powie wszystko...

– Twój wujek załatwiłby ich na miejscu – przerwał mu Boss Man.

William zagryzł wargę i przesuwiał zębami po kilkudniowym zarostie. Poczul, że w szyi krew mu tętni, a ziemista skóra z boku szyi drga. Prawym ramieniem trochę szarpało.

– Może gdyby stary był lepszym strategiem, mieszkałby sobie teraz w Palm Springs, zamiast smażyć się w piekle na wolnym ogniu.

Boss Man nie był jednak zainteresowany historią rodzinną Williama.

– A żona? – spytał. – Jest naszym najlepszym dojściem do faceta i malej.

– Niestety, przenieśli ją.

Boss Mam prychnął z niezadowoleniem.

– Dokąd?

– Nie wiadomo. Szukaliśmy wszędzie i nic. Graham sprawdza w komputerze szpitale w Los Angeles, później będzie zataczał coraz szersze kręgi.

– Była w stanie krytycznym. Nie mogli jej wywieźć daleko. Bierzmy pod uwagę tylko szpitale, do których można szybko dojechać. Macie sprawdzić wszystkie. Rozumiesz mnie?

– Tak, proszę pana.

Zadowolony Dodge zwijał już wąż, wracając z nim w stronę budynku. Zostawił narzędzia, żeby wyschły, usiadł na stopniach werandy obok Williama i dalej czytał komiks, który wcześniej położył otwarty, tekstem do dołu. Siniak w kształcie gruszki na boku jego szyi zmieniał się już z sinego w fioletowy.

– Gdzie właściwie jesteście? – spytał Boss Man.

– Wróciliśmy do bazy, bo chcemy się przygotować, ale gdy rozlegnie się alarm, będziemy gotowi do działania.

– Proponuję, żebyś pomyślał, jak się przyczynić do uruchomienia tego... alarmu.

W słuchawce rozległ się sygnał.

William odłożył telefon i wypluł słonecznikową miazgę na schody. Wiatr wzmógł się, targając szeleszczącymi na nierównych deskach zwiędłymi liśćmi. Poza tym panowała całkowita cisza. Ten dom bez Hanleya nie był już taki sam.

Dodge, ciągle z nosem w komiksie, odwrócił kartkę i rzadki uśmiech wykrzywił jego usta. William zerknął i zobaczył ubranego w beżową kurtkę, wychudzonego faceta o oczach sierotki, który wykrzykiwał: „Nóż do oka!”.

William pomyślał o słowach, których właśnie użył w rozmowie z Boss Manem: „Nie można się ukryć z dzieciakiem u boku”. Chwycił się poręczy, która zaskrzypiała, gdy się podciągnął i stanął na chwiejnych nogach.

– Wingate ma teraz teczkę. Wie, że obserwujemy wszystkich ludzi, których kiedykolwiek poznał i z którymi jest związany. Założę się, że

postanowił odstawić dziewczynkę gdzieś, gdzie będzie bezpieczna. Sprawdźmy instytucje zajmujące się dziećmi.

Dodge zamrugał raz, potem drugi, a następnie wrócił do komiksu.

– Nie... czekaj – podjął William. – To zbyt oczywiste, nie chciałby nam jej w ten sposób wystawić.

Myślał i myślał, a liście za nimi z szelestem sunęły po deskach werandy.

Dodge odłożył komiks, ciężkim krokiem zszedł po schodach i zaczął wycierać narzędzia wielką chustką do nosa, którą nosił w kieszeni. Całkowicie skupił uwagę na swoim zajęciu i wykonywał je z absolutną miłością.

Z wiatrem nadpłynęły rzadkie strzępiaste chmury i przesłoniły szczyt Mount Shasty.

– Sam jako dzieciak wychowywał się w rodzinie zastępczej – uważał William. – Więc wróci do korzeni. – Wypluł ziarna w zielsko i odwrócił się do drzwi. – Zaczniemy sprawdzać domy rodzin zastępczych, jeden po drugim.

45

Oddalili się zaledwie kilka kilometrów od parkingu, na którym zostawili Kiki Dupleshney, a Mike już wrócił myślami do spojrzenia siedzącej na ławce Kat, kiedy ją opuszczał. Poczucie winy kłuło go boleśniej jak coś materialnego.

„Nie jesteś teraz mężem. Nie jesteś ojcem. Jesteś facetem, który ma zadanie do wykonania”.

Teczka z czerwonym napisem i numerem „4YCH429” tkwiła na jego kolanach, stale przyciągając jego wzrok.

– Jak sprawdzimy te numery? – spytał.

Pędzili przed siebie. Wciśnięty za kierownicę forda pinto Shep wyglądał naprawdę komicznie.

– Danville sprawdzi. Dla prywatnego detektywa blachy to bułka z masłem.

– Ale tamci go obserwują. Mają jego telefon na podsłuchu.

– Zadzwon na komórkę. Niech ci poda numer do budki telefonicznej.

Mike wystukał numer komórki Hanka. Gdy detektyw odebrał, rzucił tylko:

– Hej.

– Maurice – powiedział Hank. – Szukasz numeru do tego sklepu, tak? – Wychrypiał dziesięć cyfr. – Podobno otwierają za pięć minut.

Mike schował komórkę. Teczka na jego kolanach ciążyła mu, jakby waga odpowiadała jej znaczeniu. Powietrze wiejące z otworów wentylacyjnych pachniało lakierem do włosów. Samochody przemykały obok,

błyskając światłami. Mike zagapił się w dół.

– No, otwórz ją wreszcie – ponaglił go Shep. – Nie ugryzie cię.

Mike posłuchał. Na wierzchu było połyskujące zdjęcie, które Kiki pokazała mu w restauracji, to z domem z jego dzieciństwa. Pod zdjęciem były kolejne, z różnymi ujęciami domu. Jakiś wewnętrzny głos kazał Mike'owi oglądać jedno po drugim i odwracać je, jak gdyby sprawdzał pieczętki na spodzie porcelanowych talerzy. Na prostokątnej białej kartce przyklejono wycięty z gazety spis nieruchomości. Gazetowy skrawek nie miał daty, lecz papier był kruchy, a druk spłowiały, jednak Mike'owi udało się odczytać adres.

Chico.

Pochodził z miasta o nazwie Chico.

Było odległe o kilka godzin jazdy – autem kombi może jakieś siedem godzin – od placu zabaw w Los Angeles, przy którym ojciec porzucił go, gdy miał cztery lata. Przypomniało mu się, jak obudził się w ubraniu zamiast pidżamy.

Shep popatrzył na niego z zaciekawieniem.

Mike pogrzebał w schowku fordą i znalazł mapę zagrzebaną pod sterłą starych kaset magnetofonowych. Chwilę się szamotał, w końcu udało mu się ją rozłożyć na tablicy rozdzielczej.

– Dom, w którym dorastałem. Jest około osiemdziesięciu kilometrów stąd.

– Którą drogą?

– Na południowy wschód. Drogą numer dziewięćdziesiąt dziewięć.

Shep skręcił ostro w lewo, aż Mike o mało nie trzasnął głową w szybę. Kiedy podniósł wzrok, zobaczył znak wjazdu na autostradę, który mignął obok. Mniej więcej za godzinę będzie stał na frontowej werandzie rodzinnego domu. To niemożliwe!

Tętnienie w skroniach uświadomiło mu, że z wrażenia przestał oddychać. Dostrzegł swoją twarz w lusterku osłony przeciwsłonecznej. Dwoje oczu o tęczęwkach w odmiennych kolorach – jedna brązowa, jedna bursztynowa – lypało na niego z poblądłej twarzy. Zrobił kilka głębokich wdechów i na jego policzki powrócił kolor.

W schowku znalazł czerwony długopis i zakreślił miasta, które po-

jawily się w jego życiu, odkąd wkroczyli w nie Dodge i William. Sacramento – siedziba Stanowego Centrum Oceny Zagrożeń Terrorystycznych Ricka Grahama. Redding – ostami znany adres Williama Burrella. Red Bluff – teren działania Kiki Dupleshney. Chico – dawny dom jego rodziców. Wszystkie w północnej Kalifornii, w zasięgu dwustu czterdziestu kilometrów.

Shep jechał i milczał, a Mike szczerze go za to kochał. Odsunął mapę i zagłębił się w zawartość teczki. Stara polaroidowa fotografia ojca, na niej twarz równie wyblakła jak twarz Mike'a. A dalej niekończące się informacje na temat niego samego, jego przyjaciół, znajomych, przeważnie te same, które wcześniej widział w teczce zabranej z rozbitej furgonetki.

Na końcu była notatka napisana na maszynie. Nie było żadnego nagłówka firmowego, żadnego podpisu, żadnego znaku wodnego.

**Imiona rodziców: John i Danielle Trenley.
Twoja przykrywka: Dana Gage, dorosła córka
dawnych najbliższych sąsiadów Trenleyów.
Będziesz grała rolę wykonawcy testamentu
Trenleyów. Wiadomo ci o znacznych aktywach do
przekazania, ale możesz je przekazać tylko
wtedy, gdy otrzymasz potwierdzenie tożsamości
Michaela Wingate'a i jego rodzinnej historii.
Jeśli to on jest naszym celem, powinien
zareagować emocjonalnie, może nawet nieob-
liczalnie, gdy poruszysz temat jego rodziców.
Porzucili go, gdy miał cztery lata.
Nie próbuj się z nami kontaktować.
My cię znajdziemy.**

Mike trzymał kartkę tak mocno, że kciuk pozostawił na niej wglębenie. Rozluźnił teraz dłonie i przeczytał notatkę po raz drugi.

Sformułowano ją zbyt lapidarnie jak na Williama albo Dodge'a. Może napisał to Rick Graham w swojej stanowej agencji o imponującej nazwie. Hank nie znalazł nikogo o nazwisku Trenley i imionach John czy Danielle. Czyżby Graham podał Kiki fałszywe nazwisko, aby uda-

remnić ewentualne poszukiwania?

Shep coś powiedział.

– Co takiego? – spytał Mike.

– Miałeś dziesięć minut temu zadzwonić do Danville'a.

Wybrał numer. Hank odebrał, kaszłąc.

– Nic ci nie jest? – zaniepokoił się Mike.

– Od leków przeciwbólowych sram jak królik, ale przynajmniej nie jestem zwiewającym terrorystą.

Mike opowiedział mu o ostatnich zdarzeniach. Pobieźnie wspomniał o oddaniu Kat, starając się zachować zwykły ton. A mimo to Hankowi wyrwało się ciche: „O Jezu”.

– Nadal mają cię na oku? – spytał Mike.

– Sprawdziłem wczoraj telefon w biurze i, owszem, było dodatkowe napięcie na linii. Prawdopodobnie zainstalowali coś w skrzynce przyłączonej. Co jest, swoją drogą, godne uwagi.

– Dlaczego?

Minął ich wóz drogowki nadjeżdżający z przeciwka. Mike odwrócił się i przez ramię obserwował pojazd, aż zniknął mu z oczu.

– Ponieważ gdyby załatwili sprawę legalnie – wyjaśnił Hank – musieliby wejść na linię z przyłącza firmy telekomunikacyjnej albo użyć oficjalnego przechwyty elektronicznego. Jedno i drugie zostawia ślady. Więc Graham zrobił to bez nakazu. Jeśli potrafisz przedstawić jakiś dowód... to znaczy dowód na korupcję związaną ze śledztwem Grahama przeciwko tobie, albo jeżeli umiesz go powiązać z Williamem i Dodge'em, to...

– Pracujemy nad tym – uciął Mike. – Po drodze udało nam się zdobyć numer rejestracyjny pick-upa, którym Dodge i William pojechali zatrudnić Kiki Dupleshney. Sprawdzisz go dla mnie?

– Jasne. Spróbuję sprawdzić bazy i zaloguję się na kolegę po fachu, więc nikt nie powinien mnie z tym skojarzyć. Jaki to numer?

Mike odczytał litery i cyfry.

– A pod jaki numer mam do ciebie oddzwonić? – spytał Hank. – Nie martw się, skorzystam z automatu.

Mike podał numer Hankowi, który powtórzył go dwukrotnie, aż na-

uczył się go na pamięć.

– Słuchaj, Mike, muszę opłacić leczenie, a i poszukiwania, które dla ciebie prowadzę, nie są tanie... Widzisz, kiepsko u mnie z kasą. Ale pewnie nie możesz przesłać mi czeku.

– Wybacz, Hank. – Mike postukał się w głowę, robiąc sobie wyrzuty. – Mam gotówkę. Mnóstwo! Byłem tylko... po prostu... kompletnie...

– Oczywiście. Nie przejmuj się.

Mike otworzył torbę u swoich stóp i szybko przeliczył pieniądze.

– Wystarczy dwadzieścia tysięcy?

– To za dużo.

– Na pewno nie.

– Wiesz, i tak myślałem, żeby wymknąć się na trochę z miasta, zejść draniom z oczu. I... no cóż, wszystkie drogi prowadzą na północ, prawda?

W przedniej szybie odbijała się mapa leżąca na tablicy rozdzielczej, a zwłaszcza wyraziste, czerwone kręgi, które zakreślił Mike. Wyglądały jak skupisko uli. Nie mógł zaprzeczyć, że ogarnęło go podniecenie; jak gdyby jego życie przez ostatnie trzydzieści jeden lat stanowiło zwężający się lejek, na którego wąskim końcu znajdował się ten jeden mały fragment mapy.

– Tak – zgodził się. – Chyba tak.

– Wyruszasz w drogę, więc możemy się spotkać i wtedy się rozliczymy. Do diabła, może nawet do czegoś ci się przydam. – Hank zachichotał cierpko. – Ostatni wzlot. Zadzwoń, jak sprawdzę tablicę rejestracyjną. Muszę wymyślić, jak to zrobić potajemnie, więc może minąć trochę czasu.

Mike'owi mignął znak: „CHICO – 47 MIL”.

– Świetnie – podsumował. – Ja też będę potrzebował czasu.

■ ■ ■

Chodnik ciągnął się przed Mikiem niczym wielka strzałka prowadząca do wejściowych drzwi. Stojąc na krawężniku, z rękami wepchniętymi w kieszenie, czuł, jak chłodny wiatr smaga mu kostki nóg. Był tuż przed domem.

Własnym dawnym domem!

Dużo tu się zmieniło, ale bez trudu rozpoznał werandę, dach pokryty asfaltowymi gontami i podjazd w kształcie wachlarza A także okiennice żaluzjowe, które – z czego teraz zdał sobie sprawę – bezwiednie powielił w wymarzonych domach Green Valley. Wspomnienie tego miejsca, własnego miejsca, wychodziło teraz z mroków przeszłości niczym kotwica podnosząca się, a równocześnie wydobywająca z głębin kolejne detale. Mike wiedział, że kiedy pada deszcz, sękata sosna rosnąca z boku podwórza pachnie jak Boże Narodzenie, że tylny taras opada nieco na lewą stronę, że z rynny nad oknem, tam, we wschodnim narożniku, woda spływa na szybę w JEGO pokoju. Przypomnił sobie duże wulkaniczne kamienie, które kiedyś usiewały frontową ścieżkę, przypomniał sobie, jak próbował kiedyś jeden przechylić, żeby schwytać jaszczurkę, a gdy później podniósł dłonie, całe były pokryte krwią. Matka w kuchni, wymachująca czasopismem, przeganiająca krążącą muchę – „Prze-gońmy ją, kochanie. Ta mała paskuda to zła wróżba”. Jakaś jego część wręcz spodziewała się zobaczyć ojca siedzącego na stopniu frontowych schodów; rękawy ma podwinięte, pali cygaro. Gdyby żył, jak by teraz wyglądał?

Zobaczył w środku młodą rodzinę przy kuchennym stole; pomieszczenie było jasne, luna światła padała na ciemną ulicę, przywołując na myśl święto. Mike widział, że w kuchni nie ma już żółtych kafli, szalwiewego kadzidla ani matki zmywającej talerze po kolacji i uśmiechającej się, żartującej, opalonej nawet zimą, pachnącej cynamonem. Na podjeździe stał zaparkowany minivan. „Podoba ci się nasze nowe kombi, mistrzu? Ma tutaj takie drewniane listwy, widzisz? Ale to nie jest prawdziwe drewno. Przesuń po nich palcami, o tu...”. Teraz Mike odwrócił twarz na zimny wiatr, jego wzrok uciekł w stronę domu Gage'ów... Miętowozielone wykończenie. Ich doberman pogryzł mecha-nika z Searsa. Dostrzegł starszą kobietę, kołyszącą się na huśtawce na ganku, cierpliwie i spokojnie. Rozejrzał się po ulicy prowadzącej w stronę ogrodzonego jeziora. Tak, było tam jezioro, gdzie ślizgał się po omszałych kamieniach, a ręka ojca mocno chwyciła go za ramię i uniknęła kąpieli. Pachniało glonami, w podmuchach wiatru była wilgoć.

Jeśli poszło się w drugą stronę ulicą, widać było wzgórze porośnięte gęstymi kępami drzew, zwieńczone żółtym znakiem, zardzewiałym i powyginanym ze starości. Na znaku był jeleń i litera X, wielkie czarne „X”, które kojarzyło się Mike'owi z czymś bolesnym, głęboko ukrytym w jego myślach, co z trudem przywołał... „Hej, Joe, znasz nazwy ulic, które zaczynają się na »X«?”. „A co z pieprzonym Xanadu?”.

Shep był u jego boku, chociaż Mike dawno o nim zapomniał. Teraz przyjaciel splunął w rynsztok i kopał krawężnik. Mike poczuł mrowienie. Jak długo tu stał?

Dama na ganku Gage'ów odłożyła robótkę i zeszła z huśtawki, krzywiąc się z wysiłku. Mike pospiesznie podszedł.

– Przepraszam panią. Przepraszam, że panią niepokoję. Długo tu pani mieszka?

Kobieta zawahała się, wyduła pomarszczone usta, spojrzała na siatkowe drzwi, ku którym szła. Mimo wydatnych żył jej ręce wyglądały młodo i muskularnie. Szydełkowy szal narzucony na ramiona przyjemnie pachniał kawą i dymem papierosowym.

– Ile to jest dla pana długo?

– A jak się pani nazywa?

– Geraldine Gage.

Przełknął głośno, gardło miał wysuszone.

– Jestem reporterem, zbieram...

Puściła drzwi siatkowe, które zamknęły się z trzaskiem, po czym wskazała na sąsiedni dom.

– Widziałam, że pan tam zagląda. Upłynęły lata, odkąd ktoś o nich pytał.

– O wypadek? – spytał ostrożnie Mike.

– Więc tak to nazywają?

– Jak pani by to nazwała?

– Na pewno nie wypadkiem. Cała rodzina nagle po prostu zniknęła. I nie został po nich ślad. Po jakimś czasie bank po cichu przejął dom, a potem wprowadziła się nowa rodzina i kolejna. Życie toczy się dalej. Pewnie tak musi być.

Huśtawka na ganku poruszyła się na wietrze, łańcuch lekko za-

skrzypiał.

– Myśli pani...? Czy tamci wydawali się ludźmi, którzy pakują się w kłopoty?

– Chce pan wiedzieć, czy ściągnęli na siebie ten los? – Zachichotała sucho. – Jeśli życie w ogóle mnie czegoś nauczyło, to tylko tego, że nigdy nic nie wiadomo. Nigdy nie wiadomo, co się może zdarzyć, nigdy. Ale ci ludzie, nie, do diabła, nie wyglądali na takich, którzy igrają z ogniem. Jeśli mieli wrogów, nikt tu żadnego nie widział. Dlatego to takie szokujące. Po prostu nie wyglądali na ludzi, którym coś takiego może się przytrafić. – Pokręciła głową, zła na siebie. – Cokolwiek to oznacza.

– Jak miałem... – Powstrzymał się. Odchrząknął. – Jak się nazywali?

– Nie powinien pan przypadkiem tego wiedzieć? – spytała. – Skoro pisze pan artykuł...

– Robię retrospektywę na temat kilku podobnych spraw. Czasami mi się mieszają.

– Nazywali się Trainor – odparła. – Przez „o”.

– Trainor.

Odkrył z zaskoczeniem, że wypowiedział to słowo głośno. Może chciał poczuć jego smak w ustach.

John i Danielle Trainor.

Michael Trainor.

Po wszystkich tych latach, po przesłuchaniach w dzieciństwie, badaniach rentgenowskich i dentystrycznych, żeby ustalić dokładny wiek, rachunkach od prywatnego detektywa, przetrząsaniu baz danych, spacerach po cmentarzach, po tym wszystkim... wreszcie miał nazwisko.

Własne nazwisko.

Fałszywe, podane przez Kiki „Trenley” było podobne, żeby Mike'owi coś się przypomniało. A teraz okazało się, że to prawdziwe brzmi dla niego równie obco jak tamto. Ten fakt zbił go z tropu; czuł się zawiadziony, że słowo „Trainor” nie wydało mu się bardziej swojskie.

Geraldine Gage odwróciła się znów do siatkowych drzwi.

– Jacy byli? – wyrwało mu się.

Zatrzymała się, jedną stopę w rannym pantoflu zdążyła już postawić

w progu domu.

– Normalni ludzie, jak mówiłam. Bardzo w sobie zakochani... Na spacerach trzymali się za ręce jak nowożeńcy. Lubiliśmy ich. Ona miała dużo wdzięku, trochę hippisowski typ... była, jak teraz mówią, niezłą babeczką. Miała długie, piękne czarne włosy. A on był przystojnym facetem. Często pomagał mojemu Glenowi z... no wie pan, przesunąć kanapę, przytrzymać drabiną. Sympatyczny facet. Wyglądał trochę jak... trochę jak pan, jeśli pamięć mnie nie zawodzi. – Przyjrzała mu się uważnie. – Mieli synka.

Mike tylko kiwnął głową, bo zupełnie nie ufał swojemu głosowi.

– Byłby teraz w pańskim wieku – zauważyła. – Nazywał się Michael, prawda?

– Tak, chyba tak.

Wiatr uderzał w liściastą gałąź, która ocierała się o ganek z melodyjnym szumem.

– Proszę posłuchać – powiedziała. – Naprawdę muszę iść.

– A on? – spytał głosem, który zabrzmiał dla niego obco, jak gdyby należał do kogoś innego. – Co z chłopcem? – Jego twarz rozpałił gorący rumieniec. – Byli sobie bliscy, rodzice i on? Mimo wszystko dziwnie tak wywieźć dzieciaka z domu...

Kobieta zadumała się na moment nad jego osobliwym pytaniem, nieco zgarbiła plecy, pochyliła ramiona. Wyglądało na to, że wyczuła, jakie to ważne, a może tylko tak sobie wyobraził.

– Był przez nich bardzo kochany – odparła w końcu.

Drzwi siatkowe zatrzasnęły się za nią i zniknęła.

Mike stał przez kilka chwil, słuchając świerszczy.

Shep czekał w samochodzie. Mike przystanął przy drzwiach pasażera, patrząc na swój dawny dom, starając się zapamiętać jego widok. W łazience na stolku stała mała dziewczynka i czesała włosy przed umywalką, pewnie wkrótce szła spać. Jej ruchy były niezgrabne, grzebień zatrzymał się na kołtunach. Miała około sześciu lat.

Telefon wibrował w kieszeni Mike'a, jednak trzeba było chwili, żeby wyrwać go z odrętwienia.

– Tablice rejestracyjne należą do pick-upa GMC Sierra tysiąc

pięćset. – Hank mówił mocnym głosem, podekscytowany. – Wóz jest zarejestrowany na kasyno Deer Creek.

– Na kasyno? – upewnił się Mike.

– A zgadnij, gdzie to kasyno się znajduje – ciągnął Hank.

– Gdzie?

– Jesteś w Chico, zgadza się? Spójrz na północny wschód. Widzisz górę?

– Jest ciemno.

– No tak, to fakt. Tak czy owak, góra przed tobą nazywa się Mount Lassen. A kasyno jest na zboczu góry. Na pewno zobaczysz billboardy.

– Moje nazwisko – wtrącił Mike – brzmi Trainor.

Długie milczenie. Dziewczynce udało się rozczesać czuprynę. Jej miodowe włosy wyglądały delikatnie i puszyście. Zanim wyłączyła światło w łazience, zatrzymała się, zauważyła Mike'a na krawężniku obok samochodu.

– Trainor przez „o”? – spytał Hank.

– Tak, zgadza się.

– Ruszam w drogę, tak jak się umawialiśmy, póki jeszcze mogę, ale zobaczę, czego zdołam się dowiedzieć.

Dziewczynka podniosła do niego rękę w milczącym pozdrowieniu. Mike pomachał do niej.

– Ja również.

46

Przedmieście Deer Creek pojawiło się przy drodze. To znikало, to powracało w kokietyjnych odstępach. Rząd drzew brzoskwiniowych spływał kaskadą z wulkanicznych półek. Krajobraz zmieniał się szybko, słabe reflektory fordą pinto ledwie nadążały za topografią. Pojawiły się sady ze zraszaczami, których strumienie ostrzeliwały orzechy włoskie i drzewka oliwkowe niczym lameta. Później zaczęło się faliste pogórze i rzędom dębów korkowych towarzyszyły rozległe tereny porośnięte trawą. W końcu zbliżyła się góra Mount Lassen; gęsta bylica rosła wokół pni świerków, jodeł i sosen, chociaż gdzieś widać też było fragmenty czerwonej gliny, w które wyżej wrzynały się skaliste płaskowyże. Wpadający przez okno nocny wiatr oczyszczał płuca i myśli Mike'a.

W miarę jak zbliżali się do kasyna Deer Creek, ruch był coraz większy, a znaków drogowych przybywało. Wreszcie ich oczom ukazał się budynek przypominający centrum handlowe – niewysoki, długi, ciągnący się po płaskim terenie. Parking był pełny, tu i ówdzie podjeżdżały autokary z domów kultury, domów starców czy innych podobnych miejsc; wysiadali z nich starzy ludzie. Pracownicy na przerwie gromadzili się przy wyjściach, sprawdzali, czy ich komórki mają zasięg. Mechaniczna winda furgonetki opatrzonej logo **NOWE POCZĄTKI. CENTRUM AKTYWNEGO ŻYCIA** i uśmiechniętym słoneczkiem zwoziła – jednego po drugim – pasażerów na wózkach inwalidzkich. Kilka osób pikietowało przed drzwiami. Palili papierosy, ignorowani przez strumień hazardzistów, odpłacając się podobnym lekceważeniem.

Nie było tu typowych dla Las Vegas neonów, nie było tancerek rewiiowych w brokatowych sukienkach; równie dobrze Deer Creek mogło być marketem Walmart.

Shep się rozglądał. Z boku, przy parkingu dla niepełnosprawnych, była część dla pracowników kasyna; każde miejsce parkingowe opatrzone nazwiskiem i tytułem. Shep zaparkował na miejscu dla dyrektora finansowego, a potem wysiedli i przeszli przy tylnych zderzakach aut. Niemal każdy samochód miał na tablicach rejestracyjnych znaczek organów sprawiedliwości albo odblaskową naklejkę– Fundacja CHP, Klub Wsparcia Szeryfa, Przyjaciele Policji Sacramento.

Więc Mike położy pieniądze na stole krytym zielonym filcem w kasynie, którego kierownictwo pozostaje w sojuszu ze Stanowym Centrum Oceny Zagrożeń Terrorystycznych.

Zatrzymał się przed czarnym pick-upem Sierra i wskazał na tablicę rejestracyjną umieszczoną pomiędzy nalepką D.A.R.E. na zderzaku a odblaskową kalkomanią straży pożarnej. Numer odpowiadał temu, który zapisała Kiki Dupleshney; to był pojazd, którym William i Dodge pojechali, żeby kupić jej usługi.

Przesuwając palcem po lakierze, Mike obszedł pick-upa. Z wstecznego lusterka zwisała karta parkingowa na smyczy do wieszania kluczy. Z kwadratowego zdjęcia paszportowego wypatrywała twarz Williama, którego rysy łagodził życzliwy uśmiech. Modelowy pracownik.

– Powinniśmy... – zaczął Mike.

Ale Shep już był w środku, w pick-upie, i właśnie wsuwał sobie do kieszeni na piersi zestaw wytrychów.

Mike kucnął i odczytał podpis miejsca parkingowego: WILLIAM BURRELL, TECHNIK BEZPIECZEŃSTWA. Shep grzebał w schowku, aż wyjął odcinek pensji. Pokazał go Mike'owi, trzymając pod kątem, a kciukiem podkreślił nazwę stanowiska, dokładnie taką samą, którą Mike właśnie przeczytał. Był to przerażający eufemizm określający to, czym William naprawdę się zajmował.

Teraz Mike przyjrzał się baczniej skrawkowi papieru.

– Nie potrącono podatków. Jak ktoś pracuje na własny rachunek, trudniej go namierzyć. Właśnie dlatego Hank nie mógł go znaleźć.

Z kasyna dobiegł słaby dzwonek oznaczający, że jakiś szczęściarz zgarnął pulę, potem rozległy się entuzjastyczne piski podnieconej zwyciężczyni.

– Więc tutaj kończy się szlak – zauważył Shep. – Kasyno płaci mordercom, którzy prześladują ciebie i twoją rodzinę.

Nie jedna osoba, pomyślał Mike, lecz cholerne kasyno.

– Pozostało pytanie dlaczego – dodał przyjaciel.

Żółte i turkusowe litery tworzące nazwę kasyna coś w Mike'u poruszyły, lecz nie potrafił przywołać żadnych wspomnień ani uczuć związanych z Deer Creek. Jeden z uczestników pikietki opacznie zrozumiał jego spojrzenie i odwrócił trzymany znak, tak żeby Mike mógł go odczytać. DLACZEGO MY PŁACIMY PODATKI, A KASYNA MAJĄ WOLNE?

Mike uniósł rękę w geście zrozumienia, a potem kiwnął głową ku wejściu.

– Wejdziemy, żeby się rozejrzeć?

– Ja nie mogę – odparł Shep, wciąż grzebiąc w schowku. – W kasynach jestem spalony, kiedyś mnie złapali i teraz nie wchodzę, bo mają systemy rozpoznawania twarzy.

– Używają takich rzeczy?

– No jasne, co za pytanie! Namierzają złodziei, ludzi, którzy grają, opierając się na wyliczeniach matematycznych, oszustów karcianych, agresywnych pokerzystów, innych cwaniaków, uzbrojonych bandytów... – Na chwilę zamilkł i dodał: – No i oczywiście kasiarzy. – Znalazł w schowku czapkę z logo firmy John Deere i w połowie pełną torebkę z ziarnami słonecznika. – Ale ty możesz. – Włożył Mike'owi na głowę czapkę z daszkiem i nasypał mu w dłoń garść ziaren. – Ciebie nie ma w bazach danych żadnego kasyna. Ale na wypadek gdyby mieli dostęp do listy poszukiwanych przez policję, żuj słonecznik, żeby usta i policzki stale były w ruchu. Zmienisz kształt twarzy i kamera cię nie namierzy albo zgłupieje.

Żując ziarna należące do Williama, przeznaczone dla jego ust, Mike poczuł lekkie mdłości. Wsunął sobie nieco ziaren pod wargę jak tytoń. Gdy skończył przygotowania, spojrzął na kasyno. Tam byli jego wro-

gowie.

– Na wypadek gdyby William i Dodge mnie dopadli – stwierdził – muszę ci powiedzieć, gdzie ukryłem Kat.

– Nie – odparł Shep.

– Nie?

– Nie chcę tego wiedzieć. Mnie też mogą złapać. Każdy ma granicę wytrzymałości, a jak ją przekroczy, wygada wszystko.

– A moja wytrzymałość przewyższa twoją? – spytał Mike.

– Nie jestem jej ojcem – odpowiedział Shep.

Mike kiwnął głową, tylko raz, po czym ruszył w stronę budynku.

■ ■ ■

Migające światła i melodyjki dochodzące z automatów, stęchły zapach dymu papierosowego i rześki powiew klimatyzacji, słonawa papka słonecznikowa w ustach Mike'a i szalejąca w jego żyłach adrenalina sprawiły, że otoczenie wydawało się nierzeczywiste. Starsi ludzie walczyli o miejsce przy stolikach, gdzie stawka wynosiła jedynie pięć dolarów. Podnóżki wózków inwalidzkich uderzały z brzękiem w wysokie popielniczki. Kelnerki miały luźne sukienki w kolorowe indiańskie wzory, z rozcięciami na udach. Krążyły po salach z tacami zastawionymi wódką z red bullem albo Jackiem daniel'sem z colą i uśmiechały się szeroko niczym rozpustne disnejowskie Pocahontas. Na ścianach wisiały obrazy olejne przedstawiające wzbijające się w niebo orły.

Pracownicy obsługi odczytywali liczniki i wybierali monety z automatów. Chodzili po salach z metalowymi wózkami na kółkach, wyjmowali z automatów brzęczące puszkę i wysypywali zawartość do płaskich metalowych pojemników, które wyglądały jak miniaturowe śmietniczki. Tylko oni spośród personelu nie byli ubrani jak bohaterowie filmów Sergia Leone. W czarnych spodniach i białych koszulkach polo z logo kasyna Deer Creek na piersi mieli zapewne nie wyróżniać się wśród graczy i nie przypominać im, że w całym tym widowisku liczy się tylko ich gotówka, która – wywożona na wózkach – prawie w całości trafia do skarbcza kasyna.

Alejki w kasynie, wśród tego pozornego chaosu, nosiły mocne, męskie nazwy, takie jak Ścieżka Silnego Kozła czy Szlak Tomahawka, ale

nawet one nie mogły się mierzyć z mrugającymi zmyślnymi wskazówkami: WODA OGNISTA!, WAMPUM*!, SALA ZAKLINACZA DESZCZU! Namiot Zebrań, czyli Tipi Pow-Wow, witał Emerytów z Lockheeda i Przyjaciół Yuba City Jazz; błyszczący napis na tablicy oferował pieczone żeberka za dwa dolary i dziewięćdziesiąt pięć centów; a zespół Earth, Wind & Fire w następnym miesiącu miał wystąpić w Grand Tipi.

* Wampum – koraliki używane przez Indian jako środek płatniczy.

Jakiś otyły mężczyzna przejechał obok Mike'a na elektrycznym wózku, na którym ledwo się mieścił. Towarzysząca mu kobieta, prawdopodobnie żona, szła obok niego, wskazując palcem łapacz snów w sklepieniu z upominkami. Mężczyzna jednak nie odrywał wzroku od barmana, który miał na głowie pióropusz indiańskiego wodza i podawał drinki z wódką dziewczynom spędzającym wieczór panieński.

– Chryste Panie – zahuczał tubalnym głosem tłuszcioch – czy Indian to nie wkurza?

– Indian. – Kobieta zachichotała. – Pracują tu sami Meksykanie.

Rozglądając się ukradkiem w poszukiwaniu Williama lub Dodge'a, Mike o mało nie potknął się o jakiś porzucony balkonik, który na tylnych kółkach miał piłeczki tenisowe. Mike był zmęczony i zdenerwowany, otoczenie doprowadzało go do szału. Nie miał pojęcia, czego tu właściwie szuka.

Oparł się o ścianę i opuścił daszek bejsbolówki nisko, zasłaniając twarz. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że w kasynie świetnie można się ukryć, ale on doskonale zdawał sobie sprawę z istnienia małych czarnych kopuł na suficie, skrywających kamery. W pewnej chwili mimowolnie uderzył łokciem w szybę i rozległo się ostre brzęczenie, a gdy się odwrócił, zobaczył twarz Ricka Grahama wpatrującą się w niego z fotografii w gablocie na ścianie.

Przyspieszył mu oddech i przez chwilę bez ruchu stał naprzeciwko tej twarzy.

Na zdjęciu Graham wyciągał rękę i wskazywał na rząd komputerów gestem kogoś, kto prezentuje uczestnikom teleturnieju nagrody, które mogą wygrać. Mike gapił się na gęste, przyprószone siwizną włosy

mężczyzny, na jego ściągnięte wargi i budowę przywodzącą na myśl umięśnionego pitbula. Przypomniwał sobie, jak Graham stał w drzwiach jego domu, wtedy gdy Annabel wykrwawiała się na podłodze za jego plecami. „Dostałem zgłoszenie. Byłem najbliżej”. Z goryczą pomyślał o uldze, która wówczas ogarnęła go na widok Grahama; jak się wtedy cieszył, że wreszcie nadeszła pomoc.

Artykuł z „Sacramento Bee” towarzyszący zdjęciu Grahama drobniawo opisywał, jak kasyno Deer Creek ofiarowało urządzeniom do rozpoznawania twarzy i liczne komputery agencji antyterrorystycznej. Grahama, mieszkańca kalifornijskiej Granite Bay, chwalono w tekście jak lokalnego bohatera.

Mike, oszołomiony, zerknął na napis na szczycie gabloty:

DEER CREEK CZĘŚCIĄ SPOŁECZNOŚCI!

Odsunął się o krok, przytłoczony liczbą gazetowych wycinków umieszczonych jedna obok drugiej na tablicy informacyjnej za szkłem.

**KASYNO DEER CREEK PRZEKAZUJE DOTACJĘ
NA FUNDUSZ POMOCY WIDOWOM PO POLICJANTACH**

**PLEMIĘ POPIERA PRAWO MEGAN* PRZECIWKO
PRZESTĘPCOM SEKSUALNYM**

DEER CREEK FUNDUJE BILLBOARDY AMBER ALERTS
WARTĘ PONAD MILION**

* Prawo Megan (Megan's Law) – nakłada na władze stanów obowiązek monitorowania przestępców seksualnych i informowania osób mieszkających w okolicy, do której przestępca się wprowadza.

** America's Missing Broadcast Emergency Response (potocznie Amber Alerts) – wykorzystujący różne media system szybkiej informacji na temat zaginionych dzieci.

Podarowali kalifornijskiej drogówce kaski motocyklowe, a posterunkom szeryfa metalowe szafy na broń. Dotowali zakup nowych kamizelek kuloodpornych dla oddziałów SWAT Policji Sacramento. Kupili coś także Policji San Francisco oraz Policji Los Angeles. Zdjęcie A4 prezentowało mężczyznę w kosztownym garniturze i kowbojskim kapeluszu ściskającego dłoń samemu gubernatorowi. Gubernator otaczał

go ramieniem i uśmiechał się szeroko do obiektywu, dokładnie tak samo jak podczas spotkania z Mikiem. Przez całą szerokość fotografii napisał markerem: „Dla kasyna Deer Creek, moich przyjaciół, przyjaciół Kalifornii”, a następnie złożył autograf.

Od samego początku organy sprawiedliwości zwały szeregi przeciw Mike'owi i jego rodzinie. Słowa Hanka rozbrzmiały mu teraz w głowie: „Będą podejrzewać tych, których mają podejrzewać, i walczyć z tymi, którzy są na czarnej liście”.

Właściciele kasyna Deer Creek mieli koneksje i wpływy, dzięki którym bez trudu mogli zmienić życie rodziny Mike'a w piekło. Ale, do diabła, co nimi kierowało? – myślał. Jakie mieli powody?

Dlaczego chcieli zabić jego i Kat?

Pytanie było jak wąż mocno owinięty wokół pnia jego mózgu. Drażniło, uciskało, nie odstępowało.

Roznosząca drinki kelnerka wyszła nagle z nieoznakowanych drzwi obok Mike'a. W szczelinie przez chwilę widział korytarz wiodący bez wątpienia do części biurowej. Tacę dziewczyna miała pustą.

– Przepraszam, gdzie znajdę więcej informacji na temat plemienia?

Zastanawiał się, czy stoi na tyle blisko, aby zauważyła, że wcisnął sobie pod wargi ziarna słonecznika.

Dziewczyna się uśmiechnęła. Na włosach miała opaskę indiańskiej księżniczki, z boku w rudych lokach kiwało się piórko. Skórę miała bladą i piegowatą; wyglądała na Irlandkę.

– Do plemiennego sanktuarium dojdzie pan tamtymi schodami.

Ruszył powoli ku schodom, przeszedł pod łukiem oznaczonym napisem: HISTORIA PLEMIENIA DEER CREEK i znalazł się w pomieszczeniu, w którym przygotowano dość chaotyczną wystawę historyczną, światła były tu nabożnie przyćmione, spłowiałe fotografie i muzealne podpisy umieszczono na tablicach obitych czarnym aksamitem. Kilkoro turystów chodziło po sali niechętnie, jak gdyby wypełniali zadanie wyznaczone przez nauczyciela. Przez ukryte głośniki nadawano szeleszczące monotonne śpiewy, które Mike'owi skojarzyły się z palarniami opium, a równocześnie z niedzielnymi kreskówkami. A sala, tak jak i reszta kasyna, przypominała przede wszystkim Disneyland.

Z zamocowanego pod sufitem ekranu telewizyjnego pozdrowiał gości miedzianolicy Indianin. Dzięki symulacji komputerowej wyglądał jak archetyp Indianina – wysokie kości policzkowe, wydatne wargi, wielki nos, wyprostowana postawa. Stoicka pomarszczona twarz, przywodząca na myśl spaloną ziemię, emanowała doświadczeniem i mądrością. Mike odkrył, że wpatruje się w niebieskoczarne warkocz z niedowierzaniem, przerażeniem i podziwem. Czuł, że powoli wszystkie fragmenty układanki, wszystkie domysły i podejrzenia zaczynają łączyć się w sensowną całość.

– Witajcie, przyjaciele. Pójdźcie tym szlakiem, a ja opowiem wam historię plemienia Deer Creek.

Mike powłókł się naprzód, w głowie miał mętlik, a jednocześnie pustkę, jak gdyby obudził się po narkozie. Obiecaną historię plemienia opowiadały przypięte do czarnego aksamitu zdjęcia i wycinki z gazet.

– Ludzie z Deer Creek – monotonnym głosem recytował Indianin z nowego płaskiego ekranu – przybyli do północnej Kalifornii niemal cztery tysiące lat temu.

Patetyczny głos ciągnął opowieść, a Mike z całych sił próbował skupić się na eksponatach. Na szkicach widział członków plemienia polujących z łukami i strzałami, zastawiających sidła, używających harpunów i sieci rybackich. Kobiety przedstawiono w grupach, jak tłukły na mąkę suszone żołądziejce lub spletały sobie wzajemnie włosy i spinały je na karkach typowymi klamrami.

Mike siedł w normalnym tempie, chociaż krew w jego żyłach szalała.

Następną część sanktuarium poświęcono wierzeniom plemienia. Dziecioty symbolizowały dla tego ludu bogactwo i powodzenie, natomiast sypanie z twarzą skierowaną ku księżycowi uważali oni za szkodziwe.

– A mucha w krytych strzechach domach – obwieścił wirtualny Indianin – oznaczała, że zło zagraża mieszkającej tam rodzinie.

Mike poczuł na skórze ciarki.

Nagle jego nozdrza uderzył zapach plemiennego kadzidła. Szałwia! Aromat z jego dzieciństwa.

Zatrzymał się, nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Jednak cyfrowy

przewodnik niewzruszenie kontynuował opowieść.

– W najlepszym okresie plemię tych dumnych ludzi, mówiących w językach Hoka, daleko spokrewnionych z plemieniem Yana, liczyło prawie dwa tysiące osób. Potem przybył biały człowiek. Wielu Indian z tego regionu zostało wbrew ich woli przesiedlonych. Odra, dur brzuszny, ospa wietrzna, gruźlica i dyzenteria zdziesiątkowały tych, którzy przetrwali przymusowy przemarsz. Lata sześćdziesiąte dziewiętnastego wieku to okres niezliczonych walk i najazdów pomiędzy Indianami i białymi osadnikami; wiele szczepów i plemion w tym czasie całkowicie wyginęło. Niedobitki Deer Creek miały to szczęście, że dotrwały do następnego stulecia.

Kolejne szkice i ryciny – Indianie oplakujący zabitych i zmarłych, w żałobie obcinający sobie włosy, pokrywający głowy smołą. Palenie zmarłych. Zrozpaczone, zgnębione twarze. Mike zapragnął, żeby Indianin porzucił tę rozwlekłą opowieść i streścił resztę historii, nie było jednak sposobu, by przyspieszyć animację.

– Otrzymali na własność skromny rezerwat, rząd trzymał pieczę nad przydzielonym im terenem o powierzchni ośmiuset hektarów. Wtedy spadły na nich nowoczesne plagi. Samobójstwa. Cukrzyca. Alkoholizm. Przez dziesięciolecia ich ziemie rozparcelowywano, aż pozostał niewielki procent pierwotnego mienia. W latach pięćdziesiątych dwudziestego wieku wiele osób sądziło, że plemię Deer Creek już nie istnieje.

W dziale traktatów historycznych były zakurzone mapy i laminowane umowy rządowe ułożone schludnie w segregatorach. Porozumienia pomiędzy suwerennymi narodami indiańskimi i rządem Stanów Zjednoczonych stanowiły własność publiczną, toteż kasyno Deer Creek prezentowało je z dumą. Mike nie potrzebował dużo czasu – szybko skupił się na odpowiedniej umowie w sprawie mienia powierzonego, ukrytej w porozumieniu pomiędzy spółką akcyjną Deer Creek Tribal Enterprises a rządem federalnym. Kasynem – i związaną z nim korporacją – zarządzał w imieniu Indian rząd Stanów Zjednoczonych, sprawował też opiekę nad pozostałością indiańskiego rezerwatu.

Mike przesunął wzrokiem po tekście pełnym zwrotów prawniczych, które potwierdzały to, co już rozumiał. Kierownictwo kasyna zostało

wyznaczone na powiernika całego terenu rezerwatu i majątku plemienia „wraz ze wszystkimi pełnomocnictwami ogólnymi”. Kierownictwo kasyna miało zarządzać terenem i majątkiem, póki „żaden członek plemienia Deer Creek nie będzie zdolny i chętny” przejąć władzy. Każdy członek plemienia, który by się pojawił, stałby się wyłącznym powiernikiem majątku i mógłby się „cieszyć pełnią władzy”, a także otrzymałby „dowolnie szerokie pełnomocnictwa”.

Mike miał gorycz w ustach, zaschło mu też w gardle od resztek słonecznika.

Trzęsącymi się rękami przerzucił ze złością kilka kartek, szukając wyjaśnienia użytych zwrotów. „Członek plemienia”, zgodnie z prawami plemiennymi, miał oznaczać osobę, w której żyłach płynie przynajmniej jedna ósma krwi Indian Deer Creek.

Zastygł.

Po chwili uświadomił sobie, że cyfrowy Indianin mówi nadal.

– Pewnego zimnego kwietniowego poranka w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym jakiś turysta przypadkiem zaszedł do nędznej drewnianej chaty w górach. Mieszkała tam Sue Windbird, ostatnia członkini plemienia Deer Creek.

W roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym, powtórzył Mike w myślach. Czyli zaledwie kilka lat przed dniem, gdy ojciec porzucił go na placu zabaw. Huczało mu w głowie od podejrzeń, a jednak odważył się, obszedł ściankę i dotarł do fotografii starej Indianki. Na jej widok aż zaparło mu dech.

Spojrzenie przyciągały wykrzywione jak szpony ręce ułożone na wełnianym kocu narzuconym na kolana. Ogorzała od słońca twarz zachowała szelmowskie ożywienie. Jej zęby były w lepszym stanie, niż można by się spodziewać. Mike całkowicie skoncentrował się na jej oczach. To na ich widok wstrzymał oddech.

Jedno oko było bowiem brązowe, a drugie – bursztynowe.

47

Miał nogi jak z waty, gdy wychodził z plemiennego sanktuarium na półpiętro. Jego gorąca twarz z wdzięcznością przyjęła chłodny powiew klimatyzacji. Oparł się o ścianę i przez chwilę po prostu łapał powietrze. Kiedy otarł czoło, rękaw był wilgotny.

Przed oczami wciąż miał zdjęcie Sue Windbird. Na mosiężnej tabliczce pod portretem widniało jej nazwisko, znak zapytania zamiast daty urodzin oraz data śmierci – dziesiąty sierpnia 1982 roku.

A jednak Sue Windbird najwyraźniej nie była ostatnim członkiem swojego plemienia.

Chociaż nie żyła od kilkudziesięciu lat, jej oczy mogły równie dobrze stanowić strzałkę wskazującą prosto na niego. I na Kat. Jak nazwał je William? Kocie oczy.

Mike nie mógł sobie przypomnieć, czy matka również miała heterochromię, ale bardzo dobrze pamiętał, jak patrzył w górę, gdy go kąpała. Czarnobrzazowe włosy na opalonym ramieniu. Wydatne kości policzkowe. Złotobrzazowa skóra, ciemna nawet zimą. Ukryty rodowód, sięgający kultury, o której wiedział nie więcej niż o Majach czy choćby mieszkających w Pensylwanii Niemcach albo Szwajcarach. Tymczasem w jego żyłach płynęła krew Indian z plemienia Deer Creek. I w żyłach jego córki.

Rozmyślał nad implikacjami i konsekwencjami wiedzy, którą właśnie posiadał, i był oszołomiony. Póki istniała pewność, że nie pozostał przy życiu żaden członek plemienia, kierownictwo kasyna mogło zarządzać plemiennym majątkiem i zatrzymywać dla siebie zyski.

Ci ludzie chcieli wybić całe pokolenia tylko po to, żeby plemię nadal uważano za wymarłe!

Kilkoro studentów przeszło obok niego, dowcipkując i pociągając koktajle, a przy okazji wrywając go z zadumy. Starał się wrócić do rzeczywistości. W końcu chwycił mocno poręcz schodów i zszedł po nich do hałaśliwego kasyna. Natychmiast odniósł wrażenie, że mrugające światła i spocone twarze atakują go. Przemknął się pod ścianą, stawiając jedną nogę przed drugą i kierując się ku wyjściu.

Właśnie dlatego nie dostrzegł czyjś uniesionego ramienia, aż uderzył w nie głową. Kurtka z gładkiej cięłej skóry, czarna z naszytym czerwonym znaczkiem Ducati.

Mężczyzna podniósł rękę i odsunął go.

– Patrz, gdzie leziesz.

Z daleka wyglądałby pewnie dużo młodziej, jednak Mike był tuż obok niego i widział twarz naciągniętą po liftingu i ufarbowane na zbyt ciemny kolor włosy; oceniał go na jakieś sześćdziesiąt pięć lat. Mężczyzna miał też idealnie białe zęby i zrelaksowaną pozę człowieka, który czuje się na świecie bezpieczny i na swoim miejscu. Obrzucił Mike'a ledwie pobieżnym spojrzeniem, ponieważ był skupiony na stoliku blackjacka po drugiej stronie przejścia, przy którym grano o wysokie stawki.

Podobnie jak William i Dodge, którzy stali tuż za nim.

Mike poczuł, że mięśnie nóg mu sztywnieją, zastygają, kurczą się. Szybko pochylił głowę, ukrywając twarz pod daszkiem, zebrał siły i zdołał się odwrócić. Trzej mężczyźni stali przy drzwiach prowadzących do części biurowej – tych samych, z których wcześniej wyłoniła się kelnerka z tacą.

Odchodząc, usłyszał mężczyznę w skórzanej kurtce motocyklisty.

– Efekty, chłopcy – zażądał. – I to prędko.

Odpowiedział mu William, a na dźwięk jego chrypliwego głosu Mike poczuł ból, jakby ktoś paznokciem przejechał mu po kręgosłupie.

– Dopadniemy ich, Boss Manie.

■ ■ ■

Nadal wściekły, Mike pospiesznie szedł przez parking dla pracow-

ników. Shep dołączył do niego i deptał mu po piętach.

– I jak? Widziałeś Indian od „wielu księżyców” czy raczej takich od obsługi klienta? – spytał przyjaciel.

Mike wypluł przeżutą papkę, która plasnęła na asfalcie.

– Takich od wielu księżyców.

– Takich od fajek pokoju i „sprzedam Manhattan za garść paciorków”?

– Tak, Shep, właśnie takich...

– Co jest?

Mike dostrzegł na czołowym miejscu parkingowym motocykl Ducati, który pasował do mężczyzny w skórzanej kurtce. Lśniąca i potężna maszyna wyglądała częściowo jak myśliwiec, a częściowo jak batmobil. Mike przykucnął i przeczytał napis oznaczający miejsce parkingowe. „BRIAN MCAVOY, dyrektor generalny”.

Brian McAvoy.

Boss Man.

– Dokąd teraz jedziemy, Wielki Wodzu Kucająca Krowo? – spytał Shep.

– Do Grahama. – Mike pomyślał o artykule z gazety, który widział w kasynie, tym, w którym nazwano dyrektora agencji antyterrorystycznej lokalnym bohaterem z Granite Bay. – Zobaczmy, co nam powie.

Biała pościel w srebrnej poświacie księżycy wpadającej przez świetlik wyglądała jak warstwa lukru. Duży budynek w stylu górskiej chaty zaprojektowano idealnie – okna szczytowe, żyrandole w kształcie poroża, spadzisty dach, dzięki któremu drugie piętro było wysokie. Dom był o wiele zbyt kosztowny dla kogoś z pensją funkcjonariusza, nawet jeśli tego funkcjonariusza można by nazwać stanowym carem antyterroryzmu. Strzeżone osiedle, pół godziny na północ od Sacramento, na pierwszy rzut oka bardziej pasowało współnikom pracującym w kancelariach prawnych i właścicielom winnic.

Przez otwarte drzwi wychodzące na nieoświetlony balkon wpadał zimny wiatr, mierzwiąc szpakowate włosy Ricka Grahama. Mężczyzna mruknął sennie, a później wyciągnął rękę i gniewnym ruchem pomacał blat nocnego stolika, aż w końcu trafił na włącznik. Zapalił lampkę, po czym – niemal równocześnie z kliknięciem włącznika – krzyknął.

Mike siedział przy jego łóżku w rustykalnym fotelu, na kolanach niedbale opierał rewolwer kaliber .357 z lufą wycelowaną w tułów Grahama. Rękawiczki z czarnej skóry sprawiały, że ręce Mike'a nie były widoczne w mroku.

– Masz pojęcie, do czyjego domu... – zaczął Graham, lecz wtedy rozpoznał intruza i umilkł. Podciągnął się do pozycji na wpół siedzącej i oparł o wezłowie. Miał na sobie flanelową pidżamę, być może chciał się dopasować do wystroju domu; nie zapiął kilku górnych guzików, więc było widać siwe włosy na piersi. – Niech zgadnę... wróciłeś, żeby znów mi przebić pieprzone opony.

Mike nie odpowiedział, lecz mocniej złapał uchwyt rewolweru.

– Jak przeszedłeś przez bramę? – Graham powoli przesuwiał dłoń ku leżącej obok niego poduszce. – Ten dom został dobrze zabezpieczony. Wszystko, co się tu dzieje, jest rejestrowane.

Mike wskazał na kamerę zainstalowaną nad otwartymi drzwiami i skierowaną na nich obu.

– I wszystko zapisuje się na twardym dysku komputera Dell, który stoi w twoim gabinecie.

Graham ciężko przełknął ślinę i jego grdyka wyraźnie się poruszyła.

– Prezent od Deer Creek na coś się przyda – zauważył Mike.

Funkcjonariusz zrobił szybki ruch ręką i wyjął spod poduszki broń kaliber .38 Special. Wycelował rewolwer w głowę Mike'a, zanim ten zdążył podnieść broń.

Graham rozsunął wargi i wykrzywił twarz w swego rodzaju półuśmiech, kciukiem zaś dotknął kurka broni.

Mike kiwnął głową ku jego górze od pidżamy.

– Twoja kieszeń.

Trzymając mocno rewolwer, Graham podniósł drugą rękę i szarpnął za luźną kieszeń na piersi. Rozległ się metaliczny grzechot. Na koldrę wyskoczył jeden nabój z mosiężną łuską i mężczyzna zagapił się na niego bezradnie.

Mike unióśł nogę i oparł ją piętą na krawędzi fotela, podniósł własny rewolwer i zważył go w dłoni.

Funkcjonariusz znów przełknął ślinę i opuścił rękę, a nienaładowana broń zniknęła w fałdach pościeli.

– Jeśli powiem ci wszystko – spytał – nie zabijesz mnie?

Mike krótko skinął głową.

– Daj mi słowo.

– Masz je.

Graham trochę się odprężył.

– Jeśli znasz czyjś profil psychologiczny, wiesz o tym człowieku dużo. Potrafię rozgryzać ludzi na podstawie danych, które o nich mam. Dlatego wiem coś o tobie. Na pewno nie jesteś kłamcą.

Mike unióśł lekko broń, a Graham szerzej otworzył oczy i bezradnie

śledził ruch lufy.

- Zazwyczaj nie jestem.
- Co chcesz wiedzieć?
- Chcę wiedzieć o twoich związkach z Deer Creek.

Graham oblizał wargi.

– Trzeba by się cofnąć do początków moich i Briana McAvoya. Był dzieciakiem na University of Nevada w Las Vegas, studiował administrację hotelową. Pochodził z bogatej rodziny i był bystry, a umiał korzystać i z forsy, i z rozumu. Ja byłem młodym wilkiem w Policji Sacramento i marzyłem o awansie. Doszliśmy do wniosku, że możemy sobie wzajemnie pomóc. McAvoy powołał wtedy do życia firmę rozpoznawczą, która miała zrzeszać kasyna powstające poza Las Vegas.

– Potknął się na sprawie Sue Windbird.

– Potknął się o szczęśliwy los na loterii. Członkowie niektórych plemion wydają fortunę na petycje, pozyskiwanie lobbystów, prawników, ekspertów traktatowych, historyków, genealogów... tylko po to, żeby dostać to, co Sue Windbird już miała.

– Czyli co?

– Nie masz pojęcia, o jak duże pieniądze chodzi, zgadza się? – Graham zachichotał, próbując zyskać na czasie. Widać było, że jest rozdarty; z jednej strony chciał grać na zwłokę, z drugiej wyraźnie delectował się własną opowieścią. – W Biurze do spraw Indian sądzono, że jej plemię już wyginęło, więc w latach siedemdziesiątych firma Deer Creek dała sobie spokój z wszelkimi przepisami i po prostu przejęła własność plemienną. Zresztą w podobnych przypadkach, nawet gdy się okazywało, że żyje jeden członek plemienia, próbowano podważyć jego prawo do własności. No, chyba że ta osoba – oczy Grahama błysnęły – nigdy nie opuściła terytorium swojego plemienia. I... zgadniesz, jak było? Przez te wszystkie lata, kiedy ziemie Deer Creek dzielono, stara dobra Sue tkwiła w tej swojej gównianej chatce na czterdziestu hektarach pierwotnego rezerwatu. A więc mieliśmy uznane przez rząd federalny plemię na suwerennej ziemi, składające się z jednego umierającego członka. Wiesz, co to oznaczało?

– Ty mi powiedz.

– Że ta ziemia – dla podkreślenia swoich słów Graham rozłożył ręce – te czterdzieści hektarów tworzyło maleńki suwerenny naród w samym środku Kalifornii. Naród, który nie musi przestrzegać ustawodawstwa Stanów Zjednoczonych Ameryki. – Dla efektu zrobił pauzę. – I nie mówimy tutaj tylko o monopolu na działalność hazardową, która poza tym wszędzie w stanie jest nielegalna. Mówimy o prawach federalnych, których plemię po prostu nie musi przestrzegać, podobnie jak prawa zagospodarowania przestrzennego. Do diabła, nie licząc ścigania przestępców, rząd Stanów Zjednoczonych nie zawsze może wkroczyć na tereny należące do plemienia. A co jest w tym wszystkim najlepsze? Że kasyno nie płaci ani centa podatku od zysków, ani jednego pieprzonego centa.

Mike przypomniał sobie protestujących przed kasynem Deer Creek i napis: **DLACZEGO MY PŁACIMY PODATKI, A KASYNA MAJĄ WOLNE?**

– No i to położenie! – kontynuował Graham. – Niecałe piętnaście kilometrów dalej, przy tej samej drodze, zaplanowano budowę osiedla dla emerytów. Ich mieszkańcy są dla właścicieli kasyn jak krowy dojne. Siedem tysięcy domów, jeden przecinek osiem osoby na dom. Gracze idealni, równie dobrze mogliby od razu przesyłać czeki z emeryturą do Deer Creek.

Mike pomyślał o starszych ludziach, których widział w kasynie przed automatami, jak wrzucali żeton za żetonem, a później pociągali za rączkę.

– Przybytki hazardowe prowadzone przez Indian to przychód w wysokości ponad dwudziestu pięciu miliardów rocznie. To więcej, niż zarabiają wszystkie kasyna Las Vegas i Atlantic City razem wzięte!

Na twarzy Grahama pojawiły się satysfakcja i duma.

Mike'a bolała szczęką, którą bezwiednie zaciskał.

– Za takie pieniądze można sobie kupić dużo... wpływów.

– Nie wiesz nawet połowy. Właśnie z indiańskich kasyn płynęło najwięcej pieniędzy dla partii politycznych podczas ostatnich wyborów w stanie. Właściwie na tych pieniądzach gubernator wjechał na urząd. Chryste, samo Deer Creek dało trzydzieści pięć tysięcy dolarów podczas

inauguracji kampanii Obamy. – Graham przerwał, zwilżył usta językiem. – McAvoy zaczął od bingo za wysokie stawki. Potem zajął się lotto, loteriami, kartami i nie do końca legalnymi automatami. To nie były takie pieniądze jak teraz, wciąż dochodziło do procesów, a to w sprawie automatów, a to z powodu gier stolikowych. Potem Sąd Najwyższy wydał prawomocny wyrok w sprawie plemienia Cabazon. Był tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty siódmy. To był zupełnie nowy świat. Przypominasz sobie, jakie zaległości jeszcze kilka lat temu miał kalifornijski budżet? Brakowało ile? Stu milionów dolarów?

Mike skinął głową.

– Kasyno Deer Creek załatało tą dziurę. Spłaciło długi, i już. To były grosze w porównaniu z podatkami, które powinni zapłacić przez te wszystkie lata, ale byli cwani. Pozawierali umowy, porozkładali zyski wśród odpowiednich osób.

– Jak...? – Mike'owi cisnęło się na usta więcej pytań, niż potrafił zliczyć, i sam nie wiedział, które zadać najpierw. – Jak załatwili coś takiego w imieniu dziewięćdziesięcioletniej kobiety, leżącej na łożu śmierci?

– A jak się załatwia takie sprawy? – spytał Graham. – Zatrudnia się sprytnych prawników, czyż nie? McAvoy odgrzebał jakąś starą klauzulę, z której wynikało, że sprzedaż gruntów należących do rezerwatu jest nielegalna i w świetle prawa nieważna, o ile nie zostanie wcześniej zatwierdzona przez rząd federalny. No i... zgadnij, co się zdarzyło? Kiedy rozdzielano i sprzedawano pierwotne tereny rezerwatu Deer Creek, nikt nie spytał o zgodę rządu federalnego. Więc McAvoy zagroził, że zakwestionuje prawowitość tysięcy działek i nieruchomości, tysiące praw własności. A mówimy tutaj o ośmiuset hektarach w północnej Kalifornii. Prawnicy mieliby nękać telefonami wpływowych właścicieli ziemskich i posiadaczy wielkich posesji, na których pobudowano przedsiębiorstwa przynoszące krocie. Wyobrażasz sobie, jak prawnik dzwoni do takiego człowieka i mówi mu, że jego teren już do niego nie należy? Natychmiast zostaje wstrzymany wszelki rozwój. Banki przestają przydzielać nowe kredyty hipoteczne... Tak, tak, McAvoy szybko zdobył dla Sue Windbird to, co jej się należało.

– A później zadbał o własny interes, deklarując, że będzie tym wszystkim zarządzał w imieniu plemienia – dodał Mike. – Więc kiedy Sue Windbird zmarła, zdobył wolną od podatku firmę, właściwie prywatny bankomat bez dna.

– I dlaczego by nie miał tego wszystkiego wziąć? Myślisz, że prababcia ruszyłaby dupę i sama poprowadziłaby biznes wart miliard dolarów? Kiedy ją znaleźliśmy, wciąż zajmowała się zbieraniem jagód i srała w wychodku za domem. Wierz mi, ta kobieta przeżyła swoje ostatnie lata jak królowa. Zakładała komiczne indiańskie stroje i zawozili ją na różne otwarcia, gdzie przecinała wstęgi. Piła najlepszą szkocką i jadała chateaubrianda.

– Kiedy McAvoy dowiedział się, że miała dziecko? – spytał Mike.

– Wszyscy wiedzieli, że miała syna. To był pijak, typowy Indianin. Zginął w wypadku samochodowym jeszcze w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym dziewiątym. Ale nie wszyscy wiedzieli, że wcześniej przeleciał jakąś białą dziewczynę.

– Odkryliście to, jak grzebaliście w genealogii rodziny, bo chcieliście potwierdzić jej prawo do tej ziemi?

Graham był pod wrażeniem.

– Tak. Myśleliśmy, że wszystko wiemy, że wyszliśmy na prostą, a tu nagle... Bam! Okazuje się, że jest jeszcze dziewczynka urodzona w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym pierwszym. Trochę się naszukaliśmy, ale w końcu ją znaleźliśmy.

– My – powiedział Mike. – Stale mówisz „my”.

– Byłem z Deer Creek od samego początku. A nawet gdybym nie chciał czerpać korzyści, jaki mam wybór? Kto twoim zdaniem finansuje połowę działalności mojej agencji? McAvoy podarował agencjom w tym stanie połowę sprzętu. Więc nie jestem święty i też nie dostrzegam szczególnej różnicy pomiędzy tym, co publiczne, a tym, co prywatne.

– À propos tego, co prywatne... Masz przy okazji pod sobą całą policję.

– Jestem dyrektorem największej agencji antyterrorystycznej w stanie. Nie potrzebuję skorumpowanych gliniarzy. Wskazuję pewnych ludzi... oto, co robię. Jeśli policjanci mnie wspierają, nie ma mowy o

korupcji. Po prostu wykonują swoją robotę. Ja wskazuję, oni tropią.

– Dziewczynka – podsunął Mike, starając się wrócić do właściwego tematu.

– Danielle Trainor.

– Moja matka.

– Zgadza się.

Skoro jego matka była w połowie Indianką, on był Indianinem w jednej czwartej.

A Kat w jednej ósmej.

Graham przesunął ręką w dół, po twarzy, naciągając skórę, a Mike przez chwilę widział w jego oczach przeblysłk wyrzutów sumienia. Szybko jednak nad sobą zapanował i odezwał się twardym głosem, broniąc się za pomocą argumentów, którymi być może bronił się sam przed sobą przez te wszystkie lata.

– McAvoy zainwestował tak wielkie pieniądze, że po prostu nie mógł zachować przy życiu kogoś takiego jak twoja matka, po prostu nie mógł. Tak samo jak teraz nie może pozwolić wieśniakowi z rodziny zastępczej, żeby przyszedł ot tak i poprosił o klucze do królestwa. Zgadza się? Albo twojej córce... ile ona ma teraz lat, osiem? Nie może dopuścić, żeby przybiegła radośnie i zażądała udziałów w kasynie. Pomyśl logicznie i sam powiedz, czy możesz winić McAvoya?

Mike nie odpowiedział, tylko patrzył na niego bez słowa.

– No dobra, z twojej pozycji trudno ci to przyznać. Ale musisz zrozumieć, że gra nie idzie o byle co, że facet ma strasznie dużo do stracenia.

– Indiańskie kasyno bez Indian.

– Zgadza się – odparł, po czym dodał przebiegle: – My tylko nim zarządzamy, przecież wiesz.

– W imieniu plemienia, które wyginęło – odrzekł Mike.

– Nie całkowicie, prawda?

Mike pochylił się i Graham znowu śledził wzrokiem lufę rewolweru. Kropelki potu pociekły mu po lewej skroni i policzku.

Podniósł ręce.

– Słuchaj, jestem po twojej stronie i mogę ci pomóc. Udowodnienie,

że masz prawo żądać... będzie dość trudne, ale...

– Że mam prawo żądać? – powtórzył Mike.

– Bez raportu genealogicznego gówno dostaniesz. Właśnie dlatego McAvoy trzyma go w prywatnym sejfie z wszystkimi cennymi brudami na różnych ludzi. Ten sejf jest w jego biurze za obrazem indiańskiego uzdrowiciela. Nikt nie wie o skrytce, nikt poza nim i mną. – Opacznie odczytał zaskoczoną minę Mike'a i uznał, że ten mu nie dowierza. – Nie znam szyfru, ale mógłbym cię tam wprowadzić, a wtedy sam zmusisz faceta, żeby otworzył sejf. Z raportem genealogicznym możesz zażądać zarówno kasyna, jak i wszystkich aktywów. Mógłbym ci pomóc to wszystko pozalać...

Mike odpowiedział mu głosem równie chłodnym i twardym jak naboje, które wyjął wcześniej z broni Grahama.

– W dupie mam kasyno.

Przez otwarte drzwi balkonowe dobiegał odgłos cykad.

Graham obliznął wargi.

– Więc po co tu przyszedłeś?

– Jesteś facetem, który tworzy profile psychologiczne. Więc spójrz mi w oczy i powiedz, dlaczego tu przyszedłem.

Palce Grahama przesuwają się nerwowo po pościeli.

– Twei rodzice.

– Nie żyją.

Mike nie potrafił wypowiedzieć tych słów w formie pytania.

Funkcjonariusz odwrócił wzrok.

– Mów dalej – polecił mu Mike. – Powiedz mi wszystko, co powinieneś. Bo niczego więcej od ciebie nie chcę, tylko informacji.

Graham odchrząknął, wciąż miętosząc pościel.

– Chodzili razem od liceum. Twoja matka była w kółku muzycznym. Dostała nagrodę dla uczennicy z najładniejszym uśmiechem... pewnie ze względu na kontrast białych zębów z ciemną skórą. On dostał tytuł największego optymisty. Pochodził z zamożniejszej rodziny niż ona. Nie żeby był bogaty czy coś... jego ojciec był księgowym. Ale Danielle wychowywała się w biednym domu: bez ojca, w jednopokojowym mieszkaniu, w weekendy pomagała matce sprzątać domy innych,

nosiła ciuchy ze sklepów z używaną odzieżą. Mocno identyfikowała się z ojcem, chociaż widywała go tylko przelotnie w ciągu swoich pierwszych ośmiu lat. Podkreślała swoje indiańskie dziedzictwo, wręcz je idealizowała...

– Jaki to był instrument? – wtrącił Mike. Policjant popatrzył na niego w osłupieniu, więc mu podpowiedział: – Była w kółku muzycznym. Na jakim grała instrumencie?

– Na flecie, tak mi się zdaje.

Mike'owi zaschło w gardle, więc machnął tylko lufą, żeby Graham dalej mówił.

– Pobrali się wkrótce po ukończeniu szkoły średniej. John szybko został kierownikiem hurtowni. Całkiem dobrze zarabiał, ale nie lubił swojej pracy. Kochał baseball, westerny i meksykańskie jedzenie. Danielle była menedżerką w butik, aż uznali, że John zarabia dość i ona może zostać w domu. Byli rodzinni. W weekendy jeździli na pikniki, mieli volkswagena dashera i forda kombi, country squires, takiego z bokami oklejonymi boazerią niby z drewna. Kojarzysz?

Tak, Mike dokładnie pamiętał samochód i zapach tylnego siedzenia. Ale Graham nadal opowiadał.

– Ona lubiła pracować w ogrodzie, Danielle, lubiła grzebać w ziemi. Kochała świece, Cata Stevensa i kadzidło.

– Szałwiowe – bąknął Mike słabo. – Kadzidło o zapachu szałwii.

Graham popatrzył na niego, nagle zaniepokojony.

– Ile chcesz wiedzieć?

– Ty ich zabiłeś – powiedział Mike.

Funkcjonariusz przyjrzał mu się bacznie, chociaż jego palce nie przestały międlić pościeli. Wśród fałd błysnęła nagle kula.

– Dałeś mi słowo.

Mike podniósł rewolwer i wycelował w czoło Grahama.

– Jasne, do cholery, że ich nie zabiłem! Jestem gliniarzem.

– Więc zleciłeś to swoim ludziom. Rogerowi Drake'owi i Williamowi Burrellowi?

Zaskoczony mężczyzna uniósł brwi.

– Raczej Lenny'emu Burrellowi.

Mike położył na poręczu fotela broń wycelowaną w łóżko.

– Ojcu Williama?

– Wujowi. – Nabój był coraz bliżej palców Grahama. – Burrell zajął się najpierw twoją matką...

– Co jej zrobił?

– Zastrzelił ją w kąpielni, chyba tak. Śmierć była szybka i bezbolesna. Ty spałeś w swoim pokoju, ale John zobaczył w korytarzu Lenny'ego, który szedł po ciebie. Doszło do bójki i twój ojciec zdołał przepędzić Burrella. Wściekłość dodała mu sił. Jakoś się domyślił, co się dzieje. Że ktoś poluje również na ciebie. Uciekł z tobą, wywiózł cię gdzieś, zanim Lenny zdążył zebrać posiłki i wrócić. Lenny dopadł go mniej więcej tydzień później pod Dallas. Musieliśmy się dowiedzieć, dokąd twój ojciec cię zawiózł... Czasy były inne, gdy chodziło o zaginionych, nie było komputerowych baz danych, alertów, komunikacji między agencjami. – Przetarł ze znużeniem oczy i podjął smutnym głosem. – Lenny trochę nad Johnem popracował. Tak, Leonard Burrell był zdolnym facetem. Ale twój ojciec wykazał się imponującą wytrzymałością. Mimo tego, ile wycierpiał, nigdy nie zdradził, gdzie jesteś.

Mike podniósł głowę, zapatrzył się na belki wzmacniające ciemny sufit i zatonął w myślach.

– Nienawidziłem mojego ojca przez trzydzieści jeden lat – powiedział powoli.

– Czujesz ulgę? – Nieco zacieniona twarz Grahama wydawała się nagle niemal ojcowska. – Że nie musisz go już nienawidzić?

Mike pomyślał: nawet nie masz pojęcia, jak wielką.

Graham odchrząknął.

– Przepraszam cię za to, co zrobiłem. Są noce, gdy... No cóż, to nie twoja rzecz, nie musisz się mną przejmować.

Mike był niejasno świadomy, że Graham napina ramię, że jego dłoń wciąż gmera w pościeli, widział ciemne miejsce, gdzie nabój leżał na jasnym tle materiału.

– Dlaczego nigdy nikt ich nie znalazł? – spytał Mike. – Ciał moich rodziców?

– Lenny był ekspertem, specjalistą w wielu dziedzinach. Jedną z

jego umiejętności było usuwanie zwłok. Tak było łatwiej. Bez ciała nie prowadzi się sprawy o morderstwo. Nikt się nie wtrąca. W aktach nie ma raportów w sprawie zaginionych. A tak? Przecież ludzie stale wpadają w tarapaty, pakują się, wyjeżdżają. W okolicy wszyscy po prostu uznali, że Trainorowie się przeprowadzili. Żadnego pogrzebu, żadnego nekrologu, dużo mniejsza sensacja. Nikt za nimi nie tęsknił.

– Ja tęskniłem – bąknął Mike. – Ja za nimi tęskniłem!

– Co mam ci powiedzieć?

Widział, jak poczucie winy Grahama szybko zmienia się w gniew. Mike'a ogarnął potężny impuls, żeby podnieść z poręczy rewolwer i strzelić mu w zęby.

– Powiedz mi, gdzie zostali zakopani.

Graham odgarnął koldrę, jego ręka zniknęła w jednej z fałd.

– Nie powiem ci – odparł – ale ci pokażę.

– Dobra – zgodził się Mike i wstał.

Graham ospale zdjął nogi z łóżka i postawił je na podłodze, a później w jednej chwili Mike zobaczył, że ręce tamtego zaciskają się na broni, a zabłąkana kula z brzęknięciem wskakuje do bębienka.

I znów broń została wycelowana w jego twarz, zanim Mike zdążył podnieść własną z poręczy.

Graham zamachał w jego stronę, każąc mu odsunąć się od fotela, a Mike posłuchał.

– Wyświadczam ci przysługę – powiedział Graham. – Gdyby dopadli cię William i Dodge, to... – Pokręcił głową, cicho gwizdnął. – A dopadliby cię. Ta para... czasami całość bywa wspanialsza niż suma składających się na nią elementów. Ci chłopcy jakby za sprawą magii zmieniają jeden drugiego. Ale ja wolę zakończyć sprawę tutaj. Niech Katherine zostanie tam, gdzie, do cholery, jest. Więc co powiesz? Proponuję ci uczciwą wymianę.

Podniósł kciuk do kurka.

– Nie robiłbym tego na twoim miejscu – odparł Mike.

Graham odbezpieczył rewolwer.

Rozległ się huk.

Blask światła z balkonu pokazał obojętną twarz Shepa za lufą broni.

Stał w miejscu, do którego nie sięgały kamery nadzorujące.

Zanim Mike zdążył zamrunąć, na balkonie znów zrobiło się ciemno, a przyjaciel rozpląnął się w mroku.

Za to z boku szyi Grahama pojawiła się czerwona kropka, która zaczęła rosnać i zmieniać się w plamę krwi gęstej jak syrop. Chwilę później Graham upadł, a z plamy spłynął strumień, ukośnie, przez policzek i pierś, kapiąc z ciała na podłogę. Błysk broni oślepił Mike'a, pozostawiając na siatkówkach jego oczu jakby wypalony ślad; bębenki uszu drgały od metalicznego dźwięku i stał przez chwilę nieruchomo, wdychając kordyt. Patrząc w dół, na obnażone kości i mięso, nie czuł nic. Przypomniał sobie jakąś kolację, którą nie tak dawno jedli z rodzicami przyjaciół Kat, pieczonego kurczaka i chilijskie wino Shiraz, gawędzili, przeżuwali, wycierali wargi, radośnie trwając w przekonaniu, że są cywilizowanymi ludźmi.

Przez co musiał przejść jego ojciec, żeby go ochronić! Fale strachu przeszywające go tego ranka w fordzie kombi. Świeży żal po śmierci żony i konieczność porzucenia syna.

Po prostu John. Po prostu John. Po prostu John.

Mike zamrunął, wracając do rzeczywistości. Pozbierał się i przeszedł do gabinetu Grahama, gdzie skopiował nagranie z kamery na pendrive'a. Odtworzył nagranie i dwa razy sprawdził, czy się przegrało. Twarz Grahama, wyraźna jak widoczność w bezchmurny dzień: „McAvoy zainwestował tak wielkie pieniądze, że po prostu nie mógł zachować przy życiu kogoś takiego jak twoja matka”.

Potem Mike wykasował z twardego dysku dane przesłane z kamer. Kiedy się odwracał, żeby odejść, zauważył wizytówkę na pustej metalowej tacy na brzegu biurka. „Brian McAvoy, dyrektor generalny”. Na odwrotnej stronie wizytówki był numer komórki i stacjonarny z kierunkowym do Sacramento.

Wpatrywał się w ten numer dość długo, w końcu wyjął otrzymany od Shepa jednorazowy telefon, wystukał numer i czekał na połączenie, zaciskając wokół słuchawki palce w rękawiczce.

- Hm...? – odezwał się stłumiony, zaspany głos.
- Mam dowody przeciwko tobie i mogę cię oskarżyć – powiedział

Mike.

- Jak zdobyłeś ten numer?
- To najmniejszy z twoich problemów.
- Kto właściwie mówi?
- Facet, do którego należy twoje kasyno. Mam nagranie, które cię

zniszczy.

– Nagranie? – Miękki odgłos przelykania śliny, a potem sapnięcie w słuchawce: – Ile chcesz?

– Nie ma takiej sumy.

– Więc po co...?

– Zostawisz w spokoju moją rodzinę albo cię wykończę. Rozumiesz mnie?

– Twoją rodzinę? – Świst wdechu. – Synu, jesteś pewien, że wiesz, z kim rozmawiasz?

Mike uświadomił sobie, że głos mężczyzny brzmi trochę bardziej szorstko, niż się spodziewał.

– Z Brianem McAvoyem – odparował.

– McAvoyem? – Rozległ się tubalny śmiech, chrypliwy z powodu wieku i tytoniu. – Wnoszę z twoich słów, że jesteś prawdopodobnie jedyną osobą, która nienawidzi tego sukinsyna bardziej niż ja. – Mężczyzna rechotał jeszcze przez chwilę, później umilkł i dodał znacznie poważniejszym tonem: – Czekaj chwilę. Jesteś... Michael Trainor? – Długa pauza. Z wentylatora w suficie suche powietrze mocno wiało Mike'owi w kark. – Wnuk Sue Windbird? – Głos przepełniała ulga. – Nie mogę uwierzyć, że żyjesz.

Mike z całych sił zaciskał palce wokół słuchawki. Pochylił się i drugą ręką uciskał sobie czoło.

– Az kim rozmawiam?

– Jestem wódz Miwoków Andrew Dwa Jastrzębie z grupy Shasta Springs. Jestem dyrektorem generalnym kasyna, ale na pewno nie tego, o którym myślisz. Musimy porozmawiać, synu, ty i ja.

– Dlaczego?

– Bo mamy wspólne sprawy.

49

Andrew Dwa Jastrzębie miał wydatny brzuch, rybie usta i kozią bródkę, która skrywała słabo zarysowany podbródek. Spotkali się przy tylnych drzwiach za kasynem. Jego uśmiech był równie wielki jak dłoń, którą mocno ścisnął rękę Mike'a. Nosił skórzaną kamizelkę narzuconą na wzorzystą rozpinaną koszulę, której rozchylony kołnierzyk prezentował się jakoś samotnie bez wąskiego krawata *bolo*, który powinien dopełniać całości. U boku wodza stał mężczyzna prawie tak szeroki w barach jak wejście, które wypełniał, również Indianin. Wyglądał bardzo serio w świeżo wyprasowanym czarnym garniturze, miał ogorzałą cerę i ogoloną głowę, której kształt kojarzył się z porcją kremu do golenia wyciśniętego na dłoń. Natychmiast zaczął obszukiwać Mike'a, lecz ten odepchnął od siebie jego ruchliwe ręce, zanim trafiłyby na rewolwer za paskiem dzinsów.

Wódz Dwa Jastrzębie przesunął palcami po twarzy, na chwilę wyglądając zmarszczki, po czym kiwnął głową, odprawiając olbrzymia.

– Mike, którego tu widzisz, należy do naszej drużyny.

Ochroniarz nachmurzył się, spojrział spode łba i cofnął się, chociaż wciąż patrzył na Mike'a uważnie, wzrokiem obronnego psa pilnującego podwórza.

– Wybacz Blackiemu – dorzucił wódz Dwa Jastrzębie. – Chłopak jest tak głupi, że mógłby wpaść do wanny pełnej cycków, a i tak ssałby własny kciuk. – Zrobił wyraźny gest. – Chodź teraz ze mną.

Maniera starego kumpla i wygląd teksańskiego nafcjarza, który ma tak wielkie pieniądze, że nie musi dbać o strój, zaskoczyły Mike'a. Ale

czego właściwie się spodziewał? Faceta w pióropuszu walącego w tam-tamy? Przeszli oszklonym korytarzem wyłożonym dywanem. Widać było ruch panujący w kasynie, chociaż ciemnawe szyby całkowicie wygłuszały dźwięki. Kasyno wodza było znacznie mniejsze niż Deer Creek i bardziej zaniedbane.

Mike zdał sobie sprawę, że stale obrzuca towarzysza ukradkowymi spojrzeciami.

- Co? – spytał Dwa Jastrzębie.
 - Nic – odparł Mike. – Wyglądasz...
- Wódz wyszczerzył zęby w uśmiechu.
- Na tak białego jak ty?

Wcześniej, przez telefon, Mike streścił wodzowi swoją historię, powiedział o rozpadzie własnej rodziny i niebezpieczeństwie grożącym żonie i córce. Dwa Jastrzębie słuchał go cierpliwie, wydając od czasu do czasu pełne zrozumienia gardłowe pomruki.

– Pierwsza rzecz, jaką musisz wiedzieć – powiedział teraz, prowadząc Mike'a za zakręt – jest taka, że spółka akcyjna Deer Creek Tribal Enterprises za pomocą oszustwa usiłuje uzyskać prawo do historycznych terenów mojego plemienia. – Wskazał w dół, na dywan. – Do tej ziemi.

- Mogą to zrobić?
- Nie. A jednak uznali ją za swoją. I dzięki technikom stale udoskonalanym przez Briana McAvoya – gdy wymówił nazwisko, pogardliwie wyduł wargi – właśnie usiłują zmienić zwykłe żądanie w oficjalne prawo.

- Jak to możliwe?
- Widzisz, każde plemię indiańskie musi zostać uznane przez rząd federalny, tylko wtedy może się cieszyć pewnymi prawami podstawowymi, a także otrzymuje od państwa ochronę i wsparcie. Obecnie kilku dobrze ustawionych polityków, popieranym oczywiście przez McAvoya, twierdzi, że moje plemię otrzymało swoje przywileje nielegalnie, od osób mianowanych przez Jimmy'ego Cartera, w czasach, kiedy procedury były bardziej tymczasowe albo doraźne. Ci ludzie chcą znów skontrolować moje plemię i potwierdzić... albo nie... nasze prawo do ziem, które zamieszkujemy. Oficjalne działania zaczną się z nowym

rokiem. Jeśli przegramy, domyślasz się na pewno, kto jako pierwszy wystąpi o prawo do naszych ziem i bez wątpienia je przejmie?

– A jeśli McAvoy dostanie waszą ziemię, dostanie też stojące na niej kasyno.

– Bingo.

– Dlatego mnie szukałeś. Jeśli spadkobierca Deer Creek żyje, mógłbyś go wykorzystać... uzyskać dzięki mnie przewagę nad McAvoyem i go pokonać.

– Z tobą mamy szansę powalić go na kolana. – W jego ciemnych oczach błysnęły oburzenie i odraza. – Jesteśmy śmiertelnymi wrogami, on i ja. W ostatnim czasie zresztą narobiłem sobie sporo wrogów. Czy ta świadomość ci przeszkadza?

– Nie ufam nikomu, kto nie ma wrogów – odparł Mike.

Uśmiech sprawił, że porośnięty króciutkim zarostem podbródek zadrgał.

– W takim razie mnie pokochasz, nie mam co do tego wątpliwości. – Wkroczyli do porządnie urządzonego gabinetu i wódz Dwa Jastrzębie wskazał gościowi dużą skórzaną sofę przy stoliku ze szklanym blatem. – Usiądź. Oprzyj wygodnie stopy. Rozmowa trochę nam zajmie.

Mike jednak wolał stać. Założył ramiona na piersi, jak gdyby zrobiło mu się zimno. Rozejrzał się. Ściany zdobiło kilka smutnych reliktyw – postrzępiony pleciony kosz do przechowywania jedzenia, spódniczka przystrojona piórami i para maleńkich mokasynów. Mike zastanowił się, czy nie ma przypadkiem przed oczami całej zachowanej historii Shasta Springs z plemienia Miwoków. Jaki potężny kontrast z wielkim plemiennym sanktuarium, przygotowanym z rozmachem i wypucowanym na wysoki połysk, które widział w kasynie Deer Creek.

Dwa Jastrzębie położył telefon komórkowy na podkładce i gapił się na niego w taki sposób, jakby to był jakiś na wpół zmiążdżony owad, którego chciał w ostatniej chwili uratować.

– Nowiutki telefon, nowiutki numer. Kupiłem go, jak odkryłem, że ich fagas, Rick Graham, monitorował moją starą komórkę. Nie dałem tego numeru nikomu! A jednak właśnie pod ten numer zadzwoniłeś. Skąd go wzięłeś?

– Miał go Graham. McAvoy mu go zapisał.

Dwa Jastrzębie uniósł ciężką mosiężną lampę i bez gniewu rozbił telefon. Odstawił lampę z powrotem, a resztki zsunał grzbietem dłoni do kosza na śmieci.

– Obejrzyjmy to cholerne nagranie, o którym mi mówiłeś.

Mike zabrał z domu Grahama laptop i kilka płyt kompaktowych. Zaparkował później w ciemnej uliczce i wraz z Shepem skopiowali na dysk fragment jego rozmowy z Grahamem, w której wyjawiał popełnione przez siebie i swoich ludzi przestępstwa. Pendrive zawierający całą rozmowę i pozostałą gotówkę ukryli za kratką kanału wentylacyjnego w pokoju motelowym, gdzie zostawili również Śnieżkę Drugiego.

Teraz Mike wyjął z kieszeni płytę kompaktową i wręczył ją wodzowi, który wsunął ją do napędu komputera. Na monitorze pojawił się czarno-biały film. Dwa Jastrzębie zrobił głośny wydech, patrząc na Mike'a siedzącego w fotelu naprzeciwko łóżka Grahama, z bronią na kolanie. Razem wysłuchali krwawej historii funkcjonariusza i jego związku z Deer Creek. Film urywał się na długo przed strzałem, który zakończył życie Grahama.

Kiedy nagranie się skończyło i ekran monitora pociemniał, wódz rozparł się na krześle i zadumał.

– Wiarygodny początek – zauważył.

– Początek? – spytał Mike.

– To tylko rozmowa. Żadnych niezbitych dowodów.

– Myślisz, że z takim nagraniem nie możemy grozić McAvoyowi? – spytał Mike. – Graham przyznał się do morderstw popełnionych w imieniu korporacji.

– Mówisz o wyznaniu mężczyzny, któremu włamywacz niemal przyłożył lufę do skroni – odparł Dwa Jastrzębie. – Człowiek pod przymusem powie wszystko, żeby ocalić życie. Poza tym jeśli chcesz dopaść McAvoya, to nie z czymś takim. Dla niego to będą tylko pogłoski, nic więcej. Wszystkiemu zaprzeczy, na wszystko będzie miał przekonującą odpowiedź...

– Więc po prostu od tego zacznę. – Mike mówił teraz szybko, urywanym głosem, który przepełniała frustracja. – Znajdę kogoś w

policji, kto nie jest skorumpowany, i do niego dotrę. Ktoś taki mógłby znaleźć akta, protokoły, transakcje, które wykażą, że McAvoy płaci swoim zbirom...

– Spółka akcyjna Deer Creek Tribal Enterprises jest organizacją suwerenną – wódz ponownie użył pełnej nazwy firmy – tak samo suwerenną jak moje plemię. Nikt nie może grzebać w jej papierach, przeszukiwać akt. Nie ma takiej agencji rządowej w tym kraju... ani w żadnym innym... która skłoniłaby McAvoya do wydania dokumentów firmy plemiennej. Deer Creek prowadzi działalność tak, jak chce, nie istnieje żaden nadzór. Zresztą mają po swojej stronie sędziów, gliniarzy i prokuratorów okręgowych, przedstawicieli twojego narodu, życzliwie nastawionych do ich sprawy.

Mike'a ogarnęło rozgoryczenie.

– Opłacają ludzi z rządu i wykorzystują ich do swoich celów.

– Czegoś tu nie rozumiesz – stwierdził Dwa Jastrzębie. – To jest ich ziemia, zdobyli ją sobie. Byli dwaj bracia, którzy nie chcieli sprzedać gruntów sąsiadujących z terenem rozbudowy Deer Creek. Obaj nagle po prostu zniknęli, słuch po nich zaginął, więc nie mogli zapłacić podatku od nieruchomości. Podczas śledztwa znaleziono podobno jakieś dowody, ale... bum! Dowody niespodziewanie zniknęły z policyjnej szafki. Wszyscy wiedzą, że McAvoy jakoś się ich pozbył, ale jak można cokolwiek udowodnić, jeśli nie sposób zdobyć nakazu ani przejrzeć papierów Deer Creek, a w dodatku nie ma żadnych ciał? Ja wiem jak. I powiem ci. – Dwa Jastrzębie pochylił się do przodu na krześle. – Trzeba mieć w ręce – uderzył mięsistym palcem we wnętrze drugiej dłoni – niezbite dowody.

– Nie mam ich – stwierdził Mike.

– Ty nie – odrzekł wódz Dwa Jastrzębie. – Ale my je mamy.

Mike miał wrażenie, że nie zrozumiał środowiskowego żartu, uśmiecha się głupio, gdy inni pokładają się ze śmiechu. Otworzył z niedowierzaniem usta.

– Więc do czego potrzebujecie mnie?

Krzesło zaskrzypiało, kiedy Dwa Jastrzębie wstał, a później zakoało się za nim. Wódz pochylił się i dotknął kłykciami podkładki na

biurku.

– Ponieważ Deer Creek również ma coś, czego my chcemy.

Mike poruszył szczęką i poczuł, jak w niej strzeliło.

– To się kiedyś nazywało zasadą wzajemnego zniszczenia – zauważył. – Jeśli ty im zaszkodzisz, oni zaszkodzą tobie.

– Przypuszczam, że można to tak ująć.

– Więc masz informacje, których mógłbym użyć, aby uratować córkę, ale mi ich nie udzielisz, bo chcesz czegoś innego.

– Wybacz, ale taka jest prawda.

Mike patrzył na wodza przez długi czas, chłodna stal lufy rewolweru uciskała mu lędźwie. Ciało wodza nieco zeszywniało, mężczyzna spojrział nerwowo na drzwi.

– Może powinieneś rozwinąć ten temat – stwierdził w końcu Mike.

– Informacje, które zdobyliśmy, stanowią naszą jedyną broń przeciwko korporacji, która stara się pozbawić praw obywatelskich członków mojego ludu. Gdybyśmy nie mieli tyle do stracenia, gdyby nasz los nie wisiał na włosku, wierz mi, powiedziałbym ci teraz wszystko, co wiem i dzięki czemu mógłbyś ochronić rodzinę.

Mike się wyprostował.

– Więc co proponujesz?

– Możesz pójść do sądu i oficjalnie zażądać prawa do Deer Creek. Użyj swojego wpływu i zdobądź to, czego potrzebujemy. A wtedy będziemy wolni i damy ci to, co mamy na tamtych.

Mike przez chwilę rozważał propozycję.

– Pozwól, że zadzwonię do współpracownika.

– Współpracownika – powtórzył Dwa Jastrzębie i zmarszczył brwi.

Mike wyjął batphone i zadzwonił do Shepa, który czekał gdzieś na parkingu, ukryty w cieniu.

– Jest bezpiecznie – oznajmił przyjacielowi.

– Jesteś pewny? – spytał Shep.

– Raczej tak.

Shep się rozłączył.

Dwa Jastrzębie również dzwonił.

– Bądź dokładnie tam. – Rzucił słuchawkę. Pstryknął dwoma pal-

cami, patrząc na Mike'a. – Chodź.

Przeszli kolejny korytarz i znaleźli się w pomieszczeniu inwigilacyjnym. Na północnej ścianie było pięćdziesiąt monitorów, a każdy pokazywał kasyno z innej perspektywy. W ścianę ekranów wpatrywało się trzech znuzonych mężczyzn i jedna kobieta. Siedzieli przy biurku ciągnącym się przez całą długość sali. Puszki po red bullu i puste kubki po napoju Big Gulps zaśmiecały wszystkie powierzchnie, a w pomieszczeniu wisiał ciężki zapach przeżutego tytoniu.

– Jeden facet oszukiwał na żetonach przy stoliku numer dziewięć – odezwała się kobieta.

– Uruchom program – polecił Dwa Jastrzębie.

Kobieta nacisnęła przycisk na klawiaturze komputera i na bocznej ścianie włączył się duży ekran. Zaczął działać program rozpoznawania twarzy, skanujący kasyno, badający oblicza gości, przesuwający się od stolika do stolika. Co jakiś czas rozlegał się podwójny dzwonek i czyjś wizerunek pojawiał się w narożniku ekranu, gdzie był porównywany ze zdjęciem dostarczonym przez policję. Jeśli fotografia pasowała, pojawiała się kartoteka przestępcy oraz dane, łącznie z używanymi nazwiskami, przydomkami i informacjami o współznikach.

– Nie mam nikogo od takich oszustw, chociaż są spece od automatów – oznajmiła kobieta.

– Oczywiście, że są. – Dwa Jastrzębie przeszedł obok Mike'a. – Manipulacje przy automatach to w Nevadzie przestępstwo, a w Kalifornii jedynie wykroczenie, więc wszyscy przyjeżdżają do nas trenować.

– Na czym polega oszustwo z żetonami? – zainteresował się Mike.

– Chodzi o obciążony, wydrążony cylinder z jednym prawdziwym żetonem do pokera na górze – wyjaśnił Dwa Jastrzębie. – Na bokach cylindra maluje się krawędzie żetonów. Ponieważ krupierzy nie rozdzielają żetonów w stosach, mogą myśleć, że przesuwają pięć albo dziesięć sztuk, więc ktoś stawia jeden żeton jako większą liczbę. – Skierował uwagę z powrotem na kobietę. – Powiadom mnie możliwie najprędzej, jeśli pojawi się następny taki przypadek, a tymczasem przyjrzyjmy się bliżej tym od automatów.

Jeden z mężczyzn poruszył joystickiem i cztery ekrany pokazały

zblizenia podejrzanych. Mike zamrugał, miał bowiem przed sobą chyba każde miejsce w kasynie – stół, przy którym grano w blackjacka, ale i wejście do skarbcza, sale z automatami, parking – na każdym ekranie miejsca zmieniały się jak w kalejdoskopie i były pokazywane pod każdym możliwym kątem.

– Monitorujecie chyba każdy centymetr kasyna i parkingu – zauważył.

– Z wyjątkiem łazienki. – Dwa Jastrzębie wyszczerzył zęby w uśmiechu. – To prawdopodobnie jedyne miejsce w kasynie, gdzie trzeba przestrzegać zagwarantowanego przez konstytucję prawa do prywatności. A jeśli dzieje się coś podejrzanego, to wtedy w pierwszej kolejności...

Wszyscy czterej pracownicy odpowiedzieli równocześnie, recytując tekst monotonicznie i ze znużeniem:

– Należy sprawdzić okolice skarbcza.

– Mamy pięćdziesiąt cztery kamery w samym skarbcu – oznajmił z dumą Dwa Jastrzębie – obejmują kasę, bramkę obrotową, a także pomieszczenia, w których liczy się pieniądze, sprawdza i realizuje czeki, wypłaca wysokie wygrane.

Kobieta wyprostowała nagle plecy, a później odwróciła się do jednego z bocznych monitorów.

– Czekajcie chwilę – wtrąciła. – Mamy kasiarza. Wykrył go system Biometrica.

Mike pochylił się nad jej ramieniem i sprawdził, kto został wyłowiony z tłumu.

– Och – jęknął. – On jest ze mną.

Dwa Jastrzębie zaśmiał się donośnie.

– Skontaktuj się z Blackiem. Niech przyprowadzi tutaj pana... – Wódz zerknął na dane na ekranie. – ...Shepherd'a White'a.

Kobieta kiwnęła głową i podniosła telefon. Była smukła, miała chochlikowate rysy twarzy, a ponieważ żuła tytoń, wypukłość w policzku sprawiała, że wyglądała jeszcze bardziej egzotycznie.

Minutę później Blackie i Shep weszli przez dźwiękoszczelne drzwi. Obaj wydawali się trochę niezadowoleni, chociaż Mike wątpił, czy

wymienili po drodze więcej niż kilka słów.

- Jesteś kasjarzem? – spytał Dwa Jastrzębie.
- Co? – odpowiedział Shep.
- Kasjarzem. Włamujesz się do sejfów?

Shep wzruszył ramionami i popatrzył gdzieś w dal, niezbyt zainteresowany. Później zrobił kilka kroków ku ścianie monitorów i przypatrywał im się z uwagą godną lisa w kurniku. Głowę odchylił nieco w tył, usta nieznacznie otworzył; światło z ekranów odbijało się w jego oczach, które pozornie niczego nie wyrażały. Mike miał wrażenie, że przyjaciel wręcz chłonie wszystkie drgania i ruchy.

Pracownicy i Blackie wymienili spojrzenia.

- Zechcesz odpowiedzieć, stary? – spytał w końcu ten ostatni.
- Ten barczysty przy trzecim stole z blackjackiem bawi się złotą rybką przy kluczach, w niej odbija mu się pierwsza zakryta karta rozdawana przez krupiera – obwieścił Shep. – Dwa stoliki dalej ten czarny włączył sobie w iPhone aplikację liczącą karty. Macie też faceta, który gra na automacie z Hurricane na zachodniej ścianie i używa małpiej łapki. A na siódmym... albo wasz krupier wypłacił komuś przez pomyłkę, albo oszukuje kasyno.

Zapadła cisza, która trwała dość długo.

Drobna kobieta wypluła grudek tytoniu do pudełka z McDonalda.

Rozległ się cichy, lecz głuchy odgłos.

- Widzisz kogoś, kto używa fałszywego cylindra z jednym żetonem? – spytała.
- Biała kobieta, przy kości, w miękkim kapeluszu z wielkim, opadającym rondem, ruletka, stół numer sześć – odparł Shep. – Obserwuj jej dłonie, kiedy wkłada je do koszyka z przodu elektrycznego wózka.

Ręce pracowników ochrony opadły do joysticków i wszystkie ekrany ukazały kobietę zauważoną przez Shepa. Kręciła się na wysokim siedzeniu elektrycznego wózka, próbując sięgnąć do stołu z ruletką, a jednocześnie sięgała do koszyka przed wózkiem.

Dwa Jastrzębie skinął głową Blackiemu, który natychmiast ruszył do drzwi z niewątpliwym zamiarem załatwienia sprawy.

- Chcesz tę robotę? – spytał Shepa wódz.

Shep po raz pierwszy odwrócił wzrok od monitorów i teraz widoczny stał się jego krzywy ząb.

– Nie mógłbyś mi zaufać.

Dwa Jastrzębie przełknął ślinę, wytrącony z równowagi, ale i ubawiony.

– Mogę z wami dwoma pomówić na osobności?

Skierowali się korytarzem do biura wodza. Mike i Shep usiedli na skórzanej kanapie, Dwa Jastrzębie na krzesła, które odsunął od biurka, bo chciał być bliżej gości.

– Dwa Jastrzębie – oznajmił Mike, wskazując na wodza – ma coś na naszego faceta, McAvoya, ale nie da nam tego, póki nie wykradniemy papierów, które McAvoy ma na niego.

– To coś mocnego? – spytał Shep.

– To poważny smród, wierz mi, prawdziwe dowody na winę McAvoya – zapewnił go wódz. – Przez jakiś czas wysyłałem swojego człowieka do kasyna Deer Creek. Pracował w samym środku tego cyrku. Miał dostęp do wielu miejsc.

– Jak go na to namówiłeś? – Głos Shepa brzmiał sceptycznie. – Deer Creek ma więcej pieniędzy niż ty. I więcej ochroniarzy.

– Mojego człowieka Deer Creek zatrudniało wcześniej na umowę-zlecenie jako konsultanta. To gracz i, jak to często bywa, ręka go świerbiła. Ale nie srasz w miejscu, w którym jadasz, no nie? Więc przyszedł zagrać do nas. W karty. A że jest hazardzistą, przekroczył stan konta i nadwyrężył linię kredytową. Znacząco! Tyle że my, w przeciwieństwie do McAvoya, za coś takiego nie okaleczamy ludzi.

– Tylko ich do czegoś zmuszacie albo szantażujecie – mruknął Shep.

– Och, to był obopólnie korzystny układ, umowa zawarta przez dorosłych ludzi. – W oczach wodza pojawił się smutek, lecz tylko na moment, potem Indianin znów przybrał pokerową minę. – Tak czy owak, ten mężczyzna wyniósł pewne dokumenty i przekazał je mnie. W ten sposób dowiedzieliśmy się między innymi o twoim istnieniu. – Kiwnął głową Mike'owi. – Nasz wysłannik podał nam twoje nazwisko i powiedział, że znalazł je w raporcie genealogicznym.

– Ale wcale nie tego szukałeś – ocenił Shep. – Więc co jeszcze dla ciebie zdobył? Co jeszcze masz?

– Dobrze, mocne dowody.

– Dowody na co?

– Teraz nie masz problemów ze słuchem, co? – odburknął Dwa Jastrzębie.

– Dowody na co? – powtórzył Shep.

– Obiecuję, że się nie rozczarujesz.

– Nie. – Mike pokręcił głową. – Muszę wiedzieć dokładnie, co ci przekazemy.

– Ale to nie jest twoja sprawa.

– Jeżeli mamy zawrzeć porozumienie, to będzie moja sprawa. Nie przyniosę niczego, co zniszczy komuś życie.

– To nie jest nic takiego. Chyba więcej w tej chwili nie musisz wiedzieć.

Mike przypomniał sobie, jak siedział w fotelu naprzeciwko Billa Garnera, szefa sztabu gubernatora. Wtedy również omawiali ważne rzeczy i Mike również musiał podjąć decyzję. Wtedy ustąpił. A po co? Dla jakiejś cholерnej nagrody i paru fotek w prasie.

Wstał.

– Pomyśl o swojej córce – podsunął Dwa Jastrzębie.

Ale Mike był już przy drzwiach, a Shep tuż obok niego.

– W porządku, czekajcie. – Wódz także zerwał się z miejsca. – Chodzi tylko o negatywy zdjęć, są dla nas niezwykle istotne, dzięki nim moglibyśmy utrzymać nasz status... i zachować nasze kasyno. Nie chcę wam bliżej wyjaśniać tej kwestii, bo... w moim biznesie tak często się widzi, jak wpływa na ludzi zachłanność. – Podrapał się po karku i dodał asekurująco: – Czasami trzeba postąpić słusznie, a czasami trzeba postąpić zmyślnie,

– Chyba wolno się uczyć – zauważył Mike – ale nawet ja pomyślałbym, że tak naprawdę nie ma żadnej różnicy.

– Jeśli przekażesz te negatywy konkurencyjnemu kasynu, będziesz działał wbrew swoim przyszłym interesom spadkobiercy Deer Creek.

– Ma pan dzieci, wodzu Dwa Jastrzębie? – spytał Mike.

– Pięcioro. – Indianin zrobił głęboki wdech. Wyglądał na skarconego. – No cóż, zgoda. Może pływam już zbyt długo w basenie pełnym rekinów. – Skinął ponownie ku kanapie. – Proszę, zostańcie, a ja wytłumaczę.

Mike i Shep wrócili na kanapę i usiedli, Shep położył buciory na szklanym blacie.

– Jeżeli nie zdarzy się jakiś cud w następnych kilku miesiącach przed oficjalną inspekcją, stracimy uznanie rządu federalnego – zaczął Dwa Jastrzębie. – Obecnie, można by rzec, wyżej zawiesili barierkę w sprawach uznawania plemion, mają bardziej rygorystyczne wymagania. Do tej pory nie zdołaliśmy przedstawić twardych dowodów wiążących naszych przodków z tą ziemią. Zawsze mieliśmy tradycję ustną, więc mamy bardzo mało świadectw, szczególnie z pierwszej połowy dwudziestego stulecia. No i bardzo niewielu członków naszego plemienia przeżyło.

Mike przyłapał się na tym, że ogląda skromne relikwie zdobiące ściany biura.

– Kilka miesięcy temu doszły mnie słuchy, że istnieją stare negatywy zdjęć wykonanych w latach trzydziestych przez członków jakiejś ekspedycji botanicznej czy innej podobnej bzdury z uniwersytetu w Stanford. Zdjęcia przedstawiają członków naszego ludu żyjących dokładnie na tym kawałku ziemi. Podobno szczyt Mount Lassen w tle i charakterystyczne rozwidlenie rzeki tuż za osadami jednoznacznie określają lokalizację. – Podeszedł do okna i rozsunął zasłony. Za parkingiem, rozjaśniona jego światłem, lśniła wąska rzeczka, która rozwidlała się przy solidnym, popękany gładzie. Zniknęła gdzieś poza nafciarza z amerykańskiego Południa. Oburzenie zmieniło jego język i pozę. Dwa Jastrzębie stał wyprostowany, oczy mu płonęły, w każdym calu wyglądał na wodza, którym był. Puścił zasłony, a te z szelestem opadły na swoje miejsce, znów przesłaniając widok. – Gdy dowiedziałem się o negatywach, oczywiście natychmiast umówiłem się na ich zakup. Niestety, gdzieś pomiędzy chwilą, w której odłożyłem słuchawkę, a tą, w której przybyłem odebrać film, McAvoy wszedł mi w drogę i potroił ofertę. Kupił te negatywy. Tyle że to ja ich potrzebuję! Gdybym mógł je

okazać jako dowód, niezbity dowód, naszych związków z tym terenem, urząd byłby zmuszony utrzymać w mocy nasz status plemienny.

– A pan zachowałby swoje kasyno – dodał Shep.

– Może to dla pana trudne do pojęcia, panie White, ale w tej sprawie nie chodzi tylko o pieniądze. Celem McAvoya jest rozproszenie mojego plemienia i grabież naszej ziemi. W dawnych czasach Ameryka widziała już dość podobnych historii, a i nas nieźle przetrzebiono, więc myślę, że wystarczy, wielkie dzięki.

Shep wpatrywał się w dalszą ścianę. Wydawał się nieporuszony.

Dwa Jastrzębie odwrócił się do Mike'a, którego uważał za lepszego słuchacza.

– Więc kiedy McAvoy kupił negatywy, postanowiliście poszukać brudów na Deer Creek i odnaleźć mnie? – spytał Mike.

– Potrzebowałem czegoś, co ochroni moje plemię. McAvoy dowiedział się, co na niego mam, więc na razie utknęliśmy w martwym punkcie. Ale tylko na razie. W przyszłym roku znów będą rozpatrywane prawa plemion indiańskich do ziem, które zamieszkują, i wtedy kończy się nasz czas. To nieprzekraczalny termin, nasze być albo nie być, status quo lub nicłość. A z tego, co wiem o McAvoyu, i z tego, co na niego mam, wnoszę, że nie będzie czekał dłużej. Nie jestem tak głupi, żeby liczyć na jego litość. – Dwa Jastrzębie kopnął kosz na śmieci, w którym zagrzechały kawałki roztrzaskanego telefonu. – Tamci zwiększają wysiłki, żeby odzyskać to, co im zabrałem. Wywiozłem już rodzinę ze stanu. – Spojrzał Mike'owi w oczy. – Moją piątkę dzieciaków.

– Więc dlaczego nie zrobisz ruchu pierwszy? – spytał Mike.

– McAvoy dał mi jasno do zrozumienia, że jeśli wypłynie choćby jeden z dowodów, które przeciwko niemu zebrałem... spalili negatywy. Zniszczyłyby moje plemię raz na zawsze. Poza tym sama myśl, że te zdjęcia mogłyby spłonąć... – Część jego twarzy złociło światło biurowej lampy, część kryła się w cieniu. Nagle w zmarszczkach wodza Mike dostrzegł ślady jego dziedzictwa. – Liczy się wyłącznie to, skąd pochodzimy, nie jesteśmy niczym więcej...

Shep głośno prychnął.

Wódz nie dał się zbić z tropu.

– To jedyne podobizny moich pierwszych antenatów – podjął. – Jednoczyłem to plemię długo, poszukiwałem jego członków, jednego po drugim, jeżdżąc po całym stanie zdezelowanym pontiakiem. Wielu z moich ludzi było bezdomnymi, większość była nędzarami bez środków do życia. A jednak zbudowaliśmy coś dla nas, własnymi rękami. Żaden z nas żyjących dzisiaj nigdy nie widział twarzy naszych przodków. Dla każdego z nas możliwość zobaczenia, skąd pochodzimy, potwierdzenia i uprawomocnienia naszego miejsca na ziemi... – Pokręcił głową. – Nie sposób czegoś takiego wycenić.

Mike wpatrywał się w swoje dłonie.

Shep po prostu wyglądał na poirytowanego.

– Więc jaki jest plan? – spytał.

– Jeśli McAvoy dowie się, że może stracić wszystko, że cały jego majątek i firma mogą trafić do ciebie i twojej córki, jeśli stanie wobec takiego zagrożenia... cóż, może wtedy zawrzenie umowy. Skłonisz go do zwrócenia negatywów w zamian za jakieś porozumienie finansowe. Później dasz mi negatywy, a ja dam ci to, co mam na McAvoya. Wtedy oskarżysz go o przestępstwa, które popełnił.

– Gdyby oddał mi zdjęcia, pozostałby zupełnie bezbronny wobec dowodów, które przeciwko niemu masz – zauważył Mike. – Nie zrobi tego, nie wierzę.

Indianin cicho westchnął i opuścił ramiona.

– Więc co proponujesz?

Mike i Shep pochylili się do przodu, opierając łokcie na kolanach, potem przez krótką chwilę patrzyli sobie w oczy. W końcu Shep lekko kiwnął głową.

– Chyba wiem – powiedział Mike – gdzie są ukryte twoje negatywy. McAvoy ma sejf, w którym trzyma wszystkie brudy przeciwko innym.

– Sejf. Więc planujecie... co?

Shep rozłożył ręce, jakby pokazywał wybuch. Ta-dam!

Wódz zarechotał.

– Daj spokój – powiedział. – Sejf w kasynie?

– Nie, ten sejf jest ukryty w jego biurze – odparł Mike.

– W biurze? – zaprotestował Dwa Jastrzębie. – Dlaczego nie w

skarbcu?

– Zastanów się, a sam sobie odpowiesz.

Dwa Jastrzębie przyłożył pięść do ust i zachichotał.

– No jasne, w skarbcu jest mnóstwo kamer. To kiepskie miejsce, żeby chować podejrzone materiały. – Wstał, obszedł krzesło, stanął za nim i pochylił się na oparciu. – To sprytnie ze strony McAvoya, muszę mu to przyznać. No i logiczne. Trzymanie wartościowych rzeczy w sekretnym sejfie w gabinecie zamkniętym na klucz, znajdującym się w kasynie strzeżonym przez dwadzieścia cztery godziny na dobę i stojącym na suwerennej ziemi... Ja też bym się pewnie rozzuchwalił.

– Zuchwałość to nasza korzyść – zauważył Shep.

– A jednak są kamery na piętrze. – Dwa Jastrzębie był niespokojny. – Poza tym nie możesz tam rozbić sejfu. Za mało czasu, za duży hałas.

– Nie – zgodził się Shep. – Nie mogę. Jakie masz układy z gliniarzami?

– Pytasz, na wypadek gdyby cię schwytano? – upewnił się wódcz. – Niezłe. Ale w porównaniu z Deer Creek? – Sapnął lekceważąco. – McAvoy ma coś, czego my nie mamy. – Postukał palcem w monitor komputera, przypominając nagranie, które Mike mu pokazał. – Ricka Grahama.

Mike zwilżył wargi.

– Graham już się nie liczy, nie trzeba go brać pod uwagę.

Dwa Jastrzębie usiadł na krześle i się zadumał. Rozparł się na siedzeniu, uniósł głowę i studiował wzrokiem sufit. Po chwili zerknął na płytę kompaktową. Odchrząknął raz, potem drugi.

– Nie chcę nic więcej o tym wiedzieć – oznajmił.

– To dobrze – potwierdził Mike.

– Na pobliskim posterunku służy szef policji, z którym jesteśmy w dość dobrych, może nawet bliskich stosunkach – podjął Dwa Jastrzębie. – Po naszej stronie stoi też paru prokuratorów okręgowych. Nie zdołam oczywiście wyciągnąć cię z więzienia, jak przyłapią cię na gorącym uczynku. Ale skoro nie muszę się już martwić o Grahama, mogę zapewnić, że gdybyś trafił do tutejszego aresztu, nikt cię nie przekaże w łapy zbirów McAvoya. Jest jednak spory problem: jeśli popełnisz prze-

stępstwo na terenie kasyna Deer Creek, czyli na suwerennych gruntach plemiennych, policja będzie miała kłopoty z przekroczeniem granic terytorialnych i dopilnowaniem, żeby twoją sprawę załatwiono uczciwie. Wtedy zostaniesz na łasce McAvoya. I jego brytanów. W takim wypadku lepiej się módl, żeby policja przybyła na czas, zanim klamka zapadnie.

– Zanim młotek spadnie na moją głowę – poprawił go Shep.

Mike mocno zacisnął powieki. Skupił się na zapamiętanych słowach Grahama: „Do diabła, nie licząc ścigania przestępców, rząd Stanów Zjednoczonych nie zawsze może wkroczyć na tereny należące do plemienia”.

– Policjanci mogą wejść po Shepa – zauważył.

Dwa Jastrzębie rozmyślał przez moment, a potem w kącikach jego oczu pojawiły się zmarszczki śmiechu.

– Jesteś przestępcą?

Shep obrzucił go gniewnym spojrzeniem, wyraźnie obrażony.

– No jasne!

Mike kiwnął wodzowi głową.

– Będziemy w kontakcie, dogadamy jeszcze ten plan.

Wraz z Shepem wstali i ruszyli do wyjścia.

– Będę też potrzebował prawnika – dorzucił Shep.

– Po co? – spytał Dwa Jastrzębie.

Shep zatrzymał się w drodze do drzwi.

– Ponieważ zamierzam dać się zaarrestować.

50

„Wrócisz po mnie?”.

„Tak, wrócę po ciebie”.

„Przysiągłeś mi to, przysiągłeś”.

Gdy Mike się obudził, w głowie mu pulsowało, a nogi zaplątały się w zwichrzonej pościeli. Mimo motelowej klimatyzacji pierś miał spoconą, podobnie szyję, z której krople potu spłynęły i zgromadziły się w zagłębieniu między obojczykami. Odrzucił kołdrę, przesunął ręką po kłującym króciutkim języku na głowie i starał się otrząsnąć z resztek snu. Śnieżka Drugi tkwił wsunięty pod poduszkę obok niego, szklane oczka wydawały się wybałuszone jak u kogoś właśnie duszonego. Shep siedział na drugim łóżku, oparty łopatkami o wezgłowie, i jadł łyżką zimne SpaghettiOs z puszki; był spokojny i czujny jak zawsze. Na biurku po przeciwnej stronie pokoju stał skaner nasłuchowy, z którego płynął stały, mocny potok policyjnych rozmów.

Shep i Mike wrócili do motelu o brzasku, a teraz było już dwadzieścia siedem minut po trzeciej, na akcję wybierali się o zachodzie słońca, czyli za nieco ponad trzy godziny. O tej porze ciemności dadzą im nieco schronienia, a biura kasyna Deer Creek, łącznie z gabinetem McAvoya, powinny opustoszeć, przynajmniej tak wynikało z harmonogramu, który ochrona kasyna wodza Dwa Jastrzębie uskładała na podstawie obserwacji w ciągu kilku ubiegłych tygodni. Jednak do tego czasu Mike i Shep mieli do załatwienia jeszcze wiele spraw.

– Wierzysz w Boga? – spytał Shep znad łyżki.

Mike pomyślał, że pewnie zdaniem przyjaciela właśnie się modlił.

- Kiedy to dogodne – odrzekł.
- A teraz jest to dogodne?

Mike znów miał przed oczami bok Annabel z wąską raną i cieknącą z niego struzkę czarnej krwi. Przypomnił sobie też wielką, ciężką rękę Dodge'a dotykającą włosów Kat ukrytej w niebieskim śpiworze i młotek w jego drugiej ręce, która szykowała się do uderzenia. Pomyślał o oknie wykuszowym, przy którym czekał jako dzieciak; może przy podobnym siedziała teraz jego córka.

- Tak – przyznał. – W tej chwili to dogodne.

■ ■ ■

Mike jechał przed siebie elektrycznym wózkiem inwalidzkim, miał na sobie starą siatkową czapkę z daszkiem i napisem 101 ST AIRBORNE, wielkie okulary przeciwsłoneczne z lustrzanymi szklami, polarowy pled z wzorem w postaci bielika amerykańskiego patrzącego z góry na skaliste górskie zbocze. Shep szedł obok niego dużymi krokami, trzymając się wprawdzie zewnętrznych granic parkingu Deer Creek, lecz nie skrywając swojej tożsamości.

O szóstej czterdzieści wieczorem, co do minuty, minivan skręcił z głównej drogi i wpasował się w miejsce parkingowe w rzędzie najodleglejszym od kasyna. Z samochodu wysiadła para typowych białych Amerykanów. Mężczyzna, krzepki byczek w hawajskiej koszuli, uśmiechał się szeroko. Jego żona wyglądała kołnierzyk szmizjerki, a dzięki cieniowanym lokom i natapirowanej grzywce wyglądała jak żywcem przeniesiona z sitodruku Patricka Nagela.

Na ich widok Mike zwolnił przepustnicę, wyłączył silnik i zaciągnął ręczny hamulec, a mały elektryczny wózek zatrzymał się z łoskotem.

- To oni? – spytał. – To twoi wielcy twardzi współnicy?
- Taaa – odparł Shep. – Bob i Molly.

Mike poczuł w ustach kwaśny smak strachu i wątpliwości. Cieszył się, że tego dnia przekazał Hankowi gotówkę – jeśli zginie dziś wieczorem i jeśli istnieje życie pozagrobowe, przynajmniej będzie miał na sumieniu o jedną niezłatwioną sprawę mniej. Po spotkaniu Hank uściskał mu rękę przy drzwiach i obiecał, że będzie czekał na wiadomości pod telefonem. O ile Mike'owi uda się do niego skądś zadzwonić.

Mike poprawił nerwowo skórzane rękawiczki. Para współników pomachała im i ruszyła w ich stronę. Bobowi błyszczała opalona twarz, Molly bawiła się typowym dla Mardi Gras naszyjnikiem z koralikami.

Kiedy para się zbliżyła, Shep spytał:

– Macie mój sprzęt?

Uśmiech Molly okazał się nieprawdopodobnie szeroki.

– Jasne.

Bob rzucił Mike'owi klucze do furgonetki, a potem zrobił rękami zamaszysty ruch w stronę kasyna.

– Idziemy? – spytał.

– Oki-doki – odpowiedziała Molly.

Mike przełknął sucho ślinę i skinął głową. Rozdzielili się i skierowali ku różnym wejściom do budynku. Przy południowych drzwiach Mike musiał poczekać w kolejce czy raczej w korku za kilkoma innymi elektrycznymi wózkami inwalidzkimi. Parę osób się żołądkowało – prawdopodobnie dlatego, że byli to starzy, chorzy ludzie, a może po prostu Mike nie znał „wózkowej” etykiety; tak czy owak, w końcu jakoś się przepchnął. Kiedy znalazł się wewnątrz, przejechał z klekotem obok kasy, upewniając się, że puste wózki bagażowe stoją za niskim kontuarem, tam, gdzie je widział podczas ostatniej wizyty. Wózki były trzy, czekały, aż skończy się następna zmiana, a wówczas pracownicy kasyna będą je pchali od automatu do automatu, wybierając wiaderka pełne monet lub żetonów.

Jadąc przez rozległe kasyno, Mike robił, co mógł, żeby nie myśleć o wszystkich tych kamerach zamontowanych pod sufitem i wycelowanych w graczy. Wiedział, że właśnie on jest najsłabszym ogniwem, jedynym amatorem w grupie. Jeśli ktoś go zauważy, będzie spalony. A Kat – stracona.

Wjechał do łazienki, gdzie starszy mężczyzna uprzejmie przytrzymał przed nim drzwi, a później wpakował się do obszernej kabiny dla niepełnosprawnych. Zamknął za sobą drzwi i pchnął zasuwkę. Pled, który okrywał mu kolana, zsunął się na kaflową podłogę, a Mike schylił się po torbę sportową Nike, leżącą tuż pod jego stopami, na szerokim podnóżku. Później zdjął czapkę z daszkiem i ciemne okulary, które wraz z

polarowym pledem wrzucił do przedniego koszyka wózka. W niewinnych czarnych spodniach i zwyczajnej białej, niemarkowej koszulce polo, oklejonej kalkomanią kupioną w sklepie z kasynowymi pamiątkami, wyglądał jak przeciętny pracownik Deer Creek.

Zgodnie z tym, co wcześniej powiedział Dwa Jastrzębie, łazienka była jedynym miejscem w całym kasynie, gdzie nie zainstalowano kamer nadzorujących.

Mike miał nadzieję, że nie ma ich również w biurze dyrektora generalnego.

Na jego zegarku była szósta pięćdziesiąt trzy. Do rozpoczęcia akcji pozostało siedem minut.

Włożył sobie do ust cztery kawałki gumy do żucia, żuł przez chwilę metodycznie, a później wcisnął każdy w policzki lub pod wargi. Wszystko po to, żeby oszukać system rozpoznawania twarzy, ponieważ nie miał już czapki z daszkiem, pod którym mógłby ukryć twarz.

Szósta pięćdziesiąt cztery.

Pozostawiwszy zasuniętą zasuwkę, wcisnął ciężką torbę sportową pod ścianką do sąsiedniej kabiny, a potem wsunął się za nią. Ktoś nacisnął spłuczkę w którejś z toalet i Mike usłyszał szum wody. Z torbą w ręce stał i czekał, próbując sobie przypomnieć, jak normalnie się oddycha.

Szósta pięćdziesiąt sześć.

Czas ruszać.

Opuścił łazienkę, kiwając głową kilku wchodzącym mężczyznom, którzy chwiali się, ochlapując sobie nadgarstki darmowymi drinkami. Przeciskał się wśród automatów i stolików do gry, usiłując iść zwyczajnym, niedbałym krokiem. Szedł na palcach, cicho, popatrywał nerwowo na drugi koniec przestronnej sali, ku drzwiom prowadzącym na tyły, do części biurowej. Zgodnie z danymi wodza Dwa Jastrzębie te pomieszczenia powinny być do tej pory puste. Cóż, przewidywania są przydatne, z pewnością. Ale nie są niezawodne.

Przystanął obok kasy i przywarł plecami do ściany. Oddychał teraz z większym trudem, wydymając policzki. Sprzęt potrzebny do wykonania zadania, który miał w sportowej torbie, działał na niego uspokajająco,

ale istniało przecież o wiele więcej różnych czynników, niż było na świecie narzędzi. Wózki na wiaderka z żetonami nadal stały za kontuarem, tak blisko, że mógłby wyciągnąć rękę i dotknąć jednego z nich. Był coraz bardziej zdenerwowany, niemal na krawędzi paniki.

Nie jesteś mężem, powiedział sobie w myślach. Nie jesteś ojcem.

Jesteś tylko facetem, który ma zadanie do wykonania.

Szósta pięćdziesiąt dziewięć.

Zamknął oczy.

I wtedy usłyszał krzyk.

■ ■ ■

Bob chwycił łapczywie powietrze, olbrzymi plastikowy kubek z ćwierćdolarówkami wyslizgiwał mu się z dłoni, aż w końcu spadł na dywan, a monety z brzękiem rozsypały się na wszystkie strony. Twarz mężczyzny była napięta i czerwona. Złapał się za lewe ramię i zatoczył spektakularnie ku stolikowi, przy którym grano w teksańskiego pokera. Padł chwiejnie naprzód, ciągnąc przy okazji czerwony aksamitny sznur i zaszokowanego krupiera.

Wydał z siebie chrypliwy jęk, po czym w końcu runął na stolik, który się wywrócił, a wraz z nim zsunęły się na podłogę załadowane żetonami tace, jedna po drugiej.

Molly kurczowo zacisnęła palce na jasnych lokach i po raz kolejny wrzasnęła przenikliwie.

– Mój mąż! Och, dobry Boże, jego serce, jego serce! Niech ktoś nam pomoże!

Wszyscy, którzy byli w pobliżu, natychmiast zamarli na swoich miejscach, jak gdyby celowo. Poruszały się jedynie żetony i monety toczące się wokół stóp stojących ludzi i nóg od krzeseł, wpadające pod automaty do gier; ponad czterdzieści tysięcy dolarów rozprysnęło się niczym chmara szczurów po hipnotycznie wzorzystym dywanie. Jakiś starszawy jegomość w kapeluszu typu fedora kucnął, żeby podnieść czarno-zielony studolarowy żeton, a odgłos skrzypnięcia towarzyszący jego ruchowi przerwał czar; ludzie, którzy jeszcze przed chwilą stali jak słupy soli, nagle się otrząsnęli, ożyli i zaczęli się rozpychać, potrącać, szturchać, usiłując zagrabić, ile się da. Pełne żetonów ręce trafiały do

kieszoni. Kubelki z monetami zapełniano równie szybko jak koszyczki na konkursie zbierania jagód. Mokasyny i czółenka na wysokich obcasach deptały innych po dłoniach i kopały żetony. Krupier usiłował uwolnić się od Boba, który drzał i skrzeczał, trzymając się kurczowo za lewe ramię, jakby miało mu odpaść. Na terenie zaroilo się od strażników, którzy polowali na żetony, poniewierali gośćmi, krzyczeli w krótkofalówki.

Wrzaski Molly stały się tak świdrujące, że kilka osób w pobliżu zasłoniło sobie uszy.

Stojący w samym środku chaosu kierownik sali dotknął palcem słuchawki w uchu i rzucił w głośnik ukryty w rękawie:

– Nadzór. Pilnie wszystko obserwujcie.

▪ ▪ ▪

W pomieszczeniach inwigilacyjnych panował kompletny zamęt – monitory błyskały, ręce strażników obsługiwały joysticki; niektórzy pracownicy szaleńczo kręcili się po sali. Połowa ekranów koncentrowała się na panującym piętro niżej tumultcie, rejestrując zdarzenia we wszystkich możliwych ujęciach.

– To może być próba odwrócenia uwagi! – krzyczał dyrektor kasyna cienkim, wysokim głosem. – Uruchomcie system, niech zacznie skanować twarze!

– Program już działa! – zawołał w odpowiedzi jeden z kierowników,

– I co macie?

– Na razie nic...

Wtedy z głośników dobiegł sygnał alarmowy. Dyrektor wstał od razu, jedną ręką nerwowo zmierzwił sobie sterczące czarne włosy, ukazując plamę potu na koszuli pod pachą.

– Facet, który rzekomo ma atak serca, był już dwa razy skazywany za oszustwa.

Dyrektor natychmiast podbiegł do monitora.

– A kobieta?

Rzeczywiście, jej twarz i nazwisko widniały na liście współników naciągacza.

– Kto jeszcze? – Dyrektor prawie zawył. – Przeskanujcie całe cholerne piętro. I to już!

Szybko zabrzmiał kolejny dzwonek alarmowy.

– Jest – powiedział kierownik zmiany. – Kolejny kombinator, który zwykle współdziała z tamtą parką. – Program rozpoznawania twarzy wyłowił z tłumu trzecią twarz. Shepherd White, czający się przy kasach, mierzył wzrokiem skarbiec kasyna zza krat bramki wejściowej. – Ten jest kasiarzem.

– Przełączcie kamery od dziesiątej do sześćdziesiątej na skarbiec – polecił dyrektor. – Chcę widzieć każdy milimetr. Niech strażnicy pilnują tej trójki. I połącz mnie z Boss Manem. Będzie chciał o tym usłyszeć.

■ ■ ■

Mike pospiesznie pchał wózek na żetony przez salę. Trzymał się ścian, tymczasem wokół niego, przy stolikach, panowało straszliwe zamieszanie. Ciężka, duża torba sportowa stojąca w wózku zabrzączała, gdy kółka przeskoczyły z twardej podłogi na dywan i metalowe przedmioty obity się o siebie. Po lewej stronie barman wspiął się na stół, żeby lepiej widzieć; mrugający napis WODA OGNISTA oświetlał jego przekrzywiony pióropusz.

Mike dotarł do drzwi prowadzących na tyły, do części biurowej, i rozsunął zamek sportowej torby. Najpierw wyjął smar w sprayu – cienka czerwona rurka tkwiła już w otworze. Mike wsunął ją w dziurkę od klucza i wypełnił otwór smarem. Odłożył puszkę z powrotem do wózka, a potem szybko wyjął z niego elektryczny śrubokręt, wsunął końcówkę w naoliwiony zamek i uruchomił. Śrubokręt wkręcił się w metalowy otwór niczym wąż w pięść, końcówka zawirowała, wewnętrzne bolce zaklekotały i odskoczyły. Rozległo się kliknięcie i zamek się poddał. Sekundę później Mike był w korytarzu.

Wepchnął wózek do środka, wszedł i zamknął za sobą drzwi.

W korytarzu jedne drzwi były uchylone, na dywan ze szczeliny padało światło.

Serce w piersi Mike'a szalało z nerwów. Zrobił wdech, jeden, głębioki, a potem ruszył korytarzem, pchając wózek. Kiedy mijał otwarte drzwi, znad biurka popatrzyła na niego kobieta w okularach z druciami

nymi oprawkami.

– Mamy kłopot z bezpieczeństwem w głównej sali – oznajmił, niemal nie zwalnając kroku. – McAvoy dzwonił... chce, żeby wszyscy pracownicy z innych działów opuścili kasyno, zanim będziemy tu mieli poważny kryzys.

Mówił głosem nieznacznie zniekształconym z powodu gumy, ale kobieta chyba niczego nie zauważyła.

– Nikomu nic się nie stało?

– Nie wiem – odparł. – Ale słyszałem, że kilku facetów wymachuje bronią.

Kobieta w jednej chwili złapała torebkę i wybiegła. Mike ruszył dalej korytarzem. Ostatnie biuro oznaczono mosiężną tabliczką z nazwiskiem McAvoya. Zamek był mocny, marki Medeco – o wiele zbyt skomplikowany na wytrych czy śrubokręt. Na szczęście Shep przewidział i taką ewentualność. Mike sięgnął do torby po elektryczną przenośną wiertarkę z zamocowanym twardym karbidowym wiertłem, które wcisnął w wąski rowek tuż nad dziurką od klucza, położył palec na przycisku i docisnął. Obracające się wiertło zapiszczało, a przedramiona Mike'a obsypał deszcz iskier. Robił stały postęp, rozprawiając się z bolcami, zapadkami i sprężynkami, które rozpryskiwały się na boki. Wydrążony zamek ostatecznie ustąpił i drzwi otworzyły się do środka, jeszcze zanim Mike je pchnął.

Prowadząc wózek przed sobą, przekroczył próg narożnego gabinetu. Wszystkie meble były pierwszorzędnej jakości – biurko z drewna orzechowego, figurka konia z kryształu, być może oryginalny Baccarat, a także oprawione w złotą ramkę zdjęcie McAvoya z zachwycającą, dużo młodszą żoną i bliźniakami.

Był też obraz, dokładnie taki, jak powiedział Graham – portret olejny indiańskiego uzdrowiciela, jakby wpatrującego się w Mike'a z góry, z przeciwległej ściany. W oczach Indianina było coś, co Mike określiłby jako „ponadczasowość”. Ręce mężczyzna unosił w geście, który wydawał się równocześnie bierny i władczy. Mike chwycił za drewnianą ramę, odmówił milczącą modlitwę i zdarł obraz ze ściany.

Sapnął przez zaciśnięte zęby. Graham nie skłamał. Mike położył

płasko dłoń na sejfie, czując chłód niemożliwej do pokonania stalowej fasady.

Wyciągnąwszy młotek ze sportowej torby, wybił otwory w płycie gipsowej wokół sejfu, po czym objął ją dłońmi w skórzanych rękawiczkach i wyrwał ze ściany. Ostatnim przedmiotem, który wyjął z torby, była piłka z prostym, sztywnym ostrzem, długim mniej więcej na piętnaście centymetrów. Włożył opakowanie akumulatorów, włączył piłkę i zwiększył obroty. Zamiast atakować sejf, wwiercił się w deski, do których sejf był przytwierdzony, unikając grubych sworzni. Drewno łatwo ustąpiło pod ostrzem piły. Pot napłynął Mike'owi do oczu. W każdej chwili Dodge mógł przejść korytarzem i zobaczyć zniszczony zamek w drzwiach wiodących do biura szefa. Mike zmuszał się, żeby co chwilę nie patrzeć na zegarek. Cóż, praca zajmie tyle czasu, ile zajmie.

Zostawił sobie na koniec dolną kantówkę. Ustawił wózek przy ścianie pod sejfem i piłował belki tak długo, aż załamały się pod ciężarem stalowego sejfu, który w następnej chwili wypadł z niszy w ścianie i runął z łomotem do wózka, wyginając jego podstawę.

Ostatnia deska oderwała się wraz z sejfem, więc Mike odciął ją jak najbliżej stalowego sześcianu. Otworzył pustą torbę, odwrócił ją i nasunął na sejf. Pozostawiawszy narzędzia rozrzucone na pięknym perskim dywanie McAvoya, natarł na wózek. Kółka zaskrzypiały w cichym proteście i wózek ruszył ku drzwiom.

■ ■ ■

Wyglądało na to, że uwaga wszystkich skierowana jest na przewrócone stoliki do pokera. Najwyraźniej niedawno zdarzyło się coś nowego i nastąpił nowy wybuch podniecenia. Mike odkrył, co się dzieje, gdyż zobaczył, jak Shep ucieka, lawirując pomiędzy stolikami do gry w kości. Czterech czy pięciu strażników deptało mu po piętach. W następnej chwili przyjaciel prześlizgnął się pod stołem z kołem fortuny, poderwał się do biegu, przewrócił kelnerkę ubraną w luźną sukienkę w indiańskie wzory i wpadł do salonu gry keno. Wtedy pojawiły się posiłki i do pomieszczenia wkroczyli kolejni strażnicy. Mike wiedział, że nie ma dużo czasu.

Pchając przed sobą wózek, miał ochotę popędzić do łazienki, po-

wstrzymał jednak impuls i tylko szedł szybkim krokiem. Kiedy w końcu dotarł, trzasnął w drzwi wózkiem, a potem z impetem przejechał wyłożoną kaflami podłogę i zatrzymał się tuż przed przeciwległą ścianą obok kabiny dla niepełnosprawnych. Toaleta była na szczęście pusta, nikt nie chciał tracić z oczu cyrku, który rozgrywał się w kasynie.

Mike prześlizgnął się pod drzwiami do kabiny, zwolnił zasuwkę, otworzył i wciągnął wózek. Postawił go obok wózka inwalidzkiego, zaparkowanego tam, gdzie go zostawił. Pochylił się, chwycił sejf i uginając się pod jego ciężarem, postawił go na szerokim podnóżku wózka inwalidzkiego. Założył okulary przeciwsłoneczne i czapkę, usadowił się na wózku i narzucił sobie na nogi polarowy pled, przykrywając równocześnie sejf, który okazał się szerszy, niż podejrzewali, więc Mike musiał szeroko rozstawić stopy i modlił się, żeby nikt niczego nie zauważył.

Wyjechał z łazienki i przeciął kasyno, kierując się do najbliższego wyjścia. W nogi wbijały mu się drzazgi z nierównych końców desek.

Kątem oka dostrzegł, jak pięciu strażników wyciąga Shepa z salonu keno. Shep opierał się, utrudniając im pracę.

– Nic nie zrobiłem! – wydierał się bełkotliwie, z powodzeniem udając głuchego. – Zostawcie mnie. To boli.

Goście kasyna obserwowali go z konsternacją i współczuciem.

Mike trzymał głowę prosto, a dłoń położył na przepustnicy, miał jednak wrażenie, że wózek posuwa się w żółwym tempie – zapewne z powodu mikrogo silnika i wagi sejfu. Uprzytomnił sobie z trwogą, że grupa strażników otaczających Shepa zmierza wprost na niego i za chwilę dojdzie do zderzenia albo konfrontacji. Ręka, którą zaciskał na przepustnicy, już go bolała, a jednak wózek nie przyspieszał. Pewnie nie mógł jechać szybciej. Zanim ich drogi się zbiegły, Mike skręcił na dywan, żeby uniknąć upadku. Shep uniósł głowę i na moment ich spojrzenia się spotkały, potem przyjaciela znów zagarnęli strażnicy.

Mike wrócił klekoczącym wózkiem do przejścia i skierował się ku szklanym drzwiom. Pozostało mu dwadzieścia metrów. Sejf przesunął się nieznacznie, więc Mike zacisnął mocniej nogi, czuł jednak, że pled zaczyna się ześlizgiwać. Gdy spojrzał w górę, zobaczył Dodge'a i Williama wbiegających wejściem, ku któremu zmierzał; między nimi był

McAvoy. Ruszyli w stronę Mike'a, którego na moment ogarnęło prawdziwe przerażenie, że odkryli jego tożsamość. Zmusił się jednak do spokoju, spuścił głowę, tak aby twarz przesłonił mu daszek, a językiem zagarnął kawałek gumy spod policzka i zaczął ją nerwowo żuć. Przeciężony silnik wózka jęczał, a od nacisku przesuwającego się sejfmu Mike'owi zdrętwiała noga. Modlił się, żeby jego nogi nie wystawały za bardzo na boki, żeby głupi pled z orłem trzymał się w miejscu i żeby nikt go nie rozpoznał.

Nie ośmielił się zaryzykować zerknięcia w górę ani na bok, jednak po pędzie wiatru wyczuł, kiedy trzech mężczyźni przebiegli obok. Natychmiast odetchnął z drzeniem. Jego wózek sunął naprzód z komediową powolnością, aż wreszcie automatyczne drzwi otworzyły się i Mike znalazł się na dworze, gdzie wieczorne powietrze schłodziło pot na jego twarzy.

■ ■ ■

W pobliżu przewróconego stołu liczni strażnicy otaczali Shepa, Boba i Molly. Obok leżała większość żetonów. Mimo starań kierownictwa gapie pozostali na miejscach, trzymając się w bezpiecznej odległości; co jakiś czas któryś podnosił spod nóg żeton.

McAvoy podszedł do zgromadzonej grupki, kask od motocykla Ducati niedbale wsunął sobie pod pachę. Kiwnął Shepowi głową z pozoru przyjaźnie.

– Gdzie twój kumpel?

– Nie wiem – odparł Shep. – Myślałem, że wy, Indianie, trzymacie się razem.

McAvoyowi lekko zadrgało lewe oko. Odwrócił się jednak spokojnie do strażnika.

– Dlaczego go nie wyprowadziliście, tak jak prosiłem?

– Dopiero co ich złapaliśmy – odparł szef bezpieczeństwa.

Bob pomachał grupce zmartwionych starszych kobiet.

– Czuję się już dużo lepiej, dzięki Bogu. – Podniósł pomarańczową butelkę. – Wziąłem moje nitraty.

McAvoy wskazał na Shepa.

– Zabierz go – rozkazał.

Pojawił się Dodge i Shep skinął mu głową.

– Jak twoja szyja?

Mężczyzna obrócił się nieco ku niemu i utkwił w nim wzrok, nic jednak nie odpowiedział ani nie okazał, że zna Shepa.

– Możemy porozmawiać o tym za minutę – odpowiedział William.
– Na osobności.

Strażnicy chwycili Shepa pod ramiona i pociągnęli naprzód.

W tłumie doszło do poruszenia, a po chwili z grupy wyszło kilku umundurowanych policjantów.

McAvoy odwrócił się do nich.

– Nie upoważniłem policji do wejścia na mój teren.

Porucznik otworzył portfel i pokazał odznakę.

– Ci troje to notowani przestępcy, panie McAvoy – oznajmił. – I wobec tego muszą trafić do aresztu.

Można by sądzić, że dojdzie do konfrontacji, jednak McAvoy natychmiast nad sobą zapanował. Rozłożył ręce otwartymi dłońmi w stronę porucznika, odsunął się na bok i uśmiechnął serdecznie.

– Róbcie swoje, panowie.

Funkcjonariusze przejęli Shepa, Boba i Molly i razem z nimi zaczęli się z powrotem przepychać przez tłum.

William minął McAvoya, podszedł do Shepa i położył dłoń na jego piersi, wstrzymując na moment całą grupę.

– Nie martw się – wyszeptał złowróźnie. – Dzięki Grahamowi błyskawicznie do nas wrócisz.

– Jasne – odparł Shep – życzę wam w tej sprawie powodzenia.

Dodge szedł za nimi kilka metrów ku drzwiom, w końcu zatrzymał się w przejściu i patrzył pustymi, pozbawionymi wyrazu oczami.

■ ■ ■

Zanim Mike dojechał do furgonetki Boba i Molly na samym końcu parkingu, wózek inwalidzki ledwo zipsał pod ciężarem sejfu. Mike nacisnął klawisz na breloczku i drzwi furgonetki automatycznie się rozsunęły. Drugi klawisz uruchomił podnośnik do wózków inwalidzkich, który wysunął się z boku pojazdu. Mike zdołał skłonić wózek do ostatniego wysiłku, podjechał do podnośnika i uniósł drżącą nogę, a wtedy

sejf wypadł i wylądował na metalowej podłodze podnośnika z głośnym brzękiem. Mike przycisnął kolejny klawisz i winda podniosła się, przenosząc do wnętrza furgonetki nadal przyśrubowany do desek sejf.

Zostawił elektryczny wózek przewrócony na asfalcie, wskoczył na siedzenie i ruszył, mijając po drodze drugą falę radiowozów.

Skręciwszy na główną drogę, otworzył okno i wypluł pod wiatr gumę do żucia.

■ ■ ■

Pomieszczenia inwigilacyjne wypełniał aromat kawy zmieszany ze smrodem ludzkiego potu. McAvoy kazał dyrektorowi odtworzyć nagranie po raz trzeci. Ponownie na ekranie pojawiła się postać Shepa, który opierał się o ścianę w pobliżu skarbcza – zupełnie odprężony, z zadartą głową, jak gdyby opalał twarz.

– To jest to? – spytał McAvoy. – Po prostu tam stał?

– Tak – odparł dyrektor. – Nie zrobił nawet ruchu w stronę skarbcza. Myślę, że może nie zdążył. Może cała akcja rozegrała się zbyt szybko.

– Ale nie miał przy sobie żadnego sprzętu.

– No, nie miał. Żadnego.

McAvoy wpatrywał się w film, na którym Shep wystawiał twarz w stronę sufitu. Nie... raczej w stronę ukrytych kamer.

Jak gdyby życzył sobie, żeby system wychwycił jego twarz!

– Czekaj chwilę – powiedział McAvoy. – Pokaż mi jeszcze raz nagranie z kamery dwadzieścia siedem.

Dyrektor zastosował się do polecenia.

Na ekranie pięciu strażników wywlekało Shepa z salonu keno, a potem ciągnęło go przez całe kasyno.

– Zatrzymaj – powiedział McAvoy. – Nie, cofnij. Teraz. Teraz! Tam. Zatrzymaj.

Zatrzymany film pokazywał głowę Shepa, który patrzył gdzieś ponad strażnikami.

– Na co ty patrzysz, człowieku? – wymamrotał McAvoy.

Zrobił krok przed siebie i przeszedł palcem linię wzroku Shepa, szukając tego, na co ten patrzył, aż w końcu dotarł do ściany monitora. – Pokaż mi widok z kamery dwadzieścia osiem. Dokładnie ten moment.

Na ekranie pojawił się mężczyzna na elektrycznym wózku inwalidzkim. Miał wymiętoszoną czapkę z daszkiem i okulary przeciwsłoneczne. Jego stopy wystawały na boki, jak gdyby były połamane. Ręka na przepustnicy była w rękawiczce.

McAvoy straszliwie pobałdł.

– Szefie – zainteresował się dyrektor – co jest nie w porządku...

McAvoy ruszył gwałtownie do drzwi, a później wybiegł na zewnątrz, wymachując kaskiem motocyklowym.

Szybkim krokiem przeszedł kasyno, po czym znów popędził przez korytarz administracyjny do swojego gabinetu. Natychmiast zobaczył, że drzwi na końcu korytarza są nieznacznie uchylone. Wpadł do biura i jak ogłuszony stanął na skraju dywanu.

Kask wyślizgnął mu się z ręki i spadł z hukiem na podłogę.

51

Kiedy krzywe drzwi wiodące do magazynu zazgrzytały na prowadnicach, Mike podniósł rękę, żeby zasłonić oczy przed bladym światłem zmierzchu, które przecież nie powinno go razić. Jednak Mike przebywał w obskurnym składziku już od siedemnastu godzin, próbując obsesyjnie nie rozważać niezliczonych możliwości, które mogły kompletnie zniweczyć ich plan.

Ponieważ zachodzące słońce świeciło Shepowi w plecy – z punktu widzenia Mike'a stał w zupełnym cieniu. Jedną rękę wyciągnął, a dłoń trzymał na uchwycie drzwi.

– Najwyższy czas – sapnął z ulgą Mike.

Spędzenie tu całego dnia było dla niego torturą. Zapach wilgotnego betonu utkwiał mu tak głęboko w gardle, jakby go zjadł. Puste puszki po SpaghettiOs toczyły się u jego stóp. Opuszczony magazyn był przepastny i pusty, toteż dźwięki rezonowały w nim jak w ogromnej jaskini lub strzelistej gotyckiej katedrze. W krokwiach żyły nietoperze. W rogach wisiały pajęczyny. Z zardzewiałego kranu woda nieprzerwanie kapiała do dużego, poplamionego farbą zlewu.

Pośrodku popękanej podłogi leżała paleta ciężkich skrzyń, które Bob i Molly dostarczyli poprzedniego dnia. Chociaż Mike siedział, opierając się o nie, nawet nie uchylił pokrywy; wiedział, że lepiej nie dotykać narzędzi Shepa. Teraz wstał z trudem i postawił stopę na sejfie McAvoyanym myśliwy pozujący z upolowanym zwierzęciem.

Shep wszedł w końcu do środka.

– Gliniarze maglowali mnie przez cały dzień.

– I co im mówiłeś?

– Przeważnie pytałem: „Co?” – odpowiedział przyjaciel z lekkim uśmiechem. – Nie zrobiłem przecież nic złego, byłem po prostu w kasynie i zajmowałem się własnymi sprawami, kiedy nagle mnie spowiewiano. Najbardziej interesował ich mój związek z niejakim Mikiem Wingate'em. Ale przecież to nazwisko z przeszłości, nie? – Zaniknął za sobą skrzypiące drzwi. – Nie mam teraz kontaktu z takimi szychami.

– Więc jak to się skończyło? Po prostu cię wypuścili?

– Wódz Dwa Jastrzębie, zgodnie z obietnicą, przysłał bladej twarzy drogiego czerwonoskórego prawnika. – Shep wyjął ciemnoszarą wizytówkę, odwrócił ją i pokazał Mike'owi napis ładną drobną czcionką. – Poza tym wydaje mi się, że w zeszłym roku grupa Shasta Springs z kasyna Miwok kupiła policji w Susanville kilka nowych radiowozów. Przynajmniej raz w życiu znaleźliśmy się po właściwej stronie. A skoro nie ma już Grahama, faceta permanentnie nadużywającego stanowiska, po prostu mnie puścili.

– A Bob i Molly?

– Też są wolni. Do tej pory pewnie zdążyli już wrócić do Reno. – Shep obszedł skrzynie, oceniając je. – Nie żebyśmy przestali być dla nich, jak to mówią, „osobami interesującymi”. Nadal jesteś poszukiwany.

Zaczął otwierać skrzynie i rozpakowywać sprzęt; większość narzędzi owinięto w specjalne, używane podczas przeprowadzek koce. Reflektory na sznurach do zawieszenia na stojakach, stojaki, które z kolei zostaną połączone z generatorem; wszystko to Mike pomagał mu wyjmować ze skrzyń i ustawiać. Gdy Shep podłączył całość, kliknął jakiś przycisk i w magazynie zrobiło się jasno jak w dzień. Rozmieścił reflektory wokół sejfu, który został po chwili oświetlony jak rzeźba w galerii. Shep chodził wokół niej niczym wybredny reżyser filmowy, poprawiał i regulował reflektory. Gdy Mike obserwował przyjaciela przy pracy, przypomniał sobie własne przygotowania do testów SAT i poradnik ze słownictwem, które przyswajał; tamtego dnia Shep usiłował otworzyć podobny ścienny sejf z Valley Liquors, a Kanapowa Matka wrzeszczała ze swojego pokoju, pytając o hałas. Nie była to może naj-

lepsza chwila w jego zyciu, ale wspomnienie stanowiło teraz prawdziwą pociechę.

Shep zrobił kilka kroków w stronę sejfu i usiadł przed nim po turecku.

– Nie możemy użyć materiałów wybuchowych, bo mamy do czynienia z papierami, a nie z monetami czy złotymi sztabkami – mówił. Oczy miał zamknięte. – Nadmierne ciśnienie... i detonacja gotowa, a wtedy negatywy po prostu spłoną.

– Zgadza się – przyznał Mike.

Shep położył się płasko na brzuchu i wsparł podbródek na pięściach. Wpatrywał się w sejf jak dzieciak oglądający telewizję.

– Nie wiesz, jak otworzyć taki sejf? – spytał Mike.

– Jest typowy – odparł przyjaciel.

– Co to dla nas oznacza?

Shep podpełzł do przodu i przyłożył policzek do metalowych drzwiczek.

– To oznacza, że musimy go słuchać.

Wskazał na zamek szyfrowy, obmacał grube pokrętko. Postukał w ścianki i przekrzywiając głowę, słuchał głuchych odgłosów.

Mike patrzył, trzymając się z dala i próbując się nie martwić z powodu zakłopotanej miny Shepa.

– Fakt, że jest taki zwyczajny – dodał przyjaciel po mniej więcej dwudziestu minutach – oznacza, że może być w nim pułapka, która zniszczy zawartość, jeśli ktoś będzie przy nim majstrował. I tyle na ten temat.

– No więc...

– Ma przynajmniej trzy rygle ruchome przy zamku. Ale nie jestem pewny, w których punktach się znajdują. Rycie wokół ramy wydaje mi się dość ryzykowne, bo jeśli jest w nim pułapka, możemy ją w ten sposób uruchomić. Albo uszkodzimy negatywy.

– Więc co zrobimy?

– Spróbujemy całkowicie ominąć rygle.

– W jaki sposób?

Shep nie odpowiedział, już był na nogach i biegł poza kręgiem

światła. Z szafki wyjął jakieś futurystyczne narzędzie z uchwytami, silnik od piły łańcuchowej i biało-srebrną piłę tarczową w ochroniaczu.

– Wyglądają jak zabawki z filmu dla sadystów – zauważył Mike.

Shep podniósł ciężkie narzędzie i żyły na jego przedramionach nabrzmiały. Założył okulary ochronne i popatrzył lekko obłąkanym wzrokiem.

– Tarczowa piła pożarnicza, oryginalna, używana przez strażaków podczas akcji ratunkowych. To ostrze ma zębki z przemysłowego diamentu. A stal nie przepada za kontaktem z twardym diamentem.

– Zdawało mi się, że przecinanie sejfu jest za bardzo ryzykowne, tak chyba mówiłeś.

– Mówiłem, że zbyt ryzykowne jest rycie wokół drzwiczek w poszukiwaniu rygli. Ale jeśli zdołamy obrócić pokrętko, mechanizm krzywkowo-dźwigniowy powinien cofnąć rygle blokujące drzwiczki.

Mike starał się ukryć zniecierpliwienie.

– Więc jak przekręcić pokrętko?

– Kombinacja składa się z trzech cyfr, prawda? Każda cyfra odpowiada jednemu elementowi w układzie zapadek. Każdy element ma wyżłobienie, taki rowek. No i te rowki muszą stanąć w linii prostej, bo tylko wtedy uwolnią mechanizm blokujący, a mówiąc dokładniej, otworzą zamek dźwigniowy z zaciskiem blokującym. Wtedy można obrócić pokrętko i otworzyć drzwiczki. A ja zamierzam... – Uruchomił silnik, ząbkowane ostrze przez chwilę wirowało tak szybko, że widać było tylko zamazaną plamę. – Zamierzam odciąć system blokujący i pominąć całe to gównno.

– Skąd wiesz, gdzie ciąć?

– Doświadczenie. Wyczucie. Instynkt. To jak *curveball* w baseballu, rzut z określoną rotacją i siłą. Czasami po prostu rzucasz i świetnie ci wychodzi.

– A jeśli ci się nie uda?

– Wtedy zniszczę system zapadkowy i nie dostaniemy się do środka.

Shep jeszcze kilka razy regulował reflektory, zebrał się w sobie i pochylił. Ostrze wgrzyło się w stal z wyciem, od którego Mike'owi

zadrgały zęby. Pomiedzy tarczą zamka szyfrowego i gałką do otwierania drzwiczek Shep zrobił trzy małe nacięcia, oddalone od siebie w jednokowej odległości, nie głębsze niż na dwa centymetry. Mike wstał, a potem zaczął chodzić z rękami splecionymi na karku.

W końcu przyjaciel odłożył piłę tarczową i stał pot z czoła. Chwycił pokrętło i mocno obrócił. Rozległ się głuchy odgłos.

Shep zrobił wydech. Zerknął na Mike'a, a potem ustawił pokrętło z powrotem w poprzedniej pozycji.

– Jest otwarty – powiedział z nadzieją Mike.
– Nie, raczej rozszyfrowany. Ale nie chcemy jeszcze go otwierać.
– No tak, jasne, pułapka. – Mike wypuścił powietrze z płuc i strzelił kłykciami, w których ze strachu czuł mrowienie. – Domyślam się, że gdyby to było takie łatwe, każdy mógłby to zrobić.

Shep skierował się z powrotem do skrzyń i przez chwilę rozlegało się pobrzękiwanie. Wrócił z wiertarką elektryczną zaopatrzoną w grube karbidowe wiertło. Przyłożył je do środka górnej ścianki sejfu, natarł na nie całym ciężarem i zaczął wiercić z góry na dół. Wiercił tak dziesięć minut, potem dwadzieścia. Od czasu do czasu przerywał i wydmuchiwał sproszkowaną stal z otworu, a kiedy pył opadał na beton, stawał się biały. W końcu Shep zrobił przerwę na odpoczynek.

Przygryzł wargę i widać było jego krzywy ząb. W krótkich włosach połyskiwały mu krople potu i odpryski stali.

– Nie ma nic lepszego niż to.

Mike pytająco uniósł brwi.

– Mieć twardy orzech do zgryzienia i zgryźć go. Dostać się do cudzych sekretów i wystawić je na światło. Nie ma znaczenia, ile zarabiasz, jak dużo płacisz za bezpieczeństwo, jakiego rodzaju sejf stworzysz. Każda szumowina może obejść twoje zabezpieczenia i wtargnąć na ziemię obiecaną. Wystarczy tylko skupienie i determinacja. I wytrzymałość, która może jest najważniejsza. A kiedy te drzwi się otworzą... O rany! Ta ulga. Ten triumf. – Pokręcił głową i gwizdnął jedną tylko nutę. Mike nigdy dotąd nie widział Shepa tak pełnego życia. – Na ogół nawet nie dbam o to, co mi się trafi. Chodzi o wyzwanie, o próbę sił, a nie o ten szajs w środku.

– Ale nie dzisiaj – zauważył Mike. – Dziś chodzi o jedno i drugie.
– Dzisiaj to co innego. Orzechem do zgryzienia nie jest sejf, tylko Brian McAvoy i Deer Creek Enterprises. Pieniądze, koneksje, władza... faceci siedzący za wszystkimi tymi drzwiami, które zawsze były dla nas zamknięte. Ale jeśli naciśniemy w odpowiednim czasie, zrobimy odpowiednie nacięcia... – Kiwnął głową na żłobienia w stalowej fasadzie. – ...pociągniemy za odpowiednie dźwignie, rozłupiemy tych dupków na pół.

Wrócił do wiercenia, opierając się na rękojęści. Po jakimś czasie założył drugie wiertło, potem trzecie. Wreszcie przestał czuć opór stalowej ścianki, przewiercił się na przestrzal, wiertło wsunęło się na dobre kilka centymetrów w szczyt sejfu. Dmuchał w dziurę, aby ją oczyścić, a potem rozwinął przewód kamery światłowodowej, którą wsunął w otwór.

– Widzisz negatywy? – spytał Mike pospiesznie, niemal wypluwając słowa.

Wcześniej starał się zapomnieć, że ryzyko, jakie podejmowali, opierało się tylko na przeczuciu, że McAvoy schował negatywy właśnie w tym sejfie. Teraz byli o centymetry od prawdy.

Shep obserwował zielony filmik na małym dołączonym do kamery ekranie. Lekko rozdziawił usta, a później pochylił się nad wierconym otworem, powąchał i przeklął pod nosem.

Mike miał wrażenie, że jego żołądek zaciska się, a potem zaczyna nerwowo drgać, podjeżdża mu do gardła i znów opada.

– Nie ma ich tam – jęknął.

– Są – odparł Shep. – Są tam.

Ale jego mina pozostała ponura.

Mike popatrzył na mały monitor. Zobaczył tylko kilka starych papierów oraz – dzięki Bogu! – cienką rolkę filmu. Później zauważył coś jeszcze – obnażony drucik oplatający wnętrze sejfu.

Gdyby ktoś majstrował przy ściankach albo w niewłaściwy sposób utworzył drzwiczki, jeden koniec drucika dotknie drugiego...

– Jeżeli te gołe części drutu zetkną się, to...

– Zaczną się żarzyć – dokończył za niego Shep.

– Więc jak McAvoy dostawał się do środka?
– Jeśli otworzysz sejf w odpowiedni sposób, wtedy mechanizm blokujący przygniecie luźny przewód i odsunie go od pętli.

– Ale ty zniszczyłeś mechanizm blokujący – jęknął Mike.

Shep usiadł na piętach, ręce położył na poplamionych dzinsach.

Chociaż Mike widział jego minę, nie chciał uwierzyć w porażkę i po prostu nie mógł sobie na nią pozwolić.

– Więc musimy czekać z wodą, którą wlejemy do środka natychmiast, gdy drzwiczki się otworzą – powiedział.

Shep zerwał się, złapał go za kołnierz i przyciągnął jego twarz do wywierconego otworu.

– Powąchaj. – Ostry, gryzący zapach od razu uderzył Mike'a w nozdrza. – Czujesz? – upewnił się. – Azotan celulozy, substancja łatwo palna. W latach trzydziestych i czterdziestych kręcono na takich taśmach filmy. Amatorzy również ich używali, cięli i wykorzystywali do fotografii. – Wsunął kamerę światłowodową głębiej i nakierował obiektyw dokładnie na pasek negatywów. – Widzisz te poziome kreski pomiędzy co czwartym otworkiem w filmie?

– Skąd to wszystko wiesz? Zostałeś profesorem z *Wyspy Gilligana*?

Shep nawet się nie uśmiechnął, co zwiększyło lęk Mike'a. Przyjaciel tylko przesunął językiem po zębach.

– Jeśli ktoś włożył coś do jakiegoś sejfu, jest duża szansa, że naknąłem się na to w przeszłości. Wiem, co mówię. To gówno jest strasznie łatwo palne, tak jak papier fotograficzny do drukarek. Wystarczy iskra i wszystko zniknie w chmurze dymu.

Mike wypuścił głośno powietrze, a potem pochylił się i uderzył lekko czołem w ściankę sejfu. Negatywy były nie dalej niż trzydzieści centymetrów od niego, za zamkniętymi drzwiczkami sejfu, których żaden z nich nie potrafił otworzyć. Zrobili tak wiele, zaszli tak daleko, a teraz nie mogli dokończyć zadania z powodu głupiego kawałka drutu.

Zaklął ostro, prawie wrzasnął, a jego głos odbił się echem od ścian magazynu i wywołał poruszenie wśród nietoperzy siedzących w krokwiach. Później Mike usiadł prosto, splunął w ciemności za kręgiem światła i zaśmiał się gorzko.

– Nigdy więcej nie zobaczę córki, i to tylko dlatego, że jacyś botanicy ze Stanford osiemdziesiąt lat temu postanowili użyć taniego filmu.

– Nie mogłem o tym wiedzieć! – zawołał Shep głośno, tym razem nie z powodu kiepskiego słuchu.

– Wiem – uciął Mike. – Nie obwiniam cię.

– Że też akurat azotan celulozy...

– Nie obwiniam cię, naprawdę. Jestem ci wdzięczny.

– To gówno jest tak potwornie łatwo palne, że pali się nawet pod wodą.

Mike zerwał się gwałtownie i wstał. Shep zadarł głowę i patrzył na niego. Mike odskoczył gdzieś w ciemności.

– Daj tu jakieś światło! – krzyknął.

Obmacał ścianę, aż natrafił na kran i przekręcił kurek. Woda zaczęła płynąć, krople zabębniły w zlewie. Shep nakierował reflektor, prawie oślepiając Mike'a.

– Musimy zatopić drut – wyjaśnił Mike. – Jak nie będzie tlenu, nie będzie iskry.

Shep podeszedł i razem obserwowali, jak woda koloru rdzy powoli się klaruje, aż staje się przezroczysta.

– A jeśli woda zniszczy negatywy?

Mike znalazł jakąś stwardniałą szmatę i użył jej jako korka w zlewie.

– Nie mamy innego wyjścia.

Kiedy poziom wody był dostateczny, Mike rozłożył kilka koców na podłodze obok zlewu, a później ustawił reflektory, żeby świeciły prosto na nie.

– Musimy je od razu wyszarpnąć.

Zakręcił wodę. Przez chwilę obaj milczeli i ciszę przerywały tylko krople wody spadające z ciekącego kranu i odbijające się echem od krokwi.

Shep i Mike podeszli do sejfu i dźwignęli go we dwóch. Starali się działać ostrożnie i trzymać równo, nie chcieli, żeby otworzyły się uszkodzone drzwiczki. Z wysiłkiem przenieśli sejf i postawili go na brzegu zlewu. Shepowi oczy błyszczały z podniecenia.

– Gotów?

Przesunęli sejf i wrzucili go do wody, która plusnęła, a potem fala cofnęła się i wróciła, ochlapując im uda. Ostry kawałek deski, do której był przymocowany sejf, rozdarł Mike'owi skórę na wewnętrznej części przedramienia, jednak Mike mocno trzymał stalowy sześciang, spokojnie dociskając go do dna zlewu.

Odsunął się i zamachał rękami, otrząsając je z wody i krwi, obryzując beton czerwonymi i przezroczystymi kroplami. Shep pozostał w miejscu, nieporuszony, z łokciami na krawędzi zlewu i przedramionami w wodzie. Mike sprawdził, czy koce ogrzały się już od reflektorów, podszedł do przyjaciela, stanął obok, przybrał identyczną pozę i spojrzał w dół. Z otworu w górnej ścianie sejfu wydobywały się pęcherzyki powietrza. Gdy dotarły na powierzchnię wody, rozlegał się cichutki dźwięk przywodzący na myśl karmienie gupików.

Mike starał się nie myśleć o wodzie wsączającej się w negatywy. Starał się też nie rozważać, co się zdarzy, jeżeli druciki mimo wszystko strzelą iskrami albo jeśli negatywy okażą się inne niż te, których szukał Dwa Jastrzębie. Kolano Mike'a drgało to w górę, to w dół, jakby z powodu dziwnego nerwowego tikku.

Obaj czekali, przyglądając się, jak sejf powoli napęlnia się cieczą.

52

William i Dodge siedzieli w śmierdzącej stęchlizną kuchni szalowanego domu, desperacko przerzucając spisy rodzin zastępczych w Kalifornii i sąsiednich stanach. Zawężili już listę znacząco, ale nadal mieli do sprawdzenia setki adresów. Boss Man był wściekły i żądał efektów, więc William i Dodge postanowili zrezygnować ze snu przez najbliższe dwie noce. Po napadzie ubiegłego wieczoru cierpliwość Boss Mana się wyczerpała. William dzwonił do znajomych gliniarzy z różnych posterunków i prosił każdego o przysługę, a później, gdy gliniarz odwiedził rodzinę zastępczą, wykreślali jej nazwisko ze spisu krwiście czerwonym markerem. William znał wielu policjantów w czterech stanach i wszyscy jeździli po domach, kontrolując rodziny zastępcze, szukając nowych twarzy.

Kuchnia była zaniedbana od miesięcy i w końcu zarówno William, jak i Dodge w ogóle zrezygnowali ze sprzątanía. Ściana nad kuchenką była opryskana tłuszczem, brud pokrywał okna, garście soli pstrzyły podłogę jak minipiramidy. A jednak od czasu do czasu udawało im się umyć kubek na kawę albo talerz, który potem znów trafiał na stos brudnych naczyń piętrzących się w zlewie albo zalegających na blacie. Na wierzchu od dawna zepsutej kuchenki mikrofalowej stał faks; parę martwych much tkwiło w podajniku papieru.

Dodge siedział naprzeciwko Williama, czytając komiks i sącząc niespiesznie gorącą herbatę ze szklanki. W słabym świetle jego rysy wydawały się jeszcze mniej wyraziste, a brzegi nosa zlały się z policzkami, jak gdyby wygładzone szpachlą. Co jakiś czas mężczyzna roz-

targnionym ruchem pocierał szeroką opuszką kciuka o palec wskazujący, co powodowało nieprzyjemny odgłos. W ten sposób Dodge okazywał zniecierpliwienie. Ręce go świerzbiły i chciał je wykorzystać w ulubiony sposób.

William właśnie podłączył do ładowarki swój telefon, kiedy rozległ się dzwonek. Dodge przestał poruszać palcami.

William spojrzął na ekran telefonu i odebrał.

– Ma go szef dla nas? – spytał.

– Ci dranie z Susanville nie zamierzają przekazać nam Shepherd White'a – odparł Boss Man napiętym, nerwowym głosem. – Właściwie wypuścili go prawie trzy godziny temu.

– Wypuścili? – William, wściekły, usiadł na sięgającym pasa stosie starych, postrzępionych gazet. – Dodge przygotował przecież piwnicę – jęknął. – Gdzie, do kurwy nędzy, był Graham?

– Graham nie żyje – odrzekł Boss Man.

– Graham nie żyje – William powtórzył to zdanie przez wzgląd na Dodge'a.

Wielkolud podniósł wzrok, popatrzył na niego, wypił łyk herbaty, znów spuścił głowę i wrócił do komiksu. Kciukiem znowu zaczął drapać palec wskazujący.

– Nie zgłaszał się, więc wysłałem do niego policję z Sacramento, mieli rzucić okiem – mówił Boss Man. – Został zastrzelony we własnym łóżku.

William zrozumiał, że powodem jego niepokoju jest ton szefa. Nigdy wcześniej nie słyszał tej nuty w głosie Boss Mana. To była rozpacz. Sapnął ciężko przez nos, podrapał się po policzku i zapanował nad troską, która uciskała mu pierś.

– Będzie dobrze – mruknął.

– Czyżby? Radziłeś już sobie z takimi problemami, co? Miałeś do czynienia z władzami stanowymi, które łomoczą do twoich drzwi? Wiesz, jak pociągać za sznurki, gdy toczy się dochodzenie w sprawie zabójstwa pieprzonego dyrektora pieprzonej agencji rządowej? – Słuchawkę wypełniły jego gwałtowne oddechy. – Nie mów mi, że będzie dobrze. Kiedy będzie dobrze, ja ci to powiem.

– Tak jest, szefie.

– Na szczęście nadal mamy mnóstwo przyjaciół. Siedzę właśnie naprzeciwko jednego z szefów Grahama. Wydaje nam się, że stary dobry Graham wysłał nam zza grobu mały upominek. Nasz przyszły wspólnik nadzorował aktywność pewnej osoby. Kiedy dowiedział się o śmierci Grahama, przyszedł do mnie i osobiście przekazał mi nowiny. – Długa, znacząca pauza. – Zdołał wyśledzić sygnał.

William westchnął z ulgą, po czym odsunął od siebie słuchawkę.

– Mamy adres – powiedział do Dodge'a.

Dodge odłożył komiks, pogładził palcami okładkę i wstał.

– Nazwisko brzmi znajomo – dodał Boss Man.

William odwrócił kartkę z listą i przygotował krwiście czerwony marker. Poczuł, że wargi przykleiły mu się do zębów, i uświadomił sobie, że czekając, szczerzy się w uśmiechu.

– Idźcie po odpowiedzi – polecił Boss Man. – Wszystkie chwytaki dozwolone.

Negatywy fotograficzne, z wyjątkiem pierwszego od góry, który rozpadł się w dłoniach Mike'a, wynurzyły się z wody całkowicie nie-
tknięte. Skleiły się i właściwie dzięki temu ocalały. Mike bardzo chciał
dostarczyć je jak najszybciej, ale Shep zmusił go, aby poczekał. Wytarł
negatywy, położył je na jakiś czas pod reflektorami, żeby reszta wilgoci
odparowała.

Było kilka minut po północy i Mike znajdował się w kasynie Miwok
należącym do grupy Shasta Springs plemienia Miwoków. Był sam na
sam z wodzem Dwa Jastrzębie za pomieszczeniami kasowymi, w za-
mkniętym pokoju, w którym wypłaca się najwyższe wygrane. Stół, przy
którym siedzieli, był ze stali nierdzewnej, a w narożniku pomieszczenia
stał wózek, też stalowy, w którym była liczarka do banknotów, profe-
sjonalny kalkulator księgowego, ciężki telefon i aparat fotograficzny
Polaroid. W tym pokoju odmienił się los wielu ludzi i Mike modlił się,
żeby w jego przypadku nie zdarzył się wyjątek.

Shep czekał w pobliżu w samochodzie zaparkowanym na nieoświe-
tlonej drodze, przygotowany rozpętać piekło, gdyby Dwa Jastrzębie
postanowił nie spełnić danej obietnicy. Po drodze tutaj Shep i Mike
zatrzymali się, żeby dołożyć do stale rosnącego stosu ważnych przed-
miotów ukrytych za kratką kanału wentylacyjnego genealogiczny raport
plemienia Deer Creek. Wcześniej, w zimnym i zawilgoconym magazy-
nie, Mike – gdy reflektory ogrzewały mu ramiona – oglądał wilgotną
kartkę, podziwiając drzewo genealogiczne swojego rodu pod oficjalną
pieczęcią potwierdzającą prawdziwość danych. Wszystkie te imiona,

nazwiska i daty, powiązania i rozwidlenia, historia, której był częścią... Kiedy zobaczył miejsce zarezerwowane dla niego, kogoś, kto nazywał się Michael Trainor, w tym bogatym, splątanim rodowodzie, poczuł się tak przytłoczony, że odebrało mu mowę. Jednak kilka godzin później, kiedy resztki wody wyschły i kartki zeszywniały, Mike'a uderzył fakt, że słowa to tylko atrament na papierze, bo już wcześniej miał swoje miejsce na świecie. Ale jedyny sposób, żeby odzyskać dawne życie, łączył się z mężczyzną, który siedział teraz naprzeciwko niego.

Wódz Dwa Jastrzębie podnosił każdy negatyw do światła i patrzył, mrużąc ciemne oczy, w których stały łzy. Zmarszczki żłobiły jego policzki. Status jego plemienia bez wątpienia zostanie teraz zatwierdzony przez komisję federalną, ale było jasne, że te zdjęcia miały dla niego znacznie większą wartość. Indianin oglądał każdy kadr bardzo długo i cierpliwość Mike'a powoli się wyczerpywała.

Nabierał ochoty, żeby trzasnąć pięścią w stalowy stół.

– Dziękuję ci – przemówił w końcu Dwa Jastrzębie. – Są wprost niewiarygodne. Odkąd byłem chłopakiem, marzyłem, żeby to wszystko zobaczyć. Widziałeś?

Podał kruchy negatyw nad stołem, lecz Mike wpatrywał się tylko w niego bez słowa.

Na twarzy wodza zdumienie zmieniło się w zmieszanie. Podjechał na krzesło na kółkach do wózka i wymruczał coś w słuchawkę telefonu. Kilka minut później do pokoju wszedł Blackie i położył przed Mikiem skrytkę bankową.

Chociaż w pomieszczeniu panował chłód, Mike poczuł, jak pot spływa mu po bokach i łaskocze w zębra. Uniósł pokrywę skrytki. W pierwszej chwili zaskoczyło go, że długa metalowa skrzynka jest niemal pusta – zawierała tylko trochę dokumentów.

Na szczycie leżały fotografie z inwigilacji – przedstawiały Briana McAvoya z Dodge'em i Williamem. Wiele spotkań, każde zdjęcie zrobiono w innym dniu. Mike popatrzył na wodza nieprzekonany.

– Nasz człowiek wyniósł materiały, które znajdziesz dalej – oznajmił Dwa Jastrzębie.

Mike uniósł ostatnie kilka fotografii i zobaczył stertę fotokopii – liniowane stronicie wypełniały zapisane ścisłym pismem litery i liczby.

Była to księga handlowa.

Mike'owi szybciej zabiło serce.

Ponieważ nie podnosił głowy, zapatrzony w księgę, palec wodza Dwa Jastrzębie nagle pojawił się przed jego oczami. Indianin postukał wypielęgowanym paznokciem w okładkę.

– Są w niej płatności wykonane przez McAvoya z osobistego, lewego konta, które można by wręcz nazwać jego funduszem łapówkowym. Tak, to jego pismo. Wolał nie zapisywać plików elektronicznych – w ton wodza wkradła się nutka ironii – ponieważ są zbyt łatwe do skopiowania.

– Twój człowiek, twoja... wtyczka? – podsunął Mike. – Mówiłeś, że jest księgowym?

– Ted Rogers. Specjalista od inwestycji i obrotów funduszami w rajach podatkowych. McAvoy wprowadził go w interesy, bo chciał usprawnić przepływ gotówki pomiędzy kontami zagranicznymi i amerykańskimi. Rogers musiał wykonać jakieś przelewy i ustalić, gdzie utknęły pewne fundusze przerzucane między kontami. Więc otrzymał ograniczony dostęp do tej księgi rachunkowej. Odbiorcy płatności są identyfikowani przez numery ich kont bankowych. Widzisz? Na pewno potrafisz zgadnąć, komu najczęściej przelewał pieniądze.

– Rickowi Grahamowi – odparł cicho Mike. – Rogerowi Drake'owi. Williamowi Burrellowi.

– A jeśli poszperasz głębiej, znajdziesz też Leonarda Burrella. Przypuszczam, że to jest...

– Był. Wuj Williama.

Mike przekartkował księgę, czując pulsowanie rany na wewnętrznej części przedramienia. Daty sięgały kilka dziesięcioleci wstecz.

Obok ewidentnych płatności wpisano dość długie ciągi cyfr bez przecinków ani myślników. Mike policzył cyfry kilku wybranych na chybił trafił numerów – każdy składał się z dziewięciu.

– Te numery... twoim zdaniem, wodzu... co to takiego? – spytał.

– Numery ubezpieczeń społecznych.

Mike spróbował przełknąć ślinę, odkrył jednak, że w ustach ma zbyt sucho, i zrezygnował.

– Do kogo należą?

– Do twojej matki. Twojego ojca. Braci, którzy nie chcieli sprzedać swojej ziemi. Do pewnej radnej miejskiej zajmującej się prawem zagospodarowania przestrzennego. Do pewnego hazardzisty, który lubił grać wysoko i nie mógł spłacić siedmiocyfrowego długu. Tuż po realizacji wypłat, dzień czy dwa później, ludzie, do których należały te numery, znikali. Wszyscy co do jednego.

Na widok tak jawnych i tak bezczelnych dowodów zbrodni Mike poczuł napływ mdłości. Dolary i centy, życie i śmierć wielu osób.

– Które z nich... – Obliznął usta. – Które należały do moich rodziców?

Wódz wskazał dwa numery. Mike przesunął palcem po datach.

Wpatrywał się w numery ubezpieczeniowe. Po prostu John. Danielle Trainor. Dwa Jastrzębie odchrząknął i Mike zrozumiał, że na dłuższy czas odpłynął myślami.

Dotarł do końca fotokopii, jednak wpisy kończyły się około tygodnia przed dniem, w którym Dodge i William znikąd pojawili się nagle w jego życiu. Myśl o tym, że oryginał księgi rachunkowej ciągle tkwi w jakimś sejfie albo w zamkniętej na klucz szufladzie, zmroziła go. Wiedział, jaki znalazłby w niej wpis wykonany tym samym ścisłym charakterem pisma – jego własny numer ubezpieczenia społecznego i numer jego córki.

Jego wzrok przyciągnęła ostatnia duża płatność. Kwocie nie towarzyszył żaden numer.

– Jak myślisz, co to było? – spytał wodza.

Dwa Jastrzębie zacisnął usta i zerknął na księgę.

– Jak się okazało, jednym z ostatnich zadań, jakie otrzymał Ted Rogers, był przelew stanowiący zapłatę za zabicie... jego samego. – Odwrócił kartkę i pokazał dwa podobne wpisy. – Oraz za zamordowanie jego żony.

Mike milczał zaszokowany.

– Rogersowie zniknęli, toteż po kilku dniach policja weszła do ich

domu. Był pusty. Nie znaleziono żadnych śladów, niczego interesującego, no, może poza tym, że z kanapy w gabinecie Teda zniknęło oparcie. Dodge i William nigdy nie zostawiają ciała. – Dwa Jastrzębie przetarł oczy. – Najwyraźniej McAvoy jednak czegoś się domyślił. Z oczywistych powodów nie dopisał numerów książeczek ubezpieczeniowych Rogersów.

Indianin osunął się na krzesło, przygryzł wnętrze policzka, oczy miał wilgotne od łez. Mike pojął teraz, dlaczego wódz tak się zdenerwował, gdy Shep chciał poznać więcej szczegółów na temat jego wtyczki.

Mike potrafił sobie wyobrazić, co działo się w domu Rogersów, gdy wtargnęli tam William i Dodge – scenariusz zdarzeń był zbyt bliski koszmarom, których sam się obawiał i które przeżywał w ciągu ubiegłych dwóch tygodni. Odwrócił wzrok. Na dnie skrytki bankowej znajdował się ostatni plik fotokopii. Sięgnął po nie.

Górne kartki były częściowo zacienione, tam, gdzie oryginalne teksty zostały złożone na czworo niczym listy składane przed włożeniem do koperty. Na każdej stronie widniała odręczna data, jeden z numerów ubezpieczenia społecznego z księgi rachunkowej i jakiegoś rodzaju kod. Od połowy pliku zaczynały się kartki w formacie faksowym, kody nabazgrano na środku stron, a datę – wykonaną datownikiem – umieszczano starannie w środku górnej linii.

Wódz Dwa Jastrzębie wydawał się wdzięczny za zmianę tematu.

– Sądzę – powiedział – że te kartki wsunęto na końcu księgi handlowej. Każda data odpowiada płatności i zaginięciu jakiejś osoby. Wyobrażam sobie, że jest to potwierdzenie wykonanej... roboty, czyli morderstwa. Na późniejszych w nagłówku jest numer telefonu, widzisz? To osobisty faks McAvoya. Nie zdołaliśmy jednak ustalić, co oznaczają kody.

Mike przeczytał kilka z nich. FRVRYNG. MSTHNG. LALADY.

SMS-y? Czyjeś przydomki?

Nagle w tym zamkniętym, pozbawionym okien pomieszczeniu poczuł się klaustrofobicznie. Najchętniej by je opuścił, a później wraz z Shepem i Hankiem zaczął obmyślać plan mający na celu zrównanie z ziemią świata McAvoya i jego ludzi. Zebrał papiery i wsunął je do

wielkiej szarej koperty, którą wcześniej dał mu Dwa Jastrzębie.

Wstał i oparł rękę na stole, usiłując się uspokoić. Wódz chwycił go pod ramię. Skierowali się do tylnego korytarza, dalej Mike poszedł już sam.

Dotarł do drzwi wyjściowych i pchnął je. Nocny wiatr szarpnął jego ubraniem, musnął skórę. Mike spojrzał za siebie. Dwa Jastrzębie, widoczny w półcieniu, wciąż stał w korytarzu. Podniósł rękę i obrócił dłoń tak samo jak indiański uzdrowiciel na obrazie w gabinecie McAvoya.

Mike ruszył w chłód.

■ ■ ■

– Potrzebujesz ciała – powiedział mu Hank.

Jego głos w słuchawce brzmiał ochryple i słabo.

Mike, z telefonem komórkowym przyciśniętym do ucha, siedział i drżał na siedzeniu ford'a pinto. Shep patrzył przed siebie. Zaparkowali przed całodobową restauracją pod wzgórzem za kasynem wodza Dwa Jastrzębie. Na udach Mike'a leżała szara koperta, ciężąca mu.

– Co takiego? – spytał detektywa.

– Jak myślisz, dlaczego McAvoy każe swoim zbirom pozbywać się ciał? Nie ma ciała, nie ma morderstwa. Całe te gówno, które na niego masz, chociaż wydaje się mocne, cóż... to tylko poszlaki. Ale zwłoki, tak, zwłoki dużo by ci dały.

– Mówisz mi, że to wszystko... – krzyknął do Hanka.

– Słuchaj – przerwał mu detektyw – te nowe materiały na pewno zmieniają reguły gry. McAvoy wszystkiego już nie zatuszuje, nie ma mowy! Splamił się, na pewno, choćby samymi płatnościami dla Grahama. Kiedy wypłyną na powierzchnię jego powiązania z zabitym dyrektorem agencji rządowej, policja przestanie kryć jego i jego machlojki. Wszyscy opłacani wcześniej gliniarze i agenci odsuną się od niego jak najdalej. Każdemu będzie nagle chodziło o zachowanie pozorów. A ty, mając ten raport genealogiczny, możesz zażądać kasyna i wykopać dupka z interesu. Dodge i William zostaną przesłuchani, w ich sprawie zacznie się toczyć śledztwo, będą obserwowani... i nie wyobrażam sobie, żeby gliniarze nie znaleźli na obu drani czegoś, za co da się ich udupić. Ale ty spytałeś, czy te papiery wykończą ostatecznie McAvoya, więc ci

odpowiadam: Nie, nie wykończą go. A zwłoki? Owszem.

Rozwścieczony Mike przycisnął skroń do lodowatego okna. Obok nich zatrzymał się klasyczny mercedes coupé, z którego wyskoczyła młoda para tak szybko, że Mike ledwie zapanował nad kolejnym okrzykiem.

– Co ja robię? – spytał cicho.

– Dość już zrobiłeś – zapewnił go Hank. – Załatwimy prawnika, ujawnimy część dowodów, ustalimy, w czyje ręce powinieneś się oddać. Sądzę, że trzeba zwrócić się do FBI. Do ciebie będzie też mnóstwo pytań, może postawią ci zarzuty. Pierwsza sprawa to oczywiście Rick Graham, nieżywy. Ale teraz możesz już się ujawnić, twoja sprawa zostanie oficjalnie rozpatrzona. Będzie można zająć się Annabel. Zapewnić bezpieczeństwo waszej córce.

Mike pochylał głowę do przodu, aż owionęło go ciepłe powietrze z otworów wentylacyjnych.

Przetarł palcami oczy.

– Dość długo się ukrywałeś pozostawiony samemu sobie – naciskał detektyw. – Pora wrócić i pozwolić działać innym.

Łzy napłynęły Mike'owi do oczu, przeciekły przez dłoń i kapąły na szarą kopertę.

– Jak długo? – spytał. – Kiedy będę mógł odebrać Kat?

– Załatwimy wsparcie najszybciej, jak to będzie możliwe. Kilka dni?

– Nie. Do jutrzejszego wieczoru.

– Więc zaczynamy.

Mike z trudem przełknął ślinę.

– Dobrze... Jadę do ciebie. Zrobimy kopie wszystkich dokumentów. Poukrywamy je w różnych miejscach. Obmyślimy plan gry, powoli i z głową.

Hank zgodził się i rozłączył.

Mike przechylił głowę do tyłu i sapnął słabo, z drzeniem wypuszczając powietrze.

– No dobra – mruknął. – W porządku. – Znów zrobił wydech, tym razem spokojniejszy. – Wróćmy do motelu, zabierzmy gotówkę, pen-

drive'a i raport genealogiczny.

– Motel jest w przeciwnym kierunku – wytknął mu Shep. – Pojadę sam i spotkamy się na miejscu.

– Mamy tylko jeden samochód – zauważył Mike.

Shep popatrzył na niego spođe łba, rozczarowany brakiem wyobraźni przyjaciela, po czym wysiadł bez słowa i zatrzasnął za sobą drzwi. Dziesięć sekund później już siedział w mercedesie, a po czterdziestu sekundach uruchomił silnik.

Odjeżdżając, podniósł dwa palce i zasalutował.

Mike przesunął się na siedzenie kierowcy i odjechał.

Na autostradzie panował o tej porze spokój. Gdy przejechał kilka kilometrów, poczuł nadzieję, dzięki której nieco się rozluźnił. Zjechał na pobocze, wysiadł i przeszedł niepewnym krokiem parę metrów w zarośla. Zatrzymał się, pochylił, położył ręce na udach i łapał oddech. Od tak dawna nie ośmielił się mieć nadziei i teraz to doznanie wręcz wypełniło jego krwiobieg jak narkotyk. Starał się nie myśleć o dotyku Annabel, o ich dłoniach splecionych na pościeli. Ani o słodkim ciężarze Kat, który czuł, ilekroć ją podnosił, ani o gładkim policzku muskającym jego policzek.

„Nie jesteś mężem. Nie jesteś ojcem?”. Już nie.

Powietrze było ostre i pachniało bylicą, mokra ziemia kleiła się do butów Mike'a. Westchnął głęboko, raz, potem drugi, i zwymiotował samą żółcią, w końcu wrócił do samochodu. Zostawił drzwi otwarte; łagodne światło z sufitu padało na zagłówek. Zapiął znów pas, położył ręce na kierownicy i odjechał, kierując się na spotkanie z Hankiem.

Kiedy zjechał z autostrady, poczuł, że w jego kieszeni wibruje batphone. Poszperał i wyjął telefon.

– Tak?

– Przełączę ci rozmowę. – Głos Shepa brzmiał bardzo tajemniczo.

– Co?

W tle rozległ się hałas, a potem elektroniczny dźwięk.

– Halo? – odezwała się Annabel.

54

Pierwszą myślą, która wybiła się ponad szaleńczą ulgę, było podejrzenie, że Dodge i William odszukali jego żonę i zmusili ją, żeby do niego zadzwoniła. Z nerwów nie wiedział, co do niej mówi, ale pomiędzy wyrzucanymi słowami i walką z natłokiem myśli rejestrował odpowiedzi Annabel: „Tak, żyję. Żyję. Jestem, kochanie”. A także: „Potrzebuję cię. Potrzebuję cię tutaj. Jestem taka przerażona”. I jeszcze: „Nie, nikt mnie nie znalazł. Jestem bezpieczna. Leżę, jestem cholernie obolała i śmierdzą jak apteka, ale jestem bezpieczna”.

Mike w końcu pojął, co się dzieje. Uspokoił się i tylko dwa słowa wypełniły mu głowę, zagłuszając wszystkie inne głosy i myśli: „Ona żyje!”.

Żona szlochała, głos łamał jej się przejmująco.

– ...tak bardzo się bałam, kiedy się wczoraj obudziłam. Myślałam, że ty nie...

Ona żyje!

– ...prawie doba, zanim mogłam wydobyć z gardła głos – mówiła Annabel. – Miałam tutaj numer do Shepa, ten, który mi dałeś, pamiętasz...

Ona żyje!

– Nie, nie dzwoniłam do nikogo. Powiedzieli mi, że mój ojciec szalał, żeby tylko mnie znaleźć, ale wiedziałam, że lepiej poczekać i porozmawiać najpierw z tobą. Shep opowiedział mi jakąś zwariowaną historię... o indiańskim plemienu, tak? W każdym razie podkreślał, że nikt nie może się dowiedzieć, gdzie jestem. Mówił, że przed kimś

uciekacie.

Jej następne pytanie zabolalo go do żywego, jego własny głos stał się jak cichy szum w tle. Zmysły boleśnie się wyostrzyły.

Nie odpowiedział, więc powtórzyła:

– Jak moja maleńka?

Pozostały mu tylko czyste, surowe doznania. Plastikowe osłonki na kierownicy wbijały mu się w palce. Para na przedniej szybie sprawiała, że zamazały się krawędzie żółtego znaku z nazwą motelu, który wskazał mu Hank. Wygnieciony dół koszuli drażnił mu łądzwie.

Mike odchrząknął z trudem.

– Shep... Shep ci nie powiedział?

– O czym mi nie powiedział?

Ciepło zniknęło z jej głosu.

Mike zmusił się do odpowiedzi:

– Musiałem ją zostawić.

– Zostawić ją? Jak to, zostawić? Kiedy?

Pięć dni, czternaście godzin i siedemnaście minut temu, pomyślał.

– Parę dni temu – odparł szorstko.

– Dni? Powiedziałaś...?

– Annabel, przyrzekam ci...

– Sprawdziłeś później, co u niej?

– Nie... nie mogłem. Nie mogę. Tam były...

– Ona jest sama? Bez ciebie? – Wypowiadane przez nią słowa zaczęły się zlewać, aż stały się niezrozumiałe. Słyszał w słuchawce, że Annabel gwałtownie oddycha. – Wiesz chociaż, że nic jej nie jest? Teraz, w tej chwili?

Wiedział, że waha się zbyt długo.

– Tak – powiedział w końcu.

– Nie. – Jej głos stał się kruchy i cichy, a ton błagalny. – Och, nie.

Gdzie ona jest?

– Hm... – wtrącił Shep.

Mike całkiem zapomniał, że rozmawiają we troje. Dźwięk głosu żony przesłonił wszystko inne. Teraz uwaga Shepa przywróciła go do twardej rzeczywistości.

– Nie mogę... Nie mogę ci powiedzieć – bąknął.

Annabel oddychała ciężko, może się zapowietrzyła. W oddali słyszał pikanie kardiomonitora.

– Co to znaczy? – jęknęła żona.

– Rozmawiasz przez telefon w szpitalu – odparł.

– Nie mogę jeszcze chodzić, Mike – stwierdziła beznamiętnie. –
Więc gdzie indziej miałabym być?

– Nadal nas szukają – tłumaczył. – Ciebie też. Przyszli któregoś dnia do ciebie, żeby dopaść mnie i Kat. Nie wiemy, czy nie podsłuchują cię teraz. Nie mogę ci powiedzieć przez ten telefon.

– Gdzie jest moja córka?

– Mogą podsłuchiwać, zrozum. W tej chwili.

– Shep wie, gdzie ona jest?

– Nikt tego nie wie.

– Tylko ty.

– Odbiorę ją jutro, Annabel. Już prawie się z tego wygrzebaliśmy. Jesteśmy o krok od przygwożdżenia tych ludzi, a wtedy wrócimy do naszego dawnego życia. Jeszcze kilka godzin, kochanie, tylko kilka godzin.

Annabel znowu płakała, rozpaczliwie, bezradnie. Wyobraził ją sobie, raną, przykutą do łóżka, w obcym pomieszczeniu, nafaszerowaną lekami i przerażoną.

Nie wiedząc właściwie, jak tu dotarł, wjechał na parking obok drzwi prowadzących do pokoju Hanka i zaparkował.

– Odbiorę ją jutro – zapewnił żonę. – I przywiozę do ciebie.

– Proszę, tylko mi powiedz, gdzie ona... że ona...

Wyteżył wszystkie siły, żeby jego serce nie zmięкло.

„Nie jesteś mężem?”

– Jutro – oznajmił nieczule. – Wszystko będzie dobrze.

– Muszę wiedzieć – nalegała. Słowa przedłużały się w jęki. – Muszę usłyszeć głos mojej malutkiej.

– Wybacz – powiedział. – Kocham cię. – Gwałtownie przerwał połączenie. – Przepraszam – dorzucił. – Przepraszam, przepraszam.

Poczuł gorąco na szyi, a potem wyżej, na twarzy. Uderzył pięścią w

kierownicę. Raz, drugi, trzeci. Aż zaboląły go kłykcie.

Siedział przez chwilę, dysząc.

Jeszcze kilka godzin, przypomniał sobie. Tylko kilka godzin.

Annabel żyje! Choć wydawało się to niemożliwe, miał teraz jeszcze więcej do stracenia.

Chwycił szarą kopertę i pospiesznie przebiegł do pokoju Hanka.

Zastukał do drzwi.

– Tak, wejść – zawołał detektyw. Drzwi nie były zamknięte na klucz. Mike pchnął je i wszedł do krótkiego korytarzyka, który prowadził do pokoju. Wokół panowały niemal kompletne ciemności, pomieszczenie oświetlał tylko ekran włączonego laptopa, który stał na miniaturowym biurku. Na ekranie był wygaszacz: lawendowa trąba powietrzna wirowała hipnotycznie. Hank siedział na łóżku, odwrócony tyłem do drzwi, ze zwieszonymi ramionami. – Tak, wejść – powtórzył.

Wygaszacz oświetlał pstrokato połowę jego ciała, przez chwilę, póki blask nie przesunął się ku sufitowi.

Mike zatrzymał się w progu i poczuł, że uśmiecha się szeroko.

– Daliśmy radę, Hank – stwierdził.

Gdzieś w ciemnościach rozległo się miauknięcie, później wyłonił się z nich tłusty pręgowany kot Hanka, zbliżył się do Mike'a, otarł o jego nogę, usiadł mu na stopie i zaczął wytrwale lizać sobie przednią łapę.

Mike podniósł kopertę, którą trzymał w dłoniach.

– Wszystko jest tutaj.

Na ekranie wciąż był wygaszacz. Geometryczne światło przesunęło się po dalszej ścianie, po abażurze lampy, po butach Mike'a. Nagle pojawił się w nim fragment wypaczonych desek podłogowych, tuż przed Mikiem, a na nich szlak małych śladów łapek, czarnych, wyrazistych, który ciągnął się od boku łóżka do kota u jego stóp.

Mike poczuł na rękach lodowate ciarki, pełzające w górę, po ramionach, które po chwili pokryły się gęsią skórą.

Upuścił kopertę, równocześnie sięgając za pasek dzinsów, gdzie miał wsunięty rewolwer. Koperta z klapnięciem spadła na podłogę i kot czmychnął, pozostawiając po sobie świeże ślady krwi.

Mike podniósł broń. Celował, obracając się, wyężając wzrok w

ciemności. Hank siedział wciąż nieruchomo jak marmurowy posąg, odwrócony tyłem do wejścia. Wtedy Mike zobaczył na kołdrze obok niego cyfrowy dyktafon. Głos detektywa dochodził z maleńkich głośników.

– Tak, wejść – rozległo się znowu.

Mike przywarł plecami do ściany, ledwie słysząc własne myśli ponad rykiem krwi napływającej mu do mózgu. O mało nie umknął mu cichy szelest, który dotarł z ciemnej łazienki znajdującej się pomiędzy nim a drzwiami wejściowymi. Stał jeszcze przez chwilę w progu, usiłując się skoncentrować, a później powoli, krok za krokiem wszedł do pokoju i ruszył w stronę narożnika z komputerem. Wygaszacz ekranu wysyłał dyskotekowe zmienne światło, ożywiając ściany i sufit, które wyglądały, jakby napełniały się i kurczyły niczym płuca oddychającego człowieka. W rozmytym świetle Mike zauważył kabel sieciowy, który ciągnął się od wyjścia z tyłu laptopa do gniazdka pod biurkiem. Wiedział od razu, pomimo oszołomienia, z całkowitą pewnością, że jego wrogowie właśnie dzięki temu połączeniu wytropili Hanka w motelu, gdy tylko detektyw się zalogował.

Kot niespodziewanie wrócił, powodując szmer, gdy zeskakiwał z przykrytego narzutą łóżka, a Mike równocześnie dostrzegł szybki ruch gdzieś obok zasłon. Odwrócił się o dziewięćdziesiąt stopni i pociągnął za spust, lecz błysk wylotu lufy oświetlił jedynie wiszące na ścianie lustro, na którym właśnie zaczęła się pojawiać pajęczyna pęknięć – w miejscu, w które trafiła kula.

Niestety, Mike za późno usłyszał świst w powietrzu za sobą, a sekundę później upadł, uderzając policzkiem o podłogę.

55

Janine, najstarsza, trzymała gałązkę z kokonem w olbrzymim słoiku po piklach, który pani Wilder postawiła na półce nad kuchennym grzejnikiem w nadziei, że w ciepłe poczwarka rozwinie się w imago. Dziewczynki przed każdym posiłkiem wypatrywały motyla. Podobnych tradycji, chociaż były nieliczne i proste, w tym domu przestrzegano rygorystycznie.

Kat sypiała w czwartej sypialni na materacu ułożonym pomiędzy dwoma piętrowymi łózkami. Sypiała niespokojnie, a ledwo zapadła w sen, już była budzona – rano, gdy współlokatorki deptały po niej, pędząc do łazienki. Dziewczynki, z którymi mieszkała, nie były ani życzliwe, ani okrutne, chociaż w pewnym sensie ich obojętność wydawała jej się jeszcze gorsza. Jak gdyby Kat była niczym więcej niż tylko kolejną niewyróżniającą się istotą w długiej kolejce tych, które pojawiały się pod tym dachem; ciałem, niemal identycznym z tymi, które zjawiły się tutaj przed nią, i tymi, które przybędą tu po niej. Spała zwinięta w kłębek jak szczeniak, a przed śniadaniem układała równo kołdrę, żeby zachować pozór zaścielonego łóżka. Raz uświadomiła sobie, że ze wszystkich sił stara się nie zostawić za sobą żadnego śladu.

Większość dziewczynek chodziła do szkoły, więc za dnia Kat cieszyła się względnym spokojem. Siedziała w salonie, obserwując przez kuchenne drzwi panią Wilder, przesuając się, aby stale mieć ją na widoku, gdy ta przechodziła do kuchenki lub do małego starego biurka, przy którym siadywała, aby zapłacić rachunki. W końcu pani Wilder dostrzegła na sobie wzrok Kat.

– Kochanie – powiedziała – lepiej szybko znajdź sobie coś do roboty, w przeciwnym razie oczy wyskoczą ci z orbit.

Dlatego Kat wstała i poszła do okna wykuszowego, klapnęła przy nim ciężko i zagapiła się na drogę, po raz kolejny przypominając sobie ostatnie słowa, jakie powiedział do niej ojciec, szukając w nich ukrytych znaczeń i niuansów.

„Pomyślisz, że nie dowiem się, jak świetnie sobie radziłaś... na jaką wspaniałą kobietę wyrosłaś”.

W tym stwierdzeniu dostrzegała tak wiele luk, tak wiele szczelin, które mogła wypełnić w dowolny sposób, ponieważ teraz było już za późno, żeby mogła prosić ojca o wyjaśnienia.

„Musisz być twarda. Twoje życie jest w niebezpieczeństwie. Nikt nigdy nie może się niczego o tobie dowiedzieć”.

Więc nazywała się teraz Katherine Smith, pochodziła z San Diego. Byli w San Diego kilka razy, w SeaWorldzie i Legolandzie; Kat mogłaby bez trudu opisać zapach mgiełki unoszącej się nad oceanem. Nikt jednak o nic jej nie pytał, nawet pani Wilder.

„Wrócę po ciebie”.

Nie było w tych słowach żadnej wątpliwości, niczego niepewnego. A może było?

Wpatrując się w sporadycznie przejeżdżające samochody, Kat wytężyła umysł, nie mogła jednak sobie przypomnieć, czy ojciec wspomniał, kiedy wróci. Za dwa tygodnie? Dwa lata? Kiedy Kat będzie nastolatką?

Z zadumy wyrwała ją trzyletnia Kerry Ann, która uderzyła w jej kolano pałką do gry na perkusji. Kat wzięła pałkę i poszła do starego, zepsutego ksylofonu. Spróbowała wygrać na nim piosenkę o małej sierotce Annie, którą ćwiczyła wieki temu ze swoją nauczycielką gry na pianinie, ale teraz jej się nie udało, a poza tym rozpraszała ją Kerry Ann goniąca kota.

Kiedy inne dziewczęta wracały ze szkoły do domu, Kat starała się zniknąć im z oczu. Siadywała wtedy przy oknie wykuszowym, kiedy tamte, uczesane w dwie kitki po bokach, wpadały z tornistrami i snuły rozwlekłe opowieści. Kat swędziała głowa po chemicznej kuracji, którą

zastosowała pani Wilder. Musiała przyznać, że była przyjemnie zaskoczona, że nikt się z niej nie śmiał, kiedy pani Wilder tej pierwszej nocy wczesywała w jej włosy maż; cóż, pewnie wszystkie kiedyś przez to przeszły.

Janine zobaczyła, że Kat wpatruje się w ulicę, i przystanęła obok. Była ładna, chociaż miała nieco wylupiaste oczy.

- Nie marnuj czasu – pouczyła.
- Tata przyjedzie – zapewniła ją Kat. – Przysięgł mi to.

Janine wsunęła język pod dolną wargę i umalowała się jasną pomadką do ust.

– Jeszcze się nauczysz – mruknęła i pobiegła do grupki dziewcząt deliberujących nad słoikiem po piklach.

Ich rozmowa spływała po Kat jak woda po kaczcze, ale co nieco do niej docierało.

- Może wykluje się monarcha.
- Pani Wilder twierdzi, że nie pora na niego.
- Och, bo pani Wilder wie wszystko, co?
- Na pewno wie więcej niż ty.
- Jest wiele gatunków motyli. Poza monarchami są też takie żółte, halloweenowe. Mam nadzieję, że wykluje się żółty, a nie pomarańczowo-czarny.

- Dobrze jak to nie będzie brzydka ćma.

Kat czuła się, jakby słuchała ich spod wody, głosy były zniekształcone, odległe. Przycisnęła nos do szyby. Była teraz tylko ona, Kat, i ulica, a także niema modlitwa – żeby ojciec pokazał się nagle w jakimś ukradzionym samochodzie i z uśmiechem.

W trakcie kolacji Kat robiła wszystko, żeby się nie rozplakać. Żuła i przetykała, wmuszając jedzenie w zaciśnięte gardło. Próbowwała nie wymieniać z nikim spojrzeń, ponieważ wiedziała, że jeśli popatrzy komuś w oczy, natychmiast się załamie i zacznie szlochać, a wtedy już zawsze będą ją nazywać „Katherine Smith, dziewczynką, która beczala przy kolacji”. Skierowała więc uwagę na gałązkę z kokonem. Kiedy współlokatorki wstały i zaczęły sprzątać po posiłku – Kat była odpowiedzialna za sztucce – zobaczyła, że kokon zadrgał.

Zachowała ten sekret dla siebie przez czas wieczornych obowiązków i mycia zębów. Kiedy przygotowała się do snu, odkryła, że któraś z dziewczyn weszła na jej poduszkę brudnymi nogami, bo na poszewce, dokładnie pośrodku, była ciemna smuga. Kat wyszła na korytarz. Pani Wilder siedziała w salonie, gdzie razem ze starszymi dziewczętami oglądała powtórkę *Hannah Montana* – bohater imieniem Jackson sywał sobie akurat płatki zbożowe z pudełka prosto w usta, połowę rozsypując na boki.

– Przepraszam za kłopot – zagaiła cicho Kat – ale czy mogę dostać nową...? Moja powłoczka jest brudna. Mogę dostać inną?

Kilka dziewcząt zachichotało i Kat poczuła na twarzy gorące rumieńce.

– Kochanie, mamy to, co mamy – odparła pani Wilder i odwróciła się z powrotem do telewizora.

Kat stała w miejscu i czuła się głupio.

– Coś jeszcze? – spytała pani Wilder.

– Czy... czy pójdę do szkoły?

– Pracujemy nad tym – odparła kobieta.

– Ja bym na twoim miejscu nie narzekała – wtrąciła się Janine. – To znaczy w sprawie szkoły.

Kat wyszła, a kiedy przechodziła obok kuchni, zerknęła na kokon i zobaczyła, że w jednym miejscu pękł. Wróciła na materac z łomoczącym sercem i odwróciła poduszkę czystą stroną do góry.

Leżała i gapiła się na górujące nad nią z obu stron piętrowe łóżka. Wszystkie młodsze dziewczynki już spały – Emilia nawet trochę pochrapywała – ale Kat nie mogła nawet zmrużyć oka. Później usłyszała trzask wyłączanego telewizora, rozległy się też odgłosy kroków, skrzypnięcia, dźwięki zamykanych drzwi, aż wreszcie nie było słyhać już niczego z wyjątkiem szumu grzejnika.

Leżała jeszcze przez parę minut, ale w końcu nie mogła wytrzymać, więc wyslizgnęła się z sypialni i na palcach poszła do kuchni. Kokon otworzył się i zwisał z gałązki jak uschnięty liść, jednak nigdzie nie było widać motyla. Powoli zaświtało jej, że może motyla wcale nie ma, a to, co omyłkowo wzięła za grubą wypukłość na gałązce, tak naprawdę było

świeżo wyklutą ćmą.

Ćma była brązowa, kędzierzawa i zupełnie przeciętna.

Kat pomyślała o maleńkiej jaszczurce, którą chciała kiedyś zatrzymać i którą zostawiła później w pick-upie, aż tato przyniósł ją w nocy martwą. Pamiętała, jak wyglądała nieżywa jaszczurka, sztywne ciało ślizgało się tępo na ściankach poruszanego słoika. Dlatego teraz, zanim zdążyła się zastanowić, co robi, wsunęła słoję po piklach pod pachę i wymknęła się na podwórko za domem. Czuła gęsią skórkę od wpadającego pod pidżamę zimnego nocnego powietrza. Na ulicy, tuż przy płocie, stał zaparkowany wóz policyjny i na jego widok Kat poczuła się bezpieczniejsza, chociaż wewnątrz nikogo nie było. Na tyłach, za placem zabaw, w rzędzie rosły rzadko posadzone drzewa i Kat nie mogła powstrzymać myśli, jak dużo bujniejsze były te, które porastały jej własne podwórko.

Przypomniła sobie słowa ojca: „Wróć po ciebie”, ale nie pamiętała, jaką miał minę, gdy to powiedział, i po chwili uświadomiła sobie, że wkrótce może w ogóle nie będzie umiała przypomnieć sobie jego twarzy. A później, po jakimś czasie, zapomnia także te słowa – te, które sądziła, że pamięta – i uderzyła ją przerażająca myśl, że pewnego dnia ona naprawdę stanie się Katherine Smith z San Diego.

On przyjedzie, zapewniła sobie raz jeszcze. Przysiągł mi to.

Spojrzała na słoik po piklach, swoją małą tajemnicę, której nikt inny nie znał, i wróciły do niej drwiące słowa dziewcząt: „Dobrze jak to nie będzie brzydka ćma”.

Ćma rozłożyła skrzydełka przy szkle słoja, a Kat nawet w tym słabym świetle docierającym z ulicznej latarni widziała maleńkie wzorki, beżowe na kasztanowym tle, przywodzące na myśl pięknie inkrustowaną podłogę.

Wyobraziła sobie rozczarowanie dziewcząt i ich nieuchronne trajkotanie, gdyby odkryły, że ich motyl jest zwyczajną ćmą. Przesunęła kciukiem po ostrych miejscach na zakrętce – wykonanych śrubokrętem albo nożem otworach, które miały umożliwić „motylowi” oddychanie.

„Jeszcze się nauczysz”.

Kat szybko przekręciła nakrętkę i podniosła wysoko nad głowę

otwarty słoik. Ćma wahała się na bocznej ścianie, a potem zatrzepotała skrzydełkami i wyleciała ze słoika. Dziewczynka obserwowała lot owada kierującego się w stronę pnia najbliższego drzewa, a potem wznoszącego się i wznoszącego, aż ostatecznie zniknął na czarnym jak smoła niebie.

W tej samej chwili nie dalej niż pięć, sześć metrów od Kat, pomiędzy pniami drzew, rozjarzyła się pomarańczowa kropeczka.

Kat zamarła, skupiła wzrok na światełku, nagle zdając sobie sprawę z ciszy, ze swojego odosobnienia, z ciemnografitowego powietrza, które kryło cienie na brzegu podwórza. Wśród późnowieczornych odgłosów usłyszała słabiutki syk palącej się bibułki.

Papieros!

Teraz zniknął.

Kat, nagle spocona ze strachu, z jedną stopą drżącą, częściowo uniesioną nad ziemię, popatrzyła spod przymrużonych powiek na ziarnistą szarość pod zwieszoną gałęzią, nie mogła jednak nic zobaczyć w ciemnościach panujących obok pnia. Ktokolwiek tam stał, na pewno ją dostrzegł. Oddychała nerwowo, gwałtownie.

Żar znowu się pojawił, oświetlając fragment twarzy – krawędź podbródka, policzek, skroń. I kołnierzyk od munduru. Policyjnego munduru. To był mężczyzna, który wysiadł z radiowozu. Kat nie widziała jego rysów i nie miała pojęcia, co on tam robi, skryty w mroku.

„Nikt nigdy nie może się niczego o tobie dowiedzieć”.

Pomarańczowa kropeczka znów zgasła, wraz z twarzą, która zniknęła w głębokich ciemnościach.

Kat odwróciła się i szybko ruszyła w drogę powrotną ku domowi, ale sandał zaczeplił jej się o jakieś wybrzuszenie na asfalcie...

– Och. – Roześmiała się nerwowo, siłąc się na swobodę. – Nie widziałam pana przez cały ten czas.

– Dłuższy niż myślisz – odpowiedział z ciemności cichy, opanowany głos. Te słowa ją zmroziły. – W porządku, kochanie. Jestem policjantem. Patroluję ten teren. Sprawdzam, czy wszyscy są bezpieczni. Jesteś tu nowa, prawda? Jak się nazywasz?

Zmusiła się do otwarcia ust i udzielenia mu odpowiedzi.

– Katherine Smith.

Udało jej się przywołać na twarz grzeczny uśmiech, a potem zrobiła krok w tył, jeden, później kolejny.

– Poproszę o jeszcze jeden ładny śmiech.

Wtedy oślepił ją blask flesza.

Odwróciła się i popędziła do budynku. Z wysiłku niemal nie mogła złapać tchu, więc płuca jej płonęły. Coś w samym biegu zwiększyło jej przerażenie, więc pędziła na oślep, bez opamiętania.

Czuła ból ścięgien w kostkach u nóg, gorący oddech rwał jej się w piersi. Szlak do trawnika, około pięćdziesięciu metrów, mógł równie dobrze mieć kilometr. Kiedy dotarła do tylnych drzwi, stanęła z ręką na klamce, dysząc, aż w końcu zaryzykowała i spojrzała za siebie. Podwórce było puste.

Chwilę później przy krawężniku rozległ się odgłos uruchamianego silnika. Wóz policyjny ruszył, a jego reflektory oświetliły najpierw płot posesji pani Wilder, potem zaś puste już miejsca pomiędzy pniami.

56

Najpierw pojawiło się uczucie. W głowie Mike'owi tak mocno tętniła krew, że zaczął mieć obawy, czy jego mózg lada chwila nie eksploduje. Na języku miał piasek. Twarz uciskała mu jakaś plastikowa płytka obita skórą, gniotąc policzki. Wraz z każdym wdechem wciągał w usta zapach zgnilizny.

Nagle rozległ się dźwięk, dziwny, wygłuszony, jak gdyby docierał przez filtr. Rozlewana woda. Szuranie buciorami.

– Znam się na technikach – powiedział William. – Znowu oglądałem przesłuchanie przed Senatem w telewizji C-SPAN. A dlaczego pytasz? Co preferujesz?

– Palce – odrzekł po chwili Dodge.

– Kłykieć po kłykiu, kosteczka po kosteczce, jak w *Sprawie Sharky'ego*? Nie, powinniśmy spróbować tego, co proponowałem. To było w końcu udoskonalone przez wojsko, zgadza się?

Te zdania wydawały się Mike'owi bezsensowne i w żaden sposób niezwiązane z nim. Miał wrażenie, że słucha radiowego słuchowiska z dawnych czasów, że fikcyjne postaci dyskutują w jego obecności o fikcyjnych sprawach. Zmusił się do uniesienia powiek. Ruch ten, chociaż pozornie nieznaczny, spowodował taki ból w głowie, jakby ktoś wbijał mu w nią sztylety. W końcu jednak coś widział. Czuł się jak ktoś odrodzony, kto odzyskuje stopniowo po jednym zmyśle.

Przez jakiś czas pokój wirował mu przed oczami i powoli zaczęło mu świtać, że leży na wznak na jakiejś pochylni, a twarz odwrócono mu na bok. Minęło kolejne kilka minut, zanim jego wzrok przywykł do pół-

mroku i wyostrzył się na tyle, że mógł skupić się na białej plamie odległej od niego o półtora metra i wpatrującej się w niego. Była to twarz Hanka, która wyglądała jak maska pośmiertna, tak pobladła, że aż ziemiście biała. Wargi mężczyzny były posiniaczone, cętkowane, wysuszone jak gdyby do ostatniego pocałunku.

W głowie Mike'a pojawiło się nieoczekiwanie imię córki, wręcz w nim wybuchło – Kat!

Muszę całkowicie wymazać z mózgu wspomnienie miejsca jej pobytu, pomyślał, tak żebym nie miał im nic do powiedzenia bez względu na to, co mi zrobią.

Kiedy się poruszył, poczuł ogień w piersi i ramionach. Ręce miał związane z tyłu, na plecach, na wysokości bioder. Głowa wciąż strasznie go bolała. Pokręcił nadgarstkami i – mimo zamroczenia – wyczuł, że sznury, które ocierają się o jego obolałą skórę, prawdopodobnie są z tkaniny. Leżał głową do dołu, chyba pod kątem czterdziestu pięciu stopni, nad głową dostrzegając swoje kolana. Uda mu płonęły, a łydki i stopy miał przywieszane do jakiegoś ustrojstwa. Stopniowo odkrywał, że został przymocowany do pochylej ławki służącej sportowcom do tak zwanych brzuszaków.

Nadal słyszał głosy, jakby ciche dudnienie. Czyżby Dodge i William stali za nim?

Z wielkim wysiłkiem odwrócił głowę, przesunął spojrzeniem po ciemnym suficie, aż w końcu patrzył w przeciwną stronę. Ustalił, że znajduje się w dużym betonowym sześcianie, prawdopodobnie piwnicy, a jedyne światło wpada przez otwarte drzwi z drewnianych schodów. Pomiedzy nim a schodami stał Dodge, chociaż Mike widział tylko część jego ramienia, policzek i czoło. Zamrugał jeszcze kilka razy i wreszcie piwnica stała się lepiej widoczna. Zauważył, że obok wielkoluda z ciemności wyłonił się William. Mężczyźni tkwili blisko siebie i wyraźnie się nad czymś naradzali. Spojrzenie Mike'a przyciągnął kwadrat grubego płótna rozłożony na betonowej podłodze, na którym leżały narzędzia niczym przyrządy na metalowej tacy. Za kwadratem płótna zauważył ogromną, staroświecką drewnianą balię używaną w Halloween do gry w łowienie jabłek ustami. Ciemna woda wypełniająca balię

po brzegi wyglądała złowrogo.

Drobiny kurzu drżały w snopie światła padającego z otwartych drzwi na parterze.

– Och, obudziłeś się – ucieszył się William, podchodząc do niego powoli i chwiejnie. W każdej dłoni miał pusty plastikowy dzbanek na mleko.

Mike odwrócił głowę – wykonując jedyny ruch, do którego był w tej chwili zdolny – i znów znalazł się twarzą w twarz z martwym Hankiem. Zwłoki detektywa były ułożone pod dziwnym kątem, szyję miał skręconą, dolną połowę jego ciała już owijał plastikowy brezent. Spod brezentu sterczała jedna stopa, przetarta czarna skarpetka od garnituru wyglądała w tym otoczeniu niepokojąco. Powyżej, na kostce widać było pas luszczącej się białej skóry – dowód kruchości tego życia, wszelkiego życia, które, mimo potu, wysiłku, najlepiej przygotowanych planów, mogło się skończyć właśnie w taki sposób, w pozbawionej okien piwnicy, w płachcie brezentu.

Obok ciała Hanka Mike dostrzegł drugi kawał brezentu, który – jak natychmiast zdał sobie sprawę – musiał być zarezerwowany dla niego.

Kiedy się odwrócił, zamajaczył nad nim Dodge. Owijał sobie wokół dłoni nieduży frotowy ręcznik. Koszulę miał rozpiętą, jej poły odrzucone w tył, widoczny był podkoszulek, znoszony i sprany, tak spłowieły, że niemal przezroczysty. William kucnął, wydał z siebie krótki, bolesny jęk, a następnie zaczął wypełniać półlitrowe dzbanki wodą z balii. W panującej ciszy słychać było odgłosy bąbelków – powtarzalne, słabe, niczym z komiksu: glug, glug, glug.

– No dobra – jęknął Mike, nadal starając się zrozumieć, co go czeka.
– W porządku.

William wstał, w każdej ręce trzymał ociekający wodą dzbanek.

Mike – wpatrując się w górujące nad nim dwie twarze, wycofanego Dodge'a z błyszczącymi oczami na szerokiej twarzy oraz zgarbionego Williama, pragnącego osłonić gorszy, lewy bok, w ich włosy, zarosty i zaciśnięte usta – poczuł, jak coś w nim pęka i płonie.

– Usłyszałem o tobie wiele lat temu – odezwał się William. – Od mojego wujka Lena. Byłeś jedynym, który uciekł. Szukali cię. Nie zna-

leżli. Boss Man w końcu zrezygnował. Przestał cię szukać. Przestał się tobą przejmować. Uznał, że obojętnie, kim jesteś, obojętnie, jakie życie prowadzisz, nigdy nie poskładałeś faktów do kupy. Ale potem twój kumpel, Dwa Jastrzębie, wsadził kij w mrowisko, bo dowiedział się o tobie, odkrył twoje nazwisko w tym raporcie genealogicznym. Boss Man złapał ślad i zgadnij, co się zdarzyło. Tak, tak, znalazłeś się znowu w sferze zainteresowania naszego szefa, Boss Mana. – Podeszedł. – To zdjęcia przedstawiające Teda Rogersa, gnojka, który kradł dokumenty dla wodza Dwa Jastrzębie. – Wyjął fotografie z tylnej kieszeni, pokazał je Mike'owi i czekał, aż dobrze im się przyjrzy. Na zdjęciach była miękka różowa skóra mężczyzny w średnim wieku poddawanego różnym torturom w tej samej piwnicy, w której teraz byli. Po obejrzeniu kilku zdjęć Mike miał dość, odwrócił głowę i się zakrztusił. William pochylił się nad nim i stał mu nad głową. – Mój wujek popracował troszkę nad twoim tatkiem. Oj, przez co twój biedny tatko musiał przejść! Przy jego cierpieniach to tutaj – Machnął zdjęciami – to łaskotki. Ale wiesz co? Po co ja tyle gadam, skoro po prostu mogę ci wszystko pokazać.

Groza przeszła go jak ostrze.

– Okay – kontynuował łagodnie William.

Dodge rzucił Mike'owi na twarz mały ręcznik frotté.

Mike szarpnął się, instynktownie wciągnął powietrze i ręcznik natychmiast przykleił mu się do ust. Wyczuł, że William pochyła się nad nim i nagle ręcznik zrobił się mokry i ciężki. Woda napłynęła mu do nosa, najpierw w postaci powolnej strużki, później William musiał chlusnąć na ręcznik, odcinając Mike'owi dopływ tlenu. Efekt był natychmiastowy, potężny, straszliwy. Mike ciskał się i wył, potrząsając z całych sił głową, jednak ręcznik przywierał do jego twarzy szczelnie jak warstwa folii. Płuca i gardło kurczyły się w bolesnych i zupełnie bezużytecznych spazmach. Akurat kiedy pomyślał, że przyjdzie mu się tutaj udusić, ręcznik zniknął, a on łapał gwałtownie powietrze, wręcz się nim dławiąc. Dodge gapił się na niego z góry, woda z ręcznika kapiała na podłogę.

Mike'owi ramiona trzasnęły w stawach i uprzytomnił sobie, że pod-

ciągnął się do pozycji siedzącej. I że krzyczy! Wiercił się na ławce, jedną nogę miał oplataną, ławka kołysała się na dwóch nóżkach, wydając stukot jak kopyta konia przechodzącego po bruku. Mike zsunął się na podłogę, uderzając w nią ramieniem, i leżał tam, wyczerpany, obolały, częściowo oślepiony z bólu.

Dodge pochylił się i podniósł go, lekko niczym wypełnioną jedzeniem reklamówkę ze spożywczaka, po czym ponownie położył go na ławce, przesuwając jego nogi i tułów z okrutną skutecznością, całkowicie pochłonięty zadaniem. Równie dobrze mógłby nawlekać igłę albo wiązać sobie buty. Kiedy zamocował na jego stopach ochraniacze, Mike wierzgał, próbując znów usiąść, niestety, jego wysiłki nie zdawały się na nic; Dodge przyłożył kciuk do jego piersi i pchnął go z powrotem na pochyłą deskę. Krew znów napłynęła Mike'owi do głowy, klatka piersiowa pod naciskiem to się unosiła, to opadała.

Dodge skończył mocować jego stopy i zabrał kciuk z jego piersi. Mike szaleńczo łapał powietrze, bolały go żebra.

– Masz informację, której nie chcesz nam przekazać, zgadza się? – spytał William. – Dlatego, jak widzisz, musimy wydobyć ją z ciebie siłą. Nie będzie to łatwe... ani dla ciebie, ani dla nas. Po prostu musimy przez to wszystko razem przejść, i tyle.

Mike'owi z ust wyrwał się jakiś zniekształcony dźwięk.

William nerwowo strzelał oczami to w lewo, to w prawo, po jego wzroku można by sądzić, że jest niepewny lub się waha, lecz wcale tak nie było.

– Gdzie jest Katherine?

– Nie wiem, gdzie Kat... – zaczął Mike.

William ukląkł nad balią, krzywiąc się z bólu. Glug, glug, glug – rozległ się odgłos zapowiadający rundę drugą.

Teraz Mike wiedział na pewno, że umrze. Musiał tylko wymyślić, czym ich sprowokować, jak ich skłonić, żeby zabili go jak najszybciej, zanim uda im się przekroczyć granicę jego wytrzymałości. Wyobraził sobie córkę w miejscu, w którym ją zostawił, siedzącą na ławce przed domem zastępczym; jej rozwiązane sznurowadła szurały na asfalcie. „Proszę, tato!”.

– Wiemy, że chciałeś zapewnić Katherine bezpieczeństwo – ciągnął William. – Że chciałeś ją gdzieś ukryć. Ale, widzisz, Boss Man jej potrzebuje, sam rozumiesz, ty i ona musicie zniknąć z jego świata.

– Shep dostał wasz adres od Grahama – powiedział Mike. – Jeśli nie skontaktuję się z nim za jakiś czas, zadzwoni na policję i skieruje ich tutaj.

William pokręcił głową z wyraźnym rozczarowaniem. Później skinął nieznacznie i frotowy ręcznik znów spadł na głowę Mike'a. Ten zrobił paniczny wdech i ręcznik ponownie przykleił mu się do warg i nozdrzy. Wtedy William zaczął powoli łać wodę, niewielką strużką, która stawała się coraz intensywniejsza, aż Mike poczuł, że tonie, że zaraz się utopi. Nie mógł już wydobyć głosu, więc milczał. Mięśnie ud płonęły mu, lecz kiedy spróbował się unieść, powstrzymał go mocny kciuk Dodge'a, więc opadł z powrotem na plecy. Czuł ogień i trudny do zniesienia ból, a ręcznik wsysał się w jego usta niczym jakieś morskie stworzenie, wypychając mu jego własny oddech z powrotem do krtani, tchawicy i w dół.

Wreszcie udało mu się wciągnąć do płuc tlen, a na jego twarzy pojawiło się światło. Trzepotał powiekami, kiedy William nachylał się nad nim, aż Mike poczuł jego kwaśny oddech tuż przy swoim policzku.

– Wiem, wiem, stary. Tak mi przykro. – William przypatrywał mu się z bliska. Jego rysy wydawały się łagodne, spojrzenie empatyczne. – Sam rozumiesz, jestem w tym mistrzem. Doprowadziłem wielu ludzi na skraj załamania. Byłem już w takiej sytuacji wcześniej, a ty nie. Dlatego wiem, kiedy ludzie kłamią, znam te wszystkie historie, które wymyślicie. Jestem specjalistą, więc mam świadomość, że istnieją pewne prawidłowości... pewne wzory zachowań, rozumiesz? Kłamliwe odpowiedzi, obiecywane pieniądze, wzmianki o przyjaciółach, którzy zadzwonią po gliniarzy.

– Och, dobrze... – wydyszał Mike. – Skłamałem w sprawie Shepa.

– No to gdzie jest Katherine?

– Nie... nie wiem.

William podniósł świeżo napełniony dzbanek.

– Gotów na następną rundę?

– Nie – powiedział Mike. – Nie, nie, nie!

Ale nie posłuchali. Równy napływ wody do jego nozdrzy, gardło dławiące się z braku powietrza – groźba ognia piekielnego, jakby przeniesiona z dawnych, barbarzyńskich czasów. Gdzieś pomiędzy bezgłośnym krzykiem i utratą przytomności zadziałał instynkt, kształtowany od wczesnego dzieciństwa, i Mike oderwał się od rzeczywistości, od tu i teraz.

Zdało mu się, że opuścił własne ciało i stanął z boku, obserwując zdarzenia. Stał się nieczuły. Był tylko zbiorem elementów, kości i ciała. Był skałą. Niemyślącą. Niczego nieodczuwającą.

Kiedy Dodge spróbował zabrać ręcznik, Mike zacisnął na nim zęby i zdołał kawałek rozerwać.

William zareagował wybuchem śmiechu.

– On gryzie? – spytał Dodge, podniósł pięść i uderzył ofiarę w czoło ruchem tarana walącego w drzwi. Gdy Mike otworzył usta, wielkolud wydarł ręcznik z jego szczęk.

– Zadziorny, co? – spytał William.

Mike zacharczał i z ust pociekła mu woda. Ponieważ leżał na pochyłości, woda popłynęła na czoło, policzki, oczy, włosy. Potem zaczęła kapać na beton.

– Gdzie jest twoja córka? – spytał William.

– Nie mam córki – odrzekł Mike i coś w jego głosie kazało tamtemu się odsunąć, może go zaszokowało, może nawet przeraziło.

Dodge zmarszczył brwi, zniecierpliwiony, a William szarpnął głowę Mike'a i chuchnął. Paskudna woń ogarnęła Mike'a i przez dobrą minutę sądził, że zwymiotuje. Potem jednak zrozumiał, że smród, który czuje, pochodzi od zwłok Hanka, nasila się w wilgotnym powietrzu piwnicy.

Przetrwiał następną rundę. I kolejną. Wolałby umrzeć, ale właśnie o tym im chodziło, żeby marzył o kulce w głowę, której by mu odmówili. A później znów przywrócili do życia. I znowu.

Kiedy po jakimś czasie na powrót wszedł we własne ciało, sapał ciężko, a William i Dodge stali obok siebie z ramionami założonymi na piersi. William wyglądał na sfrustrowanego, co w innych okolicznościach ucieszyłoby Mike'a. Z ręki Dodge'a zwiślał mały ręcznik, który teraz wyglądał jak szmata; Mike z zadowoleniem zauważył, że ręcznik

jest podarty w wielu miejscach – prawdopodobnie wielokrotnie go gryzł. Odór bijący od ciała Hanka był teraz silniejszy, zmieszany w tym dusznym pomieszczeniu ze smrodem potu i strachu. Mike, ułożony głową do dołu na ławce do ćwiczeń, wykrztuszał wodę ustami i nosem, gardło miał zdarte, w piersi czuł nieprzerwany ból. Jego ramiona były zdrętwiałe, podobnie pośladki.

Dodge wyjął dwa papierosy i oba włożył sobie w usta, jeden obok drugiego. Wygrzebał z kieszeni koszuli tanią plastikową zapalniczkę i zapalił papierosy, z przyzwyczajenia pochylając głowę do osłoniętej dłoni. Podał jednego papierosa Williamowi, który zaciągnął się mocno, długo, z zamkniętymi oczami.

– Ale tu, kurwa, śmierdzi. – William otarł ramieniem pot z czoła. – Zanim przejdziemy dalej, powinniśmy ustalić taktykę z Boss Manem. – Jego lewa noga drżała. – Pójdę po telefon.

Poczłapał do schodów, wspiął się na nie ciężko, wrócił kilka minut później. Chodzenie wyraźnie stawało się dla niego coraz trudniejsze. Schodził po schodach gorzej, niż wszedł, bo ciągnął za sobą stopę, stawiając ją palcami do środka. Gdy dotarł do ławki, przycupnął i przyłożył Mike'owi słuchawkę do ucha.

– Jest w domu jakiejś rodziny zastępczej, prawda? – rozległ się spokojny głos Briana McAvoya.

– Kto? – spytał Mike.

Wymówiona sylaba drapała go w gardle jak pazur.

McAvoy się roześmiał.

– Wiesz, jakie pieniądze są do stracenia. Więc domyślasz się, że będziemy dokładni, sprawdzimy wszystkie rodziny zastępcze, aż do ostatniej, w całym stanie. A gdy skończymy w naszym, przeniesiemy się do następnego stanu. I do kolejnego.

– Więc w tym wszystkim – wychrypiał Mike – chodzi o pieniądze?

– Myślisz, że to tylko kasyno? – odparł McAvoy. – Jestem narodem! Stworzyłem coś, czego dotąd nie było. Moja córka wyryła swoje inicjały na stopniu schodów, kiedy wylewaliśmy fundamenty. Wiem, co myślisz. Że twoje życie i życie twojej córki to wielka sprawa. Czymże są jednak drobne straty, gdy chodzi o tworzenie narodu? Nie mamy wy-

boru. To nie jest moja wina, nie bardziej niż twoja. Ani wina Katherine. Więc załatwmy tę sprawę jak mężczyźni, którzy muszą podjąć decyzję. Oto moja propozycja: powiesz nam, gdzie ona jest, a my rozegramy to po ludzku. Postąpimy z tobą humanitarnie. I, co ważniejsze, z Katherine.

Mike oddychał w słuchawkę płytko, krótko.

– Nie – odparł.

– Znajdziemy ją tak czy inaczej. Ale ty mógłbyś oszczędzić jej przykrego losu pomiędzy teraz a potem.

– Nie.

– Więc jaki jest twój plan? – spytał McAvoy. – Zamierzasz przetrzymać wszystko, co zrobią ci moi ludzie?

– Tak.

– Pokonasz ich siłą woli?

– Jasne.

Rozległ się rechot. McAvoy bez wątpienia zamierzał traktować go lekceważąco, lecz w tym śmiechu Mike usłyszał również zaskoczenie.

– A potem? Co potem?

– Będziesz następny – obiecał mu Mike.

Zapadło milczenie i trwało bardzo długo.

– Powiedz Williamowi – odezwał się w końcu McAvoy – że chciałym z nim pomówić.

Mike odwrócił głowę i spojrzał na kalekę.

– Chce... z tobą... mówić.

William wziął telefon. Staął w miejscu ze słuchawką, papieros dyndał mu spomiędzy warg.

– Aha, tak, aha.

Zamknął telefon i rzucił go Dodge'owi, a ten wsunął go do kieszeni bojówek. Wymienili spojrzenia, a później wielkolud kucnął, podniósł z czystego kwadratowego kawałka płótna młotek z kulistą główką i uderzył nim lekko w dłoń drugiej ręki.

– Może pozbędziesz się najpierw naszego przyjaciela, który tam leży – zaproponował William. – Na jego widok w oczach stają mi łzy.

Dodge podszedł, szurając, zawinął zwłoki detektywa w dodatkową warstwę plastikowego pokrycia i wziął ciało na ramię. Mike popatrzył na

pozostały brezent, ten, który być może wkrótce zajmie on sam.

– Zostaw mi szmatę – polecił William. Dodge rzucił mu ręcznik i William przytrzymał go przed twarzą, a jego małe oczy i pstrokatą brodę widać było przez wydarte otwory. Mężczyzna dmuchnął w ręcznik papierosowym dymem. – Hm, już na nic nam się nie przyda.

Dodge zamachał ciałem Hanka i rzucił je na podłogę, aż zawibrowała ławka, na której tkwił Mike. Zdarł z grzbietu koszulę i zamoczył ją w balii z wodą, mięśnie jego pleców i bicepsy napięły się pod podkoszulkiem. Po drodze do zwłok Dodge rzucił mokrą koszulę na twarz Mike'a.

Ciemności! Mike zdążył zrobić wdech, zanim koszula spadła, i teraz walczył z mokrym materiałem, odpychając go ustami i językiem. Odychanie było trudne, ale ponieważ na koszulę nikt nie lał wody, udało mu się złapać trochę powietrza.

– Wiesz, zastanawiam się – dotarł do niego z góry głos Williama – czy kiedy skończymy z tobą, zobaczysz mojego brata. Jeśli tak, powiedz mu, że przepraszam. Powinienem być lepiej o niego dbać, tak jak on dbał o mnie. I powiedz mu, że to my cię do niego wysłaliśmy.

Usłyszał, jak ciężkie buciory Dodge'a się oddalają. Schody skrzyślały, gdy Dodge wchodził po nich z ciałem detektywa.

Później rozległ się dźwięk strzelających stawów, gdy William ugiął kolana, bez wątpienia kucał przy balii – Mike wiedział o tym, bo za chwilę znów usłyszał glug, glug, glug napelnianego dzbanka po mleku. Z piętra dobiegł stłumiony dzwonek telefonu, a chwilę później chrobotanie faksu.

– Hej, zobacz! – zawołał z góry Dodge i coś miękkiego upadło na podłogę piwnicy.

Odgłos wygładzania pogniecionej kartki, a potem ostry i nieprzyjemnych wybuch śmiechu, który wymknął się Williamowi.

– No, no, no. Tylko popatrz. Dobra, ty nadal zajmuj się ciałem, a ja poinformuję naszego przyjaciela tu, w piwnicy, o najnowszych zdarzeniach. Później wrócimy do naszych spraw.

Dodge zaczął chodzić po piętrze, słychać było nad głową jego ciężkie kroki, później trzasnęły siatkowe drzwi, gdy wielkolud wyszedł na zewnątrz. Mike nadal walczył z koszulą. Zaciskał zęby na tkaninie,

dmuchał na nią mocno i od czasu do czasu udawało mu się wessać do ust nieco powietrza. Potem czekał, aż koszula opadnie mu na twarz, i zaczynał od nowa.

– Muszę ci coś pokazać – oznajmił William śpiewnym głosem, po czym znowu wybuchnął śmiechem. – Wygląda na to, że jakiś gliniarz, który był mi dłużny przysługę, natknął się na coś ciekawego. A dokładniej mówiąc, znalazł pewną dziewczynkę. W pewnej rodzinie zastępczej. Był tak miły, że przefaksował nam zdjęcie, i czeka na potwierdzenie, czy właśnie jej szukamy. Zanim... no wiesz, osiodłamy konie i popędzimy do... Arizony.

Mike'owi znów zapłonęła pierś, a później kończyny, tym razem z przerażenia. Zjeżyły mu się wszystkie włosy i ogarnęła go straszliwa wściekłość. Z ciemności wyłoniły się obrazy: Dodge i William jadący pick-upem, porywający Kat z placu zabaw; jej małe ciało walczące w panice.

Skupił się znów na wilgotnej koszuli. Kilka kropeł spadło na tkaninę, zwiększając nacisk na jego nos. Później woda zaczęła kapać szybciej, aż popłynęła rzadkim strumyczkiem; William najwyraźniej bawił się z nim.

– Chcesz zobaczyć? – Uniósł koszulę z twarzy Mike'a.

Uśmiech wykrzywił mu usta, z których wciąż wystawał papieros. – Ta-dam!

Mike dostrzegł błysk papieru faksowego w dłoni Williama – zdjęcie przedstawiało Kat na podwórku za domem rodziny zastępczej. Zostało wykonane w nocy przy użyciu lampy błyskowej, dziewczynka cofała się przed fotografem, przestraszona, jej skóra pobladła i wydawała się chorobliwie biała.

Mike oddychał przez nos, nozdrza mu płonęły, usta się zaciskały, na języku czuł kwaśny płyn.

Smuzka dymu papierosowego musnęła jego twarz, William spojrział w dół, żeby sprawdzić, co wypadło z wilgotnej koszuli i upadło z brzękiem na beton.

Tania plastikowa zapalniczka.

Przegryziona.

Żar jego papierosa rozpalił się, bo wstrząśnięty William bezwiednie

się zaciągnął, po czym uniósł wzrok dokładnie wtedy, gdy Mike zerwał się i wypłuł płyn z zapalniczki, trafiając Williama w twarz.

Papieros wybuchł jak fajerwerk, żar opadł Williamowi na oczy i brodę, jedna strona jego twarzy złapała ogień. Kosmyki włosów i zarost od razu zapłonęły i zaskwierczały, pojawił się gryzący smród. William krzyknął, wydając z siebie dziwny, przenikliwy, kobiecy lament, i ruszył na oślep ku balii z wodą, upuszczając wydruk z faksu, również płonący, który sfrunął na podłogę.

Mike uniósł się na pochyłej ławce, a kiedy William włożył głowę do wody, żeby ugasić ogień, zerwał się w dół, do przodu, celując w ramiona przeciwnika. Ławka opadła wraz z nim, bo ochraniacze przypięte do jednej łydki nie puściły.

William wierzgał i walczył, a Mike przyciskał go całym ciężarem, nie pozwalając mu unieść głowy nad wodę. Ponieważ Mike nie mógł użyć rąk, wkrótce William się wyslizgnął i runął na plecy, bełkocząc i lamentując. Mike również się przetoczył, tak że brzeg drewnianej deski wbijał mu się teraz w bok, a później szarpnął się ku kwadratowi grubego płótna. Wciąż miał związane ręce i paski boleśnie wbijały mu się w nadgarstki, więc mógł tylko gmerać po omacku za plecami, licząc, że trafi na jakieś narzędzie, metalowy uchwyt albo gumowe rączki. William skręcał się na podłodze, miotał i przykrywał dłońmi oczy. Mike'owi w końcu coś wbiło się w palec, więc wyciągnął się mocniej i złapał ostrze, chociaż opuszkę kciuka miał przeciętą. Ignorując mrowienie palców, odwrócił nóż i próbował przeciąć nim skórzane więzy. Przez cały czas spoglądał w panice to na Williama, to na drzwi na szczycie schodów.

Kaleka właśnie cicho podniósł się do siadu. Jedno oko miał otwarte, część ust i zarostu – spaloną, wśród czerwonego mięsa i czarnych, skręconych włosów widać było zęby. Zdołał się podnieść i chwiejnie ruszył na Mike'a.

Ten zakołysał się, próbując zwiększyć nacisk ostrza i przyspieszyć cięcie. Barki go bolały, ramionami targały skurcze i ledwie mógł utrzymać nóż. William był już prawie nad nim. Nie było już czasu, więc Mike przewrócił się na bok, zgął nogi i starał się precyzyjnie przeguby dłoni pod stopami, tak by znalazły się przed nim. Więzy utknęły na

podeszwach jego butów, więc szarpał coraz mocniej, aż udało mu się przecisnąć ręce. Ledwo zerwał się na nogi, gdy William się zamachnął. Mike zrobił unik, a obiema związanymi rękami złapał za tył koszuli napastnika i szarpnął w górę, zamierzając narzucić mu ją na głowę; to była stara uczniowska sztuczka. Zacisnął dłonie w pięści, przycisnął je do siebie i walił nimi w dół, prosto w twarz Williama. Strużka krwi spłynęła na beton i kaleka padł na czworaka na płótno. Mike wykręcił sobie ramiona na bok, napinając mięśnie najmocniej, jak mógł. Skórzane paski ostatecznie puściły, rozdzierając się z hałasem. W tej samej chwili William zdołał się podnieść i wbił Mike'owi nóż w bok.

Ruch był niespodziewany, zadany w milczeniu i gładki, a Mike poczuł jedynie napór, lecz nie ból. Jakby patrzył na rekina tnącego wodę.

A potem William szarpnął nożem.

Odczucie było potworne. Mike wygiął się w łuk jak ryba na haczyku. Jego lewy bok przeszył nagły ból, tak gorący i dotkliwy, że przez chwilę pomyślał, że jakimś sposobem teraz to jego ciało zapłonęło.

Zatoczył się w tył, robiąc krok, później kolejny, a William wciąż był przy nim, wciąż trzymał w ręce nóż, sapał, aż unosiły się zwęglone kępki zarostu wokół jego warg. Po chwili dźgnął nożem po raz drugi, a Mike odskoczył, tym razem odczuł ból tak straszliwy, że krzyknął. William cofnął się, wyciągając nóż z jego boku, a Mike zdołał w tym czasie rozpiąć pasek u spodni i owinąć sobie pięść miękką skórą. William zaatakował znowu, robiąc ku niemu wypad, tym razem jednak Mike się uchylił, znów odskoczył i smagnął Williama wystającą sprzączką paska, trafiając go w boczną część szczęki. William nie zdołał ustać na chromej lewej nodze, potknął się i upadł, lądując na kolanie. Mike przeciągnął pasek przez sprzączkę, tworząc pętlę, którą narzucił Williamowi na szyję. Zaciskając pasek jak kolczatkę, dusił przeciwnika, który dławił się i wrzeszczał, a Mike ciągnął go po podłodze w stronę płótna. Stawiany przez Williama opór pogłębiał rozdzierający ból, który Mike czuł w boku, aż ugięły się pod nim kolana. William wykorzystał sytuację, szarpnął palcami pasek przy szyi i zdołał go poluźnić. Kiedy się odwrócił, żeby natrzeć na przeciwnika paznokciami, Mike chwycił pierwsze narzędzie, jakiego mógł dosięgnąć, płaski śrubokręt, który

natychmiast wbił Williamowi w lewe kolano, miażdżąc kruchą kość. Męczyzna zawył, żyły po obu stronach szyi mu nabrzmiały, a on sam zwinął się w kłębek na podłodze, kaszląc i płacząc.

Trwało to kilka minut, lecz w końcu Mike zdołał wstać. Przesząpił nad leżącym Williamem i ruszył ku schodom. Przypadkowo musnął łokciem ranę, z której od razu trysnęła krew i pociekła mu po udzie. Zauważył, że pozostawił szkarłatny odcisk stopy na dolnym stopniu. Zrobił parę kroków w górę, po schodach, o mało nie tracąc przytomności. Dla równowagi przycisnął zakrwawione kłykcie do ściany, po czym ciężko usiadł.

Odplynał myślami i dryfował w przeszłość, wrócił do czasu spędzonego przy Shady Lane. Charles Dubronski czeka w ciemnościach, głowa o tępej twarzy małego tyrana sterczy na korpulentnej szyi, ale tym razem Dubronski łypie nie na Shepa, lecz na niego, Mike'a. „Leż, pieprzone, chuchro. Leż”.

A jednak Mike jakimś sposobem znalazł się na szczycie schodów. Potykając się, dotarł do pobożowiska, które kiedyś było kuchnią. Zdumiony patrzył na światło dzienne wsączające się przez zakurzone okna. Zapach starego tłuszczu stanął mu w gardle. Każdą powierzchnię pokrywały gnijące owoce, brudne garnki i inne naczynia, a także buteleczki z tabletkami – tych ostatnich były dziesiątki. W pomieszczeniu nie było jednak Dodge'a. Budynek wydawał się osobiwie opustoszały. Jednocześnie Mike miał wrażenie, że ściany zachowały coś jakby zapach długo mieszkającej tu starej kobiety. Łuszcząca się kwiecista tapeta. Wykonane w dawnych czasach i umieszczone w ramkach z różowej porcelany fotografie. Bukieciak sztucznych kwiatów, oblepiona brudem kokarda z kraciastej bawełny. Mike oparł się o stół, wzniecając w powietrze zalegające blat skrawki papieru i przewracając stertę starych gazet. Na stole leżał jego batphone, niestety, rozłożony na części pierwsze. Po pytaniach, jakie zadawali, Mike już wcześniej poznał, że Dodge i William nie zdołali w telefonie znaleźć informacji, których szukali. Rozejrzał się, poruszając na boki ciężką jak z ołowiu głową, szukając innego aparatu. Podłączona do gniazdka ładowarka była bez telefonu, zresztą od razu sobie przypomniał, że Dodge wsuwał komórkę

do kieszeni. Dysząc, oparł się o kuchenny blat i na linii wzroku dostrzegł faks – usadowiony na górze popękanej kuchenki mikrofalowej.

Faks nie miał funkcji telefonu, a na kartce w podajniku Mike zauważył numer własnego ubezpieczenia i kolejny kod – tym razem „FST14U”. Złapał kartkę, na której jego palce pozostawiły krwawe smugi. Pod nią, w podajniku, czekała na przefaksowanie następna wiadomość z numerem innego ubezpieczenia – prawdopodobnie Hanka – i jeszcze jeden kod: „6D8BUG”. Mike miał mętlik w głowie i pomyślał tylko: więc to koniec.

Jęki Williama zbliżały się, mężczyzna bez wątpienia wdrapywał się już po schodach, ale Mike nie wierzył, żeby udało mu się pokonać wszystkie stopnie i wejść na parter. Kiedy odwracał się w stronę wyjścia, zobaczył wśród zawałających stół papierów dużą szarą kopertę, tę samą, którą wręczył mu wódz Dwa Jastrzębie. Jej zawartość częściowo wysunięto, toteż wzrok Mike'a przyciągnęły powielone na ksero karty z księgi rachunkowej. Postanowił po nie wrócić. Następnie chwiejnym krokiem pokonał korytarz wyłożony popękkanymi kafłami i wyszedł na dwór. Był jasny, biały dzień. Przed Mikiem rozciągały się olbrzymie połacie ziemi porośnięte zielskiem. Wiatr od wzgórza wiał mocno, jego ryk atakował uszy. Za wzgórzem widoczne było złomowisko samochodowe, z którego dochodziło metaliczne stukotanie przywodzące na myśl pracę kowala, słychać też było cichy warkot jakiejś maszyny.

Stracił równowagę na schodach wiodących z werandy i musiał złapać się poręczy z obawy, że wnętrzności wypadną mu z rany na ziemię koloru rdzy. Później starał się nie powtórzyć błędu i schodził ostrożnie, jakby kroczył po linie, aż ruszył powoli ku szeroko otwartej bramie, za którą zaczynało się złomowisko. Gardło i nos ciągle miał podrażnione, uszkodzone miejsca i otarcia na ciele żądliła wilgoć pachnącego solą potu. Wypłuł mieszaninę krwi i płynu do zapalniczek. Koperta, którą niósł w lewej ręce, ciążyła mu i w każdej chwili przypominała o klutej ranie w boku.

Szedł, jak mu się zdawało, bez końca. Wiatr wzmagał się i powoli przechodził w wichurę. Niebo zaczynało purpurowieć, a słońce – rozplwać się w kształt pięcioramiennej gwiazdy. Dochodzące ze złomo-

wiska walenie metalu o metal nie ustawało, a kiedy warkot stał się głośniejszy, Mike doszedł do wniosku, że to pewnie silnik diesla.

Przeszedł bramę i znalazł się na terenie złomowiska, czuł rdzę w powietrzu. Bez wahania ruszył ku odgłosom – brzdęk, brzdęk, brzdęk – minął dwa rzędy zgniecionych samochodów leżących w stertach wyższych niż otaczający teren płot. Teraz wkroczył na polanę; jedno ramie miał zdrętwiałe, wręcz wisiało u jego boku, nogi trzęsły mu się z wysiłku.

Nieoczekiwanie wynurzył się przed nim olbrzymi dźwig elektromagnetyczny. Ogromny, okrągły elektromagnes na wysięgniku wciąż jeszcze się kołysał, ale kabina była pusta, drzwi do niej uchylone. Pod podnośnikiem czekało zdezelowane, rdzewiejące kombi, które wyglądało jak mrówka pod uniesionym żołnierskim buciosem. Staroświecka czarno-żółta tablica rejestracyjna ledwie trzymała się na zderzaku, a jej numer – FST14U – był właśnie tym, który umieszczono obok numeru ubezpieczenia społecznego Mike'a na przygotowanym do wysłania faksie. Wpatrując się w tablicę rejestracyjną, Mike na chwilę popadł w zadumę i nie czuł nawet gorąca, które buchało od ziemi i przez podeszwy butów parzyło go w stopy. Sekundę później z transu wyrwało go nowe brzęczenie.

Odrzucił się w stronę dźwięku i odkrył, że dochodzi ze starej, ładowanej od góry zgniatarki samochodowej, przypominającej skrzyżowanie monstrialnej śmieciarki z pułapką na niedźwiedzie. Gruby kabel biegł po ziemi, łącząc dwa urządzenia, tak żeby na złomowisku mógł pracować jeden człowiek, obsługujący zgniatarkę z kabiny dźwigu. Ale to w kabinie zgniatarki Mike dostrzegł zgarbione masywne barki Dodge'a. Wielkolud pracował bez wytchnienia, tłukąc ulubionym młotkiem z kulistą główką i próbując wyrwać z metalowych szczęk jakiś przedmiot.

Mike stanął jak sparaliżowany, gdyż był nie dalej niż dwadzieścia metrów od tamtego. Ze względu na warkot silnika i odgłos stukania młotkiem Dodge nie mógł go usłyszeć, zresztą wydawał się obojętny na wszystko poza własną pracą. Nagle przestał machać młotkiem, najwidoczniej zadowolony z postępów, wysiadł i pochylił się, znikając Mi-

ke'owi z pola widzenia za wysoką ścianą zgniatarki. Chwilę później podniósł się i teraz na ramieniu dźwigał owinięte w brezent ciało Hanka. Poprawił zwłoki i rzucił je przed siebie, w zgniatarkę. Później stanął nieruchomo z rękami na biodrach i łapiąc oddech, przyglądał się swemu dziełu.

Dla bezpieczeństwa Mike wrzucił szarą kopertę przez otwarte tylne okno kombi i chociaż zrobił to delikatnie, kartki wysypały się i zasłały całe tylne siedzenie. Obiegł tył pojazdu, deptając po licznych, niewyraźnych na piasku śladach opon, i skierował się chwiejnym krokiem, tuż obok Dodge'a, w stronę dźwigu. Bok miał gorący, rana parzyła go straszliwie, a w lewym bucie wraz z każdym krokiem chlupotała krew. Starał się nie krzyczeć z bólu, szczególnie kiedy wspinał się do wysokiej kabiny – rana otworzyła się jeszcze bardziej. Koszula Mike'a, przyklejona do jego boku, wydawała mu się ciężka, jej materiał – zбитy i sztywny. Zanim znalazł się na siedzeniu, przeżył katusze.

Z wysoka mógł zajrzeć w zgniatarkę i zrekonstruować zdarzenia. Dodge najwyraźniej za pomocą dźwigu podniósł jakiś samochód – był to volkswagen garbus, rocznik 1968 – potem wrzucił go do zgniatarki, ale niestety maszyna się zablokowała, pojazd w środku przechylił się do przodu i ciało Hanka wypadło przez roztrzaskaną przednią szybę. Dodge wskoczył do środka, żeby naprawić błąd i znów umieścić ciało w pojeździe.

Mike wyciągnął rękę w stronę przyrządów sterowniczych i strącił z wielkiego czerwonego guzika osłonkę z przezroczystego plastiku. Dodge w końcu się odwrócił, wciąż był w sięgającym mu bioder ogromnym czerpaku zgniatarki; jego nogi przesłaniała częściowo skręcona obręcz koła. Spojrzenia mężczyzn się spotkały i patrzyli na siebie z odległości wypełnionych kurzem i słońcem dwudziestu metrów.

Mike nacisnął guzik.

Hydrauliczne cylindry ożyły z szumem i zaczęły się do siebie zbliżać, zaciskając zawartość czerpaka. Dodge, jak głupie zwierzę, podszedł niespiesznie, bez paniki ku krawędzi, skąd zamierzał zeskoczyć na ziemię. Tam jednak zesztyniał i stało się jasne, że droga się zamyka. Patrząc beznamiętnie na Mike'a, poddał się woli maszyny, opadając bez

jęku czy skargi, powoli znikając z oczu, aż tylko jedna uniesiona ręka Dodge'a pozostała widoczna, jak gdyby wyciągnięta z prośbą o koło ratunkowe. Potem ręka zadrżała raz i powoli zniknęła w metalowych szczękach.

Przyciskając dłoń do rany w boku, Mike osunął się do przodu, na przyrządy do sterowania; wzrok mu się mglił. Przyszło mu do głowy, jak przyjemnie byłoby teraz zapaść w sen. Z każdym mrugnięciem potrzebował coraz więcej czasu na uniesienie powiek.

Chociaż przed oczami latały mu czarne i białe kropki, jakoś zdołał zarejestrować słaby ruch. Kilka razy szybko zamrugał, a później wyteżył wzrok i patrzył przez okno kabiny, przymrużywszy jedno oko.

William!

Czołgał się, ciągnąc za sobą bezwładną lewą nogę, w boku uszkodzonego kolana nadal tkwił śrubokręt. Posuwał się, używając głównie przedramion, wykonując spazmatyczny postęp niczym postać z animacji poklatkowej. Twarz miał poranioną, skórę zdartą, częściowo nadpaloną, usta i nos usmarowane od ziemi, której stale dotykał.

Mike gapił się na niego pewnie z minutę, nie wierząc własnym oczom. William na brzuchu, pełzający, wysuwający jedno ramię przed drugie, mijający rzędy zniszczonych samochodów... W ten sposób dotarł na polanę. Co jakiś czas zatrzymywał się, żeby zaczerpnąć powietrza, przekręcając głowę.

Mike'owi ręce trzęsły się na przyrządach; dotykał dźwigni, drążka, różnych przycisków. Pracował kiedyś jako operator kilku wielkich maszyn budowlanych, więc teraz przyrządy sterownicze wydały mu się całkiem swojskie. Elektromagnetyczny wciągnik wisiał wysoko, lecz w jego polu widzenia, może ze dwanaście metrów ponad ziemią. Jeden ruch drążkiem i wysięgnik przesunął się z terkotem ku zgniatarce pojazdów; podnośnik z hakiem kołysał się na końcu olbrzymiego kabla.

Wypróbował trzy przyciski, zanim znalazł serwomotor. Cały dźwig zatrząsł się od ciężkiego ładunku, gdy generator wytwarzał energię elektryczną, którą emitował do podnośnika na końcu kabla. Mike poruszył drążkiem sterowniczym w lewo jeszcze o kilka centymetrów, a następnie wykonał manewr, dzięki któremu obniżył wysięgnik, a za jego

pomocą ładunek, wyrównując w ten sposób zniekształconą perspektywę – widok, jaki miał z kabiny; tej sztuczki nauczył się, pracując za kierownicą ładowarki podnośnikowej czy koparki hydraulicznej. Olbrzymi magnes zabrzączał na dachu zmiażdżonego garbusa, Mike wcisnął kolejny klawisz i podnośnik uniósł zgrabnie spłaszczoną warstwę metalu z imadła zginiatarki, po czym zaczął kołysać nią, przesuując się nad powierzchnią polany.

William zatrzymał się i patrzył, a poobcieraną twarz przechylił ku wczesnoporannemu słońcu.

Prostokątny cień padł na niego i William podjął wędrówkę, popelzł szybciej, wręcz rozdzierając paznokciami ziemię. Jednak jego siły prawdopodobnie się wyczerpywały.

Mike użył przycisku hamowania i zaczął podnosić zgnieciony samochód w niebo. Dwadzieścia metrów w górę, dwadzieścia pięć... nie przestawał, póki pojazd nie znalazł się tak wysoko, że widać było tylko jego spód i kółka zmiażdżone w jednolitą prostokątną strukturę.

William leżał nieruchomo, sapiąc i nienawistnie patrząc na Mike'a spod płataniny włosów, które opadły mu na oczy.

Na chwilę zapanował doskonały spokój. Chwila trwała i trwała.

W końcu Mike nacisnął odpowiedni guzik i odciął energię od magnesu w górze. Samochód natychmiast oderwał się od podnośnika, cichutko, nawet bez jednego szmeru, i spadł, również w absolutnej ciszy. William wydał z siebie jakiś odgłos, prawdopodobnie załkał; zdążył tylko zakryć głowę, nic więcej.

Gdy samochód opadł, w ziemi zrobił się lej jak po wybuchu bomby, a grudy rozprysnęły się na wszystkie strony. Przypominająca pióropusz chmura pyłu wzniosła się ku podnośnikowi, wysoko, lecz mniej więcej w połowie drogi zaczęła się rozpraszać.

Ciepłe promienie słońca wpadły przez szybę do kabiny, Mike znów poczuł pokusę, żeby położyć głowę na konsoli i zasnąć.

Zebrał się jednak w sobie i resztką sił pchnął drzwi kabiny, a gdy je otworzył, po prostu runął na ziemię. Leżał przez chwilę w miejscu, dysząc i trzymając się za bok, gdzie ciało miał lepkie i ciepłe. W końcu podniósł głowę i zauważył zaparkowane tuż przed nim kombi, to, w

którym William i Dodge zamierzali zmiażdżyć na proch jego ciało; widział je w wirującej brązowej mgielce wypełniającej powietrze, stopniowo rzadniejącej. Z opadającego kurzu wynurzał się wysoki stos innych, zniszczonych pojazdów ułożonych przy płocie z drucianej siatki po drugiej stronie działki, wyraźnie odseparowany od innych. Jedne samochody były nowsze, inne zaś tak zardzewiały, że nie sposób było określić ich koloru. Chmura kurzu i pyłu przeredzała się coraz bardziej, aż Mike je zobaczył – przymocowane do każdego schludnie sprasowanego auta – tablice rejestracyjne: FRVRYNG, MSTHNG, LALADY. Metalowe trumny, w których zmiażdżono ciała – w każdej po jednym. Po prostu John. Danielle Trainor. Ted Rogers.

Gdy Mike robił wydech, wydmuchiwał obłoczki pyłu – w odcieniu nazywanym tutaj *Indian red*, od czerwonego pigmentu zawierającego tlenek żelaza. Tak, ta ziemia była czerwona i dziwnie piękna. Rękę, która leżała tuż przed jego twarzą, miał pokrytą skorupą zaschniętej krwi, spod warstwy jasnoczerwonej i błyszczącej przebijała wcześniejsza – sucha i niemal czarna.

Przez chwilę jeszcze leżał, mając przed oczami śnieżnobiałe kropki, potem znów zmusił się do ruchu i wstał, opierając się ciężko o wielką oponę dźwigu. Zatoczył się do przodu, upadł na tył kombi, lecz szybko się wsparł, podniósł i obszedł wóz, pozostawiając krwawe odciski dłoni na zapyłonych szybach. Drzwi jęknęły, gdy je otwierał. Z wysiłkiem ugiął nogi, wsiadł i osunął się na miękkie tapicerowane siedzenie. Sprężyny zaskrzypiały pod nim, jakby wzdychały. Czuł, że nie potrafiłby już wysiąść z samochodu i poszukać innego, modlił się więc, żeby wrak był na chodzie. Ramiona miał straszliwie ciężkie, jakby wypełnione balastem. Oparł rękę przed sobą i macał, aż jego palce zaczęły się o kluczyk. Wciąż nie wierzył, że to wszystko dzieje się naprawdę – do czasu, aż przekręcił klucz i silnik ożył, drażliwie charcząc.

Pomyślał, że wjechał w cały ten koszmar kombi ojca. A teraz podobnym kombi z tego koszmaru wyjeżdżał.

Szarpięcia dźwignią do zmiany biegów wydawały mu się ponad siły. Rura wydechowa ciągnęła się za starym autem, pojazd drżał, lecz jechał, mijając sprasowanego volkswagena, a później opuszczając teren

złomowiska i sunąc w dół pochylającej się ostro odludnej drogi. Zakręty były mordercze, serpentyny bolesne.

Mniej więcej w połowie zjazdu ze wzgórza Mike uświadomił sobie, że prawdopodobnie i tak niedługo umrze.

57

Czas stał się plamą ruchu, chaosem obrazów. Przez umysł Mike'a przepływały impresje. Dom przy Shady Lane na końcu drogi, drabinki, na które wspinają się dzieci, spłowiła koszula w odcieniu łososiowego różu, żółta poduszka cuchnąca kocimi sikami, on, chłopiec czekający z łokciami opartymi o parapet. Mike Doe przy wykuszowym oknie zlewał mu się w jedno z Katherine Smith przy takim samym oknie.

„Mój tato wróci”.

„Przysiągłeś mi to. Przysiągłeś”.

W jego głowie przewijał się film, napisane jednym ciągiem zdanie opisujące życie jego córki.

Jej piąstka, kilka godzin po narodzinach, zaciśnięta wokół jego małego palca, gdzie jest Kath-e-rine...? Kołysał ją do snu do *na, na, na z Hey Jude* ...jej dziecięcy języczek wyciągnięty, poruszający się, pokryty pleśniawkami... senne, miarowe pulsowanie laktatora, odciągającego pokarm o północy... fotel, w którym Mike spędzał noce obok jej łóżka, i czerwony balonik... przyłgnęła do jego nogi i wyciągnęła do niego rączki, chcąc, żeby ją podniósł... on patrzący na...

...światło słoneczne wpadające przez przednią szybę, tak silne, że musi walczyć, aby nie mrużyć oczu, aby mieć je otwarte, żeby mógł zobaczyć...

...gipsowy odcisk jej malutkiej rączki... dźwięk pchhhht rozlegający się przy nalewaniu wyimaginowanej herbaty... zapach szamponu dla dzieci, który nie drażni oczu... ona słabnąca w alejce w markecie... on podtrzymujący ją za bezwładne ramionka, jak gdyby próbował zatrzy-

mać wodę... jej pierwszy płacz, gdy obserwowała, jak matka obcina jej włosy... krzesło w kinie, które odskakuje obok jej maleńkich nóżek, zanim on nie chwyci go i nie przytrzyma w dole, aż ona usiądzie... Kat zakrywająca sobie oczy, gdy gwizdże czajnik... człapiąca w jego trampkach, w butach Annabel na wysokich obcasach, w jego kozakach i...

Kombi zjechało właśnie z drogi i się zatrzymało, a Mike opadł na kierownicę, uderzając w nią ustami. Spojrzał w dół, przez rozdarcie w koszulce z krótkimi rękawami, i zobaczył połyskujące żebro, jedno, na tle plamy krwi. Skóra wokół żebra była biała jak rybie ości. Zamknął znów oczy i delektował się tym stanem, marzył, jak rozkosznie byłoby ich nie otwierać.

„Wrócisz po mnie?”

„Tak, wrócę po ciebie”

Położył dłonie na kierownicy, szarpnął się i zdołał wyprostować.

Dygotał, całe jego ciało drżało. Siłą woli skłonił własne ramię do ruchu, wrzucił wsteczny bieg i wycofał samochód. Kombi z głuchym odgłosem wpadło do rowu przy drodze, a potem w końcu wyjechało na szosę. Mike zacisnął zęby, zamrugnął, żeby pozbyć się potu z oczu, zrobił chrapliwy wdech i...

...później, ona ma pięć lat, skacze na skakance, uśmiecha się do niego, brakuje jej obu górnych kłów... nocna koszulka w kolorze lawendy z luszczącym się obrazkiem disnejowskiej księżniczki, Kat śpi w tej koszulce, aż materiał się przeciera... w chińskiej restauracji potrafi już przeczytać, co ją czeka, jej los zapisany w chińskim ciasteczku, okrągłe okulary w czerwonych oprawkach, ferie wielkanocne, Kat chce jeść tylko lukrecję, pomarańczowe plasterki na przerwie, *Odrażający człowiek śniegu na szczycie Matterhorn*, pieprzony licealny musical. „Przyśiągłeś mi to. Przyśiągłeś”...

Klakson wył, cucąc go, przywracając do życia, ale zanim Mike ospale uniósł ciężkie ramię, tamten kierowca zdążył wyminąć go ze złością i popędzić dalej, nie zatrzymując się, pozostawiając Mike'a samego, chociaż jechał przecież niewłaściwym pasem, złą stroną ulicy. W dziwnym przebłysku świadomości zauważył, że jedzie z prędkością

ośmiu czy dziesięciu kilometrów na godzinę, więc ze wszystkich sił spróbował docisnąć pedał gazu. Ból przeszedł w odrętwienie. Własne ciało wydawało mu się twarde i zimne jak lód. Niewyraźnie zdawał sobie sprawę z luźnych fotokopii przesuwających się po tylnym siedzeniu, toteż przekręcił kierownicę, prostując kurs. Droga wyglądała na szerszą, ta rzeczywista droga, teraz. Słońce wspięło się i było o kilka centymetrów wyżej na niebie. Czuł mrowienie w koniuszkach palców, oddychał płytko, prawie nieznanie, jak noworodek.

Zamknął oczy na szybką modlitwę, ale jak za sprawą magii przeniósł się w przyszłość, która dzieje się teraz. Dryfuje poza zasięgiem, krucha i nieuchwytna jak motyl...

...Kat kończy szkołę, napis WOLNY DUCH i znak pokoju ma napisane na todzie, którą szura po deskach podium, za chwilę uściśnie jej dłoń dyrektor, jasnoniebieskie niebo wypełnione uczniowskimi biretami, a później wieczór jej ślubu, przemowa młodszej siostry albo brata, Annabel ściskająca rękę Mike'a pod stołem i pierwsze nuty piosenki, którą ojciec zatańczy z córką... Mike wstaje, flesze aparatów błyskają z otaczających parę stolików... i oto ona, jego córka, w białej sukni, on bierze jej dłoń w białej rękawiczce...

Nastąpiła kolizja i uderzył w tablicę rozdzielczą. Natychmiast otworzył oczy. Opadł na bok, na szybę, jego czoło pozostawiło na niej krwawą smugę. Zauważył schludne małe domki rozstawione w równej odległości na zadbanych zboczach za oknem. Wskazują na niego starsi ludzie w żółtych koszulkach polo i beżowych butach do biegania.

Przez drżącą warstewkę pary wznoszącej się ze zgniecionej maski Mike zobaczył lekko obtłuczony filar centrum sportowego i zrozumiał, że jechał najwyżej pięć kilometrów na godzinę. Jego samochód stał teraz w zaroślach na terenie ośrodka, kilka metrów za tylną bramą – smutne małe zakończenie tej żółwiej podróży.

Jedna z odbitych na ksero kartek z księgi rachunkowej przeleciała sennie obok jego twarzy i opadła spokojnie na tablicę rozdzielczą. Mike próbował coś powiedzieć, lecz jego wargi niemal się nie poruszały.

– Pomóżcie mi – jęknął w końcu w ścianę pary.

Usłyszał gwizdy i odgłosy kroków, grzechot noszy na kółkach.

Zjawiała się obok niego grupa sanitariuszy, którzy wydobyli go z siedzenia kierowcy, ciągnąc za ramiona i zasypując pytaniami:

– Ta rana z boku, widzisz?
– Został pan postrzelony czy pchnięty nożem? Postrzelony czy pchnięty nożem?

– Jak pan się nazywa?

– Jest pan na coś uczulony?

– *Hablas español? Te pegaron un tiro o te apuñalaron?**

* (hiszp.) Mówisz po hiszpańsku? Zostałeś postrzelony czy pchnięty nożem?

– Musimy go przetrulać. Proszę objąć się ramionami.

– ...nie mogę... – Zmusił się do wypowiedzenia kolejnych słów. – Nie mogę umrzeć. Nie rozumiecie. Moja córka... Katherine Wingate...

– Niech pan się nie rusza i pozwoli nam wykonywać naszą pracę.

– Boli tu? Tutaj? *Dolor aqui?*

– Dziesiąta para żeber, linia pachowa środkowa. Będziemy potrzebowali wielu jednostek z banku krwi.

Usłyszał, jak zrywają z niego strzępy koszuli, a potem przyklejają mu do piersi jakieś przewody. Gdy poczuł ucisk pod podbródkiem, przytomnił sobie, że na szyję założono mu kołnierz.

– ...w pewnej rodzinie zastępczej. Musicie mnie uratować. – Głos miał tak ochrypły i słaby, że dźwięk jego słów ledwo docierał nawet do jego własnych uszu.

– Proszę otworzyć usta.

– Głęboki wdech. Jeszcze raz.

Teraz wieźli go chodnikiem, obok zakłopotanych twarzy starszych ludzi i wypielęgowanych rabatek. Minęli tylną bramę, Mike'owi mignął radosny znak: NOWE POCZĄTKI. CENTRUM AKTYWNEGO ŻYCIA. Mrugała do niego żółta buzia w kształcie słońca.

– Sześć jednostek morfiny.

– ...tak, żebym mógł ją odebrać. Albo przekażcie jej matce... Annabel. Zastępcza matka nazywa się Jocelyn Wilder.

– Lekko zaszczypie, dobrze?

Klimatyzacja wiała mu w twarz. Nad głową świeciły światła, przełatywały obok, jedno za drugim.

– Ma tachykardię, niedociśnienie, krew w jamie brzusznej. Musi natychmiast trafić na salę operacyjną. Kogo mamy do dyspozycji?

Mike mówił coraz słabiej.

– Moja córka... jest ukryta. Powiedzcie mojej żonie... Annabel Win... gate.

– Doktor Nelson właśnie operuje roztrzaskane biodro.

– Stracił dużo krwi... Nie wiem.

– ...nie mogę umrzeć... bez...

– Tomografia komputerowa?

– Nie ma czasu... Wykrwawi się nam.

Jakiś pielęgniarz mocnej budowy pochylił się nad Mikiem i przesunął palec po jego odrętwiałej lewej ręce.

– Proszę ścisnąć mój palec. Dobrze, dobrze.

Mike skupił się na uformowaniu słów, na ułożeniu warg.

– ...Jocelyn Wilder... Parker, w Arizonie. Powiedzcie... mojej żonie...

Pielęgniarz przysunął się bliżej.

– O co chodzi, kolego? Co mam powiedzieć twojej żonie?

Że nasza córka jest u Jocelyn Wilder w Parker, w Arizonie, wypowiedział w myślach.

Tuż zanim czas się zatrzymał, Mike Wingate uświadomił sobie, że te słowa nie wyszły z jego ust.

58

– Gdzie jest Katherine? – Głos był niewyraźny, głuchy, jak gdyby Mike słyszał go spod wody.

– Nigdy ci, kurwa, nie powiem – wymamrotał.

– Przyjemniaczek, co? – wtrącił się inny.

I wtedy Mike znów zapadł się w czarną dziurę.

■ ■ ■

Tym razem wyczuł pod sobą materac.

– ...prasa pcha się drzwiami i oknami – mówił głos Shepa. – Stan Kalifornia zapłacił za twoje przeniesienie i za kurację w Cedars-Sinai Med Center. Także za transport i kurację Annabel. Macie najlepszą opiekę... dranie cholernie się boją, że ich zaskarzycie. Przyjęli z ulgą wiadomość, że przeżyłeś. Zdaje mi się, że miałeś przeciętą żyłę w nerce czy coś. Co? Okay, okay... żyłę nerkową. W takim przypadku podobno człowiek szybko się wykrwawia, ale nie tak szybko jak z przeciętą tętnicą. Miałeś szczęście, co?

Mike starał się skłonić swoje wargi do ruchu, ale mu się nie udało; jego ciało przestało go słuchać.

– Federalni – ciągnął Shep – zrobili nalot na tamto złomowisko i znaleźli szczątki twoich rodziców w zmiażdżonych samochodach. McAvoy jest w areszcie. Wygląda na to, że oni wszyscy są nieźle udupieni.

– On pana nie słyszy – odezwał się ktoś.

– Właśnie że słyszy – odpowiedział Shep.

■ ■ ■

Teraz oczy miał na wpół otwarte i widział ostro. Wydawało mu się, że język ma zbyt gruby i nie zdoła przemówić. Coś metalowego szczypało go w skórę brzucha. Nad nim pojawiła się czyjaś opalona twarz.

- Gratulacje, panie Wingate. Właśnie odziedziczył pan kasyno.
- Mmrrmm...
- Otrzyma pan pensję w wysokości trzech milionów dolarów.
- Na miesiąc – dodał skądś głos Shepa. – A coroczne dywidendy mają tyle zer, że nie pomieszczą się na czeku.

Mike zauważył teraz postać przyjaciela, który stał w nogach łóżka.

- Zgadnij, kto jest wybitnym specjalistą od prawa kasynowego? – Shep pstryknął paznokciem w coś, co Mike w końcu rozpoznał jako znajomą ciemnoszarą wizytówkę. Postać Shepa na chwilę się wyostrzyła, Mike zdążył zauważyć jego krzywy przedni ząb. – Pamiętasz tego drogiego prawnika, którego załatwił mi Dwa Jastrzębie?

Mike dostrzegł mężczyznę, który mówił wcześniej. Widział zbiór elementów: spieczoną od słońca twarz, inkrustowaną turkusami, kutą owalną sprzączkę paska, kurtkę z jeleniej skóry w stylu Gerry'ego Spence'a, z frędzlami na ramionach. Mężczyzna uroczyście skinął głową, błysk kpiny pojawił się w jego oczach.

- Wódz Dwa Jastrzębie – powiedział – oczekuje długiej ery dobrobytu i pokoju pomiędzy naszymi plemionami.

Obraz przed oczami Mike'a znów się zamglił.

- Nie wolno panu tu być – oznajmił nagle ostry kobiecy głos. Tracąc przytomność, Mike usłyszał jeszcze pytanie Shepa.
- Co?

■ ■ ■

Tym razem obudził się – całkowicie obudził – z jedną jedyną myślą: Katherine!

Usiadł gwałtownie, ale poczuł, jakby gorąca włócznia przecięła mu wnętrzności. Znowu opadł na poduszki. Nawet uniesienie głowy było jak tortura, ale zdołał spojrzeć w dół, na siebie. Szpitalna koszula była rozchylona, zobaczył szeroki szlak klamer chirurgicznych, biegnący spod pępka do mostka. Brzegi rany były fioletoworóżowe. Potrzebował

trochę czasu, zanim uznał rozcięcie za trwały element swojego ciała. Na boku miał wielki prostokąt bandażu przyklejony papierowym plastrem. Z niepokojem oderwał plaster. Rana od noża była dobrze zasklepiena, drobne czarne szwy sterczały niczym kocie wąsy. Skóra poniżej rany była połyskująca i czarna; nie miał pojęcia, że skóra może przybrać taki kolor.

– Musieli cię otworzyć. – Głos, dobiegający gdzieś z drugiej strony sali, zaskoczył go. Na krześle siedział jakiś mężczyzna, z idealnie zaprasowanych spodni strzepywał sobie kłaczek. Czerwony krawat szczelnie oplatał jego szyję. Mike rozpoznał starannie ogoloną twarz, ale minęło dobre kilka chwil, zanim przypomniał sobie nazwisko. Już wiedział. Odwiedził go Bill Garner, szef sztabu gubernatora. Zauważył, że poza nimi w sali nie ma nikogo. – Trzeba było powstrzymać krwawienie, sprawdzić stan twojej wątroby, jelit i tak dalej – kontynuował Garner. – Przez kilka dni to traciłeś, to odzyskiwałeś przytomność. Twój stan szybko się poprawia, ale wciąż czeka cię dużo... – Mike znów próbował usiąść i krzyknął z bólu. – ...czeka cię dużo bólu.

Mike obracał głowę, rozglądał się. Drzwi były otwarte, pielęgniarki i pacjenci energicznie chodzili po korytarzu. Na nocnym stoliku Mike'a mokre od krwi bandaże leżały w basenie. Nadal zszokowany widokiem rany spróbował przypomnieć sobie wydarzenia ostatnich paru dni. Był tutaj Shep. I adwokat wodza Dwa Jastrzębie. Mike pamiętał, że stan Kalifornia obawia się procesu sądowego tak, pewnie chodzi właśnie o to.

Jęcząc, zwiesił nogi z łóżka. Rurka z tlenem wysunęła się z jego nosa. Wyszarpnął z ręki kroplówkę, a sól fizjologiczna pociekła na podłogę, potem zerwał sobie z bicepsa papierowy plaster.

– Nie robiłbym tego – ostrzegł go Garner. – Jest tu zrzędliva pielęgniarka, która tylko czeka na okazję.

Mike wstał chwiejnie i czekał, aż jego nogi mocno oprą się o podłogę.

– Znaleźli ciało Hanka?

Ścisnął poły szpitalnej koszuli i ostrożnie ruszył ku drzwiom. Garner siedł u jego boku.

– Tak – przyznał. – Policja Los Angeles wkroczyła na wojenną ścieżkę... To był ich dawny człowiek. Parker Center, FBI... wszyscy się

tym zajęli.

– Mogę to sobie wyobrazić.

– Hank Danville może i nie był genialnym detektywem, ale w policji mieli o nim dobre zdanie.

Mike przystanął i popatrzył na Garnera.

– I słusznie.

– A z takimi dowodami – prychnął Garner, odrzucając grzywkę. – Brian McAvoy równie dobrze może sam wykonać na sobie karę śmierci. Nie było procesu z tak niepodważalnymi dowodami od czasu OJ. Simpsona. – Podrapał się po nosie. – To był żart.

– Wybacz – powiedział Mike. – Ciągle myślę o Hanku.

– Będziesz miał okazję pożegnać się z nim, jak należy. Policja planuje pogrzeb z pompą. Będą go chować jak bohatera.

Mike nie ufał swojemu głosowi, więc tylko kiwnął głową i ruszył dalej, ku drzwiom.

– Naprawdę nie powinieneś wstawać – upierał się Garner.

– Czuję to. Gdzie jest moja żona?

– Dalej korytarzem, o tam.

– Shep?

– Na pewno gdzieś tutaj się kręci. Odkąd go wypuścili, niemal nie odstępuje cię na krok.

Mike oparł się o drzwi i ciężko oddychał.

– Wypuścili?

– Toczy się przeciwko niemu dochodzenie – wyjaśnił Garner. – Wasz prawnik przejrzał nagrania z kamer nadzorujących u Grahama, tak jak wszystkie inne materiały. To jest bałagan wyższego rzędu, ale przekonałismy AUSA i prokuratora okręgowego, żeby zapewnili ci pełną federalną i stanową nietykalność w zamian za twoje zeznanie i współpracę w sprawie przeciwko Brianowi McAvoyowi. Pozwól, że powtórzę: pełną nietykalność.

– Żebym nie zaskarżył stanu Kalifornia – stwierdził Mike. – Sądzę, że właśnie dlatego byłeś tak miły, żeby przyjść z wizytą do szpitala, zanim inni do mnie dotrą.

Garner zrobił znudzoną minę.

– Chcą potraktować cię ulgowo, biorąc pod uwagę... początkowe nieporozumienia, ale ktoś musi odpowiedzieć za przestępstwa, które popełniście ty i Shepherd White.

Mike wydał wargę.

– Potrzebujecie kozła ofiarnego.

– Zostało złamane prawo. Skradziono kilka pojazdów, doszło do napaści, ważnego funkcjonariusza zastrzelono nocą w jego własnej sypialni. Mamy ciebie, człowieka rodzinnego, szanowanego członka społeczności. I mamy skazywanego przestępcę. Ktoś strzelił z tego balkonu, prawda?

– Graham był mordercą i świnią.

– Wszystkim będzie łatwiej, jeśli zachowasz tę opinię dla siebie.

– Komu będzie łatwiej? – Mike znów ruszył naprzód.

– Poczekaj chwilę, Mike. – Garner łagodnie położył mu rękę na ramieniu i zatrzymał. – Możesz skończyć w więzieniu, to nie żart. Na pewno zechcesz sobie dobrze przemyśleć tę decyzję.

Mike odsunął rękę Garnera.

– Jest takie zdjęcie twojego szefa. Wisi w gablocie McAvoya w jego kasynie. Twój szef był tak miły, że je podpisał: „Dla kasyna Deer Creek, moich przyjaciół, przyjaciół Kalifornii”. Tonami braliście pieniądze od faceta, który radośnie wykańczał pokolenia swoich przeciwników, a policja, prokuratorzy, sędziowie i, owszem, gubernator... wszyscy odwracali wzrok.

– Mów, z łaski swojej, trochę ciszej.

– Shep nie zostanie oskarżony o żadne przestępstwa, a gubernator dostanie dobę na ogłoszenie pełnego ułaskawienia. W przeciwnym razie spędzi ostatnie tygodnie kampanii na wyjaśnianiu, dlaczego nie ponosi odpowiedzialności za swoich skorumpowanych funkcjonariuszy i że setki milionów dolarów, którymi McAvoy zasiliał budżet stanu, nie miały nic wspólnego z faktem, że przez dziesięciolecia uchodziły mu na sucho kolejne zbrodnie.

Mike wyszedł na korytarz. Garner nie odstępował go na krok.

– I tak możemy niezwykle utrudnić ci życie – zagroził.

– Nawet nie wiesz, co to znaczy „trudne życie”.

Dwóch agentów zbliżyło się lekkim truchtem, lecz Garner odprawił ich machnięciem ręki. Zawahali się, ale nie wycofali.

- Jestem aresztowany? – spytał ich Mike.
- Proszę pana, nie powinien pan opuszczać...
- Jestem aresztowany?

Ludzie w korytarzu zaczęli się zatrzymywać. Agenci popatrzyli na Garnera. Garner popatrzył na agentów. Wszyscy mrugali.

- Nie – odparł jeden z agentów.

Mike dalej szedł naprzód.

– Jesteś na uprzywilejowanej pozycji – mówił Garner, wciąż idąc obok i ścisząc głos. – Ty i twoja rodzina tysiąc razy wygraliście los na loterii. – Wyprowadził Mike'a. – Jesteś gotów to wszystko poświęcić, żeby osłonić swojego kumpla kryminalistę?

- Shep jest moją rodziną.

Spojrzenie Garnera pozostało spokojne, ale jego usta zacisnęły się z niepokojem.

Mike zazgrzytał zębami pod wpływem bólu.

- A teraz złaż mi z drogi.

Garner zastanawiał się przez chwilę, a potem posłuchał.

Pozostawiwszy go za sobą, Mike szedł dalej korytarzem. Z wózka wziął spodnie, jakie nosili tu lekarze. Założenie ich bolało bardziej, niż mógłby to sobie wyobrazić, na szczęście szwy nie popękały. Gdy skończył, rzucił na podłogę szpitalną koszulę. Każde kasznięcie, każdy skręt ciała przynosił nową falę bólu. Starał się obniżyć w biodrach, zamiast napinać mięśnie brzucha, ale i tak do oczu napływały mu łzy. Szedł korytarzem bez koszuli, czytając opisy na drzwiach, nazwiska na plakietkach, aż w końcu – wyczerpany cierpieniem i wysiłkiem – zaczął wykrzykiwać imię żony, kręcąc się w kółko.

Usłyszał jej cichą odpowiedź gdzieś zza rogu i chciał podbiec, lecz wybuch gorąca w brzuchu kazał mu zwolnić. Za zakrętem, tuż przy uchylonych drzwiach, stali Elzey i Markovic. Elzey trzymała w ręce kwiaty ze sklepiku z upominkami, pewnie zastanawiając się, ile wyrozumiałości kupi bukiet goździków, kiedy Annabel będzie składać oświadczenie. Na widok Mike'a, pozszywanego jak Frankenstein, od-

wrócili się potulnie i odeszli.

Kiedy w końcu Mike dotarł do drzwi, gorąco uderzyło go w twarz, w pierś, wypełniło rany. Annabel leżała na łóżku, skórę miała bladą i gładką, włosy przyklejone do czaszki. Jakby zawstydzona swoim wyglądem, podniosła rękę do twarzy, ale zatrzymała ją w połowie drogi. Ten drobny instynktowny gest rozdarł mu serce. Złapał się framugi drzwi, dysząc z bólu, nawzajem chłonęli swój widok. Jej ojciec zniknął z sali niczym zjawia, zanim Mike tak naprawdę dostrzegł jego obecność. Nie mógł oderwać od niej wzroku, nie mógł się ruszyć; sparaliżowany cierpieniem i rozkoszą.

– Obciąłeś włosy – zauważyła Annabel.

Zmusiła się do uśmiechu, a po chwili zaczęła płakać, Mike znowu zdołał się poruszyć. Podeszedł do niej, przycisnął twarz do czubka jej głowy, wdychając jej zapach, ukryty pod wonią jodiny i zaschniętego potu. Nagle zjawiała się przy nim pielęgniarka, mówiąca coś z wielkim poruszeniem, ale do Mike'a nie docierały jej słowa.

Annabel musnęła palcami jego szwy, on rozsunął jej szpitalną koszulę, obejrzał posiniaczoną skórę i linię rany. Czuł się bezsilny, wdzięczny i wściekły; uczucia kłębiły się w nim jak tornado.

Annabel zwróciła ku niemu bladą twarz, on starł kciukiem łzę z jej policzka.

– Jedźmy po naszą córkę – powiedziała.

Wtedy usłyszał pielęgniarkę:

– Pani nigdzie nie pojedzie z tą przeciętą tętnicą, pani Wingate. – Gwałtownie odwróciła się do Mike'a. – Ani pan! Niech pan maszeruje z powrotem i kładzie się do łóżka. I niech pan weźmie percocet.

– Nie mogę – odparł Mike. – Muszę prowadzić.

– Co prowadzić?

– Idź – poleciła Annabel.

Łagodnie pocałował ją w usta i wyszedł.

Shep czekał w korytarzu; ciężko oparty ramionami o ścianę wyglądał jak chicagowski gangster.

– Załatwisz mi ibuprofen? – spytał Mike.

– Ile?

– Z kilogram.

Shep poklepał go po plecach i razem poszli do windy.

– Masz samochód? – spytał Mike.

– A jaki byś chciał?

– Nie, Shep, chcę pożyczyć twój.

Przyjaciel wyjął kluczyki z kieszeni.

– To nie pinto. – Kluczyki z brzękiem wpadły w dłoń Mike'a. – Mówię ci ze względu na twój rejestr wykroczeń drogowych.

Shep przechylił się nad kontuarem pustego stanowiska pielęgniarek i zagarnął z półki buteleczkę advilu. Mike połknął sześć tabletek bez popijania, a potem przyjaciel wsunął mu do kieszeni spodni buteleczkę z lekiem i coś jeszcze. Mike spuścił wzrok i zobaczył futrzaną białą łapkę. Uśmiechnął się.

Gdy zjeżdżali windą, Shep kiwnął głową, wskazując siniaki i rany na ciele Mike'a.

– To, co zrobiłeś dla swojej rodziny... – Pokręcił głową z podziwem.

– Głupku. Przecież nauczyłem się tego od ciebie.

Drzwi otworzyły się z brzdęknięciem, przeszli hol i wyszli na dwór. Dotyk wiatru na skórze przypomniał Mike'owi, że jest półnagi.

Shelby mustang rocznik 1967 czekał po drugiej stronie parkingu czysty i lśniący. Szeroka kratownica szczyrzyła się w uśmiechu.

– Zatankowany i gotów do drogi – oznajmił Shep.

Nieopodał, przy krawężniku, zatrzymała się limuzyna, z której wysiadł białowłosy mężczyzna w szarym lnianym garniturze. Zamachał do Mike'a i pospiesznie podszedł. Musiał się pospieszyć, żeby dorównać im kroku.

– Pan Wingate? – spytał. – Przyjechałem, żeby wyrazić nasz szczerzy żal z powodu tej strasznej sytuacji.

– A pan jest...? – spytał Mike.

– Teraz, kiedy Brian McAvoy został zatrzymany za swoje potworne zbrodnie, jestem prezesem zarządu Deer Creek Tribal Enterprises. Jestem tu w imieniu rady nadzorczej, żeby pana powiadomić, że nie mieliśmy pojęcia o poczynaniach pana McAvoya. I że bardzo troszczyliśmy się o pańską prababcie pod koniec jej życia. Widzi pan, znałem ją oso-

biście. Niczego jej nie brakowało. Jeśli możemy panu jakoś pomóc w tym okresie przejściowym, a może potrzebuje pan czegoś...

– Tak – przyznał Mike. – Potrzebuję koszuli.

Mężczyzna lekko rozdziawił usta, biały wąs opadł z jego górnej wargi.

– Proszę mi dać swoją koszulę – sprecyzował Mike.

Tamten przywołał na twarz wymuszony uśmiech. Shep pomógł mu zdjąć marynarkę, a wtedy mężczyzna poluźnił krawat, rozpiął guziki koszuli, zdjął ją i dał Mike'owi.

Mike włożył ją, krzywiąc się, i zaczął przeciskać guziki przez dziurki.

– Dzięki. Jesteście wszyscy zwolnieni.

Wraz z Shepem ruszył do mustanga.

– Potrzebuje pan nas – zawołał za nim mężczyzna. – Kto poprowadzi kasyno?

– Musi pan o tym pogadać z moim dyrektorem operacyjnym – odparł Mike przez ramię.

Mężczyzna włożył marynarkę na goły tors, wsiadł z powrotem do limuzyny i odjechał. Przyjaciele dotarli do mustanga. Mike przesunął palcem po pasku wyścigowym.

– Dyrektorem operacyjnym? – spytał Shep.

Mike bez słowa przechylił ku niemu głowę.

– Tak? – spytał Shep. – Za ile?

– Ile chcesz?

– A moje roboty?

– Z nimi koniec.

– Pomyślę o tym.

Mike otworzył drzwi, Shep chwycił go za ręce i pomógł usiąść w fotelu. Wrzucił do środka zwitek banknotów i telefon komórkowy – jedyny ocalały batphone. Mike położył je obok hamulca ręcznego i zamknął drzwi. Uruchomił silnik, ale zanim zaczął cofać, Shep zastukał w szybę.

Mike otworzył okno.

– Mówią, że to niczego nie rozwiązuje. To znaczy zemsta. Ale

kiedy ich zabiłeś, poczułeś się dobrze?

– Tak – potwierdził Mike i odjechał.

59

Kilka razy zatrzymał się po benzynę, coś do jedzenia albo kawę. Za każdym razem przyciągał dziwne spojrzenia – w koszuli, szpitalnych spodniach i z gołymi stopami wyglądał, jakby uciekł ze szpitala psychiatrycznego. Brał advil na ból, ale napędzała go głównie adrenalina. Jazda była długa, więc trochę rozmyślał.

Dostanie nietykalność czy nie, i tak zabierze Kat i Annabel z powrotem do ich domu. Pieniądzy z kasyna starczy im na resztę życia. Będzie mógł spłacić długi wdzięczności – wobec potomków Hanka, Jocelyn Wilder, Jimmy'ego. Do diabła, będzie mógł zerwać rury z PCW w Green Valley i zastąpić je pieprzoną ceramiką albo spłaci dotacje, które mu się wcale nie należały. Tak, na te domy w pierwszej kolejności wyda pieniądze z kasyna, będą publiczną pokutą za kłamstwo, które wprowadziło w ruch całą tę maszynę.

Czy będzie wolny, czy też odsiedzi wyrok, pewnego dnia odprawi mały, cichy pogrzeb i pochowa rodziców. Johna i Danielle Trainorów. Załatwi trumny. Pierwszy rzuci garść ziemi.

Ich szczątki nareszcie spoczną w spokoju.

Godzinę jazdy do domu Jocelyn Wilder, na postoju dla ciężarówek, Mike, sącząc colę i jedząc snickersa, dostrzegł swoją twarz we wstecznym lusterku. Zauważył, że na uchu zaschło mu kilka kropel krwi, pewnie pociekły z kroplówki. Widział też, że przy goleniu ktoś przeoczył fragment zarostu w kąciku ust. Polizał kciuk i spróbował zetrzeć krew. Zobaczył, jak bardzo trzęsie mu się ręka, i zrozumiał, jaki jest zdenerwowany. Wszedł do toalety, umył twarz, próbując przywrócić

sobie ludzki wygląd. W końcu wsiadł do mustanga i ruszył w drogę. Ból osłabł, teraz zdominował go lęk.

Wjechał do Parker w stanie Arizona, minął kino, do którego zabrał wtedy Kat; nieduży butik, w którym kupił jej sukienkę, restaurację, w której zjedli ostatni wspólny posiłek. Powróciły mdłości, jak gdyby zadziałała pamięć ciała. Wytracony z równowagi, zgubił drogę. Przez jakiś czas jeździł w kółko, kręcąc się wśród podmiejskich uliczek, frustracja doprowadzała go na skraj łez.

Zadzwonił batphone. Mike odebrał, modląc się o pomoc.

– Wydaje się, że zginął przypadkowo zastrzelony podczas włamania rabunkowego.

Rozpoznanie głosu zajęło Mike'owi kilka sekund. To był Bill Garner.

– Chciałby pan podważyć ten wniosek?

Pomyślał, jak daleko wstecz sięgała sprawa Grahama. Ojciec Mike'a, po prostu John, który stoczył walkę na śmierć i życie. Nazwisko przydzielone czteroletniemu Mike'owi przez bezimiennego dupka w opiece społecznej. A teraz historia zatoczyła pełne koło. W aktach napiszą, że Grahama zabił niezidentyfikowany włamywacz – jakiś John Doe.

– Nie – odparł.

– Musiałem stanąć na głowie, żeby objęli Shepherd'a White'a twoim statusem nietykalności – ciągnął Garner. – Nie chcesz wiedzieć, jak było blisko. Ale powiem ci jedno, Mike, jesteś naprawdę wytrzymały.

– I lojalny.

Z boku zobaczył wjazd w jakąś ulicę. Uprzytomnił sobie, że wcześniej minął ją dwa razy.

– ...prokurator okręgowy wysłał dokumenty... – mówił Garner.

Mike skręcił i zobaczył przed sobą podupadający wiejski dom i podwórko pełne drabinek i bawiących się dziewcząt.

– Muszę kończyć – przerwał.

– Rozmawiamy o twoim statusie nietykalności – wytknął mu tamten. – Masz coś ważniejszego do roboty?

– Tak – odparł Mike. – Mam.

Wjechał na krawężnik, w tym samym miejscu, gdzie zaparkował poprzednio, gdzie on i Kat zawierali straszliwy układ.

„Wrócisz po mnie?”

„Tak, wrócę po ciebie”.

Zanim zebrał siły, zobaczył córkę na werandzie. Trzymała w ręce plastikowe wiaderko i podlewała przywiedłą paprotkę. Miała na sobie żółtą sukienkę z kraciastej bawełny, którą jej kupił, chociaż rękaw teraz był podarty, a rąbek postrzępiony.

Wysiadł z mustanga, ledwie trzymał się na nogach. Zatrzasnął drzwi, a ona podniosła głowę. Na policzku miała brudną smugę ziemi. Patrzyła prosto na niego.

A później odwróciła się i weszła do budynku.

Wiatr wiał mu prosto w twarz, jego szum był pusty, suchy. Przez moment Mike myślał, że ten podmuch go powali. Stał, drżąc. Próbował nad sobą zapanować, nie poddać się wzruszeniu. Po długiej chwili poczuł dość sił, by za nią iść.

Otworzyła mu starsza dziewczynka.

– Pan jest...?

– Tak – odparł.

Mężem. Ojcem.

Dziewczynka się odsunęła.

Jocelyn siedziała na kanapie. Zauważyła go i wezwała do siebie dzieci, które otoczyły ją wianuszkami, jakby za sprawą magii.

Uciszały się nawzajem i posyłały sobie spojrzenia.

– Mała jest na zewnątrz – powiadomiła go Jocelyn.

Mike dwukrotnie poruszył ustami, zanim zdołał się odezwać.

– Dziękuję.

Kat siedziała obok huśtawek, na popękany asfalcie, bawiąc się beznogą Barbie. Mamrotała coś do siebie, wykręcając lalce ramiona to w tył, to w przód. Włosy miała nieuczesane, paznokcie brudne.

Mike wyciągnął do niej ręce. Nie podniosła głowy. Ze względu na klamry i szwy potrzebował chwili, żeby ukucnąć naprzeciwko córki. Obserwował jej zabawę. Ona nie podnosiła wzroku.

Sięgnął do kieszeni szpitalnych spodni, wyszarpnął Śnieżkę Drugiego i posadził na ziemi pomiędzy sobą a nią. W wybuchu gniewu Kat wzięła małego pluszowego misia i rzuciła go gdzieś w rosnące pod

plotem zielsko.

– W porządku – powiedział.

Klamry wbijały mu się w skórę, ale się nie ruszał. Przyglądał się jej dłoniom, strupowi na kolanie, czubkowi głowy. Pragnął wziąć ją w ramiona, ale zmusił się do cierpliwości, czekał, aż sama wybierze właściwy moment. Przekrzywiła głowę, a Mike dostrzegł jej policzek. Drżał. Uderzyła lalką o asfalt.

– Jak ona się czuje z jedną nogą? – spytał.

– Jest zła.

– Nic dziwnego.

Tak bardzo chciał wyciągnąć rękę i dotknąć jej ramienia, pogłaskać ją po włosach, wziąć jej dłoń. Gdzieś nad jego głową dzieciół stukał w słup telefoniczny.

– Już dobrze – powiedział.

Kat jeszcze parę razy uderzyła lalką o asfalt, potem odłożyła ją na bok. Jakby na próbę, nadal wpatrując się w ziemię, podpełzła do Mike'a i wspięła się na jego kolana. Przyłgnęła do jego piersi, a ból przeszył go, sięgając do rdzenia kręgowego, lecz on o to nie dbał. Ważna była tylko jej główka wtulona w jego podbródek.

– Popatrz na mnie – poprosił cicho.

Kat się nie poruszyła.

– Kochanie, popatrz na mnie – powiedział głośniej.

Powoli uniosła wzrok.

– Już w porządku – powtórzył po raz kolejny.

I wtedy dziewczynka zaczęła szlochać, krzyczeć, szarpać go za koszulę i tłuc piąstkami w jego obojczyk. Trzymał ją przy sobie, chrząkając z bólu, przyciskając czoło do jej głowy, kołyszając ją.

Wokół było szaro, zapadał zmierzch, a Mike wciąż siedział, obolały, z nogami rozrzuconymi na boki, i trzymał córkę, która powoli się uspokajała, trzymał ją, aż jedynym ruchem było drżenie jej oddechu, trzymał ją, trzymał, trzymał...

Podziękowania

Wielu ekspertów poświęciło sporo czasu, żeby podsunąć mi liczne cenne wskazówki na temat różnych kwestii – medycznych, logistycznych, redakcyjnych i taktycznych. Dziękuję doktor medycyny Kristin Baird, Johnowi Cayanne'owi, Philipowi Eisnerowi, Tylerowi Feltowi, Marjorie Hurwitz, doktor medycyny Missy Hurwitz, Donowi McKimowi, Jamesowi Murphy'emu, doktorowi medycyny Bretowi Nelsonowi, Andrew Plotkinowi, Emily Prior i Maureen Sugden. Wszelkie usterki, które można znaleźć w tej powieści, są spowodowane nie nieuwagą tych specjalistów, lecz wrodzonym uporem autora.

Dziękuję moim oddanym i niestrudzonym przedstawicielom: pełnomocnikom: Marcowi H. Glickowi i Stephenowi F. Breimerowi, agentom: Richowi Greenowi, Aaronowi Priestowi oraz kobiecie o niespożytej energii, Lisie Erbach Vance. Wnikliwy (i cierpliwy) redaktor Keith Kahla i moja ekipa z Saint Martin's – łącznie z (choć oczywiście nieograniczona do tych osób) wydawcą Sally Richardson, Matthew Baldaccim, Jeffem Capshewem, Tarą Cibelli, Kathleen Conn, Ann Day, Brianem Hellerem, Kenem Hollandem, Loren Jaggers, Sarah Madden, Johnem Murphym, Matthew Shearem, Tomem Siino, Martinem Quinnem i George'em Witte'em. Chciałbym również wyrazić wdzięczność Davidowi Shelleyowi, Danielowi Mallory'emu i reszcie reprezentacji UK Sphere, podobnie jak moim pozostałym partnerom wydawniczym na całym świecie. Dziękuję też mojemu psu rasy rhodesian ridgeback, Simbie, towarzyszącemu mi przez większość czasu, podczas którego stukalem na klawiaturze.

Osobne podziękowania dla Delinah, która codziennie od dziesięciu lat obdarza mnie czułym uśmiechem.